

Widzowie nieruchomieją, gdy pociąg przejeżdża obok.

— A jeśli ustawicznie będzie mnie o coś pytał. Głoska „p” wydarłszy się z zdania, pomknęła przez łąkę jak piłka.

Jego powaga zabija mnie. Głowa wciśnięta w kołnierz, włosy ułożone nieruchomo dokoła czaszki, pod nimi, na policzkach, mięśnie napięte w odpowiednich miejscach...

Czy las jeszcze ciągle tu istnieje? Las istniał tu jeszcze. Jednakże ledwie moje spojrzenie pomknęło dalej o dziesięć kroków, poniechałem go, wplątany znowu w nudną rozmowę.

W mrocznym lesie, na rozmięklej ziemi, orientowałem się tylko dzięki bieli jego kołnierzyka.

We śnie poprosiłem tancerkę Eduardowi odnosi się do gościnnych występów Baletu Rosyjskiego w Pradze by mimo wszystko zatańczyła czardasza raz jeszcze. Szeroka pręga cienia czy światła przecinała twarz między dolnym skrajem czoła a środkiem brody. Właśnie zbliżył się ktoś o wstrętnych ruchach bezwiednego intryganta, aby jej powiedzieć, że pociąg zaraz odjedzie. Po sposobie, w jaki słuchała oznajmienia, uświadomiłem sobie przeraźliwie jasno, że już nie zatańczy. — Jestem niedobłą, złą kobietą, prawda? — rzekła. — O nie — powiedziałem. — Nie jest tak — i zwróciłem się dokądkolwiek, by odejść.

Przedtem zacząłem ją wypytywać o liczne kwiaty, które tkwiły za jej paskiem. — Mam je od wszystkich księżąt Europy — powiedziała. Zastanowiłem się, co to znaczy, że owe świeże kwiaty, tkwiące za paskiem tancerki Eduardowej, podarowali jej wszyscy księżęta Europy.

Tancerka Eduardowa, miłośniczka muzyki, jak w każdym innym wehikule, tak i w tramwaju, jeździ w asyście dwu skrzypków, którym często każe grać. Bo przecież nie ma zakazu, zabraniającego muzykowania w tramwaju, jeżeli gra jest wprawna, miła dla współpasażerów, i jeśli nic nie kosztuje, to znaczy jeśli potem nie następuje zbiórka. Co prawda początkowo dziwne to trochę i przez chwilę każdy sądzi, że niestosowne. Ale w pełnym biegu, przy silnym pędzie powietrza i na cichej ulicy brzmi ładnie.

Tancerka Eduardowa nie jest na wolnym powietrzu tak ładna, jak na scenie. Błada cera i te kości policzkowe, które napinają skórę, tak że przez twarz ledwie przebiega silniejsze drgnienie; duży *nos*, sterzący jak gdyby z zagłębienia i opierający się wszelkim żartom, jak próbie twardości czubka albo lekkiemu chwytowi za grzbiet i pociągnięciu na wszystkie strony, przy czym mówi się: „No, ale teraz pójdziesz ze mną”. Postać szeroka, o wysokim stanie, w sukniach ze zbyt obfitymi fałdami — komu to się podoba — podobna jest do jednej z moich ciotek, podstarzałej damy — wiele starych ciotek wielu ludzi wygląda podobnie. Wady te nie znajdują w pani Eduardowej, widzianej na wolnym powietrzu, właściwie żadnej rekompensaty i poza wcale zgrabnymi nogami nie ma w niej naprawdę niczego, co usposabiałoby do marzenia, podziwu lub choćby tylko szacunku. Toteż widywałem bardzo często, jak do pani Eduardowej odnoszono się z obojętnością, której nie mogli ukryć nawet panowie skądinąd bardzo zręczni, bardzo poprawni, mimo że zadawali sobie pod tym względem wiele trudu wobec tak bardzo słynnej tancerki, jaką bądź co bądź była pani Eduardowa.

Małżowina mojego ucha była świeża w dotyku, szorstka, chłodna i soczysta jak liść.

Piszę to bez wątpienia z rozpaczy z powodu swego dala i swej przyszłości Z tym ciałem. Jeżeli rozpacz przejawia się tak wyraźnie, jeśli tak mocno wiąże się ze swym przedmiotem i jeśli powściąga się ją tak jak żołnierz, który osłania odwrót, gotów dać się dla sprawy rozszarpać — to nie jest jeszcze właściwą rozpaczą. Rozpacz właściwa natychmiast i zawsze prześciga swój cel, (po tym przecinku stało się jasne, że tylko pierwsze zdanie było prawdziwe).

Popadłeś w rozpacz?

Tak? Popadłeś w rozpacz?

Uciekasz? Chcesz się skryć?

Co mówią pisarze, śmierzdi.

Szwaczki bielizny

w strugach deszczu. dotyczy utworu G. Hauptmanna *Panny z Bischofberg*, wymienionego w notatce z 16 XII 1910 r.

Nareszcie po pięciu miesiącach mojego życia, kiedy nie mogłem napisać nic takiego, co by mnie zadowoliło, po miesiącach, których mi nie wynagrodzi żadna moc, chociażby nawet wszystkie moce miały ten obowiązek, przychodzi mi na myśl, by znowu się wypowiedzieć. Jeszcze ciągle odpowiadałem na własne pytania — o ile istotnie zadałem je sobie — jeszcze ciągle trzeba było coś wymłócić z siebie, z tej sterty słomy, jaką jestem od pięciu miesięcy, i której, wydaje się, jest przeznaczeniem, aby ją w lecie podpalić i by spłonęła prędeż, niż widz zdąży mrugnąć okiem. Gdyby choć mogło się to na mnie dokonać! A dokonać się na mnie powinno dziesięciokrotnie, gdyż nie kajać się nawet za ów czas nieszczęsny. Stan mój, nie będąc nieszczęściem, nie jest też i szczęściem; to nie obojętność, nie słabość, nie znużenie, nic też takiego, co by mogło zaciekawiać, cóż to jest zatem? Moja niewiedza pozostaje zapewne w związku z moją nieumiejętnością pisania. Tę zaś rozumiem, jak sądzę, nie znając jej przyczyny. Wszystkie mianowicie sprawy, jakie tylko przychodzą mi na myśl, jawią się mym myślom nie od korzenia, lecz dopiero gdzieś około połowy źdźbła. Niech teraz ktoś spróbuje utrzymać je w ręce; niech spróbuje ktoś trzymać w ręku trawę i siebie samego na niej, gdy ona zaczyna rosnać dopiero od środka łodygi.

Zapewne, niektórzy ludzie potrafią to, na przykład żonglerzy japońscy, wspinający się po drabinie, opartej nie o ziemię, lecz o uniesione w górę pięty kogoś, na pół leżącego, i która nie przytyka do ściany, lecz sterczy tylko w powietrzu. Ja tego nie potrafię, nie mówiąc już o tym, że moja drabina nie ma do dyspozycji nawet wspomnianych pięć. To jeszcze nie wszystko, oczywiście, i takie zapytanie nie skłoni mnie jeszcze do mówienia. Trzeba jednak, aby co dzień przynajmniej jedna linijka była wycelowana we mnie, tak jak teleskop wycelowany jest w stronę komety. Gdybym kiedyś przed tym zdaniem zjawiał się sam, zwabiony owym zdaniem, podobnie jak na przykład w ostatnie Boże Narodzenie, kiedy zabrnąłem tak daleko, że ledwie z trudem zdołałem siebie sam rozumieć i wydawało się naprawdę, że stoję na najwyższym szczeblu swej drabiny, która stała jednak spokojnie na ziemi, przytknięta do ściany. Ale na jakiej ziemi i do jakiej ściany! I mimo wszystko ta drabina nie runęła, tak przyciskały ją moje stopy do ziemi, tak przechylały ją moje stopy ku ścianie.

Dziś na przykład trzy razy zachowałem się bezczelnie względem pewnego konduktora, względem kogoś, kogo mi przedstawiano, ach tak — tylko dwa razy, ale boli mnie to jak ból brzucha. Ze strony każdego człowieka byłaby to bezczelność, coż dopiero z mojej strony. Wyszedłem więc ze siebie, walczyłem w powietrzu, w mgłę, i co najgorsze: nie zauważył nikt, że również w odniesieniu do towarzyszących mi ludzi popełniałem bezczelność jako bezczelność, musiałem ją popełniać, musiałem okazywać właściwy wyraz twarzy i ponosić za to odpowiedzialność; jednak to, co najprzykrejsze, zdarzyło się wówczas, gdy ktoś z mych znajomych zrozumiał bezczelność nawet nie jako cechę charakteru, lecz jako sam charakter, i zwrócił mi uwagę na nią i podziwiał ją. Dlaczego nie tkwię w swojej skórze? Teraz mówię sobie co prawda: patrz, świat pozwala, abyś go bił, konduktor i ten ktoś przedstawiony zachowali spokój, gdy odchodziłeś, ten drugi uklonił się nawet. Ale to nie znaczy nic. Nie zdołasz niczego osiągnąć, jeśli się opuścisz, a na domiar złego, ile tracisz w swoim własnym kręgu. Na taką przemowę odpowiadam tylko: i ja pozwoliłbym raczej wychłostać się w owym kręgu, niż poza kręgiem chłostać sam, ale gdzież do diabła jest ten krąg? Przez pewien czas widziałem go, leżał na Ziemi, jakby pochłapany wapnem, lecz teraz buja tylko gdzieś koło mnie, a nawet wcale już nie buja.

Pamiętna z powodu komety noc 17 na 18 maja. Byłem razem z Bleiem jego żoną i jego dzieckiem, chwilami słyszałem z własnego wnętrza niby pisk małego kota, mimochodem, lecz ciągle.

Franz Blei (ur. 1871), pisarz, eseista i tłumacz.

Ileż dni minęło znów bezgłośnie; dziś mamy 28 maja. Nie mam nawet tyle energii, by wziąć co dzień w rękę to pióro drewniane, ten patyk. Wierzę już, że mi jej brak. Wiosłuję, jeżdżę konno, pływam, wyleguję się w słońcu. Stąd łydki są dobre, uda niezgorsze, brzuch ujdzie jeszcze. za to pierś jest już bardzo licha, i gdy mi w tyle głowy...

Niedziela, 19 lipca 1910, spałem, budziłem się, spałem, budziłem się, nędzne życie.

Gdy się nad tym zastanawiam, muszę wyznać, że moje wychowanie zaszkodziło mi bardzo pod niejednym względem. Bo przecież nie wychowano mnie gdzieś na ustroniu czy w jakiejś ruinie wśród gór — przeciwko temu nie mógłbym zdobyć się na choćby słowo zarzutu. Ryzykując, że cały szereg mych dawnych nauczycieli nie będzie w stanie tego pojąć, przyznaję, że chętnie, bardzo chętnie byłbym takim małym mieszkańcem ruin, opalonym od słońca, które pośród gruzów świeciłoby mi na mdły bluszcz, chociażbym nawet na początku osłabł pod naporem własnych moich zalet, które wybujałyby we mnie z uporczywością chwastu.

Gdy się nad tym zastanawiam, muszę wyznać, że moje wychowanie zaszkodziło mi bardzo pod

niejednym względem. Ten zarzut godzi w mnóstwo ludzi, mianowicie w moich rodziców, w paru krewnych, w niektórych odwiedzających nasz dom, w rozmaitych pisarzy, w pewną ściśle określoną kucharkę, która przez cały rok odprowadzała mnie do szkoły, w zgraję nauczycieli (którą muszę ścisnąć we wspomnieniu, inaczej ten i ów wymknie mi się; ale żem ją tak mocno stłamsił, całość tu i ówdzie rozsypuje się znów), w pewnego inspektora szkolnego, w powoli wlokących się przechodniów, krótko mówiąc, zarzut ten przekłuwają kręto jak sztylet całe społeczeństwo i nikt — powtarzam — niestety nikt nie jest zabezpieczony przed nagłym pojawieniem się kiedyś czubka sztyletu z przodu, z tyłu, z boku. Na ów zarzut nie chcę słyszeć żadnej repliki, gdyż słyszałem ich już zbyt wiele, a że w większości ich udowodniono również, że nie mam racji, włączam te repliki do mego zarzutu i oświadczam, że moje wychowanie i te wywody pod niejednym względem bardzo mi zaszkodziły.

Często zastanawiam się nad tym i wtedy zawsze muszę stwierdzić, że moje wychowanie bardzo mi zaszkodziło pod niejednym względem. Zarzut ten odnosi się do mnóstwa ludzi, stoją tu zresztą razem jak na dawnych malowidłach grupowych, nie wiedzą, co z sobą począć; opuścić wzrok nie przychodzi im na myśl, zaś uśmiechnąć się nie śmieją, tak gniecie ich oczekiwanie. Są tu więc moi rodzice, paru krewnych, paru nauczycieli, pewna, ściśle określona kucharka, kilka dziewcząt z lekcji tańca, paru odwiedzających nasz dom w dawniejszym okresie, paru pisarzy, jakiś nauczyciel pływania, jakiś bileter, jakiś inspektor szkolny; potem paru takich ludzi, których raz tylko spotkałem na ulicy, i innych, których właśnie teraz nie mogę sobie przypomnieć, i takich, których nie przypomnę sobie już nigdy, i takich wreszcie, których wpływu wychowawczego w ogóle nie zauważyłem, mając wówczas myśl zajętą czymś innym; krótko mówiąc, jest ich tak wielu, że trzeba uważać, aby tej samej osoby nie wymienić dwukrotnie. I w obliczu ich wszystkich wypowiadam swój zarzut i zaznajamiam ich w ten sposób z sobą, lecz nie znoszę żadnej repliki. Bo istotnie nasłuchiwałem się dość, a że w większości ich udowodniono mi, że się mylę, nie mogę postąpić inaczej, jak włączyć również i te repliki do mego zarzutu i oświadczyć, że poza moim wychowaniem również i te repliki bardzo mi zaszkodziły w niejednej sprawie.

Może ktoś sądzi, że wychowano mnie gdzieś na odludziu? Nie, w środku miasta wychowano mnie. Nie w jakiejś ruinie wśród gór na przykład albo nad morzem. Aż do tej pory moi rodzice oraz ich otoczenie byli przytłoczeni i zgnębieni tym zarzutem, teraz lekko uchylają go i uśmiechają się, bo dłonie moje odjąłem od nich i przeniosłem na własną skroń i myślę: powinienem być być takim małym mieszkańcem ruin, wsłuchującym się w krakanie kawek, muskanym przez ich lotne cienie, ziębnącym w świetle księżyca, chociażbym nawet z początku osłabi nieco pod naporem swoich własnych zalet, które musiałyby wyrósć we mnie uporczywie jak chwasty; opalonym od słońca, które poprzez zwaliska świeciłoby zewsząd na moje łożę z bluszczu;

Opowiadają ludzie, i skłonni jesteśmy temu wierzyć, że mężczyźni w niebezpieczeństwie mają za nic nawet piękne, obce kobiety; popychają je na ściany, popychają je głową i rękami, kolanami i łokciami, gdy tylko te kobiety przeszkadzają im w ucieczce z płonącego teatru. Wtedy milkną nasze gadatliwe żony, w ich paplaninie bez końca pojawia się orzeczenie i kropka, brwi unoszą się w górę z pozycji, w której zwykle spoczywają, ruch łędźwi i bioder przy oddechu ustaje; w usta, ze strachu tylko lekko zamknięte, wpada więcej niż zwykle powietrza i policzki zdają się trochę wydęte.

— Ej, ty — powiedziałem i szturchnąłem go lekko kolanem (przy nagłym mówieniu jako zły znak wyciekło mi z ust nieco śliny) — nie zasypiaj!

— Nie śpię — odrzekł i potrząsnął głową otwierając oczy. — Jeślibym zasnął, jakże mógłbym wtedy cię pilnować? A czyż tego nie muszę? Czy nie po to przywarłeś do mnie wtedy przed kościołem? Tak, odtąd dużo już czasu upłynęło, wiem — zostaw no zegarek w kieszeni.

— Lecz jest już bardzo późno — powiedziałem. Musiałem trochę się uśmiechnąć i, aby to ukryć, zacząłem patrzeć uważnie w głąb domu. — Naprawdę tak ci się to podoba? Chętnie poszedłbyś więc na górę, bardzo chętnie? No, powiedz wreszcie, nie ugryzę cię przecież. Zważ, jeżeli sądzisz, że tam na górze powiesz ci się lepiej niż tu na dole, to wyjdź po prostu na górę natychmiast bez względu na mnie. Zdaniem moim, a więc zdaniem pierwszego lepszego przechodnia, szybko zejdziesz Z powrotem, i wtedy będzie bardzo dobrze, gdy jakimś trafem znajdzie się tutaj ktoś, na czyją twarz wcale nie spojrzysz, kto cię jednak weźmie pod ramię, pokrzepi winem w pobliskim lokalu i potem zaprowadzi do swego pokoju, który, jakkolwiek nędzny, ma przecież parę szyb pomiędzy sobą a nocą — na te widoki możesz na razie gwizdać. Prawda — mogę powtórzyć to, przed kim zechcesz — że tu na dole powodzi się nam źle, ach, powodzi się nam nawet piesko nędznie, ale mnie już nic nie pomoże, czy leżę tu w rynsztoku i piję deszczówkę, czy tam pod żyrandolem wlewam szampana w te same wargi; nie, to nie sprawia mi żadnej różnicy. Zresztą nawet nie mam wyboru pomiędzy tymi

ewentualnościami, bo nigdy moja sytuacja nie zwraca na siebie uwagi bliźnich; jakże mogłoby zdarzyć się coś takiego pod sterą potrzebnych mi, uroczystych ceremonii, pod którymi mogę przecież tylko pełzać dalej nie piękniej niż robak. Ty za to — kto wie, co w tobie tkwi — ty masz odwagę, a przynajmniej zdaje ci się, że ją masz, spróbuj jednak zdobyć się na to, bo i na cóż się wazysz — często człowiek, jeśli patrzy uważnie, poznaje siebie już po twarzy lokaja u drzwi

— Gdybym tylko wiedział na pewno, że odnosisz się do mnie szczerze. Byłbym już dawno na górze. Tylko jak mógłbym przekonać się, czy odnosisz się do mnie szczerze? Przyglądasz mi się teraz tak, jak gdybym był małym dzieckiem; nic mi to nie pomoże, a tylko pogarsza sytuację. Może jednak chcesz pogorszyć sytuację. Nie mogę przy tym znosić dłużej powietrza na ulicy, a więc zaliczam się już do towarzystwa, które jest na górze. Gdy obserwuję bacznie, drapie mnie w gardle, ot masz zresztą, kaszlę. A czy wyobrażasz sobie choć trochę, jak mi się tam na górze powiedzie? Stopa, którą najpierw postawię w sali, przeobrazi się prędzej, nim drugą stopę dociągnę.

— Masz rację, nie odnoszę się do ciebie szczerze.

— Chcę odejść stąd, chcę wejść schodami na górę, nawet fikając kozły. Od społeczeństwa oczekuję wszystkiego, czego mi brak, przede wszystkim zorganizowania swoich sił, którym nie wystarcza takie natężenie, do jakiego ostatecznie zdolny jest ten młodzieniec na ulicy. Bo przecież bywa on zadowolony już wtedy, gdy swoją, zresztą nędzną cielesnością, zaspokaja swe potrzeby; gdy zapewnia sobie ileś tam posiłków, gdy unika wpływu innych ludzi, krótko mówiąc, gdy tyle dla siebie zachowuje, ile tylko zachować można w tym niszczącym świecie. To zaś, co traci, stara się odzyskać przemocą, choćby nawet zniekształcone, słabsze; więcej — chociażby było tylko pozornie jego dawniejszą własnością (a bywa nią najczęściej). Jego jestestwo jest więc jestestwem samobójczym, ma zęby tylko dla własnego ciała i ciało tylko dla własnych zębów. Albowiem nie mając punktu centralnego, nie mając jakiegoś zawodu, jakiejś miłości, jakiejś rodziny, jakiejś renty, to znaczy nie zachowując, rzecz prosta w ogólnym zarysie, tylko tak na próbę, postawy obronnej względem świata — a więc poniekąd nie łudząc świata sporą ilością posiadanych dóbr — nikt nie potrafi ustrzec się przed niszczącymi błyskawicznie stratami. Taki młodzieniec w swej cienkiej odzieży, z całą swą umiejętnością modlitwy, ze swymi wytrzymałymi tydkami, ze swą zagrożoną wynajmowaną izbą, z całą resztą swej pościartowanej, a teraz oto znów po długim czasie obudzonej istoty trzyma to wszystko oburącz i chwytając na oślep jakiś nędzny gracik, musi zawsze zgubić dwa z tych sprzętów. Oczywiście jest w tym prawda i to prawda taka, jakiej gdzie indziej nie należałoby wykazać w tak czystym kształcie. Bo któż występuje naprawdę jak doskonały obywatel, a więc wędruje po morzu okrętem, mając przed sobą pianę, a ślad okrętu za sobą, a więc ze szczególnie znacznym ze wszech stron efektem, całkiem inaczej jak człowiek wśród fal na swych paru deszczułkach, które w dodatku same potracają się i spychają w dół — ten pan i obywatel nie znajduje się bynajmniej w mniejszym niebezpieczeństwie. Bo on i jego mienie to nie jedność, lecz dwoistość, a kto zburzy spójnię, zburzy i jego. My i nasi znajomi niezbyt wchodzimy w grę pod tym względem, jesteśmy bowiem całkowicie osłonięci; mnie na przykład teraz zasłania mój zawód, dalej moje urojone lub rzeczywiste cierpienie, upodobania literackie, itd. Ale właśnie ja wyczuwam dno swej jaźni o wiele za często i o wiele za silnie na to, bym mógł choć połowicznie być zadowolony. I wystarcza, abym choć przez kwadrans bez przerwy odczuwał to dno, by jadowity świat zaczął mi wsączać się w usta jak woda w tonącego.

Między mną a owym młodzieńcem nie zachodzi w tej chwili prawie żadna różnica, chyba to tylko, że mogę jeszcze myśleć o swej młodości na wsi, a mogę też, jeślibym chciał lub może nawet wtedy, gdy będzie wymagała tego tylko moja sytuacja, mógłbym się tam przerzucić. Młodzieniec natomiast nie ma nic przed sobą i dlatego też nic poza Babą. W chwili nie ma żadnej różnicy, ale też młodzik ma tylko chwilę. W owym czasie, którego dziś nikt nie może już znać, gdyż nic nie może ulec takiemu zniszczeniu jak ów czas — w owym więc czasie zaniedbał tego, badając ustawicznie swe dno, tak jak zauważa się na swym ciele wrzód, który dotychczas był najmniej ważną częścią naszego ciała — a nawet nie najmniej ważną, bo wydawało się, że wcale jeszcze nie istniejącą — a która teraz jest czymś więcej niż wszystko, co od narodzin swych posiadaliśmy na ciele. Podczas gdy dotąd całą swą osobowością zwracaliśmy się ku pracy naszych rąk, ku temu, co widzą nasze oczy, i co słyszą nasze uszy, ku krokom naszych stóp — teraz zwracamy się nagle w kierunku wprost przeciwnym, niby chorągiewka w górach.

Otóż zamiast uciec wtedy, choćby nawet w tym ostatnim kierunku — bo tylko ucieczka mogła utrzymać go na czubkach palców i tylko czubki palców mogły go utrzymać w świecie — zamiast tego położył się, tak jak w zimie dzieci kładą się tu i ówdzie na śniegu, by zziębnąć. Zarówno on, jak i te dzieci wiedzą przecież, że nie powinni kłaść się na śniegu ani w jakikolwiek inny sposób pofolgować sobie; wiedzą, że w żadnym wypadku nie powinni tego uczynić, ale nie mogą wiedzieć, że po zmianie, jaka teraz zachodzi w nich wśród pól lub w mieście, zapomną wszystkie dawniejsze winy, wszelki przymus i zaczną poruszać się w nowym żywiole, tak jak gdyby to był pierwotny żywioł. Lecz

zapomnienie nie jest trafnym słowem. Pamięć tego człowieka ucierpiała równie mało jak jego wyobraźnia. Ale gór nie mogą chyba przenosić; oto stoi człowiek ostatecznie poza kręgiem naszego narodu, poza kręgiem naszej ludzkości, jest ustawicznie głodny, należy doń tylko chwila, owa wciąż trwająca chwila udręki, po której nie rozbłyśka nigdy iskra chwilowego wytchnienia, zawsze posiada tylko jedno: swój ból; jednakże na całym świecie nie ma dlań innego lekarstwa; posiada tylko tyle ziemi, ile jej trzeba dla obydwoich jego stóp, tylko tyle mienia, ile go zagarną obie jego dłonie, a więc o wiele mniej niż sztukmistrz na trapezie w Variete, któremu na dole zawieszono jeszcze siatkę.

Nas innych, nas trzyma przecież w ryzach nasza przeszłość i przyszłość. Prawie cały swój wolny czas i wiele swojej zawodowej pracy spędzamy na tym, by równoważyć ich przelotne zjawianie się i znikanie. To, czym przyszłość góruje pod względem zakresu, przeszłość równoważy ciężarem, na ich krańcach nie sposób już ich odróżnić” najwcześniejsza młodość staje się później tak jasna jak przyszłość, zaś kraniec przyszłości wchodząc w krąg doświadczenia, staje się przeszłością. Tak więc zamyka się to koło, po którego obwodzie poruszamy się. Otóż to koło należy przecież do nas, należy jednak do nas tylko dotąd, dopóki je trzymamy, a skoro raz wymkniemy się zeń, w chwili jakiegoś zapomnienia o sobie, jakiegoś roztargnienia, jakiegoś przerażenia, jakiegoś zdziwienia, jakiegoś znużenia, tracimy je wchłonięte w głąb przestrzeni; dotąd wtykaliśmy nosy w strumień epok, teraz wycofujemy się w tył — eks pływacy — od dziś tylko spacerujący — i jesteśmy zgubieni. Jesteśmy poza prawem, nikt o tym nie wie, a przecież każdy postępuje z nami w ten sposób.

— Nie wolno ci teraz myśleć o mnie. Jakim prawem chcesz porównywać się ze inną? Przecież już od przeszło dwudziestu lat jestem tu w mieście. Czy potrafisz choćby wyobrazić sobie trafnie, co to znaczy? Dwadzieścia razy przebyłem tu każdą porę roku. — W tej chwili potrząsnął pięścią nad naszymi głowami. — Te oto drzewa tutaj rosły przez lat dwadzieścia; jakże małym powinno się być, stojąc w ich cieniu. A te liczne noce, wiesz, we wszystkich tych mieszkaniach. Raz leży się przy tym, raz przy tamtym murze, tak że okno wędruje dokoła człowieka. A te poranki, wyziera się z okna, odsuwa krzesło od łóżka i zasiada do kawy. A te wieczory, opiera się rękę i zatyka dłonią ucho, Ach, gdyby to tylko nic było już wszystko! Gdyby nabyło się choć parę nowych przyzwyczajęń, jakie można zauważyć codziennie na ulicach. — Może wydaje ci się teraz, że chcę się na to skarżyć? Ależ nie, po cóż się skarżyć, wszak ani tego, ani tamtego nie wolno mi zrobić. Wolno mi jedynie odbywać przechadzki i to mi musi wystarczyć, natomiast nie ma chyba w całym świecie takiego miejsca, gdzie nie mógłbym się przechadzać. Teraz znowu wygląda to na przechwałki.

— A zatem rola moja jest łatwa. Nie powinienem był przystanąć tutaj, przed tym domem.

— Więc pod tym względem nie porównuj się ze mną i nie daj mi się zastraszyć. Jesteś przecież dorosłym człowiekiem, poza tym jesteś, jak się zdaje, dość osamotniony tu w mieście.

— Właściwie jestem bliski tego. Już wydawało się, że moja opiekuńcza istota rozwiewa się tutaj w tym mieście, byłem piękny podczas tych pierwszych dni, gdyż to rozwiewanie się dokonywa się jak apoteoza; ulatuje od nas wszystko, co nas trzyma przy życiu, lecz jeszcze ulatując, opromienia po raz ostatni swą ludzką poświatą. Tak więc stoję przed moim młodzieńcem, a on z tego powodu najprawdopodobniej kocha mnie, nie uświadamiając sobie jasno, dlaczego. Niekiedy jego słowa zdają się wskazywać na to, że orientuje się, że wie kogo ma przed sobą i wobec tego może pozwolić sobie na wszystko. Nie, tak jednak nie jest. W ten sposób występowałby raczej przeciw każdemu człowiekowi, ponieważ może żyć tylko jako pustelnik lub jako pasożyt. Pustelnikiem jest tylko z przymusu, a gdy przymus zwycięży kiedyś jakieś nie znane mu siły, już staje się pasożytem, napraszającym się tak bezczelnie, jak tylko potrafi. Zresztą już nic na świecie nie potrafi go uratować, toteż jego zachowanie się może przypominać zwłoki topielca, które, gdy nurt wypchnie je na powierzchnię, potracają zmęczonego pływaka, zwalają nań ręce, i chcą się ucześcić. Trup nie ożyje, co więcej nie pogrzebią go nawet, ale człowieka może wciągnąć w toń.

6 listopada. Conference de Madame CH. o Mussecie. U kobiet żydowski nawyk cmokania. Rozumienie francuszczyzny poprzez wszystkie wstępne chywy i płataninę anegdoty, aż wreszcie tuż przed pointą, która na gruzach całej anegdoty miała żyć nadał w sercu, gaśnie nam francuszczyzna przed oczyma; być może zanadto wysililiśmy się aż dotąd; ludzie rozumiejący po francusku zmykają przed końcem, bo nasłuchali się już dość; innym daleko jeszcze do tego, by nasłuchać się do syta, dzięki akustyce sali lepiej słychać kaszlanie w lożach niż wygłaszane słowo; kolacja u słynnej Rachel; czyta z Mussetem Fedrę Racinea, książka leży między nimi na stole, na którym zresztą leżą najróżnorodniejsze przedmioty.

Konsul Claudel <sup>Paul Claudel był wówczas konsulem w Pradze</sup>, blask w oczach, który szeroka twarz chwyta i odbija, ustawicznie chce się żegnać, udaje mu się to nawet w poszczególnych przypadkach, na ogół jednak nie, bo ledwie się z kimś pożegna, staje przy nim ktoś nowy, do kogo dołącza się znów ten, z kim się już pożegnał. Nad estradą jest galeria dla orkiestry. Przeszkadza różnorodny zgiełk. Kelnerzy z przedsionka, goście w swoich pokojach, jakiś fortepian, jakaś daleka orkiestra smyczkowa, wreszcie

jakieś walenie młotem, jakaś kłótnia, której umiejscowienie następuje wiele trudności i dlatego podnieca. W jednej z łóż jakas dama w diamentowych kolczykach, których blask zmienia się prawie stale. Przy kasie na czarno ubrana młodzież francuskiego *cercle*. Ktoś spośród nich wita się z głębokim ukłonem, wskutek czego wzrok jego ślizga się po podłodze. Uśmiecha się przy tym ostentacyjnie. Czyni to jednak tylko przed dziewczętami, mężczyznom patrzy śmiało w twarz, ściągnawszy usta powagą, określając tym grymasem poprzednie powitanie jako śmieszny może, ale w każdym bądź razie nieuniknioną ceremonię.

7 listopada. Wykład Wieglera o Hebbłu. Paul Wiegler (1878—1949), literat i tłumacz dzieł literatury francuskiej. Jego tłumaczenie *Moralites legendaires* J. Lafaurgea wywarło silne wrażenie na Kafce.

Siedzi na scenie wśród dekoracji przedstawiających nowoczesny pokój, tak jakby jego kochanka miała wskoczyć przez któreś drzwi, aby zacząć nareszcie widowisko. To nie Wiegler wyklada. Głód Hebbła. Jego zawikłany stosunek do Elizy Lensing. Ma w szkole jako nauczycielkę starą pannę, która pali papierosy, zażywa tabakę, wali w skórę, a grzecznym rozdaje rodzyнки. Jeździ po całym świecie (Heidelberg, Monachium, Paryż), właściwie bez wyraźnego planu. Jest zrazu służącym u Przewodniczącego parafii, sypia pod schodami, w jednym łóżku z woźnicą.

Rysunek Juliusza Schnorra von Carolsfeld Julius Schnorr von Carolsfeld (1795—1872) — malarz niemiecki, romantyk, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Monachium, reprezentował malarstwo monumentalne i historyczne.

przedstawiający Fryderyka Oliviera — rysuje go na zboczu wzgórza — jakież on tam jest piękny i poważny (cylinder niby spłaszczona czapka kłowna ze sztywną, opadającą na twarz wąską krezą, faliste długie włosy, oczy skupione wyłącznie na rysunku, spokojne ręce, karton na kolanach, jedna stopa zsunęła się nieco po pochyłości). Jednak nie, to jest Fryderyk Olivier narysowany przez Schnorra.

15 listopada, godzina dziesiąta. Nie dopuszczę do siebie zmęczenia. Wskoczę w swoją nowelę, choćby mi to miało pokaleczyć twarz.

16 listopada, godzina dwunasta. Czytam *Ifigenię* w Taurydzie. Istotnie trzeba tu, pomijając kilka jawnie wadliwych ustępów, wprost podziwiać suchą niemczyznę w ustach czystego chłopca. W chwili czytania wiersz dźwiga przed czytelnikiem każde słowo na wyżynę, na której zjawia się on w świetle może skąpym, ale przenikliwym.

27 listopada. Bernard Kellermann miał odczyt. „Kilka moich nie drukowanych utworów” — tak zaczął. Na pozór miły człowiek, prawie siwe, sterczące włosy, ogolony dokładnie, nos spiczasty, nad kośćmi policzkowymi poruszają się ścięgnię twarży, często, jak fala, w górę i w dół. Jest to pisarz przeciętny o dobrych momentach (ktoś wychodzi na korytarz, kaszle i rozgląda się wokół, czy kogo tam nie ma), człowiek również rzetelny, który gotów jest przeczytać, co przyobiegał, ale publiczność nie pozwoliła mu na to ze strachu wywołanego pierwszym opowiadaniem o sanatorium dla nerwowo chorych; znudzeni sposobem czytania, mimo napięć, zresztą źle skonstruowanych, wychodzili ludzie stopniowo po jednemu i to tak gorliwie, jak gdyby odczyt odbywał się w sąsiednim pomieszczeniu. Gdy po jednej trzeciej tej historii wypił parę łyków wody mineralnej, wyszedł cały tłum. Przestraszył się. „Zaraz się skończy” — skłamał po prostu. Gdy skończył, powstali wszyscy, było trochę oklasków, które trzaskały tak, jakby pośrodku wszystkich stojących ludzi ktoś siedział dalej i klaskał sobie sam. Wobec tego Kellermann chciał czytać jeszcze jakieś inne opowieści. Na widok wychodzących otworzył tylko usta. Wreszcie, wysłuchawszy czyjeś rady, powiedział: „Przeczytałbym jeszcze chętnie krótką bajkę, która zajmuje tylko piętnaście minut. A teraz pięć minut przerwy”. — Pozostało jeszcze kilka osób, po czym odczytał bajkę, której fragmenty mogły usprawiedliwić każdego człowieka uciekającego z najdalszego miejsca biegiem przez środek sali, na przelaj przez wszystkich słuchaczy.

15 grudnia. Wnioskom wysnutym z mojego obecnego stanu, który trwa już od roku, po prostu nie wierzę, zbyt poważny na to jest mój stan. Nie wiem nawet, czy wolno mi powiedzieć, że nie jest to wcale stan nowy. Zresztą właściwie moje przeświadczenie mówi mi: stan ów jest nowy, podobne już miewałem, takiego jednak nie miałem jeszcze nigdy. Jestem przecież jak z kamienia, niczym własny nagrobek, nie ma tam szczeliny na zwątpienie lub wiarę, na miłość albo odrazę, na odwagę lub trwogę w poszczególnych wypadkach czy w ogóle, żyje tylko mdła nadzieja, niewiele lepsza od napisów na nagrobkach. Każde słowo, które napiszę, nie wiąże się z drugim; słyszę, jak spółgłoski z blaszanym pobrzękiem ocierają się o siebie szeregiem, a samogłoski przyśpiewują niby Murzyni wystawieni na pokaz. Moje wątpliwości stoją wokół każdego słowa, dostrzegam je wcześniej niż słowo, ale cóż z tego! słowa nie widzę zupełnie, wymyślam je. To jeszcze nie największe

nieszczęście, musiałbym tylko zdobyć się w tej sytuacji na wymyślanie słów, zdolnych rozwiać trupi zaduch, tak aby ani mnie, ani czytelnikowi nie uderzył prosto w twarz. Kiedy zasiadam przy biurku, czuję się mniej więcej tak, jak ktoś, kto na środku Place de l'Opera upada i gruchocze sobie nogi. Wszystkie pojazdy mimo hałasu, jaki sprawiają, mkną milczące ze wszystkich stron we wszystkie strony; ale lepszy porządek aniżeli policjanci zaprowadza ból człowieka, zamykający mu oczy i pustoszący plac oraz ulice, chociaż pojazdy nie muszą zawracać z drogi. Boli go bujność życia, bo przecież stał się przeszkodą dla ruchu, ale pustka jest niemniej złowroga, wyzwała bowiem z siebie swój własny ból.

16 grudnia. Dziennika nie porzucę już nigdy, muszę się zahaczyć, gdyż mogę to zrobić tylko tutaj. Jakże chciałbym wyjaśnić uczucie szczęścia, które miewam w sobie od czasu do czasu, tak właśnie jak w tej chwili. Jest to naprawdę coś pleniącego się, co przepelnia mnie lekkimi, miłymi drzeniami i wmawia mi zdolności, o których nieistnieniu przekonać się mogę w każdym momencie, choćby teraz.

Hebbel chwali Cienie z podróży Justyna Kenera. Reiseschatten; Kerner Justinus (1786—1862) — lekarz i poeta, przedstawiciel niemieckiego romantyzmu. „I tak świetne dzieło tylko istnieje, nikt go nie zna.”

Droga opuszczenia Die Strasse der verlassenheit W. Freda. Zenon z Elei (490—430), filozof grecki Jak pisze się takie książki? Ktoś, kto małą rzecz pisze dobrze, rozciąga swój talent na wielki krąg powieści tak nędznie, że człowiekowi robi się niedobrze, nawet gdy nie przestaje się podziwiać energii przejawiającej się w złym użytkowaniu talentu. Ach, to tropienie postaci podrzędnych, o których czytamy w powieściach, sztukach teatralnych itd. To poczucie przynależności, jakiego wówczas doznaję! W sztuce Panny z Bischofsberg (czy tak brzmi tytuł?) jest mowa o dwu szwaczkach, które w tym utworze scenicznym szyją bieliznę dla panny młodej. Jak wiedzie się tym dwu dziewczętom? Gdzie mieszkają? Cóż takiego zrobiły, że nie mogą wraz z innymi postaciami znaleźć się w sztuce, a wolno im na zewnątrz poza Arką Noego — tonącym dosłownie W strugach deszczu — przycisnąć po raz ostatni tylko twarz do okna kajuty, aby widz na parterze ujrzał tam przez chwilę coś ciemnego?

17 grudnia. Na czyjeś natrętne pytanie, czyżby nic nie spoczywało, Zenon odpowiedział: owszem, spoczywa strzała W locie.

Gdyby natura Francuzów była podobna do natury Niemców, dopiero wtedy Niemcy podziwialiby ich.

To, żem odrzucił i skreślił tyle, prawie wszystko, co w ciągu roku napisałem — bądź co bądź przeszkadza mi również bardzo w pisaniu. Bo przecież to istna góra, pięciokrotnie większa od tego, co kiedykolwiek napisałem i już samą swoją masą wyrывa mi spod pióra, ku sobie, wszystko, co piszę.

18 grudnia. Gdyby było pewne, że przez jakiś czas przechowuję nie otwarte listy (i to nawet listy o treści przypuszczalnie tak błahej, jak ten oto list), tylko przez słabość i tchórzostwo zwlekając z otwarciem listu, tak jak z otwarciem pokoju, gdzie może już ktoś czeka na mnie niecierpliwie — wówczas można by to odkładanie jeszcze lepiej tłumaczyć dokładnością. Założywszy, że jestem dokładnym człowiekiem, muszę spróbować o ile możliwości rozwlec wszystko, co dotyczy listu, więc pomału go otwierać, pomału i wiele razy odczytywać, długo zastanawiać się, za pomocą wielu brulionów przygotowywać czystopis odpowiedzi, a w końcu zwlekać jeszcze z wysyłką. Wszystko to potrafię zrobić, jedynie takiego nagłego otrzymania listu nie sposób uniknąć. Opóźniam sztucznie nawet i to, długo nie otwieram listu, leży przede mną na stole, ustawicznie mi się narzuca, ustawicznie go otrzymuję, nie odbieram jednak.

Wieczorem, pół do dwunastej. Fakt, że póki nie wyzwolę się od swego biurka, jestem wprost zgubiony, jest dla mnie bardziej jasny niż wszystko inne, chodzi tylko o to, by jak najdłużej trzymać głowę tak wysoko, abym nie utonął. Jak trudne to będzie, ile cennych sił będzie musiało ze mnie wyciągnąć, okazuje się już choćby stąd, że dzisiaj nie dotrzymałem swego nowego podziału zajęć, siedzenia przy biurku od godziny ósmej do dwunastej wieczór; że wcale nie uważam Jego nawet teraz za tak groźne nieszczęście; że wreszcie nagryzmoliłem tylko spieszenie tych parę linijek, by pójść do łóżka.

19 grudnia. Zacząłem pracować w biurze. Po południu u Maksa. Trochę czytałem Dzienniki Goethego. Oddalenie pozwala określić już jego życie jako spokojne, lecz owe Dzienniki podpalają je.

Przejrzystość wszystkich wydarzeń czyni je tajemniczymi, podobnie jak ogrodzenie w parku uspokaja oko wpatrzone w rozległe trawniki, a przecież napawa nas niewspółmiernym szacunkiem.

Właśnie po raz pierwszy przybywa do nas moja zameżna siostra w odwiedzinach. Kafka miał trzy siostry. Wszystkie, także jego ukochana siostra Ottilia, zginęły w hitlerowskich obozach, podobnie jak dwóch szwagrów, siostrzeniec i siostrzenica.

20 grudnia. Czym usprawiedliwię wczorajszą uwagę o Goethem (prawie tak samo nieprawdziwą, jak opisane w niej uczucie, prawdziwe bowiem wypłoszyła moja siostra)? Niczym. Czym usprawiedliwię to, że dziś jeszcze nic nie napisałem? Niczym. Zwłaszcza że moje samopoczucie nie jest najgorsze. Ustawicznie dźwięczy mi w uszach wołanie: „Gdybyś przybył tu, niewidzialny sądzie!”

Ażeby dały mi wreszcie spokój chybione fragmenty, które za żadną cenę nie dają się wyrwać z opowiadania, przytaczam dwa spośród nich:

„Jego oddech był głośny jak westchnienie wywołane snem, w którym nieszczęście można znieść łatwiej niż W naszym świecie, tak że zwykłe oddechy są już dostatecznym wzdychaniem.”

„Ogarniam go teraz wzrokiem tak swobodnie, jak ogarnia się wzrokiem łatwą grę, która ćwiczy cierpliwość, o której mówi się: cóż to szkodzi, że nie potrafię osadzić kuleczek w odpowiednich wgłębieniach, przecież do mnie należy wszystko: szkiełko, oprawa, kuleczki i wszystko inne; mogę całą tę rzecz włożyć po prostu do kieszeni.”

21 grudnia. Osobliwości z Pieśni aleksandryjskich Michała Kuźmina: Kuźmin Michał (ur. 1876), pisarz rosyjski, autor licznych powieści i opowiadań odznaczających się doskonałą formą artystyczną.

„Dziecko, którego górna połowa jest martwa, dolna żywa, dziecinny trupek z fikającymi czerwonymi nóżkami.”

„Nieczystych królów Goga i Magoga, którzy żywili się robakami i muchami, zagnał w szczeliny skał i zapieczętował ich aż po koniec świata pieczęcią Salomona.”

„Kamienne rzeki, w których zamiast wody toczyły się z grzechotem kamienie, obok piaszczystych strumieni, płynących przez trzy dni na południe i trzy dni ku północy.”

„Amazonki, kobiety o wyschniętych prawych piersiach, krótkich włosach, w męskim obuwiu.”

„Krokodyle, spalające drzewa swoim moczem.”

U Bauma Oskar Baum, niewidomy poeta praski, bardzo bliski przyjaciel Kafki. Zmarł w Pradze w 1940 r.

słyszałem tak piękne rzeczy. Sam słabowity jak przedtem, tak i zawsze. Mieć uczucie, że się jest śpętanym, a równocześnie inne uczucie, że po uwolnieniu z pęt byłoby jeszcze gorzej.

22 grudnia. Dziś nie odważam się nawet czynić sobie wyrzutów. Gdyby tak krzyknąć w ten pusty dzień, krzyk miałby wstrętne echo.

24 grudnia. Przyjrzałem się teraz dokładniej swemu biurku i zrozumiałem, że nic dobrego zrobić na nim nie można. Tyle gratów leży tu beładnie, tworząc nieład nie uporządkowanych przedmiotów, bez rytmu i bez jakiej bądź harmonii, która czyni zresztą wszelki nieład znośnym. Niech tam sobie na zielonym suknie będzie nieporządek, jaki chce. Bywało to dopuszczalne również na parterze dawnych teatrów. Ale żeby z miejsc stojących... (ciąg dalszy jutro)

25 grudnia. ...z otwartej przegrody pod nasadą stołu sterczały na kształt schodów nie oprawione tomy starych gazet, katalogi, widokówki, listy, wszystkie częściowo podarte, częściowo otwarte w formie schodów; ten niegodziwy stan psuje wszystko. Poszczególne, stosunkowo duże graty na parterze występują najwyraźniej, jakby wolno było w teatrze, aby na widowni kupiec porządkował swoje handlowe księgi, cieśla walił młotem, oficer machał szablą, duchowny przemawiał do serc, uczonec do rozumu, polityk do obywatelskiego sumienia, aby zakochani nie krępowali się itd. Tylko na moim biurku stoi na baczność lustro do golenia tak, jak się je używa przy goleniu; szczotka do ubrań leży na stole, odwrócona swoją szpeceniastą powierzchnią, portmonetka drzemie otwarta, na wypadek gdybym chciał płacić, z pęku kluczy wystaje jeden gotowy do dzieła, a krawat owija się jeszcze strzępem wokół zrzuconego kołnierzyka. Sąsiadująca od, góry, zwężona nieco przez małe zamknięte boczne szufladki, otwarta przegroda nasady stołu to nic innego jak rupieciarnia; to niby niski balkon widowni, właściwie najbardziej rzucająca się w oczy część teatru, zarezerwowana dla najpospolitszej hołoty, dla starych światowców, u których brud powoli wypelza z wnętrza na zewnątrz, dla ordynarnych dryblasów, którzy zwieszają nogi przez poręcz balkonu. Rodziny z takim mnóstwem dzieci, że ogarnia się je tylko przelotnym spojrzeniem, nie mogąc ich się doliczyć, zostawiają tu brud ubogich i zb dziecinnych (przecież już chlupie na parterze); w mrocznej czeluści siedzą nieuleczalnie chorzy, widać ich na szczęście tylko wtedy, gdy się w głąb błysnie światłem itd. W tej przegrodzie leżą stare papiery, które dawno już bym wyrzucił, gdybym miał koszyk na papiery, ołówki z połamanymi



szpicami, puste pudełko od zapalek, przycisk na listy z Karlovych Varów, liniał o krawędzi, której wyboistość większa jest niż na wiejskiej drodze, sporo spinek do kołnierzyków, tępe nożyki do brzytwy (dla tych rzeczy nie ma miejsca na świecie), przytrzymywacze do krawatów i jeszcze jeden ciężki, żelazny przycisk na listy. W wyższej przegrodzie —Nędza, nędza, a przecież zamiar był dobry. Jest wszakże

północ, ale — ponieważ wyspałem się bardzo dobrze — jest to tylko częściowym usprawiedliwieniem, skoro za dnia w ogóle nic nie napisałem. Zaświecona żarówka, zaciszne mieszkanie, ciemność za oknem, ostatnie chwile czuwania —oto, co mnie uprawnia do pisania najnędzniejszych choćby miernot. Korzystam śpiesznie z tego prawa. Taki więc jestem.

26 grudnia. Przez dwa i pół dnia byłem, niezupełnie zresztą, sam, i już — jeśli nawet nie przeobraził się —jestem na drodze do tego. Samotność ma nade mną moc nigdy niezawodną. Moje wnętrze rozluźnia się (na razie na powierzchni tylko) i jest gotowe ujawnić jeszcze większą głębię. Trochę ładu zaczyna dokonywać się we mnie i niczego nie potrzebuję bardziej, gdyż nieład przy nikłych zdolnościach to zło najgorsze.

27 grudnia. Moje siły nie wystarczają już, by napisać jakiegokolwiek zdanie. Ach, gdyby chodziło tylko o słowa, gdyby dość było dopisać jedno słowo i odwrócić się spokojnie i z przeświadczeniem, że się to słowo całkowicie wypełniło sobą.

Częściowo przespałem popołudnie, czuwając rozważałem niektóre przeżycia miłosne w mojej młodości, utknąłem zły na pewnej zmarnowanej sposobności (leżałem wówczas trochę przeziębiony w łóżku, a moja guwernantka czytała mi głośno Sonatę Kreutzerowską, przy czym umiała rozkoszować się moim podnieceniem), zastawiłem sobie jarską kolację, doznałem przyjemności trawienia oraz obawy, czy światło mych oczu wystarczy mi na całe życie.

28 grudnia. Gdy przez kilka godzin zachowuję się po ludzku, tak jak właśnie dziś w towarzystwie Maksa i potem u Bauma, uczuwam dumę już przed pójściem spać.

## 1911

3 stycznia. Ej, ty — powiedziałem i potem szturchnąłem go lekko kolanem.

— Chcę pożegnać się z tobą. Przy nagłym mówieniu, zły znak, wyciekło mi z ust nieco śliny.

— Aleś długo się nad tym zastanawiał — odpowiedział, odstąpił od ściany i położył się.

— Nie, nie zastanawiałem się nad tym wcale.

— A więc nad czym przemyślałeś?

— Po raz ostatni trochę przygotowywałem się do tego, by stanąć przed społeczeństwem. Choćbyś się wysilał, jak tylko potrafisz, i tak nie pojmiesz tego. Ja, pierwszy lepszy z prowincji, którego można zawsze zamienić z kimkolwiek z tych ludzi, którzy wystają setkami przed dworcem po przyjeździe pewnych pociągów.

4 stycznia. Wiara i ojczyzna Schonherra. Glaube und Heimat. Schonherr Karl (1867—1943), poeta i pisarz austriacki (Z zawodu lekarz), autor uroczych, pisanych dialektem opowiadań lirycznych. Pisał również dramaty o tematyce wiejskiej. Jego oryginalny styl dał początek tzw. szkole austriackiej. Tam w dole, pode mną, wilgotne palce ludzi zwiedzających galerię, którzy przecierają sobie oczy.

6 stycznia. Hej, ty — powiedziałem i szturchnąłem go lekko kolanem — ale teraz już pójde. Jeśli chcesz przyjrzeć się temu, otwórz oczy.

— A więc jednak? — zapytał, przy czym rzucił ku mnie z szeroko otwartych oczu spojrzenie celne, a tak słabe, że potrafiłbym je odeprzeć najłżejszym ruchem ramienia. —A więc odchodzisz jednak? Cóż robić? Zatrzymać cię nie mogę. A gdybym mógł, nie chcę. Tym samym chcę rzucić jedynie światło na twoje własne uczucie, pod którego wpływem mógłbym cię mimo wszystko zatrzymać. — i przybrał natychmiast maskę uniżonych sług, z którą wolno im, w obrębie zorganizowanego zresztą państwa, wpajać w pańskie dzieci posłuszeństwo lub bojaźń.

7 stycznia. Siostra p. N. tak zakochana w swoim narzeczonym, że umie urządzać się w ten sposób, by rozmawiać na osobności z każdym, kto ją odwiedzi, gdyż w towarzystwie osoby samotnej można łatwiej i częściej wypowiedzieć się o swej miłości.

Jak gdyby jakiś czar (bo nie przeszkadzały tu ani zewnętrzne, ani wewnętrzne okoliczności, korzystniejsze teraz niż przed rokiem) powstrzymał mnie od pisania przez cały dzisiejszy wolny dzień, a jest właśnie niedziela. Na pociechę zakiełkowało mi kilka nowych myśli na temat własnego nieszczęścia.

12 stycznia. Nie napisałem o sobie wiele w tych dniach, a to po części z lenistwa (tyle i tak mocno spiam teraz za dnia, a śpiąc ważę więcej), po części jednak z obawy, by nie zdradzić mego odczucia samego siebie. Obawa ta jest uzasadniona, gdyż wszelkie samopoznanie wolno ostatecznie utrwalić na piśmie tylko wtedy, gdy może się to dokonać w najdoskonalszej pełni, łącznie z wszystkimi ubocznymi następstwami, oraz w całkowitej zgodzie z prawdą. Bo jeśli tak nie jest — ja w każdym bądź razie nie jestem zdolny do tego — wówczas rzecz napisana stanowi samowolnie, i z tyranią tego, co zostało utwalone, jedynie ogólnikową treść uczuć, i to w ten sposób, że właściwe uczucie rozwiewa się, a bezwartościowość zapisków poznajemy zbyt późno.

Kilka dni temu Leonia Tripplon, artystka kabaretowa miasta Wiednia. Fryzura z przewiązanych wstążką stert loków. Zły gorset, bardzo stara suknia, ale sarna prześliczna ze swymi tragicznymi ruchami, z usilnym mruganiem powiek, z fikaniem długimi nogami, z wcale świadomym siebie wyciąganiem ramion wzdłuż ciała, sztywność szyi przy miejscach dwuznacznych też coś znaczy. Śpiewała piosenkę: Kolekcja guzików w Luwrze.

Schiller, rysowany przez Schadowa Schadow Johann Gottfried (1764—1850), uczeń Trippla 1804 w Berlinie, gdzie zebrał wielkie hołdy. Mocniej niż za ten nos nie można uchwycić twarzy. Grzbiet nosa opada cokolwiek na skutek nawyku szczypania nosa przy pracy. Miły człowiek o trochę wklęsłych policzkach, prawdopodobnie wygolona twarz nadała mu wygląd starczy.

14 stycznia. Powieść Beradta Małżonkowie Eheleute. Wiele marnej żydowskości. Nagle, zawsze jednakowe, drażniące chwytły autora; na przykład: wszyscy byli weseli, ale jeden nie był wesoły. Albo: oto przychodzi niejaki pan Stern (który to typ powieściowy znamy już do gruntu). U Hamsuna zdarzają się podobne rzeczy, ale u niego jest to naturalne jak sęki w drewnie, tu natomiast kapie kroplami do akcji jak modne lekarstwo na cukier. Autor trzyma się bezsensownie dziwacznych zwrotów, na przykład: był zajęty jej włosami, zajęty i raz jeszcze zajęty. Poszczególni ludzie są dobrze. wydobyli z tła bez nowego naświetlenia, tak dobrze, że nawet błędy miejscami nie szkodzą. Postacie drugoplanowe są przeważnie beznadziejne.

17 stycznia. Maks przeczytał mi pierwszy akt *Pożegnania z młodością* Der Abschied von der Jugend Jakże mogę przy dzisiejszym moim samopoczuciu podołać temu? Rok musiałbym szukać w sobie prawdziwego uczucia, a mam w kawiarni późno wieczorem, dręczony wzdęciami z powodu złego trawienia, być jakoś uprawniony do wytrwania na swoim stołku w obliczu tak wielkiego dzieła.

19 stycznia. Będę musiał — bo wykończony wydaję się doszczętnie, w ciągu ubiegłego roku ocknąłem się nie na dłużej niż pięć minut — albo życzyć sobie codziennie zniknięcia z powierzchni ziemi, albo — nie dostrzegając nawet najbledszej nadziei — zacząć życie od początku jako małe dziecko. Pójdzie mi to na pozór łatwiej niż wtedy. Bo wówczas ani mdłym przeczuciem nie sięgałem jeszcze takiego wyobrażenia, które od słowa do słowa wiązałoby się z mym życiem, które powinien bym przyciągnąć do piersi, i które wyrwałoby mnie z dotychczasowego miejsca. Z jakim jękiem żalu (zapewne nieporównywalnego z dzisiejszym) zacząłem to czynić! Jakie zimno ścigało mnie całymi dniami, więcej z zapisanych kart! Jak wielkie było niebezpieczeństwo i jak nieprzerwane było jego działanie, że owego zimna prawie nie odczuwałem — co oczywiście na ogół tylko nieznacznie zmniejszało moje nieszczęście.

Zamierzałem pewnego razu napisać powieść na temat dwu braci walczących z sobą, z których jeden wyjechał do Ameryki, a drugi pozostał w europejskim więzieniu. Zacząłem tylko pisać po parę linijek, gdyż zaraz mnie to męczyło. Tak więc w jakieś niedzielne popołudnie, w czasie naszych odwiedzin u dziadków, gdy zjedliśmy niezwykle miękkiego chleba z masłem, który podawano tam zawsze, coś pisałem o swoim więzieniu. Całkiem możliwe, że czyniłem to przede wszystkim z próżności, chcąc przesuwaniem papieru po obrusie, stukaniem ołówka i spoglądaniem wokół przez krąg światła pod lampą skusić kogoś, aby odebrał mi rękopis, obejrzał go i wyraził podziw. Główną treścią owych paru linijek był opis więziennego korytarza, zwłaszcza jego ciszy i zimna; o bracie, który tam pozostał, powiedziano również litościwe słowo, był dobrym bratem. Być może budziło się we mnie chwilami poczucie bezwartościowości mojego opisu — lecz przed owym popołudniem nie

zwracałem nigdy wiele uwagi na takie uczucia — gdy więc w gronie krewnych, do których przywykłem (moja bojaźliwość była tak wielka, że już na tle zwyczajnych zjawisk czyniła mnie półszczęśliwym) — siedziałem w dobrze znanym pokoju, przy okrągłym stole, nie mogłem zapomnieć, że jestem młody i powołany z ówczesnej bez troski do rzeczy wielkich. Wreszcie pewien stryj, lubiący wyśmiewać się, wyjął mi z rąk arkusz słabo trzymany, spojrział nań przelotnie, zwrócił mi go, nie śmiejąc się nawet, i do reszty obecnych, którzy śledzili go wzrokiem, powiedział tylko: „ot, zwykła rzecz” — do mnie nie rzekł nic. Siedziałem wprawdzie dalej nachylony jak poprzednio nad swym, już odtąd bezużytecznym arkuszem, ale ze społeczeństwa wygnano mnie istotnie tym jednym kopniakiem; sąd stryjowski odnawiał się we mnie, jakby już rzeczywiście coś znaczył — i nawet w obrębie rodzinnego uczucia moje spojrzenie dostrzegło zimną głąb naszego świata i musiałem ją ogrzewać ogniem, którego dopiero zamierzałem szukać.

19 lutego. Gdym dziś chciał wstać z łóżka, oklapnąłem po prostu. Powód tego bardzo prosty, jestem doszczętnie przepracowany. Nie biurem, lecz swoją uboczną pracą. Biuro ma w tym niewinny udział tylko o tyle, że gdybym nie musiał tam chodzić, mógłbym żyć spokojnie dla swej pracy i nie musiałbym spędzać tam codziennie tych sześciu godzin, które zwłaszcza w piątki i soboty, gdy pełno miałem własnych spraw, dręczyły mnie nie możecie sobie wyobrazić jak bardzo. Wiem w końcu, że to tylko gadanie, ponoszę winę ja sam, a biuro ma względem mnie jaśniej sprecyzowane i najbardziej uzasadnione wymagania. Tylko że dla mnie wynika stąd straszliwe podwójne życie, z którego prawdopodobnie tylko obłęd będzie ucieczką. Piszę o tym w jasnym świetle porannym, nie napisałbym tak na pewno, gdyby to nie była prawda, i gdybym was nie kochał jak syn.

Zresztą już jutro wrócę z pewnością znowu do siłi pójdę do biura, gdzie pierwsze usłyszane słowa uwiadomią mnie, że „oni” pragną, abym odszedł z ich działu.

19 lutego. Szczególny rodzaj mego natchnienia, gdy ja, najszcześniejszy i najniezszcześniejszy zarazem, idę spać o godzinie drugiej w nocy (a natchnienie to przetrwa może, jeśli tylko zniosę myśl o nim, jest bowiem większe niż wszystkie poprzednie) — sprawia, że potrafię wszystko, a nie tylko jestem zdolny do pewnej określonej pracy. Kiedy na chybił trafił napiszę jakieś zdanie, na przykład „Wyglądał oknem” — wówczas zdanie to będzie od razu doskonałe.

— Czy jeszcze długo tu pozostaniesz? — zapytałem. Przy nagłym mówieniu, zły znak, wyciekło mi z ust trochę śliny.

— Czy ci to przeszkadza? Jeśli cito przeszkadza lub powstrzymuje cię może od wyjścia na górę, odejdę zaraz, w innym jednak wypadku chętnie zostałbym tu jeszcze, bo jestem zmęczony.

W końcu powinien był podzielać moje zadowolenie i być coraz bardziej zadowolony, im dokładniej go poznawałem. On bowiem poznawał mnie widocznie coraz dokładniej i mógł na pewno zmieścić w kieszeni mnie wraz z całym moim poznaniami. Bo jakże inaczej wyjaśnić to, że stałem jeszcze na ulicy, jak gdyby przede mną był nie dom, lecz ogień. Gdy się jest zaproszonym do jakiegoś towarzystwa, to się po prostu wchodzi do domu, idzie po schodach na górę, prawie nie uświadamiając sobie tego, tak bardzo jest się zatopionym w myślach. To jest jedyny słuszny sposób postępowania wobec siebie i wobec towarzystwa.

20 lutego. Mella Mars w Lucernie. Pełna bystrej inwencji aktorka sceniczna, która zjawia się na odwróconej niejako scenie, tak jak aktorki tragiczne ukazują się niekiedy poza sceną. W chwili zjawienia się ma twarz zmęczoną, zresztą również płaską, pozbawioną wyrazu i starą, zgodnie poza tym z naturalną manierą wszystkich świadomych siebie aktorów. Mówi głosem bardzo ostrym, ruchy jej są również ostre, począwszy od wyginania kciuka, który wygląda tak, jak gdyby zamiast kości miał twarde ścięgna. Szczególna ruchliwość nosa na skutek zmiennej gry światła oraz wgłębień w drgających wokół mięśniach. Subtelnie zaznacza pointy mimo ciągłego błyskania gestów i słów.

Małe miasteczka mają także małe okolice dla amatora przechadzek.

Młodzi, schludni, dobrze odziani chłopcy obok mnie, na deptaku [aluzja do podróży paryskiej w 1910 r.](#) przypominali mi moją młodość i czynili przez to na mnie nieapetyczne wrażenie.

Listy młodzieńcze Kleista, pisane gdy miał dwadzieścia dwa lata. Porzuca zawód żołnierski. Pytają w domu: więc jaki zawód, bo to uważano za oczywiste. Możesz wybierać między prawem a skarbowością. Czy masz jednak stosunki u dworu? „Zaprzeczyłem zrazu nieco zakłopotany, za to po chwili tym dumniej oświadczyłem, że gdybym nawet miał takie stosunki, to zgodnie ze swymi obecnymi przekonaniem musiałbym wstydzić się liżąc na nie. W odpowiedzi uśmiech, uczułem, że

się zagalopował. Należy się strzec wypowiedziania takich prawd.”

21 lutego. Żyję tu tak, jakbym był zupełnie pewny drugiego życia, tak jak przebolełem nieudany pobyt w Paryżu z uwagi na przyszłe swe starania, aby pojechać tam znowu. Widok ostro odcinających się plam światła i cienia na bruku ulicznym.

Przez krótką chwilę czułem się opancerzony.

Jakże odległe wydają mi się na przykład mięśnie moich ramion.

Marc Henry-Delvard. Tragiczne uczucie, jakie wywołuje w widzu pustka na sali, sprzyja efektowi pieśni poważnych, szkodzi wesołym. Henry wygłasza konferansjerkę wstępną, podczas gdy pani Delvard doprowadza do porządku swe włosy za zasłoną, nie wiedząc o jej przeźroczystości. Pan W., przedsiębiorca, zdaje się, podczas uczęszczanych imprez obnosi swoją, przyprószoną siwizną asyryjską brodę, która zazwyczaj jest kruczoczarna. Jak to dobrze poddać się takiemu temperamentowi, efekt utrzymuje się przez dwadzieścia cztery godziny, nie, nie tak długo. Hojnie wydatkowano na stroje, bretońskie kostiumy; halka na samym spodzie jest najdłuższa, tak że to bogactwo można policzyć z daleka. Na początku akompaniuje pani Delvard — bo chciano zaoszczędzić sobie akompaniatora — w szerokiej, wyciętej zielonej sukni i marznie. Okrzyki na ulicach Paryża. Pominięto sprzedawców gazet. Ktoś zagadnął mnie; nim odetchnąłem, już mnie pożegnał. Delvard jest śmieszna, ma uśmiech starych panien, stara panna niemieckiego kabaretu. Robi rewolucję za pomocą czerwonego szala, który nakłada za kurtyną. Poematy Dauthendeya Dauthendey Max (1867—1918), poeta liryk i dramaturg wygłasza niezmiennym, twardym, nie do zgryzienia głosem. Tylko na początku siedząc kobieco przy fortepianie była urocza. Podczas piosenki Batignoles poczułem Paryż w sobie. Batignoles powinno pewno być intratne, tamtejsi apasze również. Bruant stworzył dla każdej dzielnicy swoistą piosenkę.

### Świat miejski

Oskar M., starszy student — gdy się patrzyło na niego z bliska, ogarniał człowieka lęk przed jego oczyma — pewnego popołudnia stał długo w kłębach śnieżycy na pustym placu w swoim zimowym ubraniu, zimowym płaszczu na nim, z szalem dokoła szyi i futrzaną czapką na głowie. W zamyśleniu mrugał oczyma. Tak głęboko zatopił się w tych myślach, że w pewnej chwili zdjął z głowy czapkę i pogładził sobie twarz jej kędzierzawym futrem. Wreszcie zdawał się dojść do jakiegoś wniosku i obróciwszy się tanecznym ruchem, poszedł ku domowi.

Gdy otworzy? drzwi do pokoju rodziców, ujrzał swego ojca, gładko wygolonego mężczyznę o twarzy ciężkiej, mięsistej, siedzącego przy pustym stole i zwróconego ku drzwiom.

— Nareszcie — powiedział ojciec, ledwie Oskar przestąpił próg pokoju — zatrzymaj się, proszę, przy drzwiach, bo jestem na ciebie tak wściekły, że nie wiem, czy zapanuję nad sobą.

— Ależ ojcze — rzekł Oskar, uświadamiając sobie dopiero przy tych słowach, jak szybko biegł.

Milcz — krzyknął ojciec i powstał, zasłaniając sobą jedno okno. — Milcz, rozkazuję ci. A swoje „ależ” zachowaj dla siebie, rozumiesz? — Przy tych słowach ujął stół obiema rękami i przeniósł go o krok bliżej w stronę Oskara. — Po prostu nie zniosę dłużej twego łajdackiego życia. Jestem już starym człowiekiem. Myślałem, że znajdę w tobie pociechę późnych lat, tymczasem jesteś dla mnie gorszy niż wszystkie moje choroby. Pluć na takiego syna, który lenistwem, marnotrawstwem złością i (czemu nie miałbym powiedzieć ci tego otwarcie) głupotą wpędza swojego starego ojca do grobu. Tu ojciec zamilkł, ale twarz jego drgała, jak gdyby jeszcze mówił.

— Drogi ojcze — rzekł Oskar, podchodząc ostrożnie do stołu — uspokój się, wszystko zmieni się jeszcze na lepsze. Miałem dziś pewien pomysł, który uczyni ze mnie człowieka tak czynnego, jak tylko mógłbyś sobie życzyć.

— A to jak? — zapytał ojciec i spojrzał w kąt pokoju.

— Zaufaj mi tylko, wyjaśnię ci wszystko przy kolacji. W głębi serca byłem zawsze dobrym synem, lecz fakt, że tego nie umiałem przejawiać na zewnątrz, rozgoryczał mnie do tego stopnia, iż wołałem cię już nie martwić, gdy nie mogłem niczym ucieszyć. Teraz pozwól jednak, że się trochę przejdę, ażeby lepiej zebrać myśli.

Ojciec, który zrazu zaczynając słuchać coraz uważniej, przysiadł na brzegu stołu, powstał znowu.

— Nie sądzę, by to, coś teraz powiedział, miało wiele sensu, uważam to raczej za pustą gadaninę. Ale w końcu jesteś moim synem. Wróć na czas, zjemy w domu kolację, a wtedy będziesz mógł przedstawić mi swoją sprawę.

— Ten drobny przejaw zaufania wystarcza mi, wdzięczny ci za to jestem z całego serca. Ale czy już po moim spojrzeniu nie poznać, że całkowicie zajęty jestem poważną sprawą.

— Nie widzę na razie nic takiego — powiedział ojciec. — Ale to może i moja wina, bo wyszedłem z wprawy patrzenia w ogóle na ciebie. — A równocześnie, równomiernie pukając w płytę stołu zgodnie ze swym zwyczajem, dawał do zrozumienia, jak szybko mija czas. — Ale w tym jest rzecz sedno, że nie mam już żadnego zaufania do ciebie, Oskarze. Kiedy krzyczę na ciebie — a gdyś tu przyszedł, nakrzyczałem się chyba, nieprawda? — robię tak wcale nie w nadziei, że mogłoby cię to poprawić, czynię to tylko z myślą o twojej biednej, dobrej matce, która na razie może i nie czuje jeszcze bezpośredniego cierpienia z twojego powodu, ale już przez samo usiłowanie obrony przed takim cierpieniem — bo spodziewa się w ten sposób dopomóc ci jakoś — powoli marnieje. Ale są to w końcu sprawy bardzo dobrze ci znane, i przez wzgląd na samego siebie nie wspominałbym już o nich, gdybyś mnie do tego nie sprowokował swoimi obietnicami.

Przy ostatnich słowach weszła służąca, aby doglądnąć ognia w piecu. Ledwie opuściła pokój, Oskar zawołał: — Ależ ojcze! Nigdy bym tego nie oczekiwał. Gdybym miał tylko jakiś nikły pomysł, powiedzmy, pomysł do swej dysertacji, która przecież już od dziesięciu lat leży w mojej szufladzie spragniona pomysłów jak kania deszczu, to możliwe, jeśli wprost nie prawdopodobne, że pobiegłbym do domu przerywając przechadzkę, tak jak dzisiaj, i powiedziałbym: „Ojcze, szczęśliwym trafem mam taki a taki pomysł”. Gdybyś ty na to swoim czcigodnym głosem rzucił mi w twarz te same wyrzuty, co przed chwilą, wówczas mój pomysł po prostu ulotniłby się, ja sam zaś musiałbym odejść bezzwłocznie, usprawiedliwiając się jakoś albo i bez usprawiedliwienia Teraz wręcz przeciwnie! Wszystko, co mówisz przeciw mnie, umacnia moje pomysły, one nie ustają, lecz potężnieją, wypełniają mi głowę. Odejdę, gdyż tylko w samotności zdołam je uporządkować. Zaczerpną tchu w ciepłym pokoju.

— To, co masz w głowie, może równie dobrze być jakimś szelmostwem — rzekł ojciec, robiąc wielkie oczy — w takim razie uwierzę łatwo, że się ciebie tak mocno trzyma. Jeśli natomiast przypadkiem coś uczciwego zabłąkało się w tobie, ucieknij od ciebie jeszcze tej nocy. Znam cię.

Oskar kręcił głową, jak gdyby ktoś przytrzymał go za szyję. — Nie dręcz mnie teraz. Bez potrzeby dręczysz mnie... Sama możliwość, że możesz trafnie przepowiedzieć mój koniec, nie powinna cię, prawdę mówiąc, zachęcać do przeszkadzania w moich dobrych zamiarach. Być może upoważnia cię tu moja przeszłość, ale nie powinienes tego wykorzystywać...

— Otóż widzisz sam najlepiej, jak wielka musi być twoja niepewność, jeśli zmusza cię aż do takich zarzutów przeciw mnie.

— Nic mnie nie przymusza — odparł Oskar, a jego szyja drgnęła. Podszedł również całkiem blisko do stołu, tak że, już nie wiadomo było, do kogo ten stół należał. — Com powiedział, powiedziałem z uszanowania, a nawet z miłością do ciebie, jak się później o tym przekonasz, bo w moich postanowieniach najważniejszą rolę gra wzgląd na ciebie i na mamę.

— Jeśli tak, muszę ci podziękować już teraz — rzekł ojciec — ponieważ bardzo jest jednak nieprawdopodobne, abyśmy oboje, matka twoja i ja, byli jeszcze zdolni to uczynić w odpowiedniej chwili.

— Pozwól, ojcze, przyszłości spać spokojnie, tak jak ona na to zasługuje. Bo jeśli zbudzi się ją przedwcześnie, wówczas zyskuje się zasną terazniejszość. Że też mówić ci to musi dopiero twój syn! Także nie chciałem jeszcze przekonywać ciebie, tylko oznajmić ci nowinę i przynajmniej to powiodło mi się, jak sam musisz przyznać.

-Wobec tego jedno tylko dziwi mnie jeszcze, Oskarze: czemu nie przychodziłeś do mnie częściej z tak ważną sprawą jak dzisiejsza. Odpowiada ona tak bardzo charakterowi, jaki przejawiałeś dotychczas. Tak, naprawdę, mówię serio.

— Tak? A czy nie byłbyś mnie wtedy przetrzepał zamiast mnie wysłuchać? Przybiegłem tu, Bóg jeden wie, po to, by jak najprędzej sprawić ci radość. Nie mogę jednak wyjawić niczego, póki mój plan nie dojrzeje całkowicie. Dlaczego więc karzesz mnie za moje dobre zamiary i żądasz ode mnie wyjaśnień, które w obecnej chwili mogłyby jedynie zaszkodzić wykonaniu mojego planu?

— Milcz, nie chcę w ogóle nic wiedzieć. Muszę jednak odpowiedzieć ci bardzo szybko, bo cofasz się w stronę drzwi i widać, że masz jakieś zamiary bardzo naglące: moją pierwszą wściekłość ułagodziłeś swoją sztuczką, tylko że teraz jest mi jeszcze smutniej na duszy, niż było przedtem, i z uwagi na to proszę cię — jeśli chcesz koniecznie, mogę nawet złożyć ręce — nie mów przynajmniej matce nic o swych zamysłach. Niech ci wystarczy to, co się stało ze mną.

— Ależ to chyba nie ojciec, który tak mówi ze mną — zawołał Oskar, położywszy już rękę na klamce u drzwi. — Coś stało się z tobą od południa lub też jesteś kimś obcym, kogo teraz spotykam po raz pierwszy w pokoju mego ojca. Mój prawdziwy ojciec — Oskar zamilkł na chwilę z otwartymi ustami — ach, ten z pewnością by mnie uściskał, zawołałby tutaj matkę. Co ci jest, ojcze?

— Sądzę, że lepiej byś zrobił, siadając do kolacji z twoim prawdziwym ojcem. Byłoby przyjemniej.

— On też nadejdzie. W końcu nie może go zabraknąć. Matka również musi być przy tym. I Franciszek, którego zaraz przywołam. Wszyscy. — Po czym Oskar nacisnął ramieniem łatwo

otwierające się drzwi tak, jak gdyby się uwziął, aby wysadzić je z zawiasów.

Znalazszy się w mieszkaniu Franciszka, nachylił się ku niskiej gospodyni ze słowami: pan inżynier śpi, wiem, to nic nie szkodzi — i, nie troszcząc się więcej o kobiecinę dreptającą tam i z powrotem po przedpokoju, otworzył szklane drzwi, które, jak gdyby tknięte w jakiś czuły punkt, zadygotały mu w ręce, i krzyknął bez ceremonii w głąb pokoju, którą ledwie dostrzegając: Franciszku, wstawać. Trzeba mi twojej fachowej rady. Ale tu w pokoju nie wytrzymam, musimy przejść się nieco, poza tym musisz u nas zjeść kolację. Więc prędko, już?

— Bardzo chętnie — powiedział inżynier z głębi swej skórzanej kanapy — ale co najpierw? Wstać, zjeść kolację, przejść się czy radzić? O ile nie dosłyszałem czegoś jeszcze.

—Przede wszystkim nie żartuj, Franciszku. To najważniejsze, o tym zapomniałem.

—Tę uprzejmość wyświadczę ci natychmiast. Ale z tym wstaniem! — Wolałbym dwa razy z życzliwości dla ciebie zjeść kolację niż raz wstać.

—Więc wstań natychmiast! Bez gadania — Oskar pochwycił wątego człowieka za kłapy surduta i podźwignął go do pozycji siedzącej.

—No wiesz, ależ bandyta z ciebie. Jestem z całym respektem. Czym to ja kiedy zdarł tak ciebie z kanapy? — Zaczął obu małymi palcami przecierać zaspane oczy.

—Ależ, Franciszku — rzekł Oskar, krzywiąc twarz grymasem — ubieraj się, prędszej. Nie jestem wariatem, który cię zbudził bez powodu.

— Ja także spałem nie bez powodu. Wypadła mi wczoraj służba nocna, potem, dziś już, przepadła mi moja drzemka poobiednia, teraz znów przez ciebie.

—Jak to?

—No cóż, złości mnie to już, jak mało liczysz się ze mną. To nie jest po raz pierwszy. Oczywiście jesteś wolnym studentem i możesz robić, co chcesz. Nie każdy jest tak szczęśliwy. Przecież trzeba mieć względy dla ludzi, do diabła! Jestem wprawdzie twoim przyjacielem, ale przez to samo nie odebrano mi jeszcze mego zawodu. — Podkreślał te słowa, rozkładając raz po raz dłonie.

— Czy jednak twoja gadanina teraz nie upewnia mnie, żeś wyspał się aż nadto? — rzekł Oskar, wgramoliwszy się na któreś wezgielnie łóżka, skąd wpatrywał się w inżyniera, tak jak gdyby miał już trochę więcej czasu niż poprzednio.

— Czego więc chcesz właściwie ode mnie? Albo lepiej: po coś mnie zbudził? — zapytał inżynier, skrobiąc się mocno w szyję pod swoją koźłą bródką z tym spoufaleniem, z jakim po przebudzeniu odnosimy się do własnego ciała.

— Czego chcę od ciebie — rzekł Oskar i stuknął obcasem w łóżko — Bardzo mało. Powiedziałem ci przecież już z przedpokoju: chcę, abyś się ubierał.

— Jeżeli chcesz, Oskarze, zaznaczyć przez to, że mnie twoja nowina bardzo mało interesuje, masz zupełną rację.

— Doskonale, zatem żar, jakim cię ta nowina rozplomiła, pójdzie całkowicie na własny jej rachunek, bez wmiśnięcia się tu naszej przyjaźni. Rada zyska przez to na jasności. Trzeba mi rady jasnej, pamiętaj o tym. Jeśli szukasz jednak — co jest możliwe kołnierzyka i krawata, wiedz, że leżą tam na krześle.

— Dziękuję — odparł inżynier i zaczął przypinać kołnierzyk i wiązać krawat — od biedy można jednak polegać na tobie.

26 marca. Teozoficzne wykłady dra Rudolfa Steinera z Berlina. Steiner Rudolf (1861—1925), austriacki teozof i pisarz, głosił teorię intuicyjnego poznawania dzieł literackich i w tym duchu interpretował twórczość Goethego i Nietzschego.

Oddziaływanie retoryką: pełna błędnego spokoju replika na zarzuty przeciwników; słuchacz zdumiewa się impetem strony przeciwnej, popada w zakłopotanie, pogrąża się całkowicie w tych zarzutach, jak gdyby poza nimi nie istniało nic; następnie uważa jakąkolwiek polemikę za całkiem niemożliwą, po czym pobieżny opis możliwości obrony wprawia go w coś więcej niż zadowolenie. Ten retoryczny efekt odpowiada zresztą nakazowi dewocyjnego nastroju. Długotrwałe wpatrywanie się w dłoń przed sobą.

Opuszczanie kropki na końcu zdania. Po czym najczęściej zdanie wygłaszane przez mówcę zaczyna się od swej wielkiej początkowej litery, w dalszym swoim ciągu wygina się jak najbardziej ku słuchaczom i powraca zakończeniem do mówcy. Gdy jednak koniec zostaje opuszczony, wówczas nie powściągane już niczym zdanie uderza w słuchacza bezpośrednio swoim pełnym oddechem.

Przedtem wykłady Loosa Loos Adolf (1870—1933), architekt, przedstawiciel nowoczesnego stylu w budownictwie, który propagował również jako pisarz. i Krausa. Kraus Karl von (1868—1952), austriacki germanista, specjalizował się w średniowiecznej literaturze niemieckiej.

Obecnie przywykliśmy niemal do tego, by w zachodnioeuropejskich opowiadaniach, obejmujących pewne grupy Żydów, doszukiwać się bezzwłocznie pod opisem czy nad opisem rozwiązania kwestii żydowskiej, a nawet znajdować je. Jednakże w *Żydówkach* Jüdinne, powieść Maksa Broda, która ukazała się w 1911 r.

nie pokazano takiego rozwiązania ani nawet nie domyślamy się go, gdyż właśnie te postacie, które zajmują się podobnymi zagadnieniami, opowiadanie odsuwa od centrum akcji dalej, mianowicie tam, gdzie fakty rozwijają się już szybciej; że więc chociaż możemy jeszcze obserwować je dokładnie, nie mamy już sposobności zyskania na tej podstawie spokojnych wyjaśnień co do znaczenia tych wydarzeń. Niewiele myśląc, uznajemy to za wadę opowiadań i czujemy się uprawnieni do podobnego zarzutu, tym bardziej że dziś, od kiedy istnieje syjonizm, możliwości rozwiązania ułożyły się dokoła żydowskiego problemu tak przejrzyste, że pisarz musiałby w końcu zrobić zaledwie parę kroków, aby znaleźć odpowiednią możliwość rozwiązania tych problemów.

Ta wada jednak wywodzi się z innej jeszcze. Brak *Żydówkom* nieżydowskich widzów, ludzi poważnych, a inaczej myślących, którzy w innych opowiadaniach wabią ku sobie element żydowski, by się ku nim garnał w podziwie, w zwątpieniu, zazdrości, strachu i w końcu ufał sobie, a w każdym bądź razie mógł dopiero przed ich obliczem wyprostować się w całej swej okazałości. Tego żądamy, innego rozplynięcia się mas żydowskich nie uznajemy. Odwołujemy się również do takiego uczucia nie tylko w tym wypadku; jest ono powszechne przynajmniej w jednym kierunku. Podobnie w czasie pieszej wędrówki we Włoszech niezwykle bawi nas ucieczka jaszczurek czmychających płochliwie przed naszymi krokami; co chwila mielibyśmy ochootę schylić się do nich, gdy jednak ujrzymy je u handlarza, jak pełzają setkami jedna po drugiej, w wielkich butlach, do których zazwyczaj wkłada się ogórki — wtedy nie wiemy, co z sobą począć.

Obie te usterki wiążą się w trzecią. Żydówki mogą obywać się bez tego głównego bohatera — młodzieńca, który zazwyczaj w obrębie swego opowiadania przyciąga gwałtownie ku sobie najlepsze z nich i wiedzie je w pięknym odśrodkowym kierunku aż na peryferie żydowskiego kręgu. Nie obchodzi nas, że opowiadanie może się obyć bez takiego młodzieńca, tu bowiem domyślamy się raczej błędu, niż go widzimy.

28 marca. Malarz P. Karlin, jego żona, w górnej jej szczęce dwa spore, szerokie siekacze, zaostające twarz wielką i raczej płaską; żona radcy dworu pani B., matka kompozytora, której wiek tak uwydatnił grubokościsty szkielet, że przynajmniej w pozycji siedzącej wygląda jak mężczyzna.

Dra Steinera zajmują tak bardzo jego nieobecni uczniowie. Podczas wykładu tak bardzo tłoczą się do niego umarli. Żądza wiedzy? Lecz czy im jej właściwie potrzeba? Chyba tak. Sypia po dwie godziny. Odkąd mu raz wyłączono światło elektryczne, nosi zawsze przy sobie świecę. Duchowo był bardzo blisko Chrystusa. Wystawił swoją sztukę w Monachium (możesz zgłębiać ją przez cały rok i nie zrozumiesz jej), kostiumy narysował, napisał muzykę. Pouczył pewnego chemika. Löwy Simon, handlarz mydłem w Paryżu, przy Quai Moncey, uzyskał od niego najtrafniejsze rady w interesach. Przetłumaczył swoje dzieła na język francuski. Żona radcy dworu otrzymała stąd w swym notესie wzmiankę „*Jak dostąpić poznania wyższych światów?*” Wie erlangt man die Erkenntnisse der höheren Welten — tytuł książki dra R. Steinera U S. Löwy'ego, w Paryżu”.

W loży wiedeńskiej przebywa pewien sześćdziesięcioletni teozof, olbrzymiej siły, kiedyś wielki opój z obrzmiałą głową, człowiek, który ustawicznie wierzy i ustawicznie powątpiewa. Bardzo było podobno zabawne, jak razu pewnego podczas jakiegoś kongresu w Budapeszcie, przy kolacji na Blocksbergu, w księżycowy wieczór, gdy niespodzianie dr Steiner wkroczył w grono zebranych, teozof ów ze strachu ukrył się razem ze swym kuflem za beczką piwa (jakkolwiek dr Steiner nie wzięłby tego bynajmniej za złe).

Nie jest on, być może, największym ze współczesnych badaczy ducha, lecz właśnie tylko jemu powierzono misję uzgodnienia teozofii z nauką. Toteż nic dziwnego, że wie wszystko. Do jego wioski rodzinnej przywędrował raz pewien botanik, wybitny mistrz okultyzmu, i on to oświecił go. To, że ja postaram się odnaleźć dra Steinera, wyjaśniła mi owa dama jako kielkujące we mnie wspomnienie prabytu. Domowy lekarz tej pani poprosił — gdy pojawiły się u niej początki influency — dra Steinera o lekarstwo, zapisał jej ten środek i uzdrowił ją nim w oka mgnieniu. Pewna Francuzka pożegnała go słowami *au revoir*. Pokiwał za nią dłonią. Umarła po dwu miesiącach. Jeszcze jeden podobny wypadek zdarzył się w Monachium. Pewien lekarz monachijski leczy za pomocą kolorów dobranych przez dra Steinera. Posyła również chorych do pinakoteki z zaleceniem półgodzinnego lub dłuższego skupienia się przed oznaczonym obrazem.

Zagłada świata atlantycka, zagłada lemuryjska, a teraz zagłada przez egoizm. Żyjemy w rozstrzygającej erze. Próba dra Steinera powiedzie się, o ile tylko nie zwyciężą złe moce Arymana. Pija po dwa litry orszady i jada owoce rosnące na górnych gałęziach. Obcuje z nieobecnymi swoimi uczniami za pomocą formuł myślowych, które wysyła ku nim, nie zajmując się nimi dłużej po wystaniu takiej emanacji. Jednakże one zużywają się wkrótce i musi je odnawiać.

Pani F.: Mam złą pamięć.

Dr St.: Proszę nie jeść jaj.

Moja wizyta u dra Steinera.

Jakaś kobieta czeka już (na górze, na drugim piętrze hotelu Viktoria przy Jungmannstrasse), prosi mnie jednak usilnie, abym wszedł przed nią. Czekamy. Przychodzi sekretarka i dodaje nam otuchy. Dostrzegam go w perspektywie korytarza. W chwilę potem podchodzi ku nam z na pół rozłożonymi rękami. Kobieta oświadcza, że ja byłem pierwszy. Idę więc za nim, on zaś prowadzi mnie do swego pokoju. Jego czarny anielez, na publicznych wieczorach jakby nawoskowany (nie nawoskowany, lecz lśniący tylko swoją czystą czernią), jest teraz, przy dziennym świetle (o godzinie trzeciej po południu), zwłaszcza na plecach i ramionach, zakurzony a nawet poplamiony.

W jego pokoju usiłuję okazać swoją pokorę, której nie mogę odczuwać, przez wyszukiwanie jakiegoś marnego miejsca na mój kapelusz; kładę go na mały stojak drewniany do sznurowania butów. Stół pośrodku, siedzę na wprost okna, po lewej stronie stołu. Na stole papiery z kilkoma rysunkami przypominającymi ilustrację do wykładów o okultystycznej fizjologii. Zeszytik *Roczników filozofii* Annalen für Naturphilosophie przyrody przykrywa niewielka sterta książek, które zresztą wydają się leżeć wokoło. Tylko że nie można rozglądać się, bo dr Steiner usiłuje nieustannie usidlać człowieka swym spojrzeniem. A gdy na moment przestaje, trzeba się mieć na baczności przed nawrotem spojrzenia. Zaczyna od paru luźnych zdań: A więc to pan jest dr Kafka? Czy pan zajmował się już obszerniej teozofią?

Ja jednak atakuję przygotowaną zawczasu przemową:

Czuję, jak spora część mojej istoty skłania się do teozofii, ale równocześnie przejmuję mnie przed nią najwyższa trwoga. Obawiam się mianowicie pod jej wpływem nowego zamętu, który byłby dla mnie bardzo szkodliwy z uwagi na to, że właśnie mój obecny nieszczęsny stan polega tylko na zamęcie. A zamęt ów tkwi w następujących okolicznościach: moje szczęście, moje zdolności oraz wszelka możliwość stania się w jakikolwiek sposób pożytecznym mieszczą się od dawna w kręgu literatury. Otóż przeżyłem stany duchowe (nieliczne), moim zdaniem bardzo bliskie stanów jasnowidzenia, opisanych przez pana, panie doktorze, podczas stanów tych cały przebywałem wewnątrz każdego pomysłu, ale również każdy wypełniałem i czułem wtedy nie tylko swoje własne granice, lecz w ogóle granice tego, co ludzkie... Jedyne spokoju zachwyty, jaki prawdopodobnie bywa właściwy jasnowidzowi, brakło mimo wszystko owym stanom, jakkolwiek niezupełnie. Wnioskuje to stąd, że najlepszych z moich prac nie napisałem w owych stanach. Więc tej działalności literackiej nie mogę poświęcić się tak całkowicie, jak by należało, a to z rozmaitych powodów. Pomijając moje stosunki rodzinne, nie mógłbym wyżyć z literatury choćby tylko z powodu powolnego powstawania moich prac, a także osobliwego ich charakteru; poza tym moje zdrowie i mój charakter zabraniają mi również takiego trybu życia, niepewnego nawet w najpomyślniejszych warunkach. W związku z tym zostałem urzędnikiem w pewnym Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych. Jednakże oba te zawody nigdy nie zgodzą się z sobą ani wspólnie nie dopuszczają do szczęścia. Najmniejsze szczęście w jednym z nich staje się wielkim nieszczęściem w drugim. Kiedy któregoś wieczora napiszę coś dobrego, spaliam się nazajutrz w biurze i nie mogę tam niczego dokonać. To przerzucanie się jest dla mnie z każdym dniem szkodliwsze. W biurze spełniam zewnętrznie swoje obowiązki, ale nie moje obowiązki wewnętrzne, a każdy nie spełniony obowiązek wewnętrzny przeradza się w nieszczęście, którego już ze mnie nic nie wyszarpienie. I teraz do tych dwu dążności, nie dających się nigdy pogodzić, mam dodać trzecią, teozofię? Czy nie będzie przeszkadzać jednej i drugiej i czy tamte nie będą jej przeszkadzać? Czy człowiek tak już nieszczęśliwy jak ja potrafi teraz zrealizować wszystkie trzy do ostatka? Przyszedłem, panie doktorze, by zadać panu to pytanie, gdyż sądzę, że jeśli pan uzna mnie do tego zdolnym, będę wówczas mógł naprawdę tego się podjąć.

Słuchał z najwyższą uwagą, wcale nie obserwując mnie pozornie, całkowicie zatopiony w moich słowach. Od czasu do czasu kiwał głową uważając to, jak się zdaje, za środek pomagający w skupieniu. Na wstępie przeszkodził mu bezgłośny katar, ciekło mu z nosa, co chwila wkładał chusteczkę aż w głąb nosa, przyłożywszy po jednym palcu do każdej dziurki w nosie.

27 maja. Dziś twoje urodziny, lecz nie przysyłam ci nawet książki, jak zwykle, gdyż byłby to tylko czczy gest; w rzeczywistości jednak nie mogę zdobyć się nawet na podarowanie ci książki. Piszę tylko dlatego, bo tak bardzo powinienem być dzisiaj choć przez chwilę blisko ciebie, choćby tylko za pośrednictwem tej kartki, a zacząłem żalić się wyłącznie w tym celu, abys poznał mnie natychmiast.

15 sierpnia. Okres, który teraz przeminął, w którym nie napisałem ani słowa, był dla mnie tak ważny dlatego, bo na kursach pływania w Pradze, Zbraslaviu i w Czernoszycach przestałem wstydzić się swego ciała. Jakże późno uzupełniam teraz w dwudziestym ósmym roku życia swoje wychowanie! Na wyścigach nazwano by to spóźnionym startem. A szkodliwość takiego właśnie nieszczęścia polega być może nie na tym, że się nie zwycięża; przecież zwycięstwo jest tylko jeszcze widzialnym,



wyraźnym i zdrowym jądrem nieszczęścia, zataczającego coraz dalszy krąg, aż po bezgraniczność, które człowieka, mającego przecież krążyć po obwodzie kola, spycha do środka. Poza tym, w tym po części również szczęśliwym czasie, zauważyłem w sobie wiele innych zjawisk, które spróbuję opisać w najbliższych dniach.

20 sierpnia. Jest we mnie nieszczęsne przekonanie, że nie mam czasu na najmniejszą dobrą pracę, bo naprawdę brak mi czasu na taką, aby rozprzestrzeniać się na wszystkie strony świata tak, jak powinienem. Potem jednak wierzę znowu, że moja podróż powiedzie się lepiej, że lepiej będę rozumiał, gdy doznam odprężenia, pisząc trochę, i dlatego kontynuuję te próby.

Patrząc nań, domyślałem się wysiłków, jakich się podjął dla mnie, i jakie może tylko dlatego, bo był zmęczony, dawały mu teraz tak wielką pewność. Czy nie wystarczyłoby jeszcze mały trud, aby podstęp się udał, a może udaje się już teraz. Bo czyż opierałem się? Stałem wprawdzie uparcie tu przed domem, ale z równym uporem wzdrygałem się wyjść na górę. Czekałem może, aż nadejdą goście, by wprowadzić mnie wśród śpiewów?

Czytałem o Dickensie. Czyż to tak trudno i czy widz stojący na zewnątrz zrozumie, że się przeżywa w sobie jakieś opowiadanie od samego początku, od odległego punktu do tego miejsca, gdzie nadjeżdża lokomotywa ze stali, węgla i pary; że się jednak nawet potem od niej nie odrywa, lecz że się chce, aby nas ścigała, a więc ona ściga, a człowiek ma na to czas, własnym rozpędem biegnie przed nią, dokąd ona popycha i dokąd się ją wabi.

Nie mogę tego zrozumieć, a nawet uwierzyć. Żyję tylko tu i ówdzie, w jakimś małym słowie, przy którego dźwięku (jak wyżej „popycha”) tracę na chwilę swoją, i tak bezużyteczną, głowę. Pierwsza i ostatnia litera to początek i kres mego rybiego uczucia.

24 sierpnia. Siedzenie ze znajomymi przy stoliku kawiarnianym pod gołym niebem i spoglądanie na panią przy sąsiednim stoliku, która właśnie przysła, dysząc ciężko obfitym biustem, i ze spoconą brunatno lśniąca twarzą opada na krzesło. Przegina głowę wstecz, widać silny meszek na brodzie, przewraca oczyma prawie tak, jak może wpatruje się niekiedy w swego męża, który teraz obok niej czyta jakieś ilustrowane pismo. Gdyby udało się wzbudzić w nim mimo wszystko przeświadczenie, że gdy się jest obok swej żony w kawiarni, wówczas można czytać ostatecznie jakiś dziennik, ale nigdy czasopismo. Na chwilę dociera do jej świadomości pełnia jej własnych kształtów, toteż dama odsuwa się cokolwiek od stołu.

26 sierpnia. Jutro mam wyjechać do Włoch. Teraz, wieczorem, ojciec mój nie mógł zasnąć z podniecenia, bo przejął się całą troską o przedsiębiorstwo i powstała wskutek tej troski choroba. Wilgotny okład na sercu, skłonność do wymiotów, brak tchu, chodzenie z kąta w kąt ze wzdychaniem. Matka w swojej obawie znajduje nową pociechę. Przecież zawsze był tak energiczny, że wszystkiego się wydobył, a teraz... Mówię, że przecież bryndza z przedsiębiorstwem potrwa jeszcze nie dłużej niż kwartał, a potem musi wszystko się poprawić. Chodzi wzdychając i potrząsając głową, tam i z powrotem. Jasne, że z jego punktu widzenia nie ujmujemy mu jego trosk ani ich nie zmniejszamy, lecz nawet z naszego punktu widzenia tak nie jest; nawet w naszej najlepszej woli tkwi jeszcze cząstka tej, jakże smutnej pewności, że właśnie on musi troszczyć się o swoją rodzinę. Przez częste ziewanie lub, nie powodujące zresztą obrzydzenia, dłubanie w nosie udaje się ojcu osiągnąć niewielkie uspokojenie, które ledwie dociera do jego świadomości, pomimo że nie czyni tego zazwyczaj, gdy jest zdrów. Otdla potwierdziła to w rozmowie ze mną. Biedna matka zamierza pójść jutro do właściciela domu z prośbą.

Stało się już zwyczajem czterech przyjaciół: Roberta, Samuela, Maksa i Franciszka, że każdego lata lub jesieni wykorzystywali swoje krótkie wakacje na wspólną podróż. Zresztą w ciągu roku ich przyjaźń przejawiała się przede wszystkim w ten sposób, że wszyscy czterej chętnie chodzili się raz w tygodniu, wieczorem, najczęściej u Samuela, który jako najzamożniejszy z nich posiadał większy pokój, wzajemnie opowiadali sobie to i owo, popijając przy tym umiarkowanie piwo. Opowiadali zwykle do chwili rozejścia się o północy, gdyż Robert był sekretarzem pewnego związku, Samuel funkcjonariuszem biura handlowego, Maks urzędnikiem państwowym, a Franciszek urzędował w pewnej firmie bankowej, tak że prawie wszystko, co każdy z nich w ciągu tygodnia przeżył w swym zawodzie, nie tylko było znane trzem innym — należało bowiem im to co prędzej opowiedzieć — lecz byłoby również niezrozumiałe bez dokładniejszych wyjaśnień. Przede wszystkim jednak dzięki tym różnorodnym zawodom każdy z przyjaciół zmuszony był wcięż opisywać swoje zajęcia, ponieważ

przyjaciele — będąc tylko słabymi ludźmi — nie rozumieli ich dostatecznie; ale właśnie dlatego oraz ze szczerej przyjaźni żądano tych wyjaśnień ciągle od nowa.

Natomiast historyjki o kobietach rzadko podejmowano, bo choć Samuel znalazłby w nich osobiście swoisty smaczek, przecież nie śmiał żądać, aby rozmowa dostosowywała się do jego gustów, przy czym zbyt często stara panna przynosząca piwo zjawiała się jako widmo przestrogi. Ale podczas tych wieczorów śmiano się tyle, że Maks nocą w drodze powrotnej ubolewał nad tym wiecznym śmiechem, bo właśnie przez to zapomina się o tych wszystkich poważnych sprawach, które każdy musiał dźwigać na barkach. Śmiejąc się człowiek myśli, że na powagę będzie jeszcze dość czasu. Nie jest to jednak słuszne, gdyż powaga stawia człowiekowi oczywiście większe wymagania, a jasne przecież, że w towarzystwie przyjaciół można lepiej sprostać wymogom niż w samotności. Należy śmiać się w biurze, bo tam człowiek niczego więcej nie zdziała. Sąd ten godził w Roberta, który pracował sporo w związku artystów, wnosząc weń młodość, a równocześnie dostrzegając w starszym zespole najzabawniejsze rysy i bawił nimi swoich przyjaciół.

Ledwie zaczęli, przyjaciele opuszczali swe miejsca i stawali tuż przy nim lub siadali na stole i śmiali się, zwłaszcza Maks i Franciszek, tak nieprzytomnie, że Samuel przenosił wszystkie szklanki na boczny stolik. Gdy opowiadania zaczynały nużyć, Maks zasiadał do fortepianu z nowymi siłami i grał, a Robert i Samuel zajmowali miejsce po obu jego bokach na ławeczce. Natomiast Franciszek, nie rozumiejąc się wcale na muzyce, przeglądał samotnie przy stole Samuela kolekcję widokówek albo czytał gazetę. Kiedy wieczory stawały się cieplejsze i można już było zostawiać okno otwarte, wszyscy czterej podchodzili chętnie ku oknu i założywszy ręce w tył, patrzyli w dół, na ulicę, przy czym w rozmowie nie przeszkadzał im słaby zresztą ruch pojazdów. Nieraz tylko któryś z nich powracał do stołu, aby pociągnąć łyk, albo wskazywał ułożone w loki fryzury dwu dziewcząt, siedzących w dole przed swoją winiarnią, czy też księżyc jawiący się niespodzianie. Wreszcie Franciszek mówił, że jest chłodno i że należy okno zamknąć.

Latem spotykali się niekiedy w pewnym kawiarnianym ogródku, zasiadali przy stole całkiem na uboczu, gdzie było ciemniej, przypijali do siebie i zatopieni w rozmowie, zbliżywszy głowy, prawie nie słyszeli odległej orkiestry dętej. Zgodnym krokiem, pod ramię, wracali potem przez park do domu. Obaj idący na skraju wywijali laseczkami lub uderzali nimi po krzewach; Robert zachęcał ich do śpiewu, po czym śpiewał sam, starcząc za czterech; drugi zaś z idących pośrodku czuł się wtedy szczególnie bezpiecznie ukryty.

Jednego z takich wieczorów Franciszek, przyciskając bliżej do siebie obu swych sąsiadów, powiedział, że skoro jest tak pięknie, gdy przebywają razem, więc nie może zrozumieć, dlaczego schodzą się tylko raz w tygodniu, gdy z pewnością dałoby się łatwo urządzić, by widywali się, jeśli nie częściej, to przynajmniej dwa razy tygodniowo. Wszyscy byli za tym, nawet ten czwarty, który idąc na skraju, niedokładnie rozumiał ciche słowa Franciszka. Taka przyjemność jest na pewno warta trochę trudu, jaki czasem ktoś z nich będzie musiał ponieść. Franciszkowi zdawało się, że ponieważ nieproszony przemawiał w imieniu wszystkich, głos jego stał się bezdźwięczny jakby za karę. Ale nie przestał mówić. Jeżeli nawet ktoś naprawdę nie mógłby przyjść, będzie to tylko jego własna strata, w najbliższej przyszłości będzie mógł powetować ją sobie; ale czy z tego oto powodu inni muszą rezygnować ze spotkań; czy nie wystarczą sobie trzej, a w razie konieczności i dwaj? „Oczywiście, oczywiście” — powiedzieli wszyscy. Z kraju Samuel oderwał się od szeregu i kroczył tuż przed trzema pozostałymi, bo w ten sposób byli bliżej siebie. Potem zdawało mu się to niegodne i wołał włączyć się w szereg.

Robert zaproponował; będziemy schodzili się co tydzień, aby uczyć się po włosku. Jesteśmy zdecydowani uczyć się po włosku, gdyż przekonaliśmy się już przed rokiem w zwiedzonym przez nas małym skrawku Włoch, że nasza znajomość języka włoskiego wystarcza zaledwie, by spytać o drogę, gdyśmy — przypomnijcie sobie — zabłądzili wśród murów otaczających winnice Kampanii. I nawet do tego umiejętność nasza starczyła tylko przy największym wysiłku. Musimy więc uczyć się, jeśli tego roku chcemy znowu pojechać do Włoch. Nie ma innej rady. A czy nie najlepiej, prawda, uczyć się razem?

— Nie — zaprzeczył Maks — razem nie nauczymy się niczego. Wiem to tak samo niezbiecie, jak to, że ty, Samuele, sprzyjasz wspólnej nauce.

— I jak jeszcze! — odparł Samuel. Na pewno wspólnie będziemy się uczyć bardzo dobrze, zawsze żałuję tylko, że jeszcze w szkole nie byliśmy razem. Wiecie, właściwie znamy się z sobą dopiero od dwu lat? — Pochylił się w przód, by widzieć wszystkich trzech. Zwolnili kroku i rozluźnili uścisk rąk.

— Ależ wspólnie nie nauczyliśmy się jeszcze niczego — zarzucił Franciszek. — Właśnie bardzo mi to odpowiada. Niczego nie chcę się uczyć. Ale jeżeli koniecznie już musimy uczyć się po włosku, lepiej wówczas, aby każdy uczył się samodzielnie.

— Nie rozumiem — rzekł Samuel. — Najpierw chcesz, aby schodzić się co tydzień, potem znów

tego nie chcesz.

— Dajże spokój — odparł Maks — przecież i ja, i Franciszek pragniemy tylko, by nasze przebywanie razem nie ucierpiało wskutek nauki, a nasza nauka wskutek przebywania razem: nie chcemy niczego więcej.

— No tak — mruknął Franciszek.

— Bo jest już niewiele czasu — dodał Maks — teraz mamy czerwiec, a we wrześniu chcemy pojechać.

— Dlatego właśnie chcę, byśmy uczyli się razem — powiedział Robert i zrobił wielkie oczy na obu swych przeciwników. Jego szyja stawała się szczególniej giętka, gdy mu się ktoś sprzeciwiał.

Człowiek sądzi, że opisuje go trafnie, ale opis jest trafny tylko w przybliżeniu, poprawia go dziennik.

Prawdopodobnie w istocie przyjaźni leży i dąży za nią jak cień — jeden człowiek wita to z radością, drugi będzie żałował, trzeci nie zauważy w ogóle...

**26 września. Rysownik Kubin** Kubin Alfred (ur. 1817), znakomity austriacki malarz i grafik, ilustrował między innymi książki Hoffmanna, Hauffa, Poe'go, Strindberga i Dostojewskiego.

zaleca jako środek przeczyszczający regulinę, zmielony wodorost, który pęcznieje w kiszkach i wprawia je w drganie, działa zatem mechanicznie w odróżnieniu od szkodliwego, chemicznego działania innych środków przeczyszczających, które kał tylko rozrywają, pozwalają mu więc przywierać do ścian kiszek.

Spotkał się z Hamsunem u Longena. On (Hamsun) śmieje się szyderczo bez wyraźnego powodu. W czasie rozmowy, nie przerywając jej wcale, założył nogę na nogę, wziął ze stołu wielkie nożyce do przecinania papieru i obciął dokoła strzępy swojej nogawki. Niechlujnie odziany, tylko jeden szczegół ubioru kosztowniejszy, na przykład krawat.

Plotki o pewnym pensjonacie artystów w Monachium, zamieszkanym przez malarzy i weterynarzy (szkoła tych ostatnich mieściła się opodal), gdzie zachowywano się tak nieprzyzwoicie, że ludzie wynajmowali okna przeciwległego domu, skąd był dobry widok. Aby zadowolić tych widzów, nieraz któryś z pensjonariuszy wskakiwał na framugę okna i w małej pozycji opróżniał łyżką swój garnek zupy.

Pewien wytwórca fałszywych antyków, który wywoływał efekt zużycia strzelając śrutem, i który powiedział o pewnym stole: „teraz musimy jeszcze wypić na nim trzy razy kawę, potem będzie go można odesłać do muzeum w Innsbrucku”.

Sam Kubin: bardzo mocno, choć trochę jednostajnie drgająca twarz, z jednakowym napięciem ścięgien, opisuje najrozmaitsze rzeczy. Wygląda na coraz to inny wiek, a nawet i tuszę, zależnie od tego, czy siedzi, czy wstaje, czy ma na sobie samo tylko ubranie czy zarzutkę.

27 września. Wczoraj na placu Wacława spotkanie dwu dziewcząt, zbyt długo zatrzymując spojrzenie na jednej z nich, podczas gdy właśnie druga, jak to okazało się poniewczasie, była okryta przytulnie miękkim, brunatnym, fałdzistym, obszernym, z przodu trochę rozchylonym płaszczem, i miała delikatną szyję i delikatny nos, a włosy jej były piękne w sposób dawno zapomniany. Na Belwederze starzec w luźno opadających spodniach. Gwiżdże; kiedy nań spojrzę, przestaje gwizdać, odrywam wzrok, zaczyna znowu. Wreszcie gwiżdże nawet wtedy, gdy nań patrzę. Piękny duży guzik, pięknie przyszyty u spodu rękawa dziewczęcej sukni. Suknia również pięknie noszona, unosi się nad amerykańskimi bucikami. Jakże rzadko udaje mi się coś pięknego! a temu nie zwracającemu niczyjej uwagi guzikowi i jego nieświadomej krawcowej udaje się. Idąca na Belweder pani, opowiadała coś, jej pełne życia oczy, zadowolone, przeglądały na wskroś jej opowiadanie aż do końca, niezależnie od słów wypowiedzianych w danej chwili. Mocny półobrót szyi tęgiej dziewczyny.

29 września. Dzienniki Goethego. Człowiek nie piszący dziennika bywa w stosunku do czyjegoś dziennika w fałszywej sytuacji. Kiedy czyta na przykład w Dziennikach Goethego: „11 stycznia 1797. Przez cały dzień zajęty w domu robieniem rozmaitych porządków”, wówczas zdaje mu się, że sam nigdy jeszcze nie działał tak mało w ciągu jednego dnia.

Spostrzeżenia z podróży Goethego różne od dzisiejszych, bo dokonywane z dylżansu, mogły rozwijać się prościej w miarę powolnych zmian w terenie, o wiele też łatwiej może nadażyć ich śladem ktoś nie znający tych okolic. Spokojny, po prostu krajobrazowy tok myślenia. Ponieważ przed pasażerem powozu okolica rozpościera się nienaruszona we wrodzonym swym charakterze, co więcej, ponieważ gościńce przecinają kraj w sposób znacznie bardziej naturalny niż linie kolejowe, do których pozostają może w takim stosunku, jak rzeki do kanałów — obserwator nie musi również zdobywać się na żadne gwałtowne wysiłki i może przyglądać się systematycznie bez szczególnego

trudu. Spostrzeżenia migawkowe należą zatem do rzadkości, dokonywa się ich najczęściej tylko w pomieszczeniach mieszkalnych, gdzie pewni ludzie zjawiają się nagle komuś przed oczyma, na przykład austriaccy oficerowie w Heidelbergu; natomiast miejsce mężczyzn z Wiesenheimu jest bardziej zgodne z krajobrazem, „noszą oni niebieskie kurtki i ozdobne białe kamizelki tkane w kwiaty” (cytat z pamięci). Wiele napisano o wodospadzie Renu koło Schaffhausen, a pośrodku tych zapisków większymi literami: *Inspiracje* Erregte Ideen.

Kabaret Lucerna. Łucja König wystawia fotografie kobiet z dawnymi fryzurami. Wyświechtana twarz. Nieraz coś udaje się jej zadartym nosem, podniesionym w górę ramieniem i zgięciem wszystkich palców. Twarz zmęczona — Longen (malarz Pittermann): groteski mimiczne. Wyczyn oczywiście niezabawny, a przecież nie można go za taki uważać, inaczej bowiem nie można by go dokonywać; zwłaszcza że już w chwili swego skomponowania był tak niezabawny, iż uniemożliwił stworzenie odpowiedniego schematu, który pozwoliłby raczej uniknąć częstego wy-stępowania całej postaci ludzkiej. Ładny skok w stylu kłowna ponad krzesłem, w pustą czeluść kulis bocznych. Całość przypomina przedstawienie w prywatnym towarzystwie, gdzie ze względów towarzyskich oklaskuje się z niezwykłym zapalem jakiś wymęczony, niepozorny wyczyn po to, by z uwagi na „minus” produkcji, zyskać przez „plus” entuzjazmu coś wygładzonego i zaokrąglonego. Śpiewak Vaschata. Tak marny, że można się zapamiętać w jego wyglądzie. Bo będąc tęgim człowiekiem utrzymuje przecież z jakąś zwierzęcą siłą, którą na pewno tylko ja sobie uświadamiam, uwagę publiczności w stanie połowicznego skupienia.

Grtinbaum znany w owym czasie komik sprawia wrażenie niby tylko pozorną beznadziejnością swego istnienia.

Odys, tancerka. Sztywne biodra. Poprawna bezcielesność. Zaczerwienione kolana harmonizują jedynie z *Wiosennymi nastrojami*.

30 września. Dziewczyna w sąsiednim pokoju przedwczoraj (R. H.). Leżałem na kanapie, słysząc jej głos na rubieżach półsnu. Zdawało mi się, że jest niezwykle grubo odziana, nie tylko w swoją suknię, lecz również w cały pokój sąsiedni. Tylko kształtne nogi, krągłe, jędrne, śniade ramię, które widziałem w kąpiele, odcinało się od jej stroju.

Zdawało mi się przez chwilę, że jej postać dymi parą i wypełnia swymi oparami cały przyległy pokój. Potem znieruchomiła w gorsecie popielatoszarej barwy, który u spodu tak odstawał od ciała, że można było usiąść na nim i niby jechać konno.

Jeszcze o Kubinie: nawyk powtarzania ostatnich słów rozmówcy, w tonie na wszelki wypadek przytakującym, chociaż z własnych, wsuniętych pomiędzy to słów wynika całkowity brak zgody z bliźnim. To nieznośne. Słuchając wielu jego opowiadań, można zapomnieć, ile on sam jest wart. Nagle coś przypomina o tym i czuje się lęk. Była mowa o tym, że lokal, do którego chcieliśmy zajść, jest ryzykowny; on na to, że jeśli tak, to tam nie pójdzie. Spytałem go, czy się boi, na co odpowiedział uczeniwszy się mnie w dodatku: „Oczywiście, jestem młody i wiele rzeczy mam jeszcze przed sobą”.

W ciągu całego wieczoru poruszał często i, jak mi się zdaje, całkiem poważnie, sprawę mojej i swojej obstrukcji. Około północy, gdy w zwiesił rękę ze stołu, na widok części mego ramienia zawołał: „Ależ pan jest naprawdę chory”. Od tej chwili odnosił się do mnie jeszcze o wiele troskliwiej, a potem sprzeciwiał się nawet innym, którzy chcieli mnie namówić, abym razem z nimi poszedł do B. Gdyśmy się wreszcie pożegnali, wołał do mnie jeszcze z daleka: „Regulina”!

Tucholsky Tucholsky Kurt (1890—1935), niemiecki publicysta i powieściopisarz pochodzenia żydowskiego, przez jakiś czas naczelny redaktor Weltbühne, reprezentował poglądy lewicowe. i Szafranski. Przydechowy dialekt berliński, w którym głos wymaga dla odpoczynku przerw, utworzonych przez „no nie”. Pierwszy to człowiek od stóp do głów jednolity, lat dwadzieścia jeden. Począwszy od raz umiarkowanego, to znów energicznego wywijania laską, przy którym podnosi młodzieńczo ramię — aż do świadomego zadowolenia i pogardy dla własnych utworów. Chce zostać obrońcą, widzi przed sobą niewiele przeszkód, a równocześnie możliwość ich usunięcia: swój wysoki głos, który po męskim brzmieniu w ciągu pierwszej półgodziny mówienia staje się podobno dziewczęcy. Powątpiewa we własną umiejętność pozowania, której jednak spodziewa się nabrać w miarę rosnącego doświadczenia życiowego — wreszcie obawia się popaść w ton „weltszmercu”, jaki zauważył u starszych Żydów berlińskich w tym zawodzie: co prawda na razie nie czuje tego u siebie ani śladu. Ożeni się wkrótce.

Szafranski, uczeń Bernharda, podczas rysowania i obserwacji stroi grymasy związane z rysunkiem. Przypomina mi to, iż sam mam niezwykle talent parodystyczny, nie zauważany przez

nikogo. Jakże często musiałem udawać Maksa. Wczoraj wieczorem w drodze powrotnej do domu bylbym jako widz zamienił sam siebie z Tucholskym. Cudza istota musi mi w takich chwilach jawić się tak wyraziście, a zarazem niewidzialnie jak przedmiot ukryty w łamigłówce obrazkowej, w której nigdy nie znalazłoby się niczego, gdyby się nie wiedziało, że to coś tam tkwi. W toku tych parodii miałbym szczególnie wielką ochotę uwierzyć, iż myślą mnie własne oczy.

1 października. Staro-Nowa synagoga wczoraj. Kol Nidre. Stłumiony szwargot giełdziarski. W przedśionku puszcza z napisem: „Błogich darów cicha władza, wsze niechęci rozpogadza”. Wnętrze jakby kościelne. Trzej nabożni, widać Żydzi ze Wschodu. W pończochach. Pochyleni nad modlitewnikami, z całunem modlitewnym na głowach, możliwie jak najbardziej skurczeni. Dwu z nich płacze, czyżby na skutek rozrzewnienia z powodu świąt? Może jednego z nich bołą tylko oczy, przelotnie przykłada do nich jeszcze chustkę rytualną, by natychmiast znów przybliżyć twarz do tekstu. Słów nie śpiewa się tutaj zgodnie z ich znaczeniem właściwym czy zasadniczym, ale gdy już przebrzmiały, wysnuwa się arabeski ze słowa przędzonego dalej niby nitka cienka jak włos. Mały chłopiec, bez najbliższego wyobrażenia o całokształcie obrzędu i bez możliwości zorientowania się, przepycha się wśród stłoczonych ludzi, sam też popychany przez nich. Komisjoner z wyglądu, kiwający się prędko przy modlitwie, co należy tłumaczyć usiłowaniami możliwie głośniego, choć może i niezrozumiałego akcentowania każdego słowa przy równoczesnej oszczędności głosu, który modlitwa odmawiana w wigilię Dnia Pojednania zresztą w takim zgietku nie zdobyłby się na wyraźny i mocny akcent. Rodzina właściciela burdelu. W synagodze Pinkasa byłem przejęty żydostwem nieporównanie silniej.

Przedwczoraj. Jedna z nich, Żydówka o wąskiej twarzy, lub raczej: twarzy, która przechodzi w wąską brodę, lecz dzięki luźnej, falistej fryzurze roztrzępuje się wszecz. Troje małych drzwi, wiodących z wnętrza budynku do salonu. Goście, jakby w ukazanej na scenie wartowni, nawet napojów na stole mało kto próbuje. Kobieta o płaskiej twarzy w obrzydliwej sukni, która zaczyna się poruszać dopiero w dole, głęboko, na skraju obrąbka. Kilka postaci odzianych niby marionetki z dziecinnego teatrzyku, jakie sprzedaje się na wigilijnych straganach, to znaczy oklejone świecidłami i pozłótką oraz zszyte luźno, tak że można je oderwać jednym szarpnięciem, one zaś rozlatują się człowiekowi w palcach. Pani domu, o włosach matowo złocistych, naciągniętych mocno na bezsprzecznie ohydne podkładki, o nosie mocno zakrzywionym, którego kierunek pozostaje w jakimś geometrycznym stosunku do obwisłych piersi i sztywnie wypiętego brzucha, uskarża się na ból głowy spowodowany tak licznym zbiegowiskiem właśnie dziś w sobotę, które zresztą nic nie daje.

Co do Kubina: opowiadanie Hamsuna jest podejrzane. Takich opowieści można by przytaczać z jego dzieł tysiące, jako przeżyte naprawdę.

Co do Goethego: inspiracje to są tylko takie myśli, które wzbudza wodospad Renu. Widać to z pewnego listu do Schillera. Odosobniona migawkowa obserwacja „rytm kastanietów u dzieci obutych w drewniaki” wywołała takie wrażenie i spotkała się z tak powszechnym uznaniem, iż wykluczone jest, by ktoś, kto nawet nie czytając nigdy tej notatki, mógł odczuć to spostrzeżenie jako myśl oryginalną.

2 października. Bezsenna noc. Już trzecia z rzędu. Zасыpiam dobrze, ale po upływie godziny budzę się, jak gdybym włożył głowę w niewłaściwy otwór. Jestem zupełnie rozbudzony, mam takie wrażenie, jakbym nie spał w ogóle lub tylko pod cienką błonką uśpienia, mam znów przed sobą trud zasypiania i czuję się odepchnięty od snu. I oto teraz rozpoczyna się cała noc mniej więcej aż do godziny piątej, noc taka, że wprawdzie śpię, ale wyraziste sny trzymają mnie równocześnie w stanie czuwania. śpię dosłownie obok siebie, a sam muszę szamotać się z sennymi widziadłami. Około godziny piątej jest już dospiany ostatni ślad snu, marzę tylko, co wysiła bardziej niż czuwanie. Krótko mówiąc przepędzam całą noc w stanie takim, w jakim człowiek zdrowy znajduje się na krótką chwilę przed właściwym zaśnięciem. Kiedy budzę się, wszystkie sny są jeszcze skłębione dokoła mnie, lecz wystrzegam się przenikać je myślą. Gdy blisko już świtu, wzdycham w poduszkach, na tę noc wszelka nadzieja jest stracona. Myślę o tych nocach, u których końca wynurzałem się z głębokiego snu i budziłem się tak, jak gdybym był zamknięty w łupinie orzecha.

Straszliwym zjawiskiem dzisiejszej nocy było ślepe dziecko, niby to córeczka mojej ciotki z Litomierzyc, która zresztą nie ma córki, tylko samych synów — jeden z nich złamał pewnego razu nogę. Natomiast zachodził pewien związek między tym dzieckiem a córką dra M. Jest ono, jak ostatnio dostrzegłem, na drodze do przeobrażenia się z ładnego dziecka w grubą, sztywnie wykrygowaną panienkę: otóż to ślepe czy krótkowzroczne dziecko miało oczy przysłonięte okularami: lewe oko pod dość odstającą soczewką było mleczno szare, okrągłe i wylupiate, prawe było

zapadnięte i zakryte przylegającą soczewką okularów. Aby osadzić te okulary poprawnie pod względem optycznym, należało zamiast zwykłego, sięgającego poza ucho zauszniaka użyć dźwigienki, której punkt podparcia nie dał umocować się inaczej, tylko na kości policzkowej, tak że z tej właśnie soczewki zwisła w stronę policzka sztabka znikająca tam w przekłutej skórze i dochodząca aż do kości, a nowy drucik sterczał stamtąd i owijał się dokoła ucha.

Zdaje mi się, że jedynym powodem tej mojej bezsenności jest pisanie. Bo jakkolwiek mało piszę i źle, przecież te drobne niepokoje zwiększają moją wrażliwość, około wieczora, a wyraźniej jeszcze rankami czuję jakby ból, bliską możliwość potężnych, rozszarpujących mnie stanów, które mogą dać mi siłę do wszelkiego działania; a wtedy nie mam już w ogóle spokoju wśród wszechstronnego zgiełku wewnętrznego, jaki we mnie jest, i nad którym nie mam czasu zapanować. W końcu ten zgiełk jest tylko stłumioną i powściągniętą harmonią, która wyzwolona wypełniłaby mnie całkowicie, a nawet rozprzestrzeniłaby mnie jeszcze i potem wypełniła ponownie. Jednak obecnie, pomijając mdłe odruchy nadziei, stan ten jedynie mi szkodzi, ponieważ moja istota jest nie dość chłonna, aby strawić obecną gmatwaninę; za dnia dopomaga mi widzialny świat, w nocy ćwiartuje mnie to, jak chce, nie natrafiając na przeszkody. Zawsze przychodzi mi w takich chwilach na myśl Paryż, gdzie w okresie obłączenia i później, aż do wystąpienia Komuny, obca dotychczas paryżanom ludność północnych i wschodnich przedmieść całymi miesiącami, formalnie z godziny na godzinę, sunęła łączącymi uliczkami w centrum Paryża, nieruchomiejąc chwilami jak wskazówka zegarka.

Pocieszam się — i z tą pociechą układam się teraz do snu — że tak długo nie pisałem nic w ogóle, że zatem pisanie to nie mogło jeszcze włączyć się w moje aktualne stany, że jednak przy pewnym męskim wysiłku musi udać się to przynajmniej prowizorycznie. Byłem dzisiaj tak słaby, że historię o dziecku opowiedziałem nawet swemu szefowi. Teraz dopiero przypominam sobie, że widziane we śnie okulary pochodzą od mojej matki, która wieczorem siedzi zwykle obok mnie i, kładąc pasjansa, rzuca ku mnie spod cwikieru niezbyt miłe spojrzenia. Jej cwikier ma nawet — a nie przypominam sobie, bym zauważył to poprzednio — prawą soczewkę osadzoną bliżej oka niż lewą.

3 października. Taka sama noc, tylko jeszcze trudniejsze zaśnięcie. Przy zasypianiu ból czaszki posuwający się pionowo od nasady nosa, wywołany jest jak gdyby zbyt mocnym zaciśnięciem zmarszczki na czole. Aby stać się możliwie ciężki, co uważam za pomoc przy zasypianiu, skrzyżowałem ręce, kładąc dłonie na barki, tak że leżałem niczym objuczony żołnierz. W zaśnięciu przeszkadzała znowu siła moich snów, które promieniują w stan świadomości jeszcze przed zaśnięciem, świadomość moich poetyckich zdolności bywa wieczorem i rano wprost nieprzejrzana. Czuję, że rozluźniłem się aż do głębi swej istoty i mogę dobyć z siebie, co tylko zechcę. To wyczarowywanie z siebie takich mocy, które następnie skazuje się na bezczynność, przypomina mi mój stosunek do pani B. I tam zdarzają się wylewy bez upustu, lecz odepchnięte muszą się same unicestwić; tylko że w tym właśnie wypadku — i tu tkwi różnica — chodzi o bardziej tajemnicze siły i moją wartość ostateczną.

Na placu Józef a przemknął obok mnie wielki samochód podróży ze stłoczoną w nim ciasną rodziną. Za samochodem razem z wyziewem benzyny powiało mi przez twarz tchnienie Paryża.

Siedzę w biurze przy dyktowaniu większego pisma urzędowego do jednej z komend okręgowych. Przy zakończeniu, które miało błysnąć polotem, utknąłem, nie mogąc zdobyć się na nic więcej jak tylko na przyglądanie się maszynistce pannie K., która swoim zwyczajem wpadła w niezwykle ożywienie, zaczęła przesuwając krzesło, pokaszliwać, bębnić palcami po stole i w ten sposób zwróciła uwagę całego pokoju na moje nieszczęście. Upragniony pomysł zyskuje tym samym na wartości o tyle, że uspokoi ją, a im staje się cenniejszy, tym trudniej mi na niego wpaść. Wreszcie błyska mi słowo „napiętnować” wraz z odpowiednim zdaniem, ale wszystko to trzymam jeszcze w ustach z odrazą i wstrętem niby surowe mięso, ze mnie samego wykrojone mięso (tyle trudu mnie to kosztowało). Na koniec wypowiadam wszystko, grzęzną jednak nadal w przeraźliwym lęku, że wszystko we mnie dojrzało do pracy twórczej i że taka właśnie praca stałaby się dla mnie niebiańskim wyzwoleniem i prawdziwym powrotem do życia, podczas gdy tu, w biurze, muszę dla jakiejś nędznej pisaniny biurowej pozbawić kawałka własnego mięsa ciała, zdolne do takiego szczęścia.

4 października. Jestem niespokojny i nabrzmiąły jadłem. Wczoraj przed zaśnięciem czułem w górze czaszki, po lewej stronie, chybotliwy, chłodny płomyczek. Ponad moim lewym okiem zadomowiło się już na dobre jakieś napięcie. Gdy myślę, wówczas wydaje mi się, że w biurze nie wytrzymałbym nawet, gdyby mi powiedziano, że do miesiąca będę wolny. A przecież spełniam tam prawie wszystkie swoje obowiązki, jestem całkiem spokojny, gdy tylko mogę być pewny zadowolenia swego szefa i nie odczuwam własnego stanu jako czegoś przerażającego. Zresztą wczoraj wieczór

rozmyślnie głupio postąpiłem, poszedłem na przechadzkę, czytałem Dickensa, potem uczułem się trochę zdrowszy i utraciłem się potrzebną do smutku; uważałem go za uzasadniony, chociaż było mi tak, jakby ten smutek odsunął się nieco w dal, w związku z czym miałem nadzieję na lepszy sen. Był też ów sen nieco głębszy, nie dość jednak, i często przerywany. Na pociechę powiedziałem sobie, że wprawdzie ponownie stłumił wielkie wzburzenie zamknięte we mnie, jednak nie chciałem wypuścić samego siebie z rąk, tak jak zawsze dawniej po takich okresach, lecz pragnąłem zachować dokładną świadomość owego wzburzenia; czego nigdy przedtem nie czyniłem. Może tym sposobem zdołałbym wykryć w sobie jakąś ukrytą odporność.

Pod wieczór w moim pokoju na kanapie w ciemności. Dlaczego trzeba dłuższego czasu na rozpoznanie jakiejś barwy, później jednak, skoro ostatecznie skłoniliśmy się w myśli ku czemuś i uzyskaliśmy pewność, coraz to szybciej wzrasta nasze przekonanie co do tej barwy. Kiedy na szklane drzwi pada od zewnątrz światło z przedpokoju równocześnie z światłem z kuchni, to zielonkawy lub raczej, aby nie zmniejszyć pewności wrażenia, zielony blask leje się szybami prawie do samego dołu. Gdy się teraz światło w przedpokoju skręci i gdy pozostanie tylko światło kuchenne, wtedy szyba bliższa kuchni staje się ciemnobłękitna, druga zaś szyba białawobłękitna; tak dalece białawo, że rozplywa się w tym kolorze cały ornament na matowym szkle (stylizowane makówki, wąsy roślinne, przeróżne czworokąty i liście).

Światła i cienie rzucające przez elektryczne lampy z dołu, z ulicy i mostu na ściany i sufit są bezładne, częściowo zamazane, zachodzące na siebie i trudne do zbadania. Bo przy zakładaniu elektrycznych lamp łukowych i przy urządzeniu tego właśnie pokoju nie zatroszczył się nikt po kobiecemu o to, jak mój pokój, widziany o tej porze z kanapy, będzie wyglądał bez własnego, wewnętrznego oświetlenia.

Odblask rzucający przez jadący na dole tramwaj ku górze, na sufit, przejeżdża białawo, mglisto — utykając wskutek mechanicznych przeszkód wzdłuż jednej ze ścian sufitu, załamany na krawędzi. Globus, który stoi w bezpośrednim, świeżym, pełnym odbłasku ulicznego oświetlenia na bielizniarce, powleczonej od góry czystą, zielonkawą poświatą, ma punkt świetlisty na swej krągłości i wygląda tak, jak gdyby raził go jednak zbyt silny blask, chociaż światło muska jego łysinę tylko przelotnie i zostawia go raczej w brunatnym półmroku na kształt skórzanego jabłka. Światło z przedpokoju, które tworzy na ścianie nad łóżkiem szeroką plamę jasności z wygiętym konturem ograniczonym przez wezłowie łóżka, spycha łóżko, zda się, w oka mgnieniu w dół, poszerza jego ciemne ramy, podnosi sufit nad łóżkiem.

5 października. Po raz pierwszy od paru dni nawrót niepokoju, nawet przed tą pisaniną. Wściekłość na moją siostrę, która przychodzi do pokoju i siada przy stole z jakąś książką. Wyczekiwanie na najbliższą sposobność rozpętania tej wściekłości. Nareszcie bierze jakiś bilet wizytowy z tacki i dłubie nim w zębach. Ze słabnącą wściekłością, po której pozostaje mi w głowie tylko kłujący osad, i z początkiem ulgi oraz ufności biorę się do pisania.

Wczoraj wieczorem Cafe Savoy mało uczęszczana kawiarnia, miejsce występów teatralnej trupy żydowskiej, która odegrała dużą rolę w życiu Kafki Żydowskie towarzystwo. Pani K., „parodystka panów”. W kaftanie, krótkich czarnych spodenkach, białych pończochach, białej koszuli z cienkiej tkaniny wełnianej, wystającej nad czarną kamizelkę, zapiętą z przodu przy szyi na niciany guzik i wywiniętą następnie w szeroki, luźny kołnierz o długich klapach. Na głowie — ogarniająca włosy kobiety, ale i poza tym potrzebna i noszona też przez jej męża — ciemna czapeczka bez ronda, na niej wielki, miękki, czarny kapelusz z rondem wysoko odwiniętym. Nie wiem właściwie, kim są postacie odgrywane przez nią i przez jej męża. Gdybym chciał przedstawić je komuś, przed kim wolałbym nie przyznawać się do swej niewiedzy, przekonałbym się, że uważam je za urzędników gminnych spełniających pewne funkcje w synagodze, leniuchów dobrze znanych, zaangażowanych przez gminę; za uprzywilejowanych z jakich bądź religijnych pobudek darmożjadów; za ludzi, którzy na skutek swego wybitnego stanowiska stoją całkiem blisko centrum życia gminy, a dzięki swemu bezpożytecznemu, czujnemu wałęsaniu się znają wiele pieśni i orientują się szczegółowo w warunkach wszystkich członków gminy, niemniej z powodu braku wszelkich związków z życiem zawodowym nie umieją w żaden sposób wykorzystać tych wiadomości; za ludzi, którzy są Żydami osobliwie czystego typu, ponieważ żyją tylko w obrębie religii, lecz bez trudu, zrozumienia i smutku. Czynią wrażenie, jakby z każdego robili wariata; śmieją się natychmiast po zamordowaniu jakiegoś szlachetnego Żyda, zaprzędają się byle odszczepieńcowi, tańczą z zachwytem wsadziwszy ręce w pejsy, gdy zdemaskowany morderca połyka truciznę i wyje do Boga, ale wszystko to jedynie dlatego, bo są jak pióro lekcy; bo za lada pchnięciem-leżą na ziemi, bo są wrażliwi, bo o byle co płaczą z suchymi oczyma (wyplakują się w grymasach), ale ledwie nacisk zelżał, już nie mają najmniejszego ciężaru własnego, lecz muszą co prędzej podskakiwać.

Musieliby więc sztuce poważnej, jaką jest Meszumed <sup>Ochrzczony (dosłownie: zniszczony)</sup> Lateinera <sup>Lateiner</sup> Joseph, pisarz żydowski, przysporzyć, szczerze mówiąc, wiele kłopotu, bo pojawiają się zawsze na przodzie sceny w całej swej okazałości, stając często na palcach lub wyrzucając obie nogi w powietrze i nie rozładowują napięcia utworu, lecz siekają je na cząstki. Powaga jednak sztuki rozsnuwa się w słowach tak zwartych, tak odważonych nawet w porywach improwizacji, tak prężnych jednolitym uczuciem, że nawet akcja rozgrywająca się tylko na dalszym planie sceny zachowuje trwale swe znaczenie. Raczej przytłumieni są gdzieniegdzie ci dwaj w kaftanach, co odpowiada ich naturze, tak że pomimo ich rozłożonych rąk i prztykających palców widz dostrzega w głębi tylko mordercę, który przełknąwszy truciznę, z ręką przy swym właściwie zbyt szerokim kołnierzu idzie chwiejnie ku drzwiom.

Melodie są długie, ciało powierza się im chętnie. Na skutek ich monotonnej rozwlekłości odpowiada im najlepiej kołysanie bioder, rozkładanie rąk podnoszonych i opuszczanych ze spokojnym oddechem, przybliżenie dłoni ku skroniom przy starannym unikaniu dotknięcia. Przypomina to trochę człapaka.

Podczas niektórych pieśni, przy wymawianiu słów *jüdische Kinderlach*, podczas pewnych spojrzeń tej kobiety, która stojąc na podium przyciąga ku sobie — bo jest Żydówką — nas słuchaczy, bo jesteśmy Żydami, i to bez żądzy albo ciekawości zwróconej ku chrześcijanom — drzenie przebiegało mi przez policzki. Reprezentant rządu, może jedyny — z wyjątkiem kelnera i dwu stojących na lewo od sceny posługaczek — chrześcijanin na sali, jest pożałowania godnym człowiekiem, o nerwowej, drgającej twarzy. Drganie to, zwłaszcza na jej lewej połowie, wdzierające się mocno i w prawą, ściąga i rozluźnia całą twarz z prędkością niemal łagodną, to znaczy szybkością sekundnika, ale i z jej regularnością. Ów „tik” przemykając lewym okiem gasi je prawie zupełnie. Z powodu owych skurczów rozwinęły się w twarzy, poza tym całkiem wynędzniałej, nowe, drobne, świeże mięśnie.

Talmudyczna melodia ścisłych pytań, zaklęć lub objaśnień: w tubę wdziera się powietrze i porywa ją ze sobą, a ku pytanemu leci wirując urastająca z małych, dalekich zaczątków do wielkich rozmiarów, w całokształcie dumna, w skrętach swych pokorna śruba.

6 października. Dwaj starcy na przodzie, przy długim stole tuż przed sceną. Jeden z nich opiera się obiema rękami o stół, zwracając na prawo w górę ku scenie tylko twarz, której niezdrowa, spotniała czerwień z brodą w kształcie nieregularnego czworokąta u dołu smutno zataja jego wiek. Natomiast drugi, na wprost sceny, odchyła swobodnie od stołu głowę zasuszoną odpowiednio przez starość, opierając się o stół tylko lewym ramieniem, zaś ramię prawe trzyma ugięte w powietrzu, aby lepiej rozkoszować się melodią, za którą drepcą palce jego stóp, a fajka w prawicy słabo nadaża. „Tateleben, no śpiewajże razem z nimi — woła kobieta raz do jednego, raz do drugiego, pochylając się trochę z wyciągniętymi nagląco ramionami.

A melodie mogą pochwyć każdego podskakującego i, nie rozrywając, ogarnąć cały jego poryw, jeśli w końcu nie chciano wierzyć, że to one go powodują. Bo też tych dwoje w kaftanach rwie się szczególnie do śpiewania, jak gdyby z tęsknoty własnego ciała za najistotniejszą jego potrzebą; a klaskanie dłońmi przy śpiewie w widoczny sposób dowodzi szczytu błogości człowieka w aktorze. Dzieci gospodarza są przez cały czas z panią K. na scenie, w kącie, w dzieciennym stosunku do akcji i śpiewają razem, ich usta o wydymających się kolisto wargach pełne są melodii.

Sztuka: Seidemann, bogaty Żyd, dał się już przed dwudziestu laty wychrzcić, kondensując w tym zamiarze wszystkie zbrodnicze swe instynkty; otruł wówczas swą żonę, która nie dała zmusić się do przyjęcia chrztu. Od tej pory usiłował zapomnieć żargon, który jednak gdzieś na samym dnie współbrzmi w jego mowie, zwłaszcza na początku sztuki, aby słuchacze to sobie zapamiętali, i dlatego zbliżające się wydarzenia dają na razie czas na to: Seidemann przejawia też ustawicznie wielką odrazę do wszystkiego, co żydowskie. Córkę swą przeznaczył dla oficera Dragomirowa, lecz ta, kochając swego kuzyna, młodego Edelmanna, powstaje w potężnej scenie, przybiera niezwykłą, dopiero w talii zgiętą posagową pozę i oświadcza ojcu, że trzyma się mocno żydostwa, cały zaś akt kończy wzgardliwym śmiechem, szydzącym z narzuconego jej przymusu. (Chrześcijanami w tej sztuce są: dzielny służący Seidemann, Polak, który przyczynia się później do jego zdemaskowania — dzielny przede wszystkim dlatego, bo wokół Seidemann trzeba koniecznie zgrupować kontrasty — oficer, którym sztuka, wyjąwszy relację o jego zadłużeniu, zajmuje się niewiele, ponieważ jako wytworny chrześcijanin nie interesuje on nikogo, podobnie jak występujący prezydent sądu, no i w końcu woźny sądowy, którego złośliwość nie przekracza ani wymagań piastowanego przezeń urzędu, ani błazeństwa obojga kaftaniarzy, chociaż Maks nazywa go „pogromistą”.) Dragomirow może jednak z jakichś tam powodów ożenić się tylko wtedy, gdy ktoś wykupi jego weksle, które posiada stary Edelmann i których nie zwraca, jakkolwiek ma sam wyjechać niebawem do Palestyny i chociaż



Seidemann chce za nie zapłacić gotówką. Córka zachowuje się względem zakochanego oficera wyniośle i chełpi się swym żydostwem, mimo że jest ochrzczona; oficer nie umie sobie poradzić i zwiesiwszy ręce, splótłszy luźnie palce, patrzy na ojca z prośbą o pomoc. Córka ucieka do Edelmana, chce poślubić ukochanego, chociaż na razie potajemnie, gdyż wedle świeckiego prawa Żyd nie może ożenić się z chrześcijanką, bez zgody zaś swego ojca nie wolno jej powrócić do judaizmu. Nadchodzi ojciec, widzi, że bez podstępów wszystko byłoby stracone i pozornie błogosławi małżeństwu. Wszyscy przebaczą mu, co więcej, zaczynają go kochać, tak jak gdyby nie mieli przedtem racji, nawet sam stary Edelman i to szczególnie, chociaż wie, że Seidemann otrął jego siostrę. (Ta luka powstała może na skutek skrótów, a może i dlatego, że sztukę przekazywano najczęściej ustnie z jednej trupy aktorskiej do drugiej.) Dzięki temu pogodzeniu się Seidemann odzyskuje przede wszystkim weksle Dragomirowa, bo „wiesz — mówi — nie chcę, żeby ten Dragomirow źle mówił o Żydach” — i Edelman wręcza mu je darmo, następnie Seidemann woła go w stronę kotary w głębi, niby to, aby mu coś pokazać, i zadaje mu z tyłu śmiertelny cios nożem przez szlafrok w plecy. (W czasie od pojednania do morderstwa zeszedł Seidemann na dość długą chwilę ze sceny, aby omysleć plan i kupić nóż.) W ten sposób chce zgotować szubienicę dla młodego Edelmana, gdyż z niego musi paść podejrzenie, a jego córka stanie się wolną dla Dragomirowa. Ucieka, za portierą leży Edelman. Na scenę wchodzi córka w ślubnym welonie, wsparta o ramię młodego Edelmana, który włożył koszulę modlitewną. Ojca, jak widać, nie ma tu jeszcze niestety. A oto i Seidemann; wydaje im się uszczęśliwiony widokiem pary młodej. Wtem zjawia się ktoś, może sam Dragomirow, może tylko jakiś inny aktor, a właściwie nieznamy nam detektyw i oświadcza, że musi zrobić rewizję w całym domu, gdyż „w domu tym nikt nie jest pewny swego życia”. Seidemann: „Moje dzieci, nie martwcie się, to naturalnie omyłka, oczywiście. To wszystko się wyjaśni”. Znalezienie zwłok Edelmana, oderwanie od ukochanej i aresztowanie Edelmana juniora. W ciągu całego aktu poucza Seidemann z wielką cierpliwością, akcentując bardzo dobrze wtrącone, drobne uwagi (Tak, tak, wcale dobrze. To znowu nie tak. Tak, to już lepiej. Owszem, owszem.), tych dwoje w kaftanach, jak mają świadczyć przed sądem o zmyślonej, od roku trwającej wrogości między starym a młodym Edelmannem. Kaftaniarze z trudem wchodzą w sedno sprawy, zachodzi wiele nieporozumień, na przykład występują oboje przy zaimprovizowanej próbie sceny sądowej z oświadczeniem, że to Seidemann im nakazał przedstawić sprawę w ten właśnie sposób — aż wreszcie wzywają się tak mocno w ową wrogość, że nawet — tu Seidemann nie może ich wstrzymać — są w stanie odegrać scenę samego mordu, pokazując, jak mąż przebija żonę na śmierć, rogalikiem. To oczywiście już więcej, niż trzeba. Mimo to Seidemann jest w miarę zadowolony z obojga i spodziewa się uzyskać przy ich pomocy pomyślny wynik procesu. Tutaj bez jakichkolwiek obwieszczeń słownych, bo jest to zrozumiałe samo przez się, ku zadowoleniu wierzącego słuchacza wkracza sam Bóg w miejsce wycofującego się autora i karze zbrodniarza ślepotą.

W ostatnim akcie zasiada znowu jako prezydent sądu wiecznie powracający aktor, który gra Dragomirowa (i w tym również ujawnia się lekceważenie czynnika chrześcijańskiego; aktor żydowski może doskonale grać trzy chrześcijańskie role na raz, a jeśli nawet zagra je źle, to przecież nic nie szkodzi) a obok niego jako obrońca sowiec obłożona pejsami i wąsami, lecz łatwo rozpoznawalna córka Seidemanna. Widz poznaje ją wprawdzie szybko, lecz uważa ją przez długi czas z uwagi na Dragomirowa za zastępczego aktora, aż wreszcie gdzieś koło połowy aktu dochodzi do przekonania, że ona przebrała się, aby uratować swego kochanka. Ci dwaj w kaftanach mają zeznawać nie razem, lecz każdy osobno, co jednak jest dla nich bardzo trudne, bo wyćwiczyli to we dwójkę. Co więcej, nie rozumieją języka literackiego, jakim mówi prezydent, któremu przychodzi z pomocą obrońca w trudnych momentach, zmuszony zresztą czasem do podpowiadania mu. Potem nadchodzi Seidemann, który już przedtem usiłował pokierować parą w kaftanach za pomocą skubania za puknie; wywiera dobre wrażenie swą płynną i dobitną wymową, swym roztroptym zachowaniem się, swą trafną w odróżnieniu od poprzednich świadków przemową do prezydenta sądu. Pozostaje to w straszliwym przeciwieństwie do rzeczy, które znamy. Jego zeznanie jest poniekąd pozbawione treści, niestety bardzo niewiele wiadomo mu o całej aferze. Lecz teraz jawi się w postaci ostatniego świadka, woźnego, nie całkiem świadomy swej funkcji, właściwy oskarżyciel Seidemanna. Zauważył on zakup noża przez Seidemanna, wie wreszcie, że Seidemann nienawidził Żydów, a szczególnie Edelmana, i pożył jego weksli. Para w kaftanach skacze pod sufit szczęśliwa, że może wszystko potwierdzić. Seidemann broni się jak człowiek honoru, nieco zakłopotany. Wówczas tematem wymiany słów staje się jego córka. Gdzież ona jest? W domu, to jasne, i zezna na jego korzyść. Nie, ona nie postąpi tak, utrzymuje obrońca i pragnąc tego dowieść, obraca się do ściany, ściągając perukę i zwraca się ku przerażonemu Seidemannowi jako jego córka. Gdy oderwała również wąsy, czysta białoskóra górnej wargi wygląda jak symbol kary. Seidemann połyka truciznę, aby umknąć przed sprawiedliwością ziemską, wyznaje swe zbrodnie, ale chyba już nie ludziom, lecz żydowskiemu Bogu, w którego, jak mówi obecnie, wierzy. Tymczasem pianista uderzył w klawisze melodię, para kaftaniarzy czuje się nią

porwana i musi puścić się w tan. W głębi sceny stoją połączeni wreszcie państwo młodzi, śpiewają, zwłaszcza poważny oblubieniec, arię — zgodnie ze starym obyczajem synagogalnym.

Pierwsze wejście na scenę pary w kaftanach. Wchodzą oboje do pokoju Seidemanna z puszkami na zbiórkę na cele świątyni, rozglądają się wokoło, czują się nieswojo, spoglądają na siebie. Przesuwają ręce po futrynie drzwi, nie znajdują mesusy puszka na domach ortodoksów żydowskich, w której mieściła się rolka pergaminu zawierająca wersety z Biblii. Przy innych drzwiach brak jej również. Nie chcą w to uwierzyć, podskakują do góry w coraz to innych drzwiach, jakby łapali muchy podnosząc się i opadając, i uderzają o najwyższą belkę futryny, aż słycać kłaśnięcia. Wszystko to daremnie, niestety. Do tej chwili nie powiedzieli ani słowa.

Podobieństwo pani K. do pani W. sprzed roku. Pani K. ma może temperament odrobinę słabszy i równiejszy, jest za to ładniejsza i przyzwoitsza. W. powtarzała stale dowcip polegający na potrącaniu partnerów scenicznych swym obfitym tyłkiem. Ponadto miała przy sobie gorszą śpiewaczkę i była dla nas czymś całkiem nowym.

„Parodystka panów” to właściwie błędne określenie. Ponieważ tkwi w kaftanie, zapomina się całkiem o jej ciele. Tylko przez drganie łopatek i kręcenie tyłkiem, jak gdyby ją pchły gryzły, przypomina o swym ciele. Rękawy, choć krótkie, musi co chwila podciągać w górę, po czym widz spodziewa się wielkiej ulgi dla kobiety mającej tyle wyśpiewać i wyjaśnić w talmudycznym sensie i sam dokłada starań, aby tak się stało.

Pragnienie, żeby ujrzeć teatr żargonowy wielkiej miary, bo przedstawienie utyka może na skutek nielicznej trupy aktorskiej i mało wnikliwego wgłębienia się w tekst. Dalej pragnienie poznania żargonowej literatury, którą obowiązuje oczywiście nie słabnąca nacjonalistyczna postawa bojowa, wyznaczająca charakter każdego dzieła. Postawa zatem, jakiej nie zajmuje w sposób tak powszechny żadna inna literatura, nawet u narodów cierpiących najgorszy ucisk. W okresach walki bywa może u innych narodów tak, że podnosi się nacjonalistyczne piśmiennictwo bojowe, natomiast innym, ideowo odległym utworom, entuzjazm słuchaczy nadaje pewien, w tym właśnie sensie nacjonalistyczny odbłask, jak na przykład w *Sprzedanej narzeczonej* Die verkaufte Braut; w naszym jednak przypadku pojawiają się, jak sądzę, tylko dzieła tego pierwszego typu, i to stale.

Prymitywna scena, oczekująca swych aktorów tak niemo, jak i my. Ponieważ swoimi trzema ścianami, krzesłem i stołem będzie musiała podołać wszystkim perypetiom, nie spodziewamy się po niej niczego, wyczekujemy raczej aktorów z całą siłą naszej ciekawości i dlatego urzeka nas nieodparcie śpiew spoza pustych ścian, stanowiący wstęp przedstawienia.

9 października. Gdybym miał dożyć do czterdziestego roku życia, poślubiłbym prawdopodobnie starą pannę ze sterczącymi siekaczami, które odsłania trochę górna warga. Górne środkowe zęby panny K., która była w Paryżu i w Londynie, zachodzą na siebie niby na chwilę skrzyżowane nogi. Ale czterdziestego roku nie dożyję chyba, przeciw temu przemawia na przykład pojawiające się często w lewej połowie mej czaszki napięcie, które odczuwam jak wewnętrzny wrzód; ono zaś, abstrahując od niemiłych doznań na rzecz czystej obserwacji, sprawia na mnie takie samo wrażenie, jak widok przekrojów czaszki w podręcznikach szkolnych albo jak prawie bezbolesna sekcja żywego ciała, podczas której nóż, trochę chłodząc, ostrożnie, zatrzymując się często i powracając, a nieraz leżąc spokojnie, rozcina jeszcze subtelniej cieniutkie błonki tuż przy funkcjonujących częściach mózgu.

Sen dzisiejszej nocy, nawet rano nie uważałem go jeszcze za piękny z wyjątkiem jednej tylko, małej, komicznej scenki, złożonej z dwu sprzecznych spostrzeżeń, która wywołała owo niezmierne uczucie zadowolenia, a którą mimo to zapomniałem.

Szedłem — czy towarzyszył mi zaraz od początku Maks, nie wiem — obok długiego szeregu domów na wysokości pierwszego lub drugiego piętra, tak jak w pociągach przedostajemy się z wagonu do wagonu. Szedłem bardzo szybko, po części może dlatego, bo czasem dom był tak nadwerężony, że już to samo skłaniało do pośpiechu. Drzwi pomiędzy domami nie zwracały wcale mojej uwagi, była to po prostu olbrzymia amfilada pokoi, a przecież można było zdać sobie sprawę z różnaitości nie tylko poszczególnych mieszkań, lecz nawet domów. Może były to same pokoje z łózkami — te, które mijalem. Pozostało mi we wspomnieniu jedno charakterystyczne łóżko stojące z boku, na lewo ode mnie, przy ciemnej czy też brudnej i może skośnej, jak bywa na poddaszach, ścianie z niskim stosem pościeli i z kocem, a raczej tylko zgrzebną chustą płócienną, która skopana nogami tego, co tam spał, zwisała rąbkami ku ziemi. Uczulem się zawstydzony, że w porze, gdy wiele

osób jeszcze leży w łóżkach, przechodzę przez ich pokoje, szedłem więc na palcach, wielkimi krokami, spodziewając się w ten sposób dać jakoś do zrozumienia, że przechodzę tylko dlatego, bo muszę, bo na wszystko w miarę możliwości uważam, więc stąpam lekko, że moje przechodzenie nie ma po prostu żadnego znaczenia. Z tych też względów nie zwracałem nigdy w żadnym pokoju głowy w bok, widząc tylko to, co mieściło się po prawej stronie, w kierunku ulicy, albo po lewej, w kierunku tylnej ściany. Szereg mieszkań przeplatały często burdele, które jednak mijałem szczególnie szybko, choć z ich powodu, jak mi się zdawało, podjąłem tę wędrówkę, tak że nie zauważyłem nic prócz ich istnienia. Ale ostatni pokój spośród wszystkich mieszkań był znowu burdelem, i tu już zatrzymałem się. Ściana naprzeciw drzwi, przez które wszedłem, ostatnia zatem w rzędzie domów, była albo szklana, albo w ogóle rozwalona, tak że krocząc dalej byłbym runął w dół. Bardziej nawet jest prawdopodobne, że była rozwalona, gdyż przy samym skraju podłogi leżały dziewczki. Dwie widziałem wyraźnie na ziemi, jednej z nich zwisała głowa nieco poza krawędź w wolną przestrzeń, w głąb. Ściana na lewo była mocna, natomiast ściana z prawej strony nie była pełna, widać było czeluść podworca, chociaż nie do dna, a szare, grożące zawaleniem się schody wiodły do licznych pomieszczeń dolnych. Sądząc po świetle w pokoju, sufit był taki jak w innych pokojach.

Zadawałem się specjalnie z tą dziewczką, której głowa zwisała w dół, zaś Maks z tą, co leżała na lewo od niej. Macałem jej łydki, a potem przez dłuższy czas gniołem systematycznie jej uda. Moja rozkosz była przy tym tak wielka, aż mnie dziwiło, iż za tę zabawę, która przecież była właściwie najpiękniejsza, nie potrzeba było płacić. Byłem przekonany, że ja (i tylko ja) oszukuję świat. Wtem dziewczka, nie ruszając z miejsca nóg, podniosła swój tułów i ukazała mi plecy pokryte ku memu przerażeniu wielkimi, czerwonymi jak lak, kolistymi plamami o blednących brzegach i o rozsypanych między nimi czerwonych wypryskach. Dopiero teraz zauważyłem, że całe jej ciało było pełne tego; że swój kciuk na jej udach trzymałem na takich właśnie plamach i że na mych palcach osiadły również czerwone cząstki jakby rozbitej pieczęci.

Cofnąłem się w gromadę mężczyzn. Zdawało się, że czekają przy ścianie u wylotu schodów, po których chodziło niewielu ludzi. Czekali tak, jak wieśniacy w niedzielne rano tłoczą się na targu. Dlatego była też niedziela. I tu rozegrała się komiczna scena, mianowicie ktoś, kogo obaj z Makssem mieliśmy powody się lękać, oddalił się, potem wrócił po schodach na górę, podszedł do mnie i, podczas gdy ja oraz Maks ze strachem oczekiwaliśmy od niego jakiejś straszliwej pogroźki, zadał zabawnie głupkowane pytanie. Potem, stojąc tam dalej, przyglądałem się zatroskany, jak nieustraszony Maks siedział w tym lokalu gdzieś na lewo, na ziemi, i jadł gęstą kartoflankę, z której na kształt dużych kul sterczały ziemniaki, zwłaszcza jeden. Wciskał je łyżką czy może dwiema łyżkami do zupy albo obracał je tylko.

10 października. Napisałem dla Tetschen-Bodenbacher Zeitung sofistyczny artykuł za i przeciw, o instytucji.

Wczoraj wieczorem na Grabenie. W moją stronę szły trzy aktorki wychodzące z próby. Jak trudno wyznać się szybko w piękności trzech kobiet, gdy ma się ochotę przypatrzeć jeszcze dwu aktorom, którzy idą za nimi zbyt balansującym i z każdą chwilą coraz lżejszym aktorskim krokiem. Otóż ci dwaj — ten na lewo ze swą młodzieńczo tłustą twarzą, z rozpiętą, objającą się dokoła otyłej postaci zarzutką jest tak typowy, że starczy za obu — prześcigają panie; ten z lewej idzie chodnikiem, ten z prawej nieco niżej, jezdnią. Lewy ujmuje swój kapelusz za sam czubek, schwyciwszy go wszystkimi pięcioma palcami, podnosi wysoko i woła (dopiero teraz przypomina to sobie prawy): „do widzenia! dobranoc!” Ale gdy prześciganie i pozdrawianie rozdzieliło obu panów, panie pozdrowione w ten sposób idą dalej swoją drogą — jakby prowadzone przez tę, która jest najbliższa jezdni i wydaje się najbardziej wiotka i najwyższa, a równocześnie najmłodsza i najpiękniejsza — ani trochę nie zmieszane, odpowiedziawszy zaledwie lekkim, niemal nie przerywającym przyciszonej rozmowy gestem pozdrowienia. Wszystko to wydawało mi się W tej chwili niezbitym dowodem na to, że tutejsze stosunki teatralne odznaczają się ładem i pozostają pod dobrym kierownictwem.

Przedwczoraj u Żydów w Café Savoy. Sztuka Feimanna *Die Sejdernacht*. Czasem mieszałem się (dopiero W tej chwili uświadomiłem to sobie) w akcję utworu tylko dlatego, bo byliśmy zanadto wzruszeni, a nie z uwagi na to, że byliśmy jedynie widzami.

12 października. Wczoraj u Maksa praca nad paryskim dziennikiem dotyczy prac przygotowawczych nad Ryszardem i Samuelem. W półmroku Rittergasse, w jesiennym kostiumie gruba, gorąca pani R., znana nam tylko w letniej bluzce i cienkiej, błękitnej lekkiej kurteczce, w których to strojach dziewczyna o wyglądzie nie bez usterek przedstawia się w końcu gorzej niż naga. Dopiero wtedy plastycznie uwidaczniał się jej potężny nos pośrodku bezkrwistej twarzy, w której policzki można by długo wciskać dłonie, nim

pokazałby się rumieniec, dalej gęsty złotawy meszek, skupiony na policzkach i na górnej wardze, potem pyłek sadzy z pociągu, zabłąkany między policzkiem a nosem, wreszcie mdła białość w wycięciu bluzki. Dziś jednak następowaliśmy jej na pięty w sposób pełen szacunku, a kiedy u wylotu pasażu przed ulicą Ferdynanda musiałem ze względu na swą nieogoloną twarz i zresztą parszywy wygląd pożegnać się, uczułem potem kilkakrotnie słaby przypływ skłonności ku niej. A kiedy zastanawiałem się dlaczego, musiałem sobie mówić w kółko tylko to: bo była tak ciepło odziana.

13 października. Naturalne przejście od napiętej skóry na łysinie mojego szefa do delikatnych zmarszczek na skroniach. Oczywiście i bardzo łatwa do podrobienia słabostka natury, banknotów nie powinno się” robić w ten sposób.

Opis R. uważałem za nieudany, musiał jednak być mimo wszystko lepszy, niż sądziłem, albo też moje przedwczorajsze wrażenie wywołane przez R. było aż tak niepełne, że opis odpowiadał mu, a może je nawet prześcigał. Bo gdy wracałem wczoraj wieczorem do domu, przyszedł mi ów opis na myśl, wdarł się niespostrzeżenie w miejsce pierwotnego wrażenia, uwierzyłem, że powiedział tę R. dopiero wczoraj, i to nie będąc z Maksymem, zacząłem więc przygotowywać się do opowiedzenia mu o niej właśnie tak, jak ją sobie tutaj opisałem.

Wczoraj wieczorem na Wyspie Strzeleckiej nie zastałem swych kolegów i odszedłem co prędzej. Zrobiłem pewną sensację, w swej kurtce, ze zgniecionym miękkim kapeluszem w ręce, bo na świetle ziębił chłód, tu jednak było ciepło od oddechów piwożłopów, palaczy i muzykantów grających na dętych instrumentach. Orkiestra ta była niezbyt wysoko, nie mogło też być inaczej z uwagi na dość niską salę, i zapełniała jeden koniec sali aż po ściany boczne.

Jakby zmierzywszy dokładnie, wtłoczono zgrają muzyków w ten koniec sali. To wrażenie tłoku następnie zatracalo się trochę w sali, ponieważ miejsca przy orkiestrze świeciły przeważnie pustką, a sala zapełniała się dopiero w środkowym rejonie.

Gadulstwo dra K. Przez dwie godziny chodził ze mną w kółko na tyłach dworca Franciszka Józef a, prosiłem go od czasu do czasu, by dał mi święty spokój, z niecierpliwości splotłem ręce i prawie go nie słuchałem, jeśli tylko się dało. Odniosłem wrażenie, że człowiek, który w swym zawodzie dobrze pracuje, gdy raz pograży się w opowiadanie swoich historyjek zawodowych, musi zatracić wszelką odpowiedzialność; uświadamia sobie, jaki jest dzielny, z każdej opowieści wyrastają skojarzenia, i to liczne, ogarnia wszystkie pamięcią, bo przecież je przeżył, z pośpiechu i ze względu na mnie wiele z nich musi przemilczeć, niejedną asocjację burzę mu pytaniami, przez co naprowadzam go jednak na inne i dowodzę mu tym samym, że panuje mocno nad moimi myślami, w przeważającej liczbie gadek jego osoba odgrywa piękną rolę, on sam tylko mimochodem o niej napomyka, dzięki temu to, co zdławił milczeniem, wydaje mu się jeszcze donioślejsze; z tą chwilą jest już tak pewny mego podziwu, że zdobywa się nawet na skargi, bo nawet w nieszczęściu, w utraeniu, w zwątpieniu jest godzin podziwu, jego przeciwnicy to też dzielni ludzie i godni legendy; w pewnej kancelarii adwokackiej, gdzie tkwiło czterech koncyentów i dwu szefów, powstał spór, w którym on sam stawił czoło całej kancelarii, stało się to na długie tygodnie tematem pogwarki sześciu prawników. Najlepszy ich mówca, cięty prawnik, był jego przeciwnikiem — temu znów z pomocą przyszedł Sąd Najwyższy, którego orzeczenia są niby to wadliwe i sprzeczne z sobą; na to tonem pożegnania mówię coś na kształt obrony owego sądu, on na to przedstawia znów dowody, że temu sądowi obrony w ogóle nie trzeba, i tak w koło Macieju, popadam co prędzej w zdumienie na temat niedoskonałości sądu, na to on wyjaśnia, dlaczego tak właśnie być musi, że mianowicie sąd jest przeciążony, z jakich przyczyn, i o ile, dobrze, muszę odejść, ale raptem Sąd Kasacyjny staje się lepszy, a Sąd Administracyjny jeszcze o wiele lepszy, i to z jakich przyczyn, i o ile, nareszcie mnie samego trudno już utrzymać na wodzy, wobec tego próbuje, jak pójdzie z moimi własnymi sprawami, dla których przyszedłem do niego (założenie fabryki), i które omówiliśmy już dawno, spodziewa się bezwiednie złapać mnie w ten sposób i na powrót zwabić do swych historyjek. Na to ja coś tam mówię, ale słowom mym towarzyszy zdecydowanie pożegnalne podanie ręki i tak się wyzwałam.

Opowiada zresztą wyśmienicie, w jego opowiadaniu łączy się ścisła rozwlekłość zdań pisanych z żywym tokiem mowy, częstym u Żydów tak tłustych, czarnych, na razie zdrowych, średniego wzrostu i podnieconych ciągłym paleniem papierosów. Wyrażenia prawnicze nadają jego wymowie sprężystość, cytuje przy tym paragrafy, których ogromne liczby zdają się odsuwać je w dal. Każdą historię rozwija od samego początku, przedstawia tezy i antytezy, zasypując je po prostu osobistymi wtrąceniami; sprawy marginesowe, o których nikt by nie pomyślał, wymienia w pierwszym rzędzie, po czym nazywa je ubocznymi i spycha na bok („człowiek, a jak się nazywa, o to mniejsza”), wciąga słuchacza, wypytuje go, podczas gdy historyjka pozostawiona sobie zagęszcza się, nieraz nawet —

przed jakąś historią, która nie może w ogóle zainteresować słuchacza — bierze go oczywiście bezowocnie na spytki, byle nawiązać jakąś prowizoryczną relację. Wtrąconych przez słuchacza uwag nie wplata zaraz we właściwe miejsce, co byłoby przykre (Kubin), czyni to szybko wprawdzie, tym niemniej dopiero w dalszym ciągu opowiadania, co jak rzeczowe pochlebstwo wciąga słuchacza w historyjkę, nadając mu szczególne prawo, aby był słuchaczem.

14 października. Wczoraj wieczorem w Savoyu *Sulamith* A. Goldfadena. Właściwie opera, ale każda sztuka śpiewana nosi nazwę operetki. Już ten drobiazg zdaje się, jak sędzę, dowodzić uporczywej tendencji artystycznej, która jest przedwczesna, a niesłusznie również roznamiętniona, i przecina sztukę europejską w kierunku po części przypadkowym.

Treść: bohater ocala dziewczynę, która zablądziła na pustyni („do Ciebie modłę się wielki, mocny Boże”) i dręczona pragnieniem wpadła do cysterny. Oboje przysięgają sobie wierność („moja ukochana, moja najmilsza, mój ty brylancie znaleziony na pustyni”), biorąc za świadków studnię i czerwonoookiego pustynnego kota. Dziewczynę Sulamith (pani Cz.) uprowadza Cingitang, dziki sługa Absolona (P.) do Betlejem, do jej ojca Manoacha (Cz.), podczas gdy Absolon (K.) udaje się jeszcze w podróż do Jeruzalem; tam jednak zakochuje się w Awigail, bogatej pannie jerozolimskiej, i żeni się z nią. Sulamith czeka na ukochanego w domu, w Betlejem. — „Wielu ludzi ciągnie do Jeruschołajim i powraca beschulim”, „On, ten słodki, chce stać mi się niewierny!” — Rozpaczliwymi wybuchami rozpala w sobie gotową na wszystko ufność i postanawia udawać obłęd, aby uniknąć przymusowego małżeństwa i móc czekać. „Moja wola jest z żelaza, serce swe zmienię w warownię.” I nawet w szaleństwie, które teraz odgrywa przez szereg lat, rozkoszuje się jeszcze wspomnieniem kochanka smutno, gdyż w szaleńczym jej bredzeniu jest mowa tylko o pustyni, o studni i o kocie. Obłędem swym przepędza natychmiast swych trzech zalotników, z którymi Manoach zdołał dojść do ładu tylko urządzając loterię: Joela Gedoni (U.), „jam najmocniejszy bohater żydowski”, właściciela dóbr, Awidanowa (R. P.) i Natana, brzuchatego kapłana (Löwy), który czuje się wyższy od wszystkich. „Dajcie mi ją, niech zginę po niej.” Absolona spotyka nieszczęście, jedno dziecko zagryza mu na śmierć kot pustynny, drugie wpada do studni. Przypomina sobie swą winę, wyznaje wszystko Awigail. „Powściągnij szlochów swoje. Przestań swym głosem rozdzierać mi serce.” „Niestety, wszystko to, co mówię, jest emes.” Dokoła nich myśli zataczają kilka kręgów i gasną. Czy Absolon ma wrócić do Sulamith porzucając Awigail? Przecież i Sulamith godna jest rachmones. Wreszcie Awigail daje mu wolność. W Betlejem Manoach uzala się nad losem swej córki: „Biada wam lata me sędziwe”. Absolon uzdrawia ją swym głosem. „Resztę, ojczy, już potem ci opowiem.” Awigail zapada się pod ziemię tam w dole, w winnicy jerozolimskiej, Absolon ma na swe usprawiedliwienie tylko własne bohaterstwo.

Po skończonym przedstawieniu wyczekujemy jeszcze aktora Löwyego, przed którym chciałbym paść w proch z podziwu. Ma on jak zwykle „zaanonsować”: „Drodzy goście, dziękuję wam w imieniu nas wszystkich za wasze odwiedziny i zapraszam was serdecznie na jutrzejsze przedstawienie, w którym odegramy słynne na cały świat arcydzieło. Do widzenia!” Wychodzą za kulisy, machając kapełuszami.

Zamiast tego widzimy, że ktoś kurtynę raz mocno przytrzyma, to znowu, niby próbując, odrobinę rozsuwa. Trwa to dość długo. Nareszcie kurtyna szeroko się rozsuwa, cóż kiedy w środku spina ją guzik, widać poza nią Löwyego, jak robi krok ku rampie i zwróciwszy twarz ku publiczności, samymi tylko rękami broni się przed kimś napastującym go od dołu; aż tu nagle tenże Löwy, pragnąc zyskać punkt zaczepienia, ściga na dół całą kurtynę łącznie z górnym drutem, do którego była przyczepiona, a Löwy pada w naszych oczach na kolana; obejmuje go aktor P., który grał dzikusa, i ciągle jeszcze przykucnięty, jak gdyby kurtyna była zasunięta, spycha Löwyego głową w bok z estrady. Publiczność zbiega się tłumnie w bocznym przejściu sali. „Zasunąć kurtynę!” — wrzeszczą ludzie na prawie całkiem obnażonej scenie, pośrodku której stoi niezmiernie żałośnie pani Cz. ze swą bladą twarzą Sulamith; pomocnicy kelnerów na stolach i stołkach doprowadzają po trosze kurtynę do porządku, gospodarz sali stara się uspokoić przedstawiciela rządu, który ma tylko jedno życzenie, ażeby się ulotnić, lecz wspomniana próba umitygowania powstrzymuje go w miejscu; spoza zasłony słyhać głos pani Cz.:

„Cóż, musimy ze sceny uczyc publikę moralności”... Związek żydowskich pomocników kancelaryjnych „Przyszłość”, który na mocy decyzji zarządu zakupił bilety na jutrzejszy wieczór, a przed dzisiejszym przedstawieniem odbył zwyczajne walne zebranie, postanawia z uwagi na ten incydent zwołać w ciągu pół godziny zebranie nadzwyczajne, natomiast pewien członek związku pochodzenia czeskiego prorokuje aktorom kompletną zagładę z powodu ich skandalicznego zachowania się. Wtem wszyscy nagle widzą, jak starszy kelner R. rękami, a może również i przy pomocy kolan, wypycha w kierunku drzwi Löwy’ego, który niby to gdzieś zniknął. Czekają go ni mniej ni więcej tylko wyrzucenie. I to ten sam starszy kelner, który przed każdym gościem, a więc i przed nami przedtem i potem stoi bez

ruchu jak pies, z psią mordą obwisłą nad wydatnymi, ujętymi z obu stron w pokorne fałdy wargami, ma swój...

16 października. Wczoraj męcząca niedziela. Cały personel wypowiedział ojcu służbę. Poczciwą mową, serdecznością, sugestią swej choroby, swego dostojęstwa i minionej siły, swego doświadczenia, swej roztropności wywalcza on sobie drogą zbiorowych i prywatnych układów powrót niemal wszystkich. Dobry fachowiec kantorzysta F. prosi o czas do namysłu do poniedziałku, bo dał słowo naszemu kierownikowi, który porzuca pracę, i chciałby zwabić cały personel dla swojego interesu, który zamierza zreorganizować. W niedzielę pisze buchalter, że F. mimo wszystko nie będzie mógł pozostać, gdyż R. nie zwalnia go ze słowa.

Jadę do niego, do Žiškova. Jego młoda żona o krągłych policzkach, podłużnej twarzy i małym, perkatym nosku, jaki czeskiej twarzy nigdy nie szpeci. Za długi, bardzo luźny, kwiecisty i poplamiony szlafroczek poranny. Wydłuża się i rozluźnia nadmiernie, ponieważ pani wykonywa zbyt śpieszne ruchy, aby mnie powitać, dla dopełnienia efektu położyć album na stole we właściwym miejscu i zniknąć w celu przywołania swego męża. Mąż o ruchach podobnych, może naśladowanych przez bardzo postuszną żonę, bo szybkich, a przy tym wybitnie wahadłowych, w pozycji tułowia nachylnego w przód, a dolnej części ciała mocno wypiętej w tył. Wrażenie człowieka znanego od lat dziesięciu, widywanego często i lekceważonego, z którym wchodzi się nagle w bardziej zażyłe stosunki. Im mniej odnoszę sukcesu swymi namowami wygłaszanymi po czesku (miał już podpisany przez siebie kontrakt z R., tylko ojciec mój tak zahukał go w sobotę wieczorem, że nie pisnął o tym oni słowa) — tym bardziej koci wygląd przybiera jego twarz. Pod koniec gram małą komedię z bardzo przyjemnym uczuciem, a więc rozglądam się z cokolwiek znudzoną twarzą i zmrużonymi oczyma po całym pokoju nie mówiąc ani słowa, jak gdybym ściagał zaledwie wspomnianą myśl aż w sferę niewypowiedzianego. Ale nie czuję się nieszczęśliwy widząc, że nie czyni to wielkiego wrażenia i że zamiast żeby on przemówił do mnie w innym tonie, ja na nowo. muszę zacząć namawiać go. Rozmowa zaczęła się wzmianką, że po drugiej stronie ulicy mieszka jakiś inny T., skończyła się już przy drzwiach wyrazami jego zdziwienia z powodu mojego lekkiego ubioru przy takim zimnie. Fiasko w finale, charakterystyczne dla moich bujnych zrazu nadziei. Wydębitem na nim przecież, by po południu poszedł do ojca. Argumentacja moja chwilami zbyt abstrakcyjna i formalistyczna. Błąd: nieprzywołanie żony do pokoju.

Po południu jazda do Radotina, aby dostać w ręce kantorzystę. Tracę przez to dzisiejszy kontakt z Löwym, o którym ciągle myślę. W wagonie: czubek nosa staruszki o prawie młodzieńczej jeszcze, jędrnej cerze. Czyż więc młodość kończy się na czubku nosa i czy tam właśnie zaczyna się śmierć? Podróżni: przelykanie przesuujące się w dół szyi, otwieranie ust na znak, że całą jazdę koleją, dalej skład innych pasażerów, porządek w jakim siedzą, temperaturę w wagonie, nawet zeszyt wydawnictwa Pan, który mam na kolanach, i na który ci i owi zerkają od czasu do czasu (bo to bądź, co bądź jest coś, czego w żaden sposób nie mogli byli przewidzieć w obrębie przedziału) — uważają za naturalne, bez zarzutu, nie budzące podejrzeń. Przy tym wierzą jeszcze, że wszystko mogłoby wypaść również o wiele gorzej.

Tam i z powrotem na podwórzu pana H., jakiś pies kładzie na końcu mej stopy łapę, którą huśtam. Dzień, kury, gdzieś tam dorodzi. Na pawlaczach czeska nazwa ganków od strony podwórza dziewczyna do dzieci chwilami pochylona, potem znów kryjąca się za drzwiami jakiegoś domu, ma na mnie ochotę. W ogniu jej spojrzeń nie wiem sam, czym naprawdę jestem, czym obojętny, czy wstydlivy, młody czy stary, bezczelny czy przymilny, czy ręce trzymam przed sobą czy za sobą, czy marzną, czy też mi ciepło, czy jestem miłośnikiem zwierząt czy człowiekiem interesu; przyjacielem pana H. czy raczej petentem, czym ważniejszy od uczestników zebrania, którzy chwilami chodzą nieprzerwanym korowodem z lokalu do pisuaru i z powrotem, czy też jestem śmieszny wskutek swego zbyt lekkiego ubioru, czym Żyd czy chrześcijanin itd. Chodzenie w kółko, siąkanie nosa, co parę chwil lektura Pana, bojaźliwe spojrzenia na pawlacze po to, by nagle przekonać się, że są puste, przyglądanie się okazom drobiu, przyjęcie ukłonu od jakiegoś człowieka; widziane przez okno gospody, stłoczone płasko albo skośnie twarze mężczyzn, zwrócone ku jakiemuś mówcy — wszystko sprzyja temu. Pan H. od czasu do czasu wybiega z zebrania, proszę go, by wykorzystał na naszą korzyść swój wpływ na kantorzystę, którego sam wprowadził do naszego przedsięwzięcia. Czarnobrunatna broda porastająca policzki i podgardle, czarne oczy, między oczyma a brodą śniade zabarwienie policzków. Jest przyjacielem mojego ojca, znałem go jeszcze jako dziecko, zaś myśl, że trudnił się paleniem kawy, czyniła mi go zawsze jeszcze bardziej nieprzeniknionym i męskim, niż był w istocie.

17 października. Niczego nie dokonam, bo nie mam czasu i tak coś pręży się we mnie. Gdyby tak cały dzień był wolny i ten poranny niepokój we mnie narastał do południa, a do wieczora mógł znużyć się sam sobą — wówczas mógł-bym spać. W obecnym stanie jednak co najwyżej tylko godzina

wieczornego zmierzchu zostaje na pastwę tego niepokoju, który wzmagając się cokolwiek — potem go przytłumiam rozkopuje mi całą noc bezpożytecznie, a nawet szkodliwie. Czy wytrwam tak długo? I czy jest sens wytrwać? Bo czyż będę miał wolny czas?

Gdy myślę o następującej anegdocie: Napoleon W Erfurcie, na obiedzie dworskim, opowiada: „Kiedy byłem jeszcze zwyczajnym porucznikiem w piątym pułku...” (królewskie wysokości patrzą po sobie ze zmieszaniem, Napoleon zauważa to i poprawia się) „kiedym miał jeszcze zaszczyt być zwyczajnym porucznikiem...” wówczas nabrzmiewają mi żyły u szyi pod wpływem łatwo wyczuwalnej i sztucznie we mnie wzbierającej dumy.

Co dalej zaszło w Radotynie: kręciłem się potem sam, marznąc, po ogrodzie, a potem poznałem w otwartym oknie dziewczynę do dzieci, która powędrowała za mną na tę stronę domu.

20 października. Dzień 18 u Maksa; pisałem o Paryżu. Pisałem kiepsko, nie docierając właściwie do tej swobody istotnego opisu, która pozwala człowiekowi wybrnąć z własnych przeżyć. Bo byłem przytępiony po potężnym wzlocie w dniu wczorajszym, który zakończył się odczytem Löwy'ego. Za dnia nie byłem jeszcze wcale w niezwykłym stanie, poszedłem z Maksem powitać jego matkę przybywającą z Jablonca, siedziałem z obojgiem w kawiarni, a potem u Maksa, który odtworzył mi taniec cygański z Dziewczyny z *Perth*. Taniec, przy którym same tylko biodra kołyszą się w obie strony w równomiernych podrygach, a twarz ma wyraz senny i serdeczny. Aż wreszcie pod koniec na krótko i późno wypelza na wierzch zwabiona dzikość wewnętrzna, wstrząsa ciałem, owłada nim, sprężając melodię tak, że wymyka się ona wzwyż i w głąb (wpadają w ucho zwłaszcza gorzkie, głuche tony), po czym cichnie nie zauważonym finałem. Z początku i podczas całego tańca nieustanne silne poczucie bliskości z Cyganami, i może dlatego, że naród ten tak dziki w tańcu okazuje się łagodny tylko wobec przyjaciela. Wrażenie przemożnej autentyczności pierwszego tańca. Następnie wertowałem Wypowiedzi Napoleona. Jak łatwo, jak błyskawicznie staje się człowiek częścią własnego, tytanicznego wyobrażenia o Napoleonie! Potem kipiąc już wewnętrznie poszedłem do domu, nie mogąc przeciwstawić się władczo żadnemu ze swoich wyobrażeń, wytracony z ładu, ciężarny, rozdarty, nabrzmiały, po-środku moich, zataczających się dokoła mnie mebli; pod naporem swych cierpień i trosk, zajmując możliwie wiele miejsca — gdyż mimo swojej objętości byłem bardzo nerwowy — wkroczyłem do sali odczytowej. Ze sposobu, w jaki na przykład usiadłem, a usiadłem bardzo znamienne, byłbym — będąc widzem — rozpoznał natychmiast swój stan.

Löwy czytał humoreski Szolema Aleichema, po nich opowiadanie Perca Perec Jehuda Loeb (1852—1915), znakomity pisarz żydowski, urodzony w Zamościu. Jego Opowiadania z getta należą do najwybitniejszych utworów żargonowej literatury żydowskiej.

poemat Bialika 2 Bialik Chaim-Nachman (1873—1934), największy współczesny poeta żydowski (tylko w tym utworze poeta, chcąc spopularyzować swój wiersz i snując z kiszyniewskiego pogromu wnioski co do żydowskiej przyszłości, zniżył się z języka hebrajskiego do żargonu, przetłumaczywszy sam swe zrazu hebrajskie dzieło poetyckie na żargon), wreszcie *Sprzedawczynię światła* Lichtverkäuferin. Rosenfeld Morris (ur. 1862, koło Suwałk, zmarł 1917 w Nowym Jorku), rzemieślnik i pisarz. Jego Pieśni z getta, tłumaczone na wiele języków, dowiodły, że żargon może być językiem literackim.

Rosenfelda. Naturalne u aktora, często powracające wytrzeszczanie oczu, które tylko przez krótką chwilę nieruchomieją w tym wyrazie okolone zadartymi w górę brwiami. Doskonała prawdziwość całego odczytu; nieśmiałość, gdzieś od łopatki podniesienie prawego ramienia, poruszanie cwikieru, zdaje się pożyczonego, tak źle przystawał do nosa; trzymanie pod stołem nogi tak wyciągniętej, że natężało to zwłaszcza słabą kość między udem a łydką; pałkowatość pleców wyglądających wątle i nędznie, bo w odróżnieniu od jednolitego, równego grzbietu obserwator nie da się tu oszukać; mogłoby się to zdarzyć przy oglądaniu twarzy z uwagi bądź na oczy oraz na wgłębienia i wypukłości policzków, bądź też na jakiś szczegół, choćby nawet na szczeciniastą brodę. Po odczycie, już w drodze powrotnej do domu uczułem pełny napływ zdolności twórczych i uskarżałem się na to swym siostram, a w domu nawet swej matce.

19. u dra K. w sprawach fabryki. Lekka, czysto teoretyczna wrogość, jaka przy ustalaniu postanowień umowy musi powstać między osobami prawnymi zawierającymi kontrakt. Jak ja sam wpijałem badawczo oczy W twarz pana H. zwróconą ku doktorowi. Wrogość ta musi powstać tym bardziej między parą ludzi, nie nawykłych skądinąd do zgłębiania myślenia swego wzajemnego stosunku, i przez to właśnie potykających się o lada drobnostkę. Dr K. ma zwyczaj wałęsania się tu i tam po przekątnej pokoju, z górną częścią tułowia wypiętą i kiwającą się ruchem salonowym w przód, przy czym coś opowiada, a często na końcu którejs przekątnej strząsa popiół z papierosa do jednej z trzech popielniczek zastawionych w pokoju.

Dziś rano w firmie N. N. Jak to szef opiera się plecami o bok fotela, aby zyskać przestrzeń

zyciową i odskocznię dla wymachiwania rękami zwyczajem Żydów ze Wschodu. Harmonia i wzajemne potęgowanie mimicznej gry rąk oraz twarzy. Niekiedy łączy jedno z drugim przyglądając się swoim ręką albo dla wygody słuchacza trzymając je tuż przy twarzy. Synagogałne melodie w kadencji jego głosu, zwłaszcza przy wyliczaniu znaczniejszej ilości punktów snuje melodię od palca do palca, niby przez rozmaite rejestry. Potem na Grabenie spotkanie się ojca z panem Pr., który podnosi nawet rękę, ażeby rękaw trochę się obsunął (bo sam przecież nie chce go podciągnąć), i pośrodku Grabenu wykonuje potężne gesty spiralne, otwierając ślizgowym ruchem dłoni i rozczapierając palce.

Jestem zdaje się chory, od wczoraj swędzi mnie całe ciało. Po południu miałem twarz tak rozpaloną i pokrytą plamami, że przy strzyżeniu włosów obawiałem się, by fryzjer, który mógł przecież widzieć ciągle zarówno mnie, jak i moje odbicie w lustrze, nie poznał po moim wyglądzie jakiejś wielkiej choroby. Również i przewód od żołądka do ust jest częściowo zaatakowany, krążek rozmiarów guldena albo przesuwa się w górę i w dół, albo tkwi w dole, i promieniuje ku górze z coraz to szerszym, rozprzestrzeniającym się po powierzchni piersi, lekkim uciskiem.

Co zaszło dalej w Radotinie: zaprosiłem ją, by zeszła na dół. Pierwsza odpowiedź była poważna, chociaż obie, ona i dziewczyna, jej powiernica, chichotały tak do mnie i tak mnie kokietowały, jak nigdy nie zdobyłyby się na to ona sama od momentu zaznajomienia się ze mną. Śmieliśmy się potem sporo razem, jakkolwiek ja marzłem na dole, a ona na górze w otwartym oknie. Przywarła piersią do splecionych rąk i całą resztą ciała do parapetu okna, ugiąwszy niewątpliwie kolana. Miała lat siedemnaście, zaś mnie uważała za piętnasto lub najwyżej szesnastoletniego Kafka miał wówczas dwadzieścia osiem lat. a cała nasza rozmowa nie wyprowadziła jej z błędu. Mały jej nosek był odrobinę krzywy, rzucając przez to na policzek niezwykley cień, który zresztą nie ułatwiłby mi wcale poznania jej w tłumie. Pochodziła nie z Radotina, lecz z miejscowości Chuchle (najbliższa stacja w kierunku Pragi), o czym prosiła nie zapominać. Potem przechadzka z kantorzystą, który również i bez mej podróży byłby pozostał w naszym przedsiębiorstwie — z Radotina w pole i z powrotem do dworca. Po jednej stronie łyse wzgórze, wytrzebione przez pewną fabrykę cementu dla eksploatacji potrzebnego jej marglu. Stare młyny. Opowiadanie o topoli wykarczowanej z ziemi przez trąbę powietrzną razem z korzeniami najpierw sterczącymi z gruntu pionowo, a potem rozrośniętymi wszcz. Twarz kantorzysty: ciastowate, czerwone mięso na grubych kościach; wygląda na kogoś zmęczonego, niemniej na ogół silnego. Nawet modulacją głosu nie zdradza zdziwienia, że tak sobie tu razem spacerujemy. Na rozległym, zakupionym na wszelki wypadek przez jakąś fabrykę polu, pośrodku budynków fabrycznych, zalanych elektrycznym światłem jaskrawo, choć nierównomiernie, jasny księżyc przesycony poświatą, a więc mglisty dym z konina. Sygnały kolejowe. Chrobotanie szczurów na skrajach dalekiej drogi przecinającej pole wbrew zakazom fabryki, wydeptanej przez ludność.

Przykłady pokrępowania, jakie zawdzięczam tej na ogół raczej błahej pisaninie.

W poniedziałek 16. byłem razem z Löwy'm w Teatrze Narodowym na *Dubrownickiej trylogii* autor: Ivo Vojnović (1857—1929), wybitny kroacki pisarz poeta, autor wielu opowiadań i dramatów. Sztuka i wykonanie beznadziejne. W pamięci utkwil mi piękny dźwięk kominkowego zegara z pierwszego aktu: odśpiewanie Marsylianki przez wkraczających poza oknem Francuzów, bliska przebrzmienia pieśń, coraz to podejmowana przez nowo przybywających, wzbiera; Czarno odziana dziewczyna, wlokąca swój cień przez smugę światła, jaką zachodzące słońce kładzie na posadzce. Z drugiego aktu pamiętam tylko wiotką szyję jakiegoś dziewczęcia, która wyrasta z okrytych brunatną czerwienią ramion, spomiędzy bufiastych rękawów, i pręży się ku drobnej główce. Z trzeciego aktu: zmiętoszony Anglik i ciemna, fantazyjna kamizelka ze złotym łańcuszkiem od zegarka, przeciągniętym w poprzek, na sędziwym, przygarbionym potomku dawnych gospodarów. Zatem niewiele. Miejsca były drogie, jako przewrotny dobroczyńca sypnąłem groszem, bo był w kłopotliwej sytuacji; koniec końcem nudził się trochę bardziej jeszcze niż ja. Krótko mówiąc, przekonałem się raz jeszcze o nieszczęsnym pechu prześladowającym wszystkie przedsięwzięcia, jakie tylko podejmuję sam. Podczas gdy zazwyczaj jednocześnie się z tym pechem nieodłącznie, ściągając wszystkie dawniejsze nieszczęścia ku sobie w górę, a wszelkie przysze ku sobie w dół, tym razem przecież czułem się prawie całkiem niezależny, zupełnie łatwo zniósłem to wszystko jako jednorazową plagę i miałem nawet po raz pierwszy w teatrze wrażenie, że moja głowa wystaje ze stłoczonej czerni fotela i ciała ku jakiemuś niezwykle blaskowi jako zwykła głowa widza niezależnie od kiepskiego efektu tej sztuki i tej realizacji scenicznej.

Przykład drugi: wczoraj wieczorem na ulicy Mariackiej podałem obu moim szwagierkom równocześnie obie ręce tak zgrabnie, jakby to były obie prawe ręce, a ja, jakbym doznał rozdwojenia osobowości.



21 października. Przykład odwrotny: memu szefowi, gdy omawia ze mną sprawy biurowe (dziś kartoteka), nie mogę długo patrzeć w oczy bez lekkiego rozgoryczenia, napływającego wbrew całej mej woli w moje spojrzenie, co skłania albo jego, albo mnie do odwrócenia wzroku. Jego wzroku na krócej, lecz częściej, gdyż nie uświadamia on sobie przyczyny tego, ulegając każdej podniecie, aby popatrzeć gdzie indziej; powraca jednak spojrzeniem natychmiast w poprzednim kierunku, ponieważ uważa to wszystko tylko za przejaw chwilowego znużenia źrenic. Ja bronię się przeciwko temu uparciem, przyspieszam więc moje -zygzakowate spojrzenia, najchętniej jeszcze sunę wzrokiem wzdłuż jego nosa i w głąb cieni na jego policzkach, często udaje mi się trzymać twarz zwróconą ku niemu tylko z pomocą zaciśniętych zębów i języka w zamkniętych ustach — a gdy tak już być musi, spuszczam wprawdzie wzrok, ale nigdy głębiej niż do jego krawata, jednak zaraz potem zdobywam się na spojrzenie doskonale pełne, gdy on z kolei odwraca oczy, ja zaś dokładnie i bezapelacyjnie podążam jego śladem.

Żydowski aktorzy: pani Czyżyk ma wypukłości na policzkach blisko ust. Powstały one częścią przez zapadnięcie się policzków na skutek takich cierpień jak głód, poród, podróże oraz trudy gry scenicznej, częścią przez nieruchome zazwyczaj, specyficzne mięśnie, które musiały rozwinąć się dla aktorskich ruchów jej wielkich, pierwotnie ociężałych, jak sądzę, ust. Jako Sulamith miała prawie ciągle rozpuszczone włosy, zakrywające policzki, tak że jej twarz wyglądała jak dziewczęca twarzyczka z odległych czasów. Ma ciało rosie, kościste, w miarę tęgie i jest mocno ściśnięta gorsetem. Jej sposób chodzenia nabiera łatwo charakteru nieco uroczystego, ma bowiem zwyczaj podnosić, rozkładać swoje długie ręce i wykonywać nimi powolne ruchy. Zwłaszcza w chwilach gdy śpiewając narodową pieśń żydowską, kołysała się lekko w rozłożystych swych biodrach i poruszała w górę i w dół, miała ręce ugięte równoległe do bioder, a dłonie wklęsłe, jak gdyby bawiła się lejącą powoli piłką.

22 października. Wczoraj u Żydów. Kol Nidre Scharkansky'ego, dość licha sztuka z dobrą, dowcipną sceną pisania listu, z modlitwą pary kochanków stojących obok siebie prosto, ze złożonymi rękami, z nawróconym Wielkim Inkwizytorem, który opiera się o zasłonę Arki Przymierza, wstępuje na stopień i trwa tam z pochyloną w dół głową, z wargami, przyciśniętymi do zasłony i z książką do nabożeństwa trzymaną przed kłapiącymi zębami. Wówczas czwartego wieczora z rzędu po raz pierwszy moja wyraźna niezdolność wchłonięcia czystego wrażenia. Winę tego ponosiło również nasze liczne towarzystwo i odwiedziny przy stole mej siostry. Mimo to nie powinienem się być okazać aż tak słaby. Ze swą miłością do pani Cz., która tylko dzięki Maksowi siedziała obok mnie, spisałem się wprost nędznie. Ale już ja się znowu wydobędę na wyżyny, już teraz jest Z tym lepiej.

Pani Czyżyk (z jakąż przyjemnością wypisuję to nazwisko) pochyła chętnie głowę siedząc przy stole, a nawet zajadając pieczoną gęś; człowiek myśli, że można by zakraść się spojrzeniem pod jej powieki, wodząc najpierw ostrożnie oczyma wzdłuż policzków, by potem skurczywszy się wśliznąć się w głąb. Nie trzeba przy tym wcale podnosić jej powiek, gdyż są podniesione i przepuszczają właśnie ten sinawy blask, który kusi do takiego eksperymentu. Z mnóstwa aktorskich jej chwytów powtarza się niekiedy wyrzucanie w przód piersi, przeginięcie ręki wlokącej niewidzialne fałdy wokół ciała, przykładanie do piersi dłoni z rozczapierzonymi palcami, gdy pozbawiony sztuczności— krzyk nie wystarcza. Gra jej nie jest różnorodna: załęcznione spojrzenia na partnera, szukanie swobodnego przejścia na niedużej scenie, łagodny głos, nabierający tonów wprost bohaterskich nagłym podwyższeniem dźwięku przez potężniejsze psychiczne echo, bez przejścia w krzyk; radość, która wdiera się w nią poprzez twarz, jakby otwierająca się i olbrzymiejąca przez wyniosłe czoło aż po włosy; samowystarczalność przy śpiewie solowym bez uciekania się do nowoczesnych sztuczek, prostowanie się w walce z przeszkodami każe widzowi troszczyć się o całość jej ciała; i niewiele więcej. Ale w tym właśnie tkwi autentyczność całości i stąd przeświadczenie, że artystce nie można by ująć najdrobniejszego z wywieranych przez nią wrażeń, że jest ona niezależna od utworu scenicznego i od nas.

Współczucie nasze dla tych aktorów, bo są tak zacni i nie zarabiają nic, a poza tym zyskują również nie dość wdzięczności i sławy — jest właściwie tylko współczuciem nad smutnym losem wielu szlachetnych dążeń, naszych własnych przede wszystkim. Dlatego też jest ono tak niewspółmiernie silne, bo przecież Ignie tylko pozornie do ludzi obcych, a w rzeczywistości dotyczy nas samych. Mimo to przywiera przecież tak ściśle do aktorów, że nawet teraz nie mogę go od nich oderwać. A ponieważ zdaję sobie z tego sprawę, przyrasta ono przekornie do nich — jeszcze potężniej.

Zadziwiająca gładkość policzków pani Czyżyk przy jej muskularnych ustach. Jej trochę nieforemna

mała córeczka. Trzygodzinna przechadzka z Löwym i z moją siostrą.

23 października. Aktorzy samą swą obecnością przekonywają mnie ku memu przerażeniu coraz silniej, że przeważna część tego, co dotąd o nich napisałem, jest fałszem. A fałszem jest dlatego, bo piszę o nich z zawsze jednaką miłością (dopiero teraz, gdy wypisuję te słowa, i one stają się fałszem) — lecz ze zmienną siłą i ta zmieniająca się wciąż siła nie trafia głośno i celnie w aktorów realnych, lecz zatracą się głucho w tej miłości, która siłą nie nasyci się nigdy, i właśnie przez to, że siłę wchłania, wydaje się sama w sobie obrończynią aktorów.

Kłótnia między Czyżykową a Löwym. — Cz.: „Edelstatt Jest największym żydowskim pisarzem. Jest wzniosły. Rosenfeld to oczywiście również wielki pisarz, ale nie pierwszej rangi”. Löwy: „Cz. jest socjalistką, a ponieważ Edelstatt płodzi socjalistyczne poematy (jest redaktorem socjalistycznej żydowskiej gazety w Londynie), więc Cz. uważa go za największego. Kim jest jednak Edelstatt, zna go tylko jego partia i nikt poza nią, za to Rosenfelda zna cały świat”. Cz.: „Nie chodzi o uznanie. Wszystko, co daje Edelstatt, jest wzniosłe”. — L.: „Ależ i ja go znam dokładnie. — Samobójca dla przykładu jest bardzo dobry”. Cz.: „Po co ta kłótnia? I tak się nie pogodzimy. Ja będę to, w co wierzę, powtarzała do jutra, a ty także”. L.: „Ja do pojutra”.

Goldfaden <sup>Goldfaden Abraham</sup> żonaty, rozrzutny nawet w wielkiej biedzie. Na sto sposobów. Skradzione melodie liturgiczne uludowił. Śpiewa je cały lud. Krawiec przy pracy (parodia), służąca itd.

W tak ciasnej garderobie musi się, jak mówi Cz., z kimś pokłócić. Ludzie schodzą ze sceny podnieceni, każdy uważa się za największego aktora, a niech ktoś komuś na przykład nastąpi na nogę, czego trudno w końcu uniknąć, to już zaraz gotowa nie tylko kłótnia, ale i okropna walka. Tak, w Warszawie, tam było siedemdziesiąt pięć małych garderób-separatek, a w każdej światło.

O godzinie szóstej zastałem aktorów siedzących w ich kawiarni przy dwu stołkach, w porządku wskazanym dla dwu wrogich sobie obozów. Na stoliku należącym do stronnictwa pani Cz. leżała jedna z książek Pereca. Właśnie zamknął ją i powstał, by odejść ze mną.

Aż do dwudziestego roku życia był Löwy „bocherem” <sup>młody Żyd, studiujący Talmud</sup>, który studiował i trwoniał pieniądze swojego zamożnego ojca. Złożyła się wówczas kompania młodych rówieśników, którzy akuratnie w sobotę schodzili się w lokalu zamkniętym dla innych osób, i wdziawszy kaftany, palili, grzesząc jeszcze innymi sposobami przeciwko przykazaniom świątecznego dnia.

„Wielki Orzeł” <sup>Adler Jacob P.</sup> „najsłynniejszy żargonowy aktor z Nowego Jorku, przy tym milioner, ten, dla którego Gordin napisał *Dzikiego człowieka* <sup>Der wilde Mensch</sup>, a którego Löwy w Karlovych Varach prosił, aby nie szedł do teatru, bo nie ma odwagi zagrać przed nim na tamtejszej, źle wyposażonej scenie. Chodzi tylko o dekoracje, nie o tę nędzną scenę, po której nie można się poruszać. Jakże zagramy Dzikiego człowieka, przecież tam trzeba dywanu. W lipskim Pałacu Kryształowym, o, tam było wspaniale. Okna, które można było otwierać, słońce świeciło do pokoju, potrzeba było na scenie tronu, świetnie i Zaraz był tron, precyzyjnie się do niego przez tłum i stałem się naprawdę królem. Tak, to znacznie łatwiej grać. Tutaj człowieka otumania wszystko.

24 października. Moja matka pracuje przez cały dzień, jest wesoła i smutna, jak się zdarzy, nie zajmuje nikogo ani trochę tym, jak się czuje; jej głos jest wysoki, za głośny jak na zwyczajną rozmowę, ale dobroczynny, gdy się jest smutnym i po jakimś czasie nagle ją usłyszy. Skarzę się już od dawna, że chociaż ciągle choruję, przecież nigdy nie zapadam. Na jakąś szczególniejszą chorobę, która by mi kazała położyć się do łóżka. Pragnienie to na pewno wywodzi się przede wszystkim stąd, że wiem, jak matka umie pocieszyć, kiedy przechodzi na przykład z pokoju jasno oświetlonego do na pół ciemnego, w którym jest chory; albo wieczorem, gdy dzień zaczyna przepływać monotonicznie w noc, matka wraca z biura i opowiadając o swych troskach i różnych zarządzeniach, każe tak już późnemu dniowi zacząć się raz jeszcze i zachęca chorego, by jej w tym dopomógł. Tego bym pragnął kiedyś znowu, bo byłbym wtedy słaby, a więc przekonany do wszystkiego, cokolwiek matka uczyniłaby, i mógłbym przeżywać dziecinne radości z tą zdolnością chłonięcia ich, jaką daje wiek. Wczoraj przyszło mi na myśl, że tylko dlatego nie zawsze kochałem swoją matkę tak, jak ona na to zasługiwała i jakby mnie na to było stać, ponieważ przeszkadzał mi w tym język. Żydowska matka nie jest Mutter; termin Mutter nadaje jej szczyptę komizmu (nie sobie, bo przecież jesteśmy w Niemczech), nadajemy Żydówce miano niemieckiej matki, zapominamy jednakże o tkwiącej tu sprzeczności, która tym ciężiej zapada w uczucie. Mutter jest dla Żyda określeniem w szczególności

sposób niemieckim, zawiera w bezwiednej swej warstwie obok chrześcijańskiego blasku także i chłodną ścisłość chrześcijańską; Żydówka więc, nazwana Mutter, staje się nie tylko komiczna, lecz obca. Mama byłaby lepszym mianem, byleby tylko nie wyobrażano sobie ukrytego poza nią słowa Mutter. Sądzę, że rodzinę żydowską utrzymują w spoistości tylko wspomnienia getta, bo również i słowo Vater nie oznacza nawet w przybliżeniu żydowskiego ojca.

Dziś ujrzałem przed sobą radcę L., który nieoczekiwany, nieproszony, dziecięco naiwnie, w kłamiwy sposób śmiesznie i aż do zniecierpliwienia wypytywał mnie o moją chorobę. Od dawna już, a może i nigdy jeszcze nie rozmawialiśmy tak intymnie, i czułem, jak moja twarz, której ani razu nie przyjrzał się dotychczas tak wnikliwie, rozkłada się w jego oczach na fałszywe, mylnie rozumiane, ale w każdym bądź razie zdumiewające go części. Mnie nie można było przejrzeć. Za to jego znam na wylot.

26 października. Czwartek. Wczoraj Löwy czytał nam przez całe popołudnie książkę *Bóg — człowiek — diabeł* <sup>Gott — Mensch — Teufel</sup> Gordina, a potem partie swoich własnych pamiętników paryskich. Przedwczoraj byłem na przedstawieniu *Dzikiego człowieka* Gordina. Gordin stoi wyżej niż Lateiner, Scharkansky, Feimann itd. o tyle, że wprowadza w ten styl więcej szczegółów, więcej ładu i więcej konsekwencji; za to nie widać tu już w całej pełni bezpośredniego, raz na zawsze w jawnym kształcie zaimprovizowanego żydostwa z innych sztuk; rwetes tego żydostwa brzmi bardziej głucho i dlatego właśnie jest niestety mniej dokładnie zróżnicowany. Robi się tu zresztą pewne ustępstwa na rzecz publiczności i nieraz ma się wrażenie, że trzeba stanąć na palcach, aby widzieć sztukę ponad głowami nowojorskiej żydowskiej publiczności teatralnej (postać dzikiego człowieka, wszystkie perypetie pani Selde); ale gorzej, że konkretne ustępstwa czyni się również jakiejś sztuce abstrakcyjnej, że na przykład w *Dzikim człowieku* akcja przez jeden cały akt buja w powietrzu, a to na skutek rozważań, że dalej dziki człowiek wygłasza mowy z ludzkiego punktu widzenia niejasne, ale pod względem literackim tak ordynarne, że słuchacz woli już zamknąć oczy; i na tę samą miarę jest starsza panna w sztuce *Bóg — człowiek — diabeł*. Bardzo żywa jest częściowo akcja *Dzikiego człowieka*. Młoda wdowa poślubia starca z czworgiem dzieci i razem z sobą wprowadza równocześnie w małżeństwo swego kochanka, niejakiego Władimira Worobejczyka. Otóż ta para rujnuje całą rodzinę. Szmul Leiblich (Pipes) musi dać wszystkie pieniądze i zapada na zdrowiu, najstarszy syn Simon (Klug), student, opuszcza dom, z Aleksandra robi się karciarz i pijak, z Lizy (Czyżyk) dziewczka, a Lemecha (Löwy), idiotę, doprowadza pani Selde do obłąkania pod wpływem nienawiści, bo zajęła miejsce jego matki, i miłości, bo jest to pierwsza bliska mu młoda kobieta. Rozwiązaniem tej, tak ogromnie napiętej akcji jest zamordowanie tejże Selde przez Lemecha. Wszystkie inne postacie zachowuje widz we wspomnieniu bezradnym, niepełnym. Wykrycie tej kobiety i jej kochanka — wykrycie nie pytające nikogo o jego zgodę — wzbudziło we mnie niejasne, złożone uczucie ufności we własne siły.

Dyskretne wrażenie wywołane przez afisz. Dowiadujemy się zeń nie tylko nazwisk, lecz i czegoś więcej, ale przecież tylko tyle, ile trzeba oznajmić publiczności, choćby nawet najżycielszej i najchłodniej wyrokującej o rodzinie wydanej na pastwę jej sądu. Szmul Leiblich jest tu „bogaty kupcem”, ale nie mówi się jednak ani słowa o tym, że to słabowity starzec, pocieszny kobieciarz, kiepski ojciec i wyzuty z pietyzmu wdowiec, żeniący się w dniu urodzin swej zmarłej żony. A przecież wszystkie te określenia byłyby trafniejsze niż tamte z teatralnego afisza, bo pod koniec sztuki nie jest on już bogaty, gdyż obrabowała go ta właśnie Selde, a także nie jest już prawie kupcem, ponieważ zaniedbał swe przedsiębiorstwo. Szymona nazywa afisz „studentem”, zatem kimś nader mglistego zawodu, który — o ile nam wiadomo — uprawia wielu synów naszych najdalszych znajomych. Aleksander, młody człowiek bez charakteru, jest tu tylko „Aleksandrem”; podobnie o Lizie, domatorskim dziewczątku, dowiadujemy się tylko tego, że jest „Lizą”. Lemech jest niestety „idiotą”, bo jest to coś, czego nie sposób zataić. Władimir Worobejczyk jest tylko „kochankiem Selde”, ale nie niszczyicielem rodziny, nie opojem, szulerem, hulaką, leniem i pasożytem. Określając go jako „kochanka Selde” ujawnia się wprawdzie wiele, lecz z uwagi na jego prowadzenie się jest to minimum, jakie należałoby powiedzieć. A dalej miejscem akcji jest Rosja, zebrane z trudem postacie rozpraszają się po olbrzymim obszarze lub skupiają się w drobnym, bliżej nie określonym punkcie tego obszaru; krótko mówiąc sztuka wkracza w dziedzinę niemożliwości, widz nie zobaczy w ogóle nic.

Mimo to sztuka rozpoczyna się, wielkie niewątpliwie zdolności autora przystępują do dzieła, wychodzą na jaw sprawy, jakich by nikt nie spodziewał się po postaciach z afisza, które jednak postaciom tym najniewątpliwiej odpowiadają, jeśli tylko zechcemy wierzyć chłostom, porwaniu, biciu, klepaniu po łopatkach, omdleniom, ucinaniu szyj, kusztykaniu, tańcom w rosyjskich butach z

cholewami, tańcom z podkasanymi spódnicami i tarzaniu się po kanapie, bo to są przecież zjawiska, gdzie żaden sprzeciw nie pomoże. Ale nie trzeba takiego szczytu emocji na widowni, jaki przeżyłem, i o jakim wspominam, by dojść do przekonania, że dyskretna sugestia afisza jest sugestią błędną, która może powstać dopiero po przedstawieniu, przedtem jednak chybioną, a nawet niemożliwą, zdolną powstać tylko w kimś stojącym z boku, bo człowiek osądzający uczciwie nie będzie mógł po przedstawieniu dopatrzeć się żadnego godziwego związku między afiszem a sceną.

Zacząłem od przekreślenia i pisałem z rozpaczą, bo dziś szczególnie hałaśliwie grają w karty, bo muszę siedzieć przy wspólnym stole, bo O. śmieje się od ucha do ucha i wstaje i siada znowu i sięga ponad stół i mówi do mnie, a ja na domiar nieszczęścia piszę tak opornie i muszę przy tym myśleć o znakomitych, pisanych z nie postrzępionym uczuciem, paryskich wspomnieniach Löwyego, które rodzą się z własnego ognia, podczas gdy ja, przynajmniej teraz, na pewno z braku czasu przede wszystkim, pozostaję prawie całkowicie pod wpływem Maksa, co nieraz — aż do przesytu — psuje mi również radość z jego własnych dzieł. A że mnie to pociesza, wypiszę sobie pewną autobiograficzną uwagę Shawa, choć prawdę mówiąc, zawiera ona przeciwieństwo pociechy; jako chłopak Shaw był praktykantem w kantorze pewnego agenta z branży rolnej w Dublinie. Porzucił wnet tę posadę, przeniósł się do Londynu i został pisarzem. W ciągu pierwszych dziesięciu lat od roku 1876 do 1885 zarobił w sumie sto czterdzieści koron. „Ale jakkolwiek byłem tęgim młodym człowiekiem, a moja rodzina znajdowała się w złej sytuacji materialnej, nie rzuciłem się bynajmniej w wir życiowej walki; rzuciłem weń swoją matkę i pozwoliłem się przez nią utrzymywać. Nie byłem wcale podporą swego starego ojca; przeciwnie, wieszałem się u poły jego surduta.” Ostatecznie pociesza mnie to trochę. Lata, jakie Shaw przebył beztrąsko w Londynie, przeminęły już dla mnie, możliwość szczęścia przechyla się coraz to wyraźniej ku głębiom niemożliwości, wiodę życie straszliwe, będące namiastką i jestem na tyle tchórzem i nędznikiem, by pójść w ślady Shawa tylko o tyle, aby właśnie ten ustęp odczytać swoim rodzicom. Jakże to inne możliwe życie błyska mi przed oczyma barwami stali, pełne naprężonych stalowych sztab z mrocznym między nimi przestworzem!

27 października. Opowiadania i pamiętniki Löwyego: jak przestraszył go kościół Notre Dame, jak tygrys w Jardin des Plantes przejął go wzruszeniem, bo Löwy ujrzał w nim symbol kogoś zrozpaczonego i ufającego, co żrąc zaspokaja rozpacz i nadzieję; jak nabożny ojciec Löwyego zapytał go w teatrze, czy może dziś w sobotę iść na spacer, czy teraz właśnie ma czas na czytanie nowoczesnych książek; czy pozwala sobie jeść w dniu postu, podczas gdy Löwy musi przecież pracować także w sobotę i w ogóle nie ma czasu na nic, a pości więcej niż to kiedykolwiek nakazała jakaś religia. Gdy, żując swój czarny chleb, przechadza się ulicami, wygląda to z daleka tak, jak gdyby jadł czekoladę. Praca w fabryce czapek: przyjaciel Löwyego, socjalista uważający za burżuja każdego człowieka, który nie pracuje tak sumiennie jak on, Löwy, np. ze swoimi delikatnymi rękami; który nudzi się w niedzielę, gardzi czytaniem jako czymś rozpustnie zbyt kownym, sam nie umie czytać i prosi ironicznie Löwyego o odczytanie mu listu, jaki otrzymał.

Żydowska woda do rytualnego oczyszczenia, którą w Rosji posiada każda gmina żydowska, a z którą kojarzy mi się w myśli komora z miednicą o ściśle określonych konturach, z ustalonymi i nadzorowanymi przez rabinów sprzętami użytkowymi; woda mająca zmyć z duszy tylko brud ziemski, zewnętrzne jej cechy są więc obojętne; woda-symbol, która może być, i bywa też, brudna i śmierdząca, ale cel swój przecież spełnia. Przychodzi tu kobieta, aby oczyścić się po miesiączce, przychodzi przepisywacz Tory, aby przed zapisaniem ostatniego zdania jakiegoś rozdziału Tory oczyścić się z wszystkich grzesznych myśli.

Obyczaj nakazujący zaraz po przebudzeniu się zanurzyć palce trzykrotnie w wodzie, bo złe duchy osiadają w nocy na drugim i trzecim członie palca. Racjonalistyczne uzasadnienie: należy nie dopuścić do tego, aby palce sięgły natychmiast do twarzy, ponieważ we śnie i w marzeniach sennych mogły przecież dotknąć bezwiednie wszystkich możliwych części ciała, a więc pach, pupy i genitaliów.

Garderoba za ich sceną jest tak ciasna, że gdy przypadkiem jeden aktor stoi poza zasłoną na drzwiach sceny, przed lustrem, a ktoś drugi chce przejść obok niego, musi podnieść tę zasłonę i niechcący pokazać się na chwilę publiczności.

Zabobon: gdy się pije z niecałego kieliszka, wówczas złe duchy znajdują dostęp we wnętrzu człowieka.

Jakże okaleczeni wydali mi się aktorzy po sztuce, jak bałem się dotknąć ich słowem. Jak po

przelotnym uścisku ręki wolałem odejść co prędzej, niby zły i niezadowolony, bo tak niemożliwe zdawało mi się wypowiedzenie prawdy swego wrażenia. Wszyscy wydali mi się fałszywi z wyjątkiem Maksa, który spokojnie bąknął coś błahego. Natomiast fałszywy był ten, kto rozpytywał się o jakiś bezwstydnego drobiazga; fałszywy ten, kto na jakąś uwagę aktora dał odpowiedź żartobliwą; fałszywy był ironista, fałszywy ten, kto zaczął roztaczać swą płataninę wrażeń — wszystko to hołota, która wtłoczona słusznie w głąb widowni wypelza teraz, późno w nocy, świadoma poniewczasie swej wartości. (Bardzo dalekie od prawdy.)

28 października. Odniosłem wprawdzie podobne wrażenie, ale ani gra, ani sztuka nie wydawały mi się tego wieczora doskonałe. Ale to właśnie zobowiązywało mnie do szczególnego szacunku dla aktorów. Przy drobnych, a choćby nawet i licznych usterkach wrażenia nie wiadomo, kto ponosi za nie winę. Pani Czyżyk nadepnęła raz na tren swej sukni i zachwiała się na chwilę jak masywna kolumna w swej utrzymanej w stylu princesse toalecie dziewczki; raz znowu przemówiwszy się, zwróciła się w silnej emocji twarzą do ściany, jakkolwiek nie odpowiadało to w danej chwili tekstowi; zbałamuciło mnie to, ale nie przeszkodziło pojawieniu się dreszczyku w górnej części twarzy na kościach policzkowych, odczuwanego zawsze, gdy słyszę jej głos. Ponieważ inni jednak moi znajomi odebrali wrażenie o wiele bardziej niejasne niż ja, zdawało mi się, że obowiązuje ich szacunek jeszcze większy niż mój, a to również i dlatego, bo szacunek przez nich odczuwany wywarłby, moim zdaniem, efekt znacznie potężniejszy od mojego, miałem więc podwójny powód, by kląć na ich zachowanie się.

Aksjomaty dramatu *Axiome über das Drama* Maksa na scenie teatru. Rzecz ta ma ze wszech miar charakter prawdy oglądanej we śnie, z czym zgadza się również termin „aksjomaty”. Im bardziej ta prawda pęcznieje marzeniem sennym, tym chłodniej należy ją rozumieć.

Wypowiedziano tu następujące twierdzenie:

Istota dramatu tkwi w pewnym niedoborze — brzmi teza.

Dramat (na scenie) jest tworem pełniejszym niż powieść, bo widzimy tu wszystko, o czym tam tylko czytamy.

Jest to tylko pozornie słuszne, gdyż w powieści poeta może pokazać nam tylko to, co jest ważne; natomiast w dramacie widzimy wszystko, aktorów, dekoracje, stąd nie tylko to, co ważne, a więc mniej. Zatem z punktu widzenia powieści najlepszym utworem dramatycznym byłby dramat, który zupełnie nie wzrusza, na przykład filozoficzny, odczytany przez siedzących aktorów na tle dowolnej dekoracji pokoju.

A przecież najlepszym dramatem jest ten, który w czasie i przestrzeni budzi najwięcej wzruszeń, który wyzwala się z wszelkich postulatów życiowych, ograniczając się do mów, do myśli wyrażonych monologami i do zasadniczych punktów akcji; który wszystkim innym rządzi poprzez emocje i wydzwignięty wzwyż na tarczy niesionej przez aktorów, malarzy oraz reżyserów słucha tylko najwyższych swych natchnień.

Błędy tego wnioskowania: przerzuca się ono niepostrzeżenie z jednego punktu widzenia na drugi, widzi przedmioty raz z pracowni autora, raz znowu od strony publiczności. Że publiczność nie percypuje wszystkiego po myśli poety, że jego samego wprawia realizacja sceniczna nieraz w zdumienie — na to zgoda (29 października, niedziela); lecz przecież poeta nosił w sobie cały utwór z wszelkimi jego szczegółami, posuwał się kolejno od szczegółu do szczegółu i tylko dzięki zamieszczeniu wszystkich szczegółów w mówionych partiach nadal tym elementom dramatyczną ciężkość i moc przekonywającą. Ale przez to właśnie dramat popada u szczytu swego rozwoju w nieznośne przesylenie człowiekiem; uziemić je i uczynić strawnym jest zadaniem aktora, obnoszącego przydzieloną sobie rolę luźno, w sposób rozdrobniony na pojedyncze włókna, chwiejnie. Dramat buja więc w powietrzu, lecz nie jak dach niesiony burzą, raczej jak cały gmach, którego fundamenty wyrwała z ziemi siła dziś jeszcze bardzo bliska szaleństwu.

Zdaje się nieraz, że utwór sceniczny tkwi nieruchomo w górze, w suficie; aktorzy ściągnęli stamtąd wstęgi i końce ich trzymają dla zabawy w rękach lub też okręcili je wokół ciała, i tylko kiedyś, raz i drugi, wstęga, którą trudno odwiązać, porywa któregoś z nich w górę ku przerażeniu publiczności.

Widziałem dziś we śnie osła o kształtach charta bardzo powściągliwego w ruchach. Przyglądałem mu się bacznie, zdając sobie sprawę z niezwykłości tego zjawiska, utkwilo mi jednak w pamięci tylko to, że jego cienkie ludzkie nogi nie mogą mi się podobać z powodu swej długości i wrzecionowatości. Podąłem mu parę świeżych, ciemnozielonych gałązek cyprysowych, którym dopiero co otrzymał od pewnej sędziwej damy z Zurychu (cała ta scena rozgrywała się w Zurychu), ale nie miał na nie ochoty, ledwie skubał je lekko; gdy jednak położyłem je potem na stole, zżarł mi je tak dokładnie, że pozostał po nich tylko ledwo widoczny kasztanowaty rdzeń. Była następnie mowa o tym, że ten osioł

nigdy jeszcze nie chodził na czterech nogach, lecz trzyma się zawsze pionowo, po ludzku, pokazując srebrzysto lśniącą pierś i brzusek. Ale prawdę mówiąc, nie było to słuszne.

Poza tym śniłem o Angliku, z którym zawarłem znajomość na jakimś zebraniu podobnym do Kongresu Armii Zbawienia w Zurychu. Były tam ławki jak w szkole, pod każdym pulpitem znajdował się jeszcze otwarty schowek; otóż w chwili, gdy wsunąłem tam rękę, aby coś uporządkować, ogarnęło mnie zdziwienie, jak można łatwo zaprzyjaźnić się w podróży. Mowa tu oczywiście o Angliku, który zaraz potem podszedł do mnie. Miał na sobie jasne, luźne, w świetnym stanie utrzymane ubranie, tylko u góry na ramionach po tylnej stronie widniała zamiast materiału ubraniowego, czy też naszyta nań przynajmniej, szara, fałdzista, nieco zwisająca, podarta w pasy i jakby przez pająki pocętkowana tkanina, która przypominała zarówno naszyte skórzane na spodniach do jazdy konnej, jak i ochraniacze na rękawach szwaczek, sprzedawczyń sklepowych i kantorzystek. Jego twarz okrywał również szary materiał z bardzo zgrabnymi wykrojami na usta, oczy, a zdaje mi się, także i na nos. Materiał ten był jednak nowy, kosmaty, trochę w rodzaju flaneli, bardzo elastyczny i miękki, doskonały wyrób angielskich tkalni. Spodobało mi się to wszystko tak bardzo, że zapragnąłem zapoznać się z tym człowiekiem. On także chciał mnie zaprosić do swego mieszkania, ale ponieważ musiałem odjechać już pojutrze, zamiar ten spełził na niczym. Przed opuszczeniem zebrania włożył na siebie jeszcze kilka bardzo na oko praktycznych sztuk odzieży, które po zapięciu uczyniły go kimś wcale nie zwracającym na siebie uwagi. Mimo że nie mógł zaprosić mnie do siebie, zachęcił mnie przecież do tego, by wyjść razem z nim na ulicę. Podążyłem za nim, przystanęliśmy przed lokalem zebraniowym na skraju chodnika, ja na dole on powyżej, i po krótkiej rozmowie ustaliliśmy ponownie, że z zaprosin fiasko.

A potem śniło mi się, że Maks, Otto Otto Brod — poeta, brat Maks i ja mieliśmy zwyczaj pakować swe walizy dopiero na dworcu. Nieśliśmy na przykład koszule przez główny hall do naszych odległych kufrów. Choć manewr ów wydawał się powszechnym zwyczajem, nie szło nam z tym jakoś, zwłaszcza że do pakowania braliśmy się dopiero na chwilę przed wjazdem pociągu. Byliśmy potem oczywiście rozgorączkowani i mieliśmy ledwie odrobinę nadziei, że dopadniemy jeszcze Pociągu i, co trudniejsze, zdobędziemy dobre miejsca.

Jakkolwiek stali bywalcy wraz z personelem kawiarni kochają aktorów, trudno im przecież zachować dla nich szacunek w przerwach między przygniatającymi wrażeniami; toteż gardzą aktorami jako głodomorami włóczęgami i współzjadami całkiem tak, jak bywało w zamierzczliwych czasach. Tak chciał starszy kelner wyrzucić Löwy'ego z sali, a odźwierny, były funkcjonariusz burdelu a obecnie rajfur, zwymyślał małą Czyżykową od ostatnich za to, że w zapale swego współczucia podczas Dzikiego człowieka chciała koniecznie podać coś aktorom; a kiedy przedwczoraj towarzyszyłem w powrotnej drodze do kawiarni Löwyemu, który poprzednio w Cafe City przeczytał mi pierwszy akt Eliesera ben Schevia Gordina, krzyknął doń tenże osobnik (zezowaty i mający pomiędzy zakrzywionym, spiczastym nosem a ustami dołek, z którego sterczą małe wąsiki): „No włąźże wreszcie, idioto. (Aluzja do roli w Dzikim człowieku.) Czekamy tu na kogoś. Będą tu dziś odwiedziny takie, na jakie, prawdę mówiąc, nie zasłużyłeś. Nawet sam jednoroczny ochotnik z artylerii jest tutaj, popatrz tylko”. —I wskazał na jedną z zasłoniętych szyb kawiarni, poza którą ów jednoroczny ochotnik niby to miał siedzieć. Löwy przejechał dłonią po czole: „Od Eliesera ben Schevia do tego”.

Widok schodów tak mnie dziś wzrusza. Już rano i kilkakrotnie potem patrzyłem z radością na widoczny z mego okna, trójkątny wykrój kamiennej poręczy stopni wiodących po prawej stronie mostu Czeskiego w dół, ku tarasowi nadbrzeża. Są bardzo strome, jak gdyby dawały tylko przelotnie wskazówkę. A teraz widzę na drugim brzegu rzeki drabiniaste schody w poprzek skarpy pochylonej ku wodzie. Były one tam od dawna, ale odślaniają je tylko w jesieni i w zimie przez usunięcie urządzonej zazwyczaj przed nimi pływalni i tkwią tam na ciemnej trawie pod brunatnymi drzewami w igrasce perspektywy.

Löwy: Czterech przyjaciół z młodzieńczych lat zostało na starość wielce uczonymi znawcami Talmudu. Każdy z nich doświadczył jednak innego losu. Pierwszy popadł w obłąd, drugi zmarł, rabbi Elieser stał się w czterdziestym roku życia wolnomyślicielem i tylko najstarszy z nich, Akiba, który dopiero mając lat czternaście zaczął badać Pismo, doszedł do pełnego poznania. Uczniem Eliesera był rabbi Meir, człowiek bogobojny o pobożności tak wielkiej, że nie przyniosła mu szkody nauka pobierana u wolnomyśliciela. Zjadał według słów własnych ziarno orzecha, lupinę wypluwał. Pewnej soboty Elieser udał się na przejażdżkę wierzchem, rabbi Meir podążył za nim pieszo z Talmudem w ręce, zresztą tylko dwa tysiące kroków, gdyż dalej nie wolno iść w dzień sobotni. I wtedy to właśnie powstała na przechadzce symboliczna wymiana argumentów i kontrargumentów. „Powróć do swego ludu” — przemówił rabbi Meir. Rabbi Elieser opierał się za pomocą gry słów.

30 października. Ach, ta żądza jaką odczuwam prawie zawsze, gdy czuję się nareszcie zdrowy na żołądek, gdy nagromadzam w sobie wyobrażenia straszliwych wyczynów w dziedzinie jedzenia! Szczególnie na widok wędlin nasycam tę chuć. Gdy ujrzę kiełbasę, którą etykieta poleca jako siarą, twardą kiełbasę domową, wgrzynam się w nią mocą wyobraźni pełnymi zębami i łykam szybko, równomiernie, bezlitośnie jak maszyna. Rozpacz, jaką ten czyn nawet w fantazji natychmiast pociąga za sobą, zwiększa mój łapczywy pośpiech. Długie ochłapy żeberka wpycham, nie gryząc ich, do ust i potem wyciągam je z tyłu, rwąc w strzępy

Herman Kafka — ojciec  
Franz Kafka W Wieku około 5 lat

żołądek i kiszki. Brudne stragany objadam do kompletnej pustki. Napycham się śledziami, ogórkami i wszelkimi zepsutymi, starymi, ostrymi potrawami. Cukierki wsypuję w siebie z blaszanych puszek jak grad. Napawam się w ten sposób nie tylko swym zdrowiem, lecz również pewnym cierpieniem bezbolesnym, które może zaraz przeminać.

Dawny mój zwyczaj, aby czystym wrażeniom czy to przykrym, czy radosnym — skoro tylko osiągną szczyt swej czystości — nie pozwałać, by rozplynęły się błogo po całej mej istocie, lecz zamącać je raczej i przepędzać za pomocą wrażeń nowych, niespodziewanych i słabych. Nie jest to zły zamiar szkodenia samemu sobie, lecz niemoc, jeśli chodzi o znoszenie tej czystości odczuwanego wrażenia, i tej niemocy nie uświadamiam sobie sam, bo ona — w cichości wewnętrznej — próbuje raczej sama sobie pomóc, wzbudzając z pozorną samowolą nowe wrażenie zamiast — i to tylko byłoby słuszne — ujawnić się i przywołać sobie na pomoc inne moce psychiczne. Tak to na przykład w sobotę wieczorem, po wysłuchaniu niezłej noweli panny T. — a nowela ta należy przecież bardziej do Maksa lub przynajmniej należy doń w szerszym zakresie i z większym ciężeniem niż jego własna — następnie po wysłuchaniu świetnej sztuki Bauma Konkurencja — gdzie można widzieć dramatyczną siłę w toku działania i oddziaływania nieprzerwanie, całkiem tak samo, jak przy pracy twórczej żywego rzemieślnika; otóż po wysłuchaniu obu tych utworów byłem tak przygnębiony, a moją już od paru dni dość pustą i niezbyt przygotowaną świadomość wypełniał smutek tak ciężki, że w drodze powrotnej do domu oświadczyłem Maksowi: „Z Roberta i Samuela nie będzie w ogóle nic”. Oświadczenie to nie wymagało wówczas ani przez wzgląd na mnie, ani z uwagi na Maksa nawet szczypty odwagi. Dalszy tok rozmowy zmieszał mnie nieco, ponieważ w tym właśnie okresie Robert i Samuel nie był ani trochę przedmiotem głównych moich trosk; toteż nie przychodziły mi na myśl trafne odpowiedzi na zarzuty Maksa. Gdy jednak znalazłem się potem sam — pozbawiony możliwości nie tylko rozproszenia mojego smutku przez rozmowę, lecz również tej prawie zawsze skutecznej pociechy, jaką nił daje obecność Maksa — rozpanoszyła się moja beznadziejność tak, że moja zdolność myślenia zaczęła się pod jej wpływem rozluźniać (tu Löwy przychodzi do mnie podczas przerwy na kolację i przeszkadza i sprawia mi radość od godziny siódmej do dziesiątej). Zamiast doczekać się jednak dalszego ciągu wydarzeń domowych, przewertowałem beładnie dwa zeszyty wydawnictwa Aktion, przeczytałem coś niecoś z Nieszczęśliwych Die Missgeschickten, powieść Wilhelma Schäfera (1868—1952), który wybił się jako nowelista i zajmował się teorią noweli. na koniec parę snych notatek paryskich i położyłem się do łóżka, właściwie zadowolony więcej niż przedtem, ale i pełen buntu. Podobnie zdarzyło się przed kilkoma dniami, gdy wróciłem z przechadzki, wyraźnie naśladowujący Löwego pod wpływem potęgi jego entuzjazmu, zewnątrznie zwróconej w kierunku moich dążeń. Również i wtedy czytałem i mówiłem w domu sporo piąte przez dziesiąte i załamane się.

31 października. Jakkolwiek czytałem dziś to i owo z katalogu Fischera, z Insel Almanach i z Przeglądu, uświadamiam sobie teraz dość jasno to, że wchłonałem w siebie wszystko albo dogłębnie, albo może i pobieżnie, jednak broniąc się przed zniekształceniem. Byłbym w odniesieniu do dzisiejszego wieczora raczej ufał własnym siłom, gdybym nie musiał znowu wyjść z Löwym do miasta.

Przed jakąś swatką, która dziś w południe była u nas w sprawie jednej z mych sióstr, uczniem zakłopotanie, skłaniające mnie do opuszczenia oczu, a to z kilku zazębiających się powodów. Dama ta miała na sobie suknię, której wyświechtana starość i brud nadawały jasnopopielaty połysk. Wstając z krzesła, trzymała dalej ręce na podołku. Zezowała, co pozornie zwiększało trudność wyminięcia jej wzrokiem, gdy musiałem spojrzeć w stronę mego ojca pytającego mnie o pewne szczegóły co do stręczonego nam młodzieńca. Z drugiej strony zmniejszało się znowu moje zakłopotanie z uwagi na to, że miałem przed sobą zastawiony obiad, i nawet odsunawszy zakłopotanie na bok, wystarczająco zajmowało mnie sporządzanie mieszanek z trzech moich talerzy. Na twarzy, jak to zrazu zauważyłem tylko w szczegółach, miała tak głębokie bruzdy, że przyszło mi na myśl nierozumne zdumienie, z

jakim zwierzęta gapią się chyba na tego rodzaju ludzkie twarze. Zdziwiająco cieleśnie sterczał z jej twarzy nosek drobny i kanciasty, szczególnie wskutek zadartego nieco koniuszka.

Kiedym w niedzielę po południu, mijając tuż tuż trzy panie, wchodził do domu Maksa, pomyślałem: jest jeszcze jeden lub dwa domy, w których mam coś do roboty, jeszcze idące za mną kobiety mogą widzieć w jakieś niedzielne popołudnie, jak śpiesznie skręcam w bramę domu, aby pracować, celowo rozmawiać, o ile zechcą interpretować to wyjątkowo w ten właśnie sposób. Ale długo to już nie potrwa.

Nowele Wilhelma Schäfera chłonę zwłaszcza przy głośnym ich odczytywaniu z błogością tak samo skupioną, jak gdybym czyścił sobie język sznurkiem. Wczoraj po południu nie bardzo mogłem zrazu znieść Valli <sup>siostra Kafki</sup>, kiedy jednak pożyczyłem jej *Nieszczęśliwych*, a ona wczytywała się przez chwilę w tekst i musiała już być porządnie pod wpływem tej powieści, polubiłem ją dla tego właśnie wpływu i pogłaskałem ją.

Aby nie zapomnieć: na wypadek gdyby mój ojciec miał kiedyś nazwać mnie znowu złym synem, zapisuję sobie wyraźnie, że on sam w obecności kilku krewnych bez szczególniejszej przyczyny, może po to, by mnie po prostu poniżyć, a może, by mnie we własnym swym mniemaniu uratować, nazwał Maksa *ein meschuggener* Ritoch <sup>wariat</sup> i że wczoraj, gdy w moim pokoju był Löwy, mówił z ironicznym poruszeniem łopatek i wykrzywianiem ust o ludziach obcych, których się wpuszcza do mieszkania, i co też może być w kimś obcym interesującego, po co się nawiązuje tak niekorzystne znajomości, etc. — Nie powinienem był jednak tego wypisywać, bo rozpisałem się na ten temat wprost pod wpływem nienawiści ku własnemu ojcu, do której dzisiaj nie dał on przecież żadnego powodu, a która — przynajmniej ze względu na Löwyego — jest niewspółmiernie wielka w porównaniu z tym, co zanotowałem jako wypowiedź mego ojca, i potężniejsze jeszcze wskutek tego, że właściwej zbrodni we wczorajszym zachowaniu się ojca nie mogę sobie przypomnieć.

1 listopada. Zacząłem dziś czytać łączywie i z zadowoleniem *Historię żydostwa* <sup>Geschichte des Judentums</sup> Graetza. Że jednak moje pożądanie prześcignęło daleko tę lekturę, była mi ona najpierw bardziej obca, niż myślałem, musiałem więc tu i tam przystawać, by ochłonawszy, dać swemu żydostwu możliwość zjednoczenia się. Jednak pod koniec wzruszyła mnie już niedoskonałość pierwszych osiedli w nowo zdobytym Kanaan, jak również wierne przekazanie niedoskonałości bohaterów ludowych (Jozue, sędzia i Elis).

Wczoraj wieczór pożegnanie pani Klug. Obaj, Löwy i ja, bieглиśmy wzdłuż pociągu i widzieliśmy panią Klug wyzierającą z ciemności, spoza zamkniętego okna w ostatnim wagonie. Prędko wyciągnęła rękę ku nam, jeszcze tam wewnątrz przedziału, powstała, otworzyła okno, widniejąc w nim przez chwilę na całą jego szerokość, w rozpiętym płaszczu, póki naprzeciwno niej nie podniósł się mroczny pan Klug zdolny otworzyć usta tylko na całą szerokość, i to ze zgorzkniałym grymasem, i zacisnąć je szczelnie jakby na wieczność. Do pana Kluga zwróciłem w ciągu kwadransa zaledwie parę słów i spojrzałem nań może tylko dwukrotnie, chwilami, poza tym nie mogłem przy mdłej, nieprzerwanej rozmowie oderwać oczu od pani Klug. Owładnęła ją całkowicie moja obecność, ale raczej w jej wyobraźni niż rzeczywistości. Gdy zwracała się do Löwyego często zagadując: „Słuchaj no, Löwy!” — mówiła to z myślą o mnie; gdy przyciskała się do swego męża, który chwilami dopuszczał tylko jej prawe ramię do zetknięcia się z oknem, gniotąc sobą jej suknię i rozchełstana narzutkę, robiła wszystko możliwe, aby choć tym ramieniem przesłać mi bodaj czczy znak.

Pierwsze moje wrażenie odniesione w toku przedstawień, że nie byłem jej szczególnie miły, było chyba trafne, rzadko też domagała się, bym towarzyszył jej w śpiewie, a kiedy, ot tak sobie, bez kapryśnego zamiaru zapytywała mnie o coś, odpowiadałem niestety nedorzecznie („Czy pan to rozumie”? — ja na to: „tak” — podczas gdy ona wolałaby usłyszeć raczej: „nie” — aby odpowiedzieć: „I ja także nie”). Widokówek swych nie podała mi po raz drugi do obejrzenia. Milsza mi była pani Czyżyk, której chciałem ofiarować kwiaty z pominięciem pani Klug. Do tej niechęci dołączył się jeszcze szacunek przed moim doktoratem, narzucający się mimo mojego dzieciennego wyglądu, a nawet w związku z tym raczej większy. Szacunek ów był tak wielki i z częstych jej, choćby i nie akcentowanych specjalnie odezwań się: „Wie pan, panie doktorze” — dźwięczał w ten sposób, że ogarniał mnie półbezwiedny żal, jak mało, o wiele za mało, nań zasługuję i pytałem siebie sam, czy nie miałbym prawa, aby wszyscy ludzie zwracali się do mnie dokładnie tak samo. O ile jednak ceniła mnie tak wysoko jako człowieka, darzyła mnie dopiero jako słuchacza pełnią swego szacunku. Promieniałem, gdy śpiewała, śmiałem się wpatrzony w nią przez cały czas, gdy była na scenie, śpiewałem razem z nią melodie, a potem i słowa, podziękowałem jej po kilku przedstawieniach; jasne,



że w zamian za to mogła mnie znowu dobrze znosić. Ilekroć przemówiła do mnie jednak, dając wyraz temu uczuciu, popadałem w zakłopotanie, wobec czego ona powracała niewątpliwie sercem do dawnej swej niechęci, ażeby już przy niej pozostać. Tym bardziej musiała się też przemagać, by wynagrodzić mnie jako słuchacza, lecz czyniła to chętnie, będąc pełną próżności aktorką i pocziwą kobietą.

Zwłaszcza w tych właśnie chwilach jej milczenia tam u góry, w oknie przedziału, patrzyła na mnie z ustami drgającymi zakłopotaniem i chytrą, z błyszczącymi oczyma, które wynurzały się z fałd idących aż od ust. Musiała chyba wierzyć w to, że ją kocham, co zresztą odpowiadało prawdzie, więc spojrzeniami tymi dawała mi jedyne miłosne zadowolenie, jakie będąc doświadczoną choć młodą kobietą, a przy tym uczciwą żoną i matką, mogła być dać jakiemuś doktorowi upiększonemu jej wyobraźnią. Te spojrzenia były tak natarczywe i podkreślane, na przykład zwrotami: „Jakże miiii byli tu nasi goście, zwłaszcza niektórzy” — że broniłem się przed nimi w chwilach, gdy spoglądałem na jej męża. Gdy tak porównywałem ich oboje z sobą, ogarniało mnie bezdenne zdumienie na myśl, że oto mają razem od nas odjechać, a przecież troszczyć się tylko o nas i nie stać ich na choćby jedno spojrzenie na siebie samych. Löwy zapytał, czy zdobyli dobre miejsca: „Tak, o ile będzie tu nadal tak pusto” — odpowiedziała pani Klug, rzucając przelotne spojrzenie we wnętrze przedziału, którego ciepłe powietrze będzie psuł jej mąż swym tytoniem. Rozmawialiśmy o ich dzieciach, dla których odjeżdżali stąd; mają czworo dzieci, w tym trzech chłopców, najstarszy synek ma lat dziewięć, a nie widzieli ich już od osiemnastu miesięcy.. Gdy jakiś pan w pobliżu nas wsiadł śpiesznie, zdawało się, że pociąg już ma odjechać, pożegnaliśmy się co prędzej, podając sobie ręce, ja uniosłem kapelusz w górę i przyłożyłem go potem do piersi. Odeszliśmy nieco, jak to się zwykle czyni przy odjeździe pociągu, przez co pragnie się okazać, że wszystko już skończone i że obecni pogodzili się z tym faktem. Jednakże pociąg nie ruszył jeszcze, przybliżyliśmy się znowu, sprawiło mi to wielką przyjemność, ona zapytała mnie o moje siostry. Znienacka pociąg zaczął ruszać powoli. Pani Klug wyciągnęła chusteczkę, aby nią powiewać. — Niech pan do mnie napisze — zawołała jeszcze — i czy znam jej adres — była już za daleko, abym mógł jej odpowiedzieć słowami, wskazałem na Löwego, od którego mógłbym dowiedzieć się adresu. — To dobrze — oznajmiła mnie i jemu szybkim skinieniem głowy i wystawiła swą chustkę, aby trzepotała na wietrze, ja podniosłem kapelusz zrazu niezgrabnie, potem w miarę jak oddalała się, coraz swobodniej.

Później dopiero przypomniałem sobie powstałe w tej właśnie chwili wrażenie, że pociąg właściwie nie odjeżdża, lecz przesuwa się tylko po krótkiej przestrzeni dworca, aby sprawić nam widowisko, a potem zapadnie się pod Ziemię. Tego wieczoru ukazała mi się w północy pani Klug, była nienaturalnie mała, prawie bez nóg i załamywała ręce, wykrzywiając twarz, jak gdyby zdarzyło jej się wielkie nieszczęście.

Dzisiaj po południu nadszedł mnie ból z powodu mego opuszczenia, ból tak przejmujący i tak ostry, że zrozumiałem: w ten sposób zużywa się siła, jaką zdobywam tym oto pisaniem i jakiej na ten cel istotnie nie przeznaczylem.

Skoro tylko pan Klug przybywa do jakiegoś nowego miasta, można zauważyć, jak biżuteria jego i jego żony znika w lombardzie. Gdy zbliża się odjazd, powoli wykupuje ją z powrotem.

Ulubione powiedzenie żony filozofa Mendelssohna: „Jakże mnie mdli na widok de tout l'univers!”  
wszechświata

Jedno z najważniejszych wrażeń przy pożegnaniu pani Klug kazało mi ustawicznie wierzyć, że ją, jako zwykłą mieszczkę, utrzymuje przymus poniżej poziomu jej istotnego, ludzkiego przeznaczenia i że trzeba jej tylko skoku, otwarcia drzwi, rozbłyśnięcia światła, by stała się aktorką i ujarzmiła mnie. Bo też naprawdę stała w górze, a ja na dole, jak w teatrze. Wysłała za mąż w szesnastym roku życia, ma teraz lat dwadzieścia sześć.

2 listopada. Dziś rano po raz pierwszy od dawna znowu radość z powodu wyobrażenia noża obracanego w moim sercu.

W gazetach, w rozmowie czy w biurze kusi często temperament samych słów, a dalej zrodzona z równoczesnej słabości nadzieja na nagłe, tym silniejsze oświecenie już w najbliższej chwili, albo tylko potężna ufność we własne siły, albo sama niedbałość, albo jakieś wstrząsające aktualne wrażenie, które pragniemy za wszelką cenę przetoczyć na tory przyszłości; albo przekonanie, że terażniejszy prawdziwy entuzjazm usprawiedliwia wszelki przyszły chaos; albo radość ze zdań podniesionych w

pośrodku jednym lub dwoma pchnięciami intonacyjnymi, tak że otwierają usta na całą szerokość, choć każą im też zamknąć się o wiele za szybko i kapryśnie — albo choćby ślad możliwości wydania zdecydowanego, podbudowanego jasnością sądu, albo skłonność, by mowę właściwie już ukończoną dalej upłynnić, albo chęć spieszego porzucenia tematu, nawet gdyby się musiało pełznąć na brzuchu, albo rozpacz, która szuka upustu dla swego ciężkiego oddechu, albo tęsknota za światłem bez cienia — wszystko to może skusić do wypowiedzenia zdań takich jak: „Książka, którą przed chwilą doczytałem do końca, jest najpiękniejsza z wszystkich dotąd przeczytanych” lub: „Jest tak piękna, że równej jej nie czytałem nigdy”.

Aby dowieść, że fałszem jest wszystko, co o nich piszę i myślę, aktorzy (z wyjątkiem pana oraz pani Klug) zatrzymali się nadal tutaj, jak mi to opowiedział spotkany wczoraj wieczorem Löwy; kto wie, czy znów z tego samego powodu nie odjechali dzisiaj, gdyż Löwy nie zgłosił się dziś w przedsiębiorstwie, mimo że obiecał.

3 listopada. Aby udowodnić, że oba zapisane przeze mnie przypuszczenia były fałszywe — a dowód ten wydaje się prawie niemożliwy — Löwy we własnej osobie przyszedł wczoraj wieczór i przeszkodził mi w pisaniu.

Przyzwyczajenie pana N., aby wszystko powtarzać w tej samej tonacji głosu. Opowiada komuś jaką bądź historyjkę ze swego przedsiębiorstwa, co prawda nie z tyloma szczegółami, aby ostatecznie doprowadzić opowieść do końca, zawsze jednak powoli i dzięki temu wyczerpująco niby komunikat, który nie chce być niczym innym, a zatem kończąc się, jest już ostatecznie wyczerpany. Mija chwilka przy innym temacie, tymczasem N. znajduje niepostrzeżenie przejście do swej historyjki i wytacza ją na nowo w jej dawnej formie, prawie bez uzupełnień, ale też i bez opuszczeń, z beztroską człowieka obnoszącego po pokoju tasiemkę przyczepioną zdradziecko do swych pleców. Otóż, moi rodzice lubią go niezwykle, a co za tym idzie, raczej odczuwają jego nawyki niż je sobie uświadamiają. I oto zdarza się, że oni sami, a przede wszystkim moja matka, dają mu bezwiednie okazje do powtarzania się. A gdy któregoś wieczora ani rusz nie chce nadarzyć się okazja do powtórzenia jakiejś historyjki, występuje moja matka, która pyta, i to z ciekawością nie ustającą po zadaniu pytania, jak by tego należało oczekiwać. A na historyjki już powtarzane, które nie mogą potem wynurzyć się o własnej sile, moja matka poluje formalnie swymi pytaniami jeszcze przez wiele następnych wieczorów. Przyzwyczajenie pana N. jest jednak tak władcze, że zdobywa się często na siłę pełnego samousprawiedliwienia. Nikt inny nie zapewniłby sobie przy tak regularnie częstotliwym gadulstwie takiej sytuacji, by opowiadanie zajmujące właściwie wszystkich powtarzać poszczególnym członkom rodziny. Historyjkę należy wówczas opowiadać kółku rodzinnemu, urastającemu w podobnych wypadkach powoli, etapami o jedną tylko osobę niemal tyle razy, ile jest osób. A ponieważ jestem jedynym człowiekiem, który poznał zwyczaj pana N., bywam również najczęściej tym, który wysłuchuje pierwszej opowieści i któremu jej powtarzanie sprawia tylko drobną radość z potwierdzenia słuszności obserwacji.

Zazdrość z powodu rzekomego sukcesu Bauma, którego przecież tak lubię. Przy tym wrażenie, że wewnątrz siebie mam nawijający się szybko kłębek o niezliczonych nitkach, który napręża je ku sobie od powierzchni mego ciała.

Löwy. Mój ojciec o nim: „Kto się kładzie spać z psami, ten wstaje z pluskwami”. Nie potrafiłem się opanować i powiedziałem coś niestosownego. Na to mój ojciec z niezwykłym spokojem (zresztą po długiej pauzie wypełnionej czymś innym): „Wiesz, że nie wolno mi się rozdrażniać i że trzeba mnie oszczędzać. Przychodź mi dalej z takimi sprawami. Mam w sam raz dość irytacji, po uszy dosyć. A więc daj mi spokój z takim gadaniem”. Ja: „Robię wszystko możliwe, aby się opanować” — i wyczuwam w ojcu, jak zawsze w takich momentach największego napięcia, istnienie mądrości, której tylko jedno tchnienie potrafię wchłonąć.

Śmierć dziadka Löwyego, męża o hojnej ręce, który znał parę języków, przedsięwziął kilka dalekich podróży w głąb Rosji, i który razu pewnego w sobotę u rabina cudotwórcy w Jekaterynosławiu wzdragał się jeść, ponieważ długie włosy i barwny szalik syna owego rabiego wzbudziły w nim podejrzenie co do pobożności domu.

Łóżko ustawiono w środku pokoju, lichtarze wypożyczono od przyjaciół i krewnych, pokój był zatem pełen światła i oparu świec. Około czterdziestu mężczyzn stało przez cały dzień wokół jego łoża, aby się zbudować konaniem bogobojnego człowieka. Był przytomny aż do końca i we właściwej chwili z ręką na piersi zaczął odmawiać modlitwy przeznaczone na tę porę. Podczas jego cierpienia i

po jego śmierci babka, siedząca przy zgromadzonych w przyległym pokoju kobietach, płakała nieustannie; natomiast W czasie agonii była zupełnie spokojna, ponieważ jest przykazaniem ułatwić wedle możliwości śmierć konającemu. „Z własnymi swymi modlitwami odszedł tam.” Tej właśnie śmierci po życiu tak nabożnym zazdrozczono mu wielce.

Święto Pessach. Zjednoczenie bogatych Żydów wynajmuje piekarnię, jego członkowie podejmują się wszelkich prac przy sporządzaniu tak zwanych osiemnastominutowych mac dla głów rodziny: przynoszenia wody, oczyszczania, mieszania, wykrawania, dziurkowania.

5 listopada. Wczoraj spałem; po Bar Kochba od siódmej czytałem z Löwym głośno list jego ojca. Wieczór u Bauma.

Chcę pisać mimo ciągłego drgania czoła. Siedzę w swym pokoju w głównej kwaterze zgiełku, jaki jest w całym mieszkaniu. Słyszę, jak trzaskają wszystkie drzwi, ich stukot przesłania mi tylko kroki tych, którzy przez nie przebiegają, ale dolatuje mnie zamykanie drzwiczek kuchennego paleniska. Mój ojciec rozwala drzwi mego pokoju i sunie przezeń we wlokącym się poza nim szlafroku, z pieca w przyległym pokoju. wygrzebuje ktoś popiół, Valli, jak gdyby przekrzykując którąś z paryskich ulic, rzuca przez przedpokój w nieokreśloną dal pytanie, czy kapelusz ojca już oczyszczono, jakiś syk, niby to mój sprzymierzeniec, wzbija krzyk odpowiadającego głosu. Pod naciskiem klamki otwierają się główne drzwi wejściowe i chrypią jakby z głębi zaflegmionej katarem szyi, potem rozskrzypują się szerzej przy krótkim zaśpiewie czyjś kobiecego głosu i zamykają się z głuchym pogłosem męskiego pchnięcia, bezwzględnie jak najprzykrzejszym dla ucha. Ojciec wyszedł a teraz zaczyna się zgiełczek delikatniejszy, rozleglejszy, bardziej beznadziejny pod śpiewnym przewodem dwu kanarków. Już przedtem myślałem o tym, jednak przy kanarkowym akompaniamencie wpada mi to na nowo do głowy, czyby tak nie odemknąć drzwi na małą tylko szparkę i nie wpełznąć jak wąż do sąsiedniego pokoju i tak właśnie leżąc na podłodze nie prosić o spokój moich siostr wraz z towarzyszącą im panią.

Rozgoryczenie, które odczuwałem wczoraj wieczorem, gdy Maks odczytywał u Bauma moją krótką nowelkę automobilową. Odcięty od wszystkich wcisnąłem po prostu brodę w pierś, broniąc się przed tym opowiadaniem. Beładne zdania tej opowieści z lukami tak wielkimi, że można by wetknąć przez nie obie ręce; jedno zdanie piszczy cienko, drugie dudni grubo, jak wypadnie; zdania ocierają się o siebie jak język o dziurawy albo sztuczny ząb; któreś znów wchodzi tak surowym początkiem, że cała treść popada w markotne osłupienie; jakieś ospałe naśladownictwo Maksa (zarzuty przytłumione — to znów: ognia!) włazi chwiejnie w sam środek, wygląda to nieraz jak pierwszy kwadrans lekcji tańca. Tłumaczę to sobie tym, że za mało mani czasu i spokoju, aby wykrzesać z siebie możliwości swego talentu w całej ich pełni. W całej automobilowej noweli od początku do końca przedostają się zatem na światło dzienne zawsze tylko urywkowe wątki wstępne, na przykład urywkowe początki myśli. Gdybym tak zdobył się raz na napisanie większej całości ukształtowanej harmonijnie od pierwszego słowa po ostatnie, wówczas i ta nowela nie mogłaby nigdy oderwać się ode mnie ostatecznie i mógłbym spokojnie bez mrugnięcia okiem przysłuchiwać się odczytaniu takiej zdrowej opowieści jako jej pobratymiec po krwi; jednak dotychczas każdy strzępek opowiadania wałęsa się bezdomnie i gna mnie od siebie w przeciwnym kierunku. Przy tym wszystkim mogę się jeszcze cieszyć, jeżeli to wyjaśnienie jest trafne.

Wystawienie Bar Kochba Goldfadena. Błędna ocena sztuki na całej widowni i na scenie.

Przyniosłem dla pani Czyżyk bukiet z przyczepionym biletem wizytowym, na którym był napis „Z wdzięcznością” i wyczekiwałem chwili umożliwiającej jego wręczenie. Ale cóż, przedstawienie zaczęło się późno, główną scenę pani Czyżyk zapowiedziano mi dopiero na czwarty akt, z niecierpliwości i z obawy, że kwiaty mogłyby zwiędnąć, kazałem za pośrednictwem kelnera rozwiązać kwiaty już w czasie trzeciego aktu (była godzina jedenasta) i oto leżały z boku na stole, służba kuchenna wraz z paroma bywalcami podawała je sobie z rąk do rąk i wachała je, mogłem tylko zmartwiony i wściekły przyglądać się temu, nic więcej; podczas głównej sceny pani Czyżyk w więzieniu kochałem panią Czyżyk i przynaglałem ją mimo wszystko wewnątrz, aby skończyła; nareszcie akt przy moim roztargnieniu dokołatał się niepostrzeżenie do końca, starszy kelner wręczył kwiaty, pani Czyżyk przyjęła je między zasuwającymi się połowami kurtyny, ukłoniła się w wąskiej szczelinie zasłony i nie powróciła już więcej. Nikt nie zauważył mojej miłości, a chciałem pokazać ją wszystkim i uczynić przez to tak cenną dla pani Czyżyk, zaledwie zauważono bukiet. A przy tym minęła już godzina druga, wszyscy byli zmęczeni, paru widzów odeszło już wcześniej, miałem ochotę rzucić za nimi swoją szklanką.

Obok mnie siedział kontroler P. z naszego przedsiębiorstwa, chrześcijanin. Człowiek ten, którego

zresztą lubię, przeszkadzał mi. Mnie obchodziły kwiaty, nie jego kłopoty. Zdawałem sobie równocześnie sprawę z tego, że źle rozumiem sztukę, a nie miałem ani czasu, ani ochoty i zdolności, aby przyjść mu z pomocą, jego zdaniem zbyt dużą. W końcu ogarnął mnie przed nim wstyd, że sam uważałem tak kiepsko. Przeszkadzał mi także w porozumieniu się z Maksem, nawet przez uświadomienie mi faktu, że lubiłem go przedtem, że będę go zapewne lubił potem i że moje dzisiejsze zachowanie się mógłby wziąć mi za złe.

Ale nie tylko ja czułem się tak nieswojo. Maks czuł się odpowiedzialny za swój wychwalający artykuł w gazecie. Dla Żydów w towarzystwie Bergmanna było za późno. Członkowie Związku Bar Kochba przyszli dla tytułu sztuki i musieli doznać rozczarowania. Znając Bar Kochba tylko z tej sztuki, nie nazwałbym tak żadnego związku. W głębi sali kryły się razem ze swymi kochankami dwie ekspedientki w swych wieczorowych sukniach dziewczek i trzeba było podczas scen konania przywoływać je głośno do porządku. Na domiar wszystkiego ludzie z ulicy tłukli w wielkie szyby okienne ze złości, iż widzą tylko tak mały skrawek sceny.

A na scenie brakło obojga Klugów. Śmieszni statyści. „Ordynarni Żydzi” — jak powiedział Löwy. Komiwojażerowie nie pobierający zresztą żadnego nawet wynagrodzenia. Zajęciem ich było po największej części tylko ukrywanie śmiechu albo rozkoszowanie się nim, chociaż na ogół cechowała ich raczej życzliwość. Puciołowaty, złotobrody człeczyna, na którego widok można było z trudem powstrzymać się od śmiechu, śmiał się szczególnie komicznie z powodu nienaturalnego, śmiesznie przyklejonego, ruszającego się zarostu, który okalał pokracznie jego policzki podczas nieprzewidzianego zresztą w akcji śmiechu. Inny znów śmiał się tylko wtedy, gdy chciał, wówczas jednak bez miary. Gdy Löwy śpiewając konał i wił się w ramionach tych dwu seniorów i powoli z cichnącą na ustach pieśnią miał osunąć się na Ziemię, ci obaj pochowali głowy za jego plecami, ażeby nareszcie nie widziani (jak im się zdawało) przez publiczność naśmiać się do syta. Jeszcze wczoraj, gdy przypomniałem sobie to przy obiedzie, nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

Pani Czyżyk musiała w więzieniu zdjąć hełm odwiedzającemu ją, pijanemu rzymskiemu namiestnikowi (młody Pipes) i potem włożyć go sobie samej na głowę. Zdejmuje go więc, aż tu wypada z niego zgnieciony ręcznik, który Pipes niewątpliwie wetknął weń, by go hełm zanadto nie uwierał. Jakkolwiek nie mógł chyba nie wiedzieć, że mu hełm na scenie ściągają z głowy, spogląda na panią Czyżyk z wyrzutem, zapominając, że sam jest pijany.

To było piękne: pani Czyżyk wiła się pod rękami rzymskich żołdaków (które zresztą musiała dopiero przyciągnąć gwałtem ku sobie, gdyż widocznie bali się dotknąć jej), podczas gdy ruchy owych trzech mężczyzn prawie, ach, prawie tylko naginały się — dzięki jej staraniu i artyzmowi — do rytmu śpiewu; dalej pieśń, w której ona zapowiada zjawienie się Mesjasza i nie przerywając wątku, samą tylko sugestywną mocą uzmysławia grę na harfie, niby ruchami smyczka; a dalej w więzieniu, gdy przy częstym zbliżaniu się kroków przerywa swój żałobny śpiew, spieszy do stępy i wprawia ją w ruch, nucąc pieśń robotników; a potem znów odbiega, by podjąć dawny śpiew, i znowu wraca do stępy, a potem jak śpiewa przez sen w czasie odwiedzin Papusa i usta jej są otwarte jak błyskające oko, bo w ogóle kąci jej ust otwierając się, przypominają kąci oczu. W białym całuniecie zarówno jak i w czarnym była piękna.

Nowe podchwyczone u niej gesty: ręka wciskająca się w głąb niezbyt strojnego gorsetu, krótkie drganie łopatek i bioder w chwilach szyderstwa, zwłaszcza gdy odwraca się tyłem do osobnika wyszydanego.

Kierowała całym przedstawieniem jak matka rodu. Podpowiadała wszystkim, nie utykając sama nigdy; pouczała, błagała, a w końcu poszturchiwała statystów, ilekroć zachodziła potrzeba; dźwięczny, wysoki jej głos wplatał się, gdy brakło jej na scenie, w wąty śpiew chóralny, podpierając przepierzenie (miało ono w ostatnim akcie wyobrażać twierdzę), które statyści byliby przewrócili dziesięć razy.

Spodziewałem się, że za pomocą bukietu zaspokoję choć trochę swoją miłość do niej, okazało się to jednak całkiem bezskuteczne. Można to osiągnąć tylko przez literaturę albo spółkowanie. Piszę to nie dlatego, iżbym tego dotąd nie wiedział, lecz z uwagi na to, że może i dobrze jest wypisywać często przestrogi.

7 listopada. Wtorek. Wczoraj odjechali ostatecznie aktorzy razem z panią Czyżyk. Towarzyszyłem wieczorem Löwyemu w drodze do kawiarni, czekałem jednak przed drzwiami, nie chciałem wejść, nie chciałem zobaczyć pani Czyżyk. Przechadzając się jednak tam i z powrotem, ujrzałem ją, w chwili gdy otwierała drzwi, wychodząc razem z Löwym, podszedłem więc ku nim obojgu z ukłonem i spotkaliśmy się na środku jezdni. Pani Czyżyk podziękowała mi za mój bukiet przeciąganymi wylewnie, niemniej naturalnymi w jej dykcji wyrazami, jakoby dowiedziała się dopiero teraz, że pochodzi on ode mnie. Ten łgarz Löwy nie powiedział jej zatem ani słówka. Bałem się o nią, bo miała na sobie tylko lekką ciemną bluzkę z krótkimi rękawami i prosiłem ją — niewiele brakowało a byłbym

jej dotknął, żeby ją pchnąć — by weszła do lokalu, byle tylko się nie przeziębila. — Nie — odpowiedziała — nie przeziębę się, ma przecież szal — i uniosła go trochę, chcąc go pokazać i ściągnęła go potem ciaśniej na piersiach. Nie mogłem jej wyznać, że właściwie nie obawiałbym się o nią wcale, czując tylko radość z odnalezienia uczucia, które mogłoby dać mi rozkosz mej miłości i dlatego właśnie powiedziałem po raz drugi, że dręczy mnie obawa.

Tymczasem wyszedł z kawiarni również jej mąż razem z córeczką oraz panem Pipesem i okazało się, że nie postanowiono dotąd bynajmniej wyruszyć do Brünn, jak wmówił we mnie Löwy, Pipes raczej był wprost zdecydowany jechać do Norymbergi. — To myśl najlepsza — mówił — salę łatwo tam uzyskać, gmina żydowska jest liczna, a dalej podróż do Lipska i do Berlina przebiega bardzo wygodnie. Poza tym naradzali się podobno przez cały dzień, a Löwy, który spał do czwartej, kazał im na siebie czekać i dokazał tego, że spóźnili się na pociąg do Brünn odchodzący o pół do ósmej. Pod naporem tych argumentów weszliśmy do lokalu i zasiedliśmy przy stoliku, ja naprzeciw pani Czyżyk. Jakże chętnie byłbym zabłysnął w rozmowie; nie było to samo w sobie trudne, wystarczyłoby mi znać parę połączeń kolejowych, odróżnić od siebie dworce, sprowokować wybór między Norymbergą a Brünn, przede wszystkim jednak przekrzyczeć Pipesa, który miotał się jak jego własna kreacja, Bar Kochba, i którego wrzaskowi przeciwstawił się Löwy bardzo rozsądnie — choć bez wyraźnego zamiaru — bardzo szybko, nieprzerwaną, dla mnie przynajmniej wówczas dość niezrozumiałą półgłówną paplaniną. Otóż zamiast błyszczeć siedziałem przygarbiony w swym krześle, przeniósłem wzrok z Pipesa na Löwego i tylko nieraz przypadkiem napotykałem w tej wędrownicy oczy pani Czyżyk, lecz gdy odpowiadała mi spojrzeniem (musiała na przykład uśmiechać się — nic więcej — do mnie, a to z powodu podniecenia Pipesa), wówczas patrzyłem w bok. Wcale nie było to bezsensowne. Uśmiech na temat podniecenia Pipesa był pomiędzy nami wykluczony. Byłem na to jako vis d vis jej twarzy za poważny i powagą tą całkowicie zmęczony. Gdybym chciał śmiać się z czegokolwiek, mógłbym poprzez jej ramię spojrzeć na otyłą kobietę, która w Bar Kochba grała żonę namiestnika. Ale prawdę mówiąc, nie mogłem i na nią rzucić okiem poważnie. Znaczyłoby to bowiem, że ją kocham. Nawet stojący za mną młody Pipes musiałby przy całej swej niewinności domyślić się tego. A to byłoby istotnie niesłychane. Ja, młody człowiek, którego uważa się zgodnie za osiemnastolatka, wyznaję przed wieczornymi bywalcami Cafe Savoy w kole stojących gromadnie kelnerów, przed okrągłą gęstwą stolików aktorskich kobiecie trzydziestoletniej, która w niczyich już oczach nie uchodzi choćby tylko za przystojną, która ma dwoje dzieci w wieku lat dziesięciu i ośmiu, której mąż siedzi tuż obok niej, która jest wzorem zacności i powściągliwości — wyznaję tej kobiecie swoją miłość, ogarniającą mnie aż do zupełnego zatracenia i — teraz kolej na coś istotnie bardziej niezwykłego, czego by zresztą nikt już nie zdołał zauważyć — rezygnuję w oka mgnienia z tej kobiety tak, jak bym zrezygnował z niej nawet wtedy, gdyby była młodzianka i niezamężna. Czy mam być wdzięczny, czy przeklinać to, że pomimo wszelkich nieszczęść mogę jeszcze odczuwać miłość, nie ziemską wprawdzie, lecz ku ziemskim zwróconą przedmiotom.

Piękna była wczoraj pani Czyżyk. Prawidłowa bezsprzecznie piękność drobnych rąk, lekkich palców, toczonych przedramion, które same w sobie są tak doskonałe, że nawet niezwykle przecież widok ich nagości nie przywodzi na myśl reszty ciała. Rozdzielone w dwie fale, rozelśnione gazowym światłem włosy. Drobną skaza cery przy prawym kąciku ust. Niby do dziecinnej skargi otwierają się jej usta, przechodząc u góry i u dołu w delikatnie wyrzeźbione zagłębienia, przychodzi na myśl, że ta piękna rzeźba słów —rozprzestrzeniająca blask samogłosek w wyrazach i strzegąca czystego ich zarysu koniuszkiem języka — może udać się raz tylko i jej powtarzalność budzi zdziwienie. Niskie, białe czoło. Nie cierpię pudrowania się, jakie widywałem dotychczas, jeśli jednak ta biała barwa, ta unosząca się tuż przy skórze mgielka trochę mętnej jasności mlecznej pochodzi od pudru — niech pudrują się wszystkie kobiety. Lubi przykładać dwa palce do prawego kąciaka ust, być może, iż włożyła również w usta czubki palców, może wetknęła do ust nawet wykałaczkę; nie „przyglądałem się tym palcom dokładnie, lecz wyglądało to prawie tak, jak gdyby wsadziła wykałaczkę w dziurawy ząb i zostawiła ją tam spokojnie przez kwadrans.

8 listopada. Całe popołudnie u doktora (adwokata) w sprawach fabryki.

Dziewczyna spoglądająca spokojnie wkoło tylko dlatego, bo szła uwieszona u ramienia swego kochanka.

Kantorzystka u N. przypomniła mi odtwórczynię Manette Salomon w paryskim Odeonie półtora roku temu. Przynajmniej w pozycji siedzącej. Miękkie, raczej szerokie niż wypukłe biust obciśnięte wełnianą materią. Szeroka aż do ust, potem jednak zwężająca się prędko twarz. W gładkim uczesaniu niedbale pozostawione naturalne loki. Żar i spokój w mocnym ciele. Wspomnienie to wezbrało, jak dziś uświadamiam sobie, dlatego, bo pilnie pracowała (w jej maszynie do pisania systemu Oliver drażki fruwały jak druty do robienia pończoch w dawnych czasach), przechadzała się nieraz z kąta w kąt,

mówiąc jednak kilka zaledwie słów w ciągu pół godziny, jak gdyby nosiła w sobie żywą Manette Salomon.

Czekając u doktora, przyglądałem się jedynej w pokoju stenotypistce i zastanawiałem się nad tym, jak trudno jest określić jej twarz nawet w toku obserwacji. Zamieszanie wprowadzała zwłaszcza proporcja fryzury rozczesanej szeroko i sterczącej kręgiem o prawie równym promieniu ponad głową aż do nosa, który wydawał mi się niewątpliwie za długi. Przy wyraźniejszym zwróceniu się w moją stronę tej dziewczyny, czytającej właśnie jakiś kiurowy akt, niemal zaskoczyło mnie spostrzeżenie, iż rozmyślając tak, pozostałem jej bardziej obcy, niż gdybym małym palcem musnął jej spódnice.

Gdy doktor przy czytaniu kontraktu doszedł do punktu dotyczącego mojej ewentualnej przyszłej żony i ewentualnych dzieci, zobaczyłem naprzeciwko siebie stół z dwoma wielkimi krzesłami i jednym mniejszym. Na myśl, że nie zdobędę się nigdy na to, aby na tych lub jakich bądź innych trzech krzesłach usadowić siebie, swoją żonę i swoje dziecko — ogarnęło mnie już od pierwszej chwili tak rozpacziwe pożądanie tego szczęścia — że z samej tylko rozbudzonej namiętnej chęci czynu zadałem doktorowi jedyne pozostające mi jeszcze w czasie długiego czytania pytanie, które ujawniło natychmiast mój zupełny brak zrozumienia dla obszerniejszej, właśnie odczytanej części kontraktu.

Nowe pożegnanie: u Pipesa zauważyłem — bo czułem się przez niego zmiażdżony — przede wszystkim szczerbate końce zębów z szarymi cętkami. Nareszcie błysnął mi pół-pomysł. — Po co jechać tak daleko, aż do Norymbergi bez przesiadania? — spytałem. — Dlaczego by nie dać jednego lub dwu przedstawień po drodze, na jakiejś mniejszej stacji? — A czy zna pan taką właśnie stację? — spytała pani Czyżyk bynajmniej nie ostro, jak to notuję, i zmusiła mnie przez to, bym na nią spojrział. Cała widzialna nad stołem część jej ciała, wszystka krągłość jej ramion, karku i piersi była pulchna, mimo iż na scenie w światowej europejskiej sukni budowa jej wydaje się koścista, prawie pospolita. Ze śmiesznym brakiem konceptu wymieniłem Pilzno. Stali bywalcy przy sąsiednim stoliku wymienili bardzo roztropnie Cieplice. Pan Czyżyk byłby chętnie oświadczył się za każdą stacją pośrednią, ma on zaufanie tylko do przedsięwzięć skromniejszych, podobnie i pani Czyżyk i to bez głębszego wzajemnego porozumienia się, poza tym rozpytuje ona wokół o koszty przejazdu. Oboje powtórzyli kilkakrotnie: wystarczyłoby przecież zarobić na chleb niezbędny do życia. Jej córeczka ociera policzki o jej ramię; nie czuje zapewne tego, ale komuś dorosłemu nasuwa się dziecinne przeświadczenie, że dziecku przy rodzicach — nawet jeśli oni są wędrownymi artystami — nie może stać się nic złego i że prawdziwe troski nie snują się tak blisko ziemi, lecz dopiero na poziomie twarzy ludzi dorosłych. Byłem bardzo za Cieplicami, gdyż mógłbym dać tym aktorom list polecający do dra P. i wstawić się w ten sposób za panią Czyżyk. W obecności opozycjonisty Pipesa — który sam sporządził losy na trzy wchodzące w grę miasta i żywo gestykułując przewodził losowaniu — wyciągnięto po raz trzeci Cieplice. Przeszedłem do sąsiedniego stolika i gorączkowo napisałem list polecający. Pod pretekstem, że muszę pójść do domu, aby dowiedzieć się o dokładny adres dra P. — choć adres ten nie był mi zresztą potrzebny, a w domu nie znano go nawet — pożegnałem się. A podczas gdy Löwy sposobił się do pójścia razem ze mną, bawiłem się z zakłopotaniem ręką kobiety i bródką jej dziecka.

9 listopada. Przedwczorajszy sen:

Nic tylko teatr, ja — raz w górze na galerii, raz na scenie — dziewczyna, którą przed paru miesiącami lubiłem, występowała w przedstawieniu, napinała swoje giętkie ciało, uczepliwszy się ze strachu poręczy krzesła; dziewczynę tę, kreującą rolę męską, wskazałem z galerii, nie spodobała się memu towarzyszkowi. W jednym z aktów dekoracje zajęły tyle miejsca, że nie było widać nic poza nimi, ani sceny, ani widowni, ani ciemni, ani oświetlonej rampy; wszyscy widzowie roili się raczej sporymi gromadami na scenie, która przedstawiała Staromiejski Rynek widziany prawdopodobnie od wylotu ulicy Mikołaja. Chociaż z tego miejsca nie mogłoby się widzieć placu przed wieżą ratuszową z zegarem i Małego Rynku, jednak dzięki małym obrotom i powolnemu przechyleniu podłogi sceny osiągnięto, że na przykład można było spojrzeć na Mały Rynek, spod pałacu Kinskych. Miało to chyba na celu pokazanie o ile możliwości całej dekoracji, skoro już raz ustawiono ją z tak doskonałym przepychem, i byłoby nieodżałowaną stratą przeoczyć coś z tej dekoracji, która — jak jasno sobie uświadamiałem — była najpiękniejszą dekoracją na całej ziemi i po wszystkie czasy. Oświetlenie przybrało tonację ciemnych jesiennych chmur. Światło przyćmionego słońca szło się rozprószonym blaskiem tu i ówdzie w kolorowej szybie okiennej, na południowo-wschodnim rogu placu. Że zaś wszystko wykonano w naturalnych rozmiarach bez najmniejszej sztuczności, wstrząsające wrażenie sprawiał dosyć silny wiatr, który roztrwierał i zatrząskiwał niektóre skrzydła okien, przy czym ze względu na znaczną wysokość domów nie było słycać żadnego odgłosu. Plac był stromo pochylony, bruk niemal czarny, kościół Tynski stał na swoim miejscu, ale przed nim widniał nieduży zameczek cesarski, na którego podwórku w wielkim porządku nagromadzone były wszystkie pomniki

architektury stojące zazwyczaj na placu: kolumna z Matką Boską, stara studnia sprzed ratusza, której nawet nie zauważyłem nigdy, studnia przed kościołem świętego Mikołaja, wreszcie ogrodzenie z desek, zbudowane właśnie teraz koło wykopu ziemnego pod pomnik Husa.

Przedstawiano — nieraz zapomina się na widowni, że to tylko gra, a cóż dopiero na scenie i wśród takich kulis — przedstawiano więc bal cesarski i rewolucję. A była to rewolucja potężna, z olbrzymimi tłumami ludu, spychanymi w górę i w dół placu, jaka prawdopodobnie nigdy nie miała miejsca w Pradze; przeniesiono ją chyba do Pragi tylko z powodu dekoracji, chociaż miejscem jej był właśnie Paryż. Z uroczystości dworskiej nie było z początku widać nic, w każdym bądź razie dwór wyjechał na jakąś zabawę. Tymczasem wybuchła rewolucja, lud wtargnął do zamku, co do mnie — to biegłem w tej chwili przez wystające części studzien na dziedzińcu na swobodną przestrzeń, natomiast dla dworu powrót do zamku miał stać się niemożliwy. Aż tu zajeżdżają powozy dworskie od strony ulicy Żelaznej w pędzie tak szalonym, że musiały hamować jeszcze daleko od bramy zamkowej, ślizgając się po bruku zatrzymanymi siłą kołami. Były to pojazdy, jakie widać się na festynach ludowych i pochodach, gdzie urządzone są żywe obrazy; więc płytkie, oplecione girlandami kwiatów; z platform tych wozów zwisało wokół barwne sukno, zakrywające kola. Tym wyraźniej dochodził do świadomości strach przejawiający się w ich pośpiechu. Od ulicy Żelaznej ku zamkowi wlokły je łukiem konie jak gdyby nieprzytomne, by stanąć dęba u bramy wjazdowej. W tym momencie również, mijając mnie, wyroiło się na plac mnóstwo ludzi, przeważnie gapiów znanych mi z ulicy, którzy być może nadbiegli tu właśnie teraz. Była wśród nich także jakaś znajoma dziewczyna, nie wiem jednak która; obok niej szedł elegancki młody człowiek w żółto-brunatnym palcie jesiennym w drobną kratkę, prawą rękę wsunął głęboko w kieszeń. Szli w stronę ulicy Mikołaja. Od tej chwili nie ujrzałem już nic więcej.

Schiller powiedział gdzieś: „Najważniejsza rzecz (lub mniej więcej coś takiego), to przekształcić afekt w charakter”.

11 listopada. Sobota. Wczoraj przez całe popołudnie u Maksa. Ustalono kolejność eseju dla „Piękną brzydkich obrazów”. Brak dobrego samopoczucia. Ale właśnie wtedy Maks kocha mnie najbardziej lub też zdaje mi się tylko, że tak jest, bo w takich chwilach uświadamiam sobie tak dobitnie znikomość swej zasługi. Nie, on naprawdę kocha mnie bardziej. Chcę włączyć do książki Bressję. Wszystko, co we mnie dobre, wzdraga się przed tym. Miałem jechać z nim dzisiaj do Brunn. Wszystko, co we mnie złe i słabe, zatrzymało mnie tutaj. Bo w to, abym jutro napisał naprawdę coś dobrego, nie mogę uwierzyć.

Dziewczęta mocno, szczególnie z tyłu, opięte roboczymi fartuchami. Dziś przed południem u Löwyego i Winterberga taka właśnie, u której skrzydła spiętego tylko na tyłku fartuszek nie łączyły się z sobą jak zwykle, lecz zachodziły na siebie, tak że była owinięta, jak dziecko w powijakach. Stąd zmysłowe wrażenie, jakiego bezwiednie doznawałem również zawsze na widok niemowląt w powijakach, tak samo ściśniętych w swoich pieluszkach i poduszkach oraz skrępowanych wstążkami — całkiem jak dla zaspokojenia żądzy.

Edison powiedział w jednym z amerykańskich wywiadów na temat swej podróży przez Czechy, że wyższy stosunkowo rozwój Czech (szerokie ulice na przedmieściach, ogródki przed domami, jadąc przez kraj widzi się powstające fabryki) polega jego zdaniem na tym, że emigracja Czechów do Ameryki jest tak wielka i że poszczególne jednostki powracające z tego kraju przywożą stamtąd nowy impuls.

Skoro tylko uświadomię sobie w jakiś sposób, że pozostawiam samym sobie złe sytuacje, do których usunięcia byłbym właściwie powołany (na przykład ze wszech miar zadowolające, ale z mojego punktu widzenia beznadziejne życie mej zamężnej siostry), wówczas przestaję na chwilę czuć mięśnie swoich rąk.

Będę próbował zestawiać w samym sobie wszystko to, co niewątpliwe, następnie to, co wiarygodne, potem to, co możliwe, itd. Niewątpliwa jest we mnie żądza książek. Właściwie żądza nie tego, aby je posiadać lub czytać, lecz raczej, aby je oglądać, aby przekonywać się o ich istnieniu na wystawie u księgarza. Gdy znajdzie się gdziekolwiek kilka egzemplarzy tej samej książki, wówczas cieszy runie każdy egzemplarz z osobna. Tak, jak gdyby żądza ta pochodziła z żołądka, jakby była zбочonym apetytem. Książki, które posiadam sam, cieszą mnie słabiej, natomiast książki mych siostr cieszą mnie już o wiele więcej. Żądza posiadania ich jest nieporównanie mniejsza, prawie jej nie odczuwam.

12 listopada. Niedziela. Wczoraj conférence Richepina: *Legenda Napoleńska* La légende de Napoléon.  
Richepin Jean (1849—1926), poeta francuski i powieściopisarz, znany najbardziej jako poeta paryskiej ulicy.

Rudolfinum, Pustawo. Jak dla wypróbowania manier prelegenta ustawiono wielki fortepian na drodze od małych drzwi wejściowych do stołu odczytowego. Prelegent wchodzi, mając oczy zwrócone ku publiczności, chce dostać się najkrótszą drogą do swego stołu, zbliża się zatem zbyt do fortepianu — chwila zdziwienia, krok wstecz — i okrąża fortepian spokojnie, nie patrząc już na publiczność. W końcowym uniesieniu swojego przemówienia i wśród burzy oklasków zapomniał zupełnie rzecz jasna o fortepianie, gdyż w czasie referatu instrument ów niczym nie zwrócił na siebie uwagi, pragnie jak najpóźniej, złożony rękę na piersi, odwrócić się od publiczności, posuwa się więc kilkoma wytwornymi krokami w bok — oczywiście uderza się lekko o fortepian i musi, stąpając na palcach, przegiąć cokolwiek grzbiet do tyłu, zanim udaje mu się wydostać znowu na swobodną przestrzeń. Tak przynajmniej wykonał to Richepin.

Rosły, krzepki pięćdziesięcioletni mężczyzna, smukły w talii. Kędzierzawą sztywną czupryną (coś niecoś z Daudeta) przyczesał, nie wicherząc jej, dość mocno do czaszki. Jak u każdego starego południowca o grubym nosie przy szerokiej pofałdowanej twarzy, nosie zatem, z którego dziurek może dmuchać potężny wicher niby przez końskie chrapy — dokładnie wiadomo na widok tych dziurek, że tworzą one niedosiężny już dalej, a przecież długo jeszcze ciągnący się koniec pyska — tak też i jego twarz wychylając się z bardzo zresztą swobodnie rosnącej brody, przypomniła mi oblicze starej Włoszki.

Namalowana niedawno, jasnoszara barwa wznoszącej się poza nim estrady koncertowej ludziła z początku oczy. Siwe włosy przyklejały się po prostu do tej farby, zacierając wszelki kontur. Gdy Richepin przeginał głowę w tył, falowało również barwne tło, jego głowa niemal tonęła w nim. Dopiero w połowie odczytu, kiedy uwaga osiągnęła pełnię koncentracji, ustąpiło złudzenie, szczególnie w chwilach, gdy prelegent recytując podnosił się na całą wysokość swej czarno odzianej postaci i wymachując rękami, wygłaszał wiersze — i w ten sposób kolor rozpraszał szarość. Na początku mógł wprawić w zakłopotanie, tak hojnie sypał komplementy na wszystkie strony. Opowiadając o pewnym napoleońskim żołnierzu, którego znał jeszcze, a który odniósł pięćdziesiąt siedem ran, zauważył, że różnobarwność górnej części jego tułowia potrafiłyby odtworzyć tylko kolorysta wielkiej miary, jak na przykład obecny tutaj jego przyjaciel Mucha.

Zauważyłem, jak narasta we mnie wzruszenie płynące od ludzi na estradzie. Nie myślałem o własnych bólach i troskach. Wcisnąłem się — włożywszy ręce między kolana — w lewy kąt swego fotela lub raczej pograżyłem się w odczycie. Odczuwałem oddziaływanie Richepina na mnie tak, jak czuł zapewne król Dawid, biorąc w łóżko młode dziewczęta. Miałem nawet mgliste przywidzenie Napoleona, który w mej systematycznie snującej się fantazji wkroczył małymi drzwiami wejściowymi, chociaż mógł być równie dobrze wyłonić się z desek estrady albo z organów. Przytłoczył sobą całą salę, gęsto w tych właśnie chwilach zapełnioną. Jakkolwiek znajdowałem się wtedy blisko niego, nie wątpiłem i nawet w rzeczywistości nie powątpiewałbym nigdy o budzonym przezeń wrażeniu. Potrafiłbym może zdać sobie sprawę z każdej śmieszności towarzyszącej jego wejściu — jak to stało się w przypadku Richepina — ale to spostrzeżenie nie zamąciłoby mego przeżycia. Przeciwnie, jakże chłodny byłem jako dziecko! Często pragnąłem zetknąć się z cesarzem po to, by mu dowieść, że nie wywiera żadnego wpływu. A nie była to odwaga, tylko chłód.

Richepin recytował wiersze jak mowy w Izbie. Walił ręką w stół jak bezsilny widz podczas bitwy, wymachiwaniem wyprężonych rąk torował gwardzistom przejście przez środek sali — Empereur! — wołał podniósłszy ramię niczym sztandar i powtarzając ten okrzyk, wprost wywoływał echo U wojska krzyczącego w dole, na równinie. Podczas jednego z opisów bitew stuknęła gdzieś tam czyjaś stopa o podłogę, spojrzano, była to jego stopa, co nie dość pilnie zważała na siebie. Nie zepsuło mu to jednak szyków. Przy wierszu Grenadierzy, odczytanym w przekładzie Gérard de Nerval pseudonim poety francuskiego Gérarda de Labrunie (1808—1855), tłumacza wierszy Heinego, Klopstocka, Goethego.

ze szczególnym pietyzmem, było najmniej oklasków. Za młodych lat Richepina otwierano grób Napoleona raz w roku i pokazywano przeciągającym w korowodzie inwalidom zabalsamowaną twarz, widok, który wywoływał raczej przerażenie niż podziw, gdyż była to twarz nabrzmiata i zielonkawa; toteż zaniechano potem tego otwierania grobu. Jednak Richepin widział jeszcze tę twarz będąc sam na ramieniu swego stryjecznego dziada, który służył był w Afryce, i dla którego komendant kazał umyślnie grób otworzyć.

Richepin zapowiada poemat, który zamierza recytować (ma pamięć niezawodną, jak właściwie bywa zawsze przy dużym temperamentcie), na długi czas przedtem, omawia go, a pod wpływem tych słów wiersze, które mają dopiero zabrznieć, powodują już małe trzęsienie ziemi, przy pierwszym poemacie zapewnił nawet, że wygłosi go z całym, jaki tylko posiada, ogniem. Tak też było.

Przy ostatnim poemacie wprowadził stopniowanie efektów polegające na niepostrzeżonym



przejściu we wiersze (wiersze Wiktora Hugo), na powolnym powstaniu, aby nie usiąść już po wygłoszeniu wierszy, na ponownym podjęciu i kontynuowaniu szerokich gestów deklamatorskich w momentach ostatniego impetu swej prozy. Zakończył przysięgą, że nawet po upływie tysiąca lat, gdyby każdy pyłek jego zwłok drgnął świadomością, byłby gotów poskoczyć na apel Napoleona.

Francuszczyzna, o krótkim oddechu i szybko następujących po sobie upustach tchu, nie zawiodła nawet przy najbardziej bezpretensjonalnych improwizacjach, nie stargała się w jego ustach nawet wtedy, gdy opowiadał często o poetach upiększających życie codzienne lub o własnej fantazji (tu zamykał oczy) jako o fantazji poety, o własnych halucynacjach (tu z przymusem wytrzeszczał oczy w dal) jako o halucynacjach poety itd. Nieraz zasłaniał sobie przy tym oczy i odsłaniał je, powoli odejmując palec po palcu. Służył w wojsku — jego stryj w Afryce, jego dziad pod Napoleonem, odśpiewał nawet dwa wiersze pieśni bojowej. 13 listopada. I ten człowiek ma, jak dowiedziałem się dzisiaj, sześćdziesiąt dwa lata.

14 listopada. Wczoraj byłem u Maksa, który wrócił ze swego odczytu w Brunn.

Po południu przy zasypianiu. Jak gdybym twardą pokrywą, okalającą bezbolesną czaszkę, wciągnął głębiej w jej wnętrze, pozostawiając na wierzchu część mózgu na swobodną igraszkę światła i mięśni.

Przebudzenie w chłodny, żółtawoświetlisty ranek jesienny. Przez ledwie domknięte okno wdzierają się, unosząc się jeszcze przed szybami, nim się znowu w sen zapadnie, zjawy o rozpostartych ramionach, wypiętych brzuchach i wygiętych w tył nogach — niby postacie na dziobie okrętu w dawnych czasach.

Przed zaśnięciem.

Tak ciężko wydaje się być kawalerem, jak stary człowiek prosić, strzegąc surowo swej godności, o przyjęcie, ilekroć przyjdzie ochota spędzenia wieczoru wśród ludzi, nieść swoje jedzenie do domu w jednej ręce, nie móc oczekiwać kogoś leniwie, ze spokojną ufnością, móc kogoś obdarzyć tylko z trudem lub nie doznając przy tym radości, żegnać ludzi przed bramą domu, nigdy nie móc gramolić się za swą żoną po schodach na górę; chorować, za jedyną pociechę mając widok ze swego okna, gdy się potrafi kucnąć na posłaniu, mieć w swoim pokoju tylko boczne drzwi, wiodące do obcych mieszkań, odczuwać często obcość swoich krewnych, z którymi udaje się zachowywać przyjazne stosunki tylko przez małżeństwo, i to przede wszystkim małżeństwo swych rodziców, potem zaś, gdy jego wpływ zniknie — własne małżeństwo, być zmuszonym podziwiać cudze dzieci, bo nie wolno nie powtarzać co chwila: nie mam swoich, gdyż żadna rodzina ze mną nie wzrasta, mieć niezmiennie poczucie swego wieku, że się w wyglądzie swym i zachowaniu wzoruje na jakimś tam jednym czy dwu bezzęnnym osobnikach, tkwiących we wspomnieniu naszej młodości. Wszystko to prawda, tylko łatwo tu o omyłkę, polegającą na tak intensywnym powiększaniu przed sobą przyszłych cierpień, tak że spojrzenie musi prześcigać je daleko i nie powraca już, podczas gdy w rzeczywistości będzie się tak stać oto i dziś i później, zachowując ciało i prawdziwą głowę, a więc i czoło, aby uderzyć w nie dłoń.

Spróbuję teraz naszkicować wstęp do *Ryszarda i Samuela*.

15 listopada. Wczoraj wieczorem już z jakimś przecuciem ściągnąłem narzutę z łóżka, położyłem się i znowu uświadomiłem sobie wszystkie swoje zdolności, jak gdybym trzymał je w ręce; napinały mi one pierś, rozplomieniały głowę, przez chwilę powtarzałem sobie, aby się pocieszyć, że nie wstaję do pracy: „To mi nie wyjdzie na zdrowie, to mi nie wyjdzie na zdrowie” — i chciałem z widocznym prawie zamiarem ściągnąć sen na swą głowę. Myślałem też ustawicznie o jakiejś czapce z daszkiem, którą bym dla obrony własnej wcisnął sobie mocną ręką na czoło. Ileż to straciłem wczoraj, jak mocno tętniła mi w ciasnej głowie krew zdolna do wszystkiego, trzymana zaś na wodzy jedynie przez siły niezbędne tylko dla samego życia i dla niego tu trwonione.

Pewne jest, że wszystko, co wymyśliłem uprzednio, i to nawet przy dobrym samopoczuciu — słowo po słowie czy też tylko pobieżnie, jednak w słowach wyrazistych — wydaje się na biurku przy próbie zapisania oschłe, opaczne, nieruchawe, zawadzające, bojaźliwe, a przede wszystkim pełne luk, jakkolwiek z pierwotnego pomysłu niczego nie zapomniałem. Oczywiście polega to w sporej mierze na fakcie, że z dala od arkuszy wpadam na dobre pomysły tylko w chwilach wzlotu, których bardziej się boję, niż wyczekuję z utęsknieniem, chociaż bardzo za nimi tęsknię. Po nich jednak następuje pełnia tak wielka, że wyrzeczenie staje się konieczne, wychwytyję więc z tego nurtu na ślepo, co popadnie, tak że przy rozważnym zapisywaniu zdobycz ta jest niczym w porównaniu z

pełnią, w której żyła, gdyż nie umie pełni tej przyciągnąć do mnie, a więc jest zła i przeszkadza, bo bezowocnie nęci.

16 listopada. Dziś w południe przed zaśnięciem — nie, nie zasnęłam wcale — leżałam na mnie tułów jakiejś kobiety z wosku. Twarz jej była przechylona w tył na moją, lewe jej przedramię uciskało moją pierś.

Przez trzy noce nie spałam, przy najmniejszej próbie dokonania czegoś opadam natychmiast na samo dno swojej siły.

Ze starego notesu: „Teraz wieczorem, po nauce trwającej od godziny szóstej rano zauważyłem, że moja lewa ręka trzymała już od krótkiej chwili za palec prawą we współczującym uścisku.” dotyczy okresu przed ostatecznym egzaminem z prawa.

18 listopada. Wczoraj we fabryce. Powrót tramwajem, siedziałem w kącie, wyciągnąwszy nogi, widziałem za oknem ludzi, jarzące się lampy sklepowe, mury mijanych wiaduktów, coraz to nowe grzbiety i twarze, drogę wiodącą z przedmiejskiej ulicy targowej, a na niej nic ludzkiego prócz powracających do domu ludzi, rażące, zapalone w ciemności elektryczna lampy w okolicy dworca, niskie, zwężające się ostro kominy jakiejś gazowni, afisz o występkach gościnnych jakiejś śpiewaczki de Treville, który pełzną po ścianach dolepił się aż do jakiejś uliczki blisko cmentarza, skąd, porzucając chłód otwartych pól, powraca razem ze mną w mieszkalne ciepło miasta. Obce nam miasta przyjmujemy jako fakt, mieszkańcy ich żyją, nie wnikając w nasz tryb życia, tak jak i my nie możemy przeniknąć ich trybu; należy porównywać, nie można się przed tym obronić, choć dobrze wiadomo, że nie ma to żadnej moralnej lub choćby tylko psychologicznej wartości, ostatecznie można wyrzec się często nawet porównywania, bo zwalnia nas z tego zbyt wielka różnorodność warunków życiowych.

Natomiast co do przedmieść naszego ojczystego miasta —wprawdzie są one nam również obce, jednak porównania zachowują tu swą wartość, półgodzinna przechadzka dowiedzie nas zawsze, że tutaj żyją ludzie na pół w śródmieściu, na pół na nędznej, mrocznej, wyżłobionej na kształt wielkiego wąwozu peryferii, mimo iż wszyscy posiadają tak rozległy krąg wspólnych interesów, jak żadna inna grupa ludzka poza miastem. Dlatego też wchodzę w każde przedmieście ze zmieszonymi uczuciami lęku, osamotnienia, współczucia, ciekawości, pychy, radości podróżowania i tężyzny męskiej, wracam zaś, zwłaszcza z Żiżkowa, z zadowoleniem, powagą i spokojem.

19 listopada. Niedziela. Sen:

W teatrze. Przedstawienie — *Daleki kraj* Schnitzlera Das weite Land, Schnitzler Arthur (1862—1931), wybitny austriacki pisarz. Na jego twórczość, zwłaszcza na jego głęboką interpretację psychologiczną postaci wpłynął fakt, iż był lekarzem polikliniki w Wiedniu.

Utitz Emil (ur. 1883) — praski filozof i estetyk, uczeń Frantza Brentano, autor licznych prac z zakresu estetyki i filozofii kultury.

Siedzę całkiem z przodu na ławce, będąc przekonany, że siedzę na ławce pierwszej, dopóki nie okazało się w końcu, że to jest druga ławka. Poręcz ławki zwrócona jest ku scenie, tak że wygodnie widać stamtąd widownię, a scenę dopiero po obejrzeniu się w tył. Autor jest gdzieś w pobliżu, nie mogę powstrzymać się od wypowiedzenia swego ujemnego sądu o sztuce, którą widocznie znam, dodaję jednak na pociechę, że trzeci akt jest podobno dowcipny. Słowem „podobno” chcę znowu zaznaczyć, że gdy mowa o drobnych fragmentach, to sztuki raczej nie znam i muszę zdać się na to, co słyszę od innych ludzi; w zamian za to powtarzam tę uwagę raz jeszcze, i to nie tylko dla siebie, inni jednak nie zważają na mnie wcale. Wokoło mnie jest wielki tłok, wszyscy przyszli, jak się zdaje, w odzieży zimowej, wypełniają więc swe miejsca nadmiernie. Nie znani mi ludzie tuż obok mnie i poza mną przemawiają do mnie z nienacką, pokazują mi nowo przybyłych, wymieniają nazwiska, ktoś zwraca szczególnie moją uwagę na przeciskającą się przez rząd krzesel parę małżeńską, bo pani ma ciemnożółtą, długonosą twarz o typie męskim, a ponadto — o ile można dojrzeć w ciżbie ludzkiej, z której sterczy jej głowa — ma na sobie męski ubiór; przy mnie stoi zdumiewająco swobodnie aktor Löwy, lecz bardzo niepodobny do prawdziwego i wygłasza burzliwe przemówienia, w których słycać powracające nieraz słowo principium; oczekuję ustawicznie terminu tertium comparationis, nie pojawia się jednak. W jednej z łóż drugiego rzędu lub raczej tam, na prawo od sceny, w kącie przylegającej do łóż galerii stoi trzeci syn rodziny Kischów Chodzi o rodzinę pisarza Egona Erwina Kisch; jego brat Paul Kisch studiował germanistykę. za swą siedzącą matką i mówi na cały teatr, wystrojony w piękny anielez o rozwianych szeroko połach. Słowa Löwyego są w jakimś związku z tym, co on mówi. Kisch wskazuje między innymi na pewien punkt kurtyny wysoko w górze i twierdzi, że tam właśnie usadowił się Kisch niemiecki, mówiąc to zaś ma na myśli swego kolegę szkolnego, który studiował germanistykę.

W chwili, gdy kurtyna podnosi się i widownia zaczyna się zaciemniać, a Kisch tak czy owak musiałby zniknąć, dla uwypuklenia tej sytuacji idzie razem ze swą matką na galerię w górę i w dół, przy czym ręce, odzież i nogi obojga zajmują znów niezwykle dużo miejsca na szerokość.

Scena mieści się trochę poniżej widowni, trzeba patrzeć w dół, oparłszy brodę o poręcz. Dekoracja składa się zasadniczo z dwu niskich, grubych kolumn pośrodku sceny. Tematem akcji jest uczta, w której biorą udział dziewczęta i młodzi mężczyźni. Widzę mało, bo chociaż wiele osób, i to właśnie z pierwszych ławek, wyszło na scenę z chwilą rozpoczęcia przedstawienia, jak mi się zdaje, widok zasłaniają mi pozostałe na swych miejscach dziewczęta wielkimi, płaskimi, przeważnie błękitnymi kapeluszami, falującymi na całą długość ławki, w lewo i w prawo. Mimo to dostrzegam szczególnie wyraźnie tam na scenie wątłego, dziesięciolub może piętnastoletniego chłopca. Ma on włosy suche, przedzielone, ostrzyżone równo. Nie umie nawet położyć serwety na kolanach jak należy; aby to zrobić, musi spoglądać uważnie w dół, a ma w tej sztuce grać światowca. Na skutek tego spostrzeżenia nie mam już ani trochę zaufania do tego teatru. Zebrane na scenie towarzystwo oczekuje teraz rozmaitych przybyszów, schodzących na scenę z pierwszych rzędów widowni. Cóż, kiedy całą w ogóle sztukę wyreżyserowano niedbale. Tak na przykład wchodzi w tej właśnie chwili na scenę aktorka, pani Hackelberg; jakiś aktor, rozparty po wielkoświatowemu w fotelu, zwraca się do niej per „pani Hackel”, zauważa natychmiast swą omyłkę i poprawia się. A teraz znowu włącza się w grono aktorskie dziewczyna, którą znam (nazywa się, o ile pamiętam, Frankel), przechodzi okrzykiem po prostu przez poręcz mojego krzesła na ławce, w momencie przechodzenia widać, że plecy ma całkiem nagie, skóra jej jest niezbyt czysta; co więcej, nad prawym biodrem różowi się rozdrapane, krwią nabiegłe miejsce wielkości gałki u drzwi. Za to potem na scenie, zwróciwszy się ku publiczności i stojąc na wprost z twarzą bez skazy, gra bardzo dobrze. A teraz znowu śpiewający jeździec ma przypędzić galopem z oddali; fortepian naśladuje stuk podków, słychać zbliżający się rażny śpiew, nareszcie i ja widzę śpiewaka, który pragnąc nadać swej pieśni swobodnie wzbierającą potęgę dźwięku szybko się zbliżającego, biegnie górną galerią w naszą stronę, ku scenie. Jeszcze nie dopadł sceny, nie skończył jeszcze również pieśni, a już dał z siebie najwyższy wysiłek pośpiechu oraz śpiewu przechodzącego w krzyk, fortepian także nie może już donośniej imitować podków bijących o kamienie. Więc obie strony spuszczają z tonu, śpiewak zbliża się ze spokojną pieśnią i aby nie widziano go tak wyraźnie, robi się taki mały, że ledwie głowa jego sterczy ponad barierą galerii.

Na tym dobiega końca pierwszy akt, ale kurtyna nie zapada i widownia pozostaje nadal zaciemniona. Na scenie siedzą na podłodze dwaj krytycy i piszą, oparłszy się plecami o dekoracje. Jakiś dramaturg czy reżyser ze spiczastą blond bródką wpada susem na scenę, jeszcze w locie wyciąga, chcąc coś zarządzić, jedną rękę, zaś w drugiej ma winne grono, które przedtem leżało na paterze z owocami, i zajada zeń.

Obróciwszy się znowu ku widowni, widzę, że oświetlona jest zwyczajnymi latarniami naftowymi, które całkiem tak samo jak na ulicach zatknięto na zwykłych słupach, oczywiście świecą one teraz zupełnie blado. Nagle — czy przyczyną tego stało się zanieczyszczenie nafty, czy jakieś uszkodzenie knota — światło jednej z tych latarni pryska i iskry lecą szerokim snopem w dół, na widzów, których w tym momencie nie można rozróżnić, gdyż tworzą masę czarną jak Ziemia. Aż tu nagle powstaje z tej masy jakiś pan, po prostu depcąc po niej, podchodzi do latarni — chce chyba doprowadzić ten sprzęt do porządku — ale wprawdzie patrzy w górę ku latarni, stoi tak przez chwilę przed nią nieruchomo, a gdy nic nowego się nie dzieje, wraca spokojnie na swoje dawne miejsce i zapada w nie głęboko. Wydaje mi się, że jestem nim i zanurzam twarz w ciemność.

Ja i Maks musimy mimo wszystko różnić się zasadniczo między sobą. Jakkolwiek gorąco podziwiam jego pisma, gdy leżą przede mną jako całość niedostępna krytycznemu wtargnięciu mojej i wszelkiej cudzej myśli — choćby dziś ten oto zbiór krótkich recenzji książek — przecież każde zdanie, które Maks pisze na temat Ryszarda i Samuela, związane jest z niechętnym ustępstwem z mej strony, które czuję boleśnie aż do głębi duszy. Przynajmniej dzisiaj.

Dziś wieczór przepełniała mnie znowu trwożliwie powściągnięta zdolność tworzenia.

20 listopada. We śnie obraz, rzekomo Ingesa. Dziewczęta w lesie, w tysiącu zwierciadeł, lub raczej: dziewice itd. Grupa upozowana podobnie i powiewnie odziana, tak jak to bywa na teatralnych kurtynach, widniała ciaśniej stłoczona po prawej stronie obrazu; po lewej stronie postacie siedziały albo leżały na olbrzymim konarze czy na bujającej w powietrzu wstędze, lub raczej unosiły się o własnej mocy długim szeregiem, wstępującym z wolna ku niebu. I oto zjawy te odbijały się w zwierciadłach nie tylko w kierunku widza, lecz również w kierunku oddalającym się od niego, stając się przy tym coraz mniej wyraźne, a liczniejsze; to, co oko traciło ze szczegółów, zyskiwało na pełni widzenia. Na pierwszym jednak planie stało, nie odbijając się w zwierciadłach, nagie dziewczę, opierając się mocniej na jednej nodze, z wysuniętym naprzód biodrem. Tu już należało podziwiać artyzm rysunkowy Ingesa — tylko stwierdziłem z błogim właściwie zadowoleniem, że zbyt wiele konkretnej nagości dziewczyny pozostawiono również na pastwę dotyku. Z przesłoniętego przez nią

miejsca bił blask bladożółtawego światła.

Mam niewątpliwie odrazę do przeciwstawień. Chociaż wyłaniają się nieoczekiwanie, nie dziwią nas wcale, gdyż kryły się zawsze całkiem blisko; kiedy zaś były bezwiedne, istniały jedynie na skraju marginesu. Dają one wprawdzie rzetelność, pełnię i ciągłość; niemniej w tym tylko stopniu co zwykła figurka w iluzjonie; to tylko własny nasz znikomy koncept obracaliśmy uparcie w kółko. Chociaż mogą być bardzo różnorodne, nie różnią się nawet półtonami barw, wyrastają człowiekowi spod ręki, niby unosząc się na falach wody, ukazując z początku bezkresną perspektywę, a w końcu przeciętną, zawsze jednakową wielkość. Nawijają się same, rozszerzyć ich nie można, tworzą punkt oparcia; są niby dziury w drewnie; są nieruchomym naporem burzy i — jak to wykazałem — ściągają do siebie nowe antytezy. Niechby tylko ściągnęły je na siebie wszystkie i raz na zawsze.

Z myślą o dramacie: pewnego wieczoru nauczyciel języka angielskiego Weiss — proste ramiona, ręce głęboko w kieszeniach, fałdzisty żółtawy płaszcz — spieszy potężnymi krokami przez jezdnię na placu Waława tuż obok tramwaju, wprawdzie jeszcze stojącego, który jednak już dzwoni. Oddala się od nas.

N. — Anno!

A. podnosząc oczy ku górze: — Jestem.

N. — Chodź tutaj.

A. wielkie, spokojne kroki: — Czego chcesz?

N. — Chciałem powiedzieć ci, że od pewnego czasu jestem z ciebie niezadowolony.

A. — Cóż znowu!

N. — To właśnie.

A. — Wobec tego powinieneś chyba zerwać umowę ze mną, Emilu.

N. — Tak nagle? I nie pytasz wcale o przyczynę?

A. — Znam ją.

N. — Doprawdy?

A. — Nie smakuje ci jedzenie.

N. zrywa się, wołając: — Wiesz czy nie wiesz, że Kurt odjeżdża dziś wieczór?

A. nie wyrażona z wewnętrznej równowagi: — Ależ tak, niestety odjeżdża; ale to nie powód, byś przywoływał mnie do siebie.

21 listopada. Moja dawna wychowawczyni, czarnożółta na twarzy, z ostrym profilem nosa i z tak miłą mi ongi brodawką gdzieś na policzku, była dzisiaj u nas po raz drugi w krótkim odstępie czasu, aby mnie zobaczyć. Za pierwszym razem nie było mnie w domu, dzisiaj wołałem, by zostawiono mnie w spokoju, chciałem spać i kazałem powiedzieć, że mnie w domu nie ma. Dlaczego wychowała mnie tak źle, byłem przecież posłuszny, sama mówi o tym teraz w przedpokoju do kucharki i do pokojówki, że miałam łagodne usposobienie i byłem grzeczny. Dlaczego nie wyzyskała tego na moją korzyść, aby przygotować mi lepszą przyszłość? Jest żoną czy wdową, ma dzieci, ma żywy, nie dający mi zasnąć sposób mówienia, myśli, że jestem rosnącym, zdrowym panem w pięknym wieku lat dwudziestu ośmiu, chętnie wracam myślą do swej młodości i w ogóle, że potrafię coś z siebie wykrzesać. Tymczasem leżę tu na kanapie, wyrzucony kopniakiem ze świata, czyham na sen, który nie chce nadejść, a gdy nadejdzie, to muśnię mnie zaledwie, stawy mam obolałe ze zmęczenia, moje wychudzone ciało rozlatuje się pod wpływem podnieceń, których mu nie wolno jasno sobie uświadomić, w głowie tętni zadziwiająco. A tam, za moimi drzwiami stoją trzy kobiety: jedna chwali mnie takiego, jakim byłem; dwie takiego, jakim jestem. Kucharka mówi, że pójde do nieba natychmiast: ma na myśli to, że pójde prosto do nieba. Tak się też stanie.

Löwy: pewien rabin uczony w Talmudzie miał tę, w danym wypadku bardzo miłą Bogu zasadę, aby niczego, nawet szklanki wody nie przyjmować od drugiego człowieka. Lecz zdarzyło się oto, że najsłynniejszy w jego oczach rabin zapragnął go poznać i w tym celu zaprosił go na ucztę. Odrzucić zaprosiny takiego męża, nie, to było niemożliwe. Ze smutkiem wyruszył tedy pierwszy rabin w drogę. Że jednak jego zasada była tak niewzruszona, pomiędzy nich wsunęła się góra.

ANNA siedzi przy stole, czyta gazetę.

KAROL przechadza się po pokoju, ilekroć znajdzie się przy oknie, przystaje i spogląda przez nie, raz nawet otwiera okno wewnętrzne.

ANNA: Zostaw, proszę, okno zamknięte, przecież bierze mróz.

KAROL przymyka okno: Widzisz, troszczymy się o odmienne sprawy.

22 listopada. ANNA: Słuchaj, Emilu, przyswoiłeś sobie nowy zwyczaj, i to całkiem ohydny. Dość ci

jakiegokolwiek drobnostki, by do niej nawiązać, i posługując się nią, znaleźć we mnie jakąś ujemną cechę.

KAROL zaciera ręce: Bo ty z niczym się nie liczysz, bo nie można w ogóle ciebie zrozumieć.

Nie sposób powątpiewać, że główną przeszkodą w moim rozwoju jest stan mojego ciała. Z takim ciałem nie można niczego osiągnąć. Będę musiał przywyknąć do tego, że będzie mnie ono ustawicznie zawodzić. Na skutek ostatnich nocy, spędzonych na szaleńczych smaczkach, lecz przespanych zaledwie urywkami, byłem dziś rano w stanie takiej rozterki, że nie czułem w ogóle nic prócz swego czoła, uważam wszelki półnośny stan za coś o wiele lepszego niż mój stan obecny i z samej tylko gotowości do skonania chciałbym — zwinęty w kłębek — paść z aktami w ręku na cementowe płyty korytarza. Moje ciało jest zbyt długie w stosunku do swej słabości, brak mu choćby odrobiny tłuszczu wydzielającego błogie ciepło, podsycającego ogień wewnętrzny, tłuszczu, którym duch bez szkody dla całości mógłby choć raz odżywić się ponad miarę swego dziennego zapotrzebowania. Jakże słabe serce, w którym ostatnio czułem wiele razy klucia, będzie mogło tłoczyć krew na całą długość tych nóg. Do kolan byłoby dlań dość pracy, lecz potem ze starczym już tylko wysiłkiem sączy się krew w wystygłe golenie. A tu już znowu trzeba jej w górze i czeka się na nią, podczas gdy ona roztrwania się u dołu. Wskutek długości ciała wszystko się rozprzega. Cóż więc może zdziałać to moje ciało, które przecież nawet przy koncentracji swoich sił miałoby za mało energii na to, co chce osiągnąć.

Z listu Löwyego do jego ojca: kiedy przyjadę do Warszawy, w swoim europejskim ubiorze będę krążył pośród was jak „pająk przed oczyma, jak żalobnik wśród nowożeńców” .

Löwy opowiada o pewnym swoim żonatym przyjacielu, który mieszka w Postin, małym miasteczku blisko Warszawy i w kręgu postępowych swych zainteresowań czuje się samotny, więc i nieszczęśliwy. „Czy Postin to wielkie miasto?” „Tak wielkie” — wyciąga ku mnie dłoń. Ta dłoń jest wyswiechtana, okryta żółtobrunatną rękawiczką i symbolizuje pustkowia.

23 listopada. 21., w sto dni po śmierci Kleista, rodzina Kleistów złożyła na jego grobie wieniec z napisem: „Najlepszemu w naszym rodzie”.

Od jakichże stanów zależę w związku ze swym trybem życia! Dziś w nocy spałem trochę lepiej niż w ostatnim tygodniu, dziś po południu nawet wcale dobrze, co więcej, odczuwam tę ospałość, która następuje po średniodobym śnie, wobec czego obawiam się, że będę mógł pisać mniej dobrze, czuję, jak poszczególne zdolności twórcze zapadają głębiej w moje wnętrze i jestem przygotowany na wszelkie niespodzianki, to znaczy widzę je już z daleka.

24 listopada. Schite (człowiek uczący się sztuki rytualnego obrzezywania). Fragment Gordina. W tekście cytaty z Talmudu, dla przykładu:

„Kiedy wielki uczony popełni grzech wieczorem lub w nocy, nie wolno mu już wyrzucać tego grzechu rano, bo na pewno w uczości swej obżałował go już sam”.

„Kiedy ukradnie się wolu, należy oddać dwa, kiedy zarżnie się ukradzionego wolu, należy oddać cztery, natomiast kiedy się zarżnie ukradzione ciele, należy oddać tylko trzy, przyjmując, że trzeba było to ciele odnieść, a zatem spełniło się ciężką pracę. Ta zasada ogranicza karę także i wtedy, gdy ciele uprowadzono bez wielkiego trudu.”

Czcigodność złych myśli. Wczoraj wieczorem czułem się szczególnie nędznie. Mój żołądek zepsuł się znowu, pisałem z trudem, odczytowi Löwyego w kawiarni (który był zrazu cichy i zniewalał nas do uwagi, potem jednak stał się bardziej ożywiony i nie zostawił nas już w spokoju, przysłuchiwałem się z wysiłkiem, moja smutna najbliższa przyszłość wydała mi się niegodna wkroczenia w nią, opuszczony szedłem przez ulicę Ferdynanda. I oto przy wylocie z Bergsteina naszyły mnie myśli o dalszej mojej przyszłości.

Jak zamierzam znieść ją z tym, wygrzebanym z rupieciarni ciałem? Przecież i w Talmudzie napisano: mężczyzna bez kobiety nie jest w ogóle mężczyzną. Wobec takich myśli zostaje mi tego wieczora tylko ta jedyna obrona, mówiłem sobie: „Oto teraz nadciągacie, złe myśli, teraz, bo jestem słaby i mam zepsuty żołądek. Właśnie teraz chcecie, abym was przemyślał. Cóż, gdy zrezygnowałem z tego, co dla was miłe. Wstyďte się. Przyjdźcie kiedy indziej, gdy będę mocniejszy. Nie wykorzystujcie tak mego stanu”. I rzeczywiście, nie czekając nawet na inne argumenty, odstąpiły, zaczęły rozpraszać się z wolna i nie nagabywały mnie już więcej w ciągu dalszego, rzecz prosta, niezbyt wesołego spaceru. Widocznie zapomniały jednak, że jeśli zechcą uwzględnić wszystkie moje negatywne stany, rzadko

uda im się znaleźć dostęp do mnie.

Wyziewy benzynowe z samochodu mknącego od strony teatru zwróciły moją uwagę na fakt, że widzów nadchodzących w moim kierunku, którzy spiesznymi ruchami doprowadzają ostatecznie do porządku swoje płaszcze i zwisające lornetki, czeka niewątpliwie estetyczny nastrój domowy (a choćby nawet rozjaśniała go tylko jedna świeca i to wystarczy przed udaniem się na spoczynek), z drugiej jednak strony jakże bardzo ludzie ci sprawiają wrażenie podrzędnych statystów odprawionych do domu, przed którymi po raz ostatni zapadła kurtyna i otwarty się za nimi te same drzwi, które dumnie — pod wpływem śmiesznej troski — weszli przed rozpoczęciem przedstawienia lub podczas pierwszego aktu.

25 listopada. Przez całe popołudnie namawiałem w Café City M., by podpisał oświadczenie, że był u nas tylko komisjonerem, że zatem nie obowiązywało go ubezpieczenie społeczne, a na moim ojcu nie ciąży odpowiedzialność zapłacenia zań pokażnej dodatkowej kwoty ubezpieczeniowej. Pan M. przyrzeka mi to, mówię płynnie po czesku, za swe błędy językowe przepraszam z wyszukaną wytwornością, pan M. obiecuje przysłać to oświadczenie w poniedziałek do biura fabrycznego; czuję, że jeśli mnie nawet nie lubi, to szanuje przynajmniej; cóż, kiedy w poniedziałek nie przysłała w ogóle niczego, nie ma go już w Pradze, wyjechał.

Wieczorem zobjętniały ze zmęczenia u Bauma, bez Maksa. Odczytanie utworu *Brzydca* jeszcze zbyt bezładnej historii; pierwszy rozdział jest raczej rupieciarnią, z której ma wyłonić się opowieść.

26 listopada. Z Maksem czytałem *Ryszarda i Samuela* przed południem i po południu, do piątej. Następnie poszedłem do N., kolekcjonera z Linzu, polecił go Kubin, olbrzym nieruchawy jak wieża; gdy zamilknie na czas dłuższy, ludzie pochylają głowy, bo milczy całym sobą, podczas gdy rozmawiając, nie całym sobą rozmawia; jego życie składa się z kolekcjonerstwa i spółkowania. .

Kolekcjonerstwo: zaczął od zbierania znaczków pocztowych, potem przerzucił się na grafikę, potem zbierał wszystko możliwe, potem zrozumiał bezużyteczność tej zbieraniny nie kompletującej się nigdy i ograniczył się do amuletów, a następnie do odpustowych medalików i ulotek z dolnej Austrii i południowej Bawarii. Są to medaliki i ulotki puszczane na nowo w obieg dla każdej pielgrzymki, pod względem materiału, jak i z artystycznego punktu widzenia przeważnie bezwartościowe, jakkolwiek bywają na nich często miłe obrazki. Otóż N. zaczął na ów temat skrętnie sypać publikacjami, poruszając po raz pierwszy ten przedmiot, dla którego systematyzacji ustalił dopiero wytyczne. Oczywiście dotychczasowych zbieraczy tych rzeczy, którzy nie wpadli na myśl publicystycznych wypowiedzi na ten temat, zdjęło oburzenie, musieli jednak pogodzić się potem z sytuacją. Obecnie N. jest uznanym powszechnie rzeczoznawcą tych odpustowych medalików, ze wszystkich stron napływają prośby o określenie ich i fachową ocenę, głos jego znaczy coś. Poza tym kolekcjonuje również wszystko inne, dumą jego jest pas cnoty wystawiony niedawno wraz z wszystkimi jego amuletami na Drezdeńskiej Wystawie Higienicznej. (Był tam właśnie teraz i polecił zapakować wszystko do transportu.) Dalej piękny miecz rycerski Falkensteina. Do sztuki odnosi się z kępską jasnością sądów, jaką daje jedynie kolekcjonerstwo.

Z kawiarni znajdującej się w hotelu Graf prowadzi nas na górę, do swojego przegrzanego pokoju, siada na łóżku, my obaj przy nim na dwu krzesłach, tak że tworzymy dyskretny komplet dyskusyjny. Pierwsze jego pytanie:

„Czy jesteście, panowie, zbieraczami?” „Nie, tylko skromnymi amatorami.” „Nie szkodzi.” Wyciąga z kieszeni kopertę i zasypuje nas po prostu ekslibrisami, własnymi i cudzymi, razem z prospektem swej przyszłej książki *Czary i zabobon w królestwie kamieni*. Pisywał już wiele, zwłaszcza na temat *Macierzyństwa w sztuce*, ciężarne ciało uważa za najpiękniejsze, jest mu ono również najmiłsze... Pisał także o amuletach. Co więcej, miał posady w wiedeńskich muzeach dworskich, kierował wykopaliskami Brailly, u ujścia Dunaju, wynalazł ochrzczoną jego nazwiskiem metodę zlepienia wykopanych waz, jest trzynastokrotnym członkiem naukowych towarzystw i muzeów, zbiory swe zapisał Germańskiemu Muzeum w Norymberdze, przesiaduje często aż do pierwszej lub drugiej godziny w nocy przy swym biurku, aby o godzinie ósmej rano zasiąść tam znowu. Musimy wpisać coś do sztambucha pewnej przyjaciółki, który z myślą o zapełnieniu go wziął z sobą w drogę. Samodzielni twórcy mają pierwszeństwo. Maks wpisuje zawity wiersz, który pan N. usiłuje wyłożyć prostszym przysłowiem: „Po deszczu słońce”. Przedtem odczytał go skrzypiącym, drewnianym głosem. Ja piszę: „Malutka dusza tańcem w skok się rusza itd.”

Czyta znów głośno, dopomagam, mówi wreszcie: „Rytm perski? Zaraz, jak się to nazywa? Gazela? No nie?” Nie możemy zgodzić się z tym ani odgadnąć, o czym N. właściwie myśli. Nareszcie cytuje jakieś ritornello Rükerta

Aha, myślał więc o formie „ritornello”. Co prawda, to także nie to. Dobrze, ale ma to pewną dźwięczność.

Jest przyjacielem Halbego Rückert Friedrich (1788—1866), filozof, orientalista i poeta, profesor uniwersytetu w Erlangen. Miałby ochotę opowiadać o nim. My

wolelibyśmy znacznie więcej słuchać o Bleiu. Chociaż i o nim niewiele można powiedzieć, w monachijskim Towarzystwie Literackim lekceważą go z powodu literackich świństw, z żoną swą, która jako dentystka miała gabinet z obfitą klientelą, i utrzymywała go, wziął rozwód, a jego córka, złotowłosa szesnastolatka o błękitnych oczach jest najbardziej rozpasaną dziewczyną w całym Monachium. W sztuce Sternheima *Spodnie* Die Hose, Sternheim Karl (ur. 1878), pisarz i dramaturg, neoromantyk, którego twórczość wywarła wpływ na ekspresjonizm.

N. i Halbe byli na widowni — Blei grał rolę starzejącego się światowca. N., spotkawszy go nazajutrz, powiedział: „Panie doktorze, grał pan wczoraj rolę dra Bleia.” „Jak to? Jak to? — odparł tamten z zakłopotaniem. — Grałem przecież rolę takiego a takiego osobnika”. Na wychodnym rozgrzebuje łóżko, ażeby całkowicie nabrało temperatury pokojowej, poza tym zarządza dalsze palenie w piecu.

Z Talmudu: „gdy uczyony w piśmie wybiera się na oględziny narzeczonej, powinien wziąć z sobą amhoreza zniekształcone słowo aramejskie am-ha-ares, niewykształcony człowiek., ponieważ sam, będąc zbyt zatopiony w uczyności, nie zauważyłby tego co potrzeba”.

Sieć telefoniczna i telegraficzna dokoła Warszawy dzięki przekupstwu utworzyła zamknięte koło, które tworzy z miasta obszar w sensie Talmudu wydzielony, coś w rodzaju zagrody, tak że w obrębie tego koła wolno nawet najpobożniejszym poruszać się i mieć przy sobie drobiazgi (np. chustkę do nosa).

Zebrania chasydów, na których z weselem ducha rozprawiają o zagadnieniach Talmudu. Gdy konwersacja utyka albo gdy ktoś z obecnych nie bierze w niej udziału, wynagradzają to sobie śpiewem. Układa się nowe melodie, a gdy któraś jest udana, wówczas zwołuje się członków rodziny i powtarza z nimi i udoskonala je. Pewien rabin cudotwórca, miewający często halucynacje, podczas jednej z takich rozpraw zatopił nagle swe oblicze w opartych na stole rękach i wśród powszechnego milczenia przetrwał w tej pozycji trzy godziny. Gdy oprzytomniał, zapłakał i zaśpiewał całkiem nieznanego, skoczno-wojskowego marsza. Była to melodia, przy której dźwiękach właśnie w tej chwili Anioły śmierci towarzyszyły lecącej do nieba duszy pewnego rabina cudotwórcy, zmarłego o tej porze w pewnym, bardzo odległym rosyjskim mieście. Wedle Kabały bogobojni otrzymują w piątek nowe, zupełnie niebiańskie, subtelniejsze dusze, które pozostają w nich aż do sobotniego wieczoru.

W piątek wieczorem dwaj aniołowie towarzyszą każdemu nabożnemu mężowi w drodze z synagogi do domu; gospodarz pozdrawia ich w jadalni stojąc; zostają tam tylko przez niedługi czas.

Wychowanie dziewcząt, ich dojrzałość, ich oswojenie z prawami świata, miało dla mnie zawsze niezwykłą wartość. Wtedy dziewczęta nie uykają już tak beznadziejnie przed kimś, kto je zna tylko przelotnie i rad by przelotnie porozmawiać z nimi; przystają już choćby na chwilkę, a gdyby nawet nie w tym właśnie miejscu w pokoju, gdzie chcielibyśmy je widzieć — nie trzeba ich już więcej przytrzymywać spojrzeniem, groźbami lub potęgą miłości; gdy się odwracają, czynią to powoli i nie chcą tym zranić, zresztą także ich plecy wówczas stają się szersze. To, co im się mówi, nie idzie na wiatr, wysłuchają całego pytania, tak że nie trzeba się spieszyć, i odpowiadają, choć żartobliwie, jednak dokładnie na zadane pytanie, Co więcej, same zapytują nieraz, podniósłszy twarzyczkę, a krótka rozmowa z nimi nie jest wcale nieznośna. W pracy ledwie rozpoczętej prawie nie przeszkadza im już przygodny widz i mniej zwracają nań uwagi, on za to może dłużej im się przyglądać. Usuwają się z oczu tylko po to, aby się przebrać. Tylko wówczas można uczuwać niepewność. Poza tym nie trzeba już biec ulicami, przychwytywać u bram i czekać na coraz to inny, szczęśliwy przypadek, choć się już wypraktkowało, że nie posiada się zdolności do przymuszania przypadku.

Jednak pomimo tej wielkiej zmiany, jaka się w nich dokonała, nierzadko przy nieoczekiwanym spotkaniu dziewczęta wychodzą nam naprzeciwko z miną żalobną, wkładają płasko rączkę w naszą rękę i zapraszają powolnymi ruchami, niby jakiegoś współnika handlowego, abyśmy wstąpili do domu. Ciężkimi krokami przechadzają się w sąsiednim pokoju z kąta w kąt; gdy jednak powodowani żądzą lub przekorą, wdieramy się tam, tkwią pochylone w pierwszej lepszej wnęce okiennej i czytając gazetę, nie raczą rzucić na nas okiem.

30 listopada. Od trzech dni nie napisałem ani słowa.

3 grudnia. Przeczytałem dopiero co fragment książki Schäfera *Żywot Karola Stauffera — Kronika namiętności* i jestem tak onieśmielony, a zarazem tak urzeczony tym wielkim wrażeniem wdierającym się w dostyżalną tylko chwilami głębię mego życia wewnętrznego — a przy tym tak dalece doprowadzony do ostateczności głodówką, narzuconą mi przez mój zepsuty żołądek i zwykłym podnieceniem z powodu niedzielnej bezczynności — że potrafię pisać tylko tak jak ktoś, kto przy zewnętrznym i przez świat zewnętrzny wymuszonym podnieceniu może ulżyć sobie jedynie przez wymachiwanie rękami.

Nieszczęsny los kawalera — pozorny czy rzeczywisty — jest dla otoczenia tak łatwy do odgadnięcia, że gdy mężczyzna nieżonaty obrał kawalerstwo dla rozkoszowania się swą tajemnicą, decyzję tę przeklinać będzie w każdym wypadku. Cóż z tego, że wałęsa się tam i sam w zapiętym surducie, z rękami w wysoko wszytych kieszeniach kurtki, z rozstawionymi kanciasto łokciami, z kapeluszem nasuniętym na nos, fałszywy, a już jakby od urodzenia wrodzony uśmiezek ma przesłaniać mu usta, tak jak cwikier oczy, spodnie nosi zbyt wąskie jak na swoje chude łydki. I tak każdy zna jego sytuację, może mu wyliczyć jego cierpienia. Chłód powiewa nań z jego własnego wnętrza, w które spogląda jeszcze tą drugą, smutną połową swego janusowego oblicza. Przesiedla się wprost raz za razem, niemniej z niezawodną prawidłowością. Im dalej odsuwa się od żywych ludzi, dla których mimo wszystko — i tu tkwi najzłośliwsza ironia — musi harować jak niewolnik świadomy swej doli, tym mniejszą przestrzeń uznaje się za wystarczającą dlań. Podczas gdy innych ludzi, nawet powalonych na łoża chorobą, śmierć musi dobić przemocą, bo trzymają się swoich kochających, dzielnych, zdrowych krewniaków i powinowatych, nawet gdyby już od dawna powinni skończyć — kawaler ogranicza się za życia — na pozór dobrowolnie — do coraz mniejszej przestrzeni, aż gdy umiera, trumna wystarcza mu w sam raz.

Jak to było, gdy niedawno odczytywałem swym siostronom autobiografię Mörikego, zacząłem wcale nieźle, kontynuowałem jeszcze lepiej, w końcu zaś, splótszy końce palców, swym przez cały czas spokojnym głosem pokonywałem wewnętrzne opory, zapewniając mojemu głosowi coraz szerszą perspektywę, wreszcie cały pokój dokoła mnie mógł słuchać wyłącznie tylko mego głosu. Aż zadzwonili moi rodzice powracający ze sklepu.

Przed zaśnięciem czułem ciężar swoich pięści na lekkich rękach złożonych na tułowiu.

8 grudnia. Piątek, nie pisałem od paru długich dni, tylko że tym razem przyczyną tego było poniekąd zadowolenie, bo ukończyłem o własnych siłach pierwszy rozdział Ryszarda i Samuela i zwłaszcza wstępny opis drzemki w przedziale kolejowym na początku uważam za udany. Co więcej, mam wrażenie, że dokonywa się we mnie coś bardzo zbliżonego do schillerowskiej przemiany afektu w charakter. Muszę to zapisać pomimo całego sprzeciwu mej własnej świadomości.

Przechadzka z Löwym do pałacu namiestnika, który przezwałem Grobem Syjonu. Bramy wjazdowe harmonizowały bardzo z kolorem nieba.

Drugi spacer na wyspę Hetz. Opowiadanie pani Czyżyk, jak w Berlinie przyjęto ją z litości do trupy teatralnej, zrazu jako lichą partnerkę duetu, w starofrankońskiej sukni i kapeluszu. Odczytanie listu z Warszawy, w którym pewien młody Żyd warszawski uskarża się na upadek żydowskiego teatru i pisze, że woli chodzić do polskiej operetki Nowości niż do żydowskiego teatru, ponieważ tamtejsze nędzne dekoracje, wulgarność, kuplety trącające myszką itd. są nie do zniesienia. Pomyśleć choćby tylko o głównym efekcie żydowskiej operetki, polegającym na wejściu primadonny przez widownię na scenę z orszakiem małych dzieci za sobą. Wszystkie te postacie niosą w rękach małe zwoje Tory i śpiewają: *tojre is die beste szojre* — Tora jest najlepszym towarem.

Po napisaniu tych udanych urywków Roberta i Samuela piękna samotna przechadzka po Hradczynie i Belwederze. Przy ulicy Nerudy szyld: „Anna Krizova — krawczyni wyszkolona we Francji przez księżnę-wdowę Ahrenberg, z domu księżniczkę Ahrenberg”. Stojąc pośrodku pierwszego podwórca zamkowego, przyglądałem się zmianie warty pałacowej.

Nie spodobały się Maksowi ostatnie, napisane przeze mnie urywki, na pewno dlatego, bo uważa je za nie dostosowane do całości, choć może sądzi o nich również, że są złe same w sobie. Jest to bardzo prawdopodobne, gdyż ostrzegał mnie przed pisaniem tak długich fragmentów uważając efekt takiej pisaniny za mdły jak galareta.

Do rozmowy z młodymi dziewczętami potrzebne mi jest towarzystwo osób starszych. Subtelne zakłócenia z ich strony pobudzają rozmowność, wymagania pod moim adresem wydają mi się natychmiast łagodniejsze; to, co wypowiadam bez zastanowienia się, choć nieodpowiednie dla dziewczyny, może okazać się stosowne dla nieco starszej kobiety, a w tej w razie potrzeby mogę znaleźć dostateczną pomoc.

Panna H. Przypomina mi panią Bl., tylko nos jej przez swą długość, dwukrotne delikatne załamanie i stosunkową wąskość sprawia wrażenie nieforemnego nosa pani Bl. Poza tym jednak jej twarz odznacza się również nie uzasadnioną prawie przez warunki zewnętrzne śniadością, którą mógł zabarwić skórę tylko silny temperament. Szerokie plecy, doskonały zadatek na pulchne plecy



kobiece; obfite ciało, które w dobrze skrojonym żakiecie kostiumowym nabiera mimo wszystko smukłości, i na którym nawet ten dopasowany żakiet staje się luźny. Po chwilowym zakłopotaniu w rozmowie śmiało podniesienie głowy oznacza, że znalazł się sposób wybrnięcia. Ale i ja nie byłem pokonany w toku tej rozmowy, nie załamane się wewnątrz, choć gdybym tylko spojrział na siebie od zewnątrz, nie mógłbym swego zachowania się określić inaczej. Do swobodnej wymiany zdań z osobami niedawno poznanymi nie dochodziło u mnie dawniej, dlatego bo nieświadomie przeszkadzało mi pojawianie się seksualnych pragnień, teraz przeszkadza mi świadomy ich brak. Spotkanie małżeństwa Czyżyków na Grabenie. Pani miała na sobie swoją suknię dziewczki z Dzikiego człowieka.

Kiedy aparycję jej, jaką miałem przed oczyma wówczas na Grabenie, rozkładałam na szczegóły, staje się ona nieprawdopodobna. (Zobaczyłem panią Czyżyk tylko przelotnie, bo zląkłem się na jej widok, nie ukloniłem się, toteż nie dostrzeżono mnie i nieprędko zdobyłem się na tyle odwagi, by się obejrzeć.) Była znacznie drobniejsza niż dawniej, lewe jej biodro sterczało nie tylko chwilami, lecz stale, prawa noga była ugięta, ruchy szyi i głowy zbliżającej się do męża były bardzo śpieszne; wyciągniętym miękkim w bok prawym ramieniem usiłowała uwiesić się u mężowskiego łokcia. On zaś miał na głowie swój letni kapelusik z opuszczonym w dół rondem z przodu. Kiedy się obejrzałem, byli już daleko. Odgadłem że poszli do Cafe Central, przeczekałem moment po drugiej stronie Grabenu i — trzeba szczęścia! — po długiej chwili zobaczyłem ją podchodzącą ku oknu. Gdy usiadła przy stoliku, widać było tylko brzeżek jej kapelusika z tekturowym rondkiem oklejonego niebieskim aksamitem.

A potem we śnie znalazłem się w wąziutkim i niezbyt wysokim pasażu ze szklanym sklepieniem, podobnym do trudnych do przejścia pasaży na prymitywnych obrazach włoskich, podobnym również z daleka do pewnego domu przechodniego, który poznaliśmy w Paryżu jako odgałęzienie rue des Petits Champs. Z tą różnicą, że tamten pasaż paryski był jednak szerszy i pełno w nim było sklepów, ten zaś przebiegał wśród pustych ścian i dawał na oko dość miejsca dla zaledwie dwu idących obok siebie osób, lecz gdy się szło nim naprawdę, jak ja z panią Czyżyk, wtedy było miejsca zdumiewająco wiele, choć nie zdumiewało nas to bynajmniej. Podczas gdy zmierzałem z panią Czyżyk do jednego z wylotów pasażu, w tym kierunku mianowicie, gdzie mógł tkwić ewentualny obserwator całej tej sceny — a pani Czyżyk usprawiedliwiała się równocześnie z jakiegoś tam występnego nałogu (jakby pijaństwa) i prosiła mnie, bym nie dawał wiary jej oszczercom — pan Czyżyk na drugim końcu pasażu chłostał kosmatego, płowego bernarda, który stał przed nim na tylnych łapach. Nie bardzo było wiadomo, czy Czyżyk bawi się tylko żartobliwie z psem i dla zabawy z nim zaniedbuje swoją żonę, czy jego samego pies napadł naprawdę, czy wreszcie chce trzymać psa z daleka od nas.

Z L. na Quai. Miałem lekki, przygniatający całą mą istotę atak omdlenia, przemogłem go i już po krótkiej chwili wspominałem to jak coś od dawna zapomnianego.

Abstrahując nawet od wszystkich innych przeszkód (jak mój stan fizyczny, moi rodzice i mój charakter), fakt, że mimo wszystko nie ograniczam się tylko do literatury, znakomicie uzasadniam następującym warunkiem: nie mogę wyciągnąć śmiało rąk po coś dla siebie, jak długo nie spełnię jakiejś większej, całkowicie mnie zadowolającej pracy. To jest argument istotnie niezbity.

Odczuwam teraz i czuję już po południu dojmujące pragnienie, aby cały swój stan lękowy zupełnie z siebie „wypisać”, i tak, jak się wyłania z głębi duszy, przelać go na papier albo spisać w taki sposób, abym to, co napisane, mógł całkowicie w siebie wchłonąć. Nie jest to bynajmniej pragnienie artysty.

Kiedy Löwy mówił dziś o swym niezadowoleniu oraz obojętności względem wszystkiego, co czyni trupa aktorska, stan jego przypisałem wyłącznie nostalgii, lecz nie przekazałem mu tego wyjaśnienia, chociaż je wypowiedziałem, zachowując je raczej dla siebie i rozkoszowałem się nim chwilami z myślą o własnym swoim smutku.

9 grudnia. Stauffer-Bern Stauffer-Bern Karl (1857—1891), szwajcarski malarz i poeta, W. Schäfer napisał o nim powieść pt. Karl Stauffers Lebensgang : „Słodycz tworzenia ludzi co do jego bezwzględnej wartości”.

Kiedy się skupia uwagę na jakiejś książce zawierającej listy albo pamiętniki, obojętnie czyje — tym razem Karola Stauffer-Berna — i nie wchłania jej w siebie o własnych siłach, gdyż to już jest sprawą sztuki, ta zaś uszczęśliwia siebie samą, lecz ulegle (kto nie stawia oporu, temu udaje się to szybko) pozwala się skoncentrowanej sile obcego człowieka porwać nas i przeobrazić w jemu pokrewnego — wówczas nic dziwnego, że kiedy zamykając książkę, powracamy znów do siebie

samych, czujemy się po tej wycieczce i po tym wytchnieniu znowu lepiej we własnej swej, na nowo odkrytej, na nowo wstrząśniętej i przez chwilę oglądanej z oddali istocie i mamy już swobodniejszą głowę. Dopiero potem może nas dziwić, że jakieś obce nam sytuacje życiowe pomimo żywej swej zmienności znalazły w książkowym opisie niezmienny kształt, chociaż na podstawie naszego własnego doświadczenia przypisujemy sobie przekonanie, że od przeżycia — jakim bywa na przykład żal z powodu śmierci przyjaciela — nic w całym świecie nie różni się więcej niż opis właśnie tego przeżycia. Jednak to, co odpowiada nam osobiście, bywa nieodpowiednie dla innych. o ile bowiem listami swymi nie możemy zadowolić własnego uczucia — naturalnie istnieje tu w obu kierunkach nie kończąca się możliwość gradacji — o ile sami, i to nawet przy najlepszych dyspozycjach, musimy posługiwać się nieustannie wyrażeniami takimi, jak: „nieopisane”, „niewypowiedziane” lub nawet „tak bardzo smutne” czy „tak piękne”, po których bezpośrednio następuje szybko rozsypujące się w pył zdanie, zaczynające się słówkiem „że” —o tyle, jakby w nagrodę za to, dana jest nam zdolność poznawczego chłonięcia obcych relacji z taką spokojną dokładnością, jakiej nam — w tej przynajmniej mierze — brak w odniesieniu do listów przez nas pisanych. Nasza niewiedza co do tych uczuć, które kazaly nam dany list zaleźnie od przypadku raz rozłożyć, a raz zgnieść — ta właśnie niewiedza przeistacza się w wiedzę rozumną, ponieważ musimy koniecznie brać serio list leżący przed nami i wierzyć tylko w to, co w nim jest, uważać zatem jego treść za wyrażoną w sposób doskonały i w tym doskonałym wyrazie, co zresztą jest słuszne, widzieć drogę do sedna rzeczy najbardziej ludzkich. Tak na przykład listy Karola Stauffera zawierają tylko sprawozdanie z krótkiego życia artysty... [tekst urywa się]

10 grudnia. Niedziela. Muszę pójść w odwiedziny do mojej siostry i jej małego synka. przedwczoraj, gdy moja matka wróciła o godzinie pierwszej w nocy od mej siostry z wiadomością o przyjściu na świat jej syna, zaczął mój ojciec łączyć w nocnej koszuli po mieszkaniu i otwierać wszystkie drzwi, obudził mnie, służącą oraz moje siostry i obwieścił urodziny tak, jakby dziecko nie tylko narodziło się, lecz miało już za sobą chwalebne życie łącznie z pogrzebem.

13 grudnia. Nie pisałem z powodu zmęczenia, leżałem na kanapie raz w ciepłym, raz w chłodnym pokoju, z chorobą w nogach i wśród obrzydliwych snów. Pies leżał na mym ciele z łapą tuż przy mej twarzy, otrząsnąłem się z tego koszmaru, jednak przez krótką jeszcze chwilę bałem się otworzyć oczy i spojrzeć nań.

*Futro bobrowe.* Sztuka pełna luk, rozgrywająca się bez napięć. Złe sceny z naczelnikiem biura. Subtelna gra Lehmann z Teatru Lessinga. Jej gest zakładania sukni pomiędzy uda przy schylaniu się. Pełne zadumy spojrzenia ludzi, podnoszenie obu dłoni i składanie ich jedna na drugiej po lewej stronie twarzy, by umyślnie osłabić moc słów przeczących lub uroczyście potwierdzających. Nie wyreżyserowana, prostacka gra reszty. Bezczelność komika wobec tekstu (dobywa szabli, zamienia kapelusze). Mój chłodny niesmak. Po powrocie do domu, a nawet jeszcze gdy siedziałem w teatrze, przejmująca podziwem myśl, że tyle osób narzuca sobie w ciągu jednego wieczora tyle wzruszeń (wrzeszczy się, kradnie, jest się okradanym, nagabywanym, obgadywanym, zaniedbywanym) i że w tej sztuce — choćby się ją śledziło tylko pobieżnie — spiętrzone tyle beładnej ludzkiej gadaniny i krzyków. Piękne dziewczęta. Jedna z nich o dorodnej twarzy, nieskazitelnej gdzieniegdzie skórze, o pełnych policzkach, wysoko nad czołem zaczynających się włosach i samotnych w tej urodzie, trochę wylupiastych oczach. Piękne sceny sztuki, w których niejaka Wolffen okazuje się równocześnie złodziejką i czcigodną przyjaciółką ludzi roztropnych, postępowych, demokratycznych. Taki Wehrhahn jako słuchacz musiałby jej właściwie przyznać rację. Smętny paralelizm czterech aktów. W pierwszym akcie kradzież, w drugim sąd, podobnie w akcie trzecim i czwartym.

Krawiec radnym u Żydów. Bez pary Czyżyków, za to z dwojgiem nowych, Liebgoldem i Liebgoldową, okropnymi ludźmi. Kiepska sztuka Richtera. Początek molierowski, arogancki dorobkiewicz, obwieszony zegarkami radca gminny. Liebgoldowa nie umie czytać, jej mąż musi z nią razem wkuwać rolę.

Weszło już prawie w zwyczaj, że komik żeni się z tragiczką, a tragik z komiczką i że w ogóle angażuje się tylko zamężne lub spokrewnione kobiety. Jak to raz około północy pianista, prawdopodobnie kawaler, wymknął się drzwiami, zgarnąwszy nuty.

Koncert towarzystwa śpiewaczego, utwory Brahmsa. Rdzeń mojej niemuzykalności: nie mogę delektować się muzyką w sposób ciągły, tylko od czasu do czasu budzi się we mnie reakcja i to także rzadko natury muzycznej. Muzyka, której słucham, otacza mnie bez ceremonii murem i jedynym trwałym oddziaływaniem muzyki na mnie jest to, że uwięziony w ten sposób jestem już kimś innym niż

ludzie wolni.

Takiej czolobitności jak przed muzyką nie żywi publika w odniesieniu do literatury. Śpiewające dziewczęta. Licznym spośród nich sama tylko melodia otwierała usta. A jednej, o ociężałym ciele, trzęsła się szyja i głowa przy śpiewie.

Trzech duchownych w łoży. Środkowy w czerwonej piusce słucha ze spokojem i godnością, niewzruszony i przyciężki, ale nie sztywny; ten na prawo skurczył się w sobie, a twarz ma kanciastą, drętwą, pomarszczoną; ten po lewej stronie, otyły, wsparł twarz krzywo o na pół rozwartą pięść. Grano: Uwerturę tragiczną. Słyszę tylko powolne, uroczyste, tu i tam stąpające kroki. Pouczające jest śledzenie przepływu muzyki między poszczególnymi grupami wykonawców i kontrolowanie go uchem. Zaburzenie we fryzurze dyrygenta. (*Zachęta* Goethego, *Nänie* Schillera, *Śpiew Parek*, *Pieśń triumfalna*). Śpiewaczki stojące u góry przy niskiej balustradzie, jak na wczesnowłoskim pomniku architektury.

Pewne jest, że chociaż przez dość długi czas tkwiłem w literaturze zwierającej często swe fale nade mną, przecież już od trzech dni — abstrahując od ogólnego pragnienia szczęścia — nie odczuwam w stosunku do literatury żadnej żywiołowej żądzy. Tak samo uważałem w ubiegłym tygodniu Löwyego za niezbędnego przyjaciela, a dziś już trzeci dzień obydam się łatwo bez niego.

Kiedy po dłuższej przerwie zaczynam pisać, łowią słowa jakby z powietrznej pustki. Gdy pochwyce jedno, tylko to właśnie słowo istnieje dla mnie i cała praca zaczyna się od początku.

14 grudnia. Mój ojciec czynił mi w południe wyrzuty, że nie troszczę się o fabrykę. Oświadczyłem, że uczestniczyłbym w tych troskach chętnie, gdyż zależy mi na zysku, współpracować jednak nie mogę, jak długo mam posadę w biurze. Ojciec spierał się dalej, milcząc stałem przy oknie. Za to wieczorem złapałem się na myśli wylęgłej z tej popołudniowej rozmowy, że mogę być wysoce zadowolony z mej obecnej posady i że powinienem tylko strzec całego wolnego czasu dla literatury. Zaledwie poddałem tę myśl bliższej rozwadze, już przestała mnie zdumiewać i wydała mi się od dawna znajomą. Orzekłem, że brak mi zdolności do wykorzystania całego swobodnego czasu dla literatury. Przekonanie to powstało we mnie z chwilowego tylko stanu myśli, okazało się jednak odeń silniejsze. Również i o Maksie myślałem jak o kimś obcym, mimo że ma on dziś wieczór w Berlinie sensacyjny odczyt i pokaz gry aktorskiej; teraz przychodzi mi na myśl, że przypomniałem sobie o nim tylko w tej chwili, gdy przechadzając się wieczorem, znalazłem się blisko domu panny Taussig.

Spacer z Löwym dołem, nad rzeką. Jeden z filarów przesła wznoszącego się z mostu Elżbiety, oświetlonego od wnętrza elektryczną lampą, wyglądając jak ciemna masa pomiędzy światłem bijącym w górę po obu stronach, sprawiał wrażenie komina fabrycznego, a strzelający ponad nim ku niebu mroczny kim cienia wyglądał jak wzlot dymu. Ostro zarysowane, zielone połacie światła po bokach mostu.

Jak podczas odczytywania eseju W. Schäfera *Beethoven i kochankowie* przelatywały mi z wielką wyrazistością przez głowę rozmaite myśli (o kolacji i czekającym Löwym), nie powiązane wcale z czytaniem esejem, nie przeszkadzając mi, dziś właśnie, w bardzo gładkim odczytywaniu.

16 grudnia. Niedziela, południe, godzina dwunasta. Przed-południe przebaraszkowałem, śpiąc i czytając gazety. Lęk przed skleceniem krytyki dla Prager Tagblatt. Taki lęk przed pisaniem przejawia się zawsze w ten sposób, że dorywczo i z dala od biurka układam początkowe zdania tego, co ma powstać na piśmie, i zdania te okazują się natychmiast niezdatne, oschłe, oderwane o milę od końcowego sensu, i swymi sterczącymi kikutami wróżą smutną przyszłość.

Starodawne sztuczki na świątecznym targu w okresie Bożego Narodzenia. Dwie papugi kakadu na poprzecznej żerdce wyciągają losy. Omyłki: los prorokuje jakiejś dziewczynie, że będzie kochanką. Jakiś sprzedawca zachwala sztuczne kwiaty wierszem: to jest róża udělana z kuże. (To jest róża zrobiona ze skóry.)

Młody Pipes podczas śpiewu. Jedyną gestykulację stanowi zgięcie na kształt stożka prawego przedramienia w stawie łokciowym, przy czym półotwarta dłoń rozwiera się jeszcze trochę szerzej i po chwili zamyka znowu. Pot okrywa mu twarz, zwłaszcza górną wargę, jak gdyby szklanymi igielkami. Przód koszuli bez spinki, wetknięty niedbale pod kamizelkę angleza.

Ciepły cień w bladoczerwonej jamie ustnej śpiewaczki, pani Klug.

Żydowskie uliczki w Paryżu, rue Rosier, odgałęzienie rue de Rivoli.

Gdy jakiś nie uporządkowany układ o jakiejś tylko najnieodzowniejszej więzi wewnętrznej,

niezbędnej jedynie do niepewnego istnienia, otrzymuje nagle impuls w kierunku ograniczonej czasowo, zatem z konieczności energicznej pracy, dalej, w kierunku własnej ewolucji i wypowiedzi — wówczas pada tylko gorzka odpowiedź, na jaką składa się pycha z powodu osiągnięcia, które znieść można wyłącznie przy udziale wszystkich, niewprawnych sił, przelotny rzut oka wstecz na własną wiedzę pierchającą zbyt szybko i dlatego szczególnie lotną, bo była raczej przeczuwana niż ustalona — na koniec nienawiść i podziw otoczenia.

Miałem wczoraj przed zaśnięciem rysunkową wizję grupy figuralnej odgraniczonej w przestworzu samoistnie, na kształt wzgórza, wydała mi się ona pod względem techniki rysunku zupełnie nowa i, z chwilą gdy raz na nią wpadłem, łatwo wykonalna. Dokoła stołu zebrało się towarzystwo, ziemia rozpościerała się nieco szerzej niż krąg ludzkich postaci, a wśród nich rozróżniłem z początku, i to przy silnym nateżeniu wzroku, tylko pewnego młodzieńca w starożytnej szacie. Lewą rękę oparł o stół, dłoń zwiśla luźno nad twarzą uniesioną w górę ku komuś, kto nachylał się nad nim z gestem troski lub pytania. Ciało młodzieńca, zwłaszcza jego prawa noga, spoczywało wyciągnięte z młodzieńczą niedbałością, leżał raczej, niż siedział. Dwie wyraźne pary linii obrysowujących nogi krzyżowały się i wiązały lekko w kontur ciała. Ze słabą materialnością uwypuklały się między tymi liniami szaty o bladych kolorach. Zdziwiony tym pięknym rysunkiem budzącym w mej głowie napięcie, które, jak sądzę, było trwale, i potrafiłoby, gdybym tylko chciał, wodzić trzymanym w palcach ołówkiem, wyrwałem się z drzemki, aby móc ów rysunek lepiej przemyśleć. I przekonałem się szybko, że przedmiotem mojej wizji była tylko drobna grupa postaci z białoszarej porcelany.

W okresach przejściowych, do jakich należał ubiegły mój tydzień, a choćby i chwila obecna, ogarnia mnie często smutne, lecz spokojne zdziwienie wobec mej własnej apatii. Od wszystkich spraw oddziela mnie próżnia i nie gramolę się nawet ku jej krawędzi.

Teraz wieczorem, kiedy moje myśli zaczynają stawać się bardziej swobodne, i gdy byłbym może do czegoś zdolny, muszę pójść do Teatru Narodowego na premierę Hippodamii Vrchlickyego.

Vrchlický Jaroslav — pseudonim czeskiego poety Emila Frida (1859—1912), autora licznych zbiorów poetyckich opowiadań i dramatów.

Niewątpliwie niedziela nie może mi nigdy przynieść więcej pożytku niż dzień powszedni, gdyż specyficznym swym podziałem zajęć gmatwa wszystkie moje przyzwyczajenia i pozostający do mej dyspozycji wolny czas jest mi potrzebny na to, by się w tym szczególnym dniu jako tako rozgościć.

Pragnienie napisania autobiografii zrealizowałbym natychmiast, w każdym bądź razie z chwilą oswobodzenia się od biura. Taką to zasadniczą zmianę musiałbym mieć przed sobą jako cel prowizoryczny na początku pisania, ażeby podolać władaniu olbrzymią mnogością zdarzeń. Jednak nie potrafię przewidzieć innej zmiany, podnoszącej na duchu, prócz tej, która już i tak jest przeraźliwie nieprawdopodobna. Natomiast w takich warunkach pisanie autobiografii byłoby dla mnie wielką radością, ponieważ postępowałoby naprzód tak łatwo, jak spisywanie snów, a dałoby przecież wynik zupełnie inny, wielki, oddziaływający na mnie zawsze a równocześnie zrozumiały i wyczuwalny dla innych ludzi.

18 grudnia. Przedwczoraj *Hippodamia*. Nędzna sztuka. Bezsensowne i bezpodstawne wałęsanie się po mitologii greckiej. Na afiszu teatralnym artykuł Kvapila Kvapil Jaroslav (ur. 1868), znakomity reżyser praski i poeta liryk. wyrażający pomiędzy wierszami widoczny w całym tym przedstawieniu pogląd, że dobra reżyseria (która tutaj była tylko naśladownictwem Reinhardta) potrafi przeobrazić kiepski utwór poetycki w wielkie teatralne dzieło. Smutne musi być to wszystko dla każdego, choćby trochę otrzaskanego Czecha. Namiestnik, który w przerwie chwycił powietrze z korytarza przez uchylone drzwiczki swej łoży. Wywołana w kształcie cienia zjawia martwej Axiochy, znikającej szybko, ponieważ, będąc umarłą dopiero od niedawna, zbyt silnie czuje na widok świata nawrót swego dawnego ludzkiego cierpienia.

Bywam niepunktualny, bo nie odczuwam bólu czekania. Czekam jak bydlę. Ledwie wyczuję jakiś cel swego chwilowego istnienia, choćby nawet bardzo niepewny, zaczynam na skutek swej słabości chełpić się tak bardzo, że dla tego celu, który raz wreszcie sobie wytknąłem, znoszę już chętnie wszystko. Gdybym tak był zakochany, czegóż nie byłbym w stanie zdziałać. Jakże długo czekałem przed laty w cieniu drzew na Rynku, aż przeszła obok mnie pani M., choć przeszła obok mnie — ach, tylko ze swoim kochankiem. Trochę przez niedbalstwo, a trochę przez nieznaną cierpień spóźniłem się wiele razy na umówione schadzki, czyniłem to jednak również z tą myślą, aby zdobyć nowe zawile cele w postaci ponownego, niepewnego szukania tych osób, z którymi się umówiłem, a więc i możliwość równie długiego, niepewnego wyczekiwania. Już stąd, że jako dziecko miałem silny nerwowo lęk przed czekaniem, można by wnioskować, że byłem przeznaczony do czegoś lepszego,

że przeczuwałem jednak swą przyszłość.

Moje dobre stany nie mają ani czasu, ani pozwolenia, by wyżyć się w naturalny sposób; natomiast moje złe stany mają tego więcej, niż pragną. Obecnie cierpię na taki właśnie stan, jak mogę obliczyć to na podstawie Dziennika już od dziewiątego, a więc prawie już dziesiąty dzień. Wczoraj znowu położyłem się do łóżka z pełną ognia głową i już ogarniała mnie radość, że zły okres przeminął, a zarazem obawa, że będę źle spał. Ale to rozwiało się, spałem dość dobrze, za to czuam źle.

19 grudnia. Wczoraj *Skrzypce Dawida* Lateinera. Wygnany brat, artysta-skrzypek powraca, zdobywszy bogactwa, zupełnie jak w moich marzeniach z wczesnej ery gimnazjalnej; włożywszy jednak łachmany żebracze i owinawszy stopy szmatami niby zamiatacz śniegu, wystawia na próbę własną rodzinę, która nigdy dotąd nie wychyliła głowy poza granice ojczyzny: swoją uczciwą ubogą córkę i bogatego brata, który sprzeciwia się małżeństwu swego syna z ubogą krewną, a sam mimo późnego wieku chce poślubić młodą kobietę. Dopiero potem przybysz demaskuje się, rozchylając nagle poły surduta, pod którym na przewiązanej w poprzek szarfie wiszą ordera nadane przez wszystkich władców Europy. Grą na skrzypcach i śpiewem przeobraża w dobrych ludzi wszystkich swych krewniaków wraz z ich domownikami i zaprowadza ład w ich stosunkach.

Pani Czyżyk grała znowu. Jej ciało było wczoraj piękniejsze niż jej twarz, która wydała się szczuplejsza niż zwykle, tak że czoło, marszcząc się już od pierwszego słowa, zanadto rzucało się w oczy. To piękne, zaokrąglone, w miarę tęgie, bujne ciało nie zgadzało się wczoraj z jej twarzą, i przywodziła mi niejasno na myśl istoty dwoiste, jak nimfy morskie, syreny i centaury. Kiedy potem stanęła przede mną ze skrzywioną twarzą o nieczystej, zniszczonej szminką cerze i z plamą na ciemnoniebieskiej bluzce z krótkimi rękawami, czułem się tak, jak gdybym miał przemawiać do posągu w kole bezlitosnych widzów.

Pani Klug stała obok niej i obserwowała mnie. Panna Weltsch obserwowała mnie z lewej strony. Powiedziałem tyle nonsensów, ile tylko było można. Na przykład nie omieszkalem wypytywać pani Czyżyk, dlaczego pojechała do Drezna, mimo iż było mi wiadome, że pokłóciła się z resztą aktorów, i to stało się powodem jej odjazdu, że więc ten temat jest dla niej kłopotliwy. Ostatecznie był on kłopotliwy jeszcze bardziej dla mnie, cóż kiedy nic innego nie przyszło mi na myśl. Gdy pani Czyżyk zbliżyła się do nas w czasie mej rozmowy z panią Klug, wówczas, zwracając się do pani Czyżyk, powiedziałem do pani Klug pardon, tak jakbym zamierzał od tej chwili spędzić całe życie z panią Czyżyk. Rozmawiając następnie z panią Czyżyk, zauważyłem, że moja miłość, prawdę mówiąc, nie ogarnęła jej jeszcze, a tylko unosząc się krążyła wokół niej raz bliżej, raz dalej. Nie mogę przecież zostawić jej w spokoju.

Pani Liebgold grała rolę młodego mężczyzny, mając na sobie strój opinający ciasno jej ciężarne ciało. Ponieważ była nieposłuszna swemu ojcu (Löwy), tenże usadowił przemocą na krześle górna część jej ciała i wygrzmocił ją po tyłku, na którym spodnie napięły się do ostatecznych granic. Löwy opowiadał potem, że dotknięcie pani Liebgold budziło w nim taką samą odrazę jak dotknięcie myszy. Pani Liebgold widziana od frontu jest przystojna, za to z profilu jej nos zwisa za nisko, za spiczasto, za okrutnie.

Przybyłem tam dopiero około godziny dziesiątej, poszedłem przedtem na spacer, rozkoszując się lekkim nerwowym niepokojem na myśl, że mam miejsce W teatrze, i że przechadzam się w czasie przedstawienia, W porze zatem, gdy soliści usiłują mnie przyciągnąć swym śpiewem. Spóźniłem się nawet na scenę pani Klug, mimo iż słuchać jej śpiewu pełnego zawsze żywotnej siły to nic innego jak badać świat pod względem jego wytrzymałości, a to jest mi przecież potrzebne.

Dziś przy śniadaniu moja rozmowa z matką zesła przypadkowo na temat dzieci i ożenku, parę słów tylko, zauważyłem jednak przy tym po raz pierwszy wyraźnie, jak nieprawdziwe i jak dziecinne jest wyobrażenie mej matki o mnie. Uważa mnie ona za zdrowego młodzieńca, cierpiącego tylko trochę na urojenia dotyczące własnej choroby. Te urojenia znikną z czasem same, małżeństwo zresztą i płodzenie dzieci usunęłoby je najradzykalniej. Również zainteresowanie literaturą spadłoby także do miary być może niezbędnej dla inteligentów. Zainteresowanie zaś własnym zawodem czy fabryką, czy wreszcie czymkolwiek, co mi właśnie w ręce wpadnie, zrodziłoby się we mnie, rzecz prosta, z siłą niczym nie zamaconą. Do trwałego zatem zwątpienia w moją przyszłość brak najbliższej, na jakimkolwiek przeczuciu opartej podstawy; zwątpienie przelotne i niezbyt głębokie jest uzasadnione tylko wtedy, gdy zdaje mi się, żem popsuł sobie żołądek, albo gdy nie mogę spać wskutek nadmiernego pisania. Możliwości rozwiązania tych konfliktów idą w tysiące. Najprawdopodobniejszą z nich jest ta, że zakocham się raptem w jakiejś dziewczynie i nie zechcę się już od niej oderwać. Przekonam się wtedy, że przychylni mi są wszyscy i nikt mi nie zechce

przeszkadzać. Jeżeli zaś zostanę kawalerem, jak mój stryj w Madrycie, nie będzie to również nieszczęściem, ponieważ z moim rozsądkiem potrafię już sobie jakoś radzić.

23 grudnia. Kiedy w obliczu całego mojego trybu życia, dążącego według wszystkich moich znajomych i krewnych w niezrozumiałym i błędnym kierunku, pojawi się obawa i w dodatku wyrazi ją mój ojciec, że wyrośnie ze mnie drugi stryj Rudolf, więc błazen wśród nowego rodzinnego narybku — zmodernizowany nieco z wymogami nowej ery —wówczas od tej chwili potrafię odczuć, jak w mojej matce, w której sprzeciw wobec takiego sądu słabnie z biegiem lat coraz to wyraźniej, gromadzą się i potężniają wszystkie argumenty przemawiające za mną, a przeciw stryjowi Rudolfowi i jak pomiędzy przecucia jej i moje wbija się klin.

Przedwczoraj w fabryce. Wieczorem u Maksa, gdzie malarz Novak rozkładał właśnie litografie Maksa. Nie umiałem, patrząc na nie, zorientować się, powiedzieć tak lub nie. Maks wypowiedział kilka przemysłanych poprzednio poglądów, po czym moje myśli zaczęły nadaremnie toczyć się wokół nich. Wreszcie przywykłem jakoś do poszczególnych kartonów, przynajmniej otrząsnąłem zdumienie z niewprawnych oczu, określiłem czyjś podbródek jako okrągły, czyjaś twarz jako skurczoną, czyjś tułów jako pancerny, choć wyglądał on raczej tak, jakby na nim, pod spacerowym ubraniem, sztywniała olbrzymia koszula od fraka. Malarz natomiast przytoczył coś niezrozumiałego na pierwszy, a nawet na drugi rzut oka i osłabił znaczenie tego objaśniając tylko nam wprost, a gdy udowodniony został sens dzieła, okazało się, że mówiliśmy naj płytsze nonsensy. Twierdził mianowicie, że zadaniem, jakie artysta wyczuwa i uświadamia sobie, jest wchłonięcie osoby portretowanej w swoją artystyczną formę.

Ażeby to osiągnąć, malarz wykonał najpierw barwny szkic portretowy zaprezentowany nam właśnie, który w ciemnym swym kolorze wykazywał istotnie podobieństwo zbyt ostre i oschłe (tę nadmierną ostrość zdołałem przyznać mu dopiero teraz) i Maks uznał ten szkic za portret najlepszy, ponieważ poza cechującym go podobieństwem ujawniał w oczach i ustach rysy szlachetne i spokojne, uwydatnione należycie ciemnymi farbami. Gdyby ktoś o to spytał, nie można by temu zaprzeczyć. Po tym szkicu rozpoczął malarz w domu pracę nad litografiami, przy czym, przekształcając jedną litografię po drugiej, starał się coraz bardziej oddalić od naturalnego zjawiska, nie tylko nie kalecząc tymi zmianami swej własnej formy artystycznej, lecz przeciwnie przybliżając się do niej kreska po kresce. Tak na przykład małżowina zatraciła swoje człowiecze załamania i zróżnicowany kontur, a stała się półkolistą spiralką, wgłębioną dokoła małej czarnej dziurki. Koścista szczęka Maksa, kształtująca się już od ucha, zatraciła swój prosty kontur, chociaż on wydaje się niezbędny i chociaż dla oglądającego oddalenie się od dawnej prawdy nie przyczyniło się do powstania nowej. Włosy rozwichrzyły się w zdecydowanych, łatwo zrozumiałych zarysach i pozostały ludzkimi włosami, jakkolwiek malarz wypierał się tego uparcie.

Domagając się od nas rozumowego uznania tych przemian, zaznaczył artysta dodatkowo i tylko przelotnie — choć nie bez dumy — że wszystko na tych kartonach ma swoje znaczenie i że nawet to, co przypadkowe, jest tam potrzebne z uwagi na efekt wpływający na wszelkie elementy oboczne. Tak na przykład wąska wyblakła plama kawy ściekała przy jednej z głów w dół prawie na całej długości obrazu, była ona włączona w kompozycję świadomie i usunięcie jej uszkodziłoby wszystkie proporcje. Na innym znów kartonie widniała w lewym rogu spora, chaotycznie wypunktowana, ledwie zwracająca uwagę błękitna plamka; otóż plamkę tę wprowadził malarz, o dziwo, rozmyślnie ze względu na dyskretne, promieniejące od niej naświetlenie całej kompozycji, w tej tonacji malarz następnie wypracował dalej swój obraz. Z kolei zamierzeniem artysty było włączyć w tę metamorfozę przede wszystkim usta, które trochę już zostały przerobione, ale nie dość jeszcze, a dalej nos, przy tym na utyskiwanie Maksa, że ta maniera coraz bardziej oddala litografię od pięknego barwnego szkicu, artysta zauważył, iż ponowne przybliżenie się jej doń nie jest bynajmniej wykluczone.

W każdym razie nie można było przeoczyć pewności, z jaką malarz ów w całym toku rozmowy ufał nieprzewidzianemu czynnikowi swych natchnień, jak również tego, że jedynie ta ufność nadawała jego pracy artystycznej jak najbardziej uzasadniony, niemal naukowy charakter. Zostały zakupione dwie litografie: *Sprzedawczyni jabłek* i *Przechadzka*.

Dobra strona pisania dziennika polega na tym, że z uspokajającą wyrazistością uświadamiamy sobie przemiany, jakim nieustannie podlegamy. Na ogół wierzymy w ich naturalność, przewidując je i stwierdzając, a przecież wypieramy się ich bezwiednie, ilekroć chcemy z takiego stwierdzenia zaczerpnąć dla siebie nieco nadziei albo spokoju. W dzienniku napotykamy dowody świadczące o tym, że nawet w stanach, które dziś wydają się nie do zniesienia, żyliśmy, spoglądaliśmy wokół i zapisywali swe spostrzeżenia, że więc ta oto prawa ręka poruszała się tak jak dziś, kiedy jesteśmy wprawdzie mądrzejsi, bo możemy ogarnąć wzrokiem całokształt ówczesnego stanu, tym bardziej jednak musimy uznać nieustraszoną odwagę naszych ówczesnych dążeń, kontynuowanych przecież

w zupełnej niewiedzy.

Poezje Werfla sprawiły, że przez całe wczorajsze przed-południe miałem głowę pełną jakby pary. W pewnej chwili ogarnął mnie lęk, że mój entuzjazm porwie mnie z sobą bez wytchnienia, aż do nonsensu.

Przedwczoraj wieczorem uciążliwa rozmowa z Weltschem <sup>Feliks Weltsch, filozof, przyjaciel Kafki i Maksa Broda.</sup> Przez całą godzinę moje spojrzenia lękliwie biegały po jego twarzy, szyi tam i z powrotem. Była chwila, w której na widok grymasu jego twarzy wywołanego podnieceniem, słabością i bezmyślnością nie wiedziałem, czy nie wyjdę z pokoju bez trwałego naruszenia naszych wzajemnych stosunków. Poza domem, w słotnym powietrzu sprzyjającym milczącemu spacerowi odetchnąłem. Następnie czekałem pełną godzinę przed Orientem na M. Takie czekanie przy powolnym spoglądaniu na zegar i obojętnym wałęsaniu się tam i z powrotem jest dla mnie prawie tak samo przyjemne jak leżenie na kanapie z nogami wyciągniętymi i rękami w kieszeniach spodni. (W półśnie sądzimy wtedy, że nie trzyma się już wcale rąk w kieszeniach spodni, lecz że zaciśnięte pięści spoczywają na udach.)

24 grudnia. Niedziela. Weszło było wczoraj u Bauma. Byłem tam z Weltschem. Maks jest we Wrocławiu. Czuję się swobodny, mogłem wykonać każdy gest aż do końca, odpowiadałem i słuchałem innych jak należy. Robiłem też najwięcej hałasu, a gdy zdarzyło mi się powiedzieć głupstwo, nie wybijało się ono na pierwszy plan, lecz odpływało natychmiast. Podobnie było w drodze powrotnej do domu, przebytej z Weltschem podczas deszczu, pomimo kałuż, wichury i zimna, droga ta minęła tak szybko, jak gdybyśmy jechali. Obu nam było żal żegnać się z sobą.

Jako dziecko odczuwałem lęk, a jeśli nie lęk, to niesmak, ilekroć mój ojciec mówił słowo „ostatniego” czy ultimo <sup>w obrocie giełdowym dzień regulowania zobowiązań.</sup> co jako człowiek interesu zwykł był czynić często.

Ponieważ to mnie nie interesowało (a jeśliś się już zapytał, nie umiałem wskutek powolnego myślenia przetrwać odpowiedzi dość szybko) i ponieważ ujawniona w końcu, mało aktywna ciekawość zadowalała się często samym pytaniem i odpowiedzią, nie domagając się jakiegoś sensu ponadto —słowo „ostatniego” pozostawało dla mnie dręczącą tajemnicą. Gdy lepiej nadstawiłem uszu, dołączało się jeszcze słowo ultimo, choć nigdy z tak silnym akcentem ważności. Bywało mi przykro również, że wyglądanego tak długo i z taką obawą „ostatniego” nie można było nigdy definitywnie przewyciężyć. Gdyż jeśli raz wreszcie minął bez niezwykłych oznak, nie budząc nawet szczególnej uwagi (to, że nadchodził zawsze mniej więcej po trzydziestu dniach, zauważyłem dopiero znacznie później) i jeśli nadszedł również szczęśliwie pierwszy, zaczynało — bez nadzwyczajnego zresztą przerażenia, co dołączałem, nie wchodząc jednak w sedno sprawy, do innych niepojętych zjawisk — mówić znowu o „ostatnim”.

Kiedym wczoraj w południe przyszedł do M., usłyszałem witający mnie głos jego siostry, jej samej jednak nie zobaczyłem aż do chwili, gdy wiotka jej postać oderwała się od fotela na biegunach, który stał przede mną.

Dzisiaj przed południem obrzezanie mojego siostrzeńca. Mały, krzywonogi człowieczek, Austerlitz, mający już za sobą dwa tysiące osiemset obrzezań, dokonał tego zabiegu nader zgrabnie. Jest to operacja utrudniona tym, że malec zamiast na stole leży na podołku swego dziadka, operator zaś zamiast pilnie uważać musi odmawiać szeptem modlitwy. Najpierw unieruchamia się malca bandażami, odsłaniając mu tylko członek, potem przez nałożenie przedziurawionej płytki metalowej wyznacza się dokładnie płaszczyznę cięcia, następnie dokonuje cięcia zwykłym nożem w rodzaju tego, jaki używa się do ryb. Widać teraz krew i nagie mięso; mouł manipuluje w tym krótko swymi drżącymi palcami o długich paznokciach i naciąga na ranę pochwyconą na chybił trafił skórę niby palec rękawiczki. Od razu wszystko jest już dobrze, dziecko zaledwie zapłakało. Teraz jeszcze tylko krótka modlitwa, podczas której mouł <sup>poprawnie mohel — obrzezasz.</sup> pije wino i parę kropel wina przenosi na wargi dziecka swymi dotąd nie całkiem oczyszczonymi z krwi palcami. Obecni modlą się: „Jak oto dostąpił włączenia w Zakon, tak niechaj dostąpi poznania Tory, szczęśliwego małżeństwa i pełnienia dobrych uczynków”.

Kiedy dzisiaj słuchałem, jak towarzysz moula modlił się po obiedzie, a obecni z wyjątkiem obu dziadków, nie rozumiejąc ani trochę odprawianej modlitwy, spędzali czas na marzeniu lub nudzie, ujrzałem przed sobą zachodnioeuropejskie żydostwo w wyraźnym, nieprzejrzanie rozległym okresie

przejściowym, o które jednostki bezpośrednio zainteresowane nie troszczą się bynajmniej, lecz jako typowi ludzie przejściowi dźwigają takie brzemie, jakie na nich legło. Te właśnie, ostatecznie już skostniałe obrzędy religijne miały w swej obecnej praktyce charakter tak wyłącznie historyczny, że jak wydawało się, tylko jedna krótka chwila podczas dzisiejszego przedpołudnia wystarczyła, aby za pomocą wyjaśnień dawnego, przestarzałego zwyczaju obrzezania i związanych z tym półśpiewnych modlitw wzbudzić zainteresowanie historyczne.

Löwy, któremu prawie co wieczór każe czekać na siebie przez pół godziny, powiedział mi wczoraj: „Od kilku dni czekając patrzę ustawicznie w górę na pańskie okno. Widzę tam najpierw światło, ilekroć zgodnie ze swym zwyczajem przyjdę za wcześnie, a więc domyślam się wtedy, że pan jeszcze pracuje. Następnie to światło gaśnie, w sąsiednim pokoju jest nadal jasno, zatem pan je kolację; potem w pańskim pokoju zapala się znowu światło, więc pan czyści zęby; następnie gaśnie, a więc pan jest już na schodach, ale potem światło zapala się ponownie”.

25 grudnia. To, co dzięki Löwyemu wiem o obecnej żydowskiej literaturze w Warszawie, jak również to, co częściowo przez własny wgląd uświadamiam sobie z zakresu dzisiejszej literatury czeskiej, dowodzi, że wiele pozytywnych cech pracy literackiej — ruch umysłowy, jednolita spistość częstokroć w życiu zewnętrznym beczynnej i wciąż bardziej się rozszczeplającej świadomości narodowej, durna i odporność, które naród zyskuje dzięki literaturze jako broń przeciwko wrogiemu otoczeniu, ten rodzaj pamiętnika pisanego przez naród, który jest czymś zasadniczo różnym od tworzenia dzieł historycznych, a w następstwie tego szybsza, a przecież zawsze wielostronnie kontrolowana ewolucja, to sięgające w głąb uduchowanie rozległego życia publicznego, związanie elementów niezadowolonych, które przynoszą natychmiast pożytek tam, gdzie gnuśność może wyrządzić tylko szkodę, tworzące się w trybach czasopism rozczłonkowanie narodu, które zawsze ma na celu jego całość, ograniczenie do jego własnego widnokągu uwagi narodu, wchłaniającego czynniki obce tylko w odbiciu, budzenie się szacunku dla osób przejawiających literacką aktywność, przelotne, lecz dalekosiężne w skutkach pobudzanie wyższych dążeń u młodego pokolenia, włączanie wydarzeń literackich w problemy polityczne, możliwość dyskusji i uszlachetnianie antagonizmu między ojcami a synami, wykazywanie narodowych wad w sposób, co prawda szczególnie bolesny, ale godny wybaczenia i wyzwalający, powstanie ożywionego, a zatem świadomego handlu książkami łącznie z pożądaniem książek — wszystkie te następstwa wynikają z literatury, która wprawdzie nie rozwija się w jakimś niezwykłym zakresie, lecz przy braku wybitnych talentów stwarza takie pozory. Ruchliwość takiej właśnie literatury jest nawet żywsza niż przy bogactwie talentów, ponieważ w braku pisarza, przed którego zdolnościami przynajmniej większość sceptyków musiałaby zamilknąć, spór literacki na najwyższą miarę staje się rzeczywiście uzasadniony. Literatura zatem, w której niczyj talent nie czyni wyłomu, nie wykazuje też żadnych szczelin, przez które mogłyby się wcisnąć ludzie obojętni. Domaganie się uwagi ze strony literatury tym bardziej zniewala. Samodzielność poszczególnego pisarza, oczywiście tylko w obrębie narodu, zyskuje tym lepsze zabezpieczenie. Brak urzekających nieodparcie narodowych wzorów trzyma kompletnie niezdolnych ludzi z dala od literatury. Ale nawet i słabe zdolności nie wystarczają, aby ulec wpływowi niewyraźnych cech charakterystycznych pisarzy, będących aktualnie u szczytu; lub też lansować u siebie osiągnięcia obcych literatur, lub wreszcie, by naśladować zadomowioną już literaturę obcą, co można poznać między innymi stąd, że na przykład w obrębie literatury tak bogatej w wielkie talenty jak niemiecka, nawet najgorsi pisarze ograniczają swe naśladownictwo do twórczości rodzimej. Szczególnie owocna w wyżej wymienionych kierunkach okazuje się twórcza i uszczęśliwiająca potęga literatury lichej w swych elementach, jeśli zacznie się rejestrować zmarłych pisarzy z punktu widzenia historii literatury. Niezaprzeczone ich wpływy, dawniej i obecnie, stają się czymś tak konkretnym, że można to zjawisko zamienić i ich utworami. Mówi się o ostatnich, myśląc o pierwszych, co więcej, czyta się nawet ostatnie, widząc tylko pierwsze. A że to nie daje się zapomnieć, zaś utwory jako takie nie mogą wpływać na wspomnienie, nie można mówić ani o zapomnieniu ani o przypomnieniu. Historia literatury stanowi niezmienną, godną zaufania bryłę, którą zmieniający się z każdym dniem smak może zaledwie trochę uszkodzić.

Pamięć małego narodu nie jest mniejsza niż pamięć narodu wielkiego, opracowuje zatem dany sobie materiał gruntownie. Jakkolwiek znajdzie tu zatrudnienie mniej znawców historii literatury, niemniej sama literatura jest nie tyle sprawą historii literatury, ile raczej sprawą narodu i znajduje się zatem w rękach chociaż nieczystych, to przynajmniej pewnych. Bo przecież wymagania stawiane jednostce przez świadomość narodową w obrębie małego narodu powodują, że każdy człowiek musi w każdej chwili być gotów do tego, by przypadającą na siebie część literatury znać, dźwigać oraz bronić jej i to bronić w każdym wypadku, choćby jej nawet nie znał i nie dźwigał.

Dawne pisma są wszechstronnie interpretowane, dzięki czemu wąty materiał przerabia się z



energiją, tłumioną tylko przez obawę, że materiał ten łatwo mógłby się wyczerpać, jak również przez pietyzm, co do którego wszyscy są jednomyślni. Wszystko dzieje się w sposób najuczciwszy, tylko że pracuje się w nastroju pewnego onieśmienia, które nigdy nie znika, nie pozwala się ujawnić niczyjemu zmęczeniu i dzięki wprawnej ręce rozprzestrzenia się milami. Lecz w końcu onieśmienie przeszkadza nie tylko w perspektywnym widzeniu, lecz i spojrzeniu w głąb, zaś fakt ten przekreśla wszystkie przedstawione tu moje spostrzeżenia.

Ponieważ brak ludzi o pokrewnych dążeniach, odpada też wspólna literacka działalność. (Poszczególne tematy spycha się w dół, aby móc go obserwować z góry, albo dźwiga się go wzwyż, aby móc tam w górze ucześć się jego krawędzi. Fałsz.) Jakkolwiek nieraz zdarza się przemyśleć spokojnie jakiś poszczególny temat, jednak nie wyczerpujemy go aż do końca, gdzie styka się on ze sprawami równorzędnymi, najwcześniej dociera się do takiej granicy, gdy się zdąży w kierunku polityki, co więcej, usiłujemy nawet zobaczyć tę granicę wcześniej, zanim stanie się widoczna, a często tę zacieśniającą się granicę skłonni jesteśmy widzieć wszędzie. Ciasnota przestrzeni, dalej troska o prostotę i umiar, wreszcie wzgląd na to, iż dzięki wewnętrznej swej samodzielności literatura nie ucierpi wskutek swoich zewnętrznych związków z polityką, powodują, że literatura rozpowszechnia się po kraju, uparczywie trzymając się haseł politycznych.

Powszechne staje się upodobanie do literackiej obróbki tematów nikłych, którym wolno sięgnąć tylko do takiej wielkości, w której spala się mały entuzjazm i które mają polemiczne aspekty i ograniczenia. Z literackim rozmysłem sklecone wyzwiśka toczą się tam i z powrotem, a w kole gorętszych temperamentów nawet fruują. To, co w obrębie wielkich literatur rozgrywa się na dołach, tworząc wcale nie niezbędne podziemia gmachu, dzieje się tu w pełnym świetle, to, co tam daje powód do chwilowego zbiegowiska, tu wiedzie do skutków wcale nie bliższych niż powszechny wyrok życia i śmierci.

#### Schemat charakterystyki małych literatur

Oddziaływanie pozytywne w każdym bądź razie zarówno tu, jak i tam. Tutaj — oddziaływanie w poszczególnych wypadkach nawet lepsze.

##### 1. Ruchliwość

- a) spory
- b) szkoły
- c) czasopisma

##### 2. Odciażenie

- a) brak zasad
- b) małe tematy
- c) łatwe tworzenie symbolów
- d) odpływ nieuczestników

##### 3. Popularność

- a) łączność z polityką
- b) historia literatury
- c) ufność do literatury, powierza się jej stworzenie własnego ustawodawstwa.

Trudno jest się przestroić, gdy się to pożyteczne, wesołe życie czuło we wszystkich członkach.

Obrzezanie w Rosji. W całym mieszkaniu, wszędzie gdzie tylko znajdują się drzwi, zawieszają się tablice wielkości talerzy, zadrukowane kabalistycznymi znakami, ażeby w okresie od narodzin do obrzezania chronić matkę od złych duchów, które w tej porze mogą stać się szczególnie niebezpieczne dla niej i dla jej synka, może dlatego, ponieważ jej ciało otwarto tak szeroko, że daje wygodny dostęp wszelkiemu złu i ponieważ dziecko, zanim przyjmie się je w poczet wiernych, nie może również opierać się złu. Z tych też powodów przyjmuje się pielęgniarzkę, ażeby matka ani przez chwilę nie była sama. Obronie przed złymi duchami służy także to, że w ciągu siedmiu dni po urodzeniu dziecka, z wyjątkiem piątku, dopuszcza się pod wieczór do łoża matki dziesięcioro do piętnaścioro coraz to innych dzieci przychodzących pod wodzą belfra (pomocnika nauczyciela) i dzieci te recytują tam Schemat Izraela, po czym obdarza się je słodyczami. Te niewinne dzieci w wieku lat pięciu do ośmiu powstrzymują podobno szczególnie sprawnie napór złych duchów,

wzmagający się najgroźniej pod wieczór. W piątek urządza się specjalnie uroczystą biesiadę, a w ogóle w ciągu tego tygodnia następują po sobie liczne uczy. W przeddzień obrzezania złe duchy rozbewniają się najsrożej, toteż noc ostatnia bywa nocą czuwania i spędza się ją prawie do świtu na straży przy matce.

Obrzezanie odbywa się przeważnie w obecności nierzadko i ponad stu osób spokrewnionych i przyjaciół. Najczcigodniejszy z obecnych ma przywilej wniesienia dziecka. Obrzezcacz pełniący swój urząd bezpłatnie jest najczęściej pijakiem, gdyż przy wszystkich swych zajęciach nie mogąc brać udziału w rozmaitych bankietach, „pociąga tylko parę łyków sznapsa”. Dlatego też wszyscy ci obrzezcacze mają czerwone nosy i czuć im z ust. Nie jest więc wcale apetyczne, gdy po wykonaniu cięcia tymi samymi ustami wysysają krwawiący członek, jak nakazują przepisy. Następnie zasypuje się członek mąką drzewną i do trzech dni zdrowieje on prawie zupełnie.

Wśród Żydów, rzecz prosta rosyjskich zwłaszcza, surowe życie rodzinne nie jest, jak się zdaje, tak bardzo rozpowszechnione i charakterystyczne, bo ostatecznie życie rodzinne spotykamy również u chrześcijan. Jednakowoż żydowskie życie rodzinne utrudnia fakt, że kobietę odtrąca się od studiowania Talmudu, tak że ilekroć mąż ze swymi gośćmi chce rozprawiać o uczonych zagadnieniach Talmudu, a więc o najważniejszej sprawie swego życia, kobiety wycofują się do przyległego pokoju, a może nawet muszą wycofać się. Jeszcze dziwniejszy w ich sytuacji jest fakt, że schodzą się tak często przy lada okazji czy to na modlitwę, czy naukę, czy dla omawiania spraw dotyczących Boga, czy wreszcie urządzania uczt związanych z religią, podczas których alkohol pije się tylko bardzo umiarkowanie. Kobiety po prostu uciekają jedna do drugiej.

Prawdopodobnie Goethe powstrzymuje potęgą swoich dzieł ewolucję języka niemieckiego. Jakkolwiek proza w międzyczasie oddalała się od niego wielokrotnie, przecież powróciła doń w końcu, jak się to właśnie dzieje obecnie, ze wzmożoną tęsknotą, przyswajając sobie nawet przestawne, występujące u Goethego, choć nie związane z nim zresztą zwroty po to, by delektować się wydoskonalonym aspektem swej bezgranicznej zależności.

Nazywam się po hebrajsku Amszel jak dziadek mojej matki z linii macierzystej, który jako bardzo bogobojny i uczony mąż o długiej, siwej brodzie żyje jeszcze w pamięci mej matki, choć miała sześć lat, gdy zmarł. Przypomina ona sobie, jak kazano jej trzymać co siły pięty trupa i błagać przy tym o wybaczenie wszelkich możliwych uchybień popełnionych względem dziadka. Pamięta również wiele książek dziadka wypełniających całe ściany. Kąpał się on codziennie w rzece nawet w zimie i w porze tej wyrębywał sobie do kąpieli przeręble w lodzie. Matka mojej matki umarła w młodziutkim wieku na tyfus. Począwszy od jej śmierci babka pograżyła się w melancholijnym smutku, wzbraniała się jeść i nie rozmawiała z nikim, a w rok po śmierci swej córki wyszła na przechadzkę i nie powróciła więcej, zwłoki jej wyłowiono z Elby. Jeszcze bardziej uczonym mężem niż dziadek był pradziad matki szanowany jednakowo przez chrześcijan i Żydów; w czasie pewnego pożaru dokonał się na skutek jego bogobojności cud, ogień przeskoczył jego dom, oszczędzając go, podczas gdy otaczające domy spłonęły. Pradziad miał czterech synów, jeden z nich przyjął chrześcijaństwo i został lekarzem. Wszyscy ci synowie oprócz dziadka mej matki zmarli młodo. Ten zaś miał syna, matka znała go jako obłąkanego stryja Natana, i córkę, właśnie matkę mojej matki.

Pobiec ku oknu i przez roztrzaskane drewno i szkło ruchem jeszcze słabym po wytężeniu wszystkich sił przestąpić framugę.

26 grudnia. Spałem znowu źle, już trzecią noc. Tak więc te trzy dni świąteczne, w których miałem nadzieję napisać rzeczy mające nieść mi pomoc przez cały rok, spędziłem w stanie, który sam wymagał pomocy. W wieczór wigilijny przechadzka z Löwym w kierunku gwiazdy. Wczoraj *Blümele albo perła Warszawy*. Za niewzruszoną swą miłość i wierność zyskuje Blümele od autora w tytule wyróżniające ją zaszczytne miano: „Perła Warszawy”. Dopiero odsłonięta, delikatna szyja pani Czyżyk tłumaczy rzeźbę jej twarzy. Blask łez w oczach pani Klug śpiewającej równomiernie falistą melodię, w której pograżają się słuchacze, wydał mi się znacznie ważniejszy niż pieśń, niż teatr, niż troski całej publiczności, niż nawet własna moja wyobraźnia. Rzut oka za płową portierę do garderoby, wprost na panią Klug, która stoi tam w białej halce i koszuli z krótkimi rękawami. Moja niepewność co do uczuć publiczności, stąd usilne wewnętrzne dopingowanie jej entuzjazmu. Mój wczorajszy, zgrabny, przymilny ton w rozmowie z panną T. i jej towarzystwem. Ze swobodą, jaką dało mi moje dobre samopoczucie, odczuwaną wczoraj oraz jeszcze w sobotę, skojarzył się fakt, że ulegając światu, jak również z powodu swawolnej skromności, posłużyłem się paroma niby to zakłopotanymi słowami i gestami, chociaż z odległości także tego nie potrzebowałem. Byłem sam z moją matką i uważałem to nawet za wygodne i piękne; patrzyłem na wszystkich stanowczo.

Wykaz osób i rzeczy, które można by łatwo przedstawić dzisiaj jako przestarzałe: zebrzące kaleki na drogach do deptaków i punktów wycieczkowych, nie oświetlony nocą przestwór powietrzny, przyczółek mostu.

Wykaz tych fragmentów w *Zmysleniu i prawdzie*, które na skutek jakiejś, nie dającej się określić cechy sprawiają niezwykle silne, z właściwą treścią nieistotnie powiązane wrażenie żywego zjawiska; na przykład wywołują przed oczyma obraz Goethego jako chłopca, który odziany bogato i powszechnie lubiany, żwawo i z ciekawością wdziera się do wszystkich znajomych, aby zobaczyć i usłyszeć wszystko, co tylko zobaczyć i usłyszeć można. Ponieważ książkę tę tylko przerzucam, nie mogę odnaleźć teraz takich właśnie miejsc, wszystkie wydają mi się wyraźne, a pełne są żywotności, którą nie rządzi żaden przypadek. Muszę poczekać, aż kiedyś będę czytał spokojnie, a wtedy zatrzymam się na odpowiednich fragmentach.

Nieprzyjemnie jest przysłuchiwać się, kiedy wśród ciągłych aluzji pod adresem szczęśliwej sytuacji ludzi obecnie żyjących — a przede wszystkim swych dzieci — ojciec opowiada o cierpieniach, przez jakie musiał przejść w młodości. Nikt nie przeczy, że na skutek niedostatecznej odzieży zimowej miewał przez długie lata otwarte rany na nogach, że często głodował, że mając ledwie dziesięć lat, musiał nawet w zimie, i to bardzo wczesnie rano, ciągnąć od wsi do wsi wózek, jednak konkretne te fakty zestawione z innym ważnym faktem, że mianowicie ja nie doznałem tych wszystkich cierpień, nie uprawniają — czego on nie chce zrozumieć — nawet w najmniejszym stopniu do wniosku, że jestem szczęśliwszy niż on, że jemu wolno wynosić się nad innych z powodu tych ran na nogach, że przyjmuje a priori i twierdzi, iż nie jestem w stanie docenić jego ówczesnych cierpień i że — w ostatecznej konkluzji — winienem mu bezgraniczną wdzięczność, właśnie dlatego bo nie przeżyłem takich samych cierpień. Jakże chętnie słuchałbym nawet nie kończących się jego opowieści o młodości i o jego rodzicach, ale wysłuchiwać tego wszystkiego w tonacji chełpliwej i kłótlivej to udręka. Raz po raz uderza dłonią w dłoń: „Któż wie dzisiaj coś o tym! Co wiedzą dzieci! Tego nie wycierpiał nikt! Czy dziś zrozumie to któreś dziecko!” Dzisiaj wznowiono podobną rozmowę z ciotką Julią, która nas odwiedziła. Ma ona także olbrzymią twarz jak wszyscy krewni po stronie ojca. Jej oczy są odrobinę — ale to nie przeszkadza! — źle osadzone czy też mają dziwny kolor. Gdy miała lat dziesięć, zgodzono ją na kucharkę. Musiała wtedy przy silnym mrozie biegać za czymś w mokrej spódniczce, skóra pękała jej na nogach, spódniczka przymarzała i wysychała dopiero wieczorem w łóżku.

27 grudnia. Człowiek nieszczęśliwy, który nie ma mieć dziecka, jest straszliwie uwięziony w swym nieszczęściu. Znikąd nadziei na odnowienie czy pomocy od szczęśliwszych gwiazd. Obciążony nieszczęściem musi wlec się swą drogą, a gdy orbita jego sięgnie kresu, poprzestać na tym i nie zaczynać na nowo, próbując czy nieszczęście, jakiemu uległ, nie zatraci się lub nawet nie wyłoni z siebie jakiegось dobra na dalszych szlakach, wśród innych okoliczności cielesnych i czasowych.

Ktoś, stojąc przed dwiema dziurami w ziemi, oczekuje zjawiska, które może się ukazać tylko po prawej stronie. Lecz podczas gdy właśnie ta strona przesłonięta jest czymś ledwie widocznym, z lewej strony ukazują się coraz to nowe zjawiska, usiłują przyciągnąć ku sobie wzrok i wreszcie udaje im się to bez trudu, bo jest ich coraz więcej, tak że w końcu zasłaniają otwór właściwy, mimo że staramy się do tego nie dopuścić. Wówczas jednak, jeśli nie chcemy opuścić tego miejsca, a nie chcemy za żadną cenę, pozostają nam tylko te zjawiska, które ze względu na swoją efemeryczność — samo zjawianie się osłabia ich siłę — nie mogą nikomu wystarczyć. Gdy więc zatrzymują się pod wpływem słabości, przepędzamy je do góry i na wszystkie strony, aby wywołać nowe zjawisko, ponieważ dłuższe patrzenie tylko na jedno jest nie do zniesienia i ponieważ ufamy jeszcze, że gdy wyczerpią się zjawiska fałszywe, te prawdziwe ukażą się w końcu.

28 grudnia. Męka, jaką mi sprawia fabryka. Czemuż dopuściłem do tego, gdy zobowiązywało mnie, bym w przyszłości pracował tam po południu. Obecnie nikt nie zmusza mnie do tego przemocą, niemniej działają tutaj: ojciec wyrzutami, Karol milczeniem i własne me poczucie winy. Nie znam się wcale na fabryce i dzisiaj rano przy komisyjnym przeglądzie stałem tam bezużytecznie, jakby mnie w skórę bito. Stwierdzam, że brak mi możliwości po temu, by zgłębić wszystkie szczegóły funkcjonowania fabryki. A gdyby się to nawet powiodło przez nie kończące się dopytywanie i natręctwo w stosunku do wszystkich zatrudnionych, cóż bym osiągnął? Nie umiałbym począć z tą wiedzą nic konkretnego, nadaję się tylko do załatwiania interesów „na niby”, czemu praktyczny zmysł mego szefa dodaje „pieprzyka” i pozory naprawdę dobrej pracy. Z drugiej jednak strony, zdobywając

się na ten bezwartościowy dla fabryki wysiłek, pozbawiłbym się możliwości wykorzystania dla siebie paru godzin popołudniowych, co pociągnęłoby za sobą nieubłagane ruiny mojej i bez tego coraz bardziej zacieśniającej się egzystencji.

Dziś po południu w czasie wyjścia widziałem na przestrzeni paru kroków samych tylko zarozumiałych członków komisji, która mi przed południem napędziła takiego stracha, jak kroczyli ku mnie lub przechodzili mi drogę.

29 grudnia. Te żywotne fragmenty u Goethego. Strona 265: „Pociągnąłem więc swego przyjaciela w lasy”. Goethe, strona 307: „Otóż w ciągu tych godzin rozmowy nie słyszałem o niczym innym tylko o medycynie albo historii naturalnej, a moją wyobraźnię przyciągała ku sobie dziedzina zupełnie inna”.

Narastanie sił pod wpływem rozległych, impetycznych wspomnień. Sam przez się powstały wir zwraca się do naszego statku i w miarę coraz silniejszego działania rośnie świadomość naszych sił oraz sam efekt.

Trudności zakończenia nawet drobnego utworu nie polegają na tym, że nasze wycucie domaga się dla finału pisanej rzeczy ognia, jakiego konkretna treść dotychczasowa nie zdołała rozplomienić. Powstają one raczej stąd, że nawet najkrótszy utwór budzi natrętnie w autorze zadowolenie z samego siebie i zagubienie się w sobie samym, z czego wydostać się na powietrze powszednich dni — bez silnego postanowienia i bez zewnętrznego bodźca — bywa tak bardzo trudno, że raczej w chwili wykończania utworu — kiedy wolno by ześliznąć się bezszelestnie — umyka się przedwcześnie pod naporem niepokoju, a potem trzeba wykańczać finał od zewnątrz, po prostu rękami, które nie tylko pracują, lecz muszą także mocno się ucześcić.

30 grudnia. Moja skłonność do naśladowania nie ma w sobie nic aktorskiego, brak jej przede wszystkim jednolitości. Tego, co prostackie lub uderzająco charakterystyczne w całej swej rozpiętości, nie zdołałem w ogóle naśladować, podobne próby nie udawały mi się nigdy, są one przeciwne mej naturze. Do naśladowania szczegółów prostactwa mam natomiast skłonność zdecydowaną, parodia manipulacji laską, uprawianej przez ludzi pewnego typu, ich sposobu trzymania rąk, ruchów palców, nęci mnie nieodparcie i to potrafię bez trudu. Ale właśnie ta łatwość, ta żądza naśladownictwa oddala mnie od aktora, gdyż ów brak wysiłku ma swoją przeciwwagę w tym, iż nikt nie zauważa, że naśluduję. Tylko moje własne uznanie, odczuwane z zadowoleniem lub częściej z niechęcią, bywa dla mnie sprawdzianem. Jednakże tę zewnętrzną imitację daleko przewyższa imitacja wewnętrzna, tak nieraz trafna i silna, że w mym wnętrzu brakuje już miejsca na obserwację i na stwierdzenie tego naśladownictwa, toteż uświadamiam je sobie dopiero we wspomnieniu. Lecz tutaj naśladownictwo jest również tak doskonałe i w mgnieniu oka usuwa mnie samego w cień, że na scenie byłoby nie do zniesienia, przyjmując iż w ogóle udałoby się coś takiego pokazać. Czegoś więcej niż pochwylenia gry zewnętrznej nie można oczekiwać od widza. Kiedy aktor mający — zgodnie z rolą — dać w skórę drugiemu aktorowi, w podnieceniu i w nadmiernym wzburzeniu zmysłów kropi naprawdę mocno, a tamten wrzeszczy z bólu — wówczas widz musi stać się człowiekiem i wkroczyć między obydwo. To jednak, co w tym stylu zachodzi rzadko, dzieje się niezliczone razy w stylach podrzędnych. Istota złego aktorstwa polega nie na tym, że aktor naśluduje nieudolnie, lecz raczej na tym, że na skutek braku wykształcenia, doświadczenia i talentu naśluduje wzory fałszywe. Najistotniejszym jednak jego błędem pozostaje to, że nie przestrzega granic gry i naśluduje przesadnie. Gną go ku temu jego mgliste wyobrażenia o wymaganiach sceny i kiedy widz uważa, że ten lub ów aktor jest zły, bo sterczy nieruchomo, jakby kij połknął, końcami palców miętosi klapę kieszeni, niedorzecznie wyłamuje oparte na biodrach ręce, wisi uchem na suflerze, za wszelką cenę zachowuje skrupulatną powagę, chociażby czasy zmieniły się całkowicie — nawet i wtedy aktor ów, który chyba sfrunął na scenę jak płatek śniegu, jest zły tylko dlatego, bo naśluduje przesadnie, chociażby zresztą w zgodzie z własnym przekonaniem.

31 grudnia. Właśnie z uwagi na to, że jego zdolności są tak ograniczone, lęka się zrobić mniej niż wszystko. Nawet gdyby jego zdolności nie były tak nieskończenie małe, nie chce przecież zdradzić się, że w sprzyjających okolicznościach i przy współdziałaniu jego woli nie stać go na więcej jak tylko na taki właśnie cały jego kunszt aktorski. (Swobodna, rozwijająca się niezależnie od gapiów na parterze, kierowana według odczuwanych prawidłowo wymogów przedstawienia...) [rękopis urywa się]

Rano czułem tyle zapału do pisania, a teraz kompletnie hamuje mnie myśl, że mam po południu odczytać swoją rzecz Maksowi. Dowodzi to również, jak niezdolny jestem do przyjaźni, przyjąwszy, że

przyjaźń w tym sensie jest w ogóle możliwa. Bo nie można sobie wyobrazić w codziennym życiu przyjaźni bez wyłomów, a wskutek tego, chociażby nawet jądro jej pozostało nienaruszone, przecież mnóstwo jej przejawów ciągle się rozwiewa. Co prawda z nienaruszonego jądra odrastają te przejawy na nowo, że jednak każdy taki odrost wymaga czasu, a nie każdy oczekiwany odrost dojrzewa zdrowo, nie sposób tu — abstrahując nawet od zmiany osobistych nastrojów — nawiązać cokolwiek tam, gdzie się to coś ostatnim razem przerwało. Stąd przy głęboko ugruntowanych uczuciach przyjaźni przed każdym nowym spotkaniem musi powstawać jakiś niepokój, niekoniecznie tak wielki, że aż wyczuwalny, lecz taki, który może w pewnym stopniu zakłócać rozmowę i zachowanie się, tak że zdumiewa nas to świadomie, zwłaszcza wtedy gdy nie widzimy powodu albo nie możemy weń uwierzyć. Jakże mam wobec tego odczytać M. to, co napisałem, lub nawet pisząc teraz myśleć, że będę mu tę rzecz odczytywał.

Poza tym przeszkadza mi fakt, że dzisiaj rano kartkowałem Dziennik, zastanawiając się, co mógłbym M. przeczytać. Otóż przeglądając, nie stwierdziłem, by to, com napisał dotychczas, było szczególnie wartościowe, ani też nie uznałem, by należało to wprost odrzucić. Sąd mój tkwi pośrodku i bliżej pierwszego wniemania, nie w tym stopniu jednak, bym sądząc po wartości tego, co napisane, musiał — pomimo swej słabości — uważać się za wyczerpanego. A przecież widok mnóstwa mojej pisaniny odsunął mnie na przeciąg najbliższych godzin bezpowrotnie od źródła mego własnego pisania, dlatego bo moja uwaga płynąca równomiernie z prądem rzeki zatraciła się gdzieś w dolnym jej biegu.

Sądzę niekiedy, że w całym swym okresie gimnazjalnym, a także i dawniej, umiałem myśleć niezwykle bystro i że dzisiaj nie jestem już w stanie tego sprawiedliwie ocenić z jednej tylko przyczyny, to jest na skutek późniejszego osłabienia pamięci; innym znów razem dochodzę do wniosku, że moja zła pamięć stara mi się tu jedynie pochlebić i że przynajmniej w stosunku do spraw, które były same w sobie błahe — niemniej brzemiennie w następstwa — zachowywałem się z wielkim lenistwem myśli. Tak więc na przykład przypominam sobie dokładnie — prawdopodobnie już wtedy łatwo ulegałem zmęczeniu — rozprawiałem z Bergmannem o Bogu i o możliwości Jego istnienia i to metodą talmudyczną, którą albo odnajdywałem we wnętrzu własnych myśli, albo przyjmowałem od swego rozmówcy drogą naśladownictwa. Nawiązywałem wówczas chętnie do traktatu napotkanego w jakimś chrześcijańskim czasopiśmie — zdaje się świat chrześcijański — gdzie zegar i świat przeciwstawiano zegarmistrzowi i Bogu, zaś istnienie zegarmistrza miało dowieść istnienia Boga. Sądziłem, że mogę doskonale argumentować tym wywodem przeciwko Bergmannowi <sup>Hugo Bergmann, obecnie profesor filozofii w Jerozolimie.</sup>, jakkolwiek ten kontrargument nie był we mnie mocno ugruntowany i chcąc go użyć, musiałem wprawdzie ułożyć go na wzór pasjansa. Taki właśnie kontratak doszedł do skutku raz, gdyśmy okrążali wieżę ratuszową. Dlatego przypominam to sobie dokładnie, bośmy wspomnieli to obaj raz, przed laty.

Otóż sądząc, że się tym wyróżniam — do tego skłoniło mnie wyłącznie pragnienie wyróżniania się oraz radość z wywoływania efektu i z samego efektu — tylko na skutek nie dość głębokiego zastanawiania się cierpiałem to, że zawsze chodziłem w kiepskich ubraniach, które moi rodzice zamawiali mi kolejno u rozmaitych krawców, najdłużej u pewnego krawca w Nusle. Zauważyłem oczywiście, co przyszło mi bardzo łatwo, że bywałem niezwykle źle ubrany i widziałem, że inni byli dobrze ubrani, a tylko ja nie mogłem w ciągu długich lat pojąć przyczyny mego żałosnego wyglądu właśnie w moich ubraniach. A że już wtedy — żyjąc raczej przeczuciami niż rzeczywistością — byłem na prostej drodze do lekceważenia samego siebie, wierzyłem mocno, że to tylko na mnie ubrania wyglądają zrazu sztywno jak deska, a potem zwisają w faldach. Nie pragnąłem wcale nowych ubrań, bo jeśli już musiałem wyglądać pokracznie, to chciałem mieć przynajmniej wygodę, a poza tym uniknąć prezentowania światu, który przyzwyczył się do starych mych ubrań, brzydoty ubrań nowych. To właśnie, zawsze długo trwające wzbranianie się wobec mojej matki, która pragnęła często zamawiać mi nowe stroje tego rodzaju — gdyż musiała oczyma dorosłego człowieka dopatrywać się jakiejś różnicy między tymi starymi a nowymi ubraniami — podziałało na mnie odwrotnie o tyle, iż musiałem w końcu uroić sobie, co potwierdzali moi rodzice, że mi na tym wyglądzie nic nie zależy.

## 1912

2 stycznia. Wskutek tego wpływowi kiepskich ubrań uległem również, jeśli chodzi o moją postawę, chodziłem ze zgarbionymi plecami, krzywymi łopatkami, dyndającymi z zakłopotania rękami i dłońmi: bałem się luster, bo ukazywały mnie w nieuniknionej — jak sądziłem — brzydocie, nie

odzwierciedlając jej chyba w sposób całkowicie zgodny z rzeczywistością, gdyż — jeśli bym naprawdę tak wyglądał — musiałbym wywoływać większą sensację, w czasie niedzielnych przechadzek znosiłem cierpliwie ze strony mojej matki łagodnie kuksańce w plecy i zbyt abstrakcyjne napomnienia i przepowiednie, których nie mogłem powiązać ze swymi aktualnymi wówczas troskami. W ogóle nie byłem zdolny w pierwszym rzędzie do troszczenia się chociaż w najmniejszej mierze o konkretną przyszłość. Tkwiłem myślą w sprawach terażniejszych i w terażniejszych ich aspektach, bynajmniej nie z rzetelności lub zbyt uporczywego zainteresowania, lecz o ile nie powodowała tego także słabość myślenia, z powodu smutku i lęku: z powodu smutku, bo gdy mi terażniejszość mijała tak smutno, sądziłem, że nie wolno mi z niej się wy dostać, zanim się w szczęście nie zmieni, z lęku, bo tak, jak lękałem się najmniejszego kroku w terażniejszość, tak też czułem się niewart — przy swoim godnym pogardy dzieciennym wyglądzie — wyrokować poważnie i odpowiedzialnie o wielkiej, męskiej przyszłości. Najczęściej wydawała mi się ona tak bardzo nieziszczalna, że każdy mały krok naprzód stawał się w mych oczach fałszerstwem, a najbliższa chwila czymś niedosiężnym.

Wierzyłem łatwiej w możliwość cudu niż istotnego postępu, byłem jednak zbyt trzeźwy, by nie pozostawiać cudów w ich sferze a istotnego postępu w sferze jemu właściwej. Mogłem więc na długo przed zaśnieciem zaprzątać sobie głowę tym, że kiedyś jako bogacz wjadę w dzielnicę żydowską powozem zaprzężonym w czwórkę koni, gromkim słowem wyzwolę chłostaną niesprawiedliwie piękną dziewczynę i uwiozę ją w swej karocy; jednakże ta igraszka przekonania — czerpiąca prawdopodobnie soki tylko z chorobliwego już popędu płciowego — nie naruszyła wcale przeświadczenia, że nie zdam końcowych egzaminów rocznych, że jeśli by się to nawet udało, to w klasie następnej nie będę robił postępów, że dalej, gdyby i temu powiodło się zapobiec szacherką, przypadnę ostatecznie przy maturze i że — co tu mówić! — nieodwołalnie, obojętne, w jakiej chwili, objawieniem swego niesłychanego braku zdolności zaskoczę zniecka zarówno rodziców ukołyszanych moim pozornie nieprzerwanym wzlotem umysłowym, jak i resztę świata. Że jednak za drogowskaz wiodący w przyszłość uważałem tylko własną nieudolność — a bardzo rzadko swą nędzną pracę literacką — zastanawianie się nad przyszłością nie przynosiło mi nigdy pożytku; snułem tak tylko coraz dalej terażniejszy żal. Mogłem wprawdzie, gdym zechciał, chodzić trzymając się prosto, ale męczyło mnie to i nie potrafiłem też przewidzieć, ile mi zaszkodzi w przyszłości pochyłe trzymanie się. Gdy raz zdobędę jakąś przyszłość, wówczas — tak mówiło mi przecucie — wszystko dojdzie samo z siebie do ładu. Wybrałem taką właśnie zasadę, nie dlatego że tkwiła w niej ufność w jakąś przyszłość, w której istnienie nie wierzyłem zresztą, celem tego było raczej ułatwienie sobie życia. Chciałem chodzić, ubierać się, myć, czytać, a przede wszystkim zamykać się w domu w sposób, jaki mnie najmniej kosztował trudu i jaki wymagał najmniej odwagi. Gdy poza to wykraczałem, zdarzały mi się tylko komiczne wyjścia z sytuacji.

Pewnego razu uznano za niemożliwe, abym obywał się dłużej bez czarnego świątecznego ubrania, zwłaszcza że postawiono mnie przed decyzją, czy zechcę wziąć udział w lekcji tańców. Sprowadzono tego krawca z Nusle i odbyto naradę nad krojem ubrania. Byłem niezdecydowany, jak zawsze w takich sytuacjach, w których musiałem się obawiać, że wyraźna odpowiedź postawi mnie nie tylko bezpośrednio w jakiejś niemiłej sytuacji, lecz również w gorszej jeszcze sytuacji w przyszłości. Nie chciałem więc zrazu żadnego czarnego ubrania, kiedy mnie jednak zawstydzono przed obcym jegomościem, wytykając, że nie mam odświętnego stroju, zniosłem cierpliwie to, że wzięto w ogóle pod uwagę frak; ale że frak był w mych oczach straszliwym kataklizmem, o którym można by ostatecznie mówić, jednak zdecydować się nań — nigdy!... zgodziliśmy się na smoking, który dla swego podobieństwa do zwykłej marynarki wydał mi się przynajmniej znośny. Natomiast gdy posłyszałem, że smoking musi być wycięty, a tym samym ja musiałbym nosić wykrochmaloną koszulę, zdobyłem się — bo coś takiego należało odeprzeć — na decyzję prawie przekraczającą me siły. Nie chciałem żadnego smokinga w tym guście, lecz jeśli już musi być smoking, to niech ma podszewkę i klapy z jedwabiu, ale niech będzie do samej góry zapięty. Takiego smokinga krawiec nie znalazł, zaznaczył jednak, że choćbym sobie nie wiadomo co wyobrażał, nie mógłby to być strój do tańca. Dobra nasza, a więc nie jest to strój do tańca, ja i tak wcale nie chcę tańczyć, tego nie sądzono mi jeszcze przez długi czas — natomiast chcę dać sobie uszyć surdut, jaki opisałem. Krawiec popadł w osłupienie, tym głębsze, żem dotychczas godził się zawsze zawstydzony, z pośpiechem, bez uwag krytycznych i bez szczególnych życzeń, na przynajmniej i próby. Nie pozostawało mi zatem nic innego — zwłaszcza że i matka przynagliła — jak tylko powędrować z nim, z krawcem, przy całej nieznośności tego faktu przez Staromiejski Rynek, do wystawy pewnego handlarza starzyzną, gdzie już od dawna widywałem taki właśnie nieszkodliwy smoking, uznając go za w sam raz dla mnie. Ale pech chciał, że go już z wystawy zdjęto i że nawet wytrzeszczając oczy nie można go było rozpoznać wewnątrz sklepu; aby wejść do sklepu jedynie w celu ujrzenia smokinga, na to brakło mi śmiałości, toteż powróciliśmy do domu w dawnej niezgodzie. Mnie jednak było na duszy tak, jak gdyby na skutek naszego daremnego wypadu na projektowanym smokingu legła już kłątwa, przynajmniej

wykorzystałem złośliwość argumentów i kontrargumentów jako pretekst do odprawienia krawca z byle jakim drobnym zamówieniem jako pocieszenie w zamian za garnitur smokingowy, zostałem tam, gdzie byłem, pod gradem matczynych wyrzutów, wyczerpany na zawsze — wszystko działo się w moim życiu na zawsze — odgradzony od dziewcząt, eleganckich występów i zabaw tanecznych. Z samej wesołości, jaką z tego powodu odczuwałem, zrobiło mi się równocześnie jakoś nędznie na sercu. Poza tym bałem się, że się przed krawcem ośmieszyl jak żaden dotąd z jego klientów.

3 stycznia. Wiele wyczytałem z *Die Neue Rundschau*. Początek powieści *Nagi mężczyzna* <sup>Der nackte Mann</sup>, powieść Emila Straussa, niemieckiego pisarza i nowelisty (ur. 1866). Emil Strauss reprezentował powieść psychologiczną, dając początek długiej serii niemieckich powieści psychologicznych.

trochę zanadto rozwodniona przejrzystość całości, w szczególności bez zarzutu. *Ucieczka* Gabriela Schellinga Hauptmanna. Kształtowanie ludzi. Pouczające w tym, co złe i co dobre.

Sylwester. Miałem zamiar przeczytać Maksowi coś niecoś z Dziennika, cieszyłem się tym i nie dokazałem tego. Nie odczuwaliśmy zgodnie, znajdowałem w nim tego popołudnia intuicyjnie wyrachowaną drobiazgowość i pośpiech, prawie że nie był mi już przyjacielem, mimo to opanowywał mnie nadal tak dalece, że jego oczyma widziałem sam siebie, jak coraz dłużej bez wyniku przerzucam kartki w zeszytach i uważam za obrzydliwe to kartkowanie w lewo i w prawo, ukazujące w przelocie zawsze te same strony. Wydobyć współpracę z tego obustronnego napięcia było oczywiście niemożliwe i ta jedna strona Ryszarda i Samuela, którą przemęczyliśmy przy obustronnych oporach, jest tylko dowodem energii Maksa, poza tym kiepska. Sylwester u Čady. Nie najgorzej, bo Weltsch, Kisch i jeszcze ktoś dali zastrzyk świeżej krwi, tak że w końcu — zresztą tylko w granicach tej paczki — przecież zbliżyłem się znów do Maksa. Potem w tłoku panującym na Grabenie uściskałem mu rękę, nie widząc go już i przyciskając do siebie swe trzy zeszyty poszedłem dumny — o ile sobie przypominam — prosto do domu.

Płomienie, które na ulicy dokoła tygła z węglami przed budowanym domem wzbijały się kolisto w górę na kształt liści paproci.

Można we mnie stwierdzić zupełnie wyraźnie koncentrację w kierunku pisania. Skoro tylko ustrój mój uświadomił sobie, że pisanie jest najplodniejszą dążnością mojej istoty, wszystko skoncentrowało swój napór w tym kierunku, zostawiając odlegość wszelkie sprawności zwrócone ku rozkoszom płci, jedzenia, picia, filozoficznych rozważań, a w pierwszej mierze muzyki. Wychłódziłem w dziedzinie tych wszystkich popędów. Było to potrzebne, gdyż wszystkie moje siły razem były tak nikłe, że tylko skupione mogły jako tako służyć pisaniu. Celu tego nie odkryłem oczywiście w sposób samodzielny i świadomy; znalazł się sam i obecnie napotyka przeszkody tylko ze strony biura, w tym jednak wypadku zasadnicze. W każdym bądź razie nie wolno mi opłakiwać faktu, że nie mogę znieść żadnej kochanki, że na miłości znam się prawie tak mało, jak na muzyce i muszę zadowalać się jak najbardziej powierzchownymi, przelotnymi wrażeniami; że na Sylwestra jadłem na kolację korzonki salsefii ze szpinakiem, zapijając je ćwiartką Ceresu i że w niedzielę nie mogłem wziąć udziału w zebraniu, na którym Maks odczytywał swoją filozoficzną rozprawę; całkowita obustronna równowartość leży tu jak na dłoni. Wystarczy mi więc odrzucić z tego akordu samą tylko pracę biurową, aby — ponieważ mój rozwój dokonał się już i, o ile mogę przewidzieć, niczego już więcej nie mógłbym się wyrzec — rozpocząć prawdziwe swoje życie, w którym moja twarz będzie nareszcie mogła starzeć się naturalnym biegiem rzeczy, równomiernie z postępem moich prac.

Przewrót, jaki zachodzi w rozmowie, gdy najpierw wyluszcza się dokładnie troski swojej najintymniejszej egzystencji, a potem nie drogą przeskoku, ale i nie wysnuwając stąd wniosków, zaczyna się mówić o tym, kiedy i gdzie zobaczymy się przyszlým razem, i jakie okoliczności trzeba będzie przy tym wziąć pod uwagę. Kiedy rozmowa ta kończy się jeszcze uściskiem dłoni, partnerzy rozchodzą się z chwilową wiarą w przejrzystą i mocną strukturę ludzkiego życia i z pewnym dla tej struktury szacunkiem.

W autobiografii nie sposób uniknąć tego, że bardzo często w miejscu, gdzie zgodnie z prawdą należałoby napisać „raz”, pisze się „wiele razy”. Zawsze bowiem zachowuje się świadomość faktu, że wspomnienie wydobywa z ciemności coś, co słowo „raz” rozbija na części; zaś słowa „wiele razy” nie całkiem wprawdzie przed tym chronią, lecz utrzymują przynajmniej w zgodzie z przekonaniem autora, wynosząc go ponad takie rodzaje przeżyć, których może w jego życiu brakowało zupełnie, lecz które rekompensują mu inne przeżycia, jakie nie nasunęły mu się nawet we wspomnieniu.

4 stycznia. Tylko przez próżność czytam tak chętnie swoim siostróm głośno (tak że na przykład

dzisiaj było już potem za późno na pisanie). Nie z przekonania, że w czytaniu na głos mógłbym osiągnąć jakieś wybitne wyniki, ogarnia mnie raczej żądza tak wielkiego zbliżenia się do odczytywanych dobrych utworów, żebym — nie dzięki własnej zasłudze, lecz dzięki uwadze moich słuchających sióstr, wzbudzonej przez czytany utwór i pomijając czynniki nieistotne — stopił się w jedną całość z tymi dziełami, a zatem przy zacierającej różnicy próżności uczestniczył jako przyczyna w samym efekcie wywołanym przez te utwory. Dlatego czytam przy moich siostrach w sposób istotnie godny podziwu, podkreślam niektóre akcenty ze skrajną jak na moje wyczucie dokładnością, bo zyskuję potem nagrodę w postaci nadmiernych pochwał nie tylko od siebie samego, lecz i od moich sióstr. Gdy czytam natomiast przed Brodem albo przed Baumem, albo przed innymi słuchaczami, moje czytanie musi, choćby tylko z powodu mych pretensji do pochwał, wydać się każdemu z nich przeważnie liche, i to nawet wtedy, gdy słuchacz nie wie nic o zaletach mojego czytania na głos w innych okolicznościach; widzę tu bowiem, że słuchacz uświadamia sobie otwarcie rozdział pomiędzy mną a czytaną treścią; że z treścią tą nie wolno mi zespolić się całkowicie, jeśli nie chcę się przy tym ośmieszyć według własnego wyczucia, które nie może znaleźć u słuchacza żadnego oparcia, głos mój krąży dokoła odczytywanego utworu, próbując wcisnąć się gdziekolwiek, ponieważ wszyscy tego pragną, ale zamiaru swego nie traktuję jednak poważnie, bo nikt tego właściwie ode mnie nie oczekuje. Czego ludzie chcą istotnie, jest to, bym czytał bez próżności, spokojnie i zachowując pewien dystans i bym stawał się namiętny tylko wtedy, gdy zażąda tego moja namiętność — a tego nie mogę osiągnąć; pomimo wrażenia, że mnie to dostatecznie zadowala, mimo więc że poprzestaję na kiepskim czytaniu przed kimś innym jak moje siostry —przecież moja próżność, która tym razem nie powinna by rościć sobie żadnych pretensji — wyłazi na wierzch i czuję się przykro dotknięty, gdy ktoś w moim czytaniu cokolwiek wytyka, czerwienię się i chcę szybko czytać dalej, gdyż zresztą zawsze usiłuję czytać głośno bez końca, gdy już raz czytać zacząłem, a to z podświadomą tęsknotą, że w ciągu długiego czytania wytworzy się przynajmniej we mnie samym czcze i fałszywe poczucie jedności z odczytywaną treścią. Zapominam przy tym, że nigdy nie zdobędę się w danej chwili na siłę wystarczającą do tego, by sugestią swego uczucia wywoływać jasną orientację słuchacza, i że to siostry w domu ulegają zawsze takiej właśnie upragnionej sugestii.

5 stycznia. Od dwu dni, gdy tylko zechcę, stwierdzam w sobie chłód i obojętność. Wczoraj wieczorem w czasie przechadzki każdy cichy szelest uliczny, każde ku mnie zwrócone spojrzenie, każda fotografia w ramie wystawowej były dla mnie czymś ważniejszym niż ja sam.

Niezmiennność. Historia.

Gdy się z pozorną stanowczością postanowiło wieczorem pozostać w domu i włożyło szlafrok, gdy po kolacji siedzi się przy oświetlonym stole zajęty taką pracą lub zabawą, po której idziemy zwykle spać, gdy za oknami dąsa się niepokoda, wobec której pozostanie w domu jest samo przez się zrozumiałe, gdy się wytrzymało aż do tej chwili przy stole, tak długo więc, że odejście wywołałoby nieuchronnie nie tylko gniew ojcowski, lecz i zbiorowe zdumienie; gdy dalej na domiar złego i kłątka schodowa jest już ciemna, a brama wejściowa zamknięta i gdy się mimo to wszystko pod wpływem nagłej nudy wstaje, zmienia marynarkę, powraca w oka mgnieniu w spacerowym garniturze i oświadcza, że się musi odejść i czyni to, pożegnawszy się śpiesznie, gdy się sądzi, że zależnie od gwałtowności zatrzęsnięcia drzwi mieszkania, a tym samym przecięcia ogólnej dyskusji na temat odejścia, pozostawiło się za sobą mniej lub więcej oburzenia, gdy się nareszcie znajduje na ulicy, a członki ciała wynagradzają swoją niezwykłą ruchliwością daną im, choć nieoczekiwaną już, swobodę — gdy dzięki jednemu temu postanowieniu czuje się w sobie rozbudzenie zdolności do wszelkich postanowień, gdy człowiek wyraźniej niż zwykle poznaje, że ma więcej energii niż potrzeba, aby nawet najszybszą zmianę łatwo skutecznie i znieść, że gdy się jest zdanym na własne siły, wtedy rośnie rozsądek i spokój oraz umiejętność korzystania z nich — wówczas tego właśnie wieczoru jest się zupełnie wykopniętym ze swojej rodziny, czego drastyczniej nie można by dokonać przez najdalsze podróże i miało się przeżycie, które z powodu swojej skrajnej jak na Europę samotności można nazwać tylko rosyjskim. Wzmaga się ono jeszcze, gdy o tej późnej wieczornej porze odwiedzamy kogoś z przyjaciół, aby przekonać się, jak mu się wiedzie.

Zaprosiłem Weltscha na benefis pani Klug. Ulwy cierpiący na silne bóle głowy, które prawdopodobnie są symptomem ciężkiego schorzenia, z prawą ręką rozpaczliwie przyciśniętą do czoła oparł się o ścianę jakiegoś domu na dole, na ulicy, w miejscu gdzie na mnie czekał. Wskazałem go Weltschowi, który ze swojej kanapy przechylił się ku oknu. Zdaje mi się, że po raz pierwszy w życiu obserwowałem z okna w tak łatwy sposób obchodzące mnie blisko zdarzenie na dole, na ulicy. Podobny sposób obserwacji znany mi jest z Sherlocka Holmesa.



6 stycznia. Wczoraj *Wicekról*/Feimanna. Wrażliwość na pierwiastek żydowski w takich sztukach opuszcza mnie, ponieważ są one zbyt monotonne i wyradzają się w lamentację dumną ze swych poszczególnych, gwałtowniejszych wybuchów. Podczas pierwszych sztuk mogłem jeszcze myśleć, że dostałem się w obręb jakiegoś żydostwa, gdzie tkwią korzenie mojego własnego żydostwa, które będą rozrastać się w moim kierunku i przez to oświecą mnie i popchną naprzód w mym ociężałym żydostwie, zamiast tego oddalają się one ode mnie, w miarę jak słucham coraz to uważniej. Oczywiście zostają ludzie i tych się trzymam.

Pani Klug miała swój benefis i w związku z tym odśpiewała parę nowych pieśni i powiedziała parę nowych dowcipów. Ale tylko przy pierwszej jej pieśni byłem całkiem pod jej wrażeniem. Wtedy znalazłem się w najzarliwszej łączności z każdą cząstką jej sylwetki, z rozpostartymi przy śpiewie rękami i przykającymi palcami, z mocno skręconymi lokami u skroni, z opadającą płasko i niewinnie pod stanikiem cienką koszulą, z dolną wargą, która często wydęta delektuje się efektem dowcipu („wizycie, mówię wszystkimi językami, ale po „żydowsku”), z tłustymi nóżkami, które w grubych białych pończochach pozwalają bucikom krępować się aż po wielki palec. Jednak śpiewając wczoraj nowe pieśni, umniejszała wywierane na mnie pełne wrażenie, które polega na ukazaniu człowieka, autora paru kawałów i piosenek będących najdoskonalszym przejawem jego temperamentu i wszelkich jego zdolności. Skoro ta produkcja jest udana, udało się już wszystko; a gdy sprawia nam przyjemność, aby ów ktoś oddziaływał na nas częściej, nie damy się oczywiście — i tu zgadzają się może ze mną wszyscy słuchacze — zniechęcić ustawicznym powtarzaniem tych samych pieśni, uznamy to raczej za dobre jako środek pomocniczy, ułatwiający skupienie, podobnie jak na przykład zaciemnienie sali, i z punktu widzenia śpiewaczki dopatrzmy się w tym tej odwagi i pewności siebie, o którą właśnie nam chodzi. Kiedy więc zabrzmiały nowe pieśni, które nie mogły wykrzesać z pani Klug żadnego nowego efektu, bo dawniejsze pieśni spełniły już tak wyczerpująco swoje zadanie i gdy zatem te pieśni rościły sobie pretensje, aby uznano je za pieśni, zresztą nie dając żadnego powodu ku temu i gdy właśnie w ten sposób odwracały uwagę od pani Klug, pokazując równocześnie, że ona sama, śpiewając je, nie czuła się swobodnie i po części zawiodła, po części zaś zdobywała się na przesadne grymasy i gesty — musiało się popaść w smętny humor, znajdując pociechę tylko w tym, że wspomnienie jej dawniejszej, wybornej interpretacji było w swej niezachwianej prawdziwości zbyt mocne na to, by mogło je zamącić odczuwane obecnie wrażenie.

7 stycznia. Pani Czyżyk niestety ma zawsze role ukazujące rdzeń jej istoty. Odtwarza zawsze kobiety i dziewczęta, na które momentalnie spada nieszczęście, szyderstwo, hańba lub prześladowanie, którym jednakże brak czasu na doskonalenie swoich charakterów w naturalnej kolejności. Po naturalnej, wybuchowej sile, z jaką gra te role sięgające szczytu doskonałości tylko w grze, bo w tekście na skutek wymaganego przez siebie przepychu są jedynie oschłymi aluzjami — poznaje się, do czego pani Czyżyk byłaby zdolna. Jeden z jej ważnych gestów wyłania się dreszczem z trzymanyh trochę sztywno, drgających bioder. Zdaje się, że mała jej córeczka ma jedno biodro całkiem sztywne. Gdy dwoje aktorów obejmuje się, przytrzymują sobie wzajemnie peruki.

Kiedy niedawno szedłem z Löwym na górę do jego pokoju, gdzie chciał przeczytać mi list napisany do warszawskiego literata Nomberga, spotkaliśmy na platformie schodów małżeństwo Czyżyków. Nieśli oboje do swego pokoju na piętrze swoje kostiumy do Kol Nidre, owinięte jak mace w bibułę. Przystanęliśmy na chwilę. Miałem poręcz, która służyła jako podpora dla rąk i akcentowania zdań. Jej duże usta poruszały się przede mną tak blisko w konturach zdumiewających, lecz swobodnych. Rozmowie groziła beznadziejność z mojej winy, bo usiłując w pośpiechu wyrazić całą swą miłość i oddanie, wydukałem tylko stwierdzenie, że interesy trupy szły nędznie, że jej repertuar został wyczerpany, że więc aktorzy nie mogliby zostać tu dłużej i że obojętność praskich Żydów względem nich jest niepojęta. W poniedziałek mam — poprosiła mnie o to — przyjść na Sejdernacht, chociaż tę sztukę już znałem. Usłyszę wtedy, jak śpiewa tę pieśń (*bore Isroel*), którą — jak przypomniała sobie na podstawie dawnej wzmianki — lubię szczególnie.

Jesziwe są to wyższe szkoły Talmudu utrzymywane przez wiele gmin w Polsce i w Rosji. Koszty bywają tu niewielkie, gdyż szkoły te zakłada się przeważnie w starych, nieużytecznych budynkach, gdzie oprócz klas i sypialni uczniowskich znajduje się jeszcze mieszkanie rosz-jesziwe załatwiającego także sprawy gminne oraz jego pomocnika. Uczniowie nie uiszczają opłat szkolnych i dostają kolejno posiłki od członków gminy. Chociaż szkoły te opierają się na najbardziej prawowiernych zasadach, właśnie one stanowią odskocznice odszczepieńczego postępu, ponieważ młodzi chłopcy schodzą się tutaj z dalekich stron — specjalnie jednostki ubogie, energiczne, odrywające się od domu — bo nadzór tutaj nie jest zbyt surowy i młodzi ludzie są zupełnie zdani na siebie samych, a najistotniejsza część nauki polega na wspólnym studiowaniu i wzajemnym objaśnianiu sobie trudnych miejsc; bo

dalej, bogobojność bywa w rozmaitych studenckich gniazdach rodzinnych jednolita i nie skłania w sposób niezwykły do wynurzeń, natomiast tłumiony postęp, zależnie od różnorodnych stosunków miejscowych, w najróżnorodniejszy sposób wzrasta lub maleje, tak że zawsze jest wiele do opowiadania; bo wreszcie tylko to lub owo spośród zakazanych postępowych pism znajduje się tam w rękach jednostki, podczas gdy w jesziwe pisma te znoszone zewsząd mogą oddziaływać szczególnie silnie, gdyż każdy ich posiadacz rozpowszechnia nie tylko tekst, ale i swój własny zapal. Z tych wszystkich powodów oraz pod wpływem bezpośrednich ich następstw wyszli ostatnio z tych właśnie szkół wszyscy postępowi poeci, politycy, dziennikarze i uczeni. Stąd też pogorszyła się z jednej strony wybitnie reputacja owych szkół wśród ortodoksów, z drugiej zaś napływają do nich tłumnie niż poprzednio postępowo myślący młodzi ludzie.

Słynna szkoła jesziwe znajduje się w Ostrowie, małej miasteczku odległej od Warszawy o osiem godzin jazdy koleją. Cały Ostrów jest, prawdę mówiąc, tylko obramowaniem króciutkiej wstęgi gościńca. Löwy twierdzi, że ma ona długość jego laski. Kiedy jakiś hrabia zatrzymał się raz pewnego w Ostrowie swoim zaprzężonym w czwórke powozem podróznym, przednie dwa konie oraz tył powozu stały już poza granicami osiedla.

Löwy postanowił wyjechać do Ostrowa, mając lat około czternastu, gdy przymus życia w domu wydał mu się czymś nie do zniesienia. W tej właśnie chwili, gdy pod wieczór wymknął się z swej celki, poklepał go ojciec po łopatkach, dodając od niechcienia, żeby potem do niego ze-szedł, bo chce z nim pomówić. Ponieważ nie należało, jak zwykle, oczekiwać niczego innego jak tylko wyrzutów, poszedł Lówy prosto z celki na dworzec, bez zawiniątka, w trochę porządniejszym chałacie z uwagi na sobotni wieczór i z całą swą gotówką — tę bowiem nosił zawsze przy sobie — i pojechał pociągiem odchodzącym o dziesiątej godzinie do Ostrowa, dokąd przybył rano o godzinie siódmej. Poszedł wprost do jesziwe, gdzie nie wzbudził bynajmniej nadzwyczajnej sensacji, gdyż do każdego jesziwe może wejść każdy wobec braku szczególniejszych ceremoniałów przyjęcia. Zwrócił uwagę tylko fakt, że chciał wstąpić tam właśnie o tej porze — było wówczas lato — czego nie robiono zazwyczaj, a dalej to, że miał porządny chałat. Ale i z tym pogodzone się wnet, bo ludzie tak bardzo młodzi, związani z sobą swoim żydostwem z nie znaną nam siłą, łatwo zawierają znajomość. W nauce wyróżniał się, ponieważ już z domu wyniósł sporo wiedzy. Gawędzenie z obcymi młodzieńcami podobało mu się, zwłaszcza że wszyscy, ledwie zasłyszawszy o jego pieniądzech, oblegli go stręcząc kupno. Ktoś z nich, chcąc mu odprzedać dniówki, szczególnie go zadziwił. „Dniówkami” nazywano mianowicie darmowe posiłki. Bywały one artykułem sprzedaży dlatego, bo członkom gminy spragnionym spełnienia uczynku miłego Bogu przez danie darmowych posiłków bez wyróżnienia odbiorcy było obojętne, kto do tego posiłku zasiądzie. Gdy się więc zdarzył student szczególnie sprytny, mogło mu się udać uświetnienie jednego dnia dwoma darmowymi posiłkami. Te podwójne uczyt znosił tym łatwiej, że nie były one bardzo obfite i po pierwszej z nich można było z wielką przyjemnością „znieść” drugą, że dalej zdarzały się również po jednym dniu podwójnie obdarzonym dni inne, ziejące pustką. Mimo to każdy był oczywiście zadowolony, gdy znalazł sposobność korzystnej sprzedaży takiego nadliczbowego darmowego posiłku. A gdy już ktoś jak Löwy przybył w lecie, a więc w porze kiedy posiłki darmowe już od dawna rozdzielano, wówczas można było w ogóle dostać je tylko drogą kupna, gdyż wszystkie, nadliczbowe z początku, darmowe posiłki zagarnęli spekulanci.

Noc w jesziwe była nie do zniesienia. Co z tego, że z powodu cieplej nocy otwarto wszystkie okna, gdy smród i żar nie chciał się wynieść z izb, bo studenci w braku właściwych łóżek układali się do snu tam, gdzie siedzieli ostatnio, nie rozbierając się, w przepoconych swych łachach. Wszystko roilo się od pcheł. Rano każdy zwilżał sobie tylko pobieżnie ręce i twarz wodą i natychmiast wracał do nauki. Uczono się przeważnie razem, zwykle po dwu z jednej książki. Często dyskusje łączyły więcej studentów w jedną grupę. Rosz-jesziwe objaśniał tylko od czasu do czasu trudniejsze miejsca. Löwy, mimo iż znalazł później — w Ostrowie przebywał dziesięć dni, sypiał jednak i jadał w gospodzie — dwu przyjaciół o podobnych zapatrywaniach (poznanie się wzajemne nie było tak łatwe, bo trzeba było zawsze wy badać w pierw ostrożnie poglądy i rzetelność partnera), powrócił przecież z entuzjazmem do domu, ponieważ przywykł do życia uporządkowanego i nie mógł już wytrzymać nostalgii.

W dużym pokoju panował zgiełk gry w karty, a potem zwyczajnej rozmowy prowadzonej przez ojca głośno choć bez ładu i składu, gdy mu tak jak dzisiaj dopisywało zdrowie. Słowa ujawniały tylko grę małych napięć nieforemnego zgiełku. W pokoju dziewcząt mały Feliks spał przy szeroko otwartych drzwiach. Po drugiej stronie w moim pokoju spałem ja. Drzwi tego pokoju były przez wzgląd na mój wiek zamknięte. Poza tym otwarte drzwi oznaczały, że Feliksa chciano jeszcze przywabić do rodziny, podczas gdy ja byłem już wyrzucony poza nawias.

Wczoraj u Bauma. Miał przyjść Strobl

Strobl Karl Hans (1877—1946), austriacki pisarz i eseista, pisał powieści z życia praskich

studentów, nowele fantastyczne i eseje literackie. jednak był w teatrze. Baum odczytał felieton *O pieśni ludowej*, marny. Potem rozdział z *Igraszek i tragedii losu*, wyborny. Byłem obojętny, źle usposobiony, nie odniosłem wyraźnego wrażenia co do całości. Po drodze do domu w strugach deszczu opowiedział mi Maks swój terażniejszy plan Army Polak. Nie mogłem przyznać się do swego stanu, ponieważ Maks nigdy nie uznaje tego tak, jak by należało. Musiałem więc być nieszczerzy, co w końcu obrzydziło mi wszystko. Byłem tak cierpiący, że wolałem odzywać się do Maksa w chwilach, gdy jego twarz pokrywał mrok, mimo że wtedy twarz moja mogła łatwiej zdradzić się będąc w świetle. Niemniej w dalszym toku rozmowy tajemnicze zakończenie powieści przejęło mnie wzruszeniem na wskroś mimo wszystkich przeszkód. W drodze powrotnej do domu po pożegnaniu, skrucha z powodu mego fałszu i ból z powodu jej nieprzystępności. Zamiar założenia osobnego zeszytu, aby notować mój stosunek do Maksa. To, co nie jest zapisane, miga człowiekowi przed oczyma i nieoczekiwane zjawiska optyczne determinują pełny sąd.

Kiedy leżałem na kanapie, a w obu przyległych pokojach rozmawiano głośno, po lewej stronie tylko kobiety, po prawej przewaga głosów męskich, odniosłem wrażenie, że są to pierwotne murzyńskie istoty, nie dające się obłąskawić, które nie wiedzą, a mówią tylko po to, aby rozchybotać powietrze, i gadając podnoszą twarze i gapią się w ślad za wymówionymi słowami.

Tak oto przemija mi słotna, cicha niedziela, siedzę w sypialni i mam święty spokój, ale zamiast zdecydować się na pisanie, w którym na przykład przedwczoraj chciałybym roztopić samego siebie ze wszystkim, czym jestem —gapilem się obecnie przez długą chwilę na własne palce. Zdaje mi się, że przez cały miniony tydzień pozostawałem pod przemożnym wpływem Goethego, że teraz właśnie potęgę tego wpływu wyczerpałem i że dlatego stałem się niepożyteczny.

Cytat z poematu Rosenfelda opisującego burzę morską:  
„Trzepocą dusze, dygocą ciała”. Löwy, recytując to, ściąga kurczowo skórę czoła i nasady nosa, tak jak — zdaje się —można kurczyć tylko ręce. W miejscach najsilniej wstrząsających, które chce sam unaocznic, zbliża się do nas sam lub raczej rośnie nam w oczach, dzięki czemu lepiej widzimy jego sylwetę. Podchodzi tylko trochę w przód, oczy ma szeroko rozwarte, skubie bezmyślnie lewą ręką skraj surduta, zaś prawą dłoń rozpostartą na całą jej szerokość zwraca ku nam. Toteż musimy, choćby nas jeszcze nie ogarnęła emocja, uznać jego wzruszenie i ukazać mu możliwość opisanej katastrofy.

Mam pozować nago malarzowi Ascherowi do postaci świętego Sebastiana.

Gdy teraz wieczorem wrócę do moich krewnych, to z tego powodu, że nie napisałem nic, co by mnie cieszyło, nie będę dla nich ani bardziej obcy, ani bardziej godny pogardy, ani mniej pożyteczny niż dla siebie samego. Naturalnie jest to jedynie moje odczucie (które nie sposób wprowadzić w błąd choćby najdokładniejszą obserwacją); w rzeczywistości bowiem wszyscy ci ludzie szanują mnie i nawet kochają.

24 stycznia. Nie pisałem tak długo z następujących powodów: gniewałem się ze swym szefem i załagodziłem to dopiero dobrym listem; byłem wiele razy w fabryce; czytałem *l'Histoire de la Littérature Judeo-Allemande* Historia zargonowej literatury żydowskiej, autor: Pines Meyer Isser. Pinesa, pięćset stron, i to łapczywie, z tak wielką dokładnością, pośpiechem i radością, jak nigdy dotąd nie postępowałem z książkami tego rodzaju. Obecnie czytam *Ustrój żydostwa* Fromera; na koniec miałem sporo do czynienia z żydowskimi aktorami, pisałem im listy, uzyskałem od syjonistycznego związku ankietę do czeskich związków syjonistycznych, czy chcą mieć gościnne występy zespołu; wystosowałem okólnik i dałem go powielić; widziałem jeszcze raz w teatrze Sulamith a także raz *Herzele Mejiches* Richtera; byłem na wieczorze pieśni ludowych zespołu Bar-Kochba a przed-wczoraj na *Hrabi von Gleichen* Schmidtbonna. Schmidtbonn Wilhelm — pseudonim Wilhelma Schmidta (ur. 1876); niemiecki pisarz i dramaturg, neoromantyk; jego dramaty stanowiły punkt zwrotny w rozwoju dramatu niemieckiego, przelamując konwencję naturalistyczną i dając początek dramатовi neoromantycznemu.

Wieczór pieśni ludowych: dr Natan Birnbaum wygłasza odczyt. Nawyk u Żydów ze Wschodu wplatania słów „moi szanowni słuchacze, panowie i panie” albo krócej: „moi szanowni słuchacze”, ilekroć brak wątku. Powtarza się to na początku mowy Birnbauma aż do śmieszności. O ile jednak znam Löwyego, sądzę, że ponawiające się wciąż zwroty, występujące często i w zwykłej rozmowie Żydów ze Wschodu, takie jak „aj waj!”, albo „nie ma strachu”, albo „rok by o tym gadać” — nie mają wcale maskować zakłopotania, lecz raczej ożywiać jak coraz to nowe źródła

nurt wymowy, toczący się zawsze jeszcze zbyt ospale dla temperamentu wschodnich Żydów. U Birnbauma jest inaczej.

26 stycznia. Grzbiet pana Weltscha i cisza na całej sali przy słuchaniu kiepskich wierszy. Natan Birnbaum: długowłosa fryzura odcina się ostro od szyi, która wskutek tego nagłego obnażenia, a może i sama z siebie, sterczy niezwykle prosto. Wielki, zakrzywiony, nie za wąski, a przecież po bokach rozszerzony nos, który, zwłaszcza dzięki dobrej proporcji względem sporej brody, wygląda pięknie. Śpiewak Gollanin. Kojący, słodkawy, niebiański, dobrotliwy, twarz zwrócona w bok i w przestrzeń; długo się utrzymujący pod haczykowatym nosem, nieco ostry uśmiech, może również i efekt samej tylko mimicznej techniki ust.

31 stycznia. Nie napisałem nic. Weltsch przynosi mi książki o Goethem, które wywołują we mnie roztargnione, beużyteczne podniecenie. Plan eseju Straszliwy duch Goethego, lęk przed dwugodzinną przechadzką wieczorną, którą sobie teraz zaordynowałem.

4 lutego. Przed trzema dniami *Duch ziemi* Wedekinda. Wedekind Frank (1864—1918), niemiecki dramaturg, współpracownik *Simplizissima*, występował również jako aktor. Był nieprzejednanym przeciwnikiem mieszczańskich konwencji w życiu i literaturze.

Sam Wedekind i jego żona Tilty biorą udział w przedstawieniu. Czysty, ostry głos pani. Wąska jak sierp księżycy twarz. Gdy Tuły stoi nieruchomo, goleń jej wygina się w bok. Przejrzystość sztuki również i w retrospekcji, tak że idzie się do domu w spokojnej pewności siebie. Kontrastowe wrażenie czegoś bezwzględnie utwierdzonego, co przecież pozostaje obce.

Idąc wówczas do teatru, czułem się dobrze. Jak miodem delektowałem się własnym swoim wnętrzem. Piłem je nieprzerwanym haustem. Podobnie czułem się w teatrze. Było to zresztą poprzednie przedstawienie wieczorne sztuki: *Orfeusz w piekle* z Pallenbergiem Pallenberg Max (1877—1934), znakomity aktor austriacki, komik charakterystyczny, doskonały odtwórca Moliera. Wykonanie było tak nędzne, oklaski i śmiech dokoła mnie na stojących miejscach parteru tak donośne, że znalazłem dla siebie ratunek tylko w ucieczce po drugim akcie, uciszając w ten sposób wszystko.

Przedwczoraj napisałem do Trutnova dobry list na temat gościnnego występu Löwyego. Każdorazowe odczytanie tego listu uspokajało mnie i krzepiło, tak silną bowiem, choć bezsłowną nawiązałem w nim łączność z wszelkim dobrem, jakie we mnie jest.

Przenikająca mnie na wskroś gorliwość, z jaką czytam o Goethem (rozmowy Goethego, jego lata studenckie, lekcje z Goethem, pobyt Goethego we Frankfurcie), odrywa mnie od wszelkich prób pisania.

S., kupiec lat trzydziestu dwu, bezwyznaniowy, odczytany w filozofii, beletrystyką interesuje się najczęściej tylko o tyle, o ile ona wiąże się z jego własną działalnością pisarską. Okrągła głowa, czarne oczy, małe zabójcze wąsiki, puciołate policzki, krępa postać. Studiuje od lat od godziny dziewiętej do pierwszej w nocy. Rodem ze Stanisławowa, znawca języka hebrajskiego i żargonu. Ożeniony z kobietą, która tylko dzięki doskonale okrągłemu konturowi twarzy sprawia wrażenie ograniczenia umysłowego.

Od dwu dni chłód w stosunkach z Löwym. Pyta dlaczego. Przeczę.

Zaciszna ustronna rozmowa z panną Taussig na galerii w przerwie Ducha ziemi. Aby prowadzić piękną rozmowę, trzeba po prostu wsunąć rękę głębiej, lżej, sennie pod czekający omówienia temat, wtedy dźwiga się go zdumiewająco łatwo. Inaczej wyłamujemy sobie palce i myślimy tylko o tym, jak to boli.

Historia: przechadzki wieczorne. Wynalazek prędkiego chodzenia. Najpierw piękny, ciemny pokój.

Panna Taussig opowiedziała mi o pewnej scenie z nowego jej opowiadania: pewnego razu do szkoły szycia przychodzi dziewczyna o nadszarpiętej reputacji. Wrażenie u innych dziewcząt. Sądzę, że będą żałować takich, które wyraźnie czują zdolność i ochotę do tego, aby zarobić na nadszarpaną reputację, a równocześnie mogą sobie wyobrazić bez osłonek ogrom nieszczęścia, w jakie zgodnie z tym przecuciem mogą popaść.

Przed tygodniem w reprezentacyjnej sali żydowskiego ratusza referat dra Theilhabera o zagładzie niemieckich Żydów. Jest ona nieunikniona, gdyż po pierwsze: Żydzi skupiają się w miastach, a

wiejskie gminy żydowskie zanikają. Pożera ich żądza zysku. Małżeństwa zawiera się wyłącznie dla posagu panny młodej. System dwojga dzieci. Po wtóre: małżeństwa mieszane. Po trzecie: chrzty. Komiczne sceny, gdy profesor Ehrenfels, Ehrenfels, Christian von (1859—1932), filozof, twórca teorii postaci. coraz to piękniejszy, z łysiną, której kontur w świetle zarysowywał się mglisto u góry, złożywszy obie ręce i zaciskając je, pełnym swym jakby w muzycznym instrumencie modulowanym głosem i uśmiechając się — bo tak bardzo publiczności zaufał — propaguje mieszanie ras.

5 lutego. Poniedziałek. Jestem zmęczony, poniechałem nawet czytania Zmyślenia i prawdy. Twardy jestem na zewnątrz, zimny w środku. Gdy przyszedłem dzisiaj do dra F., to pomimo naszego powolnego i rozważnego zbliżania się ku sobie było tak, jakbyśmy zderzyli się z sobą niczym pliki rzucane przez kogoś innym ludziom i gubiące się we własnym, nie kierowanym pędzie. Spytałem go, czy jest zmęczony. Nie był zmęczony. Dlaczego pytałem? — Jestem zmęczony — odpowiedziałem i usiadłem.

Mały atak omdlenia wczoraj w Café City przy Löwym. Pochylenie się nad gazetą, aby ukryć ten fakt.

Piękna sylwetka Goethego: cała postać. Uboczne uczucie odrazy na widok tego doskonałego ciała ludzkiego, ponieważ przewyższenie tego szczytu jest już poza granicą wyobraźni, a przecież szczyt ów sprawia wrażenie czegoś skleconego i przypadkowego. Prosta postawa, zwisające ramiona, smukła szyja, ugięte kolana.

Niecierpliwość i smutek z powodu mego wycieńczenia czerpie soki zwłaszcza z nie traconego nigdy z oczu aspektu przyszłości, jaka się dla mnie wskutek tego gotuje. Jakie wieczory i przechadzki, jakie rozpacze w łóżku i na kanapie (7 lutego) mam jeszcze przed sobą, gorsze niż te, które dotychczas przeżyłem!

Wczoraj w fabryce. Dziewczęta w nieznośnie brudnych i rozchełstanych sukniach, z rozczochranymi jak przy obudzeniu się fryzurami, z wyrazem twarzy zeszywniałym od nie milkącego tomotu transmisji i od stuku jakiejś automatycznej wprawdzie, lecz nieobliczalnie zacinającej się maszyny — to już nie ludzie, nie pozdrawia się ich, nie przeprosza, gdy się je szturchnie; gdy się je zawoła do jakiejś drobnej roboty, wykonują ją, by natychmiast powrócić do maszyny; skinieniem głowy wskazuje się im, co mają zrobić, stoją tam w halkach wydane na łaskę i niełaskę najniższej władzy i nie mają nawet tyle spokojnego rozsądku, aby władzę tę uznać spojrzeniem i ukłonem i zdobyć się na uległość. Ale gdy wybije szósta, i zawiadomią się o tym wzajemnie wołając, odwiążą sobie chustki z szyj i włosów, okurzą się szczotką, krążącą po całej sali, której żądają niecierpliwymi okrzykami; gdy naciągną spódnice przez głowy i umyją sobie ręce, o ile się da — to w końcu są przecież kobietami, umieją uśmiechać się pomimo bladej i zepsutych zębów, wstrząsają zeszywniałymi ciałami, nie można ich już popychać, gapić się na nie lub pomijać wzrokiem, człowiek przyciska się cło plugawych pak, aby dać im przejście, mnie kapelusz w garści, kiedy powiedzą dobry wieczór, i nie wie, jak to przyjąć, gdy któraś z nich poda mu zimowy płaszcz do wdziania.

8 lutego. Goethe: moja rozkosz tworzenia była bezgraniczna.

Stałem się bardziej nerwowo, słabszy i utraciłem sporą część spokoju, którym szczyciłem się przed laty. Kiedy dziś dostałem od Bauma kartkę z wiadomością, że mimo wszystko nie będzie mógł wygłosić przemówienia na wieczorze Żydów ze Wschodu, gdy więc musiałem pomyśleć, że przyjdzie mi zająć się tą sprawą, uległem całkowicie nieopanowanym drgawkom, jak małe ogniki skakało tętno żył wzdłuż mego ciała; gdy siedziałem, dygotały mi pod stołem kolana, a ręce musiałem zacisnąć jedna o drugą. Wygłoszę przecież dobry referat, to pewne, poza tym niepokój spotęgowany do ostatecznych granic ześrubuje mnie w ciągu samego występu tak mocno, że nawet dla niego nie znajdzie się miejsca, i wymowa wystrzeli ze mnie jak z lufy. Lecz możliwe jest także, iż potem oklapnę, a w każdym razie długo nie będę mógł tego przewyciężyć. Tak mało siły fizycznej! Nawet tych kilka słów dostało się na papier pod wpływem słabości.

Wczoraj wieczorem z Löwym u Bauma. Moje ożywienie. Löwy przetłumaczył niedawno dla Bauma lichą hebrajską opowieść *Oko*.

13 lutego. Zaczynam pisać tekst przemówienia na temat odczytów Löwego. Mam je wygłosić już w niedzielę, osiemnastego. Nie znajdę już wiele czasu na przygotowanie się, a przecież intonuję tu

recitativo, jak w operze. Tylko dlatego, bo już od wielu dni dławi mnie nie słabnące podniecenie i, czując się przed właściwym początkiem niemal samotny, chcę na swój własny jedynie użytek zanotować parę słów, aby dopiero potem rozruszawszy się trochę wystąpić przed publicznością. Zimno i gorąco oblewają mnie na przemian, w miarę jak zmieniają się słowa w zdaniu, tworzę w marzeniu wznoszącą się i opadającą intonację, wczytuję się w zdania Goethego, jak gdybym spływał całym ciałem po falach akcentów.

25 lutego. Poczynając od dziś kontynuować nieugięcie Dziennik! Pisać systematycznie! Nie poddawać się! Jeśli nawet nie nadejdzie wyzwolenie, chcę przecież w każdej chwili być jego godnym. Dzisiejszy wieczór spędziłem w zupełnym zobojętnieniu przy stole rodzinnym; prawą rękę oparłem na poręczy krzesła, na którym siedząc obok mnie, moja siostra grała w karty, a lewą rękę złożyłem bez przekonania na podolku. Próbowałem od czasu do czasu zdać sobie sprawę ze swego nieszczęścia, tylko z trudem udawało mi się to.

Od tak dawna nie napisałem niczego, gdyż dnia 18. 2. 1912 urządziłem w sali reprezentacyjnej żydowskiego ratusza prelekcję Löwyego z własnym krótkim referatem wstępnym na temat żargonu. Dwa tygodnie przeżyłem w utraپieniu, bo nie mogłem skleić tego odczytu. Wieczorem przed samym odczytem udało mi się to nagle.

Przygotowania do odczytu: konferencje ze związkim Bar-Kochba, ułożenie programu, bilety wstępu, sala, ponumerowanie miejsc, klucz do fortepianu (hala Toynbee), podwyższone podium, pianista, kostiumy, sprzedaż biletów, wzmianki w gazetach, cenzura policji i gminy wyznaniowej.

Lokale, w których byłem i ludzie, z którymi mówiłem lub do których pisałem. Na tematy ogólne: z Maksem, ze Schmerlerem, który mnie odwiedził, z Baumem, który najpierw podjął się referatu, potem od niego odstąpił; potem przerobiłem tegoż Bauma w toku przeznaczonego na ten cel wieczoru; nazajutrz on z kolei odmówił mi ponownie pocztówką pneumatyczną; z drem Hugonem Hermannem i z Leonem Hermannem w Café Arco, wielokrotnie z Robertem Weltschem w jego mieszkaniu; co do sprzedaży biletów z drem Bl. (fiasko), dr H., dr Fl., wizyta u panny P., referat w Afike Jehuda (rab. Ehrentreu o Jeremiaszu i jego epoce; podczas późniejszej towarzyskiej pogawędki krótka nieudana mówka o Löwym); u nauczyciela W. (potem w kawiarni, potem spacer, od dwunastej do pierwszej tkwił z żywotnością zwierza przed bramą mego domu i nie puszczał mnie do środka). W sprawie sali i dra Karola B., dwukrotnie w mieszkaniu na Heuwagsplatz; kilka razy u Ottona Picka Otto Pick, krytyk, później redaktor Prager Presse i w banku w sprawie klucza do fortepianu na koncert w Toynbee, rozmówka z panem R. i nauczycielem St., następnie w jego mieszkaniu w celu zabrania, a potem odniesienia klucza; w sprawie podium rozmówka z portierem w ratuszu i lokajem, w sprawie opłaty wizej w kancelarii ratusza (dwukrotna), w sprawie sprzedaży u pani Fr. na wystawie *Nakryty stół*. Napisałem do panny T., do niejakiego Ottona Kl. (bez skutku), dla Tagblattu (bez skutku), do Löwyego („nie zdobędę się na wygłoszenie odczytu, ratuj mnie pan!”).

Emocje: z powodu odczytu jedna noc duszna i bezsenna, przewracałem się w łóżku, nienawiść do dra B., strach przed Weltschem (on nie potrafi niczego sprzedać), Afike Jehuda, w gazetach pojawiają się wzmianki nie takie, jakich oczekiwano; roztargnienie w biurze, podium jak nie ma, tak nie ma, sprzedaż idzie licho, kolor biletów irytuje mnie, odczyt trzeba będzie przerwać, bo pianista zapomniał nut w domu, w Kosyrze, w stosunku do Löwyego często obojętność, niemal wstręt.

Korzyści: radość z Löwyego i zaufanie doń, dumny nieziemski stan świadomości podczas mego odczytu (chłód względem publiczności, jedynie brak wprawy krępuje we mnie swobodę entuzjastycznego gestu), mocny głos, sprawna bez wysiłku pamięć, uznanie; ponadto wszystko jednak siła, z jaką donośnie, nieustępliwie stanowczo, bez zająknienia, niepowstrzymanie, z jasnym wzrokiem i prawie od niechcienia miażdżącą bezczelnością trzech fagasów ratuszowych i dają im zamiast żądanych dwunastu koron tylko sześć, a i to jeszcze gestem wielkiego pana. Oto dobywają się na wierzch siły, którym powierzyłbym się chętnie, gdyby chciały trwać. (Moich rodziców nie było tam!)

Poza tym: Akademia Związku im. Herdera na Wyspie Zofii. Bie Bie Oscar (ur. 1864) — eseista, znawca sztuki i muzykolog, wydawca Neue Rundschau

wsuwa na początku przemówienia rękę w kieszeń u spodni. Ach, te pomimo wszelkich złudzeń zadowolone twarze ludzi pracujących tak, jak im się podoba. Hofmannsthal czyta z fałszywą nutą w głosie. Nabita postać, poczynając od przypłaszczonych do czaszki uszu. Wiesenthal. Piękne momenty taneczne, ich przyrodzona ciężkość przejawia się na przykład w opadaniu ciała na ziemię.

Wrażenie, jakie sprawia hala Toynbee.

Zebranie syjonistów. Blumenfeld. Sekretarz światowej organizacji syjonistycznej.

W mojej analitycznej świadomości wystąpiła ostatnio nowa krzepiąca siła, którą właśnie teraz i dopiero teraz mogę stwierdzić, bo w ciągu ubiegłego tygodnia po prostu rozlażiłem się ze smutku i bezużyteczności.

Zmienna gra uczuć pośród młodych ludzi w Café Arco.

26 lutego. Lepsze samopoczucie. Tętno bliższe upragnionego. Nade mną syk lamp gazowych.

Otworzyłem drzwi, aby zobaczyć, czy pogoda zachęca do przechadzki. Niebo błękitne bezsprzecznie, ale wielkie chmury szare i kłapouche z przebijającym przez nie szafirem wlokły się nisko, co można było sprawdzić po widoku bliskich zalesionych wzgórz. Mimo to ulica pełna była ludzi, którzy wylegli na spacer. Mocne ręce matek kierowały wózkami dziecinnymi. Tu i ówdzie utknął w tłoku jakiś pojazd i czekał, aż przed stojącymi dęba i przysiadającymi końmi rozstąpią się ludzie. Tymczasem woźnica trzymający spokojnie drgające lejce patrzył prosto przed siebie, nie przeoczał żadnej drobnostki i badał wszystko po kilka razy, aby w odpowiedniej chwili nadać wehikułowi decydujący bodziec. Dzieci mogły sobie biegać, chociaż miejsca było skąpo. Dziewczęta w lekkich sukniach i kapeluszach, o kolorach tak jaskrawych jak znaczki pocztowe, szły pod rękę z chłopcami, melodia przytłumiona w „ich gardłach ujawniała, się w tanecznym kroku ich nóg. Rodziny trzymały się w zwartym szyku, a choć musiały raz i drugi rozproszyć się w długi szereg, przecież łatwo odnajdywały się wyciągnięte w tył ramiona, ręce dające znak skinieniem, wykrzykiwania zdrobniałych pieszczotliwie imion, aby połączyć się ze swymi zgubami. Osamotnieni mężczyźni starali się odgradzić jeszcze bardziej wsuwając ręce w kieszenie. O! dziecinnie głupi sposób. Stałem z początku w bramie, potem oparłem się, by gapić się wygodniej.

Muskały mnie suknie, raz pochwyciłem wstążkę, która przystrajała od tyłu kostium dziewczyny i pozwoliłem, aby oddalająca się postać wyciągnęła mi ją z dłoni; a gdy znowu pogłaskałem po łopatce jakąś dziewczynę, tak sobie, aby jej pochlebić, następny przechodzień dał mi klapsa po palcach. Wtedy ja wciągnąłem go za zamknięte skrzydło bramy, moje wyrzuty przybrały kształt podniesionych rąk, spojrzeń spod oka, krok ku niemu, krok od niego w tył, był szczęśliwy, kiedym go wypuścił na wolność kosztem jednego szturchańca. Jasna rzecz, że od tej chwili wabiłem wiele razy ludzi ku sobie, wystarczało kiwnięcie palcem albo szybki, nie ociągający się nigdy błysk oka.

W jakiejże nie silącej się na trud senności napisałem tę niepotrzebną, nie wygładzoną rzecz.

Napiszę dziś do Löwyego. Listy do niego zapisuję tutaj, bo spodziewam się coś nimi wykołatać. Drogi przyjacielu

27 lutego. Brak mi czasu na dwukrotne pisanie listów.

Wczoraj o godzinie dziesiątej wlokłem się swym smutnym krokiem w dół ulicy Namionników. W pobliżu sklepu z kapeluszami Hessa przystaje na trzy kroki przede mną na ukos jakiś młody człowiek, zmusza mnie przez to również do przystąpienia, ściąga kapelusz z głowy i podbiega do mnie. Pierwszym odruchem lęku cofam się, myślę najpierw, że ów ktoś chce zapytać o drogę na dworzec kolejowy, ale czemu w ten sposób? Potem wydaje mi się, gdy tak intymnie blisko na mnie wchodzi, i od dołu zagląda mi w twarz, bom wyższy: może chce pieniędzy lub jest to coś gorszego jeszcze. Moje chaotyczne słuchanie miesza się z jego chaotycznym gadaniem. — Pan prawnik, prawda? Doktor? Proszę pana, czy pan mógłby mi udzielić porady? Mam właśnie sprawę, do której trzeba mi adwokata. — Z ostrożności, podejrzewając go od stóp do głów, i w obawie, że mógłbym się zblamować, wypieram się tego, że jestem prawnikiem, oświadczam jednak gotowość udzielenia mu rady. — O cóż więc chodzi? — Zaczyna opowiadać, interesuje mnie to; aby wzbudzić jego zaufanie, proponuję mu, by opowiadał mi raczej idąc, chce towarzyszyć mi, nie, ja wolę pójść z nim, idę bez określonego celu.

Jest dobrym recytatorem, dawniej nie był ani trochę tak dobry jak teraz, teraz umie już podrabiać Kainza Kainz Joseph (1858—1910), znakomity aktor austriacki i recytator. tak, że nikt ich obu nie odróżni. Powiedziałby ktoś, że on go tylko naśladuje, ale on daje także wiele z siebie. Drobnym wprawdzie jest, ale mimikę, pamięć, prezencję to on ma, ma wszystko, wszystko. W czasie służby wojskowej daleko stąd, w Milowicach w obozie, to on recytował, jeden z kamratów śpiewał, bawili się naprawdę świetnie. Piękne to były czasy. Recytować najbardziej lubi Dehmela, te namiętne frywolne wierszyki, na przykład o narzeczonej, która sobie wyobraża noc poślubną; jak taką rzecz recytuje, to robi to, szczególnie na dziewczętach, kolosalne wrażenie. No, ale to samo przez się już się rozumie. Ma Dehmela bardzo

pięknie oprawnego w czerwoną skórę. (Ruchami rąk z góry na dół opisuje go.) No, ale o oprawę nie chodzi przecież. Prócz tego recytuje bardzo chętnie Rideamusa pseudonim pisarza Fritza Ölivena (ur. 1874), autora ko-medii wierszem i tekstów do operetek. Nie, te dwie rzeczy nie kłócą się ze sobą, on już będzie pośrednikiem, wtrąci w międzyczasie swoje słowo, jakie mu przyjdzie na myśl, on publiczność wystrychnie na dudka. A poza tym ma w swoim programie jeszcze Prometeusza. No, tu nie miał strachu przed nikim, nawet przed Moissim Moissi Alexander (1880—1935), aktor niemiecki włoskiego pochodzenia, należący do najbardziej popularnych odtwórców wielkich ról w teatrze niemieckim, Moissi pije, on nie. Na koniec bardzo chętnie czyta głośno coś ze Swet Martena; to taki nowy północny pisarz. Doskonały. Takie epigramy i małe sentencje. Zwłaszcza sentencje o Napoleonie są wyborne, ale także wszystkie inne o innych wielkich ludziach. Nie, żadnej z nich nie potrafi jeszcze zarecytować, jeszcze tego nie opracował, nawet nie przeczytał dokładnie, tylko niedawno jego ciotka czytała mu to głośno, no i właśnie to tak bardzo mu się spodobało.

Z tym więc programem postanowił wystąpić publicznie, i zaproponował swe usługi instytucji *Postęp Kobięcy* w celu urządzenia wieczoru recytacyjnego. Właśnie chciał jako punkt pierwszy odczytać *Dworską bajkę* tej sławnej Lagerlöf, toteż wypożyczył tę opowieść prezesse Postępu Kobięcego, pani Durege-Wodnanski, do przeglądu. Powiedziała, że ta opowieść jest niewątpliwie piękna, ale za długa jako przedmiot prelekcji. Uznał słuszność tego, była istotnie za długa, zwłaszcza że na projektowanym wieczorze recytacyjnym miał jeszcze grać na fortepianie jego brat. A ten brat mający lat dwadzieścia jeden to bardzo miły chłopiec, jest wirtuozem, przez dwa lata (już cztery lata temu) chodził do wyższej szkoły muzycznej w Berlinie. Cóż, kiedy wrócił stamtąd całkiem zepsuty. Zepsuty właściwie nie był, tylko pani, u której się stołował, zakochała się w nim. Opowiadał potem, że był często zbyt zmęczony na to, aby grać, bo ciągle musiał ujeżdżać tę żywnościową paczkę.

Ponieważ więc ta historia z majątkiem ziemskim nie nadawała się, zgoda, niech będzie inny program: Dehmel, Rideamus, Prometeusz i Swet Marten. Ale żeby tej pani Durege zawczasu pokazać, kim on właściwie jest, przyniósł jej rękopis eseju pt. *Radość życia*, napisanego w tym roku, *W lecie*. Napisał go na letnisku, stenografował za dnia, wieczorem przepisywał na czysto i cyzelował i kreślił, ale prawdę mówiąc, roboty miał niewiele, bo esej udał mu się od razu. Jeżeli zechcę, pożycz mi go, chociaż jest napisany popularnie, umyślnie tak, ale są tam dobre myśli, no i jest wygładzone, jak to się mówi. (Chytry śmiech, zadarta w górę broda.) Ale mogę przekartkować to sobie tutaj w świetle elektrycznej lampy. (To jest apel do młodzieży, aby nie była smutna, bo przecież jest na świecie przyroda, wolność, Goethe, Schiller, Shakespeare, są kwiaty, są owady itd.) Ta Durége powiedziała, że właśnie teraz nie ma czasu, aby przeczytać, ale mógłby jej to przecież pożyczyć, odda mu za kilka dni. Ale on już coś podejrzewał i nie chciał tam tego zostawić, wzbraniał się, mówił na przykład: „Patrz pani tylko, pani Durége, dlaczego ja miałbym to tu zostawić, przecież to są tylko banalne drobnostki, chociaż dobrze napisane, ale...” Na nic to wszystko, musiał zostawić. To stało się w piątek.

28 lutego. W niedzielę rano przy myciu błyska mu w głowie myśl, że nie przeczytał jeszcze Tagblattu. Otwiera gazetę, przypadkiem właśnie na pierwszej stronie dodatek literacki. Tytuł pierwszego artykułu *Dziecko* jako twórca wpada mu w oczy, czyta pierwsze linie — i z radości zaczyna płakać. To jego esej, słowo w słowo jego esej. A więc po raz pierwszy wydrukowano coś, biegnie do matki i opowiada. Ta radość! Staruszka chora na cukrzycę, rozwiedziona z ojcem, choć prawo jest po jego stronie — ona taka dumna. Przecież jeden syn jest już wirtuozem, a teraz drugi zostaje pisarzem! No, ale po pierwszym rozczuleniu zaczyna zastanawiać się nad tą sprawą. Bo jak ten esej dostał się do gazety? Bez jego zgody? Bez nazwiska autora? Bez wypłaty honorarium? Toż to jest nadużycie zaufania, oszustwo. Ta pani Durege to przecież diabeł. A kobiety nie mają w ogóle duszy, jak twierdzi Mahomet (w wielu wersjach). Można sobie łatwo wyobrazić, jak do tego plagiatu doszło. Więc znalazł się piękny esej, gdzież to znaleźć na poczekaniu coś takiego. Więc pani D. poszła do Tagblattu i pokumała się z którymś redaktorem, oboje nie posiadają się z radości, zaraz zaczęli przeróbkę. Przecież „przerobić” esej trzeba było koniecznie, bo po pierwsze nie można było ryzykować, że ktoś pozna plagiat na pierwszy rzut oka, a po drugie trzydziestodwustronicowy esej był dla gazety za długi.

Na moje pytanie, czy nie zechciałby wskazać mi takich miejsc, które się pokrywają treściowo, ponieważ to interesowałoby mnie szczególnie, i dopiero wtedy mógłbym mu udzielić rady co do jego postępowania, zaczyna czytać swój esej, otwiera go w innym miejscu, kartkuje nie znajdując, czego szukał, wreszcie mówi, że odwalone jest wszystko. Ot, na przykład w gazecie figuruje zdanie, że: *dusza dziecka jest nie zapisaną kartą*, i „nie zapisana karta” jest także, o, tu, w jego esej. Albo też wyrazy „imiennie wymieniony” są także odpisane, bo gdzie by tam komu przyszło na myśl „imiennie wymieniony”. Jednak poszczególnych miejsc nie potrafi porównać. Wprawdzie odpisane jest wszystko, ale jest tak zamaskowane, ujęte w inny szyk zdań, skrócone i upstrzone małymi, obcymi dodatkami.



Czytam głośno kilka ustępów gazety bardziej zwracających uwagę.

— Czy to tutaj jest także w eseju? Nie. A to? Nie. A to? Nie.

— No tak, ale to są właśnie ustępy wsadzone od zewnątrz. Wewnątrz odpisane jest wszystko, wszystko.

— Ale dowód na to będzie, obawiam się, trudny.

Już on to jakoś udowodni przy pomocy zręcznego adwokata, po to są przecież adwokaci na świecie.

(Uważa ten dowód za zupełnie nowe wobec całej sprawy, całkowicie odrębne zadanie i jest dumny, ponieważ dowierza sobie dostatecznie, aby temu zadaniu podołać.)

Że to jest jego esej, widać zresztą już choćby stąd, że wydrukowano go w ciągu dwu dni.

Zazwyczaj trwa to, jak wiadomo, przynajmniej sześć tygodni, zanim przyjęta rzecz dostanie się do druku. W tym jednak wypadku był oczywiście wskazany pośpiech, aby on nie przeszkodził. Dlatego wystarczyły dwa dni.

A dalej artykuł w gazecie zatytułowano Dziecko jako twórca. Ma to wyraźny związek z nim samym i poza tym jest złośliwym prztyczkiem. Słowo „dziecko” mianowicie znaczy tyle, co on sam, bo przedtem uważano go za „dziecko!”, za „głuptaska” (wprawdzie on był nim tylko w czasie służby wojskowej, a służył półtora roku), a teraz oni chcą przez ten tytuł stwierdzić, że on będąc dzieckiem, stworzył coś tak dobrego jak ten esej, że więc popisał się wprawdzie jako twórca, równocześnie jednak został nadal głuptaskiem i dzieckiem, skoro dał się tak oszukać. Przez „dziecko”, o którym mowa w ustępie pierwszym, rozumiano pewną kuzynkę ze wsi mieszkającą teraz u jego matki.

Charakter plagiatu znajduje jednak szczegółową siłę dowodową w pewnej okoliczności, którą zresztą stwierdził dopiero po dłuższym badaniu: Dziecko jako twórca pojawia się na pierwszej stronie dodatku literackiego, za to na stronie trzeciej jest sobie krótka nowela niejakiej „Feldstein”. Widać na pierwszy rzut oka, że nazwisko to jest pseudonimem. Otóż nie trzeba czytać całej tej noweli, wystarczy rzucić okiem na parę pierwszych linii i wiadomo natychmiast, że to jest ta właśnie Lagerlöf bezwstydnie podrobiona. Cała nowela Upewnia o tym jeszcze dobitniej. Co to znaczy? To znaczy, że ta jakaś Feldstein, czy jak jej tam, jest kreaturą tej znowu Durege, że przeczytała u niej Dworską bajkę, którą on zdeponował; że dalej wykorzystwała tę lekturę do napisania tej noweli, że więc eksploatują go obie te baby, pierwsza na pierwszej, druga na trzeciej stronie dodatku literackiego. Naturalnie, wolno każdemu również w ramach inicjatywy własnej tę znaną Lagerlöf czytać i naśladować, ale tutaj aż nadto bije przecież w oczy jego wpływ.

(Przewraca kilka razy tę jedną stronę w lewo i w prawo.)

W poniedziałek w południe, zaraz po zamknięciu banku, poszedł oczywiście do pani Durege.

Uchyła drzwi mieszkania ledwie na szparkę, jest przerażona od stóp do głów:

„Ależ, panie Reichmann, dlaczego przychodzi pan W południe? Mój mąż śpi. Nie mogę teraz pana wpuścić”. „Pani Durege, pani musi bezwarunkowo mnie wpuścić. Chodzi o ważną sprawę.” — Ona widzi, że mówię serio i wpuszcza mnie. Męża z pewnością nie ma w domu. W pokoju przyległym widzę na stole swój rękopis i w tej chwili wiem już, o co chodzi. „Pani Durege, coś pani zrobiła z moim rękopisem? Dała go pani bez mego upoważnienia do Tagblattu. Ile pani dostała jako honorarium?” — Ona dygoce, ona nic nie wie, nie ma pojęcia, jak to mogło dostać się do gazety. „J'accuse <sup>oskarzam</sup> pani Durege” — powiedziałem niby żartem, ale przecież tak, aby zmiarkowała, co ja naprawdę myślę i te słowa: „J'accuse, pani Durege”, powtarzam przez cały czas będąc tam, żeby sobie zapamiętała i mówię to jeszcze wiele razy w drzwiach przy pożegnaniu. Oho! już ja dobrze rozumiem jej przerażenie. Jeżeli to opublikuję albo ją zaskarżę, straci grunt pod nogami, musi wylecieć z Postępu Kobiecego itd.

Prosto od niej idę do redakcji Tagblattu i każę wywołać redaktora Löwa. Wychodzi, rzecz jasna całkiem błądy, ledwie powłóczy nogami. Mimo to nie chcę od razu szarżować ze swoją sprawą, bo wolę go najpierw wy badać. Pytam go więc: „Panie Löw, czyś pan syjonista?” (Bo wiem, że był syjonistą.) „Nie” — mówi. To mi wystarcza, a więc tak, on musi się przede mną maskować. No to ja teraz pytam o artykuł. Znowu niepewne gadanie. Nie wie nic, z dodatkiem literackim nie ma nic do czynienia, zawoła, jeśli sobie tego życzę, odnośnego redaktora. „Panie Wittmann, chodź no pan tutaj” — woła zadowolony, że może sam odejść. Przychodzi Wittmann znowu całkiem błądy. Pytam: „Pan jesteś redaktorem dodatku literackiego?” Na to on: „Tak”. Mówię tylko: „J'accuse” i odchodzę. Z banku dzwonię natychmiast do Bohemii. Chcę przekazać jej tę sprawę do opublikowania. Nie mogę jednak uzyskać właściwego połączenia. Pan wie, dlaczego? Jasna rzecz, redakcja Tagblattu jest blisko Poczty Głównej, więc ci z Tagblattu mogą łatwo opanować połączenie, jak im się spodoba, przerywać je i przywracać. I rzeczywiście słyszę w telefonie jednostajne niewyraźne poszeptywanie, oczywiście redaktorów Tagblattu. Już oni mają swój wielki interes w tym, aby nie dopuścić do telefonicznego połączenia. Aż tu słyszę (naturalnie całkiem niewyraźnie), jak jedni namawiają tę pannę, żeby nie łączyła, podczas gdy inni są już połączeni z Bohemią i chcą ją powstrzymać od przyjęcia mojej

sprawy. „Panienko — krzyczę do telefonu — jeżeli mnie pani zaraz teraz natychmiast nie połączy, wniosę zażalenie do dyrekcji poczty.” Koledzy z banku dokoła mnie śmieją się słysząc, że tak energicznie rozmawiam z telefonistką. Nareszcie mam połączenie. „Proszę zawołać redaktora Kischa. Mam dla Bohemii doniesienie najwyższej wagi. Jeśli nie przyjmie go, odstąpię je bez zwłoki innej gazecie. Ostatnia chwila.” Ale ponieważ Kischa nie ma tam, przedzwaniam, nie zdradzając, o co chodzi.

Wieczorem idę do Bohemii i każę wywołać redaktora Kischa. Opowiadam mu całą historię, ale on nie chce jej opublikować. Bohemia — powiada — nie może czegoś takiego zrobić, byłoby to skandalem, a na skandal nie możemy się porwać, bo jesteśmy zależni. Daj to pan jakiemuś adwokatowi, tak będzie najlepiej.

— No i jak wracałem z Bohemii, natknąłem się na pana, więc pytam o radę.

— Radzę panu załagodzić sprawę po dobroci.

— Myślałem sobie także, że tak byłoby lepiej. Przecież ona jest kobietą. Kobiety nie mają duszy — mówi Mahomet. I słusznie. Przebaczyć, to byłoby także bardziej po ludzku, bardziej po goethowsku.

— Pewnie. I wtedy nie musi pan również rezygnować z wieczoru recytatorskiego, który przepadłby w innym wypadku.

— To co teraz mam robić?

— Jutro pójdzie pan tam i powie, że jeszcze ten jeden raz jest pan skłonny uznać wpływ nieświadomy.

— Wyśmienicie. Tak też postąpię naprawdę.

— Z tego powodu nie musi pan jeszcze wyrzekać się zemsty. Da pan po prostu wydrukować esej gdzie indziej i pośle go potem pani Durège z piękną dedykacją.

— To będzie najlepsza kara. Dam to do druku w *Deutsches Abendblatt*. Tam mi przyjmą, nie ma obawy. Nie zażadam po prostu wynagrodzenia.

Rozmawiamy następnie o jego talencie aktorskim. Wyrażam przekonanie, że powinien mimo wszystko kształcić się u kogoś.

— Tak, co do tego ma pan rację. Ale u kogo? Może pan wie, gdzie się tego można uczyć?

Na to ja:

— To trudna sprawa. Nie orientuję się w tym zupełnie.

On:

— Nie szkodzi. Zapytam Kischa. On jest dziennikarzem i ma stąd wiele znajomości. On mi już dobrze doradzi. Łatwa rzecz, zatelefonuję do niego, oszczędzę jemu i sobie drogi i dowiem się wszystkiego.

— A z panią Durège postąpi pan tak, jak panu radziłem?

— Tak, tylko zapomniałem już, jak pan mi radził?

Powtarzam swą radę.

— Dobrze, zrobię tak.

Idzie do Café Corso, ja wracam do domu, wynosząc stąd doświadczenie, jak orzeźwiająca jest rozmowa z kompletnym idiotą. Prawie nie śmiałem się, byłem tylko doskonale otrzeźwiony.

Żalotne, tylko na szyldach firmowych używane słowo *vormals*.

2 marca. Któż potwierdzi mi prawdziwość lub prawdopodobieństwo faktu, że tylko wskutek swego literackiego przeznaczenia jestem dla całej reszty świata obojętny, a wskutek tego bez serca.

3 marca. Dzień 28 lutego u Moissiego. Widok przeciwny naturze. Siedzi niby to spokojnie, trzyma, o ile sytuacja na to pozwala, ręce złożone między kolanami, oczy utkwil w książce leżącej przed nim swobodnie i roztacza nad nami falę swego głosu, dysząc jak człowiek, który biegnie. Dobra akustyka sali. Ani jedno słowo nie zatracza się lub nie odbija choćby tylko powrotnym tchnieniem, lecz cała masa dźwięków narasta stopniowo, jak gdyby ciągle działał bezpośrednio głos od dawna już aktywny w innym rejestrze — potęguje się zgodnie z danym sobie impulsem i zamyka nas w sobie. Dostrzega się tutaj możliwości własnego głosu. Podobnie jak sala dla głosu Moissiego — pracuje jego głos dla naszych głosów. Bezwstydne chwytły i niespodzianki, przy których trzeba zniżyć wzrok ku ziemi i których nie popełniłoby się nigdy samemu: śpiewanie poszczególnych wierszy utworu zaraz na wstępie, na przykład: „śpij, Miriam, dziecię me”; błaganie się głosu po liniach melodii; nagle wybuchy pieśni majowej, a zdaje się, że to tylko koniec języka wetknięty jest między słowa; oddzielanie słów „listopadowy wiatr”, aby słowo „wiatr” móc zepchnąć w dół i następnie gwizdnąć je w górę. Gdy się spojrzy na sufit sali, wiersze unoszą człowieka w górę.

Wiersze Goethego są dla recytatora niedosiężne, toteż trudno mimo wszystko wytknąć jakikolwiek

błąd w tej recytacji, bo przecież każda recytacja przybliży się zmusznie do celu. Wielki efekt, gdy deklamując na bis Shakespearea Pieśń deszczowa stał prosto, nie zaglądając do tekstu, rozkładał i związał oburącz chustkę do nosa i błyskał oczyma. Okrągłe policzki, a jednak twarz kanciasta. Miękkie włosy raz po raz głaskane miękkimi ruchami ręki. Entuzjastyczne recenzje, jakie się o nim czytało, są w naszym mniemaniu korzystne dla niego tylko do chwili, gdy słyszymy go po raz pierwszy; potem Moissi wikła się w nich i nie może już wywołać czystego wrażenia.

Maniera recytowania w pozycji siedzącej z książką przed sobą przypomina trochę brzuchomówstwo. Artysta, pozornie nie biorąc udziału w produkcji, siedzi sobie jak my wszyscy, pochylił głowę, tak że za ledwie niekiedy widzimy drgnienia jego ust, i zamiast mówić sam, każe mówić wierszom nad swoją głową. Mimo że tyle przebrzmiało melodii, a głos zdawał się słuchać steru jak lekka łódka na wodzie — nie można było właściwie dosłyszeć melodii wierszy. Niektóre słowa głos ten rozpuszczał w sobie albo ujmował je tak subtelnie, że wlatywały, traciły już wszelką wspólnotę z głosem ludzkim, aż głos zmuszony wymówił jakąś ostrą spółgłoskę i kończąc uziemiał słowo.

Potem przechadzka z Ottłą, panną Taussig, z państwem Baum i z Pickiem wzdłuż mostu Elżbiety, Quai, Mała Strana, potem Radetzkycafe, mostu Kamionego, ulicy Karola. Miałem jeszcze jakie takie widoki na dobry humor, tak że raczej niewiele można było mi wytknąć.

5 marca. Ach, ci oburzający lekarze! Zawodowo stanowczy, a w leczeniu tacy ignoranci, że gdyby opuściła ich ta zawodowa stanowczość, toby przed łóżkami chorych stali bezradnie jak sztabacy. Ach, gdybym zdobył się na tyle siły, aby założyć towarzystwo przyrodolecznicze! Rozdrapując ucho niej siostry, dr K. robi z zapalenia błony bębenkowej zapalenie ucha wewnętrznego; pokojówka przy paleniu w piecu przewraca się, doktor orzeka z tą błyskawiczością diagnozy, jaką jaśniej w odniesieniu do pokojówek, że to symptom zepsutego żołądka i uderzenia krwi do głowy, wobec czego nazajutrz dziewczyna kładzie się znów do łóżka, ma wysoką gorączkę, doktor obraca ją w lewo i w prawo, konstatuje anginę i czmycha co prędzej, ażeby mu najbliższa chwila nie zadała kłamu. Ośmiela się nawet mówić o „oburzająco silnych reakcjach tej dziewczyny”, w czym jest tyle prawdy, że przywykł do takich ludzi, których stan fizyczny godny jest jego umiejętności leczenia, bo ona właśnie go wywołała, że czuje się głębiej jeszcze, niż to sam sobie uświadamia, obrażony odporną naturą tej wiejskiej dziewczyny.

Wczoraj u Bauma. Odczytywano utwór *Demon*. Na ogół przykre wrażenie. Dobrze, wysubtelnione usposobienie dopóki szedłem na górę do Bauma, na górze natychmiastowa depresja, zakłopotanie wobec dziecka.

Niedziela: w Continentalu przy karcierzach. Przedtem Dziennikarze z Kramerem, półtora aktu. U Bolza widać wiele wymuszonego humoru, z którego zresztą wykwiła także i odrobina prawdziwej, subtelnej wesołości. Przed teatrem w czasie przerwy po drugim akcie spotkałem pannę Taussig. Pobiegiłem do garderoby, powróciłem z rozwianym płaszczem i odprowadziłem ją do domu.

8 marca. Przedwczoraj robiono mi wyrzuty z powodu fabryki. Potem przez godzinę na kanapie myślałem o wyskoczeniu z okna.

Wczoraj odczyt **Hardena** o teatrze. Harden Maximilian (Witkowski), (1861—1927), początkowo aktor, później pisarz i eseista. Odgrywał również wybitną rolę W życiu politycznym Niemiec, założyciel czasopisma politycznego *Die Zukunft*.

Bezsprzecznie improwizowany od początku do końca; byłem nieźle usposobiony i dlatego też nie sprawił na mnie wrażenia takiej pustki, jak na innych słuchaczach. Dobry wstęp: „O tej godzinie, w której zebraliśmy się tu, aby dyskutować o teatrze, we wszystkich teatrach Europy i wszystkich innych części świata rozsuwa się kurtyna, odsłaniając przed publicznością scenę”. Żarówką osadzoną ruchomo na postumencie na wysokości piersi oświetla gors swej koszuli, całkiem jak na wystawie sklepu z bielizną, i poruszając tę żarówkę wprowadza w toku odczytu zmiany w oświetleniu. Taniec na czubkach palców, aby przydać sobie wzrostu i natężyć talent improwizatorski. Opięte spodnie nawet w rejonie rozporka. Napięty jak na lalce kusy frak. Skupiana, prawie poważna twarz, podobna raz do starej damy, raz do Napoleona. Coraz bledsze zabarwienie czoła jak przy peruce. Prawdopodobnie w gorsecie.

Przeczytałem parę dawnych rękopisów. Trzeba zebrać wszystkie siły, aby wytrzymać. Nieszczęście, jakie musi się znosić, gdy przerywa się samemu sobie w pracy, która może zawsze udać się tylko w całości — a tak dotychczas było ze mną zawsze — to nieszczęście musi się przecierpieć czytając, jeśli nie tak mocno jak dawniej, to w formie tym bardziej skondensowanej.

Dzisiaj w kąpielni wydawało mi się, że czuję dawne siły, jakby nie naruszyła ich długa przerwa.

10 marca. Niedziela. Uwiódł dziewczynę w jakiejś małej miejscowości w Górach Izerskich, gdzie przebył całe lato, aby wyleczyć swe zaatakowane płuca. W sposób niezrozumiały, tak jak to chorzy na płuca stają się nieraz niezrozumiali, przewrócił dziewczynę — córkę swego gospodarza, która wieczorem po pracy lubiła chodzić z nim na przechadzkę — po krótkiej próbie namowy, na trawę u brzegu rzeki i posiadał leżącą w omdleniu wywołanym przestraczem. Potem musiał w zagłębieniach dłoni nosić wodę z rzeki i przyskać ją na twarz dziewczyny, aby zemdloną przywrócić do życia. „Juleczko, ależ Juleczko” — powtarzał niezliczone razy pochylony nad nią. Był gotów wziąć na siebie wszelką odpowiedzialność za swój występki i o jedno tylko starał się z wysiłkiem, by uprzytomnić sobie całą powagę swego położenia. Bez zastanowienia się nie zdołałby zdać sobie z tego sprawy. Leżąca przed nim prosta dziewczyna, która odzyskała już równomierny oddech i tylko ze strachu i zakłopotania trzymała jeszcze oczy zamknięte, nie mogła mu sprawić żadnych trosk; jemu, roslemu, mocnemu mężczyźnie było przecież łatwo zepchnąć ją na bok końcem buta. Była słaba i niepokązna; czyż to, co się jej stało, mogło zachować jakiegokolwiek konkretne znaczenie choćby tylko do jutra? Czy każdy człowiek, który porównał z sobą ich dwoje, nie musiałby wydać takiego właśnie wyroku? Rzeka rozlewała się zaciśnie wśród łąk i pól aż po odleglejsze od nich góry. Światło słoneczne jaśniało już tylko na pochyłości drugiego brzegu. Ostatnie chmury wlokły się pasmem pod czystym niebem wieczornym.

Precz, precz. W ten sposób stwarzam w sobie upiory. Udział mój, zresztą tylko słaby, ogranicza się ledwie do zdania „Potem musiał...”, przede wszystkim do słowa „pryskać”. Zdawało mi się przez chwilę, że w opisie krajobrazu osiągnąłem pewną trafność widzenia.

Tak opuszczona przeze mnie, przez wszystko. Zgiełk w sąsiednim pokoju.

11 marca. Wczoraj nie do zniesienia. Dlaczego wszyscy nie biorą udziału w kolacji? Przecież byłoby tak pięknie.

Nazajutrz po naszej rozmowie recytator Reichmann dostał się do domu obłąkanych.

Wiele starych, wstrętnych papierów spaliłem dzisiaj.

12 marca. W przejeżdżającym obok tramwaju siedział w kącie, przyłożywszy policzek do szyby, z lewym ramieniem wyciągniętym wzdłuż poręczy, młody człowiek w rozchylonym, rozdymającym się wokół niego płaszczu i rzucał obserwujące spojrzenia na długą pustą ławkę. Zaręczył się dzisiaj i nie myślał o niczym innym. Czuł się szczęśliwy w sytuacji narzeczonego i z tym uczuciem spoglądał od czasu do czasu przelotnie na sufit wagonu. Gdy zbliżył się konduktor, aby dać mu bilet, po chwilowym pobrzękiwaniu znalazł łatwo właściwą monetę, położył ją z rozmachem na dłoni konduktora i pochwycił bilet w dwa palce jak w rozwarłe nożyce. Nie było żadnego konkretnego związku pomiędzy nim a tramwajem i nie stałby się wcale cud, gdyby omijając platformę i stopnie, pojawił się na ulicy i szedł swą drogą pieszo, rzucając takie same spojrzenia.

Tylko rozdymający się płaszcz odpowiada prawdzie, cała reszta jest zmyślona.

16 marca. Sobota. Znowu ochota do życia. Znowu chwytam sam siebie, jak się chwytą w locie spadające piłki. Jutro lub nawet dzisiaj rozpocznę większą pracę, która powinna rozwijać się swobodnie w zależności od moich uzdolnień. Nie oderwę się od niej, dopóki tylko będę mógł. Lepsza bezsenność niż takie życie z dnia na dzień.

Kabaret Lucerna. Kilku młodych ludzi śpiewa, każdy jedną pieśń. Gdy się słucha tego w rześkim nastroju, taka produkcja utrwała lepiej w pamięci nasuwane przez tekst wnioski co do naszego życia, niżby to mógł sprawić występ wprawnych śpiewaków. Bo śpiewak nie potęguje wcale siły wierszy, zachowują one swą samodzielność, tyranizując nas razem ze śpiewakiem, który nie ma nawet lakierków, a jego ręka nie umie nawet oderwać się od kolana, a jeśli musi to uczynić, przejawia jeszcze względem tego własną niechęć; rzuca się możliwie prędko na ławkę, aby w miarę możliwości zataić mnóstwo drobnych, niezgrabnych gestów, wynikających z tego ruchu.

Wiosenna scena miłosna w stylu widowówek. Wiecznie wzruszający i zawstydzający publiczność spektakl. — Fatinitza. Wiedeńska śpiewaczka. Słodki, pełen treści śmiech. Przypomina mi Hansi. Twarzyczka o niepokąźnych, nawet na ogół zbyt ostrych poszczególnych rysach, scalona i

wygładzona śmiechem. Nie wykorzystana władza nad publicznością, którą musi się jej przyznać, kiedy tak stoi przy rampie i śmieje się do obojętnej publiki. Głupkowaty taniec szpad pośrodku bujących błędnych ogników, gałęzi, motyli, bibułkowych płomieni, nawet z trupią czaszką. Cztery *rocking girls* <sup>chórystki</sup>. Jedna z nich prześliczna. Żaden afisz teatralny nie podaje jej imienia. Była ostatnią po prawej stronie od widowni. Z jakim przejściem wyrzucała w górę ramiona; jakim dziwnie wyczuwalnym, choć bezszelestnym ruchem igraty jej smukłe długie nogi i wiotkie tańczące kosteczki, jak wypadła z tempa, jak żaden przestrach nie zdołał wytrącić jej z zapamiętania; jakże łagodny miała uśmiech w przeciwieństwie do szpetnych grymasów reszty; jak twarz jej i włosy dziwiły niemal przepychem w porównaniu ze szczupłością ciała, jak również w imieniu swych partnerek wołała do muzykantów: „wolniej”. Jej baletmistrz, człowiek młody, szczupły, ubrany jaskrawo, stał poza grającymi, poruszając rytmicznie ręką, na co nie zważał nikt wśród muzykantów i baletnic, bo on sam również błąkał się spojrzeniami po widowni. Warnebold, płomienna nerwowość siłacza. W gestykulacji niekiedy dowcipny sens, którego sugestia działa krzepiąco na wszystkich. Jak na przykład wielkimi krokami śpieszy do fortepianu, gdy ledwie zapowiedziano jego występ.

Czytałem: *Z życia batalisty*. Z zadowoleniem czytałem głośno Flauberta. *Aus dem Leben eines Schlachtenmalers*, właściwy tytuł brzmi: *Erinnerungen eines Schlachtenbummlers im Feldzug 1870—1871*, autor: malarz, Heinrich Lang

Należy mówić o tancerkach z wykrzyknikiem na końcu zdań. Bo w ten właśnie sposób naśladuje się ich taneczny ruch, bo pozostaje się w fali rytmu i dzięki temu nie przeszkadza myślom w ich rozkoszy, gdyż akcja pozostaje wtedy zawsze w końcowym wydzwiku zdania i efektowniej rozszerza swe działanie.

17 marca. Czytałem w tych dniach Jutrzenkę Stoessla. *Otto Stoessl (1875—1936), austriacki eseista i powieściopisarz, pisał również dramaty; Kafka bardzo go cenił. Morgenrot, tytuł powieści (wyd. 1912 r.).*

W niedzielę koncert Maksa. Mój prawie bezwiedny sposób słuchania. Odkąd tak jest, nie mogę już nudzić się przy muzyce. Nie usiłuję już teraz przeniknąć tak, jak bezskutecznie. próbowałem dawniej, nieprzeniknionego koła, tworzącego się szybko wokół mnie pod wpływem muzyki, wystrzegam się również, aby je przeskoczyć — co potrafiłbym bezsprzecznie — lecz trwam spokojnie w swych myślach, które w ciasnym kręgu rozwijają się i snują, w czym nie może przeszkodzić im samoobserwacja wnikająca w ich powolne, gęste pasmo. Piękne „koło magiczne” (stworzone przez Maksa), które zdaje się chwilami roztwierać pierś śpiewaczki.

Goethe, pociecha w bólu. Bóstwa, te nieskończone, dają swoim ulubieńcom wszystko: wszystkie rozkosze, te bezkresne; wszystkie bóle, te bezkresne; wszystko. Nieporadność względem mojej matki, względem panny Taussig, a także względem wszystkich w Continentalu i potem na ulicy.

W poniedziałek *Nitouche*. *komedia muzyczna H. Meilhaca i A. Milhaua*. Dobry efekt francuskiego słowa pośród smętnego niemieckiego przedstawienia. Za ogrodzeniem pensjonarki w jasnych sukienkach z wyciągniętymi rękami biegną do ogrodu. Dziedziniec przy koszarach pułku dragonów w nocy. Oficerowie w sali tylnego gmachu koszar, do których można dostać się przez kilka kondygnacji schodów, uczestniczą w uroczystym bankiecie pożegnalnym. Przychodzi Mam'zelle Nitouche i pozwala miłośnej lekkomyślności skusić się do wzięcia udziału w uczcie. Cóż może zdarzyć się dziewczętom! Rano w pensjonacie, wieczorem występ w roli nieprzystępnej śpiewaczki operetkowej, a nocą w dragońskich koszarach.

Dzisiaj spędziłem popołudnie na kanapie w nastroju bolesnego zmęczenia.

Mędrcecm byłem, jeśli wolno mi tak powiedzieć, bo każdej chwili gotów byłem umrzeć, ale nie dlatego że wykonałem wszystko, co było moim obowiązkiem, lecz ponieważ nic z tego nie uczyniłem, i nie mogłem nawet uwierzyć w możliwość dokonania którejkolwiek z tych rzeczy.

22 marca. (W ostatnich dniach wpisałem mylnie daty.) Prelekcja Bauma w sali odczytowej. G. F., dziewiętnaście lat, wychodzi za mąż w przyszłym tygodniu. śniada, nieskazitelna, szczupła twarz. Sklepione nozdrza. Od dawna nosi kapelusze i suknie w. myśliwskim stylu. Ach, i ten ciemnozielonkawy refleks na twarzy. Opadające wzdłuż skroci-ii pasma włosów zdają się łączyć z nowymi włoskami wyrastającymi właśnie wzdłuż skroni — w ogóle świetlista mgiełka delikatnego owłosienia rozpościera się na całej twarzy pochylonej w cień. Lekko o poręcz krzesła wsparte czubki

łokci. Potem na placu Wacława z rozmachem złożony, dokończony bez wysiłku ukłon, zwrot i wyprostowanie chudego, skromnie i nieelegancko odzianego ciała. Rzuciłem na nią spojrzenie o wiele osoblwsze, niż tego pragnąłem.

24 marca. Niedziela, wczoraj. *Narieczona gwiazd* Christiana von Ehrenfels. Zatopiony w patrzeniu; postawiony wobec nieprzejrzystego, prymitywnego splotu zdarzeń, w obliczu trzech znajomych par małżeńskich w duchowym związku ze mną. Chory oficer na scenie. Chore ciało w opiętym uniformie, zobowiązującym do zdrowia i rezolucji.

Przed południem w szczerym usposobieniu przez pół godziny u Maksa.

W sąsiednim pokoju moja matka rozmawia z państwem L. Dyskutują o robactwie i nagniotkach. (Pan L. ma po sześć nagniotków na każdym palcu.) Można łatwo dojść do wniosku, że przez podobne rozmowy nie dokonywa się żaden istotny postęp. Są to wiadomości zapominane szybko przez obie strony i wypowiedzane już teraz bez poczucia odpowiedzialności, w niepamięci samych siebie. Ale właśnie dlatego, że takich rozmów nie sposób sobie wyobrazić nie odsuwając się, wykazują one pustkę, którą, jeśli ktoś by się przy tym upierał, można wypełnić jedynie rozmyślaniami lub lepiej marzeniem.

25 marca. Miotłę zamiatającą dywan w przyległym pokoju słysząc jak wleczony szarpnięciami tren.

28 marca. Tylko nie przeceniać tego, co napisałem, gdyż przez to uczyniłbym sobie nieosiągalnym to, co mam napisać w przyszłości.

27 marca. Wczoraj na ulicy schwyciłem za gardło chłopaka, który wraz ze swymi kumplami atakował sporą piłką jakąś służącą idącą przed nimi bezbronne w chwili, gdy piłka godziła właśnie w siedzenie dziewczyny; zacząłem dławić go z wielką wściekłością, rzuciłem nim w bok i zbeształem go. Potem poszedłem dalej, nie patrząc wcale na dziewczynę. Zapomina się całkiem o swym ziemskim istnieniu, gdy się jest aż tak pełnym wściekłości i może uwierzyć, że przy okazji będą człowieka tak samo napełniać jeszcze piękniejsze uczucia.

28 marca. Urywek z odczytu pani Fanta: *Wrażenia berlińskie*: Grillparzer nie chciał kiedyś pójść na jakieś towarzyskie zebranie, bo wiedział, że znajdzie się tam także Hebbel, z którym był zaprzyjaźniony. „Zacznie mnie znów wypytywać o moje przekonania co do Boga, a gdy nie potrafię nic odpowiedzieć, stanie się gburowaty.” Moje tępe zachowanie się.

29 marca. Radość w związku z łazienką. Stopniowe zaznajamianie się. Popołudnia, jakie spędzałem zajęty swą fryzurą.

1 kwietnia. Po raz pierwszy od tygodnia prawie całkowite fiasko z pisaniem. Dlaczego? W poprzednim tygodniu przebrnąłem również przez rozmaite nastroje, a ustrzegłem pisanie przed ich wpływem; ale boję się pisać o tym.

3 kwietnia. Oto jak minął dzień — przed południem biuro, po południu fabryka, teraz wieczorem wrzask w domu z prawej i z lewej strony, potem odprowadzenie mojej siostry z Hamleta — i nie zdołałem wykorzystać choćby jednej chwili.

8 kwietnia. Wielka Sobota. Zupełne samopoznanie. Ach, zdobyć się na uchwycenie swych zdolności niby małej piłki. Pogodzić się z największym jej lotem w dół i tak w tym wszystkim zachować jeszcze elastyczność.

Pragnienie głębszego snu, który bardziej odpręży. Tęsknota metafizyczna to tylko tęsknota za śmiercią.

Jak to dziś kunsztownie mówiłem przed Haasem <sup>Willy Haas, znany krytyk i eseista, później wydawca *Literarische Welt*</sup> (chwalił Maksa i moje sprawozdanie z podróży), aby chociaż w ten sposób stać się godnym pochwały, która się za sprawozdanie nie należy, lub efekt sprawozdania z podróży wymuszony szwindłem albo kłamstwem przedłużyć dzięki małemu kłamstwu Haasa, które starałem się mu ułatwić.

6 maja, godzina jedenasta. Po raz pierwszy od pewnego czasu kompletne niepowodzenie w pisaniu. Uczucie człowieka, który wiele przeszedł.

Niedawny sen:

Jechałem z moim ojcem tramwajem przez Berlin. Element wielkomijski reprezentowały niezliczone, sterczące w równych odstępach u góry, dwubarwnie pomalowane i tępo na końcach wygładzone szlabany. Poza tym prawie zupełna pustka, ale natłok tych rogatek był wielki. Podjechaliśmy pod jakąś bramę, wysiedliśmy nie wiadomo jak i weszliśmy w tę bramę. Za bramą wznosiła się bardzo stroma ściana, po której mój ojciec wspinał się niemal, nogi migają mu przy tym na wszystkie strony, tak łatwo mu to poszło. Niewątpliwie było trochę bezwzględności w tym, że nie dopomógł mi wcale, bo wspinałem się z najwyższym wysiłkiem, aż na czworakach, ześlizgując się często, jakby ściana stała się przede mną bardziej spadzista. Przykre było przy tym również i to, że (ściana) była oblepiona kalem ludzkim, tak że jego grudki przylepiły się do mnie, zwłaszcza do piersi. Przyjrzałem się im, pochyliwszy twarz, i przejechałem po nich ręką. Gdym wreszcie znalazł się na szczycie, ojciec mój, który wyszedł już z wnętrza jakiegoś budynku, natychmiast rzucił mi się na szyję, ucałował mnie i uściśkał. Miał na sobie dobrze znany, staromodny kusy anielez, wypchany jak kanapa, który dobrze pamiętam. „Ach, ten doktor von Leyden! To przecież znakomity człowiek” — wołał raz po raz. Odwiedził go jednak wcale nie jako lekarza, lecz jako osobnika godnego poznania. Obawiałem się trochę, że będę musiał także zejść do niego, ale nie wysunięto takiego żądania. Na lewo poza sobą zobaczyłem od— wróconego ode mnie mężczyznę, siedzącego w pokoju o samych szklanych ścianach wokoło. Okazało się, że był to sekretarz profesora, że prawdę mówiąc, mój ojciec rozmawiał tylko z nim, a nie z samym profesorem; że jednak jakoś tam za pośrednictwem sekretarza poznał namacalnie zalety profesora, tak że pod każdym względem czuł się uprawniony do wydawania sądu o profesorze dokładnie w tym samym stopniu, jak gdyby rozmawiał z nim osobiście.

Teatr im. Lessinga: *Szczury*.

List do Picka, bo nie pisałem do niego. Kartka do Maksa z radości pod wpływem *Arnolda Beera*.<sup>tytuł</sup>  
*powieści Maksa Broda*.

9 maja. Wczoraj wieczór z Pickiem w kawiarni. Jak mimo całego niepokoju trwam przy swej powieści, zupełnie jak posąg na pomniku wpatrzony w dal i trzymający się mocno postumentu.  
*Kafka pracował wtedy nad Ameryką*

Beznadziejny wieczór dziś w rodzinnym gronie. Szwagrowi potrzeba pieniędzy na fabrykę, ojciec jest wzburzony z powodu siostry, z powodu przedsiębiorstwa i z powodu stanu swego serca; moja nieszczęsna druga siostra, ze wszystkich najnieszczęśliwsza matka i ja ze swymi gryzmołami.

22 maja. Wczoraj przepiękny wieczór z Maksem. Kiedy kocham siebie samego, kocham go tym mocniej. Lucerna. *Pani Śmierć* *Madame la Mort*. Rachilde. *pseudonim francuskiej pisarki Marguerite Vallette (ur. 1860) autorki licznych powieści, dramatów i szkiców literackich*. *Sen wiosennego ranka*. *Sogno d'un mattino di primavera, dramat G. d'Annunzia*

Wesoła grubaska w łoży. Dzikuska z czerwonym nosem, z zakurzoną popiołem twarzą, z ramionami, które wystawały z sukni, zresztą nie wyciętej, z miotającym się tu i tam zadkiem, w skromnej błękitnej bluzce w białe groszki, z rękawiczką szermierczą ciągle widzialną, bo prawą rękę opierała bardzo często całą albo tylko czubkami palców o udo siedzącej obok, figlarniej matki. Zakręcone nad uszy ma warkocze, nie najczystsza wstążka jasnyniebieska w tyle głowy; z przodu włosy okrążają czoło cienkim, lecz gęstym kosmykiem, stercząc daleko w przód. Jej ciepły, fałdzisty, lekki, z naturalną miękkością zwisający niedbale płaszcz, gdy targowała się przy kasie.

23 maja. Wczoraj: za nami jakiś człowiek z nudów spadł z krzesła. Porównanie Rachilde: ci, co cieszą się słońcem i wymagają od innych radości, są jak pijacy, którzy nocą wracają z wesela i wychodzących im naprzeciw zmuszają do wypicia zdrowia nieznanej panny młodej.

List do Weltscha, propozycja, abyśmy przeszli na „ty”. Wczoraj udany list do stryja Alfreda w sprawie fabryki. Przedwczoraj list do Löwyego.

Teraz wieczorem trzykrotnie raz po raz umyłem sobie ręce.

Dziecko z dwoma krótkimi warkoczycami, z gołą główką, w luźnej czerwonej sukience w białe cętki, z gołymi łydkami i boso, które niosąc w jednej ręce koszyk, w drugiej pudełeczko, ociągając się przeszło jezdnię przy Teatrze Krajowym.

Odwracanie się plecami do widowni w początkowych scenach *Pani Śmierci* zgodnie z zasadą:

plecy dyletanta są w jednakowych okolicznościach tak samo piękne, jak plecy dobrego aktora. O sumiennosci ludzka! Ostatnimi dniami wyborny odczyt Dawida Trietscha o kolonizacji w Palestynie.

25 maja. Słabe tętno, mało krwi.

27 maja. Wczoraj niedziela Zielonych świąt, zimno, nieładna wycieczka z Maksem i z Weltschem, wieczorem kawiarnia, Werfel daje mi Odwiedziny z Elizjum.

Część ulicy Mikołaja i cały most obracają się z przejęciem, patrząc na psa, który szczekając głośno ściga samochód Pogotowia Ratunkowego. Aż wreszcie pies nagle rezygnuje, zawraca i okazuje się zwyczajnym cudzym kundlem, który goniąc za pojazdem, nie miał nic niezwykłego na myśli.

1 czerwca. Nie napisałem nic.

2 czerwca. Nie napisałem prawie nic.

Wczoraj w gmachu reprezentacyjnym odczyt dra Soukupa o Ameryce. (Czesi w stanie Nebraska; wszyscy urzędnicy w Ameryce są wybierani, każdy z nich musi należeć do jednej z trzech partii — republikańskiej, demokratycznej lub socjalistycznej; zebranie wyborcze Roosevelta, który farmerowi zgłaszającemu jakiś zarzut grozi okularami; mówcy uliczni, którzy taskają z sobą małą skrzynkę jako estradę). Potem święto Wiosny, spotkanie Paula Kischa, który opowiada o swojej dysertacji pt. *Hebbel i Czesi*.

6 czerwca. Czwartek. Boże Ciało. Jak jeden z dwu kłusujących koni zniża łeb, sam się narowiąc, wypadając z kłusa i trzepiąc całą grzywą o własny kark, a potem zadziera łeb w górę i dopiero teraz, niby raźniejszy, zrywa się ponownie do biegu, którego właściwie nie przerwał.

Czytam właśnie w listach Flauberta: „Moja powieść jest skalą, której się czepiam i nie wiem o niczym, co się w świecie dzieje”. — Podobnie, jak napisałem o sobie 9 maja.

Nie czując własnego ciężaru ani kości, bezcieleśnie wałęsałem się przez dwie godziny po ulicach, rozmyślając, ile przeszedłem po południu przy pisaniu.

7 czerwca. Żle. Dziś nie napisałem nic. Jutro nie będzie czasu.

Poniedziałek, 6 lipca. Coś trochę zacząłem. Trochę jestem zaspany. A także opuszczony wśród tych całkiem obcych ludzi.

9 lipca. Już od tak dawna nie pisałem niczego. Trzeba będzie zacząć jutro. W przeciwnym razie ugrzęznę znowu we wzrastającym, niepowstrzymanym niezadowoleniu; właściwie tkwię w nim już teraz. Zaczyna się rozdrażnienie: Ale gdy mnie na coś stać, to stać mnie na to bez zabobonnych środków zapobiegawczych.

Wynalazek diabła. Gdy jesteśmy opętani przez diabła, wtedy nie może to być jeden czart, wówczas bowiem żylibyśmy przynajmniej na ziemi spokojnie jak z Bogiem, w zgodzie z samymi sobą, bez konfliktów, bez roztrząsań, zawsze pewni, że za nami stoi On. Jego twarz nie przerażałaby nas, bo jako poddani diabelscy bylibyśmy przy pewnej wrażliwości na ten widok dość rozsądni, aby raczej poświęcić rękę, którą zasłaniałibyśmy jego twarz. Gdyby władał nami tylko jeden diabeł, który spokojnie i bez przeszkód sprawowałby nadzór nad całą naszą istotą i posiadałby moc natychmiastowego dysponowania nami, wtedy : miałby również wystarczającą potęgę, aby przez czas ludzkiego żywota zawiesić nas i jeszcze wywijać nami tak wysoko ponad Duchem Bożym, że nie widzielibyśmy nawet jego odblasku; że więc i z tej strony nie doznawalibyśmy żadnego niepokoju. Tylko tłum diabłów zdolny jest zgotować nasze ziemskie nieszczęście. Dlaczego czarty nie wygryzą się wzajemnie aż do ostatniego; albo dlaczego nie podporządkują się jednemu wielkiemu szatanowi? Obie te ewentualności byłyby zgodne z diabelską zasadą możliwie doskonałego względem nas matactwa. Bo jak długo brak zgody, na cóż zda się skrupulatna troskliwość, jaką nas wszystkie diabły darzą? Samo przez się rozumie się w całej pełni, że diablom musi zależeć na wypadnięciu jednego włosa ludzkiego bardziej niż Bogu, bo ten włos to dla diabła strata prawdziwa, a dla Boga nie. Tylko że przez to samo nie osiągniemy jeszcze



szczęścia, dopóki tkwi w nas ciżba diabłów.

7 sierpnia. Długa udręka. Napisałem w końcu do Maksa, że nie zdołam wykończyć pozostałych urywków, że nie chcę się przymuszać, a więc że **książki** nie wydam. Chodzi o pierwszą książkę Kafki pt. Betrachtung, która ukazała się nakładem Rowohlta w 1913 r.

8 sierpnia. **Łowcę chłopów** ukończyłem z jakim takim zadowoleniem. Ostatnim wysiłkiem normalnego stanu ducha. Północ, jak zdołam zasnąć?

9 sierpnia. Niespokojna noc. Wczoraj służąca, która małemu chłopczykowi na schodach powiedziała: „Trzymaj się moich spódnic!”  
Pod wpływem natchnienia płynne odczytywanie na głos utworu Biedny grajek Der arme Spielmann, nowela F. Grillparzera. Poznaje się z tej noweli to, co w Grillparzerze jest męskie. Jak może odważyć się na wszystko i nie waży się na nic, bo jest już w nim tylko prawda, która nawet przy zadającym kłam wrażeń chwili okaże się sama prawdą, gdy nadejdzie decydująca chwila. Spokojne dysponowanie samym sobą. Powolny krok, który niczego nie pomija. Spontaniczna gotowość, gdy zachodzi potrzeba, nie wcześniej, bo od dawna przewiduje wszystko, co się stanie.

10 sierpnia. Nie napisałem nic. Byłem w fabryce i przez dwie godziny wdychałem gaz w hali maszyn. Energia starszego majstra i palacza wobec motoru, który z niepojętych przyczyn odmawia zapłonu. Nieszczęsna fabryka.

11 sierpnia. Nic, nic. Ileż to czasu zabiera mi wydanie małej książeczki i ile szkodliwego, śmiesznego samopoczucia wytwarza się przy czytaniu starych rzeczy, gdy myślę o publikacji. Tylko to powstrzymuje mnie od pisania. A przecież nie osiągnąłem żadnych konkretnych wyników, czego najlepszym dowodem jest zastój. W każdym bądź razie będę musiał teraz po wydaniu książki jeszcze bardziej trzymać się z dala od czasopism i recenzji krytycznych, o ile nie chcę poprzestać na tym, aby w prawdzie tkwić tylko końcami palców. Jakżeż stałem się ociężały! Dawniej skoro tylko wypowiedziałem jakieś słowo przeciwne aktualnej tendencji, natychmiast sam przelatywałem również na drugi brzeg; teraz spoglądam tylko na siebie i pozostaję, jakim był.

14 sierpnia. List do Rowohlta.

Wielce Szanowny Panie Rowohlte!

Przedkładałam oto drobny utwór prozą, który Pan pragnął poznać; osiąga on już rozmiary niedużej książki. Kiedy pisałem go z myślą o tym właśnie celu, musiałem nieraz wybierać między uspokajaniem poczucia odpowiedzialności a żądzą posiadania również swej własnej książki w szeregu Pańskich pięknych wydawnictw. Niewątpliwie decyzja moja w tej sprawie była nie zawsze całkowicie czysta. Teraz, rzecz prosta, byłbym szczęśliwy, gdyby te rzeczy spodobały się Panu choćby tylko na tyle, by Pan je wydrukował. Ostatecznie przy największej nawet wprawie i najbardziej bystrym znanstwie nie sposób wykryć na pierwszy rzut oka tego, co jest złe w utworach pisanych. Najczęściej spotykana indywidualność pisarzy polega przecież na tym, że każdy z nich w całkiem specyficzny sposób zastania to, co w nim jest złe.

Oddany

15 sierpnia. Jałowy dzień. Zaspany, skłopotany. świąteczne uroczystości Maryjne na Staromiejskim Rynku. śpiewak z głosem jakby spod ziemi. Wiele myślałem — jaki to kłopot gdy przyjdzie wypisywać imiona F. B. Poznał ją Kafka dwa dni wcześniej u Maksa Broda, był z nią dwukrotnie zaręczony, odegrała w jego życiu wybitną rolę.

Wczoraj **Polska gospodarka**. Polnische Wirtschaft, operetka J. Gilberta Teraz recytowała pani O. utwory poetyckie Goethego. Wybiera je z prawdziwym wycuciem. *Pociecha w płaczu. Do Lotty. Do Wertera. Do Luny.*  
Znów czytałem dawne kartki Dziennika zamiast trzymać te rzeczy z dala od siebie. Żyję tak nierozsądnie, jak tylko można. Wszystkiemu jest jednak winna sprawa wydania owych trzydziestu i jednej strony. Winę jeszcze większą ponosi tu zresztą moja słabość, która dopuszcza, by coś takiego wywierało na mnie wpływ. Zamiast się otrząsnąć siedzę sobie spokojnie i zastanawiam się, jak by to wszystko wyrazić w sposób możliwie obraźliwy. Alę straszliwy mój spokój wyjaławia moją zdolność inwencji. Jestem ciekawy, jak wydobędę się z tego stanu. Wypchnąć się nie pozwolę, właściwej drogi nie uświadamiam sobie również, jak więc będzie? Czy jako wielkie masywne brzemię utkwilem beznadziejnie w wąskich swych koleinach? Wtedy mógłbym przynajmniej kręcić głową. Ale czynię to

przecież.

16 sierpnia. Nic, ani w biurze, ani w domu. Zapiisałem parę stron w dzienniku weimarskim.

Wieczorem lamenty mojej biednej matki, dlaczego nic nie jem.

20 sierpnia. Mali chłopcy, obaj w niebieskich bluzach, jeden z nich w jaśniejszej, drugi niższy w ciemniejszej, dźwigają całym wysiłkiem ramion po wiązce suchego siana przez parcelę uniwersytecką przed moim oknem, która tu i ówdzie porosła dziko trawą. Wspinają się z tym ciężarem po zboczu. Przyjemna całość dla oka.

Dziś rano pusty wóz drabiniasty i rosla chuda szkapa przed nim. I wóz, i koń wydłużają się niesamowicie przy ostatecznym wysiłku wspinania się po pochyłości. Ustawieni skośnie do widza. Koń, mając przednie nogi nieco wyżej, wyciągnął szyję w bok i w górę. Nad nim bat woźnicy.

Gdyby Rowohlł to odesłał, gdybym mógł zamknąć wszystko z powrotem w szufladzie jako rzeczy w ogóle niebyłe, tak abym był tylko równie nieszczęśliwy, jak przedtem.

Panna F. B. Gdym dnia 13 sierpnia przyszedł do Broda, siedziała przy stole, a mimo to sprawiała na mnie wrażenie służącej. Nie byłem też ani trochę ciekawy, kim jest, lecz pogodziłem się od razu z jej istnieniem. Koścista, pusta twarz, wystawiająca na jaw swą pustkę. Odślonięta szyja. Wyrzucona na wierzch bluzka. Wyglądała na ubraną zupełnie po domowemu choć, jak się później okazało, wcale tak nie było. (Staję się względem niej do pewnego stopnia obcy przez to, że tak zbliżam się do niej. Ale też, bo w jakim stanie jestem teraz, obcy względem dobra w ogóle; a ponadto, jeszcze w to nie wierzę. O ile dziś u Maksa nie ulegnę zbyt roztargnieniu pod wpływem wiadomości literackich, będę jeszcze próbował napisać opowieść o Blenkelcie. Nie musi być długa, ale musi mnie zadowolić.) Niemal złamany nos. Włosy blond, trochę sztywne i bez uroku, mocny podbródek. Siadając przypatrzyłem się jej po raz pierwszy dokładnie, a siedząc miałem o niej już niewzruszony sąd. Jak też... (rękopis przerwany)

21 sierpnia. Bez przerwy czytałem **Lenza** i czerpałem zeń — tak już ze mną jest — opamiętanie. Lenz Jacob Michael Reinhold (1751—1792), należał do kręgu poetów związanych z Goethem

Obraz niezadowolenia, jaki przedstawia ulica, bo każdy w miejscu, gdzie się znajduje, podnosi nogi, aby stamtąd odejść.

30 sierpnia. Przez cały ten czas nie robiłem nic. Odwiedziny stryja z Hiszpanii. Ubiegłej soboty Werfel recytował w Arco *Pieśni życia i Ofiary*. Potwór! Mimo to patrzyłem mu w oczy i przez cały wieczór wytrzymywałem jego spojrzenie.

Trudno będzie mnie przestraszyć, a przecież jestem niespokojny. Gdy dzisiaj po południu leżałem w łóżku i ktoś przekręcił szybko jakiś klucz w zamku, miałem przez chwilę zamki na całym ciele jak na balu kostiumowym, i w krótkich odstępach czasu to tu, to tam jakiś zamek otwierał się lub zamykał.

Ankieta czasopisma **Miroir** <sup>Zwierciadło</sup> na temat miłości w dobie teraźniejszej i przemian miłości od ery naszych dziadków. Jakaś aktorka odpowiedziała: nigdy się nie kochało tak dobrze, jak dzisiaj.

Jak wstrząśnięty i podniesiony na duchu byłem po wysłuchaniu Werfla! Jak potem wprost dziko i nienagannie wkręcałem się w towarzystwo u państwa L.

Ubiegły miesiąc, który z powodu nieobecności szefa można było szczególnie dobrze wykorzystać, przewałkonilem i przespałem, nie mając wiele na swe usprawiedliwienie (wysyłka książki do Rowohlta, czyraki, odwiedziny stryja). Jeszcze dziś po południu wylegiwałem się na łóżku przez trzy godziny, szukając w marzeniu usprawiedliwienia.

4 września. Stryj z Hiszpanii. Krój jego surduta. Oddziaływanie jego bliskości. Zróżnicowanie jego istoty. Jego przepłynięcie przez przedpokój do klozetu. Zagadnięty w tym momencie nie odpowiada. Mięknie z dnia na dzień, sądząc nie po stopniowej przemianie, lecz po rzucających się w oko momentach.

5 września. Pytam go: jak pogodzić, że jesteś niezadowolony — jak wspominałeś ostatnio — i że we wszystkim radzisz sobie świetnie, co widać w każdej chwili („ jak przy takim świetnym „radzeniu sobie” wyłazi zawsze na wierzch swoista gburowatość — dodałem w myśli). O ile to sobie uprzytamniam, odpowiedział tak: „Z przeżyć poszczególnych jestem niezadowolony, jednak to nie tyczy się całokształtu mego życia. Wieczorem często w małym francuskim pensjonacie, bardzo wytwornym i drogim. Pokój dwuosobowy wraz z utrzymaniem kosztuje na przykład pięćdziesiąt franków dziennie. Siedzę tam na przykład między sekretarzem francuskiego poselstwa a jakimś hiszpańskim generałem artylerii. Naprzeciw mnie siedzi wysoki urzędnik ministerstwa marynarki i jakiś hrabia. Znam już ich wszystkich dobrze, siadam na swoim krześle, kłaniając się na wszystkie strony, nie mówię poza tym (bo jestem w swoistym humorze) ant słowa, z wyjątkiem pożegnalnej formuły, z którą się też wycofuję. Potem jestem sam na ulicy i naprawdę nie mogę odgadnąć, jaki sens miał ten wieczór. Idę do domu i żałuję, że się nie ożenił. Oczywiście potem to zaciera się, czy dlatego że przemyślam to do końca, czy też myśli błędzą. Ale przy pierwszej sposobności wraca znowu”.

8 września. Niedzielne przedpołudnie. Wczoraj list do dra Schillera. Po południu. Ach, jak moja matka tuż obok w tłumie kobiet, gwarząc najdonośniejszym głosem, bawi się z małymi dziećmi i wygania mnie z domu. Nie beczeć! Nie beczeć! itd. To jego własność! To jego własność! itd. Dwu dorosłych mężczyzn! itd. — On tego nie chce!... Ale! Ale!... — Jak ci się podobało we Wiedniu, Dolfeczku? Ładnie tam było?... Proszę, niech pani spojrzy tylko na jego ręce.

11 września. Trzy dni temu wieczór z Utitzem. Sen: Znajdowałem się na wbudowanym daleko w morze cyplu z ciosowych kamieni. Ktoś był ze mną, a może nawet większa ilość osób, lecz moja świadomość samego siebie była tak silna, że prawie tylko tyle o nich wiedziałem, o ile do nich mówiłem sam. Utkwiły mi tylko w pamięci podniesione kolana kogoś, kto siedział obok mnie. Zrazu nie wiedziałem właściwie, gdzie jestem, dopiero gdy w pewnej chwili przypadkiem podniosłem się, ujrzałem na lewo od siebie i na prawo poza sobą rozległe, jasno zarysowane morze z wieloma rozmieszczonymi w szeregach, mocno zakotwiczonymi okrętami wojennymi. Na prawo widać było Nowy Jork, byliśmy w porcie Nowego Jorku. Niebo było szare, niemniej równomiernie świetliste. Wierciłem się na swoim miejscu wystawiony swobodnie na przewiew ze wszystkich stron, ażeby wszystko widzieć. Moje spojrzenie w kierunku Nowego Jorku padało trochę w głąb, a w kierunku morza wznosiło się cokolwiek. W pewnej chwili zauważyłem również, że woda tuż obok nas wzdymała się w wysokie fale i że rozwijał się na niej niezmierny cudzoziemski ruch. Pamiętam tylko to, że zamiast rodzimych traw były tam długie pnie związane w olbrzymi, krągły sag, który płynąc, zależnie od wysokości fal wynurzał się mniej lub bardziej swą ściętą powierzchnią, przy tym jeszcze obracając się jak długi w wodzie. Usiadłem, podciągnąłem nogi ku sobie, zadrzałem z rozkoszy, zagrzebałem się z błogości po prostu w kamienie i powiedziałem: — Ależ to jest jeszcze bardziej zajmujące niż ruch na paryskim bulwarze.

12 września. Wieczorem dr L. u nas. Znowu podróżnik palestyński. Zdaje egzamin adwokacki na rok przed ukończeniem praktyki w charakterze koncypienta i wyjeżdża, mając tysiąc dwieście koron (za dwa tygodnie) do Palestyny. Chciałby starać się o posadę w Biurze Palestyńskim. Wszyscy ci palestyńscy podróżnicy mają oczy spuszczone, czują się olśnieni przez słuchaczy, przesuwają wyciągniętymi palcami w kółko po stole, głos im się załamuje, uśmiechają się bezradnie i podtrzymują ten uśmiech szczyptą ironii. Opowiadał dr K., że jego uczniowie są szowinistami, mają wciąż usta pełne Machabeuszy i chcą im dorównać.

Mam wrażenie, że tylko dlatego napisałem do dra Schillera tak skwapliwie i dobrze, bo panna B. zatrzymała się, zresztą już dwa tygodnie temu, we Wrocławiu i aura tego wydarzenia unosi się jeszcze w powietrzu, a rozmyślałem niegdyś wiele o tym, by za pośrednictwem dra Schillera przesać jej kwiaty.

15 września. Zaręczyny mojej siostry Valli.

Ze samego  
dna znużenia  
powstajemy  
z nową siłą,  
czarne pany,  
co czekają,  
aby dzieciom

słabiej było.

Miłość brata i siostry — powtórzenie miłości matki i ojca.

Przeczcucie jedyne biografa.

Rozpadlina, jaką dzieło genialne wypaliło w otaczającym nas świecie, nadaje się dobrze na to, byśmy wstawili w nią swoje małe światełko. Stąd podnieta, która wynika z genialności, podnieta powszechna, pobudzająca nie tylko do naśladownictwa.

18 września. Wczorajsze historyjki pana H. w biurze. Kamieniarz, który na gościńcu wyblagał od niego żabę, przytrzymał ją za łapki i trzykrotnym kęsem połknął najpierw łebek, potem tułów, wreszcie nóżki. Najlepsza metoda uśmiercania kotów, które mają bardzo twardy żywot: wciska się szyję w zamknięte drzwi i ciągnie za ogon. Jego odraza do robactwa. Gdy był w wojsku, zaswędziało go raz w nocy coś pod nosem, pacnął — również przez sen — i rozduśił coś. Jednak tym czymś była pluskwa, i przez wiele dni roznosił wkoło siebie jej smrodek.

Czterech ludzi jadło smacznie przyrządzoną pieczeń kocią, ale tylko trzech wiedziało, co jedzą. Gdy zjedli, tych trzech zaczęło miauczeć, natomiast czwarty nie chciał uwierzyć w to, co się stało, dopiero gdy mu pokazano krwawą skórkę, uwierzył; nie zdołał biec dość szybko, by wszystko wyrzygać z siebie, i przez dwa tygodnie ciężko chorował.

Co do tego kamieniarza — jadał on tylko chleb i co mu poza tym przypadkiem z owoców lub żywych stworzeń w ręce wpadło, a nie pił nic prócz wódki. Sypiał w szopie należącej do pewnej cegielni, na ceglach. Raz spotkał go pan H. o zmierzchu na polach. — Stój — rzekł człowiek — albo — Pan H. przystanął żartem.

— Daj mi twojego papierosa — powiedział dalej włóczęga. Pan H. dał mu papierosa.

— Daj jeszcze jednego.

— Ach tak, chcesz jeszcze jednego? — zapytał pan H. i na wszelki wypadek, ściskając lewą ręką w pogotowiu swą sękatą laskę, uderzył go prawą w twarz, tak że aż wypadł mu papieros. I człowiek natychmiast umknął, słabo i tchórzliwie, jak wszyscy pijacy.

Wczoraj z drem L. u B. Pieśń rebe Dovidla; rebe Dovidl, wassilkowiak, wyjeżdża dzisiaj do Talne. Śpiewa się tę pieśń w pewnej mieścinie między Wassilko a Talne obojętnie, w Wassilko płacziwie, w Talne radośnie.

19 września. Kontroler P. opowiada o podróży, którą przebył jako trzynastoletni chłopiec z siedemdziesięcioma centami w kieszeni w towarzystwie swego szkolnego kolegi. Jak wieczorem zaszli obaj do pewnej karczmy, gdzie odbywała się kolosalna pijatyka na cześć burmistrza, który wrócił z wojska. Ponad pięćdziesiąt pustych flaszek od piwa walało się na podłodze. Całą izbę wypełniał dym fajczany.

Cuchnęły serki do piwa. Dwu chłopaków opartych o ścianę. Pijany burmistrz, który mając jeszcze wojsko w głowie, wszędzie chce robić porządek, dochodzi do nich z pogroźką, że jako dezertarów — bo za takich uważa ich pomimo wszelkich wyjaśnień — każe odstawić obu szupasem do domu. Chłopcy dygocą, pokazują legitymacje gimnazjalne, odmieniają mensa, a pewien na pół pijany belfer gapi się na to, nie idąc im wcale na pomoc. Nie dając im żadnej wyraźnej decyzji co do ich losu, zmusza ich do picia z innymi; w to im graj, za darmo tyle smacznego piwa, którego by nigdy nie mogli sami sobie zafundować ze swoich skromnych środków. Opijają się do woli, a potem, późno w nocy, po rejteradzie ostatnich gości kładą się do snu w tej nie przewietrzanej izbie, na skąpo narzuconej słomie i chrapią jak panowie. Tylko że o godzinie czwartej przychodzi ogromna dziewczka z miotłą oświadczając, że nie ma czasu i byłaby ich wymiotła w mgiełkę poranną, gdyby sami dobrowolnie nie zwiali w porę. Po jakim takim sprzątnięciu izby dostali dwa spore garnczki kawy, nalane po brzegi; postawiła im je na stole. Gdy jednak zaczęli łyżkami mieszać tę kawę, podpływało w obu garnkach na powierzchnię coś wielkiego, ciemnego, krągłego. Myśleli, że wyjaśni się to z czasem i pili łapczywie, aż na widok pustych już na pół garnczków i tego czegoś ciemnego przestraszyli się i pytają dziewczkę, co to. Okazuje się, że to tam czarne było starą, wysączoną krwią z gęsi, która po wczorajszej wieczornej uczcie została w garnuszkach i na nią w porannej drzemce nalano po prostu kawę. Natychmiast chłopcy wybiegli na dwór i zwymiotowali wszystko aż do ostatniej kropli. Zawezwano ich potem do proboszcza, który po krótkim egzaminie z religii stwierdził, że zacni z nich młodzieńcy, kazał kucharce dać im zupy i odprawił ich ze swym duszpasterskim błogosławieństwem. W taką to zupę i W takie błogosławieństwo zaopatrywali się jako wychowankowie prowadzonego

przez duchownych gimnazjum we wszystkich prawie parafiach, przez jakie przyszło im wędrować.

20 września. Listy do Löwyego i panny Taussig, wczoraj do pany B. i do Maksa dzisiaj.

23 września. Opowiadanie Wyrok napisałem w nocy z 22. na 23. od godziny dziesiątej wieczór do szóstej rano, nie odrywając pióra. Nogi zeszywniały na skutek pozycji siedzącej ledwo zdołałem wyciągnąć spod biurka. Straszliwy wysiłek i radość, gdy w mych oczach rozwijało się opowiadanie, gdy brnąłem przez to rozlewisko naprzód. Wiele razy w ciągu tej nocy niosłem swój własny ciężar na grzbiecie. Jak to wszystko można wypowiedzieć; jak dla wszelkich, nawet najdziwaczniejszych pomysłów, przygotowany jest wielki ogień, w którym giną i zmartwychwstają. Jak za oknem stało się niebiesko. Przejechał jakiś wóz. Dwu mężczyzn przeszło przez most. O godzinie drugiej spojrziałem po raz ostatni na zegarek. Kiedy służąca przechodziła po raz pierwszy przez przedpokój, pisałem ostatnie zdanie. Zgaszenie lampy, jasność dnia. Lekkie bóle serca. Zmęczenie które przechodzi w połowie nocy. Drżący wchodzę do pokoju sióstr. Odczytuję. Przedtem przeciągam się przed służącą i mówię: „Pisałem aż dotąd”. Wygląd nietkniętego łóżka, jak gdyby dopiero teraz je wniesiono. Potwierdza się przekonanie, że ze swym pisaniem powieści jestem na haniebnych nizinach literatury. Tylko tak wolno pisać, tylko w takich okolicznościach, przy tak całkowitym roztwarceniu ciała i duszy. Przedpołudnie w łóżku. Oczy ciągle przytomne. Wiele uczuć, które niesie ze sobą pisanie, na przykład radość, że będę mieć coś pięknego dla Arkadii Maksa, oczywiście myśli o Freudzie przy jednym fragmencie z *Arnolda Beera*, przy innym o Wassermannie, przy jeszcze z innym o *Olbrzymce Werfla*, naturalnie i o własnym *Świecie miejskim*.

Gustaw Blenkelt był prostym człowiekiem o stałych przyzwyczajeniach. Nie lubił zbędnych wydatków i miał wyrobiony sąd o ludziach, którzy na takie wydatki trwonili grosz. Mimo że był kawalerem, czuł się ze wszech miar uprawniony w dyskusji do wtrącania decydującego słowa o sprawach małżeńskich swoich znajomych, a ktoś, kto by to właśnie prawo choćby tylko podał w wątpliwość, był przez niego źle widziany. Miał zwyczaj wypowiadać swój sąd prosto z mostu i nie miał wcale za złe swym słuchaczom, jeśli jego opinia kiedykolwiek im nie odpowiadała. Jak zawsze, było sporo ludzi, którzy go tolerowali i wreszcie takich, którzy w ogóle nie chcieli o nim słyszeć. Gdy tylko przyjrzymy się wnikliwie, każdy człowiek, nawet najbardziej znikomy, tworzy środek gdzieś zatoczonego kola, czemu miałyby być inaczej z Gustawem Blenkeltem, człowiekiem niewątpliwie na wskroś towarzyskim?

W trzydziestym piątym i ostatnim roku swego życia bywał nader często u pewnej młodej pary małżeńskiej o nazwisku Strong. Nie ulega wątpliwości, że dla pana Stronga, który za pieniądze swej żony otworzył sklep z meblami, znajomość z Blenkeltem była z rozmaitych względów korzystna, wśród znajomych bowiem Blenkelta przeważali młodzi ludzie gotowi do żeniaczki, skłonni zatem prędzej lub później pomyśleć o sprawieniu sobie nowego garnituru mebli i już z przyzwyczajenia nie lekceważący na ogół rad Blenkelta również i w tej dziedzinie. „Trzymam ich mocno w cuglach” — mawiał często Blenkelt.

25 września. Powstrzymałem się przemocą od pisania. Przewracałem się w łóżku z boku na bok. Krew uderza do głowy, bezpłodny przepływ. Co za złośliwości! Wczoraj czytałem głośno u Bauma w obecności domowników, moich sióstr, Marty, pani Bloch w asyście dwu synów (jeden z nich jest jednorocznym ochotnikiem). Pod koniec bezwiedny, lecz szczerzy ruch ręki przesuwającej się dokoła twarzy. Miałem łzy w oczach. Niewątpliwość sprawy potwierdziła się. Dziś wieczorem oderwałem się od pisania. Kino w Teatrze Krajowym. Łoża. Panna O., którą kiedyś ścigał jakiś duchowny. Przybiegła do domu mokra, tak spociła się ze strachu. Gdańsk. Życiorys Körnera. Konie. Siwy koń. Dym prochu. Dzika pogoń Lützowa.

1913

11 lutego. Przy okazji poprawek dokonywanych w Wyroku wypisuję wszystkie skojarzenia, jakie uprzytomniłem sobie w tym utworze, o ile tylko uświadamiam je sobie teraz. Jest to potrzebne, ponieważ opowiadanie dobyło się ze mnie okryte, jak przy prawidłowym porodzie, brudem i śluzem, i

tylko moja ręka potrafi dobrać się aż do ciała i tylko ja mam do tego ochotę. Przyjaciel jest łącznikiem między ojcem a synem, skupia w sobie ich większą wspólnotę. Siedząc samotnie przy swym oknie, Jerzy grzebie z rozkoszą w tej wspólnotcie; sądzi, że ma w sobie ojca i uważa wszystko, nawet przelotną smutną falę namysłu, za sielankę. Otóż rozwój akcji ujawnia, jak z tej wspólnoty, z przyjaciela, wyłania się ojciec i staje naprzeciw Jerzego jako jego przeciwieństwo, wzmocnione przez inne mniejsze więzy, mianowicie przez miłość, przywiązanie matki, przez wierną pamięć o niej, wreszcie przez klientelę, którą przecież ojciec pozyskał dla interesu już od pierwszej chwili. Jerzy nie posiada nic; narzeczoną, która w opowiadaniu jest postacią żywą tylko przez swój stosunek do przyjaciela, a więc do wspólnoty, i którą — jako że jest właśnie jeszcze przed weselem i nie może włączyć się w koło krwi otaczające ojca i syna — przepędza ojciec bez trudu. Cała łączność spiętrza się wokół ojca, Jerzy odczuwa ją tylko jako coś obcego, coś, co stało się samodzielne; coś, czego on sam nigdy dość się nie ustrzeże, czemu grożą rosyjskie ruchy rewolucyjne i właśnie dlatego że jedynym jego mieniem jest już teraz spojrzenie zwrócone ku ojcu, tak silnie działa nań wyrok całkowicie odbierający mu ojca.

Jerzy — Georg — ma tyle liter co Franz. W nazwisku Bendemann końcówka „mann” jest tylko wzmocnieniem wprowadzonym z uwagi na wszystkie nie znane jeszcze perypetie akcji. Zaś Bende ma tyle liter co Kafka i samogłoska „e” powtarza się w tych samych miejscach co i samogłoska „a” w nazwisku Kafka.

Frieda ma tyleż liter co F. i tę samą literę początkową; Brandenfeld ma literę początkową taką samą, jak B., a dzięki słowu feld <sup>pole</sup> również i pewien związek znaczeniowy. Może nie bez wpływu była tu nawet myśl o Berlinie, a może oddziałało także wspomnienie Marchii Brandenburskiej.

12 lutego. Opisując przyjaciela na obczyźnie, myślałem często o Steuerze. Otóż kiedym zetknął się z nim przypadkiem, mniej więcej trzy miesiące po powstaniu tego opowiadania, opowiedział mi, że przed około trzema miesiącami zaręczył się.

Kiedy tę opowieść przeczytałem wczoraj u Weltscha, stary Weltsch wyszedł z pokoju i powróciwszy po krótkiej chwili, chwalił zwłaszcza plastyczność obrazów w toku akcji. Wyciągnąwszy rękę powiedział: „Widzę przed sobą tego ojca” — przy czym patrzył wyłącznie na puste krzesło, gdzie siedział w czasie czytania. Siostra powiedziała: „Toż to nasze mieszkanie”. Zdziwiło mnie, jak nie zdawała sobie sprawy i powiedziałem: „Ależ w takim razie musiałby ojciec mieszkać w klozecie”.

28 lutego. Ernest Liman, podróżując w interesie, przybył rankiem słotnego jesiennego dnia do Konstantynopola i zwyczajem swym pojechał — odbywał tę podróż już po raz dziesiąty — beztrudnie przez puste zresztą ulice do hotelu, w którym ku swemu zadowoleniu zwykł był mieszkać za każdym razem. Było niemal chłodno, mżawka przesiąkała we wnętrze powozu, więc gniewny z powodu niepogody prześladowanej go w czasie całej tegorocznej podróży zawodowej podciągnął okno powozu w górę i wtulił się w ką, aby przedrzemać prawie piętnastominutową jazdę, jaka go czekała. Ponieważ jednak droga wiodła właśnie przez dzielnicę handlową, nie było mowy o spokoju i pokrzykiwania sprzedawców ulicznych, dudnienie ciężarowych wozów, oraz inny jeszcze zgiełk bez sensu, gdy się nie znało przyczyny, na przykład klaskanie w ręce tłumy, wytrącały go z głębokiego w innych warunkach snu.

U celu podróży oczekiwała go niemiła niespodzianka. Podczas ostatniego wielkiego pożaru w Stambule, o którym Liman niewątpliwie czytał w czasie podróży, hotel Kingston, w którym zwykle mieszkał, spłonął prawie zupełnie; woźnica, który naturalnie wiedział o tym, wykonał jednak mimo wszystko jego zlecenie ze znakomitą obojętnością względem swego pasażera i dowiózł go bez słowa do zgliszcz hotelu. Następnie zsiadł spokojnie z kozła i byłby na domiar wszystkiego wyładował kufry Limana, gdyby go ten nie pochwycił za kark i nie potrząsnął nim, po czym woźnica zrezygnował wprawdzie z kufrów, ale tak powoli i ospale, jakby to nie Liman odwiódł go od tego, lecz jego własna zmiana decyzji.

Parter hotelu częściowo zachował się jeszcze, przez oszalowanie z desek od góry i ze wszystkich stron uczyniono go od biedy mieszkalnym. Turecki i francuski napis zapowiadał szybko odbudowę hotelu w stylu piękniejszym i bardziej nowoczesnym. Ale jedyną oznaką tego była krzątanina trzech pracujących na dniówkę robotników, którzy łopatami i motykami odgarniali na bok gruz i załadowywali go na mały ręczny wózek. Jak się okazało, mieszkała w tych zwaliskach część personelu hotelowego skazanego przez pożar na bezrobocie. Skoro tylko powóz Limana zatrzymał się, wybiegł mu naprzeciw jakiś pan w czarnym surducie i jaskrawoczerwonym krawacie i opowiedział słuchającemu niechętnie Limanowi historię pożaru, owijając przy tym końce swej długiej, cienkiej brody dokoła palców i poniechał tego tylko po to, by wskazać Limanowi, gdzie wybuchł pożar, którędy się rozszerzał i jak wreszcie wszystko runęło. Liman, który w ciągu całego tego opowiadania nie odrywał prawie oczu od ziemi i nie wypuszczał z ręki klamki u drzwiczek powozu, chciał właśnie krzyknąć w

stronę woźnicy nazwę innego hotelu z poleceniem pojechania tam; na to człowiek w surducie zaczął błagać, wzniosłszy do góry ręce, by nie udawał się do innego hotelu, lecz pozostał wierny temu hotelowi, z którego zawsze był przecież zadowolony. Jakkolwiek było to na pewno tylko czczą gadaniną i nikt nie mógłby sobie przypomnieć Limana, jak i sam Liman poznał ledwie kogoś spośród męskich i żeńskich pracowników, których dostrzegł w drzwiach i oknach — przecież jako człowiek lubiący swoje przyzwyczajenie, zapytał, w jaki sposób mógłby na poczekaniu dochować wierności spalonemu hotelowi. W odpowiedzi powiadomiono go — a propozycja ta wywołała mimowolny uśmiech na jego usta — że dla dawnych gości tego hotelu, ale też tylko dla nich, przygotowano piękne pokoje w mieszkaniach prywatnych; niech Liman tylko rozkaże, a zaprowadzą go tam natychmiast, to całkiem blisko; nie straci czasu, a cena jest z grzeczności i z uwagi na to, że chodzi tu przecież o pomieszczenie zastępcze, całkiem wyjątkowo niska, chociaż jedzenie, sporządzane według przepisów wiedeńskich, jest — jeśli to możliwe — jeszcze wybredniejsze, a obsługa jeszcze staranniejsza niż w dawnym, mimo wszystko pod niejednym względem nie wystarczającym, hotelu Kingston.

— Dziękuję — powiedział Liman i mówiąc to wszedł do powozu.

— Zostanę w Konstantynopolu tylko przez pięć dni, a na ten czas nie zatrzymam się przecież w prywatnym mieszkaniu, nie, pojedę do hotelu. Za rok jednak, gdy powrócę, a pański hotel będzie odbudowany, zamieszkać na pewno tylko u pana. Pozwoli pan! — I Liman chciał zatrzaskać drzwi powozu, których klamkę pochwycił tym razem przedstawiciel hotelu.

— Panie! — rzekł błagalnie i podniósł oczy ku Limanowi.

— Precz z rękami — zawołał Liman, szarpnął drzwiczki i rzucił woźnicy rozkaz: — Do hotelu Royal. — Ale czy woźnica nie zrozumiał go, czy też czekał na zatrzasknięcie drzwi, w każdym bądź razie siedział na koźle nieruchomo jak posąg. Natomiast przedstawiciel hotelu wcale nie puszczał drzwi, co więcej, przywołał śpiesznym gestem jakiegoś kolegę, by ruszył się nareszcie z miejsca i przybiegł mu na pomoc. Zwłaszcza od jakiejś dziewczyny wiele oczekiwał wykrzykując raz po raz: — Fini, no rusz się, Fini! Gdzież do licha jest Fini? — Ludzie w oknach i w drzwiach obrócili się ku wnętrzu domu, jeden wołał przez drugiego; było widać, jak przebiegają pod oknami, wszyscy szukali Fini.

Limana mógłby doskonale jednym pchnięciem odsunąć od drzwi osobnika, który utrudniał mu odjazd i którego widocznie tylko głód natchnął odwagą do takiego zachowania się — zrozumiał to także ów człowiek i dlatego nie ośmielił się spojrzeć na Limana — ale Liman zebrał już w ciągu swych podróży za wiele przykrych doświadczeń, aby nie doceniać, jak ważne bywa na obczyźnie — nawet przy największej racji — unikanie wszelkiego rozgłosu; toteż spokojnie wysiadł jeszcze raz z powozu, nie zaszczycając na razie uwagą człowieka, który kurczowo przytrzymywał drzwi, podszedł do woźnicy, powtórzył mu swoje polecenie, dodając z naciskiem rozkaz szybkiego odjazdu stamtąd, przystąpił potem do człowieka przy drzwiach powozu, ujął jego rękę zwyczajnym na pozór chwytem, ścisnął ją jednak po kryjomu w stawie tak mocno, że człowiek krzyknął „Fini”, co było równocześnie rozkazem i gwałtowną oznaką bólu, prawie podskoczył i usunął palce z klamki.

— Idzie już! Idzie już! — zabrzmiał okrzyk ze wszystkich okien i roześmiana dziewczyna z rękami wetkniętymi w dopiero co ułożoną fryzurę, z głową na pół pochyloną podbiegła z domu ku powozowi.

— Prędko! Wsiadajmy! Leje przecież! — zawołała chwytając Limana za ramiona i podsuwając swą twarzyczkę bliźutko jego twarzy.

— To ja, Fini — dodała szeptem przesuwając pieszczotliwie dłońmi wzdłuż jego łopatek.

Nie całkiem wrogo odnoszą się tutaj do mnie, powiedział Liman sam do siebie i spojrzął z uśmiechem na dziewczynę. Szkoda, że już nie jestem młodzieńcem i nie wdaję się w niepewne przygody.

— To pewno omyłka, panienko — dorzucił zawracając do swego powozu — ani nie poleciłem przywołać pani, ani też nie zamierzam z panią odjechać. — Z powozu dodał jeszcze: — Proszę nie trudzić się dalej.

Ale Fini postawiła już nogę na stopniu i skrzyżowała ręce na piersi, powiedziała: — Czemu nie godzi się pan, abym poleciła jakieś mieszkanie? — Znużony natręctwem, jakiego już doznał, powiedział Liman wychylając się do niej: — Proszę nie zatrzymywać mnie dłużej bezużytecznymi pytaniami! Pojadę do hotelu i na tym koniec. Niech pani zdejmie nogę ze stopnia, inaczej narazi się pani na niebezpieczeństwo. Woźnica, jazda!

— Stój! — zawołała dziewczyna, chcąc tym razem serio wskoczyć do środka. Liman powstał, potrząsając przecząco głową i krępą swą postacią zagroził całe drzwi. Dziewczyna starała się go odepchnąć, stosując do osiągnięcia tego celu również głowę i kolano, wóz zaczął się chybotać na swych nędznych resorach. Limanowi zabrakło pewnego punktu oparcia.

— Czemu nie chce mnie pan wziąć ze sobą? Czemu nie chce mnie pan wziąć ze sobą? — powtarzała dziewczyna w kółko.

Byłoby niewątpliwie udało się Limanowi odepchnąć silną zresztą dziewczynę, nie wywierając na nią zbyt gwałtownej przemocy, gdyby nie jegomość w surducie, który zachowywał się dotąd pokojowo, jakby zluźowała go Fini; teraz jednak — zobaczywszy w Fini pewne wahanie — poskoczył na miejsce walki, podtrzymał ją i z całą siłą próbował podnieść dziewczynę do powozu, przy ciągle jeszcze delikatnej defensywie Limana. Poczawszy za sobą pomoc, dziewczyna wtargnęła rzeczywiście do pojazdu, zamknęła drzwi, które poza tym także i od zewnątrz zatrzaśnięto, powiedziała niby sama do siebie: — No — więc — i poprawiła- sobie najpierw pobieżnie bluzkę, później bardziej gruntownie — fryzurę.

— To niesłychane — rzekł do siedzącej naprzeciw dziewczyny Liman, który osunął się tymczasem na swe siedzenie.

2 maja. Wznowienie *Dziennika* okazało się bardzo potrzebne. Głowa moja pełna niepewności, F., katastrofa w biurze, fizyczna niemożliwość pisanie i wewnętrzna tego potrzeba.

Valli wychodzi z naszej bramy za moim szwagrem, który jutro jedzie do Czortkowa na ćwiczenia wojskowe. W tym pójściu za nim dziwnie przejawia się uznanie faktu małżeństwa jako instytucji, z którą pogodzone się definitywnie.

Opowiadanie córki ogrodnika, która przedwczoraj przerwała mi pracę. Ja, który pracą chcę uleczyć się z neurastenii, musiałem wysłuchać, jak brat panienki — nazywał się Jan — i właściwie był już ogrodnikiem i przyszłym następcą starego Dvorskyego nawet już właścicielem ogrodu kwiatowego — otruł się przed dwoma miesiącami w dwudziestym ósmym roku życia na skutek melancholii. W lecie pomimo swej pustelnicznej natury czuł się stosunkowo dobrze, ponieważ musiał stykać się przynajmniej z nabywcami, za to w zimie zamknął się całkiem w sobie. Jego narzeczona była urzędniczką — uřednice — dziewczyną również melancholijnego usposobienia. Chodzili często razem na cmentarz.

Olbrzym Menasse na żargonowym przedstawieniu. Coś dziwnie czarodziejskiego w jego ruchach przejęło mnie, coś współdzwięcznego z muzyką. Zapomniałem co.

Mój głupi śmiech, gdy powiedziałem dziś matce, że na Zielone Świąta pojedę do **Berlina**  
mowa tu o odwiedzinach U F. B.

— Dlaczego śmiejesz się? — zapytała matka (obok paru innych uwag, jak: „Uważaj więc, kto się na zawsze wiąże” — które odparłem uwagami w stylu: „to nic itd.”).

— Z zakłopotania — odpowiedziałem i byłem zadowolony, że raz powiedziałem coś prawdziwego w tej sprawie.

Spotkałem wczoraj panią **B** wychowawczyni, która w dzieciństwie Kafki odegrała pewną rolę. Jej spokój, zadowolenie, naiwność i jasność myśli, chociaż w ostatnich latach dokonała się w niej przemiana w staruszkę, a uciążliwa już dawniej pełność ciała prawdopodobnie rozleje się wkrótce w maksimum jałowej otyłości; choć chód jej przybrał formę przetaczania się, wleczenia i suwania z popychaniem lub niesieniem naprzód brzucha, a na jej podbródku — gdy się patrzy niedługo, tylko na podbródku — kędzierzawią się włosy wyrosłe z pierwotnego puszku.

3 maja. Straszliwa niepewność mego wewnętrznego istnienia.

Jak rozpinam kamizelkę, aby panu B. pokazać swoją wysypkę. Jak daję mu znak, byśmy przeszli do sąsiedniego pokoju.

Żonatego człowieka uderzono z tyłu kołkiem, który nie wiadomo skąd się pojawił, przewrócono i przebito na wylot. Człowiek leżąc na ziemi, żali się, podniósł głowę, rozłożył ręce. Potem może już nawet podnieść się chwiejnie na chwilę. Opowiedzieć może tylko to, jak go coś ugodziło, i wskazuje mniej więcej kierunek, z którego, jak mu się wydaje, kół się pojawił. Te jednakowe wciąż opowiadania nudzą w końcu żonę, zwłaszcza że mąż wskazuje coraz to inny kierunek.

4 maja. Natrętny obraz noża do wędlin wcina się we mnie z boku niesłychanie szybko z mechaniczną regularnością i odkrawa cieniutkie płaty, które przy tej szybkości odpadają prawie zwinęte.

Pewnego ranka o wczesnej porze, gdy ulice jak okiem sięgnąć były jeszcze puste, jakiś człowiek, bosi, tylko w nocnej koszuli i spodniach, otworzył bramę wielkiej kamienicy czynszowej przy głównej ulicy. Trzymał mocno odrzwia z obu stron, oddychał głęboko. — Nędza, przeklęta nędza — stęknął i spojrzął na pozór spokojnie najpierw wzdłuż ulicy, potem po poszczególnych domach.



A zatem rozpacz i stąd. Nigdzie nie przyjmują.

24 maja. Przechadzka z Pickiem.

Pycha, bo uznałem *Palacza* za utwór tak udany.

Wieczorem odczytałem go rodzicom; nie ma lepszego krytyka niż ja sam, gdy czytałem przed możliwie niechętnie przysłuchującym się ojcem. Sporo miałem przed niezmiernymi chyba głębiami.

5 czerwca. Wewnętrzne zalety, które średniej miary utwory literackie czerpią z faktu, że autorzy ich żyją jeszcze i stają w ich obronie. Właściwy sens wychodzenia z mody.

Löwy, historia o przekroczeniu granicy.

21 czerwca. Strach zewsząd, który cierpię. Badanie u lekarza, natychmiast zaczyna nacierać na mnie, po prostu się wydrażam, a on wlaższy we mnie, wzgardzany i bez sprzeciwu, głędzi swoje czcze bzdury.

Niezmierny świat, jaki noszę w głowie. Ale jak oswobodzić siebie i jak oswobodzić ten świat bez rozdarcia?

Chociaż tysiąc razy lepsze rozdarcie niż więzienie go w sobie lub pogrzebanie z sobą. Po to przecież żyję, jest mi to całkiem jasne.

W pewien chłodny poranek wiosenny, blisko godziny piątej rosły mężczyzna w płaszczu sięgającym aż do stóp zastukał pięścią w drzwi nędznej chatki szarzejacej na tle okolicy bezdrzewnej i falistej.. Nasłuchiwał po każdym uderzeniu pięścią, ale w chacie było wciąż cicho.

1 lipca. Pragnienie samotności, w której mógłbym nie myśleć. Być tylko w obliczu samego siebie. Może osiągnę to w Rivie.

Trzy dni temu z **Weissem**, autorem *Galery*. Ernst Weiss, utalentowany prozaik i dramaturg, który pozostawał później w zażyłych stosunkach z Kafką. W 1933 r. uciekł do Francji; popełnił samobójstwo po zajęciu Paryża przez Niemców. Żydowski lekarz, Żyd w rodzaju najbliższym typowi Żyda zachodnioeuropejskiego, stąd człowiek czuje się mu bliski od pierwszej chwili. Olbrzymia korzyść dla chrześcijan, którzy w obcowaniu powszechnym doznają wszędzie tych samych uczuć bliskości i delektują się nimi, na przykład chrześcijanin Czech pośród Czechów chrześcijan.

Młoda para w podróży poślubnej, która wyszła z Hôtel de Saxe. Było to po południu. Wrzucili kartkę do skrzynki. Zmięte ubrania, ociążały krok, pochmurne mdłe popołudnie. Mało charakterystycznych twarzy na pierwszy rzut oka.

Obraz przedstawiający uroczystość trzechsetlecia Romanowów w Jarosławiu nad Wołgą. Car, księżniczki stojące markotnie w słońcu; tylko jedna z nich, delikatna, nieco już starsza, znudzona, oparłszy się na parasolce, patrzy przed siebie. Następca tronu na ramieniu Kozaka, kolosa Z odkrytą głową. Na drugim obrazie salutują Z dala żołnierze, którzy dawno już przemaszerowali.

Milioner w filmie *Niewolnicy złota*. Zachować go w pamięci. Spokój, powolne, świadome celu ruchy; gdy trzeba, rażny chód, wzruszanie ramieniem. Bogaty, rozpieszczony, oziębiały, ale skacze niczym parobek i przeszukuje izbę w karczmie wśród lasów, gdzie go zamknięto.

2 lipca. Szło chałem nad sprawozdaniem z procesu niejakiej Marii Abraham, dwudziestotrzyletniej kobiety, która z biedy i głodu zadusiła swoją prawie dziewięciomiesięczną córeczkę Barbarę męskim krawatem używanym jako podwiązka, który zdjęła. Historia całkiem typowa.

Ogień, za pomocą którego urządziłem mej siostrze w łazience zabawny pokaz kinematograficzny. Dlaczego nie potrafię tego nigdy przed obcymi?

Nie ożeniłbym się nigdy z dziewczyną, z którą bym wpierw przeżył rok w tym samym mieście.

3 lipca. Rozszerzenie i podniesienie na wyższy poziom egzystencji przez małżeństwo. Cytat z kazania. Ale i sam przeczuwam to prawie.

Gdy coś mówię, traci to swą ważkość natychmiast i raz na zawsze; gdy to samo napiszę, traci również ważkość swą w każdym wypadku, ale nieraz zyskuje ważkość nową.

Sznur złotych kuleczek na opalonej, śniadej szyi.

19 lipca. Z pewnego domu wyszło czterech uzbrojonych mężczyzn. Każdy z nich trzymał przed sobą halabardę kolcem do góry. Co chwila któryś oglądał się za siebie, aby zobaczyć, czy nie nadchodzi już ten, na którego czatowali. Był wczesny ranek, ulica była całkiem pusta.

— Cóż więc chcecie? Pójdźcie za mną! — Nie chcemy. — Odstąp!

I po to wysiłek wewnętrzny! Ach, dlatego dźwięczy tak człowiekowi w uchu muzyka kawiarni. Widoczny staje się rzut kamienia, o którym opowiadała Elsa B.

Jakaś kobieta siedzi przy kądzieli. Jakiś mężczyzna otwiera drzwi uderzeniem miecza, wsuwanego równocześnie w pochwę (trzyma ją swobodnie w ręce).

MEŹCZYŻNA: Tutaj był on!

KOBIETA: Kto? Czego chcecie?

MEŹCZYŻNA: Koniokrad. Ukrywa się tutaj. Nie wypieraj się! (wywija mieczem)

KOBIETA (podnosi kądziel w swej obronie): Nie było tu nikogo. Puśćcie mnie!

20 lipca. W dole na rzece tkwiły nieruchomo liczne łodzie. Rybacy zarzucili wędki, dzień był chmurny. O barierę nadbrzeża oparło się kilku chłopców, założywszy nogę na nogę.

Kiedy wniesiono kielichy z szampanem, aby uczcić chwilę jej odjazdu, zapadał już zmierzch. Rodzice i nieliczni weselni goście odprowadzili ją aż do powozu.

21 lipca. Nie rozpaczać, także i z tego powodu, że nie rozpaczam. Gdy zdaje się, że wszystko już chyli się ku końcowi, nadejdą przecież jeszcze nowe siły, to dowodzi właśnie, że żyjesz. Gdy nie nadejdą, wówczas zakończy się wszystko tutaj, tym razem ostatecznie.

Nie mogę spać. Tylko widziadła senne, snu brak. Dzisiaj wynalazłem w majaczeniu sennym nowy środek komunikacji po spadzistym parku. Bierze się gałąź niekoniecznie bardzo grubą, opiera się ją skośnie o Ziemię, jeden jej koniec trzyma w ręku, siada na nią jak najlżej, niby na damskie siodło, a wtedy cała gałąź zesuwa się, rzecz jasna, błyskawicznie zboczem w dół; a że się na tej gałęzi siedzi, jest się porwanym i człowiek kołysze się błogo w całym pędzie na elastycznym drewnie. A potem znajduje się również jakaś możliwość użycia tej samej gałęzi do wyjechania z powrotem na górę. Główna zaleta — nie mówiąc o prostocie całego urządzenia — tkwi w tym, że można przecież gałąź dzięki jej cienkości i giętkości obniżać i podnosić, tak że przemyka wszędzie tam, gdzie nawet człowiek o własnych siłach z trudem by tylko przeszedł.

Zostać wciągniętym na sznurze, zaciśniętym na szyi, przez okno parterowe jakiegoś domu i bez litości - bo przez kogoś, kto na nic nie zważa — być szarpanym krwawiąc i rwąc się w strzępy, w górę, przez wszystkie sufity, sprzęty, ściany i strychy, aż wreszcie w górze, na dachu pojawi się pusta pętla, która nawet moje szczątki zgubiła dopiero przy roztrzaskiwaniu dachówki.

Specyficzna metoda myślenia. Przepojona odczuwaniem. Wszystko odczuwa się jako myśl, nawet w sferze jak najbardziej nieokreślonej (Dostojewski).

Ach, ten kołowrót we wnętrzu człowieka. Jakiś haczyk posuwa się w przód gdzieś w ukryciu, w pierwszej chwili nie wie się prawie o tym, a już cały mechanizm został uruchomiony. Podległy niepojętej mocy, tak — jak zdaje się — zegar podlega czasowi, coś trzeszczy tu i tam i już zgrzytają wszystkie łańcuchy, posuwając się jeden za drugim w dół tyle, ile im przeznaczono.

Zestawiam wszystko, co przemawia za moim małżeństwem i przeciwko niemu:

1. Niezdolność do znoszenia życia w samotności, nie niezdolność do życia, wręcz przeciwnie, nie jest nawet prawdopodobne, abym potrafił współżyć z kimś, ale jestem niezdolny znosić to wszystko: napaści mego własnego życia, żądania mojej osoby, napór czasu i wieku, nieuchwytna presja żądy pisania, bezsenność i bliskość obłądu — tak, to wszystko znosić jestem niezdolny. Być

może, dodają oczywiście. Związek z F. nada mojej istocie więcej odporności.

2. Wszystko daje mi natychmiast do myślenia. Każdy dowcip w piśmie humorystycznym, przypomnienie Flauberta i Grillparzera, widok nocnych koszul na rozścielonych na noc łóżkach moich rodziców, małżeństwo Maksa. Wczoraj moja siostra powiedziała: „Wszystkie małżeństwa (w kole naszych znajomych) są szczęśliwe, nie rozumiem tego”, nawet ta wypowiedź dała mi do myślenia, zacząłem się znowu lękać.

3. Muszę wiele przebywać sam. To, co twórczo zdziałalem, jest wyłącznie owocem przebywania w samotności.

4. Nienawidzę Wszystkiego, co nie ma związku z literaturą, nudzi mnie zapuszczanie się w rozmowy (nawet odnoszące się do literatury), nudzi mnie składanie wizyt, radości i cierpienia moich krewnych nudzą mnie aż po sam rdzeń duszy. Rozmowy odzierają z ważkości, z powagi i z prawdy wszystko to, co myślę.

5. Strach przed związkiem, przed rozplnięciem się w kimś. Wtedy nie byłbym już nigdy więcej sam.

6. Bywałem w towarzystwie swych sióstr to zdarzało się zwłaszcza dawniej — często innym człowiekiem niż w obecności innych ludzi. Nieustraszony, obnażony, potężny, zdumiewający, przejęty, jaki poza tym jestem jedynie przy pisaniu. Ach, gdybym za pośrednictwem mojej żony mógł być taki sam przed wszystkimi ludźmi! Czy nie stałoby się to jednak kosztem oderwania mnie od pióra? Wszystko, tylko nie to, tylko nie to!

7. Będąc sam, zdołałbym może kiedyś porzucić faktycznie swą posadę. Gdybym się ożenił, nie będzie to nigdy możliwe.

Do naszej klasy, mianowicie piątej klasy gimnazjum imienia Amalii, uczęszczał pewien chłopak nazwiskiem Friedrich Guss, wszyscy nienawidziliśmy go bardzo. Gdy wbiegając rano do klasy, widzieliśmy go rozsiadającego się na swoim miejscu pod piecem, z trudem mogliśmy pojąć, jak zdołał odważyć się na Ponowne przyjście do szkoły. Ale opowiadam nieściśle. Nienawidziliśmy nie tylko jego, nienawidziliśmy wszystkich. Tworzyliśmy straszliwy związek. Kiedy pewnego razu krajowy inspektor szkolny był obecny na którejś godzinie — odbywała się właśnie lekcja geografii i profesor utkwivszy oczy w mapie albo też, jak wszystkie belfry, gapiąc się w okno, opisywał półwysep Morea... [rękopis przerwany]

Było to w dniu otwarcia szkoły, zapadał już wieczór. Profesorowie wyższych klas gimnazjalnych siedzieli jeszcze w pokoju konferencyjnym, czytali w skupieniu spisy uczniów, zakładali nowe dzienniki klasowe, opowiadali o swych podróżach urlopowych.

O, ja nieszczęsny!

Tylko walić konia, ile się da! Wbijać weń powoli ostrogi, potem wydierać je nagłym szarpnięciem, a teraz wbijać je co siły w ciało.

Co za nędza!

Czyśmy poszaleli? Biegliśmy w nocy przez park, machając gałęziami.

Wpłynąłem łódką w małą, naturalną zatoczkę.

Miałem zwyczaj w swoich gimnazjalnych czasach odwiedzać niekiedy niejakiego Józefa Macka, przyjaciela mego zmarłego ojca. Gdy po ukończeniu gimnazjum... [rękopis przerwany]

Hugo Seifert miał w swej erze gimnazjalnej zwyczaj odwiedzania od czasu do czasu niejakiego Józefa a Kiemanna, starego kawalera, zaprzyjaźnionego niegdyś ze zmarłym ojcem Hugona. Wizyty te przerwały się nagle, gdy Hugo otrzymał nieoczekiwaną propozycję stanowiska za granicą, które należało objąć natychmiast i w następstwie tego opuścił na kilka lat swoje rodzinne miasto. Po powrocie zamierzał wprawdzie odwiedzić starca, cóż, kiedy nie nadarzyła się żadna po temu sposobność, a może takie właśnie odwiedziny nie odpowiadałyby jego zmienionym poglądom; dość, że chociaż przechodził często ulicą, przy której mieszkał Kiemann — co więcej, choć widział go wiele razy wyglądającego oknem — a prawdopodobnie i sam nie przeszedł nie zauważony — przecież nie zdołał się na wizytę.

Nic, nic, nic. Niemoc, samounicestwienie, język ognia piekielnego, który przeniknął ziemię.

23 lipca. Z Feliksem w Rostocku. Rozpętany seksualizm kobiet. Wrodzona im nieczystość. Bezsensowna moim zdaniem zabawa z małą Lenchen. Widok jakiejś otyłej kobiety, która skurczona we dwoje w swym koszu plażowym wysunąwszy ostentacyjnie jedną nogę, szyla coś, gawędząc z jakąś starą kobietą, prawdopodobnie starą panną, O błyskających po jednej stronie ust, szczególnie wielkich zębach. Pełnokrwista rasowość i roztropność kobiety brzemiennej. Jej zadek o równych, dwudzielnych powierzchniach, po prostu szlifowany. Życie na małym tarasie. Całkiem nieczuły wziąłem małą na kolana, wcale nie nieszczęśliwą wskutek tej nieczułości. Podejście w „cichej dolinie”.

Jak dziecinnie zabawny jest blacharz, którego widać przez otwarte drzwi! Siedzi przy swojej robocie i bez przestanku klepie młotkiem.

Roskoffa *Historia diabła*: U dzisiejszych Karaibów „ten, który działa w nocy” uchodzi za stwórcę świata.

13 sierpnia. Może wszystko ma się już ku końcowi i wczorajszy mój list jest ostatni. Byłoby to pod każdym względem słuszne. Tego, co ja wycierpię i co przecierpi ona, nie można porównać z cierpieniem wspólnym, które by na nas spadło. Ja opanuję się powoli, ona wyjdzie za mąż, to jest jedyna droga ocalenia pośród żyjących. Oboje nie zdołamy wykuć dla nas obojga ścieżki w skałę; dość, że przeplakaliśmy przy niej rok cały, dręcząc się wzajemnie. Ona wyczyta to z moich ostatnich listów. A jeśli nie, to niewątpliwie poślubię ją, bo jestem za słaby, aby sprzeciwić się jej mniemaniu o naszym wspólnym szczęściu i brak mi sił by tego, co ona uważa za osiągalne, nie urzeczywistnić, o ile to zależy ode mnie.

Wczoraj wieczorem na Belwederze, pod gwiazdami.

14 sierpnia. Zaszło coś wręcz przeciwnego. Nadeszły trzy listy. Ostatniemu z nich nie mogłem się oprzeć. Kocham ją, ile tylko potrafię kochać, ale moją miłość grzebią aż do utraty tchu strach i wyrzuty względem samego siebie.

Wnioski z Wyroku dla tego, co przeżywam. Utwór ten zawdzięczam — przez jakież manowce — jej. Niemniej narzeczona gubi Jerzego.

Spółkowanie jako kara za szczęście współżycia. Żyć jak najascetyczniej, bardziej wstrzemięźliwie niż kawaler to jedyna dla mnie możliwość znoszenia małżeństwa. Ale ona?

A jednak mimo wszystko nie ożeniłbym się nawet wtedy, gdybyśmy oboje, to jest ja i F., byli pod każdym względem równouprawnieni, gdyby nasze życiowe perspektywy i możliwości były jednakowe. Z drugiej strony ta ślepa uliczka, w jaką z wolna wtłoczyłem jej los, czyni dla mnie małżeństwo nieuniknionym, bynajmniej nie dającym się przeoczyć obowiązkiem. Działa tutaj jakieś tajemnicze prawo wzajemnych ludzkich stosunków.

List do rodziców sprawił mi wiele trudności, zwłaszcza dlatego że brulion sporządzony wśród szczególnie nieprzychylnych okoliczności długo opierał się poprawkom. Dzisiaj udało mi się przecież dokonać ich jako tako, przynajmniej nie ma w tym liście żadnego kłamstwa, moi rodzice będą mogli mimo wszystko odczytać go i zrozumieć.

15 sierpnia. Męczarnie w łóżku nad ranem. Jedynym rozwiązaniem wydał mi się skok z okna. Matka przyszła do łóżka pytając, czy wysłałem list i czy zawiera on swój dawny tekst. Odpowiedziałem, że był to dawny tekst, tylko jeszcze obostrzony. Matka mówi, że nie rozumie mnie. Ja na to, że nie rozumie mnie w ogóle, nie tylko pod tym jednym względem. Po chwili zapytała mnie, czy napiszę do stryja Alfreda, przecież on zasługuje na mój list. — A czymże zasługuje — zapytałem. — Telegrafował, pisał, jest ci tak życzliwy. — To tylko zewnętrzne pozory — odparłem — jest mi całkiem obcy, rozumie mnie zupełnie błędnie, nie wie, czego pragnę i czego mi potrzeba, nie mam z nim nic wspólnego. — A więc nie rozumie cię nikt — powiedziała matka — jestem ci prawdopodobnie tak samo obca i ojciec także. Więc wszyscy chcemy tylko twej krzywdy. — Oczywiście, jesteście mi wszyscy obcy, łączy nas tylko związek krwi, ale on nie dochodzi do głosu. Krzywdy mej nie chcecie na pewno.

Dzięki tej rozmowie oraz kilku innym spostrzeżeniom dokonanych na sobie samym zrozumiałem, że w moim, coraz to bardziej narastającym wewnętrznym zdecydowaniu i przeświadczeniu tkwią

możliwości, by mimo wszystko ostać się cało w stanie małżeńskim, a nawet doprowadzić go do rozwoju, który byłby korzystny dla mego przeznaczenia. Jest to zresztą wiara, która budzi się we mnie poniekąd już na krawędzi okna.

Odgraniczę się od wszystkich aż do niepamięci włącznie. Z wszystkimi się poróżnię aż do wrogości, nie będę mówił z nikim.

Człowiek o ciemnych, surowo patrzących oczach. Niósł pęk starych płaszczy na plecach.

LEOPOLD S., rośli i tęgi, niezdarna, przeciągła gestykulacja, luźno zwisający fałdzisty ubiór w czarno-białą kratę, wbiega prawymi drzwiami do obszernego pokoju, klaszcze w dłonie i woła: Felice! Felice!

Nie czekając ani chwili na efekt swego wołania, śpieszy ku drzwiom środkowym i otwiera je, wołając ponownie:  
Felice!

FELICE S. wchodzi lewymi drzwiami i przystaje tuż przed nimi. Jest to czterdziestoletnia kobieta w kuchennym fartuchu: Jestem już, Leo. Ależ nerwus z ciebie ostatnio! Czego znów chcesz?

LEOPOLD, w tył zwrot, nieruchomieje, przygryza wargi:  
Nareszcie! No, chodźcie tutaj! Idzie w stronę kanapy. FELICE bez ruchu: Prędejj. Czego chcesz? Muszę przeciejj iść do kuchni.

LEOPOLD siedząc na kanapie: Zostaw kuchnię! Chodź tu! Chcę ci powiedzieć coś ważnego. Zależy mi na tym. No, chodź!

FELICE zbliża się powoli, podciąga ramięczka fartucha:  
A więc cóż tam jest tak ważnego? Jeśli chcesz wystrychnąć mnie na dudka, rozgniewam się, ale to na serio. Przystaje przed nim.

LEOPOLD: Ale usiądź wreszcie!

FELICE: A jak nie?

LEOPOLD: Wówczas nie będę mógł ci tego powiedzieć, Muszę mieć cię przy sobie, blisko.

FELICE: No więc siedzę już, siedzę.

21 sierpnia. Dostałem dzisiaj książkę Kierkegaarda *Księga sędziego*. Jak przeczuwałem, jego dramat życiowy jest pomimo zasadniczych różnic nadzwyczaj podobny do mojego, a przynajmniej rozgrywa się po tej samej stronie świata. Autor pokrzepia mnie jak przyjaciel. Szkicuję następujący list do jej ojca, który zamierzam wysłać jutro, o ile dopiszą mi siły.

„Pan zwleka z odpowiedzią na moją prośbę, jest to całkiem zrozumiałe, każdy ojciec postąpiłby tak samo w odniesieniu do każdego konkurenta, nie skłania mnie to zatem w najmniejszej mierze do napisania listu, a co najwyżej zwiększa moją nadzieję, że będzie on bezstronnie oceniony. Piszę ten list z obawy, że wahanie czy też zastanawianie się Pana ma więcej powodów ogólnej natury, niż to wynika — jako jedyny konsekwentny wniosek — z tego jedynego ustępu w moim pierwszym liście, który mógłby mnie zdemaskować. Mam na myśli fragment omawiający moją nieznośną sytuację w związku z posadą.

Może Pan zlekceważyć to słowo, nie powinien Pan jednak tego czynić, powinien raczej wypytać mnie bardzo dokładnie, a wtedy musiałbym odpowiedzieć krótko i węzłowato, co następuje. Moja posada jest dla mnie nie do zniesienia, ponieważ przeciwstawia się temu, czego wyłącznie pragnę i co stanowi mój jedyny zawód, to jest literaturze. Zważywszy, że nie jestem niczym innym, jak tylko człowiekiem pióra, że niczym innym być nie mogę i nie chcę, moja posada nie zdoła nigdy stać się dla mnie porywająco atrakcyjna, za to potrafi z pewnością wyniszczyć mnie do ostatka. Niedaleko mi zresztą do tego. Nerwowe stany najgorszego rodzaju zyskały władzę nade mną, nie folgując mi ani na chwilę, a ostatni rok pełen trosk i udręki o przyszłość moją i córki Pańskiej dowiódł całkowicie mojej nieodporności. Mógłby Pan zapytać, dlaczego tej posady nie porzucam i — nie posiadając majątku — nie próbuję utrzymać się ze swoich prac literackich. Mogę udzielić na to tylko tej pożałowania godnej odpowiedzi, że brak mi potrzebnych na to sił, i że, o ile zdaję sobie sprawę ze swego położenia, raczej na tej posadzie skończę się — i to, nie kryjąc prawdy, skończę się niebawem.

A teraz niechże mnie Pan porówna krytycznie ze Swą córką, tą zdrową, wesołą, swobodną i pełną energii dziewczyną. Jakkolwiek często, bo nawet w blisko pięciuset listach powtarzałem jej to, a ona tyle razy uspokajała mnie słowem „nie”, bez przekonywającej zresztą słowa tego motywacji — pozostaje przeciejj prawdą, że musiałaby być ze mną nieszczęśliwa, o ile to przewidzieć potrafię. Nie tylko na skutek swych warunków zewnętrznych, ale w większym stopniu przez właściwe sobie usposobienie jestem człowiekiem zamkniętym, milczącym, nietowarzyskim i niezadowolonym, czego

nie mogę nazwać własnym swym nieszczęściem, gdyż jest to tylko refleksem mojego celu. Można tu przynajmniej z mego domowego trybu życia wysnuć pewne wnioski. Otóż wiodę w swojej rodzinie wśród najzacieśniej i najmilszych ludzi życie bardziej obce niż ktoś obcy. Rozmowy z moją matką ograniczyłem w ciągu lat ostatnich do mniej niż przeciętnie dwudziestu słów w ciągu dnia, z moim ojcem zamieniłem ledwie parę słów więcej niż same tylko wyrazy pozdrowienia. Ze swymi zamężnymi siostrami i ze szwagrami nie rozmawiam w ogóle, jakkolwiek nie jesteśmy wcale poróżnieni. Powodem tego jest po prostu fakt, że nie znajduję najbliższego tematu do rozmowy z nimi. Wszystko, co nie jest literaturą, nudzi mnie i budzi moją nienawiść, ponieważ przeszkadza mi i hamuje mój rozwój, choćby tylko w subiektywnym słów tych rozumieniu. Brak mi przy tym wszelkiego zmysłu dla życia rodzinnego, wyjąwszy — w najlepszym wypadku — rolę obserwatora. Nie mam żadnych uczuć rodzinnych, a w odwiedzinach widzę po prostu złośliwość skierowaną przeciwko mnie samemu. Małżeństwo nie potrafiłoby mnie zmienić, podobnie jak nie zdoła mnie zmienić moja posada.

30 sierpnia. Gdzie znajdę ratunek? Ileż jeszcze fałszów, które już przestałem sobie uświadamiać, wypłynie razem z nim na powierzchnię? Jeżeli realny związek byłby tak nimi przepojony jak realne rozstanie, wówczas bez kwestii postąpiłem słusznie. We mnie samym nie ma poza stosunkiem do ludzi żadnych widzialnych kłamstw. Ten ograniczony zakres jest czysty.

14 października. Mała uliczka zaczynała się murem cmentarnym po jednej stronie, a niskim domem z balkonem po drugiej. W domu tym mieszkał emerytowany urzędnik Friedrich Munch wraz z siostrą swą Elżbietą.

Stado koni wyrwało się z ogrodzenia.

Dwu przyjaciół odbyło ranną przejażdżkę wierzchem.

— Diabły, ratujcie mnie z zamroczenia! — zawołał stary kupiec, który wieczorem zmęczony położył się na kanapie, a teraz w nocy, zebrawszy wszystkie siły, podniósł się nieco. Ktoś zastukał głucho w drzwi. — Wejść, niech wejdzie wszystko, co jest za progiem! — zawołał starzec.

15 października. Być może, wziąłem się znowu w cugle; nie wiedząc o tym, może znów pobiegłem na przelaj, ja, którym rozpacział już w samotności, i znowu trwam. Ale bóle głowy, ale bezsenność! Trudno, wybiła godzina walki lub raczej nic ii-mego nie mam do wyboru.

Pobyt w Rivie był dla mnie bardzo ważny. Po raz pierwszy zrozumiałem chrześcijańską dziewczynę i żyłem prawie bez reszty w kręgu jej oddziaływania. Jestem niezdolny do tego, by zapisać cokolwiek decydującego o tym wspomnieniu. Aby się tylko utrzymać, moja słabość powoduje, że w mojej tępej głowie rozjaśnia się i pustoszeje, o ile zamęt pozwoli się zepchnąć na peryferie. Ten stan wolę niż ów tylko tępy i nieokreślony napór; aby go —problematycznie zresztą — wyzwoić, trzeba by młota, który by mnie wpiernw roztrzaskał.

Nieudana próba napisania do E. Weissa. A tak mi wczoraj w łóżku ten list kipiał w głowie.

Siedzieć w kącie tramwaju, otuliwszy się w płaszcz.

Podróż do Rivy, profesor G. Jego przypominający śmierć czesko-niemiecki nos, nabrzmiałe, przekrwione, opryszczone policzki w twarzy skłonnej do anemicznego wychudzenia, a okolonej bujną złotą brodą. Opętany żądzą żarcia i picia. Łykanie gorącej zupy, wgryzanie się przy równoczesnym oblizywaniu w nie odartą ze skóry kichę salami, poważne picie łyżkami podgrzanego piwa, występowanie potu dokoła nosa. Ohyda, której nawet najpożądliwszym patrzyeniem i obwąchiwaniem nie można wyczerpać.

Dom był już zamknięty. W dwu oknach drugiego piętra świeciło się światło, poza tym w jednym jeszcze oknie na czwartym piętrze. Przed domem zatrzymał się powóz. Do oświetlonego okna na czwartym piętrze podszedł młody człowiek, otworzył je i wyjrzał w dół na ulicę. W świetle księżycy.

Było już późno wieczór. Student stracił zupełnie ochotę do dalszej pracy. Bo też nie było to wcale potrzebne, w ciągu ostatnich tygodni postąpił istotnie znacznie naprzód, mógł chyba odpocząć trochę i ograniczyć ślęczenie po nocy. Zamknął w schowku swoje książki i zeszyty, uporządkował wszystko

na swym małym stoliku i chciał się już rozebrać, aby pójść spać. Przypadkowo spojrzął jednak w stronę okna i na widok jasnej pełni księżycy drgnęła w nim myśl, by przejść się jeszcze trochę w piękną noc jesienną i jeśli się da, pokrząć się gdzieś łykiem czarnej kawy. Zgasił lampę, wziął kapelusz i otworzył drzwi do kuchni. Było mu na ogół całkiem obojętne, że musiał zawsze wędrować przez kuchnię i ta niedogodność obniżała znacznie czynsz za jego pokój; ale nieraz, gdy w kuchni panował niezwykły hałas, albo gdy chciał, jak dziś na przykład, wymknąć się późnym wieczorem, było to przecież uciążliwe.

Beznadziejnie. Dzisiaj po południu, w północy: w końcu cierpienie musi mi przecież rozsadzić głowę. A mianowicie w skroniach. To, co zobaczyłem w tej wizji, to była właściwie rana od strzału, tylko obwód dziury był wywinięty ostro wyszarpanymi strzępami na zewnątrz, jak w puszcze blaszanej rozdieranej w dzikim pośpiechu.

Nie zapominać o Krapotkinie! Pamiętniki Krapotkina były ulubioną lekturą Kafki, podobnie jak wymienione później w Dziennikach pamiętniki A. Hercena.

20 października. Niewyobrażalny smutek rano. Wieczorem czytałem Jacobsohna *Sprawę Jacobsohna*. Jacobsohn Siegfried (1881—1926) krytyk teatralny i redaktor, założyciel (opozycyjnego) czasopisma Schönbüchne, później Weltbüchne.

Ach, ta siła sprawiająca, że się żyje, że się decyduje, że się radośnie stawia stopę tam, gdzie trzeba. Siedzi on w samym sobie tak, jak by siedział champion wioślarstwa w łodzi własnej lub jakiegokolwiek innej. Chciałem do niego napisać.

Zamiast tego poszedłem się przejść, zatarłem wszelkie uczucia wchłonięte w rozmowie z Haasem, na którego się natknąłem; kobiety podniecały mnie, a teraz czytałem w domu *Przemianę* i uznałem to za marnotę. Może jestem już naprawdę zgubiony, powróci smutek dzisiejszego rana, nie zdołam opierać mu się długo, odbiera mi wszelką nadzieję. Nie mam nawet ochoty notować czegokolwiek w Dzienniku; może dlatego, że zbyt wiele tam już brakuje, może dlatego, że nieustannie musiałbym opisywać połowiczne metody działania, i to według wszelkiego prawdopodobieństwa połowiczne z konieczności, a może dlatego, bo nawet pisanie pogłębia mój smutek.

Chętnie pisałbym bajki (czemu tak bardzo nienawidzę tego słowa?), bajki, które mogłyby przypaść do gustu pani W.; pewnego dnia przy obiedzie trzymałaby je pod stołem, czytając między jednym daniem a drugim, i zaczerwieniłaby się straszliwie, zdając sobie sprawę, że lekarz sanatoryjny już od dłuższej chwili stoi za nią i obserwuje. Niekiedy a raczej zawsze podniecona, gdy opowiada. Jak zauważam, przypominając sobie coś, boję się wprost wysiłku fizycznego, boję się bólu, pod którego wpływem dno pustki myślowej otwiera się powoli, albo także tylko najpierw trochę się wydyma. Wszystko, co istnieje, broni się przed faktem zapisania. Gdybym był pewien, że działa tutaj jej zakaz, aby niczego o niej nie rozgłaszać (dochowałem go ściśle i prawie bez trudu), wówczas byłbym zadowolony, ale nie ma w tym niczego prócz mej niezdolności. A zresztą cóż mam sądzić o tym, że dzisiaj wieczorem cały czas na spacerze przemysliwałem, ile na skutek znajomości z panią W. straciłem przyjemności z Rosjanką, która — a nie jest to wcale wykluczone — być może nocą wpuściłaby mnie do swego pokoju, położonego naprzeciwko, na ukos od mojego. Tymczasem wieczorna moja zażyłość z panią W. polegała na tym, że wystukiwanym alfabetem, którego nie zdołaliśmy nigdy ostatecznie ustalić, sygnalizowałem w sufit swego pokoju położonego pod jej pokojem, że otrzymałem od niej odpowiedź, wychylałem się z okna, śląc jej pozdrowienia, raz dałem się jej pobłogosławić, próbowałem pochwytać zwieszoną wstążkę, siadywałem godzinami na framudze okna, słyszałem tam w górze każdy jej krok, interpretowałem mylnie każde przypadkowe stuknięcie jako znak porozumiewawczy, że przed zaśnięciem dochodził mych uszu jej kaszel, jej śpiew.

21 października. Stracony dzień. Zwiedzanie fabryki Ringhoffera, seminarium Ehrenfelsa, odwiedziny u Weltscha, kolacja, przechadzka, teraz o godzinie dziesiątej tutaj. Myślę ciągle o **robaku** ale pisać nie będę. dotyczy *Przemiany*.

W małej przystani należącej do wioski rybackiej przygotowano łódź do wypłynięcia. Młody chłopak w szarawarach dozorował prac. Dwu starych marynarzy znosiło wory i skrzynie aż do kładki pomostu, gdzie rosły mężczyzna rozstawiwszy nogi przyjmował wszystko i przekazywał czyimś ręką sterczącym z ciemnego wnętrza barki. Na wielkich ciosanych kamieniach okalających załom nadbrzeża siedzieli w pozycji na pół leżącej pięciu mężczyzn, rozdmuchując dym swych fajek na wszystkie strony świata. Od czasu do czasu podchodził do nich człowiek w szarawarach, coś mówił i

klepał ich po kolanach. Prawie za każdym razem dobywano spoza głazu dzbanek z winem przechowywany tam w cieniu i szklanka pełna nieprzeźroczystego czerwonego wina wędrowała od człeka do człeka.

22 października. Za późno. Słodycz smutku i miłości. To, że uśmiechnęła się do mnie w łodzi. To było najwyższe piękno. Nic, tylko wieczne pragnienie śmierci i trwania, tylko to jest miłością.

Wczorajsze spostrzeżenie. Sytuacja, która odpowiadałaby mi najbardziej: przysłuchiwać się rozmowie dwojga osób omawiających sprawę, która obchodzi je żywo, podczas gdy udział mój w niej jest tylko zupełnie nikły, a poza tym całkowicie bezosobisty.

26 października. Rodzina siedziała przy kolacji. Przez nie osłonięte okno było widać tropikalną noc.

— Kim jestem właściwie? — ofuknąłem sam siebie. Podniosłem się z kanapy, na której leżałem z kolanami podciągniętymi w górę i usiadłem prosto. Otwarty się drzwi wiodące z klatki schodowej wprost do mego pokoju i wszedł jakiś młody człowiek o pochylonej w dół twarzy i badawczym spojrzeniu. Okrążył kanapę, o ile to tylko było możliwe w ciasnym pokoju i przystanął w kącie przy oknie, w cieniu. Chcąc się przekonać, jakie to zjawisko, podszedłem i schwyciłem tę postać za ramię. Był to żywy człowiek. Spojrzał ku mnie — był trochę niższy ode ranie — z uśmiechem w górę i już sama beztraska, z jaką kiwnął głową i powiedział: „Niechże pan mnie zbada” — powinna była mnie uspokoić. Pomimo to chwyciłem go z przodu za kamizelkę, z tyłu za surdut i potrząsałem nim. Jego piękny, gruby, złoty zegarek zwrócił moją uwagę, złapałem go i szarpnąłem w dół, tak że rozdarła się dziurka od guzika, o którą był zahaczony. Człowiek zniósł to cierpliwie, zniżył tylko wzrok ku uszkodzonemu miejscu i próbował bez rezultatu wpiąć guzik od kamizelki w rozdartą dziurkę. — Co robisz? — zapytał w końcu i pokazał mi kamizelkę. — Tylko spokojnie! — pogroziłem.

Zacząłem biegać wokół pokoju, ze stępa przeszedłem w kłus, z kłusa w galop, podnosząc przeciwko niemu pięść za każdym razem, gdy go mijalem. Nie zwracał na mnie wcale uwagi, biedził się tylko nad swoją kamizelką. Poczułem w sobie niezwykłą wolność, już sam mój oddech był niezwykły, moja pierś czuła tylko w ubraniu przeszkodę, by rozdać się w olbrzymiość.

Od wielu już miesięcy Wilhelm Menz, młody buchalter, nosił się z myślą zaczepienia pewnej dziewczyny, którą zwykł był spotykać regularnie w czasie porannej drogi do biura na bardzo długiej ulicy, raz tu, raz tam. Pogodził się już z tym, że na samym zamiarze przyjdzie mu poprzestać — miał bardzo mało zdecydowanej inicjatywy względem kobiet, zaś wczesna pora nie nadawała się do słownego ataku na śpieszącą się dziewczynę — gdy zdarzyło się, że pewnego wieczora, a działo się to w okresie Bożego Narodzenia, ujrzał idącą tuż przed sobą tę właśnie pannę. — Panienko — powiedział. Obejrzała się, poznała przechodnia spotykanego zwykle rankiem; nie przystając zatrzymała przez chwilę na nim spojrzenie i nie słysząc od Menza ani słowa więcej, odwróciła się znowu. Znajdowali się oboje na jasno oświetlonej ulicy wśród gęstej ciżby ludzkiej i Menz mógł podejść do niej całkiem blisko, nie zwracając niczyjej uwagi. Nic stosownego w tym rozstrzygającym momencie nie przychodziło Menzowi do głowy; z drugiej strony on sam również nie chciał pozostać obcy dziewczynie, bo pragnął bezwarunkowo kontynuować znajomość zaczęłą tak poważnie, toteż ośmielił się pociągnąć dziewczynę za dolny brzeg żakiecika. Dziewczyna zniosła to, jak gdyby nie stało się nic.

6 listopada. Nagła otucha — skąd? Ach, gdyby trwała! Gdybym tak mógł wchodzić i wychodzić wszystkimi drzwiami jak człowiek jako tako odważny. Nie wiem tylko, czy tego chcę.

Tailiśmy to przed rodzicami, ale co wieczora po godzinie dziewiątej spotykaliśmy się, ja i dwóch moich kuzynów przy ogrodzeniu cmentarnym w miejscu, gdzie małe wzniesienie ziemi umożliwiała daleki widok.

Żelazne sztachety cmentarne omijają po lewej stronie rozległą, porośniętą trawą połąć.

17 listopada. Sen: Na wiodącej do góry drodze mieścił się mniej więcej w środku garbu zajmujący głównie jezdnię, a zaczynający się, patrząc od dołu, po lewej stronie — śmietnik albo zakrzepła glina, która osunęła się w dół stopniowo na skutek skruszenia, natomiast po lewej stronie sterczała wysoko niby przydrożna palisada. Szedłem stroną prawą, gdzie droga była prawie wolna, i zobaczyłem, że od dołu zbliża się ku mnie jakiś człowiek na trójkołowcu, najeżdżając, zdawało się, prosto na przeszkodę. Był to człowiek jakby bezoki, a przynajmniej jego oczy wyglądały jak zamglone doły. Trójkołowiec był



wywrotny, w związku z tym jechał wprawdzie niepewnie i chwiejnie, ale mimo to bezszelestnie, prawie przesadnie cicho i lekko. Pochwyciłem cyklistę w ostatniej chwili i trzymając go tak, jak gdyby był kierownicą swego pojazdu, skierowałem pojazd w rozpadlinę, którą się sam w to miejsce dostałem. Wówczas osunął się na mnie, lecz urosłem nagle w olbrzyma, a mimo to unosiłem go w jakiejś wymuszonej tylko postawie; na domiar złego pojazd, jakby bezpieczny od tej chwili, zaczął zjeżdżać — choć na razie powoli — z powrotem w dół i pociągnął mnie za sobą. Minęliśmy tam wóz drabiniasty, na którym tłoczyło się kilkoro ludzi, wszyscy ciemno odziani, był wśród nich chłopiec, skaut w jasnopopielatym kapeluszu z podwiniętą kresą. Od tego chłopaka, którego zauważyłem już z pewnego oddalenia, oczekiwałem pomocy, cóż kiedy on odwrócił się i wcisnął pomiędzy ludzi. Potem spoza drabiniastego wozu pojawił się — tymczasem trójkołowiec toczył się coraz niżej i musiałem głęboko zgięty, rozstawiwszy nogi, staczać się razem z nim — ktoś zdążający ku mnie, kto mnie uratował, nie mogę jednak przypomnieć go sobie. Wiem tylko tyle, że był to człowiek godny zaufania, który teraz kryje się jak gdyby za czarną, rozpiętą chustą i którego incognito powinienem uszanować.

18 listopada. Będę znowu pisał, ale ileż zwątpień co do tej pisaniny przeżyłem w czasie przerwy. Jestem w gruncie rzeczy pozbawionym zdolności ignorantem, który — choćby go nie przymuszano, bez żadnej zasługi własnej i ledwie sobie uświadamiając przymus — chodziłby do szkoły i nadawał się chyba do tego, aby warować w psiej budzie i wyskakiwać, gdy mu podsuną żarcie i zmykać z powrotem, gdy to żarcie połknął.

Dwa psy biegły po mocno nasłonecznionym dziedzińcu w kierunkach przeciwnych, ku sobie. Początek listu do panny Bl. wymęczyłem z siebie.

19 listopada. Urzeka mnie czytanie tego *Dziennika*. Czyż powodem tego jest fakt, że teraz obca mi jest najmniejsza choćby pewność? Wszystko jawi mi się jako konstrukcja. Każda uwaga z czyichś ust, każde przypadkowe spostrzeżenie przetacza we mnie wszystko — nawet to, co zapomniałem i to, co jest zupełnie błahe — na przeciwną stronę. Jestem niepewny więcej niż kiedykolwiek przedtem, czuję tylko przemoc Żyda. I jestem absurdalnie pusty. Istotnie jestem jak owca zagubiona nocą wśród gór albo jak owca za taką owcą biegnąca. Być tak zagubionym i nie mieć siły, by na to się poskarżyć.

Chodzę rozmyślnie ulicami, gdzie są dziewczki. Podnieca mnie mijanie ich, tak daleka, lecz bądź co bądź konkretna możliwość, by z którąś pójść. Czy to chamstwo? Cóż, kiedy nie mam nic lepszego, i to, że postępuję tak, wydaje mi się w gruncie rzeczy niewinne, nie budzi prawie żadnej skruchy. Mam apetyt tylko na starsze, grube, w niemodnych, ale pełnych różnych wisiorków sukniach. Jedna kobieta prawdopodobnie ma mnie już. Spotkałem ją dziś po południu, nie była jeszcze w zawodowym stroju, włosy przylegały jeszcze do głowy, bez kapelusza, bluza robocza jak u kucharki, niosła jakiś toboł, może do praczki. Nikt nie odkrył w niej uroku, tylko ja. Musnęliśmy się przelotnie oczyma. Teraz wieczorem, a pochlodziła tymczasem, zobaczyłem ją w obcisłym, żółtawobrunatnym płaszczu, po drugiej stronie wąskiej przecznicy ulicy Namiotników, gdzie odbywa swą promenadę. Zerknąłem dwukrotnie na nią i ona też zauważyła moje spojrzenie, ale potem, prawdę mówiąc, uciekłem od niej.

Niepewność wynika niewątpliwie z myśli o F.

20 listopada. Byłem w kinie. Płakałem. *Lolotte*. Zaczny proboszcz. Mały rower. Pojednanie się z rodzicami. Zabawa na całego! Przedtem smutny film *Nieszczęście w doku*, potem wesoły: *Nareszcie sami*. Jestem doszczętnie pusty i bezmyślny, przejeżdżający tramwaj ma więcej życiowego sensu.

21 listopada. Sen: francuskie ministerstwo, czterech mężczyzn siedzi dokoła stołu. Odbywa się narada. Przypominam sobie człowieka siedzącego po prawej, dłuższej stronie; ma twarz o spłaszczonym profilu, żółtawą cerę, nos wydatny i sterczący (z powodu spłaszczenia taki wydatny i sterczący), całkiem prosty i wypomadowany, kruczy, przesłaniający usta, gruby wąs.

Żalodne spostrzeżenie, które na pewno pochodzi znów od jakiejś konstrukcji, jej skrajny dolny koniec buja gdzieś w próżni: kiedyś wziął z biurka kałamarz, aby go zanieść do swego pokoju, uczułem w sobie jakąś siłę, tak jak na przykład krawędź wielkiego gmachu pojawia się w mgłę i zaraz znika. Poczułem się jeszcze nie zgubiony, coś czekało na mnie, coś niezależnego od ludzi, nawet od F. A cóż stałoby się, gdybym przed tym czymś uciekł, jak na przykład ktoś kiedyś ucieka w pole.

Ach to wróżenie, to kierowanie się przykładami, ten wyraźnie określony strach, jakież to śmieszne. Są to konstrukcje, które nawet w wyobraźni — bo tylko ona ich władztwu podlega — wynurzają się

niemal na samą tylko powierzchnię życia, lecz zawsze nieubłagane zatapia je nagły przyptyw. Któż ma dłoń na tyle czarodziejską, by wetknąć ją w tryby maszyny tak, żeby nie rozdarło jej i nie rozrzuciło tysiąc noży.

Poluję na konstrukcje. Wchodzę do pokoju i odkrywam je w kącie, jak mkną białawo jedna przez drugą.

24 listopada. Przedwczoraj wieczorem u Maksa. Staje się coraz bardziej obcy, bywał mi obcy już często, teraz obcy staje się ja. Wczoraj wieczorem położyłem się po prostu do łóżka.

Sen nad ranem: siedzę w ogrodzie jakiegoś sanatorium przy długim stole, nawet u końca stołu, tak że właściwie widzę we śnie swoje plecy. Jest dzień pochmurny, musiałem chyba odbyć wycieczkę i dotarłem tu przed chwilą autem, które z rozpędem podjechało pod wjazd. Służba ma właśnie podać posiłek i widzę, jak jedna z służących, młodzianka i delikatna dziewczyna w sukni koloru jesiennych liści, zbliża się bardzo lekkim czy może chwiejnym krokiem przez kolumnadę stanowiącą fronton sanatorium i schodzi stopniami do ogrodu. Nie wiem na razie po co, lecz pytającym gestem wskazuję sam siebie, aby dowiedzieć się, czy ma mnie na myśli. Istotnie przynosi mi jakiś list. Domyślam się, że to nie może być ten list, którego oczekuję, jest to list niezwykle cienki, pismo obce mi, męskie i niewyrobane. Mimo to otwieram kopertę i wypada z niej mnóstwo cienkich i zapisanych od góry do dołu kartek, na wszystkich widać to samo nieznanne pismo. Zaczynam czytać, przeglądam kartki i stwierdzam, że jest to chyba list bardzo ważny, pochodzący prawdopodobnie od najmłodszej siostry F. Zaczynam więc czytać zaciekawiony, aż tu mój sąsiad po prawej stronie — nie wiem, mężczyzna czy kobieta, nie, raczej dziecko — zagląda mi przez ramię w list. Krzyczę: „Nie!” — Narwane towarzystwo przy stole zaczyna dygotać. Prawdopodobnie spowodowałem katastrofę. Próbuję usprawiedliwić się paru szybkimi słowami, aby móc znowu, i to zaraz, czytać dalej. Pochyliam się też znów nad swym listem i wtem budzę się nieodwołalnie, jakby przebudził mnie mój własny krzyk. Z jasną świadomością przymuszam się gwałtownie, aby znowu zapaść w sen, sytuacja powraca istotnie, czytam jeszcze szybko dwa albo trzy mgliste wiersze listu, z których nie zapamiętałem nic, i zatracam w dalszym uśpieniu senne widziadło.

Sędziwy kupiec, człowiek olbrzymiego wzrostu, szedł z ugiętymi kolanami, nie trzymając się poręczy, lecz raczej naciskając ją ręką, po schodach w górę do swego mieszkania. Przed szklanymi, okratowanymi drzwiami pokoju chciał jak zwykle wyciągnąć pęk kluczy z kieszeni spodni, aż tu widzi w ciemnym kącie młodego człowieka, który w tej samej chwili składa ukłon.

— Kim pan jest? Czego pan chce? — zapytał kupiec, postępując jeszcze na skutek wysiłku wchodzenia do góry.

— Czy pan jest kupcem Messnerem? — pyta młody człowiek.

— Tak — kupiec na to.

— Jeśli tak, to mam uwiadomić pana o czymś. Kim jestem, to właściwie dla sprawy tej obojętne, gdyż sam nie mam w niej żadnego w ogóle udziału, jestem tylko przekazującym wiadomości. Niemniej przedstawiam się, nazywam się Kette i jestem studentem.

— Tak — mruknął Messner i zastanowił się chwilę. — No, a wiadomość — dodał.

— To omówimy wygodniej w pokoju — rzecze student — jest to coś takiego, co nie da się załatwić na schodach.

— Nie wiadomo mi o żadnej podobnej wiadomości, której bym oczekiwał — wysapał Messner i spojrzał ukosem na podłogę.

— Być może — oświadczył student.

— Poza tym — westchnął Messner — minęła teraz godzina jedenasta w nocy, nikt nas tu nie podsłucha.

— Nie — odpowiedział student — nie mogę w żaden sposób powiedzieć tego tutaj.

— A ja — odrzekł Messner — nie przyjmuję gości po nocy — i tak mocno włożył klucz w zamek, że reszta kluczy w pęku dźwięczała jeszcze przez pewien czas.

— Tak, ale ja czekam tu już od godziny ósmej, a więc trzy godziny — zauważył student.

— Dowodzi to tylko, że owa wiadomość jest dla pana ważna. Ja natomiast nie życzę sobie żadnych wiadomości. Każda wiadomość, której mi los oszczędzi, jest zyskiem. Wcale nie jestem ciekawy, idź pan sobie, no idź.

Chwycił studenta za jego liche palto i odepchnął o krok. Następnie uchylił nieco drzwi pokoju, z którego buchnęło nadmierne gorąco w chłodną sień. — A zresztą czy to jest wiadomość handlowa? — dorzucił pytanie stojąc już w otwartych drzwiach.

— Tego również nie mogę powiedzieć tutaj — odparł student.

— Wobec tego życzę panu dobrej nocy — rzekł Messner, wszedł do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz, zaświecił elektryczną lampkę przy łóżku, podszedł do małej szafki ściennej, zawierającej

liczne flaszki z likierami, napełnił kieliszek, wychylił go mlaszcząc i zaczął się rozbierać. Właśnie oparty o wysokie poduszki zabierał się do czytania gazety, gdy wydało mu się, że ktoś stuka cicho do drzwi. Odłożył gazetę na koidrę, złożył ręce na krzyż i zaczął nasłuchiwać. Rzeczywiście stukanie ozwało się znowu, a mianowicie całkiem cicho i, dziwna rzecz, zupełnie u dołu drzwi. „Rzeczywiście natrętna małpa — zaśmiał się Messner. Gdy stukanie przycichło, powrócił do gazety. Ale w tej chwili zastukało coś donośniej, wprost łomocąc O drzwi. Tak jak dzieci rozsypują dla zabawy uderzenia po całych drzwiach, to coś pukało raz dołem głucho w drewno, raz w górę dźwięcznie w szkło. „Będę chyba musiał wstać” — pomyślał Messner, trzęsąc głową. „Do stróża zatelefonować nie mogę, bo aparat jest po drugiej stronie mieszkania w przedpokoju i musiałbym obudzić gospodynię, aby się tam dostać. Nie pozostaje mi nic innego jak zrzucić młokosa własnoręcznie ze schodów.” Nałożył swą filcową czapkę na głowę, odgarnął koidrę, wyprostowanymi rękoma przyciągnął się na krawędź łóżka, zesunął powoli nogi na podłogę i wzuł wysokie, wátowane pantofle. — A więc — pomyślał i wpatrzył się, przygryzając górną wargę, we drzwi — teraz znów jest cicho. — Ale muszę zapewnić sobie raz na zawsze spokój — szepnął po chwili sam do siebie, wydobyl ze stojaka laskę z rogową gałką, pochwycił ją w połowie i podszedł ku drzwiom. — Jest tam ktoś jeszcze za progiem? — zapytał przez zamknięte drzwi.

— Tak, zabrzmiała odpowiedź — proszę, niech mi pan otworzy.

— Otwieram — rzekł Messner, otworzył i wyszedł z laską przed drzwi.

— Niech mnie pan nie bije — powiedział student ostrzegawczo i cofnął się o krok.

— A więc marsz! — rzekł Messner i wyciągnął wskazująco palec w kierunku schodów.

— Ale obowiązek wzbrania mi tego — powiedział student i poskoczył tak nieoczekiwanie ku Messnerowi...

[przerwa w rękopisie]

27 listopada. Muszę zaprzestać, nie będąc wręcz odtrącony. Nie wyczuwam też wcale niebezpieczeństwa, że mógłbym się zatracić, niemniej czuję się bezradny i wyłączony. A przecież siła, jaką budzi we mnie najbliższy akt pisania, jest niewątpliwa i cudowna. Spojrzenie, jakim wczoraj na przechadzce ogarniałem wszystko!

Dziecko dozorczyńi, która otworzyła bramę. Okutane w starą chustkę damską, twarzyczka blada, drętwą, nalana. Tak oto niesie je dozorczyńi nocą do bramy.

Pudeł dozorczyńi, który siedzi u dołu na stopniu i nasłuchuje mojego tupania, rozpoczynającego się na czwartym piętrze, ogląda mnie, gdy go mijam, i patrzy za mną, gdy biegnę dalej. Miłe poczucie spoufalenia, że się mnie nie boi i włącza w zamieszkały dom i jego odgłosy.

Obraz: chrzest młodego „szczura okrętowego” przy mijaniu równika. Wokół wałęsają się marynarze. Okręt oblepiony na wszystkie strony, od góry do dołu, daje im wszędzie możliwości siedzenia. Rośli marynarze uwieszeni są u okrętowych drabinek i potężnymi, okrągłymi barkami przyciskają się stopa przy stopie do korpusu statku i gapią w dół na widowisko.

4 grudnia. Gdy się patrzy od zewnątrz, straszne jest — będąc dojrzałym, lecz młodym — umierać lub nawet targnąć się na swoje życie. W całkowitym zamęciu, który miałby sens w toku dalszej ewolucji, odejść i to beznadziejnie lub z jedyną nadzieją, że ten występ w życiu zostanie w ramach wielkiego rozrachunku uznany za niebyły. W takiej właśnie sytuacji znajdowałbym się teraz. Umrzeć nie znaczyłoby nic innego, jak tylko przekazać nicość nicości, ale to byłoby niemożliwe dla uczucia, bo jakże by się można — choćby tylko jako nicość — przekazać świadomie nicości i to nie jakiejś nicości pustej, lecz nicości grzmiącej, której nijakość polega tylko na tym, że jest niepojęta.

Krag mężczyzn, którzy są panami i sługami. Spracowane, żywymi kolorami lśniące twarze. Pan siada, a służący przynosi mu potrawy na tacy. Nie zachodzi między nimi większa różnica, nie inna niż na przykład między człowiekiem, który — dzięki splotowi niezliczonych okoliczności jest Anglikiem i żyje w Londynie — a kimś innym, kto jest Lapończykiem, i w tej samej chwili sam wśród sztormu płynie w swej łodzi po morzu. Oczywiście służący mógłby — lecz i to tylko w pewnych okolicznościach — stać się panem; ale to zagadnienie, jakkolwiek znalazłaby się na nie odpowiedź, nie przeszkadza tu, bo chodzi o doraźną ocenę stosunków chwilowych.

Jedność ludzkości — w którą każdy człowiek, nawet najprzystępniejszy i najbardziej lgnący do towarzystwa powątpiewa od czasu do czasu, choćby tylko w sferze uczuć — przejawia się skądinąd lub zdaje się przejawiać wszystkim w całkowitej, co krok dającej się stwierdzić wspólnocie rozwoju

powszechnego i indywidualnego. Nawet w najtajniejszych odczuciach jednostki.

Strach przed obłudą. Dopatrywanie się obłędu w każdym uczuciu dążącym wprost, a spychającym wszystko inne w niepamięć. Jeżeli tak, to czym jest nie-obłęd? Nie-obłęd znaczy tyle, co stać jak żebrak przed progiem u wejścia i gnąć i paść. Ale P. i O. to wstrętne obłąkańcy. Muszą istnieć obłędy większe od swych ofiar. Natężanie się małych wariatów w ich wielkim obłędzie — oto, być może, źródło odrazy. Ale czyż właśnie nie taki wydawał się Chrystus faryzeuszom?

Przedziwne, od A do Z pełne sprzeczności wyobrażenie, jakoby ktoś, kto umarł powiedzmy o godzinie trzeciej w nocy, zaraz potem, gdzieś o świtaniu, wstępował w wyższe życie. Jaka przepaść leży między tym, co widzialnie ludzkie, a wszystkim innym! Jak z każdej tajemnicy wynika zawsze większa! Już w pierwszej chwili brakuje tchu ziemskiemu rachmistrzowi. Należałoby właściwie czuć lęk przed wyjściem z domu.

5 grudnia. Jak wściekam się na swoją matkę! Wystarczy, abym zaczął z nią rozmawiać, już wpadam w rozdrażnienie, prawie krzyczę.

O. cierpi mimo wszystko, a ja nie wierzę w to, by cierpiała, by mogła cierpieć, nie wierzę w to wbrew lepszemu głosowi swej intuicji; nie wierzę, aby nie musieć pomagać jej, czego nie potrafiłbym, ponieważ moje rozdrażnienie zwraca się również przeciwko niej.

W F. widzę od zewnątrz, przynajmniej w niektórych chwilach, tylko pewne — mógłbym wyliczyć je — drobne rysy szczegółowe. Dzięki temu obraz jej staje się tak przejrzysty i czysty, tak nie tknięty życiem, tak obwiedziony konturem i mglisty zarazem.

8 grudnia. Konstrukcje w powieści Weissa. Moc przewyciężenia ich, obowiązek, by tak postąpić. Niemal przeczę doświadczeniom. Pragnę spokoju, posuwania się krok za krokiem lub biegiem, lecz bez wyrachowanych skoków konika polnego.

9 grudnia. *Galera* Weissa. Osłabienie efektu, gdy mija punkt kulminacyjny. świat przewyciężony, przyglądaliśmy się temu z otwartymi oczyma. Możemy więc spokojnie odwrócić się i żyć dalej.

Nienawiść do aktywnej autoobserwacji. Do interpretacji zjawisk psychicznych w rodzaju: wczoraj było ze mną tak a tak, a mianowicie dlatego, dziś jest ze mną tak a tak, i znowu dlatego. To nieprawda, nie dlatego i nie dlatego, a więc również i nie tak a tak czy tak i owak. Znosić samego siebie spokojnie, bez przedwczesnej skwapliwości żyć tak, jak się musi, a nie gonić za własnym ogonem jak pies.

Zasnąłem w zaroślach. Zbudził mnie zgiełk. Znalazłem w swych rękach książkę czytaną przedtem. Rzuciłem ją precz i skoczyłem na równe nogi. Minęło zaledwie południe; przed wzgórzem, na którym byłem, rozpościerała się rozległa nizina z wioskami i stawami przedzielonymi równomiernie wysokim gąszczem, podobnym do sitowia. Oparłem ręce na biodrach, przeszukiwałem cały widok oczyma, nasłuchując równocześnie, skąd pochodzi zgiełk.

10 grudnia. Odkrycia narzuciły się człowiekowi.

Uśmiechnięta, młodzieńcza, przebiegła, odprężona twarz nadinspektora, jakiej nie widziałem u niego nigdy, i jaką tylko dziś przelotnie dostrzegłem, gdy odczytywał mu elaborat dyrektora, i oderwawszy niechcący od niej oczy, spojrział w górę. Wetknął przy tym nie bez drgnięcia łopatek prawą rękę w kieszeń spodni, jak gdyby był odmienionym człowiekiem.

Nie można nigdy zauważyć i ocenić wszystkich okoliczności, które wpływają na nastrój danej chwili i działają nawet w obrębie tego nastroju, a na koniec działają w obrębie oceny, dlatego fałszem jest powiedzieć, wczoraj czułem się utwierdzony, dzisiaj ogarnia mnie rozpacz. Takie odróżnienia dowodzą tylko, że się ma ochotę wywierać wpływ na samego siebie i oderwawszy się od siebie jak najdokładniej, ukrywając poza przesady i urojenia, wieść przez chwilę życie sztuczne, tak jak ktoś tam gdzieś w kącie szynku, ukryty wcale bezpiecznie za małym kieliszkiem wódki, zabawia się wyłącznie z sobą samym, samymi tylko fałszywymi wyobrażeniami, na które brak dowodu, albo i marzeniami.

Okolo północy pewien młody człowiek w obcistej, matowoszarej w kratę, lekko ośnieżonej

zarzutce zszedł schodami w dół, do małego kabaretu. Zapłacił przy kasowym stoliku, za którym drzemiąca panienska wzdrygnęła się z łękiem i spojrzała nań wyzywająco wielkimi, czarnymi oczyma. Potem przystanął na chwilkę, aby rozejrzeć się po sali znajdującej się o trzy stopnie niżej od niego.

Prawie co wieczora wędruję na dworzec, dziś z powodu deszczu wałęsam się po westybulu pół godziny tam i z powrotem. Chłopak, który nieustannie wyjadał cukierki z automatu. Wsuwa rękę w kieszeń, dobywa z niej sporą garść drobnaków, wrzuca niedbale pieniążek w otwór automatu, jedząc czyta napisy, wypadają po jednym cukierki, które podnosi z brudnej ziemi i wtyka prosto w usta. Spokojnie przeżuwiający człowiek, który przy okienku gawędzi poufale z jakąś kobietą, swoją krewniaczką.

11 grudnia. Czytałem w hali Toynbee początek utworu **Michał Kohlhaas**. utwór H. Kleista. Kompletnie fiasko. Zły wybór, złe czytanie, w końcu bezmyślne miotanie się po tekście. Auditorium wzorowe. Całkiem mali chłopcy w pierwszym rzędzie. Jeden z nich próbuje obronić się przed nie zawinioną nudą w ten sposób, że ostrożnie rzuca czapkę na podłogę, potem ostrożnie ją podnosi, i tak dalej. Ponieważ chłopczyk jest za mały na to, aby czynność tę wykonać siedząc, musi za każdym razem zesunąć się nieco z krzesła. Czytałem jak barbarzyńca, kiepsko, nieuważnie, niezrozumiale. A już po południu drżałem z żądzy czytania, ledwie mogłem trzymać usta zamknięte.

Istotnie trzeba nie ciosu, lecz tylko powstrzymania siły wywieranej na samego siebie, a już popadam w rozpacz, która mnie rozdziera. Kiedy uzmysłowiłem sobie dzisiaj, że podczas odczytu będę bezwarunkowo spokojny, zapytałem sam siebie, jaki też będzie ten spokój i czym się uzasadni i mogłem odpowiedzieć jedynie, że będzie to tylko spokój dla świętego spokoju, łaska niepojęta, nic poza tym.

12 grudnia. I rano wstałem, jak na mnie, wcale rzeško.

Wczoraj w drodze powrotnej do domu mały, szaro okutany chłopak, który mijając mnie biegiem obok gromady chłopców, uderzył się w udo, drugą ręką chwycił innego chłopca i krzyknął — w dość wyraźnym zamęcie duchowym, o czym nie wolno mi zapomnieć: — *Dnes to bylo docela hezky*. dzisiaj było całkiem ładnie.

Ach, ta rzeżwość, z jaką dziś zgodnie ze zmienionym cokolwiek podziałem dnia szedłem około godziny szóstej ulicą. śmieszny nawyk obserwacji — kiedy to wyplenię.

Przyjrzałem się przedtem sobie dokładnie w lustrze i wydałem się sobie, jeśli chodzi o twarz — co prawda przy wieczornym tylko oświetleniu i że źródłem światła poza mną, tak że właściwie oświetlony był tylko meszek na brzegach uszu — nawet przy drobiazgowym badaniu przystojniejszy, niż — o ile mi wiadomo — jestem. Pogodna, wyraziście wyrzeźbiona, niemal pięknie zarysowana twarz. Czerń włosów, brwi i oczodołów tryska jak życie z reszty ciała pełnego tęsknoty. Spojrzenie nie jest wcale przygaste, ani śladu spustoszenia, ale nie jest ono też dziecinne, raczej niewiarygodnie energiczne, choć może było tylko badawcze, ponieważ obserwowałem właśnie siebie sam i chciałem siebie przestraszyć.

12 grudnia. Wczoraj długo nie mogłem zasnąć. F. Powziąłem wreszcie plan i z tym osiągnięciem zasnąłem w niepewności, aby poprosić Weissa Ernst Weiss mieszkał w Berlinie, podobnie jak F. o pójście do niej do biura z listem, a w liście tym nie napisać nic tylko to, że muszę mieć jakąś wiadomość od niej względnie o niej i po to też posłałem Weissa, żeby mi o niej napisał. Tymczasem Weiss siedzi obok jej biurka, czeka, aż ona odczyta list do końca, kłania się, bo innego zlecenia nie ma, i nie może chyba również dostać żadnej odpowiedzi, więc odchodzi.

Wieczór dyskusyjny w Związku Urzędników. Przewodniczyłem. Komiczne źródło pewności siebie. Moje wstępne przemówienie zaczęło się tak: „Muszę zagaić dzisiejszy wieczór wyrazami ubolewania, że odbywa się on w ogóle”.

Nie powiadomiono mnie we właściwym czasie, toteż byłem nie przygotowany.

14 grudnia. Odczyt **Beermanna**. znany dziennikarz, Arnold Hofriegel. Zero, wyrecytowane jednak z zaraźliwym chwilami zadowoleniem prelegenta z samego siebie. Dziewczęca buzia z wolem. Przed wygłoszeniem prawie każdego zdania takie same skurcze mięśni twarzy jak przy kichnięciu. Wierszyk o targu z okazji Bożego Narodzenia w jego dzisiejszym artykule w Tagblatt.

Panie, kup to dla swych małych,  
by się śmiały, nie płakały.

Cytował Shawa: „Jestem zasiedziałym, bojaźliwym cywilem”.

Napisałem w biurze list do F.

Przerażenie, gdy przed południem idąc do biura, spotkałem podobną do F. panienkę z seminarium i przez chwilę nie wiedziałem, kto to jest. Zauważyłem tylko, że przypominała wprawdzie F., lecz nie była nią przecież; niemniej jednak pozostawała w jakiejś, wykraczającej poza podobieństwo relacji do F., w tej mianowicie, że patrząc na nią w seminarium, wiele o F. myślałem.

Przeczytałem właśnie w pismach Dostojewskiego fragment przypominający tak wyraźnie mój stan, gdy czuję się „nieszczęśliwy”.

15 grudnia. Listy do dra Weissa i do stryja Alfreda. Nie depešował do mnie nikt.

Przeczytałem *My chłopcy z 1870/71*. Znów ze stłumionym szlochem czytałem o zwycięstwach i entuzjastycznych scenach. Być ojcem i rozmawiać spokojnie ze swym synem. Tak, ale wtedy nie wolno mieć zabawki — młotka zamiast serca.

— Czy napisałeś już do stryja? — zapytała mnie matka, jak oczekiwałem tego ze złością od wielu dni. Długo już obserwowała mnie lękliwie, nie śmiejąc z rozmaitych powodów po pierwsze zapytać mnie o to, a po drugie zapytać mnie w obecności ojca; w końcu zapytała przecież zatroskana, bo uświadomiła sobie, że chcę odejść. Gdy mijał z tyłu jej krzesło, podniosła oczy znad kart pasjansowych, jakimś od dawna zapomnianym i jakoś dla tej chwili wskrzeszonym odruchem tkliwości zwróciła ku mnie twarz i zapytała, tylko przelotnie patrząc w górę, z trwożliwym uśmiechem i już w samym pytaniu — zanim jeszcze padła jakakolwiek odpowiedź — upokorzona.

16 grudnia. „Grzmiący krzyk zachwytu serafinów.”

Siedziałem u Weltscha w bujaku, rozmawialiśmy o nieładzie naszego życia, on — Co mi tam! — z jaką taką otuchą („trzeba koniecznie pragnąć niemożliwości”), ja bez niej — utkwivszy wzrok w swoje palce, w poczuciu, że jestem reprezentantem swojej własnej pustki wewnętrznej, wyłącznie mojej, która nawet nie jest nadmiernie rozległa.

17 grudnia. List do W. ze zleceniem. „Przelewać się przez własne brzegi, będąc mimo wszystko tylko garnkiem na wygasłym palenisku.”

Odczyt Bergmanna *Mojżesz a teraźniejszość*. Wrażenie czyste. Ja w każdym bądź razie nie mam z tym nic do czynienia. Pomiędzy wolnością a niewolnictwem krzyżują się realne, straszliwe szlaki bez przewodnictwa w drogę przyszłą, przy czym natychmiast zatracą się droga już przebyta. Takich dróg jest mnóstwo lub też istnieje tylko jedna, nie można tego stwierdzić, gdyż brak perspektywy. Oto, gdzie jestem. Nie mogę ruszyć się z miejsca. Nie mam powodu do użalania się nad sobą. Nie cierpię nadmiernie, bo cierpię bez związku, nie nawarstwia się to, przynajmniej nie czuję tego na razie, zaś rozmiar mojego cierpienia leży głęboko pod tym cierpieniem, które mogłoby przypaść mi w udziale.

Sylwetka mężczyzny, który z na pół, nierówno podniesionymi rękoma zwraca się ku ścianie mgły, aby w nią wejść.

Piękne, potężne odgraniczenia w żydostwie. Ma się tam swoje miejsce. Lepiej widzi się siebie samego, lepiej osądza.

Idę spać, jestem zmęczony. Może tam zapadł już wyrok.

Wiele snów na ten temat.

Pełen fałszu list od BI.

19 grudnia. List od F. Piękny poranek, czuję ciepło we krwi.

20 grudnia. Żadnego listu.

Wpływ spokojnej twarzy, spokojnych słów, zwłaszcza człowieka obcego, którego nie przejrzało się jeszcze na wylot. Głos Boga z człowieczych ust.

Pewien starzec szedł w zimowy wieczór ulicami we mgle. Było lodowato zimno. Na ulicach pustka. Nikt nie minął go z bliska, tylko tu i ówdzie widział w na pół zamglonej oddali rosnącego policjanta albo jakąś kobietę w futrze, albo okutaną w chustki. Nie obchodziło go nic, myślał tylko o tym, by odwiedzić przyjaciela, u którego nie był już od dawna, a który właśnie teraz przyzywał go przez służącą.

Było już daleko po północy, gdy odezwało się ciche pukanie do drzwi wiodących do pokoju kupca Messnera. Nie trzeba było go budzić, zasypiał zawsze aż nad ranem, do tej zaś pory miał zwyczaj nie śpiąc leżeć na brzuchu z twarzą wciśniętą w poduszki, z wyciągniętymi rękami i z dłońmi splecionymi nad głową. Pukanie posłyszał natychmiast.

— Kto tam? — zapytał. Odpowiedział mu niezrozumiały bełkot, cichszy od pukania. — Drzwi są otwarte — mruknął i zaświecił elektryczną lampkę. Weszła drobna, wątła kobiecina w wielkiej szarej chustce na ramionach.

## 1914

2 stycznia. Sporo czasu dobrze spędziłem z drem Weissem.

4 stycznia. Wygrzebaliśmy w piasku jamę, w której czuliśmy się wybornie. W nocy staczaliśmy się razem w jej wnętrze, ojciec przykrywał ją pniami i narzuconym na nie chrustem, byliśmy więc możliwie zabezpieczeni przed burzą i zwierzętami. — Ojciec — wołaliśmy często z lękiem, gdy pod drzwami stało się już całkiem ciemno, a ojciec ciągle jeszcze się nie zjawiał. Ale wtedy dostrzegaliśmy już przez szczelinę jego stopy, ześlizgiwał się do nas, do środka, poklepał każde z nas parę razy, uspokajało to nas bowiem, gdy czuliśmy jego rękę, a potem zasypialiśmy wszyscy w doskonałej wspólnocie. Było nas poza rodzicami pięciu chłopców i trzy dziewczęta. W jamie było nam za ciasno, ale baliśmy się, gdy nocą nie leżeliśmy tak blisko przy sobie albo i na sobie.

5 stycznia. Po południu. Ojciec Goethego umarł w zamroczeniu umysłowym. W czasie ostatniej jego choroby Goethe pracował nad *Ifigenią*.

— Weź toto do domu, bo się upiło — mówi do Goethego jakiś urzędnik dworski o Krystianie.

Upijający się na wzór swej matki August, który wałęsa się w chamski sposób z kobietami.

Nie kochana przezeń Otylia, którą ojciec ze względów towarzyskich narzuca mu na żonę.

Wolf, pisarz i dyplomata.

Walter, muzyk, nie może zdać egzaminów. Zamyka się miesiącami w ogrodowej altanie; gdy carcyca chce go widzieć: „Powiedzcie carcy, że nie jestem dziką bestią”.

„Moje zdrowie jest raczej ołowiane niż żelazne”.

Drobnostkowa, bezowocna pisanina Wolfa.

Starce towarzystwo w izbach na poddaszu. Osiemdziesięcioletnia Otylia, pięćdziesięcioletni Wolf i dawni znajomi.

Dopiero po takich ostatecznościach widać, jak bez ratunku każdy człowiek zagubiony jest sam i tylko obserwacja innych oraz władające w nich, władające wszędzie prawo może pocieszyć. Patrząc od zewnątrz, jakże Wolf podatny jest na impulsy, które go przenoszą to tu to tam, rozweselają, krzepią, nakłaniają do systematycznej pracy — i jak wewnętrznie zahamowany jest i nieruchomy.

Czemu Czukcze nie wędrują ze swego okropnego kraju, wszędzie żyłoby się im lepiej w porównaniu z ich teraźniejszym życiem i z teraźniejszymi ich pragnieniami. Ale nie mogą, przecież wszystko, co możliwe, staje się; możliwe jest tylko to, co się staje.

W małej mieścinie F. polecił urządzić winiarnię pewien handlarz winem z większego miasta w sąsiedztwie. Wynajął małą sklepioną izbę w jednym z domów na rynku, kazał wymalować ściany we

wschodnie ornamenty i poustawiać stare, prawie nie nadające się już do użytku, pluszowe meble.

6 stycznia. Dilthey: *Przeżycie i poezja*. Miłość dla ludzkości, najwyższa cześć dla wszystkich wytworzonych przez nią form, spokojne trwanie w głębi, w najdogodniejszym punkcie obserwacyjnym. Młodzieńcze pisma Lutra, „potężne cienie, które z niewidzialnego świata wdzierają się w świat widzialny, zwabione mordem i krwią” — Pascal.

List do teściowej dla A. L. <sup>Liesl, narzeczona A.</sup> pocałowała nauczyciela.

8 stycznia. Odczyt Fantla: *Złota czaszka* <sup>dramat P. Claudela</sup>. „Rzuca wrogiem jak beczką.”

Niepewność, oschłość, spokój — w tym przeminie wszystko.

Co mam wspólnego z Żydami? Ledwie coś wspólnego mam z sobą samym i powinien bym cichutko przystanąć w kącie, zadowolony z tego, że mogę oddychać. .

Opis niejasnych uczuć. A: odkąd się to stało, sprawia mi ból widok kobiet, nie jest to jednak ani trochę podniecenie płciowe, nie jest to również czysty smutek, czuję tylko ból. Tak samo było, zanim zyskałem pewność co do Liesl.

12 stycznia. Wczoraj: miłostki Otylii, młodzi Angolicy. Zaręczyny Tolstoja, czyste wrażenie subtelnego, porywczego, opanowującego się, pełnego przeczuc młodzieńca. Pięknie ubrany na czarno i granatowo.

Dziewczyna w kawiarni. Obcisły zakiet, biała, luźna, obramowana futrem bluzka jedwabna, odsłonięta szyja, ciasno przylegający kapelusz z tej samej materii. Jej pełna, śmiejąca się, wiecznie dysząca twarz, jej przyjazne oczy, co prawda podmalowane trochę. Twarz zaczęła mnie piec na myśl o F.

Droga do domu, jasna noc, wyraźna świadomość tego, co jest we mnie tylko przytłumione, lecz promieniuje tak daleko wielką, poszerzającą się zupełnie bez przeszkód, jasnością.

Nicolai, *Listy o literaturze*. <sup>Nicolai Christian Friedrich (1733—1811), niemiecki pisarz i wydawca.</sup>

Istnieją dla mnie możliwości, zapewne, pod jakim jednak kryją się głazem?

W przód rwany pędem, konno —Bezsensowność młodości. Lęk przed młodością, lęk przed bezsensownością, przed bezsensownym pięciem się wzwyż nieludzkiego życia.

Tellheim: „Ma on tę swobodną ruchliwość życia duchowego, która przy zmieniających się warunkach życiowych raz po raz zdumiewa całkowicie nowymi aspektami, a cechę tę mają tylko twory prawdziwych poetów”.

19 stycznia. W biurze na przemian strach i pewność siebie. Poza tym większa ufność. Wstręt do Przemiany. Nieczytelny finał. Niedoskonałość prawie do samego rdzenia. o wiele lepiej by się stało, gdyby mi wówczas nie przeszkodziła podróż w interesach.

23 stycznia. Starszy kontroler B. opowiada o pewnym, zaprzyjaźnionym z nim a przeniesionym w stan spoczynku pułkowniku, który sypia przy otwartym na oścież oknie: „Dopóki trwa noc, jest to bardzo przyjemne, natomiast nieprzyjemne staje się z chwilą, gdy muszę rano zgarniać śnieg ze stojącej przy oknie otomany i dopiero potem zabieram się do golenia”.

Pamiętniki hrabiny Thürheim:

Matka: „Łagodnemu jej usposobieniu odpowiadał szczególnie Racine. Słyszałem często, jak modliła się do Boga, by dał mu wieczny odpoczynek”.

To pewne, że on (Suworow) podczas galowych obiadów, które wydawał na jego cześć w Wiedniu poseł rosyjski, hrabia Razumowski, jadł jak żarłok, nie czekając na nikogo, zastawione na stole dania. Gdy się nasycił, wstawał i pozostawiał gości samych. Według sztychu subtelny, stanowczy,



pedantyczny starzec.

„Nie było ci to pisane” — marna pociecha matki. Zło tkwi w tym, że na razie prawie nie trzeba mi lepszej. Mam pod tym względem uraz i to uraz trwałe, poza tym jednak życie regularne bez większych zmian, półaktywne, jakie wiodłem w ostatnich dniach (praca nad *Fabryką* w biurze, troski A. o jego narzeczoną, syjonizm Ottili, przyjemność na widok dziewcząt podczas odczytu Saltena i Schildkrauta, Salten Felix, pseudonim Felixa Salzmann (ur. 1869), austriackiego krytyka teatralnego, eseisty i dramaturga ze szkoły naturalistycznej Schildkraut Rudolf (1862—1930), niemiecki aktor pochodzenia żydowskiego, znakomity odtwórca Shylocka oraz postaci z dramatów żargonowych.

czytanie pamiętników pani Thürheim, listy do Weissa i Löwyego, korekta Przemiany — życie to bierze mnie po prostu w garść, daje mi nieco odporności i nadziei.

24 stycznia. Era napoleońska: jaki natłok zabaw i uczt, wszyscy spieszyli się, by zakosztować do dna przyjemności krótkich okresów pokoju. „Skądinąd wywierały kobiety swój wpływ na nich jakby w locie, nie miały istotnie czasu do stracenia. Miłość ówczesna przejawiała się wzmożonym entuzjazmem i pełniejszym oddaniem.” ... „Dzisiaj chwila słabości nie ma już żadnego usprawiedliwienia.”

Nie mogę zdobyć się na napisanie paru linijek do panny Bl., dwa listy zostawiłem już bez odpowiedzi, dzisiaj nadszedł trzeci. Nie rozumiem niczego jak należy i jestem przy tym całkiem mocny, lecz pusty. Niedawno, kiedy po raz nie wiadomo który i o tej samej zawsze godzinie wyszedłem z windy, przyszło mi na myśl, że moje życie złożone z dni, które włączają coraz głębiej, aż do drobiazgów, w uniform monotonii, przypomina zadanie karne, kiedy uczeń zależnie od swej winy musi wypisać dziesięć, sto lub jeszcze więcej razy jakieś jedno, przynajmniej w powtórzeniu idiotyczne zdanie, tylko że w moim wypadku chodzi o karę określoną wyrokiem: „tyle razy, ile wytrzymasz”.

A. nie może się uspokoić. Pomimo zaufania, jakim mnie darzy, i mimo iż pragnie mej rady, dowiaduję się najfatalniejszych szczegółów zawsze tylko ubocznie w toku rozmowy, podczas której muszę za każdym razem przytłumiać jak najusilniej nagłe zdumienie, zdając sobie zarazem sprawę z tego, że zapewne moją obojętność w obliczu przerażającej wieści odczuwa on albo jako chłód, albo jednak jako wielkie uspokojenie. O to też chodzi. Historii pocałunków dowiedziałem się w następujących, niekiedy tygodniami przedzielonych etapach: jakiś nauczyciel pocałował ją — była w jego pokoju — pocałował ją wiele razy — bywała regularnie w jego pokoju, bo haftowała robótkę dla matki A., a lampa nauczyciela była jasna — pozwoliła się całować bez oporu — przedtem już oświadczył się jej — mimo wszystko chodzi z nim nadal na spacer; chciała dać mu jakiś prezent na Boże Narodzenie — raz napisała, spotkało mnie coś nieprzyjemnego, ale nie pozostawiło śladów.

A. wypytywał ją, w następujący sposób: Jak to było? Chcę wiedzieć całkiem dokładnie. Czy tylko całował cię? Ile razy? Gdzie? Czy nie leżał na tobie? Czy macał cię? Czy chciał cię rozebrać?

Odpowiedzi: Siedziałam z robótką na kanapie, po drugiej stronie stołu. Potem przeszedł tam, usiadł przy mnie i pocałował mnie, odsunęłam się od niego ku poduszce na kanapie, a on przycisnął mi głowę do poduszki. Poza pocałunkami nie zaszło nic. Podczas wypytywania powiedziała raz: „Cóż ty sobie wyobrażasz? Jestem dziewczyną”.

Przychodzi mi teraz na myśl, że swój list do dra Weissa napisałem w sposób umożliwiający pokazanie go F. od pierwszego słowa po ostatnie. A cóż, jeśli on tak właśnie postąpił dzisiaj i dlatego opóźnił swą odpowiedź?

26 stycznia. Nie mogę rozczytywać się w Thürheimce, która zresztą stanowi jedyną moją przyjemność w ostatnich dniach. List do panny Bl. nadałem dopiero co na kolei. Ależ trzyma mnie coś i ugniata czoło. Gra w karty rodziców przy wspólnym stole.

Rodzice ze swoimi dziećmi, synem i córką, siedzieli w niedzielne popołudnie przy stole. Matka powstała właśnie i zanurzyła chochlę w brzuchatą wazę, ażeby rozdać zupę, aż tu nagle cały stół pojechał w górę, obrus zatrzepotał, oparte o stół ręce ześliznęły się zeń w dół, a zupa łącznie z kulającymi się szpikowanymi słoniną knedlami popłynęła na ojcowe łono.

Jakże zwymyślałem przed chwilą niemal obraźliwie matkę za to, że pożyczyła *Złą niewinność* powieść Oskara Bauma Ellii; najstarsza siostra Kafki, której chciałem jeszcze wczoraj ofiarować tę książkę sam. „Zostaw mi moje książki! Nie mam przecież poza nimi niczego.” — Takie wygadywanie w prawdziwej wściekłości.

Śmierć ojca pani Thürheim: „Lekarze, którzy weszli zaraz potem, stwierdzili, że tętno jest bardzo słabe i dali choremu już tylko parę godzin życia. Mój Boże, to o moim ojcu powiedzieli tak — tylko parę godzin zwłoki, a potem trup”.

28 stycznia. Odczyt o cudach w Lourdes. Lekarz — wolnomyśliciel, energiczny, silny zgryz, zgrzyta zębami, delektując się potokiem słów. „Czas już, aby niemiecka solidność i rzetelność stanęła frontem przeciwko włoskiemu szarlataństwu.” Sprzedawca *Messenger de Lourdes* <sup>Posłaniec z Lourdes</sup>: Superbe guerison de ce soir. **Guerison affirmée!** <sup>wspaniale uzdrowienie dziś wieczór — uzdrowienie stwierdzone.</sup>

Dyskusja: „Jestem prostym urzędnikiem pocztowym, niczym więcej”. Hôtel de l'univers. — Nieskończona żalność przy oddalaniu się myślami ku F. — Powolne uspokajanie się za pomocą rozmyślań.

List do Bl. oraz *Galera Weissa* wysłane.

Siostrze A. powiedziała dawno już jakaś kabalarka, że najstarszy jej brat zaręczył się i że jego narzeczona go zdradza. Odrzącał wtedy — jak mówi — z wściekłością podobne bzdury. Ja: „Dlaczego tylko wtedy? Przecież to jest fałszem równie dobrze, jak wtedy. Przecież nie zdradziła ciebie”. On: „Prawda, że nie zdradziła?”

2 lutego. A. Dziwkarski list przyjaciółki do narzeczonej. „Gdybyśmy chciały brać sobie wszystko do serca tak poważnie, jak wtedy, gdy nauki dawane przy spowiedzi wywierały na nas swój wpływ.” „Dlaczego byłaś w Pradze tak powściągliwa, lepiej wyszumieć się trochę niż na całego” —interpretuję ten list zgodnie ze swym przeświadczeniem na korzyść narzeczonej, i to nie bez życzliwych domysłów.

Wczoraj A. był w Sluknovie. Siedzi przez cały dzień w pokoju i mając w ręku pakiet z kompletem listów (swoją jedyną bagaż), nie przestaje wypytywać jej, Nie dowiaduje się niczego nowego, na godzinę przed odjazdem pyta: „Czy podczas całowania światło było zgaszone?” — i dowiaduje się tej wtrącającej go w niepokieszoną rozpacz nowiny, że W. w czasie całowania (druga seria) zgasił lampę. W. rysował po jednej stronie stołu, L. siedziała po stronie drugiej (w pokoju W. o godzinie jedenastej wieczór) i czytała głośno *Asmus Semper*. Nagle W. wstaje, idzie do skrzynki, aby coś przynieść (L. myśli, że cyrkiel, A. myśli, że prezerwatywę); potem gasi nagle światło, rzuca się na nią z lawiną pocałunków, ona opada na kanapę, on trzyma ją za ramiona, za plecy i mówi między pocałunkami: „Pocałuj mnie!”

L. przy innej sposobności: „W. jest bardzo niezaradny.” Innym razem: „Nie pocałowałam go”. Jeszcze innym: „Zdawało mi się, że leżę w twoich ramionach”. A.: „Muszę przecież mieć pewność” (myśli o tym, by dać ją zbadać lekarzowi); „cóż będzie, jeśli potem podczas nocy poślubnej stwierdzę, że skłamała. Ona jest może tak spokojna tylko dlatego, bo on użył prezerwatywy”.

Lourdes: atak na wiarę w cudy oraz atak na Kościół. Takim samym prawem mógłby ten człowiek występować, gdzie się da, przeciwko świątyniom, procesjom, spowiedziom, niehigienicznym obrzędom, bo przecież dowieść nie sposób, czy modlitwy skutkują. Karlove Vary to większe oszustwo niż Lourdes, a Lourdes ma tę wyższość, że się tam jedzie z nakazu najserdeczniejszej wiary. A jakże ma się rzecz z zakorzenionymi mniemaniami co do operacji, uleczeń surowicą, szczepień, lekarstw?

To prawda, lecz: olbrzymie szpitale dla przejezdnych ciężko chorych; brudne sadzawki; **brancards nosze**, wyczekujące specjalnych pociągów; komisja lekarska; wielkie krzyże z żarówek na szczytach. Papież pobiera trzy miliony dochodu rocznie. Kapłan z monstrencją przechodzi, jakaś kobieta leżąca na noszach krzyczy: „Jestem uzdrowiona”. Ma w dalszym ciągu gruźlicę kości, bez zmiany.

Drzwi uchylły się na szparkę. Ukazał się rewolwer i wyciągnięte ramię.

Thürheim II. 35, 28, 37 nic słodsze nad miłość; nic zabawniejszego nad kokieterię; 45, 48. Żydzi.

10 lutego. Godzina jedenasta, po przechadzce. Rzeźwiejszy niż zwykle. Dlaczego?

1. Maks orzekł, że jestem spokojny

2. Feliks ma się żenić (darliśmy koty).
3. Zostanę sam, o ile F. jednak mnie nie zechce.
4. Zaproszenie od pani X i rozważanie, jak się jej przedstawię.

Przypadek zrządził, że poszedłem w kierunku przeciwnym jak zazwyczaj, to jest przez Kettensteg, Hradczyn, most Karola. Zwykle opadam po prostu z sił na tej trasie, dziś idąc z naprzeciwka zebrałem się trochę w garść.

11 lutego. Goethe go Diltheya przeczytałem pobieżnie, dzięki wrażenie, porywa mnie to, dlaczego nie można podpalić samego siebie i zginąć w ogniu. Albo dążyć tymi śladami, choćby się nie słyszało nakazu? Siedzieć pośrodku swej pustej izby na krześle i gapić się w posadzkę ... „Naprzód” — zawołać w wąwozie górskim i słyszeć, jak ze wszystkich bocznych ścieżek wśród skał ludzie wołają jeden za drugim i widzieć, jak wychodzą z kryjówek.

13 lutego. Wczoraj u pani X. Energiczny i spokojny, bezbłędnie stawiająca na swoim energia, wświdrowująca się spojrzeniami, wpychająca się rękami i nogami. Otwartość, otwarte spojrzenie. Zawsze widzę we wspomnieniu jej wstrętne, olbrzymie odświeżone kapelusze renesansowe ze strusimi piórami z zamierzchłej epoki, była dla mnie zawsze odrażająca, dopóki nie poznałem jej osobiście. Jak śpiesząc ku poincie opowiadania przyciska zarękawek do brzucha i mimo to mufka drga. Jej dzieci A. i B.

Przypomina mi bardzo W. spojrzeniem, bezpamiętnym zatapianiem się w opowiadaniu, wsłuchiwaniami się bez reszty, drobną, pełną życia postacią, nawet twardym przytłumionym głosem, paplaniną o pięknych sukniach i kapeluszach, podczas gdy na niej samej nie widać nic podobnego. Widok z okna na rzekę. W wielu momentach rozmowy, jakkolwiek ona nie zdradza ani śladu znużenia, moje kompletne fiasko, bezmyślne spojrzenie, nierozumienie jej słów, odwalanie najidiotyczniejszych uwag, przy których z konieczności widzę, jak ona zmienia się w słuch, bezsensowne obmacywanie małego dziecka.

Sny:

W Berlinie, ulicami, do jej domu, spokojna błoga pewność; wprawdzie nie jestem jeszcze przy jej domu, ale łatwo mogę tam dojść, dojdę tam na pewno. Widzę sznury pojazdów ulicznych, na jakimś białym domu napis, coś niby „Paradne sale Północy (wyczytane wczoraj w gazecie), we śnie dołączyło się „Berlin W”. Pytam życzliwego, czerwonego, starego policjanta, który tym razem tkwi w czymś podobnym do liberii lokajskiej. Otrzymuję więcej niż dokładną informację, nawet wskazuje mi w oddali sztachetki przy małym trawniku, których dla bezpieczeństwa powinienem się trzymać przechodząc obok. Następnie rady dotyczące tramwaju, kolei podziemnej itd. Nie mogę już nadażyć uwagą i pytam przestraszony dobrze wiedząc, że nie doceniam odległości: „To będzie chyba o pół godziny stąd?” — On jednak, ten stary człowiek, odpowiada: „Zaszedłbym tam w sześć minut”. O radości! Jakiś człowiek, jakiś cień, jakiś uczestnik drogi towarzyszy mi ciągle, nie wiem kto. Nie mam po prostu czasu, by spojrzeć w tył, by zwrócić się w bok.

Mieszkam w Berlinie w jakimś pensjonacie, gdzie, jak się zdaje, przebywają sami młodzi polscy Żydzi; małe pokoje. Wylewam karafkę wody. Ktoś stukną bez przerwy na małej maszynie do pisania, prawie nie odwraca głowy, gdy się o coś poprosi. Nie sposób zdobyć mapę Berlina. Widzę często w czyimś ręku książkę podobną do planu. Za każdym razem okazuje się, że książka ta zawiera coś całkiem innego, wykaz berlińskich szkół, statystykę podatków lub coś w tym guście. Nie chcę uwierzyć w to, otrzymuję jednak w odpowiedzi danej z uśmiechem dowód całkiem niewzruszony.

14 lutego. Gdybym odebrał sobie życie, nikt bezsprzecznie nie poniósłby winy i to nawet wtedy, gdyby oczywistą bezpośrednią pobudką miało się stać na przykład postępowanie F. Sam już sobie uzmysłowiłem raz w półśnie scenę, jaka by wynikła, gdybym w przewidywaniu rezultatu, mając list pożegnalny w kieszeni, przyszedł do jej mieszkania, został jako konkurent odrzucony, list położył na stole, poszedł w stronę balkonu i przytrzymywany przez wszystkich śpieszących na miejsce wypadku, wydarł się i rozluźniwszy chwyt jednej i drugiej dłoni, przeskoczył balustradę. W liście widniałoby jednak jasno, że wprawdzie rzucam się z piętra z powodu F., niemniej nie zaszłaby dla mnie żadna istotna zmiana, gdyby nawet prośbę mą przyjęto. Moje miejsce jest tam, w dole, nie widzę żadnego innego załatwienia sprawy, F. jest przypadkowo tą właśnie osobą, przez którą spełnia się mój los, nie jestem zdolny żyć bez niej, więc muszę skoczyć, nie zdołałbym jednak — i F. przeczuwa to — również żyć z nią razem. Czemu nie wykorzystać na to dzisiejszej nocy, już widzę przed oczyma oratorów z dzisiejszego wieczoru rodzicielskiego, którzy mówili o życiu i o stwarzaniu jego warunków

— ale czepiam się wyobrażeń, żyję doszczętnie wplątany w życie, nie uczynię tego, jestem całkiem zastygły, jestem smutny, że koszula uwiera mnie w szyję, jestem potępiony, szukam drogi we mgle.

15 lutego. Jakże mi się dłuży ta sobota i niedziela, gdy myślę o nich. Wczoraj po południu dałem sobie ostrzyć włosy, potem napisałem list do Bl., potem spędziłem chwilę u Maksa w nowym mieszkaniu, potem wieczór u rodziców w towarzystwie L. W.; potem Baum (w tramwaju spotkałem Kr.), potem w drodze powrotnej Maks utyskuje na moje milczenie, potem mania samobójcza, potem powraca z wieczorku rodzicielskiego siostra niezdolna zdobyć się na najzwęższe sprawozdanie. Do dziesiątej w łóżku, bezsenność, cierpienie za cierpieniem. Żadnego listu ani tu, ani w biurze, list do Bl. wrzuciłem na dworcu Franciszka Józefa, po południu G., przechadzka nad Wełtawą, czytanie na głos w jego domu, matka, zdumiewająca przy jedzeniu chleba i kładzeniu pasjansów, samotna dwugodzinna wódczuga, decyzja wyjazdu w piątek do Berlina, spotykam **Khola** czeski pisarz i historyk, m. in. razem z O. Pickiem wydał korespondencję Casanovy z J. F. Opizem. w domu ze szwagrami i siostrami, potem u Weltscha omawianie zaręczyn (J. K. gasi świece), potem w domu próby wyłudzenia od matki milczeniem współczucia i pomocy, teraz moja siostra opowiada o wieczorze w klubie, zegar bije kwadrans przed północą.

Powiedziałem u Weltscha, aby pocieszyć rozżaloną matkę: „Przecież ja także tracę Feliksa przez to małżeństwo. Żonaty przyjaciel to nie przyjaciel”. Feliks milczał, nie mógł też, rzecz jasna, nic powiedzieć, ale nawet nie chciał.

Ten zeszyt zaczyna się od F., która dnia 2 maja 1913 wsączyła niepewność w moją głowę. Tym początkiem mogę również zeszyt zamknąć, jeżeli w miejsce słowa „niepewność”. wpiszę jeszcze gorsze.

16 lutego Jałowy dzień. Jedyną radością, jaką miałem, była wczorajszej nocy, uzasadniona nadzieja lepszego snu.

Szedłem, jak zwykle, wieczorem po zamknięciu Interesu do domu, wtem, jak gdyby na mnie czatowano, zaczęto dawać mi żywo znaki ze wszystkich trzech okien mieszkania Genzmerów, abym wyszedł na górę.

22 lutego. A może przecież pomimo niewyspanej, po lewej stronie u góry prawie bolącej z niepokoju głowy zdołałam położyć spokojnie fundament pod większą całość, w której mógłbym zapomnieć o wszystkim i uświadamiać sobie tylko swe dobro.

23 lutego. Wyjeżdżam. List od **Musila**. Robert Musil (1880—1942), znakomity prozaik austriacki, zaproponował Kafce współpracę w czasopiśmie literackim, po anchlussie wyemigrował do Szwajcarii. Raduje mnie i smuci, bo nie mam nic.

Pewien młody człowiek wyjeżdża na pięknym koniu z bramy willi.

Przy babce w chwili jej śmierci była przypadkowo tyk. ko pielęgniarka. Opowiadała, że tuż przed śmiercią babka podniosła się nieco z wezglowia, co wyglądało tak, jak gdyby szukała kogoś, i że potem położyła się znowu spokojnie i umarła.

Niewątpliwie tkwię w zahamowaniu osaczającym mnie ze wszech stron, z którym jednak z pewnością nie zrosłem się dotąd; widzę, że się rozluźnia w dwie strony i można by je rozsadzić. Są na to dwa środki: ożenek albo Berlin; środek drugi jest bardziej niezawodny, pierwszy bezpośrednio ponętniejszy.

Zanurzyłem się i wnet odzyskałem równowagę. Stado ptaków uniosło się lotnym łańcuchem nade mną i zatopiło w zieleni. Dzwony unoszone prądem wody, miotane tu i tam — fałsz.

9 marca. Rense przeszedł kilka kroków półmrocznym korytarzem, otworzył małe tapetowane drzwi wiodące do jadalni i powiedział do zbyt głośnego towarzystwa, prawie nie darząc go spojrzeniem: — Proszę, uciszcie się trochę. Mam gościa. Proszę o wzgląd na to.

Gdy idąc do swego pokoju, posłyszał nie przytłumiony zgiełk, zawahał się chwilę, chciał zawrócić jeszcze raz, rozmyślił się jednak i zaszedł z powrotem do swego pokoju.

Stał tam przy oknie chłopiec może osiemnastoletni i spoglądał w dół na dziedziniec.

- Jest już ciszej — powiedział, skoro tylko wszedł Rense i podniósł ku niemu swój długi nos i swe

głęboko osadzone oczy.

— Wcale nie jest ciszej — rzekł Rense i tyknął piwa z flaszki stojącej na stole — o ciszy nie ma tu w ogóle mowy. Będziesz musiał przywyknąć do tego, chłopcze.

Jestem zmęczony, muszę starać się o pokrzepienie snem, inaczej przepadłem pod każdym względem. Ile trudów, by utrzymać się na powierzchni! Takiego nakładu sił nie wymaga wydźwignięcie żadnego pomnika.

Argumentacja ogólna: F. stała się moją zgubą.

Rense, student, siedział w swoim małym pokoju z oknem na podwórzu i uczył się. Weszła służąca i oznajmiła, że jakiś młody człowiek chce mówić z Rensem. — A jak się nazywa? — zapytał Rense. Dziewczyna nie wiedziała.

Tutaj nie zapomnę F., a więc i nie ożenię się.

Czy to jest całkiem pewne?

Tak, mogę wydać sąd o tym, mam blisko trzydzieści jeden lat, znam F. prawie dwa lata, muszę więc już mieć pogląd na wszystko. Poza tym wiodę tu jednak tryb życia taki, że nie mógłbym zapomnieć nawet i wtedy, gdyby F. nie znaczyła dla mnie tak wiele. Jednostajność, regularność, wygoda oraz niesamodzielność mojego trybu życia wiąże mnie tu, gdzie raz wrosłem, niewzruszenie. Ponadto mam więcej niż normalną skłonność do życia wygodnego i niesamodzielnego, wszelkie więc momenty szkodliwe ja sam powiększam dodatkowo. Wreszcie i to, że starzeję się przecież, więc coraz trudniej o zmiany. W tym wszystkim widzę jednak wielkie nieszczęście dla siebie, które wygląda na trwałe i beznadziejne; włókiłbym się po szczeblach uposażenia z roku na rok, stając się coraz smutniejszy i wciąż bardziej samotny tak długo, póki bym w ogóle wytrzymał.

Ale ty przecież takiego życia pragnąłeś dla siebie?

Życie urzędnicze mogłoby być dla mnie dobre, gdybym miał żonę. Stwarzałoby mi ono pod każdym względem mocny punkt oparcia w stosunku do społeczeństwa, w stosunku do żony, w stosunku do działalności pisarskiej, nie wymagając nazbyt wielu ofiar, a z drugiej strony nie wyradzając się w wygodnictwo i niesamodzielność, gdyż jako człowiek żonaty nie musiałbym się tego obawiać. Ale jako kawaler nie mogę takiego życia prowadzić do końca.

Lecz mógłbyś być ożenić się mimo wszystko?

Nie mogłem ożenić się wtedy, wszystko burzyło się we mnie przeciwko temu, jakkolwiek gorąco kochałem F. zawsze. Głównym momentem powstrzymującym mnie od tego był wzgląd na moją pracę pisarską, sądziłem bowiem, że małżeństwo zagraża tej pracy. Być może miałem rację; jednak kawalerska samotność w kręgu mego obecnego życia zniszczyła ową pracę. Nie napisałem nic przez cały rok, nie mogę i nadal nic pisać, mam i zachowuję w głowie tę tylko jedną myśl, a ona zżera mnie doszczętnie. Tego wszystkiego nie mogłem wówczas przewidzieć. A zresztą przy swojej, przez ten tryb życia przynajmniej podsycanej, niesamodzielności podchodzę do wszystkiego z wahaniem i nie załatwiam niczego od ręki. Tak było też i w tym wypadku.

Dlaczego wyzbywasz się wszelkiej nadziei, aby F. przecież pozyskać?

Próbowałem już wszelkiego rodzaju samoupokorzeń. W ogrodzie zoologicznym rzekłem raz: „Powiedz tak, nawet jeśli uczucie swe dla mnie uważasz za niewystarczające do małżeństwa; moja miłość do ciebie jest dość wielka, by zastąpić również i to, czego nie dostaje, i w ogóle dość potężna, by wszystko wziąć na siebie”. F. wydawała się zaniepokojona moimi dziwactwami, którymi w toku długiej korespondencji napędziłem jej strachu. Ja na to: „Kocham cię dość gorąco, by otrząsnąć z siebie wszystko, co mogłoby spokój twój zakłócać. Stanę się innym człowiekiem”. Doznawałem — mogę to wyznać teraz, kiedy wszystko musi wyjść na jaw — nawet w okresie naszego najtkliwszego stosunku — często przeczuć i obaw uzasadnionych drobnostkami, że F. kocha mnie nie bardzo, nie z całą siłą miłości, do jakiej jest zdolna. Obecnie dotarło to, zresztą nie bez mego współdziałania, także do świadomości F. Lękam się niemal, że po moich dwu ostatnich odwiedzinach F. odczuwa coś jakby wstręt do mnie, jakkolwiek od zewnątrz patrząc, jesteśmy dla siebie przyjaźni, mówimy sobie po imieniu, chodzimy pod rękę. Jako ostatnie o niej wspomnienie mam w oczach zdecydowanie wrogi grymas, jaki zrobiła, gdy w sieni jej domu nie zadowolili się pocałunkiem złożonym na jej rękawiczce, lecz odszarpnął rękawiczkę i ucałował jej dłoń. A teraz, na domiar wszystkiego, chociaż przyrzekła kontynuować punktualnie dalszą wymianę listów, na dwa listy nie odpowiedziała mi w ogóle, obiecując listy tylko telegramami, ale obietnicy nie spełniła, nie odpowiedziała nawet mojej matce. Beznadziejność więc tego jest chyba niewątpliwa.

Tego właściwie nie wolno by mówić nigdy. Czyż twoje poprzednie postępowanie nie wydawało ci się z punktu widzenia F. również beznadziejne?

To było czymś zgoła innym. Wyznawalem zawsze otwarcie miłość swą do niej, nawet przy ostatnim, jak się zdawać mogło, pożegnaniu naszym w lecie — nie milczałem nigdy z takim okrucieństwem; moje postępowanie miało motywy, które jeśli nie uznać, to przynajmniej można było przedyskutować. F. ma tylko motyw bezwzględnie niewystarczającej miłości. Mimo to prawdą jest, że mógłbym jeszcze czekać. Ale nie potrafię czekać z podwójną beznadziejnością: po pierwsze widząc, jak F. wciąż dalej wymyka mi się z rąk; po wtóre grzęznąc sam w coraz to głębszą niezdolność ratowania się w jakikolwiek sposób. Byłoby to najzuchwalszym aktem odwagi, jaki na próbę zdołałbym wymóc na sobie pomimo, a może właśnie dlatego, że odpowiadałoby to najdoskonalej wszystkim przemożnym złym siłom we mnie samym. „Nie można nigdy przewidzieć, co się stanie”, to żaden argument przeciwko nieznośności jakiegokolwiek sytuacji terażniejszej. Jak zatem chcesz postąpić?

Wyjechać z Pragi. Tę ludzką krzywdę, najpotężniejszą z wszystkich, jakie spotkały mnie w życiu, odeprzeć najpotężniejszym narzędziem buntu, jakim rozporządzam.

Porzucić posadę?

Posada jest zgodnie z tym, co się rzekło, składnikiem nieznośności. Zabezpieczenie, korzyści o charakterze dożywotnym, sowita płaca, niepełne natężenie sił — to przecież sprawy wyłącznie takie, z którymi jako kawaler nie wiem co począć, i które zamieniają się w udręki.

Jak zatem chcesz postąpić?

Na wszelkie podobne pytania mogę odpowiedzieć z miejsca, stwierdzając: nie mam nic do stracenia, każdy dzień i każde najbliższe pozytywne osiągnięcie jest darem losu, wszystko, co tylko uczynię, będzie dobre. Mogę jednak dać także odpowiedź najdokładniejszą: jako prawnik austriacki, jakim zresztą poważnie mówiąc wcale nie jestem, nie mam przed sobą żadnych korzystnych widoków; wszystko najlepsze, co mógłbym zdobyć dla siebie na tej drodze, posiadam przecież już teraz na swym stanowisku, lecz wykorzystać tego nie mogę. Poza tym nawet w niemożliwym z natury swej przypadku, że chciałbym z uprzedniego swego wykształcenia prawniczego wykrzesać cokolwiek dla siebie, wchodziłyby w rachubę tylko dwa miasta:

Praga, z której muszę wyjechać, i Wiedeń, którego nienawidzę, i gdzie musiałbym stać się nieszczęśliwy, bo pojechałbym tam z najgłębszym już przeświadczeniem o nieuchronności tego. Muszę więc wyruszyć poza granice Austrii, a mianowicie — nie mając talentu do języków i będąc zdolny tylko do partaczenia pracy fizycznej oraz kupieckiej — przynajmniej na początek udać się do Niemiec, a w ich obrębie do Berlina dającego najwięcej możliwości utrzymania się. Mógłbym wykorzystać tam najsprawniej i w sposób najbardziej bezpośredni swe zdolności pisarskie również w dziennikarstwie i zapewnić sobie jako tako odpowiedni dla siebie zarobek. Czy poza tym jeszcze byłbym choć trochę zdolny do pracy twórczej — co do tego nie mogę wypowiedzieć się w tej chwili nawet z najmniejszym stopniem prawdopodobieństwa. To jednak wiem, jak sądzę, na pewno, że z tej samodzielnej i swobodnej sytuacji, jaką mieć będę w Berlinie (choćby zresztą nie wiadomo jak nędzna), zyskam jedyne poczucie szczęścia, na jakie mnie teraz jeszcze stać.

Ależ kaprysisz.

Nie, potrzebuję jednego pokoju i jarskiego wikt, prawie niczego ponadto.

Czy nie pojedziesz tam z powodu F.?

Nie, obieram Berlin tylko z wyluszczonej przed chwilą powodów, co prawda lubię to miasto przez wzgląd na F. oraz z uwagi na otaczający F. krąg wyobrażeń, nad tym nie mam władzy. Jest także prawdopodobne, że w Berlinie zetknę się z F. — Jeśli to przebywanie razem dopomoże mi do wyszarpięcia F. z moich żył, tym lepiej, będzie to wówczas jedną więcej zaletą Berlina.

Czy jesteś zdrowy?

Nie, serce, sen, trawienie.

Pokoik czynszowy. Świt. Nieład.

STUDENT leży w łóżku, śpi obrócony do ściany. Ktoś puka. Cisza. Głośniejsze pukanie. Student podnosi się przestraszony do pozycji siedzącej, patrzy ku drzwiom: Wejść.

SŁUŻĄCA, wążła dziewczyna: Dzień dobry.

STUDENT: Czego panienka sobie życzy? Przecież to jeszcze noc.

SŁUŻĄCA: Przepraszam. Jakiś pan pyta o pana.

STUDENT: O mnie? (zastanawia się) Nonsens! Gdzież on jest?

SŁUŻĄCA: Czeką w kuchni.

STUDENT: Jak wygląda?

SŁUŻĄCA uśmiecha się: Więc, to jeszcze chłopak, bardzo przystojny nie jest, zdaje mi się, że to Żyd.

STUDENT: I taka figura chce przychodzić do mnie w nocy? Poza tym nie trzeba mi opinii panienki

o moich gościach, rozumie panna. A ten ktoś niech wejdzie. Tylko szybko.

(STUDENT nabija fajeczkę, która leżała na krześle obok łóżka i pali. KLEIPE staje w drzwiach i patrzy w stronę STUDENTA, który utkwiwszy oczy w sufit, puszcza spokojnie kłęby dymu przed siebie. Niepokąźny; nos prosty, długi, trochę skrzywiony w jedną stronę, spiczasty, cera śniada, oczy osadzone głęboko, ręce przydługie.)

STUDENT: Jak długo to jeszcze potrwa? Podejdz pan do łóżka i gadaj, czego chcesz. Kto pan jest? O co panu chodzi? Żywo! Żywo!

KLEIPE idzie bardzo powoli ku łóżku i usiłuje po drodze wyjaśnić coś gestami rąk. Gdy mówi, dopomaga sobie wyciąganiem szyi oraz podnoszeniem i opuszczaniem brwi: A bo ja także jestem z Wulphenhausen.

STUDENT: Tak? to ładnie, to bardzo ładnie. Czemu więc pan nie został tam?

KLEIPE: Proszę się zastanowić! To jest rodzinne miasto pana i moje, ślicznie, ale to przecież nędzna dziura.

15 marca. Za trumną Dostojewskiego chcieli studenci nieść jego kajdany. Zmarł w dzielnicy robotniczej, na czwartym piętrze kamienicy czynszowej.

Około piątej godziny nad ranem, a było to w zimie, na pół ubrana służąca oznajmiła studentowi gościa. — Co tam Znowu? Że jak? — zapytał student jeszcze mocno zaspany, aż tu wchodzi już jakiś młody człowiek z pożyczoną od służącej palącą się świecą, podnosi jedną ręką świecę, ażeby lepiej widzieć studenta, zaś drugą zniża kapelusz prawie do ziemi, taką długą miał rękę.

Nic prócz wyczekiwania, wiecznej bezradności.

17 marca. Siedziałem w pokoju przy rodzicach, przez całe dwie godziny przerzucałem czasopisma, co jakiś czas spoglądałem przed siebie, ogólnie biorąc czekałem tylko, aż nastanie godzina dziesiąta i będę mógł położyć się do łóżka.

27 marca. Ogólnie biorąc spędziłem ten dzień prawie tak samo.

Hass spieszył się, aby jak najprędzej dostać się na statek, przebiegi pomost okrętowy, wspiął się na pokład, usiadł w jakimś kątku, wcisnął twarz w dłoń i od tej chwili nie dbał już o nikogo więcej. Dzwonek okrętowy zadźwięczał, ludzie mknęli obok, zaś daleko, jakby działo się to na drugim końcu statku, śpiewał ktoś pełną piersią.

Chciano już ściągnąć pomost okrętowy, gdy wtem podjechał mały czarny powozik, woźnica zakrzyknął z daleka, konia, który stawał dęba, trzeba było powstrzymać z całej siły; jakiś młody człowiek wyskoczył z pojazdu, pocałował starego siwobrodego pana, który wychylił się spod powozowej budy, i wbiegł z małą walizką w rękę na okręt, który natychmiast odepchnięto od brzegu.

Było to mniej więcej o godzinie trzeciej w nocy, ale latem i już dość jasno. Aż tu nagle w stajni pana von Grusenhof pięć jego koni: Famos, Grasaffe, Tournemento, Rosina i Brabant stanęło na równe nogi. Z powodu dusznej nocy drzwi stajni zaledwie przymknięto; obaj parobcy spali chrapiąc w słomie na grzbiecie, nad ich otwartymi ustami brzęczały tu i tam muchy, ani śladu przeszkody. Grasaffe przystanął tak, że obu mężczyzn miał pod sobą i gotów był, patrząc pilnie na ich twarze, uderzyć podkowami przy najmniejszych oznakach przebudzenia. Cztery inne konie jeden za drugim opuściły tymczasem stajnię, Grasaffe pomknął za nimi.

Anna zobaczyła przez szklane drzwi, że w pokoju lokatora było ciemno, weszła i zaświeciła elektryczną lampę, aby pościelić łóżko. Tymczasem student siedział czy na pół leżał na kanapie i uśmiechał się do niej. Przeprosiła i chciała wyjść. Ale student poprosił ją, by została i nie zważała na niego wcale. Została więc i wykonała swą pracę, rzucając co pewien czas ukośne spojrzenia w stronę studenta.

5 kwietnia. Gdyby było możliwe pojechać do Berlina, usamodzielnic się, żyć z dnia na dzień, nawet głodować, ale dać upływ całej swej sile! zamiast tutaj oszczędzać lub raczej osuwać się w nicłość. Gdyby F. tego zechciała i dopomogła mi!

8 kwietnia. Wczoraj byłem niezdolny do napisania choćby jednego słowa. Dzisiaj nie lepiej. Któż mnie wybawi? A we mnie jest chaos sił w głębi prawie nieprzejranej. Jestem jak żywa krata

więzienna; krata, która stoi mocno, lecz pragnie runąć.

Dziś w kawiarni z Werflem. Jakże on z daleka wygląda przy stoliku kawiarnianym. Zgarbiony, nawet w drewnianym krześle na pół leżący, twarz piękna z profilu, z brodą wciśniętą w szyję na skutek pełności ciała (nie tego, co się nazywa otyłością), prawie zasapany, najzupełniej niezależny od otoczenia, niegrzeczny i nienaganny. Zwisające okulary ułatwiają swą kontrastowością badawcze śledzenie wzrokiem subtelných konturów twarzy.

6 maja. Zdaje się, że rodzice znaleźli ładne mieszkanie dla F. i dla mnie; ja sam wałęsam się bezskutecznie przez dobre popołudnie. Czy złożą mnie także do grobu po szczęśliwym dzięki ich troskliwości życiu.

Pewien szlachcic, nazwiskiem von Griesenau, miał stangreta Józefa, którego nie ścierpałby żaden inny pracodawca. Mieszkał on w parterowej izbie przy łożu portiera, ponieważ z powodu swej otyłości i zadyszki nie mógł chodzić po schodach. Jedynym jego zajęciem było powożenie, ale i do tego powoływano go tylko przy niezwykle okazjach, na przykład na cześć jakiegoś gościa; poza tym wylegiwał się całymi dniami, całymi tygodniami na pryczy przy oknie i patrzył wąskimi, głęboko osadzonymi w tłuszczu, zdumiewająco szybko mrugającymi oczami przez okno na drzewa, które... [rękopis urywa się]

Stangret Józef leżał na swym wyrku dźwigając się jedynie po to, aby wziąć ze stolika kromkę chleba z masłem i śledziem, po czym osuwał się znów na wezglowie i żując gapił się wkoło. Przez wielkie okrągłe dziurki od nosa wciągał z trudem powietrze; niekiedy musiał, aby zaczerpnąć dość powietrza, przestać żuć i otworzyć usta, a wielki jego brzuch podrygiwał nieprzerwanie pod licznymi fałdami cienkiej, ciemnoniebieskiej liberii.

Okno otwarto, widać było akację i pusty plac. Było to niskie parterowe okno, Józef widział ze swego legowiska wszystko i każdy człowiek mógł też widzieć go od zewnątrz. Było to uciążliwe, ale musiał mieszkać tak nisko, ponieważ od pół roku przynajmniej, to jest od kiedy jego sadło mocno narosło, nie mógł już wchodzić po schodach. Kiedy dostał izbę obok łoża portiera, ze łzami w oczach całował i ścisnął ręce swego chlebodawcy, pana von Griesenau. Teraz jednak znał już ujemne strony tej izby — wieczne tkwienie na pokaz ciekawskim, sąsiedztwo gburowatego portiera, niepokój w bramie wjazdowej i na placu, duże oddalenie od reszty służby i wynikająca stąd obcość i zaniedbywanie go — wszystkie te usterki znał teraz gruntownie i zamierzał też co prawda poprosić pana o przesiedlenie do swego dawnego pokoju. Bo po co wystawało, zwłaszcza odkąd pan się zaręczył, tylu świeżo przyjętych chłopaków bez żadnego z nich pożytku, niechby raczej jego, zasłużonego i niezastąpionego człowieka nosili po prostu po schodach, w górę i w dół.

Obchodzono uroczyste zaręczyny. Uczta skończyła się, towarzystwo wstało od stołu, wszystkie okna otwarto, był piękny, ciepły wieczór czerwcowy. Narzeczona stała w kole przyjaciółek i dobrych znajomych; reszta obecnych skupiła się w małe grupy, tu i ówdzie dźwięczał hojnie śmiech. Narzeczony oparł się samotnie o framugę drzwi balkonu i patrzył w dal na świat.

Po pewnym czasie zauważyła go matka narzeczonej, podeszła ku niemu i zapytała: — Tak sam stoisz tutaj? Nie zbliżysz się do Olgi? Czy posprzeczałście się?

— Nie — odpowiedział narzeczony — nie posprzeczaaliśmy się.

— No więc — rzekła dama — w takim razie idź do swojej narzeczonej! Bo twoje zachowanie się zwraca już uwagę.

Okropność wszystkiego, co jest tylko schematem.

Wynajmująca pokoje, wąta, czarno odziana wdowa w spódnicy opadającej prostymi fałdami stała w środkowym pokoju swego pustego mieszkania. Było jeszcze całkiem cicho, dzwonek ani drgnął. Na ulicy było także cicho, kobiecina obrała umyślnie ulicę tak cichą, bo chciała mieć dobrych lokatorów, a ci, co pragną spokoju, są najlepsi.

27 maja. Matka i siostra w Berlinie. Będę wieczorem sam z ojcem. Zdaje mi się, że boi się wyjść na górę. Czy mam z nim grać w karty? (Moje „K” wydają mi się brzydkie, budzą we mnie prawie wstręt i wypisują je mimo to, muszą być dla mnie bardzo charakterystyczne.) Jak zachował się ojciec, gdy napomknąłem o F.

Po raz pierwszy siwy koń zjawił się pewnego jesiennego popołudnia na jednej z wielkich, lecz niezbyt ożywionych ulic miasta A. Wyszedł z bramy domostwa, w którego podwórzu pewne



towarzystwo przewozowe miało rozległe składy. Toteż często trzeba było wyprowadzać z bramy wjazdowej zaprzęgi, a od czasu do czasu także i jednego tylko konia i wobec tego siwy koń nie zwrócił na siebie szczególnej uwagi. Nie należał jednak do inwentarza towarzystwa przewozowego. Pewien robotnik, który przed bramą dociągał mocniej powrozy na tobole z towarem, zauważył konia, popatrzył znad swej roboty w górę, a potem po dziedzińcu, czy w ślad za koniem nie nadejdzie zaraz woźnica. Nie nadszedł nikt; koń ledwie wszedł na chodnik, stanął potężnie dęba, wykrzesał parę iskier z bruku, przez chwilę był bardzo bliski upadku, zebrał się jednak natychmiast w sobie i następnie pokłusował ani prędko, ani powoli w górę ulicy prawie zupełnie pustej o tej godzinie zmierzchu. Robotnik sklął opieszalych jego zdaniem woźniców, wykrzyknął kilka imion w stronę podworca, wyleźli ludzie, jednak — poznając natychmiast konia jako obcego — nieco tylko zdziwieni przystanęli jeden obok drugiego w bramie. Dopiero po chwili garstka sięgnęła po rozum do głowy, ten i ów pobiegł kawał drogi za koniem, ale ponieważ go już nie dostrzegli, powrócili co prędkiej.

Tymczasem koń przez nikogo nie zatrzymany dokłusował już do najdalszych ulic przedmiejskich. Przystosowywał się do ulicznego ruchu lepiej, niż czynią to zwykle konie biegnące bez nadzoru. Powolny jego kłus nie mógł nikogo nastraszyć, nie zdarzyło mu się też ani razu wybiec poza jezdnię albo zbiec z przepisowej strony ulicy; gdy należało zatrzymać się ze względu na jakiś pojazd wysuwający się z przecznicy, natenczas przystawał; gdyby najprzezorniejszy woźnica wiódł go za uzdę, siwek nie mógłby zachować się poprawniej. Mimo to widowisko zwracało, rzecz jasna, uwagę; tu i ówdzie stanął ktoś i zerknął za nim z uśmiechem, jakiś woźnica przejeżdżający obok na wozie z piwem trzasnął dla żartu z góry batem na konia, a ten zląkł się wprawdzie, podskoczył przednimi kopytami w górę, ale nie przyspieszył kroku.

Jednakże to zajęcie zauważył pewien policjant, podszedł do konia, który w ostatniej chwili spróbował skrócić jeszcze w bok, pochwycił za cugle (koń miał na sobie pomimo swej niezbyt rostej budowy postronki i rzemienie nakładane w zaprzęgu jucznym) i powiedział bardzo zresztą uprzejmie: „Stój! Dokąd biegniesz”? Przez długą chwilę trzymał go tak pośrodku jezdni, myślał bowiem, że właściciel nadejdzie wnet za swoim zbiegłym zwierzęciem.

Ma to sens, ale jest mdłe, krew tętni słabo, za daleko od serca. Mam w głowie jeszcze ładne sceny, a przecież rzucam pióro. Wczoraj pojawił mi się siwy koń po raz pierwszy, zanim zasnąłem, mam wrażenie, jak gdyby wyszedł wpierw z mojej głowy zwróconej ku ścianie, przestępując mnie zeskoczył z łóżka i gdzieś się potem zatracił. Ostatni ten fakt nie znajduje niestety zaprzeczenia w wi-dniejącym powyżej początku.

Jeżeli niezbyt się łudzę, przybliżam się mimo wszystko. Jest tak, jakby gdzieś na jakiejś leśnej polanie toczyła się walka duchów. Zagłębiam się w las, nie znajduję niczego i przez swą słabość wynurzam się znów co prędkiej; często, gdy opuszczam las, słyszę lub też wydaje mi się, że słyszę szczęk dobytego w tej walce oręża. Być może spojrzenia walczących poszukują mnie poprzez leśny mrok, lecz wiadomo mi o nich tylko tak niewiele i tak uludnie.

Silna ulewa. Nadstaw się na deszcz, niech cię przeszyją żelazne promienie, ślizgaj się w wodzie, co chce cię unieść; lecz trwaj na miejscu, czekaj tak wyprostowany, aż nagle i bezkresnie przeniknie cię słońce.

Gospodyni rzuciła spódnice i pospieszyła przez pokoje. Rosła, oziębła dama. Jej stercząca w przód dolna szczęka wystraszyła lokatorów. Zbiegli schodami w dół, a gdy wyjrzała za nimi z okna, pozastaniali w biegu twarze. Przyszedł raz lokator pomniejszej sorty, młody człowiek tęgi i krępy, który trzymał ręce bez przerwy w kieszeniach surduta. Może taki miał zwyczaj, ale nie było również wykluczone, że chciał ukryć drżenie rąk.

— Młody człowieku — przemówiła kobieta i dolna jej szczęka wysunęła się naprzód — czy pan chce mieszkać tutaj?

— Tak — mruknął młody człowiek i skinął głową z dołu do góry.

— Będzie tu panu dobrze — rzekła kobieta i podprowadziła go w stronę krzesła. Zauważyła po drodze, że ma na spodniach plamę, przeto przykłękała tuż przy nim i poczęła tę plamę skrobać paznokciami.

— Brudas pan jesteś — powiedziała.

— To stara plama.

— Wobec tego jest pan starym brudasem.

— Precz z tą ręką — powiedział nagle i odsunął ją rzeczywiście. — Jakie straszne ręce ma pani — dodał, pochwycił jej rękę i przekręcił ją. — Z wierzchu całkiem czarne, od spodu białawe, lecz jeszcze dostatecznie czarne, a — wsunął dłoń w jej luźny rękaw — na ramieniu jest pani

nawet cokolwiek owłosiona.

— Pan mnie łechta — powiedziała.

— Bo pani mi się podoba. Nie pojmuję, jak może ktoś mówić, że pani jest brzydka. A mówią tak ludzie. Ale teraz widzę, że to przecież nie zgadza się wcale z prawdą.

Tu powstał i zaczął przechadzać się po pokoju z kąta w kąt. Klęczała wciąż jeszcze, oglądając swą rękę.

Rozwścieczyło go to z jakiegoś powodu, przypadł do niej i chwycił jej rękę po raz drugi.

— A to kobieta — powiedział po chwili i uderzył ręką w jej wąski, chudy policzek. — Dobrze by mi to nawet zrobiło, gdybym tu zamieszkał. Ale musiałoby być tanio. I żadnego innego lokatora nie byłoby pani wolno przyjąć.

I musiałaby pani być mi wierna. Jestem, co tu gadać, znacznie młodszy od pani, więc mogę chyba wymagać wierności. I musiałaby pani smacznie gotować. Jestem przyzwyczajony do smacznego jedzenia i nie odwyknę od tego nigdy.

Tańczcie dalej, świnię; cóż ja mam z tym wspólnego?

Jednakże prawdziwsze to niż wszystko, co napisałem w ubiegłym roku. Być może cały sekret jest mimo wszystko w tym, aby rozruszać rękę w przegubie. Będę jeszcze kiedyś mógł pisać.

Od tygodnia przychodzi co wieczór mój sąsiad zza ściany, aby się ze mną mocować. Nie poznałem się z nim wcale, o niczym też aż do dziś dnia z nim nie rozmawiałem. Zamieniamy jedynie parę okrzyków, których nie można, nazwać „powiedzeniami”. „Więc” rozpętuje walkę, przy słowie „łajdak” jęczy nieraz któryś z nas w uchwycie drugiego, „teraz” towarzyszy zaskakującemu ciosowi, „przestać!” oznacza koniec, ale walczy się zawsze jeszcze chwilę dłużej. Czasem kompan mój nawet od samych drzwi wraca skokiem do pokoju i zadaje mi jeszcze jeden cios, tak że padam. Ze swego pokoju woła do mnie potem przez ścianę:

„Dobranoc”. Gdybym zechciał zerwać tę znajomość ostatecznie, musiałbym chyba wypowiedzieć pokój, bo zaryglowanie drzwi wcale nie pomaga. Pewnego razu zaryglowałem drzwi, bo chciałem czytać; cóż kiedy mój sąsiad rozwalił drzwi siekierą na dwoje, a że człowiek ów tylko z wielkim trudem wypuszcza z ręki to, co raz pochwycił, więc zagrażało mi niebezpieczeństwo nawet siekiery.

Umiem przystosować się. Ponieważ sąsiad mój przychodzi zawsze o oznaczonej godzinie, zaczynam jakąś łatwą pracę, którą mogę przerwać natychmiast, skoro zajdzie potrzeba. Porządkuję na przykład zawartość jakiegoś pudła albo przepisuję coś lub wreszcie czytam obojętnie jaką książkę. Muszę wszystko urządzić, bo załedwie się zjawia we drzwiach, muszę wszystko zostawić, a więc zaraz zamknąć pudło, upuścić pióro, rzucić książkę, on bowiem chce tylko walki, niczego więcej. Gdy czuję się na siłach, droczę się z nim trochę, próbując wymknąć mu się najpierw. Przepętlam pod stołem, rzucam mu pod nogi krzesła, mrugam nań z daleka porozumiewawczo, jakkolwiek jest to, rzecz jasna, niesmaczne bawić się całkowicie czymś kosztem. Ale najczęściej nasze ciała zwierają się natychmiast splotem walki. Sąsiad mój jest, jak się zdaje, studentem, uczy się po całych dniach, a wieczorem przed udaniem się na spoczynek chce co prędzej zaznać jeszcze trochę ruchu. Otóż we mnie ma dobrego przeciwnika, jestem może, nie biorąc pod uwagę zmienności fortuny, silniejszy od niego i zwinniejszy. Ale on jest wytrwalszy.

28 maja. Pojutrze pojadę do Berlina. Pomimo bezsenności, bólów głowy i trosk może w lepszym stanie niż kiedy indziej.

Przyprowadził raz z sobą jakąś dziewczynę. W chwili gdy nie zważając na niego, witam ją, rzuca się na mnie i porywa mnie podnosząc w górę.

— Protestuję — zawołałem i podniosłem rękę, — Milcz — syknął mi szeptem w ucho.

Zrozumiałem, że za wszelką cenę, nawet przy użyciu haniebnych chwytów, uwziął się zwyciężyć na oczach dziewczyny, aby zabłysnąć sławą.

— Powiedział do mnie „milcz” — zawołałem zwróciwszy głowę ku dziewczynie.

— Och, nikczemnik — jęknął z cicha, bo całą swą siłę strawił już na mnie. Mimo to zawlókł mnie jeszcze do kanapy, obalił na nią, ukląkł ciężko na moich plecach, zaczekał, aż odzyskam mowę i przemówił: — A więc leży tu.

— Spróbuj jeszcze raz — chciałem powiedzieć, lecz już po pierwszym słowie wduślił mi twarz w wyścielane obicie kanapy tak mocno, że musiałem milczeć.

— No, dobrze — rzekła dziewczyna, która tymczasem usiadła przy moim stole, odczytując leżący tam zaczęty właśnie list — a może byśmy tak już poszli? Bo on dopiero co zaczął pisać list.

— Nie będzie go pisał dalej nawet i wtedy, gdy odejdziemy stąd. Chodź no tutaj. Złap go na przykład tu, za udo, toż trzęsie się jak chore bydło.

— Powtarzam, zostaw go i chodź.

Z wielką niechęcią mężczyzna zlął ze mnie. Mógłbym mu teraz obić skórę, bo byłem właśnie wypoczęty, cóż kiedy napiął wszystkie mięśnie, aby mnie przytrzymać. To on trzął się i myślał, że ja dygocę. Nawet ciągle jeszcze dygotał. Poniechałem go jednak z uwagi na obecność dziewczyny.

— Prawdopodobnie zdołała już pani urobić sobie własny sąd o tym turnieju — powiedziałem do dziewczyny, przeszedłem obok niego z ukłonem i usiadłem przy stole, aby pisać dalej list. — No, i kto się trzęsie? — zapytałem przed rozpoczęciem pisania, trzymając na dowód, że to nie ja, pióro sztywno w powietrzu. Zaś pisząc już, rzuciłem za nimi, gdy znaleźli się we drzwiach, krótki okrzyk: adieu, tupnąłem jednak z lekka nogą, ażeby przynajmniej na swój własny użytek podkreślić tę formę pożegnania, na jaką prawdopodobnie byliby zasłużyli oboje.

29 maja. Jutro do Berlina. Czy to opanowanie, jakie odczuwam, jest tylko nerwowo-subiektywne, czy też obiektywne i niezawodne? Jak by to być mogło? Czy to prawda, że gdy się raz zostanie wtajemniczonym w sztukę pisania, wówczas niczego nie można chybić, nic nie idzie na dno, ale też rzadko tylko wzbija się na nieprzeziętą wysokość? Czyżby to zarysowujące się małżeństwo z F.? Dziwna rzecz, ale ten stan nie jest mimo wszystko całkowicie obcy na tle moich wspomnień.

Długo stałem z Pickiem przed bramą. Tylko jedna myśl, jak by wyrwać się co prędzej, gdyż moją poziomkową kolację przygotowano mi już na górze. Wszystko, co o nim teraz napiszę, jest podłością, bo nie pozwolę mu niczego zobaczyć lub będę zadowolony, że tego nie zobaczy. Z drugiej strony jestem nawet współwinny jego stanowi, dopóki idę z nim razem; a więc to, co mówię o nim, odnosi się także i do mnie nawet wtedy, gdy się wyabstrahuje kunsztowne rozumowanie, jakie tkwi w podobnym spostrzeżeniu.

Snuję plany. Patrzę przed siebie nieruchomo, aby nie odrywać oczu od urojonych wzniętości urojonego kalejdoskopu, w jaki spoglądam. Mieszam beładnie zamiary dobre i samolubne, barwa dobrych rozmywa się i zacieka, w zamian za to przechodzi w te, które są samolubne. Zapraszam niebo i ziemię do uczestnictwa w moich planach, ale nie zapominam o małych ludziach, których można wyłowić w każdej bocznej ulicy i którzy mogą na razie oddać lepsze usługi moim planom. Przecież to dopiero początek, zawsze, ach, zawsze dopiero początek. Jeszcze tkwię tutaj w swej niedoli, a już nadjeżdża spoza mnie olbrzymi wehikuł mych planów, pierwsza mała platforma podsuwa mi się pod stopy; nagie dziewczęta jak na karnawałowych pojazdach ze szczęśliwych krajów wiodą mnie w tył stopniami w górę, unoszą się w powietrze, bo w powietrze unoszą się dziewczęta, i podnoszą dłoń, która nakazuje spokój. Różane krzewy kwitną mi u boku, kadzidlane płomyki goreją, lazuruwie wieńce spływają w dół, czyjeś ręce sypią kwiaty przede mną i na mnie, dwu trębaczy, jak ze spiętrzonych ciosowych głazów, dmie fanfary; pospólstwo nadbiega tłumnie, ustawiając się za przywódcami; puste, czyste, prostokątne, obszerne place mroczą się, ożywiają się i przepelniają, czują granicę ludzkich wysiłków i wykonywam na swoim wzniesieniu, z własnej ochoty i ze zbudzoną we mnie nagłą zręcznością, sztuczkę człowieka-węża, którego przed wieloma laty podziwiałem; mianowicie przeginam się powoli w tył — a właśnie niebo próbuje otworzyć się, aby zrobić miejsce przeznaczonemu dla mnie zjawisku, lecz utyka — następnie głowę i górną część tułowia przeciągam między nogami i powoli powstają znów wyprostowany. Czy był to najwyższy dostępny ludzkości wzlot? Zdaje się, że tak, bo widzę, jak ze wszystkich bram rozpościerającej się przede mną przepastnej i rozległej krainy tłoczą się jeden przez drugiego małe rogate diabełki, zalewają wszystko, jak wszystko załamuje się pod ich kłusem, ogonki ich ścierają wszystko; już pięćdziesiąt ogonów szoruje moją twarz, ziemia rozmięka, grzęznę jedną nogą, potem drugą, piski dziewcząt ścigają mnie w otchłań, w którą zapadam się pionowo poprzez szyb o średnicy dokładnie mojego ciała, ale o głębi bezdennej. Ta bezdenność nie zachęca do żadnych szczególnych wyczynów. Wszystko, cokolwiek bym uczynił, byłoby małoduszne, spadam bezmyślnie i właśnie to jest najlepsze.

List Dostojewskiego do brata o życiu w więzieniu.

6 czerwca. Z powrotem z Berlina. Byłem skuty jak złoczyńca. Gdyby wciśnięto mnie skutego rzeczywiście łańcuchami w ką, postawiono przede mną żandarmów i tylko w ten sposób wystawiono na pokaz, nie byłoby to gorsze.

I to były moje zaręczyny; wszyscy dokładali starań, żeby mnie przywrócić do życia, a ponieważ to się nie powiodło, usiłovali ścierpieć mnie takim, jakim byłem. F., co prawda najmniej ze wszystkich, zupełnie zrozumiałe, bo cierpiała najbardziej. To, co było dla innych jedynie zjawiskiem, dla niej było

groźbą.

Nie wytrzymał w domu ani przez chwilę. Wiedzieliśmy, że będą nas szukać. Choć wieczór zapadł już, wymknęliśmy się przecież stamtąd. Nasze miasto otaczały pagórki. Na te pagórki zaczęliśmy się wspinać. Wszystkie drzewa wprawialiśmy w drżenie, przeskakując kołyszącym się ruchem z jednego na drugie.

Postawa w sklepie wieczorem na chwilę przed końcem pracy: ręce w kieszeniach spodni, cokolwiek przygarbiony, z głębi sklepionej czeluści gapiąc się przez otwartą szeroko bramę na miejski plac. Ospałe ruchy funkcjonariuszy za pulpitemi wokół mnie. Cichy syk ściąganej sznurkiem pakietu, bezmyślne odkurzanie paru pudeł, spiętrzanie warstwami zużytego papieru pakunkowego.

Przychodzi znajomy i gawędzi ze mną. Pokładam się dosłownie na nim, tak jestem ociężały. Wysuwa następującą tezę: niektórzy mówią, że jest tak a tak, ja jednak mówię coś wprost przeciwnego. Wylicza motywy swojego poglądu. Waham się. Moje ręce tkwią w kieszeniach spodni, jakby tam wrosły; z drugiej jednak strony tkwią tak luźno, że wystarczyłoby kieszenie wyrwać lekko na lewą stronę, a wypadłyby z nich szybko na wolność.

Zamknąłem sklep; urzędnicy, sami obcy ludzie, oddalili się z kapeluszami w rękach. Był czerwcowy wieczór, jakkolwiek już godzina ósma, niemniej jeszcze jasno. Nie miałem ochoty na przechadzkę, nie mam nigdy ochoty na spacer, ale nie chciałem również wracać do domu. Gdy ostatni z mych praktykantów zniknął za węglem, usiadłem przed zamkniętym sklepem na ziemi.

Ktoś znajomy przeszedł z młodą swą żoną obok mnie i zobaczył, że siedzę na ziemi.

— Spójrz, kto tu siedzi — powiedział. Przystanęli oboje i mąż potrząsnął mną lekko, chociaż od pierwszej chwili przyglądałem mu się spokojnie.

— Mój Boże, dlaczego pan tak tutaj siedzi? — zapytała młoda kobieta.

— Zwinę swoje przedsięwzięcie — odrzekłem. — Wiedzie się nie najgorzej, mogę również podolać swym zobowiązaniom, skąpo bo skąpo, lecz przecież co do grosza. Ale nie mogę znieść kłopotów, nie mogę wziąć za łeb pracowników, nie mogę użerać się z klientami. Od jutra już nawet nie otworzę sklepu. Wszystko to rozważyłem dokładnie. Nie uszło mej uwagi, jak mąż starał się uspokoić żonę, ujmując jej dłoń w obie swe ręce.

— No cóż, dobrze — mówi — chce pan wycofać się z interesu, nie jest pan pierwszy, co tak czyni. I my również — tu zerknął na swą Połowicę — skoro tylko nasz majątek wystarczy na nasze potrzeby — oby wnet się to stało — nie zawahamy się dłużej niż pan i zwiniemy nasze przedsięwzięcie. Sprawia nam tak samo mało przyjemności, jak panu. Niech nam pan wierzy. Ale dlaczego siedzi pan na Ziemi?

— A dokąd mam pójść? — rzekłem. Wiedziałem oczywiście, czemu mnie pytali. Litość, zdziwienie, a także i zakłopotanie — oto co czuli; ja jednak nie miałem bynajmniej siły na to, by jeszcze im dopomóc.

Minęła już północ. Siedziałem w swoim pokoju, pisząc list, na którym zależało mi niezmiernie, spodziewałem się bowiem uzyskać korzystną posadę za granicą. Adresatowi, memu znajomemu, z którym obecnie po dziesięcioletniej rozłące miałem odnowić łączność za pośrednictwem wspólnego przyjaciela, starałem się przywołać na pamięć dawno minione czasy, a zarazem dać do zrozumienia, jak bardzo wszystko skłania mnie do opuszczenia mej ojczyzny, jak bardzo pozbawiony innych przyjaznych i rozgałęzionych stosunków — bo tak było ze mną istotnie — w nim właśnie pokładam największą swoją nadzieję.

Urzędnik magistracki Bruder powrócił dopiero około godziny dziewiętej wieczorem ze swej kancelarii do domu. ściemniło się już zupełnie. Przed bramą oczekiwała go żona, tuląc do siebie małą córeczkę.

— Jak wygląda sytuacja? — zapytała.

— Fatalnie — odpowiedział Bruder — wejdź tylko do domu, opowiem ci potem wszystko. Ledwie weszli do domu, Bruder zaryglował bramę. — Gdzie jest służąca — spytał

— W kuchni — odrzekła żona.

— No to dobrze, chodźcie!

W sporej, niskiej izbie mieszkalnej zaświecono lampę stołową, usiedli oboje i Bruder przemówił: — A więc sytuacja przedstawia się następująco. Nasi znajdują się w całkowitym odwrocie. Bitwa pod Rumdorf zakończyła się w sposób zupełnie dla nas niepomyślny, jak wywnioskowałem z niewątpliwie pewnych relacji, przesłanych władzom miejskim. Toteż większa część wojsk

wymaszerowała już z miasta. Trzyma się to jeszcze w tajemnicy, aby nie rozpętać bezgranicznej paniki w mieście. Uważam to za niecałkiem rozsądne, lepiej byłoby wyznać otwarcie prawdę. Ale mój obowiązek domaga się, abym milczał. W tym jednak, abym powiedział prawdę tobie, nie może mi nikt przeszkodzić. A zresztą wszyscy inni przeczuwają też, jak jest naprawdę, widać to wszędzie. Wszyscy zamykają domy i ukrywają, co się da.

Kilku urzędników magistratu stało przy kamiennej framudze ratuszowego okna, spoglądając w dół na plac. Ostatni oddział straży tylnej czekał tam na rozkaz odmarszu. Byli to młodzi rośli chłopcy o rumianych policzkach, trzymali mocno w cuglach swe narowiące się gdzieniegdzie konie. Przed nimi przejeżdżało stępa dwu oficerów z lewa, z prawa, z lewa. Wyczekiwali widocznie wieści. Co parę chwil wysyłali dokądś konnego gońca, który z najwyższym pośpiechem niknął w stromej uliczce w bok od rynku. Żaden z nich dotychczas nie wrócił.

Do grupy przy oknie podszedł funkcjonariusz Bruder, człowiek wprawdzie młody jeszcze, lecz już z pełnym zarostem. Ponieważ miał wyższą rangę i z powodu swych Zdolności cieszył się niezwykłym poważaniem, wszyscy skłonili się uprzejmie i przepuścili go aż do framugi. — A więc to koniec — powiedział rzuciwszy okiem na plac. — To aż nadto jawne.

— Sądzi pan zatem, panie radco wycedził pewien młody pyszałek, który pomimo przybycia Brudera ani drgnął ze swego miejsca, a teraz stał tuż przy Bruderze w pozycji takiej, że nie mogli żadną miarą obaj spojrzeć sobie w twarz — sądzi pan zatem, że bitwa jest przegrana?

— Jak najbardziej. Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Nasze dowództwo, mówiąc między nami, popełnia błędy. Musimy pokutować za rozmaite dawne grzechy. Nie pora zresztą rozprawiać o tym, każdy powinien teraz troszczyć się o siebie sam. Jesteśmy przecież o krok od ostatecznej klęski. Dziś wieczorem mogą już być tu goście. Może nie będą czekali aż do wieczora, tylko za pół godziny znajdą się tutaj.

### *Pokusa wiejska*

11 czerwca. Pewnego letniego wieczoru zaszedłem do wsi, w której dotąd nigdy jeszcze nie byłem. Szerokie i puste drogi zwróciły moją uwagę. Przed każdą zagrodą chłopską widniały roste stare drzewa. Deszcz spadł niedawno, powietrze było rześkie, wszystko mi się podobało. Usiłowałem to okazać, pozdrawiając ludzi stojących przed wrotami, odpowiadali uprzejmie, chociaż powściągliwie. Pomyślałem, że dobrze byłoby tutaj zanocować, gdybym znalazł jakąś gospodę.

Właśnie przechodziłem wzdłuż wysokiego, spowitego w Zieleń muru jakiejś zagrody, gdy otwarła się w murze mała furtka, wyrzały trzy twarzyczki, znikły i furtka zatrzasnęła się znowu. — To dziwne — powiedziałem zwracając głowę w bok, jakbym miał tam towarzysza drogi. I rzeczywiście obok mnie stał, jakby chcąc wprawić mnie w zakłopotanie, wysoki mężczyzna, bez kapelusza i surduta, w dzianej czarnej kamizelce i kurzył fajkę. Opanowałem się szybko i zapytałem, jak gdybym już wcześniej zauważył jego obecność: — Furtka! Czy pan również widział, jak otworzyła się ta furtka?

— Tak — rzekł mężczyzna — ale cóż w tym dziwnego, to były dzieci arendarza. Usłyszały kroki pana i wyrzały, kto idzie tędy tak późnym wieczorem.

— Prawdę mówiąc, to proste wyjaśnienie — rzekłem z uśmiechem — obcemu łatwo wydaje się wszystko dziwne. Dziękuję panu. — I poszedłem dalej. Jednakże człowiek zdążył za mną. Właściwie nie dziwiło mnie to, wypadła mu, być może, ta sama droga, nie widziałem jednak przyczyny, dla której mielibyśmy iść gęsiego, a nie obok siebie.

Obróciłem się w tył pytając: — Czy tędy droga do gospody?

Człowiek przystanął i powiedział: — Gospody nie mamy wcale lub raczej mamy jakąś, ale nie nadaje się do zamieszkania. Należy do gminy, która już przed laty, jako że nikt o nią nie zabiegał, przydzieliła ją pewnemu staremu kalece, korzystającemu dotychczas z gminnego zaopatrzenia. On to razem ze swą żoną zarządza teraz gospodą, i to tak, że ledwo można przejść obok drzwi, taki ciężki smród zionie stamtąd. W izbie gościnnej można pośliznąć się na śmieciach. Nędzna gospodarka, zakąła wsi, zakąła gminy.

Miałem ochotę sprzeciwić się temu człowiekowi, podniecał mnie jego wygląd, ta raczej szczupła twarz z żółtawymi, jakby z pergaminu, słabo wypełnionymi policzkami i z czarniawymi bruzdami, które zależnie od ruchów szczęk wałęsały się po całej twarzy. — Więc tak — mruknąłem nie wyrażając dalszego zdziwienia z powodu tych stosunków, i ciągnąłem dalej: — No cóż, zamieszkać jednak tam, skoro już raz postanowiłem tu przenocować.

— Jak się panu podoba — rzekł człowiek porywczo — ale do gospody musi pan iść tamtędy — i wskazał mi stronę, z której przyszedłem. — Niech pan idzie aż do najbliższego rogu ulicy, a potem skręci w prawo. Stamtąd zobaczy pan zaraz sztyld gospody. To właśnie ta.

Podziękowałem za objaśnienie i przeszedłem znowu tuż obok niego, przyglądał mi się w tej chwili ze szczególną uwagą. Byłem bezbronny, jeśli podał mi fałszywy kierunek; jednak nie mógł mnie zwieść ani tym, że zmusza mnie teraz do defilowania przed nim, ani tym, że tak dziwnie szybko zrezygnował z przestrog w sprawie gospody. Ktokolwiek inny wskazałby mi gospodę równie dobrze, a jeśli nawet była brudna, to mogłem przespać się raz nawet w brudzie, jeśli tylko dogadzało to mojej przekorze. Poza tym nie miałem wielkiego wyboru, było już ciemno, drogi wiejskie rozmiękły od deszczu, a od sąsiedniej wsi dzieliła mnie jeszcze spora odległość.

Miałem już przygodnego rozmówcę za sobą i zamierzałem nie kłopotać się nim więcej, gdy nagle usłyszałem mówiący doń głos kobiety. Obejrzałem się. Z mroku spod grupy platanów wyłoniła się wyprostowana, rosła kobieta. Jej spódnica lśniła żółtawym brązem, na głowie i na ramionach leżała czarna zgrzebna chustka. — Wracaj do domu — powiedziała do mężczyzny — czemu nie przychodzisz?

— Idę już — mruknął — poczekaj chwilę. Chcę jeszcze tylko dopilnować, co ten człowiek będzie tu robił. To obcy. Wałęsa się tutaj całkiem niepotrzebnie. Spójrz tylko. — Mówił o mnie tak, jak gdybym był głuchy lub nie rozumiał jego słów. Zapewne, nie zależało mi na tym, co powiedział, ale byłoby mi, rzecz jasna, nieprzyjemnie, gdyby porozpowiadał o mnie we wsi jakieś fałszywe pogłoski. Odezwałem się więc do kobiety: — Poszukuję tu gospody, niczego więcej. Mąż wasz nie ma wcale prawa mówić tak o mnie i podsuwać wam być może fałszywe mniemanie o mojej osobie.

Jednak kobieta nie spojrzała prawie wcale w moją stronę, lecz poszła do swojego męża — dorozumiałem się słusznie, że to był jej mąż, tak oczywista łączność istniała między nimi — i położyła rękę na jego ramieniu. — Jeżeli pan chce coś dostać, to niech pan pogada z moim mężem, nie ze mną.

— Nie chcę niczego dostać — odparłem rozgniewany tym traktowaniem — nic mnie nie obchodzi, wy też nie zajmujcie się mną. To moja jedyna prośba. — Kobieta kiwnęła głową, to jeszcze zdołałem ujrzeć po ciemku, ale wyrazu jej oczu nie zobaczyłem już. Widać było, że chce coś odpowiedzieć, ale mąż jej burknął: — Cicho bądź! — i zamilkła.

Wobec tego zdawało mi się, że nasze spotkanie dobiegło ostatecznie końca, odwróciłem się i zamierzałem pójść dalej, gdy wtem ktoś zawołał: „Panie!” Odnosiło się to prawdopodobnie do mnie. W pierwszej chwili nie wiedziałem wcale, skąd pochodził głos, potem jednak zobaczyłem nad sobą, na murze obejścia, siedzącego młodzieńca, który machając zwieszonymi nogami i uderzając kolaniem o kolano, powiedział od niechcenia:

— Słyszałem właśnie, że chcecie zanoć w we wsi. Poza tym obejściem nie dostaniecie nigdzie dogodnej kwatery.

— Poza tym obejściem? — zapytałem i mimo woli — wściekły potem byłem za to na siebie — spojrzałem pytająco na oboje małżonków, którzy wsparci o siebie ciągle jeszcze tkwili na miejscu i przyglądali mi się.

— Nie inaczej — odparł, a w odpowiedzi tej, jak w ogóle w całym jego zachowaniu się, tkwiła zarozumiałość.

— Wynajmuje się tu łóżka? — spytałem raz jeszcze, aby upewnić się, a równocześnie narzucić młodzieńcowi rolę odnajemcy.

— Tak — odpowiedział, odwracając już cokolwiek oczy ode mnie — odstępuje się tu łóżka na noc, ale nie każdemu, tylko wyłącznie tym, którym się je zaproponuje.

— Przyjmuję — rzekłem — jednak za łóżko zapłacę oczywiście tyle co w gospodzie.

— Proszę — bąknął młody człowiek, od długiej już chwili patrząc gdzieś daleko poza mnie — nie oszukamy was.

Siedział w górze jak pan, ja stałem w dole jak marny lokajczyk i miałem wielką ochotę rzucić kamieniem, aby go tam w górze rozruszać trochę. Zamiast tego odezwałem się: — A więc proszę otworzyć furtkę.

— Nie jest wcale zamknięta — rzekł.

— Nie jest zamknięta — powtórzyłem z prawie bezwiednym dąsem, otwarłem furtkę i wszedłem. Zaraz po wejściu przypadkowo rzuciłem okiem w górę na mur, młodzieńca nie było już na górze, widocznie zeskoczył z muru, nie zważając na jego wysokość i naradzał się, być może, z parą małżonków. Niech się naradzają, cóż może przydarzyć się mnie, młodzieńcowi, którego gotówka przewyższała skąpo kwotę trzech guldenów, a reszta mienia składała się z niewielu przedmiotów poza czystą koszulą w plecaku i rewolwerem w kieszeni spodni. A zresztą ci ludzie nie wyglądali wcale tak, jak gdyby chcieli kogoś okraść. Lecz czego więcej mogli ode mnie chcieć?

Przedemną zamajaczył często spotykany przy dostatnich zagrodach chłopskich nie uprawiony ogród, który pozwalał raczej oczekiwać grubych murów z kamienia. W wysokiej trawie stały w równomiernych odstępach okwitłe czereśnie. W dali widniał dom, obszerny parterowy budynek. Ściemniło się już bardzo, byłem późnym gościem; jeżeli młodzieniec na murze okłamał mnie, mogłem

znaleźć się w niemiłej sytuacji. Idąc w stronę domu, nie natknąłem się na nikogo, lecz już o parę kroków od wejścia zobaczyłem przez otwarte drzwi w pierwszej izbie parę wysokich starców, mężczyznę i kobietę, jak siedząc tuż przy sobie i zwróciwszy twarze ku drzwiom, jedli z kamiennej miski jakąś kaszę. Nie rozróżniłem po ciemku bliższych szczegółów prócz tego, że na kurtce mężczyzny połyskiwało miejscami coś niby złoto, guziki chyba lub może łańcuszek od zegarka.

Pozdrowiłem oboje, a następnie nie przekraczając na razie progu, powiedziałem: — Właśnie szukałem noclegu we Wsi, gdy zawiadomił mnie jakiś chłopak siedzący na murze waszego ogrodu, że można w tym domu przenocować za opłatą. — Starzec i staruszka wetknęli łyżki w kaszę, oparli się o poręcz ławy i przyglądali mi się w milczeniu. Ich zachowanie się nie było bardzo gościnne. Dorzuciłem więc: — Spodziewam się, że informacja, jaką otrzymałem, była prawdziwa i że nie przeszkodziłem państwu bez potrzeby. — Powiedziałem to bardzo głośno, bo mogli oboje mieć przytępiony słuch.

— Proszę podejść bliżej — rzekł mężczyzna po krótkiej chwili. Tylko z uwagi na jego starość posłuchałem go, w innych bowiem warunkach uparłbym się oczywiście, aby na moje jasno wyrażone pytanie odpowiedział równie jasno. Na wszelki jednak wypadek wchodząc do izby powiedziałem jeszcze: — Jeżeli przyjdzie mi sprawić państwu choćby najmniejszy kłopot, proszę powiedzieć szczerze. Wcale się nie upieram. Pójdę do gospody, jest mi to zupełnie obojętne.

— Tyle gada — mruknęła kobieta pod nosem.

Mogło to być powiedziane tylko z zamiarem znieważenia mnie, na moje uprzejmości odpowiedziano mi zatem zniewagą, ale miałem przed sobą starą kobietę i bronić się nie mogłem. I właśnie ta moja bezbronność stała się być może przyczyną tego, że uwaga kobiety, wykluczająca wszelką replikę, sprawiła na mnie o wiele większe wrażenie, aniżeli na to zasługiwała. Uczułem się w nie określony bliżej sposób uprawniony do bliżej nie określonej nagany, nie dlatego żebym za wiele mówił, bo powiedziałem naprawdę tylko to, co było najpotrzebniejsze, lecz z powodów zupełnie innych, wdzierających się w sam rdzeń mego życia. Nie dorzuciłem już ani słowa więcej, nie domagałem się też żadnej odpowiedzi, w pobliskim, ciemnym kącie zobaczyłem ławę, podszedłem ku niej i usiadłem.

Starzy zaczęli znowu jeść, z przyległej izby weszła dziewczynka i postawiła na stole palącą się świecę. Teraz widać było jeszcze mniej niż przedtem, wszystko wtopiło się w ciemność, tylko nikły płomyk pełgał nad pochylonymi nieco głowami staruszków. Gromadka dzieci wbiegła z ogrodu, jedno z nich przewróciło się jak długie i płakało, reszta zatrzymała się w biegu i stała, rozsypana po izbie, stary człowiek powiedział: — Idźcie spać, dzieci.

Natychmiast skupiły się, płaczące pochlipywało jeszcze, chłopczyk blisko mnie przechodzący skubnął mnie za kurtkę, jakby uważał, że powinienem pójść razem z nimi; istotnie chciałem także pójść spać, powstałem więc i jako człowiek dorosły pośrodku dzieci zgodnie mówiących głośno „dobranoc” — wyszedłem bez słowa z izby. Uprzejmy chłopczyk trzymał mnie za rękę, toteż łatwo znajdowałem drogę w ciemności. Ale też bardzo szybko doszliśmy do ustawionej skośnie drabiny, wspieliśmy się po niej na górę i znaleźliśmy się na strychu. Przez małe, otwarte okienko w dachu widać było właśnie wążutki księżyc, była to prawdziwa rozkosz podejść do okienka — moja głowa mieściła się w nim prawie — i chłonać dość ciepłe a przecież rześwe powietrze. Na podłodze przy jednej ze ścian nasłano słomy, było tam również i dla mnie dość miejsca na spanie. Dzieci — było dwu chłopców i trzy dziewczynki — rozebrały się chichocząc, ja rzuciłem się na słomę w ubraniu, byłem przecież obcy i nie miałem wcale pretensji, by pozostawiono mnie tutaj na dłuższy czas. Oparłszy się na łokciach, przyglądałem się chwilę dzieciom, które bawiły się w kącie na pół gołe. Potem uczułem jednak takie znużenie, że oparłem głowę o plecak, wyciągnąłem ręce, musnąłem jeszcze spojrzeniem parę krokwi i zasnąłem. Zdawało mi się, że przez pierwszą falę snu słyszę jeszcze, jak jeden z chłopców woła: „Uwaga, nadchodzi!” — po czym w tonącą już moją świadomość wdarło się. spieszne dreptanie dzieci, biegnących w stronę legowiska.

Spałem chyba zaledwie krótką chwilę, bo kiedy się ocknąłem, poświata księżycowa sphywała przez szczelinę w dachu na prawie dokładnie ten sam punkt podłogi. Nie wiedziałem, dlaczego się przebudziłem, gdyż sen mój był bez marzeń i głęboki. Nagle zauważyłem obok siebie, mniej więcej na wysokości mego ucha, maleńkiego kudłatego pieska, jednego z tych obrzydliwych psiaków-ulubieńców, o stosunkowo dużym łebku, obrosłym falistą sierścią, w którym śleпка i mordka osadzone są luźno niby świecidełka z jakiejś martwej rogowej masy. W jaki sposób zabłąkał się na wieś taki wielkomięski pies? Co gnało go nocą po domu? Dlaczego tkwił przy moim uchu? Prychnąłem ku niemu aby odszedł. A może była to tylko zabawka dzieci, która tylko przez omyłkę zabłąkała się do mnie. Nie, moje dmuchnięcie nastraszyło go, jednak nie uciekł, tylko okręcił się, oto stoi na krzywych łapkach przede mną i prezentuje swój scherlaty tułowik, znikomy zwłaszcza w zestawieniu z okazałym łebkiem. Ponieważ zachowywał się spokojnie, chciałem spać dalej, nie mogłem jednak zasnąć, widziałem ustawicznie na wprost swych zamkniętych oczu, jak pies huśta się

w powietrzu i wytrzeszcza ślepią. To było nie do zniesienia, nie mogłem trzymać zwierzęcia tuż przy sobie, wstałem więc i wziąłem go na ręce, aby go wynieść. Jednakże zwierzę dotąd tak nieruchawe zaczęło się bronić, usiłując zaczepić się o mnie pazurami. Musiałem przeto unieszkodliwić również i jego łapki, co było oczywiście bardzo łatwe: wszystkie cztery mogłem ogarnąć jedną dłonią.

— Tak, mój pieseczku — powiedziałem do rozszoszczonego tam u dołu łebka z podrygującymi lokami i zagłębiłem się z nim razem w ciemność, szukając drzwi. Dopiero teraz zwróciło moją uwagę, jak spokojny był piesek, nie czekał ani nie skomlał, tylko krew tętniła mu dziko we wszystkich żyłach, czułem to. Po paru krokach uwaga, jakiej wymagał pies, uczyniła mnie nieostrożnym — ku wielkiemu memu zmartwieniu nadepnąłem na jedno ze śpiących dzieci. Bo też było teraz na strychu całkiem ciemno, przez mały otwór w dachu wpadała jeszcze tylko odrobina światła. Dziecko westchnęło, stałem przez chwilę nieruchomo, nie zesunąłem nawet czubka stopy z maleństwa, byle tylko żadną zmianą nie rozbudzić go jeszcze bardziej. Było za późno — ujrzałem znienacka, że dokoła mnie dzieci w białych swych koszulkach wstają, jakby się zmówiły, jak na rozkaz. Nie moja była to wina, obudziłem tylko jedno dziecko i to zbudzenie nie było wcale zbudzeniem, tylko małym zakłóceniem, które sen dziecięcy powinien by łatwo przetrwać. Cóż robić, teraz zbudziły się wszystkie. — O co wam chodzi, dzieci — zapytałem — śpijcie dalej.

— Pan niesie coś - orzekł jeden z dwu chłopców i wszystkie pięcioro zaczęły szukać wokoło mnie.

— Tak — odpowiedziałem, nie mając nic do ukrywania; jeżeli dzieci chciały wynieść zwierzątko, tym lepiej. — Wynoszę tego pieska. Nie dał mi spać. Czy wiecie, czyją jest własnością?

— Pani Cruster — tak przynajmniej brzmiało to, co, jak mi się zdaje, wyłowilem z ich beładnych, niewyraźnych, zaspanych okrzyków, przeznaczonych nie dla mnie, lecz dla nich samych.

— A kto to jest, ta pani Cruster? — pytałem dalej, nie otrzymując już jednak od rozbawionej dziatwy żadnej odpowiedzi. Jakiś malec wziął z mych rąk psa, który tymczasem uspokoił się zupełnie i pobiegł z nim, a za nim reszta.

Sam nie chciałem tu zostać, senność także mnie już odbiegła, przez chwilę wahałem się wprawdzie, bo wydawało mi się, że mieszam się zanadto w sprawy tego domu, w którym nikt nie okazał mi szczególnego zaufania, w końcu pobiegłem jednak za dziećmi. Słyszałem tuż przed sobą tupot ich nóg, niemniej w kompletnej ciemności i na nie znanych mi przejściach potknąłem się kilka razy, a raz uderzyłem nawet boleśnie głową o ścianę. Zasłiśmy tak aż do izby, w której spotkałem po raz pierwszy oboje staruszków; była pusta, przez otwarte wciąż jeszcze drzwi widać było ogród w księżycowym blasku. — Wyjdź na świat — szepnąłem do siebie sam — noc jest ciepła i jasna, można wędrować dalej albo przenocować pod niebem. Przecież całkiem nie ma sensu gonić tutaj za dziećmi. — Ale pogoniłem mimo to dalej, bo miałem jeszcze kapelusz, laskę i plecak tam na górze, na strychu. Jak dzieci biegły! Zalaną księżycowym światłem izbę przesadziły z rozwianymi koszulkami, jak to ujrzałem wyraźnie, w dwu susach. Przyszło mi na myśl, że za brak gościnności w tym domu odwdziczyłem się należycie, płosząc dzieciarnię ze snu, urządzając bieg okrężny po domostwie, a sam — zamiast spać — hałasując po domu (kroki bosych nóg dziecięcych były przy moich ciężkich butach ledwie dosłyszalne), przy czym nie wiedziałem nawet sam, co z tego wszystkiego wyniknie.

Nagle zabłyśło jaskrawe światło. W rozkwierającym się przed nami pokoju o kilku odemkniętych na oścież oknach siedziała przy stole wiotka pani i pisała coś przy świetle wielkiej, pięknej lampy stołowej. — Dzieci! — zawołała zdziwiona, mnie nie. dostrzegła na razie, zatrzymałem się przed drzwiami w cieniu. Dzieci postawiły pieska na stole, kochały chyba bardzo tę panią, bo usiłowały ciągle zajrzeć jej w oczy; jedna z dziewczynek pochwyciła jej rękę i pogłaskała ją, pozwoliła na to prawie bezwiednie. Piesek stał przed nią na arkuszu listowym, na którym właśnie przed chwilą pisała, i wyciągał ku niej swój drgający języczek, widoczny wyraźnie tuż przy abażurze lampy. Dzieci zaczęły nudzić, aby mogły pozostać, i przymilaniem się starały się zdobyć pozwolenie pani. Pani była niezdecydowana, powstała i przeciągnęła się, wskazując na jedyne łóżko i na twardą podłogę. Dzieci nie przejęły się tym zanadto i położyły się na próbę na podłodze, tam gdzie stały; na chwilę ucichło wszystko. Pani splótszy dłonie na piersi, patrzyła na dzieci z uśmiechem. Tu i tam jakieś maleństwo podniosło główkę, widząc jednak, że wszystkie inne leżą, spokojnie ułożyło się znowu do snu.

Pewnego wieczora przyszedłem z biura do domu trochę później niż zwykle — ktoś znajomy zatrzymał mnie długo na dole, przed bramą — i tkwiąc jeszcze myślami przy rozmowie, która toczyła się przeważnie dokoła etatów, otworzyłem swój pokój, zawiesiłem płaszcz na kołku i chciałem przejść do umywalni, gdy wtem dobiegło mnie czyjeś obce śpieszne dyszenie. Podniosłem oczy i zobaczyłem na wysokości osądzonego w głębokim kącie pieca coś żywego. Żółtawo lśniące oczy patrzyły na mnie, pod nieodgadnioną twarzą znajdowały się po obu jej stronach na gzymsie pieca obfite, krągłe piersi kobiece. Cała ta istota składała się, jak mi się zdawało, ze zwalów miękkiego, białego ciała,



gruby, długi, żółtawy ogon zwisał z pieca zamiatając końcem kafle niestrudzenie, od szczeliny do szczeliny.

Pierwsze, co uczyniłem, było podejść wielkimi krokami i z pochyloną głęboko głową — szaleństwo! szaleństwo! powtarzałem szeptem jak modlitwę — ku drzwiom wiodącym do mieszkania mej gospodyni. Dopiero potem zauważyłem, że wszedłem bez pukania... [rękopis urywa się]

Było około północy. Pięciu drabów przytrzymało mnie, szósty podniósł rękę ponad nich, by mnie pochwycić. — Precz! — krzyknąłem i okręciłem się młynkiem, tak że wszyscy runęli odepchnięci, Czułem, że władają jakieś prawa, przy tym właśnie ostatnim wysiłku wiedziałem, że uwieńczy go sukces, widziałem, jak teraz czterej mężczyźni podniósłszy ręce odskoczy, zrozumiałem, że cała czereda musi w najbliższej chwili rzucić się na mnie, odwróciłem się ku bramie — stałem tuż przed nią — odemknąłem zamek odskakujący po prostu z własnej chęci i z niezwykłym pośpiechem wymknąłem się ciemnymi schodami na górę.

U góry na najwyższym piętrze stała w otwartych drzwiach mieszkania moja sędziwa matka ze świecą w ręku. — Baczość, uwaga — wolałem z przedostatniego jeszcze piętra w górę — ścigają mnie.

— Któż to? Któż to — spytała moja matka. — Kto mógłby cię ścigać, mój chłopcze.

— Sześciu opryszków — odpowiedziałem bez tchu.

— Czy znasz ich? — spytała matka.

— Nie, to obcy — odrzekłem.

— No, a jak wyglądają?

— Ależ nie widziałem ich prawie. Jeden ma wielką kruczą brodę, drugi ma gruby pierścień na palcu, inny jeszcze ma czerwony pas, jeszcze inny spodnie podarte na kolanach, piąty otwiera tylko jedno oko, a ostatni szczerzy zęby.

— Nie myśl już teraz o tym — powiedziała matka — idź do swego pokoju, połóż się spać, pościeliłam.

Moja matka, ta staruszka niedosiężna już dla wszystkiego co żyje, z chytrym wyrazem ust powtarzających mimo woli osiemdziesięcioletnie idiotyzmy.

— Teraz spać? — krzyknąłem... [rękopis urywa się]

12 czerwca. Kubin. Żółtawa twarz, płasko przyczesane do czaszki, skąpe włosy, od czasu do czasu ostry jak szpilka błysk w oczach.

**Wolfskehl** Wolfskehl Karl (ur. 1869), niemiecki pisarz i poeta pochodzenia żydowskiego, należał do kręgu Stefana Georgea na pół ślepy, odklejenie się siatkówki, musi wystrzegać się upadku lub uderzenia, bo wtedy mogłaby wypaść soczewka, i koniec ze wszystkim. Czytając musi trzymać książkę tuż przy oczach i kącikiem oka łowić litery.

Był z Melchiorem **Lechterem** w Indiach, zachorował na dyzenterię, zjada wszystko, każdy owoc, jaki zobaczy na ulicy w pyłe. Lechter Melchior (ur. 1865) wybitny malarz, grafik oraz „dekorator wnętrz.

P. zdart srebrny pas cnoty z trupa, usunął na bok robotników, którzy gdzieś w Rumunii wygrzebali zwłoki, uspokoił ich zapewnieniem, że widzi cenną drobnostkę, którą chciałby wziąć sobie na pamiątkę, rozpiłował pas i zdart go ze szkieletu. Gdy znajdzie w jakimś wiejskim kościele cenną *Biblię* albo rycinę, albo kartę i pragnie ją mieć wówczas wydziera to, co chce, z książek, zdziera ze ścian, łupi z ołtarza, kładzie w zamian dwuhalerzówkę na tacę i ma sumienie spokojne. Upodobanie do otyłych kobiet. Fotografuje każdą kobietę, jaką miał. Stos zdjęć pokazywanych wszystkim odwiedzającym. Siedzi w jednym kącie sofy, gość z dala od niego w drugim. P. prawie nigdy nie patrzy w jego stronę, a przecież zawsze wie, na jaką fotografię przypada kolej, i dostosowuje do tego swe objaśnienia: to była pewna stara wdowa, to były dwie służące węgierskie itd. O Kubinie: „Tak, mistrzu Kubin, pan jest przecież w fazie wzlotu, za dziesięć do dwudziestu lat może pan, jeśli to potrwa dalej, zdobyć pozycję taką, jak **Bayros** Ironia polega na tym, że P. porównuje znanego rysownika Alfreda Kubina z ilustratorem pornograficznych książek, którego pseudonim brzmiał markiz Bayros.

List Dostojewskiego do pewnej malarki.

Życie społeczne idzie naprzód linią kolistą. Tylko ludzie obarczeni jakimś określonym cierpieniem rozumieją się wzajemnie. Tworzą oni mocą swego cierpienia kołę i wspierają się wzajem. Prześlizgują się po wnętrzu obwodu swego koła, ustępują jeden drugiemu miejsca lub któryś z nich usuwa w natłoku łagodnie sąsiada na bok. Każdy z nich mówi do bliźniego w nadziei znalezienia oddźwięku albo odczuwają bezpośrednio, i w sposób bardzo intensywny, zadowolenie z takiego odwzajemnienia. Każdy ma tylko doświadczenie, jakie staje się dlań dostępne dzięki jego cierpieniu, mimo to w tłumie takich właśnie uczestników wspólnej doli słyszy się wymianę doświadczeń

niebывале różnorodnych. — Jesteś taki — mówi któryś z nich do drugiego — zamiast się uskarżać podziękuj Bogu za to, że jesteś taki, bo gdybyś był nie taki, to tkwiłbyś w tym lub owym nieszczęściu, w tej lub innej hańbie. — Skądże to wie ów mówca? Należy przecież, ta wypowiedź zdradza to, do tego samego koła, co i słuchacz, ma też jednakowe pragnienie pociechy. Bo przecież w tym samym kole wie się zawsze to samo. Nie jest możliwy ani cień myśli, którą pocieszytel miałby wcześniej niż pocieszony. Rozmowy ich zatem są tylko syntezami wyobraźni, przelewami pragnień z jednostki na jednostkę. Raz patrzy ktoś ku ziemi, ktoś inny za lotem ptaka, w ramach takich różnic rozgrywa się ich obcowanie. Raz znowu jednoczą się obaj w wierze i patrzą głowa przy głowie w bezkresne kierunki wysokości. Rozeznanie jednak ich położenia przejawia się tylko wtedy, gdy razem pochyla głowę w dół i gdy spada na nich wspólny młot.

14 czerwca. Mój spokojny chód, gdy drga coś wokół głowy, a prześlizgująca się lekko nad głową gałąź wywołuje we mnie uczucie dotkliwej przykrości. Mam w sobie spokój, mam pewność taką, jak inni ludzie, ale jakoś na antypodzie świadomości.

19 czerwca. Podniecenie ostatnich dni. Spokój, który od dra W. przechodzi na mnie. Kłopoty, jakie dla mnie ponosi. Dziś rano, gdym o godzinie czwartej przebudził się z twardego snu, przeniosły się do mnie. **Pištěkovo divadlo**. Lówenstein. nazwa teatru na jednym z przedmieść Pragi.

Teraz surowa, podniecająca powieść **Soyki**; Soyka Otto (ur. 1882) — pisarz austriacki, autor studiów z zakresu filozofii, moralności, licznych powieści, noweli i komedii o wątkach detektywistycznych, odznaczających się doskonałą psychologią postaci i wyszukany stylem.

Strach. Przeświadczenie o niezbędności F.

My oboje, Ottl i ja, szalejemy z wściekłości na powiązania między ludźmi.

**Grób rodziców** w którym spoczął również i syn (Pollak, student Wyższej Szkoły Handlowej). podobnie również Kafka został pochowany w grobie swoich rodziców.

25 czerwca. Od wczesnego rana aż do chwili obecnej, to jest do zmierzchu, przechadzałem się po swym pokoju z kąta w kąt. Okno było otwarte, dzień był ciepły. Zgiełk wąskiej ulicy wdzierał się nieustannie do środka. Znałem każdy drobiazg w pokoju dzięki przyglądaniu się w czasie mych spacerów w kółko. Każdą ścianę musnąłem oczyma. Ornament dywanu i widniejące na nim ślady czasu prześledziłem aż do najdrobniejszych odgałęzień. Stół przemierzyłem wielokrotnie przez środek miarą własnych rozstawionych palców. Do portretu nieboszczyka męża mojej gospodyni szczyrzyłem nieraz zęby. Pod wieczór podszedłem ku oknu i usiadłem na niskiej framudze. Przypadkiem po raz pierwszy spojrzałem spokojnie z pewnego punktu we wnętrze pokoju i w górę, na sufit. Nareszcie, nareszcie, o ile oczy mnie nie myliły, ten tyle razy przeze mnie przetrząśnięty pokój zaczął drgać ruchem. Zaczęło się to na brzegach białego, delikatnym ornamentem gipsowym obramowanego sufitu. Drobne okruchy zaprawy murarskiej odrywały się i spadały jakby od niechcenia ze zdecydowanym łoskotem gdzieś w dół, na podłogę. Wyciągnąłem rękę i kilka odprysków spadło również na moją dłoń; nie odwracając się nawet z powodu napięcia uwagi, rzuciłem je ponad swoją głowę precz, na ulicę. Punkty, z których spadała zaprawa, nie wiązały się na razie w żadną figurę, można już było jednak jakoś ją sobie wyobrazić. Ale zaniechałem tych zabaw, z chwilą gdy w białość zaczął się wsączać błękitnawy fiolet; zjawisko to rozprzestrzeniło się od środka sufitu, gdzie biel trwała niezmiennie, nawet promieniście, i gdzie u samej góry wetknięto nędzną żarówkę. Coraz to nowymi falami tłoczyła się barwa czy też światło ku ciemniejszemu stopniowo obwodowi. Nie zwracało się już wcale uwagi na spadający gruz, który odskakiwał od sufitu jak gdyby pod naciskiem prowadzonego bardzo dokładnie narzędzia. Nagle od zewnątrz wtargnęły we fiolet tony żółte, złotawożółte. Właściwie sufit nie zabarwił się jednak od nich, za to one nadawały mu jakby przezroczystość, ponad nim zamajaczyły lotne widziadła chcące przedostać się gwałtem; tam w zarysach niemal że widać już było zmaganie, jakieś ramię wychyliło się, jakiś srebrny miecz chybotał. Godziło to we mnie, nie wątpiłem w to; zjawa mająca mnie wyzwolić przygotowywała się do czynu. Wyskoczyłem na stół, aby przygotować wszystko ze swej strony, wyszarpnąłem z sufitu żarówkę wraz z należącym do niej prętem mosiężnym i cisnąłem ją na podłogę; następnie zeskoczyłem i odepchnąłem stół ze środka pokoju ku ścianie. To, co miało nadejść, mogło spokojnie opuścić się na dywan i oznajmić mi to, co miało oznajmić. Zaledwie uporałem się z tym, sufit istotnie załamał się. Z niezmiernie jeszcze wysokości, którą oceniłem błędnie, na wielkich, białych, jedwabiście lśniących w półmroku skrzydłach osunął się z wolna ku dołowi anioł w niebieskawofioletowej chuście, przepasany złotymi sznurami, z mieczem poziomo wyciągniętym w podniesionej ręce. „A więc anioł! — pomyślałem — przez cały dzień splywa ku mnie przestworzem, a ja w niedowiarstwie swoim nie wiedziałem tego. Teraz przemówi do mnie!” Spuściłem oczy. Ale gdy wzrok znów podniosłem, anioł

był jeszcze wprowadzić przede mną, zwiślał nawet dość nisko pod sufitem, który zrósł się ponownie; jednak nie był to wcale anioł żywy, lecz polichromowany posąg drewniany z okrętowego dzioba, taki, jaki wisi często u powały marynarskich oberży. Gałka w rękojeści miecza była przystosowana do osadzania świec i do gromadzenia ociekającego łoju. Żarówkę wy-szarpnąłem w dół, nie miałem ochoty siedzieć po ciemku, jakaś świeca znalazła się jeszcze, wszedłem więc na krzesło, wetknąłem świecę do lichtarza-miecza, zaświeciłem ją i siedziałem potem do późna w noc w mdłej anielskiej poświacie.

30 czerwca. Hellerau. W Lipsku z Pickiem. Sprawowałem się przerażająco. Nie byłem w stanie ani pytać, ani odpowiadać, ani poruszać się swobodnie, ledwie mogłem spojrzeć w oczy. Mężczyzna, który zaciąga ochotników do Związku Marynarzy; otyłe, kielbasożerne małżeństwo Thomas, nasi gospodarze, Prescher, który nas tam zaprowadził, pani Thomas, Hegner, Fantl z żoną, Adler, jego żona i córka Anneliese, pani dr K., panna P., siostra pani Fantl, K., Mendelssohn (bratanek, Alpinum, Engerlinge, Fichtennadelbad), gospoda leśna „Natura”, Wolff Haas, czytanie na głos utworu *Narcyz w ogrodzie* Adlera, zwiedzanie domu Dalcroze, wieczór w leśnej gospodzie, Bugra — okropność za okropnością. Dalcroze Emile Jacques (1865—1950), twórca gimnastyki rytmicznej, profesor konserwatorium w Wiedniu.

Niepowodzenia: „Natura” nie odnaleziona, przeszukiwałem Struvestrasse; niewłaściwy tramwaj do Hellerau, brak pokoju w gospodzie leśnej; zapominam, że ustaliłem, aby E. zatelefonowała tam do mnie, a więc powrót. Fantla nie zastałem już; Dalcroze w Genewie; nazajutrz rano przybyłem za późno do gospody leśnej (F. telefonowała nadaremnie); decyzja, aby jechać nie do Berlina, tylko do Lipska; bezsensowna jazda; przez omyłkę pociąg osobowy; Wolff jedzie prosto do Berlina; **Lasker-Schuler** okupuje całkowicie Werfla; bezsensowne zwiedzanie wystawy; wreszcie na dobitkę zupełnie bezsensowne pretensje pod adresem Picka w Arco w sprawie wyrównania dawnego długu. Lasker-Schuler Elise (1876—1945), poetka i pisarka niemiecka, pisała również dramaty, przedstawicielka niemieckiego ekspresjonizmu.

1 lipca. Zbyt jestem zmęczony.

5 lipca. Musieć znosić takie cierpienia — i powodować je!

23 lipca. Trybunał sądowy w hotelu. Przejazd dorożką. Twarz F. Przesuwa palcami po włosach, ziewa. Nagle otrząsa się z apatii i mówi słowa do głębi przemyślane, długo tłumione, wrogie. Droga powrotna w towarzystwie panny **Bl.** przyjaciółka F., narzeczonej Kafki. Pokój w hotelu, żar bijący z przeciwległego muru. Również z przechodzących w sklepieniu murów bocznych, które okalają głęboko osadzone okno pokoju, bucha żar. Przy tym wszystkim popołudniowe słońce. Ruchliwy służący, typ prawie Żyda wschodniego. W podwórzu zgiełk jak w fabryce maszyn. Smrodliwe wyziewy. Pluskwa. Ciężka decyzja, by ją rozduścić. Pokojówka zdumiona: pluskiew nie ma tu nigdzie, raz tylko jakiś gość znalazł jedną na korytarzu.

U rodziców. Rzadko, samotnie sphywające łzy matki. Recytuję lekcję. Ojciec pojmuje ją trafnie ze wszystkich punktów widzenia. Przybył specjalnie w moich sprawach z Malmu, podróż nocą, siedzi w koszuli z zakasnymi rękawami. Przyznają mi oboje rację; nic albo też niewiele można mi zarzucić. Diabelski przy całej niewinności. Pozorna wina panny Bl.

Wieczorem samotnie na krzeselku na Unter den Linden. Bóle brzucha. Smętny kontroler. Staje przed człowiekiem, okręca bilety w palcach i pozbyć się go można tylko zapłatą. Pomimo wielkiej, rzucającej się w oczy ociężałości sprawuje swój urząd bardzo poprawnie, bo przy pracy tak długotrwałej nie można bujać sobie tu i tam, trzeba również koniecznie starać się, aby zapamiętać ludzi. Na widok podobnych jegomościów zawsze w myśli te same pytania: w jaki sposób dostał się dany osobnik na dany urząd, ile mu płacą, gdzie znajduje się jutro, co czeka go na starość, gdzie mieszka, w jakim kącie przeciąga ramiona przed zaśnięciem i jak czułbym się ja sam, gdybym zdołał również zdobyć się na podobne przeżycie? Wszystko to przy bólach brzucha. Straszliwa, ciężko przecierpiana noc. A przecież prawie żadnego o niej wspomnienia.

W restauracji Belvedere przy Stralauer Brucke z **E.** siostra F. Ma jeszcze nadzieję na pomyślne zakończenie albo udaje. Piliśmy wino. Łzy w jej oczach. Okręty odpływają do Grunau, do Schwertau. Tłum. Muzyka. E. pociesza mnie, choć wcale nie jestem smutny, to znaczy smutny tylko z powodu siebie, tu zaś nie ma pociechy. Darowuje mi Gotyckie komnaty. Opowiada wiele (jako że nie wiem nic). Zwłaszcza o tym, jak w biurze forsuje sobie pozycję w stosunku do jadownej, siwowłosej koleżanki. Najchętniej wyjechałaby z Berlina i objęła samodzielnie jakieś przedsiębiorstwo. Uwielbia spokój. Gdy przebywała w Sebnitz, zdarzało się jej często przesypiać niedzielę. Potrafi także być wesoła.

Na drugim brzegu gospoda marynarzy. Brat wynajął już tam mieszkanie.

Dlaczego rodzice i ciotka tak powiewali chustkami za mną? Dlaczego F. siedziała w hotelu i nie ruszyła się z miejsca, choć wyjaśniło się już wszystko? Dlaczego zatelegrafowała do mnie: „Oczekuję cię, ale wtorek muszę wyjechać służbowo”. Czyż oczekiwano ode mnie wyczynów? Nic nie byłoby bardziej naturalne niż to. Od niczego (dr Weiss podchodząc ku oknu przerywa mi)... [rękopis urywa się]

Nazajutrz nie poszedłem już więcej do rodziców. Posłałem tylko Radlera z listem pożegnalnym. Listem nie uczciwym a kokietyjnym. „Nie wspominajcie mnie źle.”

Przedmowa skazańca na miejscu stracenia..

Dwukrotna bytność w szkole pływania na brzegu Stralau. Mnóstwo Żydów. Sinawe twarze, atletyczne ciała, dzikie bieganie. Wieczorem w ogrodzie Askańskiego Dworu. Zjadłem ryż a la Trautmannsdorf i jedną brzoskwinie. Jakiś pan zakrapiający się winem obserwuje moje próby rozkrojenia nożem tej małej niedojrzałej brzoskwini. Nie udaje się. Wstyd każe mi w ogniu spojrzeń starego poniechać brzoskwini i przekartkować dziesięciokrotnie **Fliegende Blatter**. pismo humorystyczne. Czekam, czy się przecież nie odwróci. Wreszcie mobilizuję wszystkie siły i wbijam, jemu na złość, zęby w kompletnie niesoczystą, choć drogą brzoskwinie. Niedaleko w altance wielki pan, który nie troszczy się o nic poza wybranym pieczołowicie pieczystem i winem w wiaderku z lodem. Aż wreszcie zapala wielkie cygaro; przyglądam mu się ponad kartkami moich Fliegende Blatter.

Odjazd z Lehrter Bahnhof. Szwed z zakasnymi rękawami koszuli. Tęga dziewczyna z mnóstwem srebrnych bransoletek. Przesiadka nocna w Buchen. Lubeka. Koszmarny hotel Schtitzenhaus. Obwieszona bez umiaru ściany, brudna bielizna pod prześcieradłem, opuszczony dom, całą obsługę pełni jeden pikolak. Z lęku przed pokojem schodzę jeszcze do ogrodu i siedzę tam przy butelce wody mineralnej z Harzu. Naprzeciwko mnie jakiś grubas przy piwie i anemiczny młody chudzielec, który pali. Spałem mimo wszystko, ale wcześniej zbudziło mnie słońce, które świeciło mi przez wielkie okno prosto w twarz. W oknie widok zabudowań dworcowych, nie milknący hałas pociągów. Wybawienie i szczęście po przeprowadzce do hotelu Kaiserhof na brzegu Trave.

Przejazd do Travemunde. Kąpielisko o charakterze familijnym. Widok plaży. Popołudnie w piasku. Z powodu bosych nóg zwracam na siebie uwagę jako nieprzyzwoity młody osobnik. Obok mnie ktoś pozujący na Amerykanina. Zamiast zjeść gdzieś obiad wałęsałem się, mijając wszystkie pensjonaty i restauracje. Siedziałem w alei przed domem zdrojowym i przysłuchiwałem się obiadowej muzyce. W Lubece przechadzka po dawnych wałach. Smutny, osamotniony człowiek na ławce. Życie kipiące na boisku sportowym. Zaczyszny plac, przed wszystkimi bramami ludzie na stopniach i kamieniach. Świt widziany z okna. Wyładowywanie drewna z żagłówki. **Dr W.** na dworcu. Po zerwaniu zaręczyn Kafka odbył krótką podróż W towarzystwie dra W. i jego przyjaciółki.

Nie ustające ani trochę podobieństwo do Lowyego. Niezdolność powzięcia decyzji z uwagi na Gleschendorfa. Obiad na folwarku Hansa. „Ploniąca się dziewczyna.” Zakupienie wiktuałów na kolację. Telefoniczna rozmowa z Gleschendorfem. Jazda do Marienlyst. Przeprowa drogą wodną. Tajemnicze zniknięcie młodego człowieka w kapeluszu i deszczowcu i tajemnicze ponowne jego pojawienie się przy przejeździe wozem z Vaggerloese do Marienlyst.

28 lipca. Rozpaczliwe pierwsze wrażenie pustkowie, nędznego domu, kiepskiego jedzenia bez owoców i jarzyn, sporów między W. i H. Postanawiam odjechać nazajutrz. Oznajmiam. Mimo to zostaję. Odczytanie utworu *Napaść*, moja niezdolność przysłuchiwania się, wspólnego dealektowania, osądzania. Improwizacje krasomówcze W. Coś dla mnie nieosiągalnego. Człowiek piszący pośrodku ogrodu: twarz porośnięta tłuszczem, oczy czarne, długie, napomadowane i gładko odczesane w tył włosy. Tępe spojrzenia, mruganie oczami na prawo i lewo. Dzieci nie biorące udziału w pracy obsiadły jego stół jak muchy. Moja niezdolność myślenia, obserwowania, stwierdzenia faktów, budzenia w sobie wspomnień, mówienia i współprzeżywania rośnie. Kamienieję, muszę to stwierdzić. Moja niezdolność wzrasta nawet na terenie biura. Jeżeli nie uratuje mnie zatopienie w jakąś pracę, przepadłem. Czy uświadamiam to sobie tak wyraźnie, jak to jest? Kryję się przed ludźmi nie dlatego, żebym chciał żyć spokojnie, lecz dlatego, bo spokojnie chcę pójść na dno. Myślę o drodze od tramwaju do Lehrter Bahnhof, którą przebyliśmy E. i ja. Żadne z nas nie mówiło nic, myślałem tylko o tym, że każdy krok oznacza dla mnie zysk. A przecież E. jest dla mnie miła; w niepojęty nawet sposób wierzy we mnie, jakkolwiek widziała mnie przed sądem; co więcej, odczuwam nieraz pewien wpływ tej wiary we mnie, chociaż, prawdę mówiąc, nie wierzę w to uczucie bez zastrzeżeń. Pierwsze drgnienie życia, które po wielu miesiącach ocknęło się we mnie przy zetknięciu się z ludźmi, odczułem siedząc naprzeciwko tej Szwajcarki w przedziale kolejowym w drodze powrotnej z Berlina. Przypominała mi G. W. Raz zawołała nawet: — dzieci! — cierpiała na ból głowy, tak grała w niej krew. Brzydkie, nie pielęgnowane drobne ciało, tandetna tania sukienka z paryskiego domu towarowego. Piegi na twarzy. Ale małe stopki, ale ciało, choć ociężałe, opanowane całkiem dzięki swej drobnoci, ale krągłe jędrne policzki i żywy, nigdy nie przycasający blask oczu.

Żydowskie małżeństwo mieszkające obok mnie. Ludzie młodzi, oboje nieśmiali i skromni, ich potężne haczykowate nosy przy wychudzonych ciałach, on zezował nieco, był blady, krępy i rozrosły wszerek, nocami kaszlał trochę. Chodzili często gęsiego. Rzut oka na rozścielone niechlujnie łóżko w ich pokoju.

Małżeństwo duńskie. On często bardzo poprawny w swym żakiecie, ona opalona na kolor brązu, o twarzy wątlej, lecz grubych rysach. Bardzo milczący, przesiadują niekiedy obok siebie twarz tuż przy twarzy, skośnie jak na gemmach. Bezczelny, piękny chłopak. Pali bez przerwy papierosy. Gapi się na H. zuchwale, wyzywająco, z podziwem, szyderczo i wzgardliwie, skupiając wszystkie te efekty w jednym spojrzeniu. Nieraz znów nie zwraca na nią w ogóle uwagi. Wyłudza od niej papierosa, nie mówiąc ani słowa. Przy następnej okazji ofiarowuje jej papierosa, ale z daleka. Ma podarte spodnie. Gdyby się chciał zbici go, trzeba by koniecznie uczynić to tego lata, bo za rok bić będzie już on sam. Chwyta każdą pokojówkę pieścizotliwie za ramię, ale bez cienia pokory czy zakłopotania, raczej jak pierwszy lepszy podporucznik, który z uwagi na przejściową chłopięcość swej postaci może w niejednym odważyć się na więcej, niż mógłby później. Jak to odgraża się przy obiedzie, że odrąbie nożem głowę lalce... Lansjer. Cztery pary. W wielkiej sali przy świetle lamp i gramofonowej muzyce. Po każdej figurze podbiega któryś z tancerzy do gramofonu i zakłada nową płytę. Taniec wykonany zwłaszcza przez panów poprawnie, poważnie i lekko. Rumiany, wesoły wielkoświatowiec, któremu wydymający się, sztywny gors koszuli uwypukła jeszcze szeroką, pokaźną pierś — tam znów ktoś niefrasobliwy, wyblakły, ponad wszystkich wyniosły i z wszystkimi żartujący i ktoś z zadatkiem na brzuch, i ktoś w jasnej powiewnej sukni; wielojęzyczny gwar; a tutaj ten, co czytał *Przyszłość* olbrzymi ojciec sapiącej, wolowatej familii, którą łatwo było poznać po zadyszce i po brzuchach dzieci; siedział ze swą żoną (z którą bardzo szarmancko tańczył) ostentacyjnie przy dziecinnym stole, którego zresztą, dzięki swojej rodzinie, był najpotężniejszym udziałowcem. Ktoś poprawny, schludny, budzący zaufanie, o twarzy, która z powodu samej tylko powagi, skromności i męskości wyglądała prawie posępnie, grał na fortepianie. Obok olbrzym — Niemiec z pokiereszowaną kwadratową twarzą o wywiniętych wargach, które, gdy mówił, składały się tak pieścizotliwie. Jego żona o fizjonomii nordyckiej, twardej, lecz przyjaznej, zdecydowanie piękny chód, zdecydowana swoboda kołyszących się bioder. Dalej pani z Lubeki, o błyszczących oczach. Troje dzieci, wśród nich Jerzyk, który bezmyślnie jak motyl przysiadł przy całkiem obcych ludziach, a potem zadaje jakieś bezmyślne pytanie z dziecięcą szczepotliwością. Siedzimy, na przykład, przy korekcie *Walki*. Der Kampf, przypuszczalnie chodzi tu o powieść pt. Franziska E. Weissa. Nagle zjawia się chłopczyk i pyta z całą naturalnością, ufnością i głośno, dokąd pobiegły inne dzieci. Sztywny, stary pan, który demonstruje, jak szlachetne nordyckie podłużne czaszki wyglądają w późnym wieku. Zmurszały i zapoznany — gdyby nie biegali dokoła piękni i młodzi długogłowcy.

29 lipca. Dwu przyjaciół, jeden z nich złotowłosy, podobny do Richarda Straussa, uśmiechnięty, powściągliwy i obrotny; drugi natomiast ciemnowłosy, poprawnie ubrany, łagodny i krzepki, zbyt układowy, szepleni; obaj hedoniści, piją bez wychnienia wino, kawę, piwo Z wódką, palą nieprzerwanie; jeden dolewa drugiemu, ich pokój naprzeciw mojego jest zawalony francuskimi książkami, piszą dużo w dusznym gabinecie, a na święcie jest pięknie...

Józef K., syn bogatego kupca, wszedł pewnego wieczora po przebytej burzliwej kłótni z swym ojcem — ojciec wyrzucał mu rozpustne życie i żądał, by natychmiast go zaprzestał — wszedł więc bez określonego celu, a tylko kompletnie niezdecydowany i zmęczony do gmachu biur handlowych, wznoszącego się samotnie w pobliżu portu. Portier skłonił się głęboko. Józef spojrzał nań przelotnie, odwzajemniając pozdrowienie. „Te nieme podwładne fagasy robią wszystko, czego się od nich oczekuje — pomyślał. — Jeżeli pomyślę, by śledził mnie bezceremonialnymi spojrzeniami, to rzeczywiście tak zrobi!” Obrócił się raz jeszcze, znowu bez pozdrowienia ku portierowi; ten zaś odwrócił się w stronę ulicy i podniósł wzrok ku pokrytemu chmurami niebu.

Byłem zupełnie bezradny. Jeszcze przed krótką chwilą wiedziałem, jak należało postąpić. Szeff wyparł mnie wyciągniętym ramieniem aż do drzwi biura. Za dwoma pulpitemi stali moi koledzy, niby to przyjaciele, i poszarzałe twarze zniżyli w mrok, aby ukryć ich wyraz.

— Za drzwi — krzyknął szeff. — Złodzieju! Za drzwi! Za drzwi, powiadam!

— To nieprawda — zawołałem po raz setny — ja nie ukradłem! To omyłka albo oszczerstwo! Proszę mnie nie dotykać! Zaskarżę pana! Są jeszcze sądy! Nie odejdę! Przez pięć lat służyłem panu jak syn, a teraz obchodzi się pan ze mną jak z byle złodziejem. Nie ukradłem, słuchaj pan na miłość Boską, nie ukradłem.

— Ani słowa więcej — powiedział szeff — pan stąd wyjdzie!

Byliśmy już u szklanych drzwi, jakiś praktykant, który wybiegł wcześniej, otworzył je pochopnie,

wdzierający się zgiełk ustronnej zresztą ulicy ułatwił mi zrozumienie sytuacji; przystanąłem w drzwiach przycisnąwszy łokcie do bioder i przy całej trudności złapania oddechu powiedziałem możliwie spokojnie tylko to: „Żądam swego kapelusza”.

— Dostanie go pan — rzekł szef, cofnął się o kilka kroków, pochwycił kapelusz z rąk komisjonera Grossmanna, który aż przegiął się przez pulpity, i chciał rzucić go w moją stronę, zmylił jednak kierunek i rzucił zbyt silnie, tak że kapelusz pofrunął obok mnie na jezdnię.

— Kapelusz należy teraz do pana — rzekłem i wyszedłem na ulicę. I tam ogarnęła mnie bezradność. Ukradłem; z kasy sklepowej wyciągnąłem banknot pięć guldenu, aby móc wieczorem pójść z Zofią do teatru. Ona nie chciała wcale iść do teatru, za trzy dni miała być wypłata, wówczas miałbym własne pieniądze; na dobitek dokonałem kradzieży idiotycznie, w jasny dzień, tuż przy szklanym oknie kontuaru, za którym siedział szef i przyglądał mi się bacznie. — Złodzieju! — krzyknął i wyskoczył zza kontuaru. — Nie ukradłem — brzmiały pierwsze me słowa, ale banknot pięć guldenu tkwił w mojej ręce, a kasa była otwarta.

Notatki podrózne zamieściłem w innym zeszycie. Rozpocząłem prace nie uwieńczone powodzeniem. A przecież nie kapituluję pomimo bezsennych nocy, bólów głowy i ogólnej niewydolności. To ostatni zasób siły życiowej, który się w tym celu nagromadził. Spostrzegłem, że schodzę ludziom z drogi nie po to, aby spokojnie żyć, lecz po to, aby móc spokojnie umrzeć. Teraz jednak będę się bronił. Zostaje mi jeden miesiąc w czasie nieobecności mojego szefa.

30 lipca. Mając dość męczącej służby w obcych przedsiębiorstwach, otworzyłem własny sklepik z papeterią. Ponieważ środki moje były tylko skąpe, a prawie za wszystko musiałem płacić gotówką... (rękopis urywa się)

Poszukiwałem rady; nie byłem uparty. Nie był to upór. gdy komuś, kto mi doradzał cokolwiek nieumiejętnie, roześmiałem się w oczy, bez słowa, z policzkami błyszczącymi od upału, wykrzywiając kurczowo twarz. To było napięcie, gotowość przyjęcia rady, chorobliwy brak upor.

Dyrektor ubezpieczalni Postęp był zawsze w najwyższym stopniu niezadowolony ze swych urzędników. Co prawda, każdy dyrektor jest niezadowolony ze swych urzędników; różnica między urzędnikami a dyrektorami jest zbyt wielka, aby można było ją wyrównać samymi tylko rozkazami ze strony dyrektora i samym tylko posłuszeństwem ze strony urzędników. Dopiero obustronna nienawiść dokonywa wyrównania i nadaje całemu przedsiębiorstwu doskonałą krągłość.

Bauz, dyrektor ubezpieczalni Postęp, spojrzął z powątpiewaniem na człowieka stojącego przed biurkiem, który ubiegał się o posadę woźnego w przedsiębiorstwie. Co parę chwil czytał też coś niecoś w papierach tego osobnika, które miał przed sobą na stole.

— Ale tyka z pana — przemówił — to rzuca się w oczy, a co pan jest wart? U nas woźni muszą umieć coś więcej niż lizać znaczki pocztowe i właśnie tego mogą u nas nie umieć, bo u nas robi się takie rzeczy automatycznie. U nas woźni to półurzędnicy, muszą spełniać pracę odpowiedzialną, czy pan czuje, że temu podoba? Ma pan dziwnie ukształtowaną czaszkę. Jakie cofnięte czoło! Dziwne. Jaka więc była pańska ostatnia posada? Co? Od roku nie pracował pan w ogóle? A to dlaczego? Z powodu zapalenia płuc? Tak? No, to nieszczególna rekomendacja — że jak? Możemy rzecz prostą zatrudniać tylko ludzi zdrowych. Zanim pana przyjmujemy, musi zbadać go lekarz. Już pan zdrow? Tak? A pewnie, to przecież możliwe. Gdyby pan tylko mówił trochę głośniej! Całkiem denerwuje mnie pan swoim szeptem. Widzę także, że pan żonaty, ma czworo dzieci. I od roku nie pracował pan zupełnie! Ależ człowieku! Pańska żona jest praczka? Aha. No tak. Skoro pan już raz tutaj wszedł, to niech się pan jak najprędzej da zbadać lekarzowi, służący zaprowadzi tam pana. Nie wolno panu jednak wnioskować z tego, że go przyjmujemy, chociażby nawet orzeczenie lekarskie wypadło pomyślnie. Co to, to nie. Zawiadomienie na piśmie otrzyma pan w każdym bądź razie. Aby być szczerzy, powiem panu od razu: pan mi się wcale nie podoba. Nam potrzeba całkiem innych woźnych. Mimo to niech się pan da zbadać na wszelki wypadek. No, niechże pan już idzie. Tu nie pomogą żadne prośby. Nie jestem uprawniony do rozdawania łask. Chce się pan podjąć jakiegokolwiek pracy. A pewnie. Tego chce każdy. To nic nadzwyczajnego. To dowodzi tylko, jak nisko pan ocenia sam siebie. A teraz mówię ostatni raz: proszę odejść i nie zabierać mi więcej czasu. Naprawdę mam już tego dość.

Bauz musiał uderzyć ręką w stół, zanim człowieczyna dał się służącemu wyciągnąć z gabinetu dyrektora.

31 lipca. Nie mam ani chwili czasu. Zarządzono powszechną mobilizację. K. i P. otrzymali

powołania. Teraz spływa na mnie nagroda osamotnienia. Co prawda, prawie żadna to nagroda; osamotnienie niesie tylko kary. Zresztą, mało wzrusza mnie cała ta nędza, jestem bardziej zdecydowany niż kiedykolwiek dawniej. Po południu będę musiał być w fabryce; mieszkać nie będę w domu, gdyż E. przenosi się do nas z dwojgiem dzieci. Ale pisać będę mimo wszystko, bezwarunkowo; to moja walka o własne ocalenie.

1 sierpnia. Odprowadziłem K. na dworzec kolejowy. W biurze dokoła krewniacy, Chęć pojechania do Valli.

2 sierpnia. Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji. Po południu szkoła pływania.

3 sierpnia. Sam w mieszkaniu mojej siostry. Mieści się ono niżej niż mój pokój, a że ulica jest ustronna, słychać głośną gadaninę sąsiadów z dołu sprzed drzwi. Także pogwizdywanie. Poza tym doskonala samotność. Żadna wytęskniona żona nie otwiera drzwi. Za miesiąc miałem podobno się żenić. Bolesne słowa: masz, czego chciałeś. I stoi się boleśnie przytłoczony do ściany i zniża się bojaźliwie wzrok, aby zobaczyć rękę, która przytłacza, i poznaje się z nowym bólem, który dawną boleść spycha w zapomnienie, że to własna, szponiasto wykrzywiona dłoń więzi cię z siłą, jakiej nie miała nigdy dla dobrej pracy. Podnosisz głowę i czujesz znowu pierwotny ból, więc zniżasz wzrok ponownie i nie przestajesz z tym: „w górę!” — „w dół!”

4 sierpnia. Wynajmując dla siebie mieszkanie, podpisałem, jak się zdaje, reskrypt na rzecz gospodarza, zobowiązując się tym aktem do dwuletniego czy nawet sześcioletniego odnajmu. Teraz człowiek ów wysuwa z tego aktu pretensje. Głupota albo lepiej ogólna i ostateczna bezbronność, przejawiająca się w moim postępowaniu. Ześliznąć się do rzeki. To „ześliznięcie” wydaje mi się tak bardzo upragnione prawdopodobnie dlatego, ponieważ przypomina mi słowa „zostać zepchniętym”.

6 sierpnia. Artyleria, przeciągająca przez Graben. Kwiaty, okrzyki heil i nazdar. Kurczowo zamilkła zdumiona, baczna, czarniawa i czarnooka twarz.

Jestem skołatany zamiast być wypoczęty. Puste naczynie, jeszcze całe, a już wśród rozprysniętych skorup albo już pęknięte, a jeszcze wśród całych. Pełne kłamstwa, nienawiści i zazdrości. Pełne nieudolności, „głupoty i tępoty. Pełne lenistwa, słabości i bezbronności. Mam trzydzieści jeden lat. Zobaczyłem na fotografii Ottli dwu ekonomów. świeży młodzieńcy, którzy wiedzą coś niecoś i mają dość siły, aby zastosować to wśród ludzi, z konieczności nieco opornych. Jeden z nich powozi pięknymi końmi, drugi leży w trawie i bawi się koniuszkiem Języka między wargami, mając przy tym twarz nieruchomą i budzącą bezwarunkowe zaufanie.

Odkrywam w sobie tylko małość, niezdolność do powzięcia decyzji, zazdrość i nienawiść względem walczących, którym namiętnie życzę wszelkiego zła.

Z punktu widzenia literatury mój los jest bardzo prosty. Talent do przyoblekania w zewnętrznym wyraz mojego śnionego życia wewnętrznego w sennych marzeniach zepchnął wszystko inne do rzędu spraw mniej ważnych, gdzie zaczęło ono w przerażający sposób pokraczniej i pokraczniej nieustannie. Nic innego nie zdoła mnie nigdy zadowolić. Cóż kiedy moja moc tworzenia tych przedstawień jest całkowicie nieobliczalna, może zanikła już na zawsze, może przecież ogarnie mnie jeszcze kiedyś, co prawda, nie sprzyjają jej moje warunki życiowe. Tak więc chyba się wzlatuję co chwila na szczyt góry, ale zaledwie przez chwilę mogę utrzymać się tam, u szczytu. Inni chyba się także, ale w dolnych regionach i przy większym zasobie sił; gdy zagrozi im upadek, chwyta ich krewniak idący w tym celu obok nich. Ale ja chyba się tam, w górze, nie jest to niestety śmierć, tylko wieczne męki umierania.

Patriotyczny pochód. Mowa burmistrza. Potem mówca znika, potem wyłania się znowu i słychać niemiecki okrzyk:

„Niech żyje nasz umiłowany monarcha, wiwat!” Stoję w pobliżu, a oczy mam złowrogie. Te pochody to jeden z najbardziej odrażających symptomów wojny. Rozpętują je handlowcy Żydzi, którzy czują się raz Niemcami, raz Czechami i choć przyznają się do tego przed sobą, nie wolno im nigdy wrzeszczeć tego tak głośno, jak teraz. Oczywiście porywają za sobą niejednego przechodnia. Zorganizowano to dobrze. Ma się to powtarzać co wieczora; jutro w niedzielę dwukrotnie.

7 sierpnia. Nie mając nawet najmniejszej widocznej zdolności do indywidualizowania, obchodzimy się przecież z każdym człowiekiem w sposób do niego przystosowany. „L. z Binz”, chcąc zwrócić na

siebie uwagę, wyciąga ku mnie laskę i przestrasza mnie.

Mocne kroki w szkole pływania.

Wczoraj i dziś zapisałem cztery strony błahostkami, które nie sposób przeceniać.

Olbrzymi Strindberg. Ta szaleńcza zawziętość, te boksem zdobyte strony.

Chóralny śpiew z położonej naprzeciw gospody.

Właśnie podszedłem ku oknu. Sen jest, jak się zdaje, wykluczony. Przez otwarte drzwi oberży wionie śpiew pełnym głosem. Intonuje głos dziewczęcy. Są to niewinne pieśni miłosne. Tęsknię za stróżem bezpieczeństwa publicznego. Właśnie nadchodzi. Przystanął na moment przed drzwiami i nasłuchuje. Potem woła: „Gospodarz!” Głos dziewczęcy: „Vojtišku”.

Z jakiegoś kąta wyskakuje mężczyzna w spodniach i koszuli. — Zamknijcie drzwi! Kto ma słuchać tego wrzasku? — Ale proszę, proszę — mówi gospodarz — i delikatnymi, uprzedzająco grzecznymi ruchami, jakby pertraktował z damą, zamyka najpierw drzwi za sobą, następnie otwiera je, aby się wymknąć i zatrzaskuje je ponownie. Przedstawiciel prawa (którego postępowanie, a zwłaszcza wściekłość jest niepojęta, gdyż jemu śpiew nie potrafi zakłócić spokoju, a tylko może osłodzić nudną służbę) odmaszerowuje, śpiewacy stracili ochotę do śpiewu.

11 sierpnia. Wyobrażam sobie, że pozostałem w Paryżu i że idę przez miasto pod ramię ze stryjem, przytulony do niego.

12 sierpnia. Nie spałem ani chwili. Po południu przeleżałem na kanapie trzy godziny w bezsennym odrętwieniu, podobnie było również w nocy. Nie powinno mi to jednak przeszkadzać.

15 sierpnia. **Piszę** od paru dni, oby to potrwało. *Kafka zaczął pisać wtedy Proces.* Nie jestem dzisiaj tak całkiem zabezpieczony i zagłębiony w pracy, jak byłem przed dwoma laty, zawsze jednak zyskałem pewien sens istnienia, a moje regularne, puste, szaleńcze życie kawalerskie ma jakieś uzasadnienie. Mogę znowu wieść sam z sobą dwugłosy dialog i nie wytrzeszczam już tak oczu w bezwzględną pustkę. Tylko na tej drodze możliwe jest dla mnie polepszenie.

### *Wspomnienie kolei kałdańskiej*

Przez pewien okres swego życia — minęło od tego czasu już wiele lat — miałem posadę przy pewnej małej kolejce w głębi Rosji. Taki opuszczony, jak tam, nie byłem nigdy. Z rozmaitych przyczyn, które nie należą do tego opowiadania, szukałem wówczas takiego miejsca, im bardziej samotność dzwoniła mi w uszach, tym było mi przyjemniej, nie chcę więc i dziś również uskarżać się na to. Początkowo brakło mi jedynie zajęcia. Kolejkę założono pierwotnie dla jakichś, być może gospodarczych celów, kapitał jednak okazał się niewystarczający, budowa utknęła i zamiast dotrzeć do Kałdy, najbliższej większej miejscowości, odległej od nas o pięć dni jazdy, kolejka zatrzymała się przy małej osadzie na pustkowiu, skąd do Kałdy trzeba było jechać przez cały dzień. Nawet gdyby ją przedłużono aż do Kałdy, musiałaby pozostać nierentowna przez czas nieprzewidzianie długi, gdyż cały jej plan był chybiony: kraj potrzebował dróg, a nie linii kolejowych, a w tym stanie, w jakim kolejka znajdowała się wówczas, nie mogła w ogóle istnieć, dwa pociągi kursujące codziennie dowoziły ładunek, który mogłaby przetransportować jedna lekka podwoda, pasażerami zaś było jedynie kilku robotników rolnych w lecie. Jednakże mimo wszystko nie chciano zaprzepaścić kolejki, gdyż spodziewano się wciąż jeszcze, że utrzymując ją w ruchu, zarobi się kapitał na dalszą rozbudowę. Ta nadzieja, jak sądzę, była nie tyle nadzieją, ile raczej zwątpieniem i lenistwem. Pozwolono kolejce kursować, póki starczy sprzętu i węgla, kilku zatrudnionym robotnikom wypłacano nieregularnie obcięte pobory niby darowiznę z łaski i czekano zresztą, aż weźmie w łeb to wszystko.

Przy tej więc kolei miałem posadę i mieszkanie w drewnianym baraku, który ostał się tam jeszcze z okresu budowy linii i służył równocześnie za budynek stacyjny. Zawierał on tylko jedno pomieszczenie, w którym sklecono mi pryczę i ustawiono pulpit dla ewentualnych prac piśmiennych. Nad pulpitem zainstalowano aparat telegraficzny. Gdym nastał tam z wiosną, pierwszy pociąg przejeżdżał przez stację bardzo wcześnie — zmieniono to później — zdarzało się nieraz, że jakiś pasażer przybywał na stację, gdy ja jeszcze spałem. Oczywiście nie zostawał w takich wypadkach pod niebem — noce bywały tam aż do połowy lata bardzo chłodne — tylko pukał do drzwi, odsuwałem rygiel i spędzaliśmy często długie godziny na pogawędce. Leżałem na swej pryczy, mój gość siedział w kuczki na podłodze albo też zaparzał według moich wskazówek herbatę, którą potem piliśmy obaj w przykładowej zgodzie. Wszyscy ci wieśniacy odznaczałi się wielką zgodliwością. Zauważyłem zresztą, że niezbyt nadawałem się do tego, by znosić zupełną samotność, jakkolwiek



musiałem przyznać sobie sam, że ta właśnie samotność, którą sobie nakazałem, zaczęła już po niedługim czasie rozpraszać dawne troski. Stwierdziłem, mówiąc ogólnie, że wielką próbą jest dla nieszczęścia to, czy ono potrafi owładnąć trwale człowiekiem pogrążonym w samotności. Samotność jest potężniejsza niż wszystko inne i pcha człowieka znowu w stronę ludzi. Oczywiście wtedy próbuje się natrafić na inne drogi, niby to mniej bolesne, a w rzeczywistości tylko jeszcze nie znane.

Przyglnąłem do tamtejszych ludzi bardziej, niż zamierzałem. Nie stało się to oczywiście zażyłością ponawianą regularnie. Każda z pięciu wsi wchodzących dla mnie w rachubę była odległa o parę godzin drogi zarówno od stacji, jak i od innych wsi. Nie wolno mi było oddalać się ze stacji na odległość zbyt wielką, jeśli nie chciałem utracić swej posady. Tego zaś — przynajmniej z początku — nie życzyłem sobie bynajmniej. Nie mogłem więc zejść aż do samych wsi, pozostałem przeto zdany na pasażerów kolejki, względnie na ludzi, którzy nie obawiali się dalekiej wędrówki, aby mnie odwiedzić. Ludzie tacy znaleźli się już w pierwszym miesiącu, jakkolwiek jednak okazywali mi przychylność, łatwo można było odgadnąć, że przychodzili tylko po to, by, jeśli się da, zrobić ze mną jakiś interes, zamiaru swego zresztą wcale nie ukrywali. Przynosili rozmaite towary; najpierw zakupywałem, póki starczyło mi pieniędzy, zazwyczaj wszystko na ślepo, tak miili byli mi ci ludzie, zwłaszcza niektórzy. Potem co prawda ograniczyłem zakupy, obok innych względów także i dlatego, bo zauważyłem, jak mi się zdawało, że w moim sposobie zakupywania widzieli pewną pogardę. Poza tym otrzymywałem także pewne środki żywnościowe kolejką; były one zresztą całkiem marne i o wiele jeszcze droższe niż to, co przynosili; chłopci.

Oczywiście zamierzałem pierwotnie założyć ogródek warzywny, kupić krowę i zapewnić sobie w ten sposób możliwie jak największą niezależność od wszystkich. Przywiozłem z sobą również narzędzia ogrodnicze i materiał na siew; ziemi było aż nadto, nie uprawiana przez nikogo rozprzestrzeniała się nieprzerwaną płaszczyzną dokoła mej chaty, bez najmniejszego — jak okiem sięgnąć — wzniesienia. Byłem jednak za słaby, ażeby Ziemię tę ujarzmić. Krnąbrna była to ziemia, z wiosną jeszcze zamarznęta i nawet mojej nowej, ostrej motywy oporna. Wszelki siew, jaki się w nią wrzucało, był stracony. Dostawałem niekiedy ataków rozpacz przy tej pracy. Leżałem jak dzień długi na swej prycy i nie wychodziłem z baraku nawet przy nadejściu pociągów. Wystawiałem tylko głowę z otworu mieszczącego się wprost nad pryczą i składałem meldunek, że jestem chory. Wtedy obsada pociągu złożona z trzech funkcjonariuszy przychodziła do mnie, aby się zagrzać, nie znajdowała jednak wiele ciepła, bo w miarę możliwości unikałem starego, łatwo wybuchającego żelaznego piecyka. Woląłem wylegiwać się okutany starym, ciepłym płaszczem i nakryty rozmaitymi skórami, wykupywanymi od chłopów. — Często chorujesz — mówili do mnie przybysze — chorowity z ciebie człowiek. Nie wydostaniesz się już stąd nigdy. — A mówili tak wcale nie po to, aby mnie zasmucić, lecz dlatego, bo usiłowali, o ile możliwości, mówić jasno prawdę. Czynili to, prawie zawsze wytrzeszczając dziwacznie oczy.

Raz w miesiącu, ale w porach zazwyczaj różnych, pojawiał się inspektor, aby skontrolować moją książkę raportów, odebrać ode mnie pobrane pieniądze i — ale nie za każdym razem — wypłacić mi pensję. O jego przybyciu donosili mi zawsze dzień naprzód ludzie, którzy dopomogli mu wysiąść na poprzedniej stacji. Doniesienia te uważali za największe dobrodziejstwo, jakie mogli mi wyświadczyć, jakkolwiek miałem oczywiście każdego dnia wszystko w porządku. Nie wymagało to też najmniejszego trudu. Jednak inspektor wkraczał również zawsze na stację z taką miną, jakby tym razem bezwarunkowo musiał wykryć moje gospodarcze nadużycia. Niezmiennie otwierał drzwi chaty pchnięciem kolana, patrząc przy tym na mnie. Zaledwie otworzył moją książkę, już znajdował omyłkę. Trzeba było sporo czasu, zanim rachując raz jeszcze przed jego oczyma, wykazałem mu, że omyłkę popełnił on, nie ja. Zawsze okazywał niezadowolenie z wykazanego przeze mnie przychodu, uderzał następnie ręką w książkę i znowu ostro wpatrywał się we mnie.

— Będziemy musieli zamknąć kolej — zrzędził za każdym razem.

— Dojdzie do tego — odpowiadałem zazwyczaj.

Po zakończeniu kontroli stosunek nasz ulegał zmianie. Miałem zawsze pod ręką wódkę i, jeśli się dało, jakąś wykwinną zakąskę. Przypijaliśmy wzajem do siebie, inspektor śpiewał znośnym głosem, ale zawsze tylko dwie piosenki, jedna była smutna i zaczynała się tak: „Dokąd idziesz, niebożątko, lasem?“, a druga była wesoła i pierwsze jej słowa brzmiały: „Morowe kumple, gdzie wy, tam i ja!” — Zależnie od humoru, w jaki zdołałem go wprawić, otrzymywałem częściową wypłatę swego wynagrodzenia. Jednakże tylko na początku takich pogawędek traktowałem go z jakąś atencją, potem stawali się całkiem jednomyślni, obrzucaliśmy bezwstydnie błotem zarząd kolei, w moje ucho szeptało sekretne obietnice na temat kariery, jaką inspektor postanowił mi zapewnić, i w końcu padaliśmy razem na pryczę w uścisku, którego często nie rozluźnialiśmy przez dziesięć godzin. Nazajutrz rano odjeżdżał znowu w charakterze mego przełożonego. Ja stojąc przed pociągiem, salutowałem, on wsiadając do pociągu, obracał się zwykle ku mnie i mówił jeszcze: — A więc druho, duszko, za miesiąc zobaczymy się znowu. Wiesz dobrze, o jaką grasz stawkę. — Widzę jeszcze jego

nabrzmiałą twarz zwróconą ku mnie z wysiłkiem, wszystko wypychało się W tej twarzy na pierwszy plan — policzki, wargi, nos.

To była wielka atrakcja raz w miesiącu, podczas której dawałem sobie folę; jeśli przez przeoczenie zostało trochę wódki, wówczas wypijałem ją do dna natychmiast po odjeździe inspektora, najczęściej słyszałem jeszcze sygnał odjeżdżającego pociągu, a już wódka bulgotała we mnie. Po takiej nocy zostawało straszliwe pragnienie, jak gdyby krył się we mnie drugi człowiek, który przez moje usta wyciągał głowę i szyję i krzyczał o coś do picia. Inspektor był dobrze zaopatrzony, zawsze woził ze sobą w pociągu spory zapas trunków, ja natomiast bywałem zdany na niedopitki.

Za to później nie piłem już nic przez cały miesiąc, nie paliłem też wcale, wykonywałem swą pracę i nie pragnąłem niczego więcej. Było tam, jak powiedziałem, niewiele pracy, ale pełniłem ją sumiennie. Miałem na przykład obowiązek codziennie oczyszczać i badać tor na odległość kilometra w prawo i w lewo od stacji. Nie trzymałem się jednak przepisu i chodziłem często znacznie dalej, tak daleko, że mogłem jeszcze jako tako widzieć stamtąd stację. Gdy powietrze było przejrzyste, bywało to możliwe z odległości mniej więcej pięciu kilometrów, krajobraz był przecieź zupełnie płaski. Gdy znajdowałem się tak daleko, że w oddali chała migotała mi już prawie przed oczyma, widywałem nieraz na skutek złudzenia wzroku, jak w jej kierunku poruszało się wiele czarnych punktów. Były to całe gromady, całe korowody. Ale nieraz przybywał naprawdę ktoś, wtedy biegłem z powrotem przez całą daleką przestrzeń, wymachując motyką.

Pod wieczór kończyłem pracę i wycofywałem się definitywnie do chaty. O tej porze nie przychodził nikt z gości, ponieważ droga powrotna do wsi była w nocy nie całkiem bezpieczna. Wałęsała się po okolicy przeróżna hołota, nie byli to jednak tubylcy, raczej bandy zmieniające się, które niekiedy zresztą powracały. Przeważną ich część miałem możność zobaczyć, samotna stacja nęciła ich, nie byli właściwie niebezpieczni, ale trzeba było postępować z nimi surowo.

Były to jedyne istoty zakłócające mi spokój w porze długich zmierzchów. Poza tym wylegiwałem się na pryczy, nie myśląc o przyszłości, nie myśląc o kolejce, bo następny pociąg przejeżdżał przez stację dopiero między dziesiątą a jedenastą wieczorem, nie myśląc po prostu o niczym w ogóle. Od czasu do czasu czytałem starą gazetę, jaką ktoś rzucił mi z pociągu, zawierała skandaliczne historyjki z Kałdy, które mogłyby mnie zajmować, jednak na podstawie poszczególnych numerów nie potrafiłem ich zrozumieć. Prócz nich mieścił się w każdym numerze dalszy ciąg powieści zatytułowanej: *Zemsta komandora*. Ten właśnie komandor, który zawsze miał sztylet u boku, a przy bardziej niezwykłych okazjach trzymał go nawet w zębach, przyśnił mi się pewnego razu. Nie mogłem zresztą wiele czytać, gdyż zmrok zapadał szybko, a nafta lub lojówka były nieosiągalnie drogie. Zarząd kolei dostarczał mi miesięcznie tylko pół litra nafty, zasób ten zużywałem na długo przed upływem miesiąca wyłącznie na podsycając światła sygnalizacyjnego dla pociągu co wieczór, przez pół godziny. Jednakże światło to nie było wcale potrzebne, toteż w późniejszych czasach nie zaświecałem go zupełnie, przynajmniej w nocy księżycowe. Przewidywałem bardzo trafnie, że po upływie lata da mi się we znaki dojmująca potrzeba nafty. Wygrzebałem więc w kącie chaty jamę, osadziłem tam starą wysmołowaną beczkę od piwa i zlewałem w nią naftę zaoszczędzoną w ciągu każdego miesiąca. Całość była okryta słomą, tak że nikt nie zauważył niczego. Im bardziej w chacie cuchnęło naftą, tym bardziej byłem zadowolony; smród był dlatego tak wielki, bo beczka była ze starego, zmurszałego drzewa, które nasycy się naftą dostatecznie. Potem dla ostrożności zakopałem beczkę poza chatą, bo inspektor, chcąc mi zaimponować, bawił się pewnego razu pudełkiem woskowych zapalek i rzucał je, gdy ich zażądał, jedną po drugiej, płonąca w powietrze. My obaj, a bardziej od nas nafta, byliśmy wtedy w prawdziwym niebezpieczeństwie, uratowałem wszystko dławiąc inspektora tak długo, póki nie wypuścił z rąk wszystkich zapalek.

W wolnych godzinach przemyślałem często nad tym, w jaki sposób mógłbym zaopatrzyć się na zimę. Skoro marzłem już teraz, w ciepłej porze roku -- a było, mówili ludzie, ciepłej niż od wielu lat — to bardzo źle byłoby ze mną w zimie. To, że gromadziłem naftę, było tylko kaprysem; przewidując rozsądnie, powinienem był zbierać na zimę wiele innych rzeczy, bo co do tego, że społeczeństwo nie zatroska się o mnie specjalnie, nie było przecieź najmniejszej wątpliwości, byłem jednak zbyt lekkomyślny lub, mówiąc trafniej, nie byłem lekkomyślny, lecz za mało zależało mi na sobie samym, abym chciał się zbytnio trudzić pod tym względem. Teraz, w ciepłej porze roku wiodło mi się znośnie, poprzestałem na tym i nie rozpocząłem żadnych starań na przyszłość.

Jedną z atrakcji, jakie mnie do tej stacji zawiodły, była perspektywa polowania. Powiedziano mi, że okolica jest niezwykle bogata w zwierzynę i upatrzyłem już sobie strzelbę, którą chciałem, by mi przysłano, skoro tylko uskładam pewną sumkę pieniędzy. Cóż, kiedy okazało się, że zwierzyny łowne nie było w tych stronach ani śladu, jedynie wilki i niedźwiedzie miały się tu pojawiać, w pierwszych miesiącach nie napotkałem ich wcale, za to żyły tutaj niezwykle dużych rozmiarów szczury, które zaraz zaobserwować mogłem, jak tłumnie, niby wichrem gnane, pędziły ścieżką. Diczyny, na którą się cieszyłem, nie było zupełnie. Ludzie powiadomili mnie błędnie, okolica zasobna w zwierzynę istniała,

odległa jednak była o trzy dni drogi — a ja nie wziąłem pod uwagę tego, że informacje topograficzne muszą z natury rzeczy grzeszyć niedokładnością na obszarach kraju, nie zamieszkanym przez nikogo na przestrzeni stu i więcej kilometrów. Tak czy owak, strzelby nie było mi na razie potrzeba, mogłem więc wydać pieniądze na coś innego, chociaż z drugiej strony musiałem sprawić sobie na zimę jakąś broń i na ten cel odkładałem grosz regularnie. Na szczury napastujące nieraz mój zapas żywności wystarczał mój długi nóż.

W początkach mego pobytu, gdy wszystko jeszcze budziło moją ciekawość, nadziałem pewnego razu na nóż takiego właśnie szczura i przybiłem go do ściany na wysokości oczu. Mniejsze zwierzęta widzi się dokładnie dopiero wtedy, gdy się je ma przed sobą na poziomie oka, kiedy się pochyła ku nim do ziemi i tak się im przygląda, zyskuje się błędne i niedokładne wyobrażenie o nich. Cechą najbardziej charakterystyczną miejscowych szczurów były wielkie pazury, nieco wyźłobione, a mimo to zaostrome na końcach, nadawały się one bardzo do grzebania. W przedśmiertnym skurczu szczur wiszący przede mną na ścianie wyprężył pazury sztywno, na pozór wbrew ich żywotnej naturze, stały się one podobne do wyciągniętej ku człowiekowi rączyny.

Na ogół stworzenia te nie naprzykrzały mi się nadmiernie, tylko w nocy budziły mnie nieraz, pomykając grzechotliwym biegiem po twardej ziemi przy chacie. Jeśli wówczas siadłem i zaświeciłem łojówkę, mogłem gdzieś w szparze między tarcicami zobaczyć pazury szczura wetknięte od zewnątrz i pracujące w gorączkowym pośpiechu. Była to praca najzupełniej daremna, bo aby wydrążyć otwór dość dla siebie wielki, musiałby pracować przez cały dzień, a przecież zmykał, zaledwie dzień odrobinę tylko się zabielił, mimo to trudił się jak robotnik świadomy swego celu. I wykonywał pracę rzetelną, wprawdzie spod jego jamki wyfruwały ledwie widzialne trociny, na pewno jednak ani razu nie użył pazura bezskutecznie. Często przyglądałem się temu w nocy tak długo, póki nie uśpiła mnie jednostajność i spokój widoku. Wtedy brakło mi już siły, by łojówkę zgasić, toteż przyświecała jeszcze przez krótką chwilę szczurowi przy jego pracy.

Pewnego razu w ciepłą noc słyszałem znów pracę pazurów, wyszedłem ostrożnie z chaty, nie zaświecając płomyka, aby zobaczyć samo zwierzątko. Pochyliło głęboko głowę ze spiczastą mordką, wsuwając ją prawie między przednie łapki, byle tylko przywrzeć jak najmocniej do drewna i możliwie głęboko wetknąć pod nie pazury. Można było myśleć, że ktoś będący w chacie trzyma te pazury mocno i chce wciągnąć całe zwierzątko do środka, tak bardzo napięty był cały tułów. A przecież wszystkiemu położyło kres jedno kopnięcie, którym zatłukłem zwierzę. Nie mogłem w stanie zupełnej trzeźwości ścierpieć, żeby napastowano chatę, moje jedyne mienie.

Ażebym zabezpieczył chatę przed szczurami, zatkałem wszystkie szczeliny słomą i pakułami, a ziemię dookoła badałem co dzień. Zamierzałem dalej oszalować deskami podłogę baraku, utworzoną jak dotąd tylko z mocno ubitej ziemi, co również mogło być pożyteczne w zimie. Pewien chłop z sąsiedniej wsi, nazwiskiem Jekoz, obiecał mi już dawno temu dostarczyć na ten cel ładnych, suchych desek, ugaszczalem go też wiele razy w zamian za tę obietnicę, on zaś nie opuszczał mnie nigdy na długo, lecz przychodził co dwa tygodnie, miewał nieraz do załatwienia transporty koleją, ale desek nie przywoził. Wynajdywał na to rozmaite wymówki, najczęściej taką, że jest już sam za stary, ażeby przywlec tak wielki ciężar, a jego syn, który dowodziłby deski, zajęty jest właśnie robotami w polu. Otóż Jekoz, który według swych własnych słów — wyglądało to na prawdę — minął już dawno siedemdziesiątkę, był jednak roslym i bardzo jeszcze krzepkim człowiekiem. W dodatku zmieniał swe wykręty i innym razem mawiał o trudnościach w uzyskaniu desek tak długich, jak mi to było potrzebne. Nie nalegałem nań wcale, deski nie były mi koniecznie potrzebne, bo w ogóle dopiero sam Jekoz nasunął mi myśl wyłożenia podłogi, może to nie było wcale korzystne —krótko mówiąc mogłem spokojnie wysłuchiwać kłamstw starego. Moje powitanie brzmiało stale: „Jekoz, deski!” Natychmiast odzywały się półbełkotliwe usprawiedliwienia, w których nazywał mnie inspektorem albo kapitanem, albo też skromniej telegrafistą, obiecywał mi nie tylko, że następnym razem dostawi deski, lecz że przy pomocy swego syna i paru sąsiadów rozwali całą chatę i na jej miejscu zbuduje solidny dom. Słuchałem, póki mnie to nie znużyło — i wyrzucałem go za drzwi. Aby uzyskać przebaczenie, jeszcze w drzwiach podnosił ręce niby takie słabe, którymi w rzeczywistości potrafiłby zadławić dorosłego mężczyznę. Wiedziałem, dlaczego nie przywoził desek: myślał, że gdy przybliży się zima, będę bardziej ich potrzebował i hojniej za nie zapłacę, a poza tym roił sobie również, że póki dostawa desek nie nastąpi, on sam może przedstawiać dla mnie większą wartość. Nie był oczywiście na tyle głupi, by nie wiedzieć, że znam podszewkę jego myśli, w tym jednak, że wiedzy tej nie wykorzystuję, widział swą własną korzyść i strzegł jej pilnie. Wszystkie jednak przygotowania, jakie podjąłem w celu zabezpieczenia chaty przed zwierzętami, a siebie samego przed zimą, musiały zostać przerwane z chwilą — pierwszy kwartał mej służby miał się właśnie ku końcowi — gdy poważnie zachorowałem. Los przez długie lata, aż dotąd, oszczędził mi wszelkich chorób, nawet najłżejszych niedyspozycji — tym razem zachorowałem. Zaczęło się to silnym kaszlem. W oddaleniu od stacji blisko dwie godziny drogi w głąb kraju płynął wąski strumyk, z którego zwykłem dowozić sobie w beczulce, taczkami,

potrzebny zapas wody. Kapałem się tam również często i ten właśnie kaszel był tego następstwem. Ataki kaszlu bywały tak gwałtowne, że kaszłając musiałem się cały kurczyć, zdawało mi się, że nie wytrzymam naporu kaszlu, jeśli nie zwinę się w kłębek i nie skupię w ten sposób wszystkich sił. Wyobrażałem sobie, że ten kaszel przerazi załogę pociągu, znała go jednak i nazywała wilczym charkotem. Następnie zacząłem w kaszlu swym dosłuchiwać się skowytu. Siedziałem na ławeczce przed chatą i skowycząc witałem pociąg, i skowycząc asystowałem jego odjazdowi. Nocami klęczałem na pryczy zamiast leżeć i wciskałem twarz w skóry, ażeby oszczędzić sobie przynajmniej słyszenia skowytu. Czekałem z napięciem, aż pęknięcie jakiegoś ważnego naczynia krwionośnego położy kres wszystkiemu. Nie stało się jednak nic takiego, co więcej, kaszel minął po kilku dniach. Istnieje jakaś herbata, która go leczy, i — ten jeden tylko! — maszynista parowozowy obiecał mi przywieźć tę herbatę, objaśnił mi jednak, że można ją pić dopiero ósmego dnia po rozpoczęciu się kaszlu, w innym czasie nie skui kuje. Przywiózł ją rzeczywiście ósmego dnia; przypominam sobie, że razem z załogą pociągu weszli też do mej chaty pasażerowie, mianowicie dwaj młodzi chłopcy, ponieważ usłyszenie pierwszego kaszlu po wypiciu herbaty ma stanowić pomyslną wróżbę. Wypiłem pierwszy łyk, wykaszlnąłem zaraz w twarz obecnym, uczułem potem jednak prawdziwą i natychmiastową ulgę, choć kaszel osłabł już był w ciągu ostatnich dwu dni. Ale pozostała uporczywie trwająca gorączka.

Ta właśnie gorączka wycieńczyła mnie bardzo, straciłem wszelką odporność, zdarzało się nieraz, że całkiem nieoczekiwanie pot występował mi na czoło, dygotałem wówczas całym ciałem, i musiałem, gdziekolwiek byłem, położyć się i czekać, aż oprzytomnieję. Zupełnie dokładnie zdawałem sobie sprawę z tego, że było z mym zdrowiem nie lepiej, lecz gorzej, że bardzo też jest dla mnie wskazane pojechać do Kałdy i zatrzymać się tam przez parę dni, póki mój stan nie ulegnie poprawie.

21 sierpnia. Z tak żywą nadzieją zacząłem — i odrzuciło mnie od wszystkich trzech opowiadań, dzisiaj najbardziej. Może to i słuszne, że nad opowiadaniem rosyjskim powinienem był pracować zawsze tylko po *Procesie*. W tej zabawnej nadziei, która opiera się chyba tylko na zmechanizowanej fantazji, zabieram się znowu do *Procesu*. Całkiem bezużyteczne to nie było.

29 sierpnia. Zakończenie pewnego rozdziału nie udało mi się, innego rozdziału, który pięknie zacząłem, nie potrafię — może lub raczej całkiem na pewno — równie pięknie kontynuować, a wtedy w nocy udałoby mi się to bez wątpienia. Nie wolno mi jednak opuszczać rąk, jestem zupełnie sam.

30 sierpnia. Zimno i pusto. Wyczuwam aż nadto wyraźnie granice swojego talentu, które w chwilach, gdy natchnienie nie ogarnia mnie aż do dna duszy, są bezsprzecznie bardzo ciasne. A sądzę, że nawet w natchnionej kontemplacji pogrążam się tylko w tych ciasnych granicach, których zresztą nie czuję wtedy, będąc w stanie pogrążenia. Mimo to jest w tych granicach dość przestrzeni, by żyć, i dlatego wykorzystam je w sposób aż godny pogardy.

Za kwadrans druga w nocy. Naprzeciwko mego mieszkania płacze dziecko. Nagle w tym samym pokoju zaczyna mówić jakiś mężczyzna tak blisko, jak gdyby działa się to przed moim oknem. „Wolę wylecieć z okna niż słuchać tego jeszcze dłużej.” Mężczyzna coś tam jeszcze pomrukuje w rozdrażnieniu, kobieta stara się bez słów, samymi tylko dźwiękami syczącymi, uspić ponownie dziecko.

1 września. W stanie zupełnej niemocy napisałem ledwo dwie strony. Osunąłem się dzisiaj bardzo silnie w dół, mimo że spałem dobrze. Wiem jednak, że nie wolno mi ugiąć się, o ile poprzez najgorsze cierpienie twórczości pisarskiej, i tak już poniżonej przez mój pozaliteracki tryb życia, mam się przedostać w wolność wyższą, może mnie oczekującą. Dawne otępienie jeszcze nie opuściło mnie całkowicie, jak sobie z tego zdaję sprawę, a chłód serca nie opuści mnie być może nigdy. To, że nie cofnąłem się z trwogą przed żadnym upokorzeniem, może równie dobrze dowodzić beznadziejności, jak budzić nadzieję.

13 września. Znowu ledwo dwie strony. Myślałem z początku, że smutek z powodu austriackich klęsk oraz obawa przed przyszłością (obawa, która zasadniczo wydaje mi się komiczna i równocześnie nikczemna) przeszkodzą mi w ogóle w pisaniu. Przeszkodą okazało się nie to, lecz jakaś drętwość, która ciągle się powtarza, i którą ciągle muszę przezwyciężać. Na sam tylko smutek jest dość czasu poza pisaniem. Arterie myśli oplątujące wojnę są w udręce przeżerania mnie w najrozmaitszych kierunkach podobne do starych trosk z powodu F. Jestem niezdolny do dźwigania trosk, za to jestem być może stworzony do tego, aby z powodu trosk zginać. Gdy popadnę w dość znaczne osłabienie — a na to nie trzeba będzie zbyt długo czekać — może wystarczy najbliższa

troska, aby mnie rozbić ostatecznie. W tej perspektywie mogę zresztą wykryć możliwość odsunięcia katastrofy jak najdalej. Co prawda, przy użyciu wszystkich sił swej, wówczas stosunkowo mało jeszcze osłabionej, natury niewiele zdziałalem, broniąc się przed troskami z powodu F.; lecz wtedy tylko w początkowym okresie miałem dużą pomoc w twórczości pisarskiej, której nie pozwolę już wydrzeć sobie teraz.

7 października. Wziąłem tydzień urlopu, aby pchnąć naprzód powieść. Aż do dziś dnia — „dziś” oznacza środę w nocy, a w poniedziałek dobiega końca mój urlop — nie powiodło się to. Pisałem mało i mizernie. Co prawda, już w poprzednim tygodniu przeżywałem fazę depresji; nie mogłem jednak przewidzieć, że weźmie to aż tak fatalny obrót. Czy te trzy dni upoważniają już do wysnucia wniosku, że nie jestem godny żyć bez biura?

15 października. Dwa tygodnie dobrej pracy, po części zdaję sobie zupełnie jasno sprawę ze swego położenia. Dziś, we czwartek (mój urlop kończy się w poniedziałek, przedłużyłem go o tydzień jeszcze) list od panny Bl. Nie wiem, co z nim począć, wiem, że sądzono mi jest, bym pozostał sam (o ile w ogóle pozostanę, co bynajmniej nie jest postanowione) — nie wiem również, czy Kocham F. (myślę o odrzynie wzbudzonej jej widokiem, gdy tańczyła, zniżywszy surowe swe oczy, albo gdy na krótko przed odejściem z Askańskiego Dworu przesunęła lekko dłonią po nosie i włosach, myślę też o niezliczonych chwilach najzupełniejszej obcości), ale mimo to wszystko pojawia się znowu nieskończona ponęta; listem bawiłem się przez cały wieczór, praca utyka, jakkolwiek czuję się do niej zdolny (przy dojmujących zresztą bólach głowy, na które cierpię już od całego tygodnia). Odtwarzam jeszcze z pamięci list, jaki napisałem do panny Bl.:

„Dziwnym zbiegiem okoliczności, panno Greto, list pani otrzymałem właśnie dzisiaj. Tego, co list ów zastał, nie chcę określać, dotyczy to tylko mnie oraz myśli, jakie snułem, kładąc się dziś w nocy, około godziny trzeciej, do łóżka (samobójstwo, list do Maksa z licznymi zleceniami). List pani zdziwił mnie bardzo. Nie dziwi mnie to, że pani do mnie pisze. Dlaczego pani nie miałaby pisać do mnie? Pisze pani wprawdzie, że pani nienawidzę, ale to nieprawda. Chociażby nienawidzili pani wszyscy, ja nie znienawidzę pani, i to nie tylko dlatego, że nie mam żadnego prawa po temu. Co prawda, siedziała pani w Askańskim Dworze nade mną jak sędzia, było to ohydne dla pani, dla mnie, dla wszystkich — ale było tylko pozorem; w rzeczywistości na miejscu pani siedziałem ja i siedzę tam nadal, aż po dziś dzień.

Co do F. myli się pani na całej linii. Nie piszę tego, aby wyludzać szczegóły. Nie mogę wyobrazić sobie żadnego szczegółu — a moja wyobraźnia nauganiała się już wiele po tych rejonach, tak że jej ufam — nie mogę więc wyobrazić sobie żadnego szczegółu, który potrafiłby mnie przekonać o tym, że pani się nie myli. To, co pani sugeruje, jest zupełnie niemożliwe; unieszczęśliwia mnie myśl, że F. z jakiegoś niedocieczonego powodu mogłaby nawet mylić się sama. Ale również i to jest niemożliwe.

Sympatię pani uważałem zawsze za szczerą i za bezwzględną w stosunku do siebie samej. Nie przyszło pani również łatwo napisać ten ostatni list. Dziękuję pani za to serdecznie.

Cóż uzyskałem pisząc to? List wygląda nieustępliwie, ale tylko dlatego, bo się wstydzilem, bo uważałem za nieodpowiedzialne, bo bałem się być ustępliwym, nie dlatego, że nie pragnąłem być ustępliwym. Nie pragnąłem nawet niczego innego. Byłoby dla nas wszystkich najlepiej, gdyby panna Bl. nie odpowiedziała, ale ona odpowie i będę czekał na jej odpowiedź

...rty dzień urlopu. Pół do trzeciej w nocy, prawie nic ...dział przeczytałem i uznałem za zły. Dwojakie ... nieudane. Przede mną leży biuro i ... chylącej się do upadku fabryki. Jestem jednak ... bez opamiętania. A podporą mą najsilniejszą jest ... enny sposób myśl o F., jakkolwiek wszelką próbę nawiązania bliższych stosunków odepchnąłem od siebie we wczorajszym liście. Przeżyłem ostatnio dwa spokojne miesiące bez żadnej konkretnej łączności z F. (wyjąwszy relację wynikającą z korespondencji z E.); marzyłem o F. jak o umarłej, która nie może już nigdy ożyć, teraz zaś, gdy los nadarza mi pewną możliwość zbliżenia się do niej, staje się ona znowu centralnym punktem całego mojego świata. Przeszkadza mi nawet w pracy. A przecież niedawno, gdy czasem myślałem o niej, wydawała mi się najbardziej obca z napotkanych kiedykolwiek osób, tłumaczyłem to sobie zresztą faktem, iż owa zupełnie wyjątkowa obcość ma swój powód w tym, że F. zbliżyła się do mnie bardziej niż ktokolwiek inny, albo przynajmniej że inni spowodowali, iż znalazła się w takiej bliskości względem mnie.

Przewertowałem parę kart Dziennika. Ogarnęło mnie coś na kształt przecucia organizacji, którą można by nadać takiemu życiu.

21 października. Od czterech dni nie pracowałem prawie zupełnie, zawsze tylko godzinę, pisząc ledwie kilka linijek; za to sypiałem lepiej i wyzbywałem się przez to niemal całkiem bólów głowy. Brak odpowiedzi od Bl., jutro ostatnia możliwość nadejścia listu od niej.

25 października. Prawie całkowity zastój w pracy. To, co piszę, wydaje mi się nie tworem samoistnym, lecz refleksem rzetelnej pracy wcześniejszej. Odpowiedź od Bl. nadeszła, jestem kompletnie niezdecydowany co do mojej odpowiedzi. Myśli tak prostackie, że nie potrafię ich w ogóle napisać. Wczorajszy smutek. Gdy Ottla szła za mną aż do schodów, opowiadając o jakiejś widokówce ... powiedziała i pragnęła uzyskać ode mnie jakąś odpowiedź, (nie mogłem) wyrzec ani słowa. Ze smutku zupełnie niezdolny ... tylko ramionami dać znak..., noweli Picka pomimo poszczególnych zalet, utworów W.... wiersze Fuchsa dziś w gazecie.

1 listopada. Wczoraj po długiej przerwie posunąłem się o dobry szmat drogi naprzód, dziś znowu prawie nic, dwa tygodnie, jakie przeszły po moim urlopie, zaprzepaściłem niemal zupełnie.

Dzisiaj niedziela, dzień chwilami piękny. W parku Choteków czytałem obronę Dostojewskiego. Warta w zamku i przy Komendzie Korpusu. Studnia przy pałacu Thunów. Dużo zadowolenia z siebie w ciągu całego dnia. A teraz kompletna niemoc przy pracy. Nawet nie niemoc — widzę swój cel i drogę doń wiodącą, musiałbym tylko przebić jakieś cienkie przegrody, i nie potrafię. Bawienie się myślami o F.

3 listopada. Po południu list do E., przeglądałem nowelę Picka *Ślepy gość*, notuję poprawki, czytałem trochę Strindberga, potem nie mogłem zasnąć, o pół do dziewiątej w domu, o dziesiątej z powrotem, z obawy przed zaczynającymi się bólami głowy, a także dlatego, bo w nocy spałem bardzo mało, nie pracowałem już w ogóle, po części również i z obawy, aby nie zepsuć napisanego wczoraj, znośnego fragmentu. Czwarty to od sierpnia dzień, w którym nie napisałem ani słowa. Wina tego ponoszą listy, będę się starał nie pisać żadnych lub tylko całkiem krótkie. Jak bardzo jestem skłopotany i w jaki chaos mnie to wpędza! Wczoraj wieczorem stan nadmiernego szczęścia po przeczytaniu kilku linijek **Jammesa**, z którym zresztą nic mnie nie wiąże, ale jego francuszczyzna — chodziło tam o odwiedzinę u zaprzyjaźnionego poety — podziałała na mnie tak silnie. Jammes Francis (1868—1938), poeta francuski, autor licznych zbiorów poetyckich.

4 listopada. Wrócił **P.** jeden ze szwagrów Kafki, który przyjechał na urlop z frontu. Wrzeszczący, podniecony, wychodzący z siebie. Historia o krecie, który w rowie strzeleckim drażył dziurę tuż pod nim, i którego uważał za znak Boży, aby stamtąd umknąć. Zaledwie się oddalił, kula trafiła jakiegoś żołnierza, który przypełznął na jego miejsce i znajdował się w owej chwili nad kretem. Jego kapitan. Widziano dokładnie, jak dostał się do niewoli. Ale nazajutrz znaleziono go w lesie nagiego, przesytego bagnetami. Prawdopodobnie miał przy sobie pieniądze, chciano go zrewidować i ograbić, on jednak, „jak to oficerowie”, nie dał się dobrowolnie dotknąć palcem. P. był bliski płaczu z wściekłości i emocji, gdy w drodze na dworzec spotkał swego szefa (a uwielbiał go dawniej bez miary, aż śmiesznie), idącego do teatru w wytwornym stroju, w oparze perfum, z przewieszoną przez ramię lornetką. W miesiąc później uczynił to sam dzięki biletowi, jaki mu ten szef podarował, poszedł na komedię *Niewierny Eckehart*. Nocował raz w zamku księcia Sapiehy, raz niemal pod lufami grzmiących austriackich baterii, gdzie stacjonował jako rezerwista, raz wreszcie w izbie chłopskiej, gdzie w obu łóżkach po lewej i prawej stronie spały przy ścianach po dwie kobiety, za piecem dziewczyna, a na podłodze ośmiu żołnierzy. Kara dla żołnierzy: przywiązani stoją — tak długo, aż posinieją.

12 listopada. Rodzice oczekujący wdzięczności od swych dzieci (niektórzy domagają się jej nawet) są jak lichwiarze, ryzykują skwapliwie kapitał, byle zagarnąć procenty.

24 listopada. Wczoraj na ulicy Sukienniczej, gdzie rozdaje się starą bieliznę i odzież galicyjskim uchodźcom. Maksi pani Brod, pan Chaim Nagel. Roztropność, cierpliwość, uprzejmość, skrętność, rozmowność, dowcip i dar budzenia ufności — oto zalety pana Nagla. Ludzie, wypełniający swój krąg tak doskonale, że człowiek myśli, iż musi się im wszystko udać w całym kręgu świata, ale doskonałość ich polega właśnie na tym, że poza swój własny krąg nie sięgają.

Rozsądna, żwawa, dumna a równocześnie skromna pani Kannegiesser z Tarnowa, która prosiła tylko o dwa koce, ale ładne, a jednak mimo protekcji Maksa dostała tylko stare i brudne, tymczasem nowe, porządne koce leżały w oddzielnym pokoju, gdzie przechowywano w ogóle wszelkie dobre rzeczy dla ludzi z lepszej sfery. Pani Kannegiesser nie chciano dać dobrych koców również dlatego, bo potrzebowała ich tylko na dwa dni, zanim jej bielizna nie nadejdzie z Wiednia, a przedmiotów używanych nie wolno było przyjmować z powrotem z uwagi na niebezpieczeństwo cholery.

Pani Lustig w otoczeniu mnóstwa dzieci wszelkiego kalibru, wraz z drobną, arogancką, ruchliwą, pewną siebie siostrą. Wybiera sukienkę dla dziecka tak długo, że w końcu pani **Brod** matka Maksa Broda, która brała żywy udział w akcji pomocy dla uchodźców. jak nie krzyknie na nią: — Weźmie pani nareszcie tę albo nie dostanie pani żadnej. — Na to jednak pani Lustig odpowiada krzykiem znacznie jeszcze donośniej-szym, wieńcząc go wspianiałym, dzikim gestem ramienia i słowami: **micwe** dobry uczynek jest przecież więcej warta niż te wszystkie szmaty (hadry).

25 listopada. Pustka i rozpacz, nie sposób podźwignąć się, dopiero zadowolenie z cierpienia może dać mi punkt oparcia.

30 listopada. Nie mogę pisać dalej. Dotarłem do ostatecznej granicy, przed którą powinienem może przesiedzieć znowu rok lub dłużej, ażeby potem może zacząć znowu powieść nową i znowu niedokończoną. To przeznaczenie ściga mnie. Jestem też znowu zimny i nieczuły, pozostała mi tylko starcza miłość do zupełnego spokoju. I niby jakieś zwierzę odgradzone zupełnie od ludzi chwiejnym ruchem wyciągam znowu szyję, chciałbym spróbować odzyskać F. w międzyczasie. Spróbuję też rzeczywiście, o ile nie przeszkodzi mi w tym odraza do samego siebie.

2 grudnia. Po południu u Werfla z Maksem i z Pickiem. Odczytałem głośno *Karną kolonię*, jestem całkiem niezadowolony, wyjąwszy rzucające się aż nazbyt w oczy i nie dające się poprawić usterki. Werfel czytał wiersze oraz dwa akty utworu *Estera, cesarzowa Persji*. Akty porywające. Dają się jednak łatwo zbić z tropu. Zarzuty i porównania wysuwane przez Maksa, który odniósł się do tej sztuki z niepełnym zadowoleniem, zmąciły mój sąd; toteż nie zachowuję już tej sztuki we wspomnieniu jako całości, tak jak podczas słuchania, gdy runęła na mnie całą swą mocą. Przypomnienie aktorów żargonowych. Przystojne siostry W-la. Starsza opiera się o poręcz krzesła, często patrzy nieco w bok do lusterka i mimo, że ją moje oczy pochłonęły już chyba dostatecznie, wskazuje paluszkami lekko na broszkę wpiętą na środku jej bluzki. Jest to wycięta bluzka ciemnoniebieska, dekolot przysłonięty tiulem. Powracające kilkakrotnie opowiadanie o zajściu w teatrze: oficerowie, którzy podczas sztuki *Intryga i miłość*, często i głośno wymieniali uwagi: „Speckbacher pozuje” — co odnosiło się do pewnego oficera, opartego o ścianę jakiejś łoży.

Kwintesencja dnia jeszcze przed bytnością u Werfla: bezwarunkowo pracować dalej; smutno, że dzisiaj jest to niemożliwe, bo jestem zmęczony i mam bóle głowy, zapowiedź ich czułem już w biurze przed południem. Bezwarunkowo pracować dalej, to musi być możliwe mimo bezsenności i biura.

Sen, jaki miałem dziś w nocy. U cesarza Wilhelma. W zamku. Piękny widok stamtąd. Pokój podobny jak w Kolegium Tytoniowym. Zetknięcie się z Matyldą Sera. Niestety zapomniałem wszystko.

5 grudnia. List od E. o położeniu jej rodziny. Mój stosunek do rodziny zyskuje dla mnie tylko wtedy jednolity sens, gdy uznam sam siebie za zgubę rodziny. Jest to jedyne, jakie w ogóle istnieje, organiczne wyznanie, które przewycięża gładko wszelkie zdumiewające momenty. Jest to równocześnie jedyna aktywna łączność, jaka wychodząc ode mnie, istnieje między mną a rodziną, na ogół jestem bowiem uczuciowo oderwany od niej całkowicie, nie radykalniej zresztą niż od całego może świata. (Obrazem mojej egzystencji pod tym względem byłaby bezużyteczna, ośnieżona i oszroniona żerdź, ledwie wetknięta skośnie w ziemię, na rozgrzebanym do głębi polu, u skraju rozległej równiny w mroczną zimową noc). Działa tylko moc niszcząca: unieszczęśliwiłem F., osłabiłem we wszystkich tak bardzo im teraz potrzebną odporność, przyczyniłem się do śmierci ojca, poróżniłem pomiędzy sobą F. i E., i w końcu unieszczęśliwiłem także i E., a według wszelkich przewidywań unieszczęśliwienie to będzie pogłębiało się jeszcze. Patrząc na to z napięciem, zdecydowany przyspieszyć ten przebieg. Mój ostatni list do niej, jaki w udręce wymusiłem sam na sobie, ona uważa za spokojny; „tchnie tak wielkim spokojem” — jak wyraziła się sama. Nie jest tu zresztą wykluczone, że E. wyraża się tak z tkliwości, z chęci oszczędzania mnie i z troski o mnie. Bo też w całokształcie tych spraw ukarany jestem wystarczająco; samo tylko stanowisko moje względem rodziny jest karą dostateczną, a cierpiałem również w ten sposób, że nigdy się z tego nie podźwignę (mój sen, moja pamięć, moja sprawność myślowa, moja odporność na najmniejsze troski osłabły nieuleczalnie, dziwnym trafem są to w przybliżeniu następstwa takie same jak te, które pociąga za sobą długotrwała kara więzienia), chwilowo cierpię jednak przez swój stosunek do rodziny niewiele, w każdym razie mniej niż F. albo E. Coś dręczącego tkwi chyba w tym, że mam teraz, w okresie Bożego Narodzenia, odbyć podróż świąteczną z E., podczas gdy F. ewentualnie pozostanie w Berlinie.

8 grudnia. Wczoraj po raz pierwszy od dłuższego czasu byłem bezsprzecznie zdolny do dobrej pracy.

A przecież napisałem tylko pierwszą stronę rozdziału o **matce** w związku z Procesem, opublikowany jako fragment pt.

**Podróż do matki:** bo już przez dwie noce nie spałem prawie całkiem, bo zaraz rano pojawiły się bóle głowy, bo wreszcie ogarnął mnie zbyt wielki lęk przed zaczynającym się dniem. Przekonałem się ponownie, że wszystko to, co piszę fragmentarycznie i nie w ciągu większej części nocy (lub nawet w ciągu nocy całej), jest mierne i że na tę mierność skazują mnie moje warunki życiowe.

9 grudnia. W towarzystwie E. K. z Chicago. Jest prawie rozczulający. Opisuje swoje spokojne życie, Od ósmej do pół do szóstej w domu towarowym. Kontrola ekspedycji w dziale trykotaży. Piętnaście dolarów tygodniowo. Dwa tygodnie urlopu, w czym jeden tydzień płatny, po pięciu latach oba tygodnie płatne. Przez pewien czas, gdy w dziale trykotaży mało było do roboty, był pomocnikiem w dziale rowerów. Sprzedaje się po trzysta rowerów dziennie. Interes en gros, dziesięć tysięcy pracowników. Pozyskiwanie klienteli tylko przez wysyłkę katalogów. Amerykanie zmieniają chętnie posady, w lecie nie tłoczą się w ogóle do pracy zbyt tłumnie, on jednak przenosi się niechętnie, nie uważa tego za korzystne, bo traci się przy tym i czas, i pieniądze. On sam pracował dotychczas na dwu stanowiskach, na każdym po pięć lat, a kiedy wróci — urlop ma nieograniczony — obejmie znowu to samo stanowisko, zawsze może stać się tam potrzebny, choć z drugiej strony zawsze mogą również obyć się bez niego. Wieczorem przebywa najczęściej w domu, partyjka skata ze znajomymi, dla rozrywki raz na jakiś czas godzina w kinie, latem przechadzka, w niedzielę przejażdżka po jeziorze. Ożenku wystrzega się, choć ma już trzydziesty czwarty rok, ponieważ Amerykanki wychodzą często za mąż tylko po to, ażeby się rozwieść, co dla nich jest bardzo proste, ale dla mężczyzny bardzo kosztowne.

13 grudnia. Zamiast pracować — napisałem tylko jedną stronę (egzegezę legendy) — czytałem ją jako serię wykończonych rozdziałów, uznając po części za dobrą. Zawsze ze świadomością tego, że za każde uczucie zadowolenia i szczęścia, jak na przykład uczucie ogarniające mnie w szczególny sposób wobec legendy, trzeba koniecznie zapłacić, i to — aby nigdy nie znaleźć wytchnienia — zapłacić poniewczasie.

Ostatnio u Feliksa. W drodze powrotnej do domu powiedziałem Maksowi, że na łożu śmierci będę bardzo zadowolony, o ile tylko bóle nie będą zbyt wielkie. Zapomniałem dodać i później nie dorzuciłem tego rozmyślnie — że najlepsze utwory, jakie napisałem, mają swą podwalinę w tej właśnie zdolności umierania z zadowoleniem. We wszystkich tych dobrych i mocno przekonujących fragmentach chodzi zawsze o to, że ktoś umiera, że to jest dla niego bardzo ciężkie, że w tym zawiera się jakaś dlań krzywda lub przynajmniej jakaś surowość losu i że to — moim przynajmniej zdaniem — będzie wzruszać czytelnika. Dla mnie jednak, który wierzę, że na łożu śmierci potrafię być zadowolony, takie opisy są w głębi ducha zabawą, cieszę się na umieranie w umierającym, wykorzystuję zatem uwagę czytelnika skupiającą się wokół śmierci, mam o wiele jaśniejszy umysł niż on, bo przyjmuję, że on będzie skarżył się na łożu śmierci — moja więc skarga jest możliwie doskonała, nie urywa się równie tak nagle jak skarga prawdziwa, lecz trwa piękna i czysta. Podobnie jak przed matką uskarżałem się zawsze na cierpienia, które wcale nie były tak wielkie, jak sugerowała to skarga. W stosunku do matki niepotrzebny mi był zresztą tak wielki wysiłek artystyczny, jak w stosunku do czytelnika.

14 grudnia. Praca pełnie naprzód w pożałowania godny sposób i to może w jej najważniejszym momencie tam, gdzie dobrze przespana noc przydałaby się tak bardzo.

Po południu u Bauma. Udziela lekcji fortepianu małemu, blademu dziewczątku w okularach. Synek siedzi cicho w kuchennym półmroku i bawi się leniwie pierwszym lepszym, nierozpoznawalnym przedmiotem. Nastrój wielkiej błogości. Zwłaszcza jeśli chodzi o manewrowanie tęgiej pokojówki, która zmywa we wiadrze naczynia.

Kłęski w Serbii, bezmyślna taktyka dowództwa.

19 grudnia. Wczoraj prawie nieprzytomny pisałem *Nauczyciela wiejskiego*, obawiałem się jednak pisać dłużej niż do trzy na drugą; obawa była uzasadniona, nie spałem prawie zupełnie, miałem tylko jakieś trzy krótkie widziadła senne i potem w biurze byłem w odpowiedniej kondycji. Wczoraj wyrzuty ojca z powodu fabryki: „Aleś mnie wpakował”. Poszedłem potem do domu i pisałem spokojnie przez trzy godziny w pełnej świadomości tego, że moja wina jest niewątpliwa, jakkolwiek nie tak wielka, jak ją ojciec przedstawia. Nie poszedłem dziś, w sobotę, na kolację, częściowo z bojaźni przed ojcem, częściowo aby noc wykorzystać całkowicie na pracę, ale napisałem tylko jedną i to nie bardzo dobrą



stronę.

Komiczny początek każdej noweli. Beznadziejna wydaje się myśl, by ten nowy, jeszcze niedoskonały, wrażliwy organizm ostał się w skończonej organizacji świata, która — jak wszelka organizacja skończona — dąży do oddzielenia się. Zapominamy jednak przy tym, że nowela, o ile jest umotywowana, zawiera w sobie swoją własną doskonałą organizację nawet wtedy, gdy nie całkiem jeszcze rozwinęła się. Dlatego zwątpienie na widok początku noweli jest pod tym względem nieuzasadnione; podobnie musieliby rodzice rozpaczać na widok niemowlęcia, bo przecież nędznej i szczególnie śmiesznej istotki nie chcieli wydać na świat. A zresztą nie wiemy nigdy, czy rozpacz, jaką odczuwamy, jest uzasadniona czy nieuzasadniona. Jednak z tego właśnie rozważania może wynikać pewien punkt oparcia, brak tego doświadczenia zaszkodził mi już nieraz.

20 grudnia. Zarzut Maksa pod adresem Dostojewskiego, że wprowadza za wiele postaci psychicznie chorych. Zupełnie niesłuszny. To nie są psychicznie chorzy. Zaznaczanie choroby jest tylko środkiem stosowanym dla charakterystyki, środkiem bardzo subtelnym i płodnym w efekty. Wystarczy na przykład ze skrajnym uporem powtarzać komuś w kółko, że jest naiwny i idiota, a podnieci się go wprost do największych wyczynów, o ile człowiek ten ma coś z dostojewszczyzny w sobie. Metody charakterystyki używane przez Dostojewskiego mają pod tym względem podobne znaczenie jak wyzwiska między przyjaciółmi. Gdy ci mówią „jesteś głuptasem”, to nie myślą wcale, że ten ktoś jest naprawdę głuptasem, i że przyjaźń z nim przynosi im ujmę, lecz tkwi tu najczęściej — o ile to nie był żart tylko, choć nawet i wtedy — nieprzeliczony kompleks zamierzeń. Tak na przykład ojciec Karamazowych nie jest wcale głupcem, lecz bardzo mądrym człowiekiem, niemal tej miary co Iwan; złym, to prawda, ale w każdym razie znacznie mądrzejszym niż — dla przykładu — jego kuzyn czy bratanek, właściciel ziemski, którego autor nie zaczepia a który w stosunku do niego, to jest ojca, czuje taką wyższość.

23 grudnia. Przeczytałem kilka stron Londyńskiej mgły (z książki Hercena. Nie wiedziałem ani trochę, o co chodzi, a przecież uplastycznia się tam cały, nieświadomy siebie człowiek, stanowczy, skłonny do samoudręki, opanowujący się i zatracający ponownie.

26 grudnia. W Kutnej Horze z Maksem i jego żoną. Jakże liczyłem na te cztery wolne dni, ile godzin rozmyślałem o racjonalnym ich wykorzystaniu, a przecież widzę teraz, że się może przeliczyłem. Dziś wieczorem nie pisałem prawie nic; może brak mi już sił do kontynuowania *Nauczyciela wiejskiego*, nad którym ostatnio pracowałem przez tydzień i którego w ciągu trzech swobodnych nocy na pewno wykończyłbym w kształcie czystym i wolnym od zewnętrznych usterek. Teraz utwór ten, choć zaledwie rozpoczęty, ma już w sobie dwa nieuleczalne błędy, a poza tym jest zniekształcony. Nowy podział dnia od dzisiaj! Jeszcze lepiej wykorzystać czas! Czy skarżę się, aby tu znaleźć zbawienie? Nie przyjdzie z tego zeszytu; przyjdzie, gdy będę leżał w łóżku, i ułoży mnie na wznak, aż będę leżał piękny i lekki i siny, inne zbawienie nie przyjdzie.

Hotel w Kutnej Horze Morawetz, pijany posługacz, mały dziedziczyk pod dachem z górnym światłem. Ciemna sylwetka żołnierza oparta o poręcz pierwszego piętra podworcowej galerii. Okno pokoju, który mi wskazano, wychodzi na ciemny, bezokienny korytarz. Czerwona kanapa, świece. Kościół świętego Jakuba, pobożni żołnierze, na chórze głos dziewczęcy.

27 grudnia. Pewnego kupca bardzo prześladowało nieszczęście. Znosił to długo, w końcu jednak doszedł do przekonania, że dłużej już znieść nie zdoła i udał się do męża biegłego w prawie. Chciał poprosić go o radę i dowiedzieć się, co ma czynić, aby nieszczęście zażegnać lub uzdolnić się do znoszenia nieszczęścia. Ów mąż uczony w prawie miał zawsze przed sobą otwarte Pismo i badał je. Miał on zwyczaj każdego, kto przyszedł z prośbą o radę, przyjmować słowami: „Właśnie czytam o twoim przypadku” — przy czym wskazywał palcem jakieś miejsce na rozpostartej przed nim karcie. Zwyczaj ten nie spodobał się kupcowi, który również o nim słyszał; chociaż znawca prawa przypisywał sobie możliwość pomocy i zwolnienie go od cierpienia działającego skrycie, którego nikomu nie można było powierzyć ani też z jego powodu doznać współczucia, jednak niewiarygodność tego twierdzenia była zbyt wielka i ona to nawet powstrzymała kupca przed wcześniejszym pójściem do uczonego w prawie. Jeszcze w tej chwili, zachodząc doń, ociągał się i przystanął w uchylonych drzwiach.

31 grudnia. Pracowałem od sierpnia, niemało na ogół i nieźle, jednak ani pod pierwszym, ani pod drugim względem nie sięgając granic swej wydolności, jak by nakazywała konieczność, zwłaszcza z

uwagi na to, że według wszelkich przewidywań (bezsensowność, bóle głowy, osłabienie serca) wydolność moja nie utrzyma się już długo. Pisałem dalej utwory nie wykończone: *Proces*, *Wspomnienia z kolei kaudańskiej*, *Nauczyciel wiejski*, *Podprokurator*, obok mniejszych prac ledwie rozpoczętych. Z utworów już ukończonych opracowałem jedynie *Karną kolonię* oraz jeden rozdział *Ameryki*; obie te rzeczy podczas dwutygodniowego urlopu. Nie wiem sam, po co ta ewidencja, nie odpowiada mi ona wcale.

## 1915

4 stycznia. Nie uległem wielkiej chęci, by rozpocząć nowe opowiadanie. Wszystko to bezcelowe. Gdy nie mogę nocami ściagać tematów, wyłamują się one i gubią, jak właśnie teraz *Podprokurator*. A jutro idę do fabryki; gdy P. pójdzie do wojska, będę może musiał chodzić tam każdego popołudnia. A to koniec wszystkiego. Myśli o fabryce to mój nieustający Dzień Pojednania.

6 stycznia. Nauczyciela wiejskiego oraz *Podprokuratora* poniechałem na razie. Jestem jednak na domiar złego praw wie niezdolny do kontynuowania *Procesu*. Myśli o *Lwowiance*. Panna F. R., Kafka poznał ją w szkole dla żydowskich uciekinierów z Galicji, gdzie Maks Brod wykladał literaturę; Kafka często przysłuchiwał się tym lekcjom. Obietnice jakiegoś szczęścia, podobne do nadziei wiecznego żywota. Widziane na pewien dystans, opierają się unicestwieniu, podejść bliżej nie śmiemy.

17 stycznia. Wczoraj po raz pierwszy dyktowałem w fabryce listy. Bezwartościowa praca (jednogodzinna), wykonana jednak nie bez zadowolenia. Przed nią straszliwe popołudnie. Ból głowy nieustanny, taki, że dla złagodzenia go musiałem bez przerwy przyciskać dłoń do skroni (taki stan w *Cafe Arco*), i bóle serca w domu na kanapie.

Przeczytałem list Ottli do E. Istotnie pognębiłem ją, i to bezlitośnie, przez opieszałość i życiową niezdolność. F. ma rację co do tego. Szczęśliwym trafem Ottli ma tyle siły, że sama w obcym mieście potrafiłaby odpocząć szybko — po mnie. Ileż jej talentów towarzyskich marnuje się z mej winy. Pisze, że w Berlinie czuła się nieszczęśliwa. Nieprawda!

Doszedłem do wniosku, że nie wykorzystałem wcale okresu posierpniowego w dostatecznej mierze. Uporczywe próby, które przez długotrwały sen popołudniowy miały umożliwić kontynuację pracy aż do późnych godzin nocnych, były nonsensem, gdyż mogłem być przecież przekonany się już po upływie pierwszych dwu tygodni, że moje nerwy nie pozwalają mi iść spać po godzinie pierwszej, potem nie ma w ogóle mowy o zaśnięciu, następny dzień bywa nieznośny i tak oto wyniszczam się. Za długo więc wylegiwałem się po południu, natomiast w nocy pracowałem rzadko poza godzinę pierwszą, a zaczynałem zawsze pracę najwcześniej około godziny jedenastej. To był błąd. Powinienem rozpocząć pisanie o ósmej albo dziewiątej; noc — to pora bezsprzecznie najlepsza (urlop!), dla mnie jednak niedostępna.

W sobotę ujrzę F. Jeśli kocha mnie, nie zasługuję na to. Zdaje się, że dziś domyślam się, jak ciasne są moje granice we wszystkim, a zatem również i w pisaniu. Gdy się bardzo intensywnie uświadamia sobie swe granice, konieczne jest rozsadzenie ich od wewnątrz. Właśnie list Ottli uświadomił mi to. Bywałem ostatnio bardzo zadowolony z siebie i miałem w myślach wiele wybiegów samoobrony, umacniających moją pozycję względem F. Szkoda, że brakło mi czasu na zapisanie ich; dziś nie potrafiłbym już tego.

Uczułeś słusznie, że ludzie zganili twoje zachowanie się, chociaż nie uzewnętrzнили tych zastrzeżeń. Doznałeś cichego zadowolenia z samotności, nie uświadamiając sobie dlaczego; a to ktoś daleki dobrze o tobie pomyślał, dobrze o tobie mówił.

18 stycznia. We fabryce do pół do siódmej, jak zwykle harowałem bez pożytku, czytałem, dyktowałem, słuchałem, pisałem. Takie samo nonsensowne zadowolenie po tym wszystkim. Bóle głowy, zły sen. Jestem niezdolny do dłuższej skupionej pracy. Za mało też byłem na powietrzu. Mimo to zacząłem nowe opowiadanie, dawne bałem się sfuszerować. I oto stoją teraz przede mną dęba cztery, a może pięć opowiadań, niby konie przed dyrektorem cyrku Schumannem na początku występu.

19 stycznia. Póki będę musiał chodzić do fabryki, niczego nie zdołam napisać. Jest to, jak sądzę, szczególna niezdolność do pracy, jaką właśnie teraz odczuwam, podobna do tej, która trapiła mnie, gdy miałem posadę w **Generali**. Assicurazioni Generali — zakład ubezpieczeń, w którym pracował Kafka Bezpośrednia bliskość życia zarobkowego pozbawia mnie — jakkolwiek wewnątrz uczestniczę w nim tak skąpo, jak to tylko jest możliwe — wszelkiego widzenia dali, jak gdybym znalazł się w wąwozie i na domiar tego jeszcze zwiesił głowę. Na przykład w dzisiejszej gazecie widnieje wypowiedź pochodząca z rzetelnego szwedzkiego źródła, zgodnie z którą pomimo pogrózek Trójjprzymierza zachowanie neutralności będzie bezwarunkowo wskazane. Przy końcu tej wypowiedzi czytamy: trójsprzymierzeńcom przyjdzie w Sztokholmie natknąć zębami na granit. Dziś biorę to już prawie zupełnie tak, jak było pomyślane. Trzy dni temu czułbym aż do głębi, że skowycze tu jakiś upiór sztokholmski, że „pogróżki Trójjprzymierza”, „neutralność” i „rzetelne szwedzkie źródło” to tylko powietrzne utwory ugniecione w wyrazisty kształt, które można tylko dostrzec okiem, nie można jednak nigdy dotknąć ich palcem.

Umówiłem się z dwoma przyjaciółmi na niedzielną wycieczkę, całkiem jednak nieoczekiwanie przespałem porę spotkania. Moi przyjaciele, znający dotychczasową moją punktualność, zdumieni tym faktem poszli w stronę domu, w którym mieszkałem, postali tam jeszcze przez dłuższą chwilę, wyszli wreszcie po schodach na górę i zapukali do moich drzwi. Przeraziłem się niezmiernie i wyskoczyłem z łóżka, starając się przede wszystkim możliwie jak najspieszej przygotować do drogi. Gdy następnie, zupełnie już ubrany, wyszedłem przed drzwi, moi przyjaciele, nie kryjąc strachu, odskoczyli ode mnie w tył. — Co masz tam, za głową? — krzyknęli. Już od chwili przebudzenia czułem tam coś, co mi przeszkadzało przechylić głowę w tył, teraz więc jąłem ręką szukać tej przeszkody. Równocześnie z okrzykiem przyjaciół trochę już oprzytomniałych: „Ostrożnie, nie skalecz się!” — pochwyliłem tuż za głową rękojeść miecza. Przyjaciele zbliżyli się, przyjrzeni mi się badawczo. zaprowadzili mnie do pokoju przed osadzone w szafie lustro i rozebrali mnie do pasa. Wielki, stary miecz rycerski o krzyżowej gardzie tkwił w moich barkach aż po rękojeść, ale tak, że ostrze w niepojęty sposób wbiło się dokładnie między skórę a mięśnie, nie powodując wcale zranienia. Co więcej, w miejscu, gdzie miecz wbito w szyję, nie było również żadnej rany, a przyjaciele zapewniali mnie, że szczelina w skórze potrzebna na pomieszczenie ostrza otworzyła się tam na sucho, bez kropli krwi.

Gdy następnie, stanąwszy na krzesłach, przyjaciele zaczęli powoli, milimetr po milimetrze, wyciągać miecz, nie wysaczyło się ani trochę krwi, a rozcięte na karku miejsce zabiżniło się w ledwie widzialną szczelinę. — Oto twój miecz — rzekli śmiejąc się moi przyjaciele i wręczyli mi go. Zamachnąłem się nim oburącz; była to kosztowna broń, posługiwali się nią może nawet krzyżowcy. Któż to pozwolił na to, by dawni rycerze wałęsali się po snach, nieodpowiedzialni płazowali mieczami ludzi; wbijali je w niewinnych śpiochów i tylko dlatego nie zadawali ciężkich ran, ponieważ po pierwsze ich broń ześlizguje się z żywego ciała i ponieważ wierni przyjaciele stoją również za drzwiami i pukają, gotowi udzielić pomocy.

20 stycznia. Pisanie dobiegło kresu. Kiedy poderwie mnie znowu? W jakże oślupianej kondycji spotkam F.! Pojawiająca się natychmiast po rzuceniu pióra ociężałość myśli, niezdolność do przygotowania się na spotkanie, podczas gdy w ubiegłym tygodniu ledwie mogłem otrząsnąć się z ważnych myśli na jej temat. Obym zakosztował jedyne wyobrażalne w tych okolicznościach zysku: lepszego snu.

Czarne sztandary”. Jak źle również czytam. I jak jadowicie a bezsilnie obserwuję sam siebie. Nie będę mógł, jak się zdaje, wdrzeć się w świat, ale potrafię chyba leżeć spokojnie, doznawać, poszerzać w sobie doznania, a potem spokojnie pójść naprzód.

24 stycznia. Z F. w Podmokłym. Uważam za niemożliwe, abyśmy się kiedyś połączyli, brak mi jednak odwagi, by to jej wyznać, i w rozstrzygającej chwili samemu sobie. Toteż zbyłem ją raz jeszcze pociechą — idiotycznie, każdy bowiem dzień postarza mnie i czyni bardziej strupieszalym. Powtarzają się dawne bóle głowy, gdy próbuję zrozumieć to, że ona cierpi, a równocześnie jest spokojna i wesola. Nie powinniśmy wzajemnie zamęczać się ponowną, obszerną pisaniną, byłoby najwygodniej przejść nad tym spotkaniem niby nad faktem oderwanym; lub wierzę — być może — w to, że tutaj się wyzwolę, i będę żył z pisania, i wyjadę za granicę lub dokądkolwiek i będę żył potajemnie z F.? Bo i tutaj nie znaleźliśmy w sobie zupełnie żadnych zmian. Każde z nas mówi sobie po cichu, że druga część dwugłosu jest nieczuła i bezlitosna. Ja — nie przestanę ani trochę rościć sobie pretensji do życia pełnego fantazji, nastawionego wyłącznie na moją pracę — ona, głucha na wszelkie nieme próby — pragnie przeciętności, komfortowego mieszkania, zainteresowania się fabryką, obfitego

jedzenia, wysypiania się od godziny jedenastej wieczorem, opalonego pokoju i nastawia na właściwą minutę mój zegarek, spieszący od ćwierć roku o półtorej godziny. I ona ma rację i miałaby nadal rację; tak, racja jest po stronie F., kiedy poprawia mnie, gdy zwracam się do kelnera: „Przynieś pan gazetę, aż będzie przeczytana”, a ja nie mogę sprostować niczego, gdy mówi o „indywidualnym charakterze” (wymówić można to tylko skrzypliwie), co dotyczy zamierzonego urządzenia mieszkania. F. nazywa obie moje starsze siostry „deskami”, o najmłodszą z nich nie pyta wcale, nie pyta też prawie wcale ani w sposób wyczuwalny nie interesuje się moją pracą. Tak wygląda jedna strona medalu.

Ja sam niezdolny jestem i wyjąłowy jak zazwyczaj, nie powinienem mieć czasu na zastanawianie się nad czym innym prócz pytania, czemu się to dzieje, że ktoś ma ochotę pomacać mnie piątym palcem. W krótkich odstępach czasu owiałem trzykrotnie ludzi tym wystygłym oddechem. Tych ludzi z Hellerau, rodzinę R. w Podmokłym i F.

F. powiedziała: „Jak rozsądni jesteście tutaj oboje”.

Milczałem, jak gdyby mój zmysł słuchu został wyłączony w momencie tej sentencji. Przez dwie godziny byliśmy sami w pokoju. Wokoło mnie nic, tylko wir nudy i beznadziejności. Nie przeżywalimy z sobą dotychczas ani jednej dobrej chwili, w czasie której odetchnąłbym swobodnie. Słodczy płynącej ze stosunku do kochanej kobiety, jaką odczuwałem w Zuckmantel i W Rivie — słodczy tej nie znałem w odniesieniu do F. nigdy, chyba tylko w listach, ograniczając się do niezmiernego podziwu, uległości, współczucia, rozpacz i pogardzania samym sobą. Czytywałem jej też to i owo, niemile obijały się zdania jedno o drugie; żadnego kontaktu ze słuchaczką, która przymknawszy powieki i leżąc na kanapie, wchłaniała bez słowa treść. Półgłośna prośba o pozwolenie zabrania i przepisania rękopisu. Przy opowiadaniu o odźwiernym żywsza uwaga i bystrzejsza obserwacja. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę ze znaczenia tej noweli; F. również pojęła ją jak należy, co nie przeszkadza, że potem godziliśmy w nie z gruba ciosanymi uwagami, czemu ja dałem początek.

Trudności, na jakie napotykam, rozmawiając z ludźmi —na pewno dla ludzi tych niepojęte — mają źródło w tym, że moja myśl, lub trafniej treść mej świadomości, jest zupełnie mglista; że w tym wszystkim — jeśli chodzi tylko o mnie — spoczywam spokojnie i czasem zadowolony z siebie; a tymczasem rozmowa z ludźmi wymaga pointy, podtrzymania i powiązania, więc rzeczy, których mi brak. Nikt nie zechce przebywać ze mną w oparach mgły, a gdyby nawet zechciał, to nie potrafię przepędzić mgły z czoła, między dwojgiem ludzi ona zresztą rozwiewa się i nicestwieje. F. bardzo nakłada drogi, jadąc przez Podmokły, fatyguje się zdobywaniem paszportu, musi ścierpieć mnie po nie przespanej nocy i na domiar złego jeszcze wysłuchać prelekcji, a wszystko to jest nonsensem. Czy cierpi z tego powodu, tak jak ja? Na pewno nie, nawet przyjąwszy jednakową wrażliwość. Nie ma w niej przecież poczucia winy.

Moja diagnoza była trafna i przyznano jej rację: każde z nas kocha swego partnera takim, jakim on jest. Ale będąc sam taki, jaki jest, wie dobrze, że z partnerem swoim nie potrafi żyć. Duet: dr W. stara się mnie przekonać, że F. jest warta nienawiści, zaś F. stara się mnie przekonać, że W. jest wart nienawiści. Wierzę obojgu i kocham lub staram się kochać oboje.

29 stycznia. Próbowałem znowu pisać — prawie bezowocnie. W ciągu obu ostatnich dni szedłem spać wcześniej, o godzinie dziesiątej, jak się już od dawna nie zdarzało. Swobodne samopoczucie za dnia, połowiczne zadowolenie, zwiększona przydatność w biurze, możliwość rozmawiania z ludźmi. Obecnie silne bóle w kolanach.

30 stycznia. Dawna nieudolność. Po dziesięciu dniach już przerwałem pisanie, arkusze od razu do kosza. Czekam na mnie znowu wielki wysiłek. Trzeba po prostu dać nura i tonąć szybciej niż to, co przed człowiekiem tonie.

7 lutego. Kompletnie ugrzązłem. Męczarnie bez kresu.

Przy pewnym stopniu samopoznania i przy towarzyszących mu ubocznych okolicznościach, sprzyjających obserwacji, człowiek musi stale znajdować siebie ohydny. Każda skala dobra, chociażby opinii o nim były jak najróżnorodniejsze, wyda się tu za szeroka. Przekonamy się, że jesteśmy tylko szczyrą norą dla nędznych, ubocznych myśli. Nawet najbłahsze działanie nie uwolni się od tych myśli. Będą to myśli tak brudne, że w fazie samoobserwacji nikt nie zechce nawet ich przemyśleć, lecz poprzestanie na przyglądaniu im się z daleka. Nie będzie w tych myślach ubocznych chodziło tylko o jakieś sobie samolubstwo, w odniesieniu bowiem do nich samolubstwo wyda się ideałem dobra i piękna. Brud, jaki stwierdzimy, znajdzie się tam istniejąc sam dla siebie, poznamy też, że przyszliśmy na świat ociekając balastem tego brudu i że zejdziemy z niego ponownie, zmienieni przezeń nie do poznania lub też aż nadto nim naznaczeni. Ten brud okaże się najgłębszym dnem, do jakiego dotrzemy, a to najgłębsze dno będzie zawierało nie lawę, lecz brud. Będzie on dnem

najgłębszym i najszczytniejszym i nawet wątpliwości związane z samoobserwacją staną się niebawem tak słabe i tak rozkochane w sobie, jak tarzanie się świni w gnojówce.

9 lutego. Wczoraj i dziś pisałem trochę. Opowiadanie o psie. Teraz przeczytałem początek. Szpetne to i przyprawia o ból głowy. Złe pomimo wszelkiej swej prawdziwości, i pedantyczne, i mechaniczne, jak ryba ledwie dysząca na ławicy piasku. Bardzo przedwcześnie piszę Bouyard i Pecuchet. Jeżeli oba te elementy — najwyraźniejsze w *Palaczu i w Karnej kolonii* — nie zjednoczą się, wówczas koniec ze mną. Czy są jednak widoki na to zjednoczenie?

Nareszcie wynająłem pokój. W tym samym domu przy Bilekgasse.

10 lutego. Pierwszy wieczór. Sąsiad gawędzi godzinami z gospodynią. Oboje szepczą cicho, gospodyni prawie niedosłyszalnie, tym gorzej. W uruchomionym od dwu dni pisaniu przerwa, kto wie, na jak długo. Czysta rozpacz. Czy bywa tak w każdym mieszkaniu? Czy taka komiczna a bezlitośnie zabójcza niedola oczekuje mnie w każdym mieście, u każdej gospodyni? A dwa pokoje mojego gospodarza klasy w klasztorze... Ależ to nonsens z miejsca wpadać w rozpacz, lepiej poszukać środków, choćby — nie, to nie sprzeciwia się memu charakterowi, szczypta upartego żydostwa tkwi jeszcze we mnie, tylko że pomaga przeważnie w odwrotnym sensie.

14 lutego. Nieskończona siła przyciągania Rosji. Plastikniej niż Trójka Gogola unaocznia to widok wielkiej, nieprzejranej rzeki o żółtawym nurcie, toczącej we wszystkie strony fale, niezbyt wysokie. Puste, pomierzwione pastwiska na brzegach, zmięte trawy. Nie, ten obraz nie ujmuje niczego, raczej zaciera wszystko.

Saintsimonizm.

15 lutego. Zastój na całej linii. Wadliwy, nieharmonijny podział czasu. Mieszkanie psuje mi wszystko. Dzisiaj przysłuchiwałem się ponownie lekcji francuskiego, odbywanej przez pannę domu.

16 lutego. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Jak gdyby uciekło mi z rąk wszystko, co posiadałem, i jakby ledwie mi tę wystarczyć mogło w razie powrotu.

22 lutego. Nieudolność zupełna i to pod każdym względem.

25 lutego. Po wlokących się z dnia na dzień, nieprzerwanych bólach głowy czuję się nareszcie nieco swobodniej i ufniej. Gdybym był kimś obcym, kto obserwuje mnie i przebieg mojego życia, musiałbym orzec, że wszystko we mnie musi unicestwić się w bezyżyteczności, starte nieustannym powątpiewaniem, twórcze tylko w samoudręce. Wszakże jako zainteresowany — ufam.

1 marca. Z wielkim trudem po całotygodniowej mobilizacji sił i strachu wypowiedziałem mieszkanie, co niezupełnie było uzasadnione, bo spokoju jest tu pod dostatkiem, a tylko nie pracowało mi się tu dotychczas ani raz dobrze, nie wypróbowałem więc należycie ani spokoju, ani niepokoju. Wypowiedziałem lokal, powodując się raczej swym własnym niepokojem: pragnę dręczyć sam siebie, ciągle od nowa przeobrażać swój stan; przeczuwam, jak mi się wydaje, że w przemianie tkwi dla mnie ratunek; a dalej wierzę, że przez takie oto drobne zmiany, jakich inni ludzie dokonywają w półśnie, a które u mnie dokonują się przy natężeniu wszystkich władz umysłowych — potrafię przygotować się na wielką przemianę, której mi prawdopodobnie potrzeba. Otrzymam na pewno mieszkanie pod wieloma względami gorsze. A przecież mija dzisiaj pierwszy (lub drugi) dzień, w którym mógłbym wcale dobrze pracować, gdyby nie dręczyły mnie bardzo silne bóle głowy. Zapisałem szybko jedną stronę.

11 marca. Jak szybko mija czas. Przemknęło się znowu dziesięć dni — nie osiągnąłem niczego. Nie przezwyciężam oporów. Raz i drugi udaje się jakaś strona, ale nie stać mnie na wysiłek ciągły, następnego dnia potem bywam wyprany z sił.

Żydzi wschodni i zachodni, wieczorne **spotkanie**. wieczory dyskusyjne, w których brali udział żydowscy uciekinierzy ze Wschodu. Pogarda Żydów wschodnich dla Żydów tutejszych. Uzasadnienie tej pogardy. Żydzi wschodni znają motyw tej pogardy, zachodni nie. Na przykład przerażający i przerastający wszelką śmieszność pogląd, pod wpływem którego matka stara się nieść im pomoc. Widać to nawet u Maksa:

niedostateczna sprawność, niedołęstwo jego dykcji, ciągle rozpinanie i zapinanie surduta. A przecież działa tu dobra i najlepsza wola. Przeciwnieństwem jest niejaki W. w zapiętej, nędznej marynarce, w kołnierzyku, który nie mogąc już być brudniejszy, pełni rolę odświętnego, z ciągłym wrzaskiem: „tak” i „nie” — „tak” i „nie” na ustach. Diabelsko— złośliwy uśmiezek płąsa mu po wargach, marszczy się młoda twarz, ramiona wiosłują dziko i z zakłopotaniem. Ale najlepszy typek to malec, cały przesiąknięty szkolarstwem: wsunąwszy jedną dłoń w kieszeń od spodni, drugą świdrując powietrze przed słuchaczami, pyta o coś nieustannie głosem ostrym, niezdatnym do najlżejszego stopniowania i udowadnia na poczekaniu to, co udowodnić należy. Głos kanarka. Filigranem mowy wypełnia aż do męczarni rozpalone, labiryntowe kanaliki uszu. Rzuca głową. A ja jak kawał drewna, jak wieszak na ubranie wsunięty w środek sali. A jednak jest we mnie nadzieja.

13 marca. Wieczór, jakich wiele: o godzinie szóstej położyłem się na kanapie. Spałem prawie do ósmej. Nie mogłem zdobyć się na to, by wstać, czekałem, aż wybije zegar i w drzemce przegapiłem wszystko. Wstałem o godzinie dziesiątej. Nie poszedłem już do domu na kolację ani do Maksa, gdzie było dzisiaj wieczorne zebranie. Powody: brak apetytu, obawa przed powrotem o późnej porze, przede wszystkim jednak myśl, że wczoraj nie napisałem w ogóle nic, że coraz bardziej oddalam się od pióra, i że grozi mi utrata wszystkiego, co w ostatnim półroczu z trudem uzyskałem. Że jest tak, udowodniłem pisząc półtorej mizernej strony nowego, lecz już definitywnie zarzuconego opowiadania; a następnie w rozpacz, której winę ponosi po części stan mego pozbawionego uciech żołądka, czytałem Hercena, aby w jakiś sposób pozyskać jego dalsze przewodnictwo. Szczęście, jakiego zaznał w pierwszym roku swego małżeństwa, przerażenie na myśl o sobie samym, przeniesionym W podobne szczęście, wielkoświatowe życie w jego sferach, Bieliński, Bakunin całymi dniami w futrze, na łóżku.

Niekiedy uczucie prawie rozdzierającego nieszczęścia i równocześnie przekonanie o jego konieczności oraz konieczności celu nakreślonego przez każde nadciągające nieszczęście (obecnie pod wpływem wspomnienia o Hercenie, zdarza się to jednak również i poza tym).

14 marca. Przedpołudnie, jakich wiele: do pół do dwunastej w łóżku. Kadryl myśli formujący się powoli i utrwalający niewiarygodnie. Po południu czytanie (Gogola traktat o liryce), wieczorem przechadzka, trochę w towarzystwie odpornych na krytykę, lecz niegodnych zaufania przedpołudniowych myśli. Zatrzymałem się w ogrodach Choteków. Najpiękniejsze miejsce w Pradze. Ptaki śpiewały, zamek z galerią, sędziwe drzewa okryte zesłorocznym listowiem, półmrok. Potem nadeszła Ottla z D.

17 marca. Ściga mnie zgiełk. Ładny pokój, o wiele przytulniejszy niż przy Bilekgasse. Tak bardzo bywam zależny od widoku; jest on tu piękny, kościół Tynski. Ale wielki hałas wozów na dole, do którego się jednak już przyzwyczajam. Niemożliwe jednak, bym przyzwyczaiał się do popołudniowego hałasu. Co pewien czas łoskot w kuchni albo na korytarzu. Wczoraj nade mną, na podłodze, nie milknący hałas od toczącej się kuli, jakby przy grze w kręgle —po co, tego nikt nie zrozumie; potem na dole jeszcze i fortepian. Wczoraj wieczorem względna cisza, pracowałem z pewną nadzieją (Podprokurator); dzisiaj zacząłem z ochotą, nagle obok mnie lub pode mną rozmowa jakiegoś towarzystwa, tak donośna i zmienna, jak gdyby opływała mnie w krąg. Trochę szamotaniny ze zgiełkiem, następnie z dosłownie postrzępionymi nerwami leżałem na kanapie, po godzinie dziesiątej cisza, ale pracować już nie mogę.

23 marca. Jestem niezdolny do napisania nawet linijki. Błogie uczucie, z jakim przesiadywałem wczoraj w ogrodach Choteków, dziś na placu Karola z książką Strindberga *Na pełnym morzu* w ręku. Błogie uczucie dzisiaj w pokoju. Pusty jak muszla na brzegu morskim, gotowa, by ją zmiążdżyć stopą.

25 marca. Wczoraj odczyt Maksa *Religia i naród*. Cytaty z *Talmudu*, Żydzi ze Wschodu. *Lwowianka*. Żyd zachodni, który upodobił się do chasydów, z tamponikiem waty w uchu. Socjalista Steidler o długich, lśniących, równo przyciętych włosach. U Żydówek wschodnich maniera zachwycać się w sposób stroniczy. Grupa wschodnich Żydów przy piecu. G. w chałacie; oczywistość żydowskiego stylu życia. Moje zakłopotanie.

9 kwietnia. Udręki mieszkaniowe. Bezgraniczne. Przez kilka wieczorów pracowało mi się dobrze. Powinien bym móc pracować po nocach! Dzisiaj we śnie, w pracy, we wszystkim przeszkadzał mi zgiełk.

14 kwietnia. Lekcja Homera u dziewcząt z Galicji. Ta w zielonej bluzce, ostre, surowe rysy; kiedy się zgłasza, podnosi rękę zgiętą pod kątem prostym; szybkie ruchy przy wdzwianiu płaszcza; gdy zgłosi się, a nie zostanie wezwana, wstydzi się i odwraca twarz profilem. Tęga, młoda dziewczyna w zielonej sukni przy maszynie do szycia.

27 kwietnia. W Nagy Mihaly razem z **siostrą**. Kafka towarzyszył swojej najstarszej siostrze w podróży do męża, który jako oficer rezerwy przebywał wówczas nie—daleko frontu. Niezdolny do współżycia, do rozmowy. Zupełne ugrzęźnięcie w sobie samym, myśli o sobie. Tępy, bezmyślny, bojaźliwy. Nie mam nic do oznajmienia, nigdy, nikomu. Podróż do Wiednia. Wszechwiedzący, wszystko osądzający, doświadczony w podróżach wiedeńczyk, wysoki i złotobrody, założył nogę na nogę, czyta **Az Est**; Czas. usłużny i — jak zauważamy to oboje z Elli (pod tym względem jednakowo na czatach) — jednak mimo to powściągliwy. Mówię doń: „Jakie pan ma doświadczenie podróżnicze!” (zna wszystkie połączenia kolejowe, jakich potrzebuję; co prawda, jak to później wychodzi na jaw, te dane nie są zupełnie bezbłędne — pamięta wszystkie linie tramwajowe w Wiedniu, udziela mi rad, jak telefonować w Budapeszcie, zna urzędzenia do nadawania przesyłek, wie, że płaci się w taksówce mniej, jeśli się багаż umieści obok siebie, wewnątrz wozu) — nie odpowiada na to ani słowem, siedzi nieruchomo, zwróciwszy głowę. Dziewczyna z Żiżkowa, sentymentalna, rozmowna, ale rzadko tylko umiejąca wcisnąć słowo; anemiczne, niedorozwinięte i niezdolne do dalszego rozwoju ciała. Sędziwa dama z Drezna, o rysach Bismarcka, daje się później poznać jako wiedenka. Otyła wiedenka, żona jednego z redaktorów czasopisma Die Zeit; sporo wiedzy dziennikarskiej, styl przejrzysty, ku memu najwyższemu obrzydzeniu reprezentuje przeważnie moje własne przekonania. Trwam w prawie ciągłym oniemienu, nie wiem, co mówić, wojna nie wyzwala ze mnie w tym kręgu osób nawet najbliższej, godnej zakomunikowania opinii.

Wiedeń — Budapeszt. Dwoje Polaków, podporucznik i jego towarzyszka, wysiadą wkrótce, szepczą z sobą przy oknie; ona blada, nie pierwszej młodości, o prawie zapadniętych policzkach, przykłada często rękę do obciśniętych suknią bioder, pali sporo. Dwu węgierskich Żydów; jeden z nich, siedzący przy oknie i podobny do Bergmanna, podpira ramieniem głowę drugiego, który śpi. Przez cały ranek, począwszy od godziny niemal piątej, rozmowy o interesach, rachunki i listy krążą z rąk do rąk, z podręcznej walizki dobywa ktoś próbki najprzeróżniejszych towarów. Naprzeciw mnie węgierski podporucznik, we śnie beztreściwa, brzydka twarz, usta otwarte, komiczny nos; wcześniej rano, gdy udziela informacji o Budapeszcie, jest rozgorączkowany, oczy mu lśnią, ożywia się głos, w którym dochodzi do wyrazu cała osobowość. Obok w przedziale powracający do domu Żydzi z Bystrzycy. Kilka kobiet pod przewodnictwem jednego mężczyzny. Dowiadują się, że właśnie zamknięto Korós Mesó dla ruchu cywilnego. Będą musieli wlec się wozem przez dwadzieścia godzin lub jeszcze dłużej. Opowiadają o kimś, kto tak długo zasiedział się w Radowce, że po zbliżeniu się Rosjan nie pozostała mu żadna inna możliwość ucieczki, jak tylko usadzić się na ostatniej, przejeżdżającej obok austriackiej armacie. Budapeszt. Najprzeróżniejsze informacje o połączeniach z Nagy Mihaly; te najniegodniejsze, które nie wzbudzają mego zaufania, okazują się w dalszym biegu wypadków właściwe. Na dworcu huzar w szamerowanej futrzanej kurcie stąpa tanecznie, stawiając nogi niby koń wystawiony na pokaz. Żegna odjeżdżającą damę. Bawi ją rozmową lekką i nie przerwana, jeżeli nie słowami, to przynajmniej gestami tanecznymi oraz bawieniem się ręką szablą. Raz czy też dwa razy, przezornie obawiając się, że pociąg mógłby już odjechać, winduje w górę po schodach wagonu swą towarzyszkę, wsadziwszy dłoń prawie pod jej pachę. Wzrostu jest średniego, ma duże, zdrowe zęby, a krój futrzanej kurtki uwydatniający taflę, nadaje jego sylwetce coś kobiecego. Uśmiecha się wiele razy na wszystkie strony, są to uśmiechy po prostu bezwiedne i bezmyślne, stanowiące jedynie dowód oczywistej, niemal wymaganej przez honor oficerski, pełnej, wiecznotrwałej harmonii duchowej.

Sędziwa para małżeńska, ze łzami w oczach żegnająca się z sobą. Powtarzane bezsensownie niezliczone pocałunki, tak jak w rozpaczy raz po raz chwyta się bezwiednie papierosa. Poufałe maniery bez względu na otoczenie. Rysów jej twarzy nie można w ogóle dostrzec, taka sobie niepozorna staruszka; gdy ktoś przyjrzy się jej fizjonomii dokładniej lub gdy spróbuje dokładniej się jej przypatrzeć, wówczas rozwiewa się po prostu i pozostaje po niej tylko blade wspomnienie jakiejś drobnej i niepozornej brzydoty, może czerwony nos, może parę blizn po ospie. On ma siwe wąsy, wielki nos i prawdziwe ślady po ospie. Płaszcz cyklisty, laska. Panuje nad sobą dzielnie pomimo silnego wzruszenia. W żalonym bólu muska palcami podbródek staruszki. Jakież to czarnoksiężstwo tkwi w chwyceniu starej kobiety pod brodę! Na koniec każde z nich płacząc patrzy drugiemu w twarz. Nie myślę tak, ale można by interpretować to następująco: nawet takie małe, nędzne szczęście jak związek nasz, dwojga starych ludzi, burzy wojna.

Olbrzymiego wzrostu oficer niemiecki, obwieszony rozmaitymi drobiazgami uzbrojenia, maszeruje najpierw przez peron, potem przez pociąg. Od dziarskości i roślości zeszytwniał; fakt, że się porusza,

jest niemal zdumiewający; widz odrywa oczy od krzepkiej talii, od szerokich barów, od smukłej budowy całego posagu, aby wszystko to wchłonąć jednym spojrzeniem.

W przedziale dwie węgierskie Żydówki, matka i córka. Obie podobne do siebie, a przecież matka w wersji przystojniejszej, córka — mizerny lecz zarozumiały wyskrobek. Matka — szeroka, dobrze wyrzeźbiona twarz: pełny zarost na podbródku. Córka — drobna, spiczasta twarzyczka, nieczysta cera, niebieska suknia, nad żalonym biustem biała wsadzka od bluzki.

Siostra Czerwonego Krzyża. Bardzo pewna siebie i zdecydowana. Podróżuje, jak gdyby była całą rodziną, i to samowystarczalną. Niby ojciec rodu pali papierosy i przechadza się po korytarzu z kąta w kąt, niby synek daje susa na ławkę, aby ze swego plecaka coś wydobyć, niby matka rozkrawa przezornie mięso, chleb czy pomarańczę; niby zalotne dziewczę, jakim jest istocie, demonstruje na przeciwległej ławce swoje piękne, małe nóżki, swoje żółte buciki i pończochy beige na jędrnych łydkach. Nie miałyby nic przeciwko temu, aby ktoś ją zagadnął, zaczyna nawet pytać sama, mianowicie o góry widniejące w oddali, i wręcza mi swój przewodnik, ażebym tych gór poszukał na mapie. Obojętnie leżę w swoim kącie, piętrzy się we mnie niechęć do wypytywania jej tak, jak sama oczekuje tego, chociaż bardzo mi się podoba. Wyrazista, opalona twarz, gruba dolna warga, wiek nieokreślony, kostium podróży wdziany na suknię pielęgniarki, miękki toczek, wciśnięty od niechcenia na mocno zaondulowane włosy. Ponieważ nikt jej o nic nie pyta, zaczyna sama urywkami opowiadać coś przed siebie. Moja siostra, na której osoba ta, jak dowiedziałem się później, nie wywarła wcale miłego wrażenia, dopomaga jej trochę. Jedzie do Satoralja Ujhel, gdzie dowie się o dalszych swych losach; najchętniej przebywa tam, gdzie jest najwięcej do roboty, bo tam najprędzej mija czas (moja siostra wnioskuje stąd, że osoba ta jest nieszczęśliwa, co jednak ja uważam za niesłuszne). Przeżywa się to i owo, ktoś tam, na przykład, chrapnął nieznośnie we śnie, budzi się go i prosi, aby uważał na innych pacjentów; obiecuje, ale zaledwie oparł się o poduszki, słychać ponownie przeraźliwe chrapanie. Bywało to wysoce komiczne. Inni pacjenci rzucali weń pantoflami, leżał w kącie pokoju, przedstawiał zatem cel, do którego trudno było nie trafić. Z chorymi trzeba być surowym, inaczej nie osiągnie się właściwego celu; tak znaczy tak, nie znaczy nie, byle tylko nie dopuścić do pertraktacji z sobą. W tej chwili zdobywam się na głupią, lecz bardzo dla mnie charakterystyczną, służalczą, podstępą, uboczną, nieosobową, nielitościwą, nieprawdziwą, zaczerpniętą z przeszłości, z jakiejś tam najdawniejszej dyspozycji chorobowej uwagę, na której poza tym wszystkim wycisnęła swe piętno widziana wczoraj wieczór sztuka Strindberga; że mianowicie kobietom musi to dogadzać, gdy mogą tak właśnie obchodzić się z mężczyznami. Moja rozmówczyni nie dosłyszała tej sentencji albo też przeszła nad nią do porządku dziennego. Moja siostra oczywiście zrozumiała ją w lot, całkiem tak, jak była pomyślana, i przyswoiła ją sobie rozumiejącym uśmiechem. Inne opowiadanie o kimś chorym na tężec, kto ani rusz nie chciał umrzeć.

Węgier, naczelnik stacji, który wsiada później z małym synkiem. Pielęgniarka wręcza chłopczykowi pomarańczę. Chłopak przyjmuje ją. Potem podaje mu kawałek marcepana, dotyka nim jego warg, ale on leni się wziąć. Mówię: nie może w to uwierzyć. Siostra powtarza słowo za słowem. Bardzo miło.

Za oknem Cisa i Bodrog ze swymi olbrzymimi wylewami wiosennymi. Pejzaże jeziorne. Dzikie kaczki. Wzgórza z winoroślą tokajską. Pod Budapesztem, pośród zaoranych pól nagle półkolisty fort. Zasięki z drutu, umocnione starannie schrony z ławami jak na pokaz. Tajemnicze dla mnie wyrażenie: „zamaskowany w terenie”. Rozpoznanie terenu wymaga instynktu czworonoga.

Brudny hotel w Ujhel. W pokoju wszystko wyświechtane. Na szafce nocnej jeszcze popiół z cygar po ostatnich nocujących. Łóżka tylko „pozornie” powleczone czysto. W dowództwie grupy, potem w komendzie etapowej próba uzyskania pozwolenia na przejazd pociągiem wojskowym. Obie instytucje w ładnych, wygodnych pokojach; zwłaszcza ostatnia. Przeciwiństwo wojskowości i świata urzędniczego. Trafna ocena pracy pisarskiej: stół, na nim kałamarz i pióro. Drzwi na balkon i okno otwarte. Wygodna kanapa. W przysłoniętym kącie balkonu na podwórzu szczęk naczyń. Podają podwieczorek. Ktoś — jak okazuje się później, porucznik — unosi kotarę, chcąc zobaczyć, kto tam czeka. Słowami: „Na żołąd trzeba przecież zasłużyć” przerywa podwieczorek i podchodzi ku mnie. Nie osiągam zresztą niczego, choć musiałem wrócić jeszcze raz do domu, ażeby przynieść dla kompletu drugą swą legitymację. Wypisują mi na legitymacji tylko zezwolenie wojskowe na jazdę nazajutrz pociągiem pocztowym; przywilej zgoła zbyteczny.

Okolica przydworcowa o charakterze wiejskim, rynek zaniedbany (pomnik Kossutha, kilka kawiarni z muzyką cygańską, cukiernia, elegancki sklep z obuwiem, wykrzykiwanie tytułu gazety Az Est, przechadzający się w kółko, z przesadną w ruchach dumą, jednoręki żołnierz; prymitywny afisz kolorowy, unaoczniający jakieś zwycięstwo niemieckie, oblegany i poddawany dokładnemu roztrząsaniu za każdym razem, gdy w ciągu dwudziestu czterech godzin przechodzę obok; spotkanie P., nieco schludniejsze przedmieście. Wieczór w kawiarni, sami cywile, mieszkańcy Ujhel, prości, a przecież jacyś obcy, trochę nawet podejrzani ludzie; podejrzani nie dlatego, bo jest wojna, lecz



dlatego, bo są niezrozumiali. Jakiś kapelan wojskowy samotnie czyta gazety. Przed południem młody, piękny żołnierz niemiecki w gospodzie. Zamawia wiele dań, pali grube cygaro, później pisze. Ostre i surowe, chociaż młodzieńcze oczy, pogodna, gładko wygolona twarz o regularnych rysach. Skończywszy pisanie wkłada tornister. Kiedyś potem ujrzałem go raz jeszcze, gdy komuś salutował, ale nie wiem już, gdzie.

3 maja. Zupełna obojętność i otępienie. Wyschnięta studnia, woda w niedosiężnej głębi, a i tam niepewna. Nic, ciągle nic. Nie rozumiem takiego życia, jakie ukazuje Strindberg w *Skłóconych*; co on nazywa pięknym, to —jeśli chodzi o mnie — budzi wstręt. List do F., fałszywy, nie nadający się do wysłania. Jaka podtrzymuje mnie przeszłość albo przyszłość? Teraźniejszość jest upiorna, nie siedzę przy stole, lecz dotykam go w locie. Nic, nic. Pustka, nuda; nie, to nie nuda, tylko pustka, bezmyślność, niemoc. Byłem wczoraj w Dobrzychowicach.

4 maja. Czuję się lepiej, bo czytałem Strindberga (*Skłóconych*). Nie czytam tego po to, aby czytać, lecz aby leżeć na jego piersi. Trzyma mnie na lewym swym ramieniu jak dziecko. Siedzę tam jak człowiek na posagu. Dziesięć razy przebywam niebezpieczeństwo ześlizgnięcia się, ale przy jedenastej pokusie siedzę jeszcze mocno, czuję się bezpiecznie i mam rozległy widok dokoła.

Rozważam stosunek innych ludzi do mnie. Choćbym był nie wiem jak mały, nie ma tutaj nikogo, kto by mnie w pełni rozumiał. Mieć kogoś, kto by miał to zrozumienie —choćby kobietę — znaczyłoby tyle, co mieć w każdym kierunku punkt oparcia, mieć Boga. Ottlą rozumie niejedno, nawet wiele, Maks i Feliks niejedno, niektórzy, jak E., rozumieją tylko jakiś szczegół, z ohydą za to wyrazistością; F. może nie rozumie w ogóle nic, co z drugiej strony stwarza jej pozycję wyjątkową tu, gdzie zachodzą niewątpliwe powiązania wewnętrzne. Wydawało mi się niekiedy, że ona rozumie mnie, nie uświadamiając sobie tego, na przykład wtedy, gdy na stacji oczekiwała mnie tęskniącego wówczas nieznośnie za nią, a ja pragnąc namiętnie dotrzeć do niej jak najszybciej i myśląc, że ona jest na górze, miałem już przebiec obok niej, gdy bez słowa chwyciła mnie za rękę.

5 maja. Nic: otępienie i lekki ból głowy. Po południu ogrody Choteków, czytanie Strindberga, którym się żywię.

Długonogie, czarnookie dziewczątka o żółtawej cerze i dzieciennym wyglądzie, wesoło-zuchwałe i pełne życia. Widzi małą przyjaciółkę niosącą kapelusz w ręce. Czy masz dwie głowy? Przyjaciółka rozumiała w lot żart właściwie bardzo bezmyślny, ale ożywiony dzięki głosikowi i mimice całej drobnej osóbkę. Śmiejąc się powtarza ten żart drugiej przyjaciółce, spotkanej o kilka kroków dalej: „Zapytała mnie, czy mam dwie głowy”.

Spotkałem rano pannę R., [przygodna znajoma Kafki z podróży do Zurychu](#). szczerze mówiąc otchłań szpetoty; mężczyzna nie potrafi nigdy tak się zmienić. Nieforemne ciało, jakby jeszcze rozluźnione snem; stary, znany mi żakiecik; to, co panna R. nosi pod żakiecikiem jest równie niewidzialne jak podejrzane; może kosztuje tylko. Pannie R. jest widocznie również nieswojo w związku z tym, że w takim spotkałem ją stanie, popelnia jednak fałszywy gest: zamiast zasłonić źródło zakłopotania wsuwa dłoń jakby świadomą winy w dekolt, obciąga żakiecik, jak należy. Silny meszek na górnej wardze, ale tylko po jednej stronie; efekt wyszukanie obrzydliwy. Mimo to wszystko panna R. podoba mi się bardzo, również jako okaz bezsprzecznej brzydoty; nie zmieniło się zresztą piękno jej uśmiechu, piękność oczu ucierpiała przez przygaśnięcie całości. Poza tym dzieli nas lądy i morza, ja nie rozumiem jej z pewnością ani trochę, ona zaś zadowala się pierwszym, naj płytszym, powierzchownym wrażeniem, jakie na nią wywieram. Jak naj niewinniej prosi mnie o kartkę na chleb.

Wieczorem przeczytałem rozdział książki *Nowi chrześcijanie*. [Neue Christen](#), niedokończona powieść Maksa Broda.

Stary ojciec i starzejąca się córka. On: rozważny, szpicbródka, lekki garb, laseczka na plecach. Ona: nos szeroki, wydatna dolna szczeka, okrągła, lecz pokryta pryszczami twarz, talia ciężko obracająca się na rozłożystych biodrach. „Mówią, że źle wyglądam. Przecież nie wyglądam źle.”

14 maja. Wypadłem całkowicie z rytmu pisania. Wiele czasu spędzam na wolnym powietrzu. Przechadzka z panną St. do Troi, z panną R., jej siostrą, Feliksem, jego żoną i Ottlą do Dobrzychowic i Czastalic. Jak na mękach. Dziś nabożeństwo na Tynskiej ulicy, potem na ulicy Sukienniczej, potem kuchnia ludowa. Czytałem dzisiaj stare rozdziały noweli *Palacz*. Zdaje się, potęga dziś dla mnie niedostępna (już niedostępna). Lęk, że z powodu wady serca okażą się niezdatny.

27 maja. Bardzo nieszczęśliwy w związku z ostatnią notatką. Idę na dno. Tak bezsensownie i niepotrzebnie pójść na dno.

13 września. Wieczór przed dniem urodzin ojca, nowy zeszyt Dzienników. Nie jest to tak potrzebne, jak zazwyczaj nie potrzebuję stwarzać w sobie niepokoju, jestem już dostatecznie niespokojny, ale po co, kiedyż to się stanie, jak zdoła serce, nie całkiem zdrowe serce, znieść tak wiele niezadowolenia i tyle szamocącej się nieustannie żądz.

Roztargnienie, osłabienie pamięci, głupota!

14 września. Z Maksem i **Langerem** w sobotę u rabina cudotwórcy. **Georg Mordeschai Langer z Pragi, znawca Kabały i pisarz.** *Žižków Harantova ulice*. Dużo dzieci na chodniku i na schodach. Gospoda. Na górze zupełnie ciemno, parę kroków po omacku z rękami wyciągniętymi w przód. Pokój pełen bladego zmierzchu, białoszare ściany, kilka drobnych kobiet i dziewcząt, białe chusty na głowach, blade twarze stoją wokół niemal bez ruchu. Wrażenie bezkrwistości. Pokój sąsiedni. Wszędzie czern, pełno mężczyzn dorosłych i chłopców. Głośne modły. Wciskamy się w kąt. Ledwie spojrzymy tu i tam, cichnie modlitwa, pokój pustoszeje. Narożny pokój o dwu ścianach z oknami, w każdej po dwa. Tłum pcha nas w stronę stołu, na prawo od rabiego. Stawiamy opór. „Przecież jesteście także Żydzi!!” — Najpotężniejsza w ojcostwie istota — to rabbi. „Wszyscy rabini wyglądają dziko” — rzekł Langer. Nasz rabbi był w jedwabnym chałacie, spod którego widniały kalessony. Włosy na grzbiecie nosa. Obramowana futrem czapka, którą ustawicznie przesuwam. Rabbi jest brudny i czysty; właściwość ludzi intensywnie myślących. Drapie się w kępkę brody, siąka nos przez palce na podłogę, wtyka palce w potrawy — ale gdy położy na chwilę rękę na stole, widać białość skóry, jaką widziało się chyba tylko w dziecięcych wizjach. Zresztą wtedy i rodzice byli czyści.

16 września. Widok polskich Żydów zdążających na Kol Nidre. Mały chłopak z płaszczami modlitewnymi pod lewym i prawym ramieniem, biegnący obok ojca. Nie pójść do templu, to samobójstwo.

Otworzę Biblię. O niesprawiedliwych sędziach. Odnajduję tu więc własne przeświadczenie lub przynajmniej to przeświadczenie, które zawsze w sobie samym stwierdzałem. Nie ma to zresztą znaczenia; w podobnych sprawach nie kieruje mną nigdy widzialna moc; karty Biblii nie trzepocą przede mną.

Punkt najskuteczniejszego wbicia ostrza mieści się, jak sądzę, między szyją a brodą. Proszę podnieść brodę i wbić nóż w napięte ścięgna. Punkt ten jest jednak skuteczny tylko w sferze wyobraźni. Zdaje się nam, że zobaczymy w tym miejscu wspaniałą wylew krwi, rozszarpując splot żył i chrząstek podobny do tego, jaki spotykamy w pieczonym udzie indyka.

Przeczytałem *Forster Fleck w Rosji*. Powrót Napoleona na pole bitwy pod Borodino. Tamtejszy klasztor. Wysadzają go w powietrze.

28 września. Zupełne nieróbstwo. Pamiętniki generała Marcellina de Marbot i Holzhausena *Cierpienia Niemców* 1812. **Holzhausen Paul (ur. 1860), nauczyciel gimn. w Bonn, historyk.**

Bezsensowność skarg. Jako odpowiedź na nie — strzykanie w głowie.

Mały chłopiec leżał w wannie. Była to pierwsza kąpiel bez pomocy matki i służącej, co odpowiadało dawnemu jego pragnieniu. Zgodnie z rozkazem matki, nawołującej go co parę chwil z sąsiedniego pokoju, natarł się byle jak gąbką, potem rozciągnął się prosto, chłonąc rozkosz nieruchomego leżenia w gorącej wodzie. Płomień gazowy szumiał nieustannie, a w piecu trzaskał przyciągający ogień. W sąsiednim pokoju było już od dawna cicho, może matka odeszła.

Dlaczego dopytywanie się jest bezsensowne? Skarżyć się, to znaczy stawiać pytania i wyczekiwać odpowiedzi. Na pytania jednak, które już w chwili swych narodzin nie są same sobie odpowiedzią, nie zjawia się nigdy odpowiedź. Brak dystansu między pytającym a tym, który odpowiada. Brak odległości, jaką trzeba by pokonać. Stąd też bezsensowność pytania i czekania.

29 września. Rozmaite mgliste postanowienia. Udaje mi się to. Przypadkowo ujrzałem na ulicy Ferdynanda pewną scenę niezupełnie pozbawioną związku z tą właśnie sprawą. Kiepski szkło fresku. Pod nim mniej więcej taka czeska sentencja: zaślepiony, porzucasz kielich dla dziewczyny, wkrótce

dostaniesz nauzkę i powrócisz.

Zły, nędzny sen, wczesnym rankiem dręczące bóle głowy, ale dzień swobodniejszy.

Mnóstwo widziadeł sennych. Pomieszanie dyrektora Marschnera ze służącym Pimiskierem. Czerwone, nabite policzki, wypomadowana na czarno broda, takie same twarde, rozwichrzona dziko włosy.

Myślałem dawniej: nic o śmierć nie przyprawi ciebie, tej twardej, trzeźwej, prawie pustej głowy, nigdy bezwiednie czy boleśnie nie zamkniesz oczu, nie zmarszczysz czoła, nie zatrzepoczesz dłońmi, zawsze zdołasz to sobie tylko wyobrazić.

Jak mógł Fortynbras powiedzieć, że Hamlet zachował się w najwyższym stopniu po królewsku.

Nie mogłem po południu powstrzymać się od przeczytania tego, co wczoraj napisałem, „brudów wczorajszego dnia”, bez szkody zresztą.

30 września. Dokazałem tego, że Feliks nie przeszkadzał Maksowi. Potem u Feliksa.

Rossmann i K., <sup>Rossmann występuje w Ameryce, K. w Procesie.</sup> niewinny i winowajca, obaj w końcu bez różnicy za karę straceni, niewinny lżejszym sposobem, raczej usunięty niż uśmiercony.

1 października. III tom Pamiętników generała Marcellina de Marbot. Połock — Berezyna — Lipsk — Waterloo.

6 października. Różne formy nerwowości. Sądzę, że hałas nie mógłby mi już przeszkadzać. Zresztą nie pracuję teraz. Zresztą im większy się sobie wykopie dół, tym staje się ciszej: im mniej lęku uczuje się, tym staje się ciszej.

Z opowiadań Langerera:

Cadykowi trzeba być bardziej posłusznym niż Bogu. **Baalschem** <sup>Baalschem (Izrael ben Eliezer), o Baalschemie pisał również Martin Buber.</sup> powiedział raz pewnego jednemu z najulubieńszych swoich uczniów, że uczeń ten powinien się ochrzcić. Ochrzcił się, pozyskał szacunek, został biskupem. Wówczas Baalschem przyzwał go do siebie i pozwolił mu powrócić do żydostwa. Usłuchał znów i odprawił wielką pokutę za swój grzech. Baalschem uzasadnił swój rozkaz tym, że ów uczeń dla swych wybornych zalet doznawał gwałtownych prześladowań ze strony złego ducha i że chrzest miał za cel odepchnięcie czarta. Baalschem rzucił sam swego ucznia w centrum zła, uczeń zdobył się na ten krok nie ze złej woli, lecz z rozkazu i dla szatana nie pozostało tutaj, zdaje się, już nic więcej do roboty.

Raz na sto lat pojawia się cadyk najwyższy, cadyk hador. Nie trzeba bynajmniej, aby był szeroko znany, aby był rabinem-cudotwórcą; jest najwyższy i bez tego. Baalschem nie był swego czasu cadykiem hadorem; był nim, o dziwo, pewien mało znany kupiec w Drohobyczu. Ów zasłyszał, że Baalschem na wzór innych cadyków wypisuje amulety i powziął podejrzenie, iż jest on zwolennikiem Sabbataj Cwi'ego, i że jego imię wypisuje na amuletach. Dlatego odjął mu, nie znając go osobiście, na odległość władzę dawania owych amuletów — Baalschem poznał wkrótce niemoc swoich amuletów, choć nie pisał na nich nigdy nic innego, jak tylko własne swe nazwisko — i dowiedział się też niebawem, że sprawcą tego jest drohobyczanin. Kiedy raz pewnego drohobyczanin odwiedził miasto Baalschema — a stało się to w poniedziałek — spuścił nań Baalschem bez jego wiedzy całodzienny sen; drohobyczanin więc pozostawał zawsze spóźniony o jeden dzień w rachubie czasu. W piątek wieczorem — myśląc, że to czwartek — chciał wyjechać do domu, by w domu spędzić święta.

Aż tu widzi, że ludzie ciągną do tempła i uświadamia sobie omyłkę. Postanawia pozostać na miejscu i każe się zawieźć do Baalschema. Ten zaś polecił żonie swej już po południu przygotować wieczerzę na trzydzieści osób. Przybywszy zasiadł drohobyczanin zaraz po modlitwach do stołu i pochłonął w mig jedzenie dla trzydziestu osób. Nie nasyciwszy się jednak, domagał się dalszych dań. Baalschem na to: „Oczekiwałem anioła pierwszej rangi, ale na anioła drugiej rangi nie byłem przygotowany”. Rozkazał też przynieść wszystką żywność, jaka była w domu, ale i to nie wystarczyło.

Baalschem nie był cadykiem hadorem, lecz kimś wyższym jeszcze. Dowodem tego jest sam cadyk hador. Oto przybył on pewnego wieczora do osiedla, w którym jako dziewczyna mieszkała

przyszła żona Baalschema. Zagościł w domu rodziców dziewczyny. Zanim wyszedł spać na poddasze, zażądał światła, ale światła nie było w domu. Bez światła poszedł więc na stryszek, a gdy potem dziewczyna spojrzała z podwórca w górę ku stryszkowi, było na stryszku jasno niczym przy iluminacji. Dziewczyna domyśliła się stąd, że był to gość nadzwyczajny i zaczęła go prosić, aby pojął ją za żonę. Prosić było jej wolno, bo wyższe jej przeznaczenie objawiło się w tym, że poznała, kim był gość. Ale cadyk hador rzekł: „Jesteś przeznaczona dla kogoś jeszcze wyższego”. Dowodzi to, że Baalschem był wyższy niż cadyk hador.

7 października. Wczoraj długa rozmowa z panną R. w hotelowym westybulu. Źle spałem, ból głowy.

Kulejąc przestraszyłem **Gerti**. siostrzenica Kafki, wówczas mała dziewczynka. Okropny widok końskiej nogi.

Wczoraj na ulicy Mikołaja koń, który upadł, krwawiące kolano. Patrząc w bok i nieopanowany robię grymasy w biały dzień.

Problem nie do rozwiązania: czy załamałem się? Czy to mój upadek? Prawie wszystkie oznaki przemawiają za tym (ozieźbość, otępienie, stan moich nerwów, roztargnienie, niewydolność w biurze, bóle głowy, bezsenność), prawie sama tylko nadzieja przemawia przeciw temu.

3 listopada. wiele widziałem ostatnio, mniej bolała mnie głowa. Przechadzki z panną R. W jej towarzystwie na sztuce *On i jego siostra*, występ **Girardiego**. (A czy ma pan talent? – Pozwoli pan, że włączę się w rozmowę i odpowiem za pana: o tak, tak.) W czytelni miejskiej.

U rodziców panny R. oglądam sztandar.

Dwie precudne siostry: Estera i Tilka, niby kontrast rozbłysku i przygasania. Piękna jest zwłaszcza Tilka: oliwkowa, śniada, przymrużone wypukłe powieki, głąb Azji. Obie mają szale zarzucone na ramiona. Wzrostu są średniego, raczej niskiego, wydają się jednak strzeliście wysokie niby boginie; Estera na okrągłej poduszce na kanapie a Tilka w kącie na jakimś trudnym do rozeznania siedzeniu, może na skrzyniach. Widziałem w przeciągłym półśnie Esterę, która z namietnością odczuwaną — jak mi się zdaje — dla wszystkich rzeczy ducha, wgrzyła się w węzeł jakiejś liny kołyszającej ją potężnie w pustej przestrzeni, jak serce dzwonu (przypomnienie plakatu kinowego).

Obie L. Mała nauczycielka, diabłatko; widziałem ją również w półśnie, jak unoszona tańcem, trochę kozackim, lecz lotnym wlatuje w górę i osuwa się w dół nad lekko nachylonym ciemnobrunatnym w promieniach świtu, wyboistym ceglany brukiem.

4 listopada. Wspomnienie zaułka w Brescji, gdzie na podobnym bruku, ale w biały dzień rozdawałem dzieciom sody.

Wspomnienie kościoła w Weronie, do którego wszedłem niechętnie, w zupełnym opuszczeniu — z ciężkiego jedynie przymusu: z obowiązku człowieka, który podróżuje dla przyjemności, i z ciężkiego przymusu człowieka, który ginie bezpożytecznie; zobaczyłem tam karła niezwyklej wielkości, gnącego się pod brzemieniem kropielnicy, pospacerowałem nieco, usiadłem i wyszedłem tak niechętnie, jakby za progiem był znowu taki sam kościół, Przybudowany bramą do bramy.

Niedawno odjazd Żydów z Dworca Państwowego. Dwu mężczyzn dźwigających jeden wór. Ojciec władujący swoje manele aż do najmniejszego drobiazgu na ramiona licznych swych dzieci, byle prędzej dostać się na peron. Z niemowlęciem przy piersi siedząca na kufrze tęga, zdrowa, już niekształtna młoda kobieta, dokoła niej znajomi w niespokojnej rozmowie.

5 listopada. Po Południu stan podniecenia Zacząłem się zastanawiać, czy i w jakiej wysokości powinienem nabyć pożyczkę wojenną. Poszedłem dwukrotnie do biura, aby dać odpowiednie zlecenie i dwukrotnie wróciłem do domu, nie wszedłszy do biura Obliczałem gorączkowo odsetki. Następnie poprosiłem moją matkę, by zakupiła pożyczkę na sumę tysiąca koron; podwyższyłem jednak tę kwotę do dwu tysięcy. Okazało się przy tym, że nie wiedziałem wcale o należącym do mnie udziale w wysokości około trzech tysięcy i że prawie zupełnie nie wzruszyło mnie to, gdy się o tym dowiedziałem. Po głowie chodziły mi tylko wątpliwości co do pożyczki wojennej i nie minęły w ciągu prawie półgodzinnej przechadzki przez najbardziej ożywione ulice. Czułem się bezpośrednio uczestnikiem wojny, oceniałem — w miarę zresztą swych wiadomości — w sposób ogólny perspektywy finansowe, podwyższałem i obniżałem odsetki, jakimi mógłbym kiedyś dysponować itd. Jednak podniecenie to zaczynało z wolna przeobrażać się, myśli skierowały się ku pisaniu, uczułem, że będę mógł pisać, zapragnąłem mieć możliwość pisania jako własność jedyną, zastanowiłem się,

które z nocy najbliższych mógłbym poświęcić na ten cel; czując ból serca, przebiegłem kamienny most, uświadomiłem sobie doznaną tylekroć nieszczęsną mękę pożerającego ognia, któremu nie wolno wybuchnąć; aby wypowiedzieć się i uspokoić, wymyśliłem hasło „kochanie, wystąp z brzegów”, wyśpiewywałem je bez wytchnienia według specjalnej melodii i akompaniowałem własnemu śpiewowi, zginiatając i rozluźniając nieustannie w kieszeni chustkę do nosa niby kobzę.

6 listopada. Przyglądanie się ruchliwemu mrowisku publiczności przed rowem **strzeleckim** i w rowie. Pokazowy rów strzelecki w pobliżu Pragi, który Czerwony Krzyż udostępnił praskiej publiczności.

U matki Oskara **Pollaka**. Oskar Pollak, przyjaciel Kafki z czasów młodości. Miłe wrażenie, jakie wywarła jego siostra. Czyż jest zresztą na świecie ktoś, przed kim bym się nie upokorzył? Aha, co się tyczy **Grunberga**, Abraham Grunberg z Warszawy, młody uciekinier wojenny, wysoce utalentowany, w którego towarzystwie Kafka często wówczas przebywał. który według mego mniemania jest bardzo wybitnym człowiekiem, lecz z niepojętych dla mnie powodów bywa prawie ze wszech stron nie doceniany; gdyby postawiono mnie, powiedzmy, przed taką alternatywą, iż jeden z nas obu musi bezzwłocznie zginać (co do niego jest to wysoce prawdopodobne, bo jak słyhać cierpi na daleko posuniętą chorobę), przy czym ja miałbym rozstrzygnąć, kogo ów los spotka — wówczas nawet przy najskrajniejszym teoretycznym sformułowaniu kwestii uznałbym to pytanie za konieczne, ponieważ nieporównanie wartościowszego Grunberga należałoby, oczywiście, zachować przy życiu. Sam Grunberg przyznałby mi rację. Cóż kiedy w ostatnich, wymykających się spod wszelkiej kontroli chwilach zacząłbym — każdy inny człowiek czynił to już znacznie wcześniej — zmyślać argumenty na swoją własną korzyść; argumenty, które na marginesie toczącej się sprawy barbarzyństwem swym oraz płaskością i przewrotnością pobudziłyby mnie do wymiotów. Otóż takie właśnie chwile zdarzają się i teraz, choć nikt nie narzuca mi wyboru; są to chwile, w których przy uchyleniu wszelkich odwodzących myśli wpływów zewnętrznych staram się ocenić sam siebie.

19 listopada. Bezowocnie przeżyte dni — siły stępujące się przez oczekiwanie — i pomimo doskonałego nieróbstwa uciążliwe, świdrujące ból głowy.

List od Werfla. Odpowiedź.

U pani M. T. bezbronność w obliczu wszystkiego. Złośliwa pogawędka u Maksa. Wstręt do tego nazajutrz rano.

Z panną F. R. i z Esterą.

W Staro-Nowej synagodze na odczycie o **Misznie** dzieło, które zawiera przepisy dotyczące wykładania i wykonywania prawa Mojżeszowego oraz cały materiał pisemny tradycji żydowskiej. Z drem **Jeitelesem** do domu. znawca Talmudu. Duże zainteresowanie wybranymi kwestiami polemicznymi.

Bolesna wrażliwość na zimno, na wszystko. W tej chwili, o pół do dziesiątej wieczorem, ktoś z sąsiedniego mieszkania wbija gwóźdź we wspólną ścianę.

21 listopada. Nieproduktywność zupełna. Niedziela. W nocy szczególnie złośliwa bezsenność. Do kwadrans na dwunastą w łóżku przy świetle słońca. Przechadzka. Obiad. Czytanie gazety, wertowanie dawnych katalogów. Spacer przez ulicę Hyberską, park Miejski, plac Wacława, ulicę Ferdynanda, potem w kierunku Podola. Z trudem rozciągnięty na dwie godziny. Odczuwałem niekiedy silne, wprost piekące bóle głowy. Zjadłem kolację. Teraz w domu. Któż potrafi przejrzeć to, com właśnie napisał, z otwartymi szeroko oczyma, od początku do końca?

25 grudnia. Rozpoczęcie dziennika w tym szczególnym celu, aby umożliwić sobie sen. Widzę jednak w tej chwili przypadkowy ostatni zapiszek; mógłbym wyobrazić sobie tysiące zapisków o identycznej treści na przestrzeni ostatnich trzech do czterech lat. Zużywam się bezsensownie, byłbym szczęśliwy, gdybym mógł, miał prawo pisać — nie piszę. Z bólów głowy nie otrząsnę się nigdy. Prawdziwie spustoszyłem siebie sam.

Wczoraj porozmawiałem otwarcie z moim szefem, jako że postanowieniem rozmowy i ślubem, że się nie cofnę, zapewniłem sobie przedwczorajszej nocy dwie godziny snu, co prawda niespokojnego. Szef owi memu przedłożyłem cztery możliwości: 1. Zostawić wszystko tak, jak było w ciągu ostatniego, najgorszego z wszystkich męczeńskiego tygodnia, i skończyć gorączką na tle wyczerpania nerwowego, obłędem lub czymś w tym rodzaju. 2. Wziąć urlop, nie chcę z nie określonego bliżej poczucia obowiązku; zresztą to by i tak nie pomogło. 3. Wypowiedzieć pracę; nie

mogę obecnie z uwagi na moich rodziców i na fabrykę. 4. Pozostaje tylko służba wojskowa. Odpowiedź: tydzień urlopu i kuracja Hematogenem, którą szef pragnie przeżyć wraz ze mną. On sam jest prawdopodobnie ciężko chory. Gdybym i ja odszedł, dział byłby osierocony.

Ulga, że mówiłem szczerze. Po raz pierwszy i to niemal urzędowo wstrząsnąłem atmosferę zakładu słowem „wypowiedzenie”. Mimo to dzisiaj ledwie spałem.

Zawsze ten zasadniczy lęk: gdybym tak w roku 1912 odjechał w pełni wszystkich sił i z głową jasną, nie przeżarty wysiłkiem tłumienia sił żywotnych.

Rozmowa z Langerem. Może on przeczytać książkę Maksa dopiero za trzynaście dni. W czasie Bożego Narodzenia mógłby czytać, ponieważ dawny obyczaj wzbrania czytywać w tym okresie Torę, tym razem jednak Boże Narodzenie przypada na sobotę. Ale za trzynaście dni jest to samo święto w obrządku prawosławnym, wtedy przeczyta. Literaturą piękną względnie wszelką inną wiedzą światową powinno się wedle średniowiecznej tradycji zajmować dopiero po siedemdziesiątym, według łagodniejszych poglądów dopiero po czterdziestym roku życia. Jedyną wiedzą, którą uprawiać było wolno, to medycyna. Dziś i to jest zabronione, gdyż medycyna obecna powiązana jest zbyt ściśle z innymi dyscyplinami. W klozecie, na sedesie nie wolno myśleć o Torze, a więc wolno czytać tam światowe książki. Pewien niezmiernie nabożny mieszkaniec Pragi, niejaki K., posiadał wielką wiedzę o świecie, zaś wszystko to studiował na sedesie.

## 1916

19 kwietnia. Chciał otworzyć drzwi wiodące na korytarz, stawiały jednak opór. Spojrzał w górę, w dół, ani śladu przeszkody. Drzwi nie były również zamknięte, klucz tkwił wewnątrz; gdyby ktoś próbował zamknąć je od zewnątrz, klucz zostałby wypchnięty. Kto by tam zresztą drzwi zamykał na klucz. Uderzył w drzwi kolanem, nieprzeźroczyście szkło zadzwoniło, ale drzwi pozostały niewzruszone. Patrzcie.

Wrócił do pokoju, wyszedł na balkon i spojrział w dół na ulicę. Nie zdążył jednak ogarnąć myślą życia toczącego się normalnie na dole o tej porze popołudniowej, a już powrócił do drzwi i raz jeszcze spróbował je odemknąć. Ale teraz próba okazała się zbędna. Drzwi otworzyły się natychmiast, prawie nie trzeba było nacisku, rozwarły się wprost pod wpływem przeciągu wiejącego z balkonu, bez wysiłku — jak dziecko, któremu żartem pozwala się dotknąć klamki, a w rzeczywistości naciska ją ktoś starszy — uzyskał dostęp do korytarza.

Trzy tygodnie będę miał dla siebie. Czy znaczy to, że ludzie traktują mnie okrutnie?

Niedawny sen: mieszkaliśmy na Grabenie, w pobliżu Cafe Continental. Z ulicy Pańskiej wyłonił się pułk maszerujący w kierunku dworca kolei państwowych. Mój ojciec: —No, czemuś takiemu trzeba się przypatrzeć, póki można —i z rozmachem (w brązowym szlafroku Feliksa; cała ta postać jest połączeniem ich obu) rzuca się do okna i z rozpostartymi ramionami rozkłada się po stronie zewnętrznej na bardzo szerokim i mocno pochyłym parapecie okiennym.

Chwytam go i trzymam za obie pętelki, przez które jest przeciągnięty sznur od szlafroka. On ze złości wychyla się jeszcze bardziej, wyteżam siły do ostateczności, aby go przytrzymać. Myślę, jak dobrze byłoby, gdybym mógł przywiązać swoje stopy powrozami do czegokolwiek mocno przytwierdzonego, żeby ojciec nie pociągnął mnie za sobą. Musiałbym jednak, aby dokazać tego, przynajmniej na krótką chwilę wypuścić ojca z rąk, a to jest niemożliwe. Całego tego napięcia nie wytrzymuje na dobitkę sen — mój sen —i budzę się.

20 kwietnia. Na korytarzu pojawiła się idąca ku niemu właścicielka domu z listem w ręku. Spojrzał badawczo na twarz sędziwej damy, nie na list, który tymczasem otworzył. Potem przeczytał co następuje: „Wielce Szanowny Panie. Od paru dni mieszka Pan naprzeciwko mnie. Niezwykle podobieństwo do kogoś z dawna i blisko mi znajomego zwróciło moją uwagę na Pana. Proszę sprawić mi przyjemność swymi odwiedzinami dziś po południu. Pozdrowienia — Luiza Halka”.

— Dobrze — mruknął zarówno w stronę właścicielki domu, która ciągle jeszcze stała przed nim, jak i w stronę listu. Nadarzyła się pomyślna sposobność zawarcia może nawet i pożytecznej znajomości w tym mieście, gdzie czuł się jeszcze zupełnie obco.

— Czy pan zna panią Halkę? — spytała gospodyni w chwili, gdy sięgał po kapelusz.

— Nie — odparł tonem pytania.

— Dziewczyna, która przyniosła list, to jej pomocnica domowa — napomknęła gospodyni, jak

gdyby się usprawiedliwiając.

Możliwe — burknął niezadowolony z zażyłości i wychodząc co prędzej z mieszkania.

— Ona jest wdową — szepnęła za nim gospodyni jeszcze od progu.

Sen: dwa zespoły męskie walczyły z sobą. Zespół, do którego należałem, pojmał nagiego olbrzyma. Pięciu z nas trzymało go, jeden za głowę, po dwu za ramiona i nogi. Niestety nie mieliśmy noża, by go zakłuć, pytaliśmy wokół śpiesznie jeden drugiego, kto ma nóż, nikt nie miał noża. Ponieważ z jakichś powodów nie było czasu do stracenia, a w pobliżu stał piec o niezwykle wielkich, rozżarzonych do czerwoności drzwiach z lanego żelaza, zaciągnęliśmy tam olbrzyma, przybliżyliśmy jedną jego nogę do drzwi pieca, aż zaczęła dymić śwędem, odciągnęliśmy ją następnie w tył i daliśmy się jej wydymić po to, aby za chwilę przybliżyć ją znowu. Powtarzaliśmy to raz po raz, aż do chwili gdy przebudziłem się nie tylko zlany potem, lecz kłapiąc dosłownie zębami ze strachu.

Jan i Amalia, dzieci rzeźnika, grali w kręgle przy murze magazynu wielkiej, starodawnej budowli z ciosanego kamienia, podobnej do fortecy, która patrząc dwoma szeregami mocno okratowanych okien rozsiadła się na rozległym brzegu rzeczonym. Jaś celował rozważnie, badając kule, trasę i rowek, zanim oddał rzut; Amalia przykucnęła przy rowku i tłukła piąstkami o jego dno z niecierpliwości. Nagle jednak oboje poniechali kuli, podnieśli się powoli, patrząc na najbliższe okno magazynu. Dolatywał stamtąd brzęk, jak gdyby ktoś próbował wytrzeć do czysta jedną z drobnych, mętnociemnowawych szybek wielokwaterowego okna, a gdy mu się to nie powiodło, wybił ją całą. W niewielkim prostokącie ukazała się mglisto twarz, szczupła i uśmiechnięta niby to bez powodu, był to mężczyzna, który rzekł: — Chodźcie tu dzieci, chodźcie. Czy zwiedziłyście już kiedy magazyn?

Dzieci zaprzeczyły ruchem głowy, Amalia podniosła ku mężczyźnie żarzące się ciekawością oczy, a Jaś spojrzął poza siebie, czy są ludzie w pobliżu, nie zobaczył jednak nikogo prócz zobojętniałego na wszystko człowieka o zgiętych plecach, który pchał ciężko wyładowany wózek dwukołowy wzdłuż nadbrzeżnej balustrady. — No, to naprawdę zdziwicie się — odezwał się obcy pan i z niezwykle pośpiechem, jak gdyby musiał szybkością pokonać opór sytuacji, oddzielającej go od dzieci murem, kratami i szkłem. — Ach, chodźcie wreszcie. Najwyższy czas.

— Jakże mamy wejść? — spytała Amalia.

— Wskażę wam drzwi — odrzekł mężczyzna. — Idźcie tylko za mną, pójdę teraz w prawo i będę stukał w każde okno.

Amalia skinęła główką na znak zgody i pobiegła ku najbliższemu oknu, istotnie odezwało się tam pukanie powtórzone przy następnych oknach. O ile jednak Amalia posłuszna nieznanemu panu biegła za nim bezmyślnie, tak jak na przykład biega się za drewnianą obręczą, o tyle Jaś tylko z wolna nadążał ich śladem. Czul się trochę nieswojo; magazyn, którego obejrzenie nie przyszło mu dotąd nigdy na myśl, był na pewno bardzo tego godny, czy jednak wejść tam było naprawdę wolno — zaproszenie ze strony byle kogoś, kto był obcy, jeszcze tego bynajmniej nie przesądzało. Było to raczej nieprawdopodobne, gdyby bowiem pozwolenie takie istniało, wówczas ojciec Jana na pewno zaprowadziłby go tam choćby raz, bo nie tylko mieszkał bliźniutko, lecz znał wszystkich również i w dalszym kręgu, odbierał też od nich pozdrowienia i oznaki szacunku. Otóż przyszło teraz Jasiowi do głowy, że musiało tak samo być i z obcym, podbiegł, aby to sprawdzić, w ślad za Amalią i doścignął ją w chwili, gdy ona, wraz z nieznanym, przystanęła przy małych, nisko tuż przy Ziemi znajdujących się drzwiach z żelaznej blachy. Wyglądały one jak duże drzwiczki od pieca. Podobnie jak przy pierwszym oknie obcy człowiek znowu wybił małą, szybką i powiedział:

— Oto są drzwi. Poczekaćcie moment, a odemknę drzwi wewnętrzne.

— Czy pan zna naszego ojca? — zapytał Jan natychmiast, cóż kiedy twarz nieznanego już zniknęła i pytanie to pozostało bez odpowiedzi. Za to słyhać było, jak zgodnie z zapowiedzią otwarto wewnętrzne drzwi. Klucz zazgrzytał najpierw ledwie słyszalnie, potem głośniej i głośniej w drzwiach coraz bliższych. Przebitą tutaj grubą mur zastąpiono, zdaje się, wielu znajdującymi się tu obok siebie drzwiami. Nareszcie ostatnie drzwi otworzyły się do wewnątrz; dzieci położyły się na ziemi, by spojrzeć w czeluść, gdzie w półmroku zamajaczyło również oblicze obcego człowieka.

— Drzwi otwarte, wejście więc, tylko chyżo.

Jednym ramieniem przyciskał drzwi do ściany. Lecząc Amalia, jakby trochę otrzeźwiona czekaniem pod drzwiami, wsunęła się teraz za Jasia, nie chcąc być pierwsza, wypchnęła za to jego ku przodowi, bo chciała bardzo dostać się do magazynu za bratem. Jaś znalazł się zupełnie blisko wylotu drzwi, poczuł wiejący z nich chłodny wyziew i wzdragał się wejść; nie chciał podejść ku obcemu i znaleźć się za wieloma drzwiami, które mógłby ktoś zatrzasnąć, bał się wejść w zastygły, stary, olbrzymi dom. Zapytał jedynie dlatego, bo leżał już przy wylocie. — Czy zna pan naszego ojca?

— Nie — odpowiedział obcy człowiek — ale wejście raz wreszcie, nie wolno mi tak długo trzymać drzwi otwartych.

— Nie zna naszego ojca — szepnął Jaś do Amalii i powstał; uczuł jak gdyby ulgę, teraz nie wejdzie na pewno.

— Ale, ale, znam go przecie — powiedział nieznajomy, wysuwając bliżej głowę przez otwór — naturalnie, że go znam, znam rzeźnika, znam słynnego rzeźnika przy moście, sam kupuję tam niekiedy mięso, a cóż wy myślicie sobie, że wpuściłbym was tutaj, gdybym nie znał waszej rodziny?

— To czemuś powiedział wpieryw, że go nie znasz? — zapytał Jaś, wetknąwszy rękę w kieszenie i odwrócił się z całą już stanowczością od magazynu.

— Bo mi się nie podoba zapuszczać w długie rozmowy tutaj, w tej sytuacji. Wejdźcie najpierw, a potem będzie można pomówić o wszystkim. A zresztą ty, mój mały, możesz wcale nie wchodzić do środka, wręcz przeciwnie, wolę nawet byś ze swymi nieokrzesanymi manierami został tu, gdzie jesteś. Za to siostra twoja, o, ta lepiej ma w główce, ta wejdzie i powitamy ją mile — i wyciągnął rękę ku Amalii.

— Jasiu — zapytała Amelka, zbliżając rączkę do dłoni nieznajomego, jednak nie ujmując jej jeszcze — dlaczego nie chcesz wejść?

Jaś, który po ostatniej odpowiedzi nie umiał przytoczyć żadnej wyraźnej przyczyny swej niechęci, szepnął tylko cichutko do Amalii: — Bo on tak syczy. — Istotnie obcy syczał nie tylko mówiąc, lecz również i milcząc.

— Czemu tak syczysz? — spytała Amelka, pragnąc pośredniczyć między Jasiem a obcym.

— Tobie, Amalio, odpowiem — przemówił obcy. — Dyszę ciężko, pochodzi to stąd, że bez przerwy przebywam tu, w wilgotnym magazynie, wam nie radziłbym także pozostać tutaj długo, spędzić tu chwileczkę, to właśnie jest bardzo interesujące.

— Idę — zaśmiała się Amalia, zupełnie już przejednana — ale — dodała następnie, znów nieco wolniej — Jaś musi także pójść za mną.

— Oczywiście — krzyknął nieznajomy i skokiem wynurzył swą górną połowę ciała, chwycił za rękę nie spodziewającego się żadnej napaści Jasia tak nagle, że ten runął natychmiast na ziemię i wciągnął go całą siłą w otchłań.

— Tędy się wchodzi, miły Jasiu — rzekł, wlokąc za sobą broniącego się i wrzeszczącego głośno chłopca, nie zważając na to, że rękaw Jasiowej kurtki postrzępił się na ostrej krawędzi drzwi.

— Amelko — zawołał nagle Jaś — nogami tkwił już w lochu, tak szybko stało się to wszystko pomimo całego sprzeciwu — Amelko, zawołaj ojca, nie mogę już wrócić, tak mocno ciągnie mnie ten człowiek. — Jednakże Amelka, oszołomiona do głębi dziką napaścią nieznajomego, przy tym świadoma swej winy, bo przecież ona to właśnie spowodowała poniekąd zbrodnię, a w końcu — po cóż ukrywać — również niezmiernie zaciekawiona, i to już od samego początku przygody, nie oddaliła się co prędzej, lecz chwyciła kurczowo nogi Jasia... [rękopis przerwany]

Wnet rozeszła się, jak to zwykle bywa, wieść, że rabbi pracuje nad posągiem z gliny.

Dom rabbiego, gdzie wszystkie drzwi do wszystkich pokoi były otwarte na przestrzal w dzień i w noc, nie zawierał nic widocznego, o czym by natychmiast nie wiedzieli wszyscy. O każdej porze paru uczni czy sąsiadów, czy wreszcie obcych wędrowało po schodach w górę i w dół, zaglądając do wszystkich pomieszczeń i wchodząc — o ile nie natknęli się gdzie indziej na samego rabina — wszędzie, dokąd wejść mieli ochotę. I rzeczywiście raz znaleźli w balii sporą bryłę czerwonej gliny.

Tak dalece rozzuchwalila ich swoboda, jaką rabbi dawał wszystkim ludziom w swoim domu, że nie zawahali się pomacać gliny. Była twarda, przy mocnym nacisku ledwie trochę zabarwiły się od niej palce, smak jej — bo i polizać musieli ją ciekawi — był gorzki. Po co rabbi trzymał ją tu, w balii, było niepojęte.

Gorzki, gorzki — oto słowo najważniejsze. Jakże mam zlepić z ułamków rozchybotane opowiadanie.

Wiotki, biało-siwy dym nieprzerwanie wlatywał mgiełką z komina.

Rabbi stał jak praczek z zakasnymi rękawami przed kalia i miesił glinę, która w grubszych zarysach przybierała już kształt człowieczy. Rabbi w każdej chwili — nawet trudząc się nad jakimś drobnym szczegółem, na przykład nad członem palca — ogarniał całą tę postać oczyma. Jakkolwiek posąg zapowiadał już niechybnie udane podobieństwo do człowieka, rabbi zachowywał się jak szaleniec, co chwila wysuwała się jego dolna szczęka, nieprzerwanie omlaskiwały się wzajemnie jego wargi, a gdy zwilżał dłonie w stojącym usłużnie z boku kuble z wodą, wsadzał je tak gwałtownie, że woda rozpryskiwała się aż pod sufit nagięgo sklepienia.

11 maja. A więc oddałem dyrektorowi list. Przedwczoraj. Prosiłem albo, o ile wojna zakończy się w



jesieni, o długi, późniejszy i to bezpłatny urlop — albo też, o ile wojna toczyłaby się dalej — o skasowanie reklamacji. Było to zupełne kłamstwo. Byłoby półkłamstwem, gdybym prosił o natychmiastowy długi urlop, a w razie odmowy o zwolnienie. Byłoby prawdą, gdybym był wypowiedział swą pracę. Do obu tych rzeczy brakło mi śmiałości, stąd kłamstwo zupełne.

Bezowocna rozmowa dzisiejsza. Dyrektor mniema, że pragnę wymusić trzy tygodnie zwyczajnego urlopu, nie należne mi jako wyreklamowanemu, proponuje mi je więc bez dalszych trudności; postanowił to, jak się zdaje, jeszcze przed otrzymaniem mego listu. O służbie wojskowej nie mówi w ogóle, jakby nie było o niej w liście żadnej wzmianki. Gdy natomiast mówię o niej, udaje, że nie słyszy. Uważa długi urlop bez poborów za coś niedwuznacznie komicznego, w tym też tonie napomyka o tym ogólnie. Naciska na mnie, abym urlop trzytygodniowy wziął natychmiast. Wtrąca uwagi własne w charakterze samozwańczego neurologa, podobnie jak czynią to wszyscy. Że niby nie dźwigam żadnej odpowiedzialności, tak jak on dźwiga, że jego stanowisko, o, to dopiero mogłoby doprowadzić do choroby. A ileż to napracował się dawniej przygotowując się do egzaminu adwokackiego i pełniąc równocześnie służbę w zakładzie. Przez dziewięć miesięcy po jedenaście godzin pracy dziennie. A teraz różnica zasadnicza. Czy miałem w jakiegokolwiek sytuacji i porze powody obawiania się o swoją posadę? On za to obawę taką czuł. Że niby miał w zakładzie wrogów, którzy użyliby wszelkich możliwych środków, ażeby choćby i w ten właśnie sposób podciąć mu nogi i wyrzucić go na szmelc.

O moim podaniu na piśmie nie wspomina, rzecz dziwna, ani słowem. Ja marudzę i kwękam, jakkolwiek widzę, że chodzi tu niemal o moje życie. Upieram się jednak przy tym, że chcę służyć w wojsku i że trzy tygodnie mi nie wystarczają. Wobec czego odracza dalszy ciąg rozmowy. Ach, gdyby tylko nie był tak współczujący i przyjazny!

Będę trwał niewzruszenie przy następującym żądaniu: chcę pójść do wojska, ulegając pragnieniu w ciągu dwu lat powściąganemu; ale z rozmaitych względów nie dotyczących wprost mojej osoby wolałbym długi urlop, gdybym go mógł otrzymać.

To jednak jest niemożliwe ze względów zarówno urzędowych, jak wojskowych. Przez długi urlop rozumiem —urzędnik wstydzi się wyznać to, chory się nie wstydzi —pół roku lub cały rok.

Nie żądam poborów, nie chodzi tu bowiem o chorobę organiczną, stwierdzalną niewątpliwie.

Wszystko to jest dalszym ciągiem kłamstwa, jednak oddziaływaniem swoim zbliży się do prawdy, o ile tylko pozostanę konsekwentny.

2 czerwca. Co za kłopoty z dziewczętami pomimo wszelkich migren, bezsenności, siwizny, rozpaczy. Rachuję: od lata przynajmniej sześć. Nie mogę oprzeć się, język ucieka mi po prostu z ust, jeśli uległy nie zgodzę się podziwiać godnej podziwu i kochać jej aż do wyczerpania podziwu. W odniesieniu do wszystkich sześciu ponoszę winę niemal wyłącznie duchową, choć jedna z nich robiła mi przez kogoś wyrzuty.

Wypisy z dzieła *Geneza wiary w Boga* N. Soderbloma, arcybiskupa Upsali — sporządzone czysto naukowo, bez udziału czynników osobistych lub religijnych. Soderblom Natan (1866-1934) szwedzki teolog protestancki i wybitny religioznawca.

Prabóstwo Mesajczyków: jak bóg ów spuszcza na rzemieniu z nieba pierwsze bydłę na pierwszy Kraal.

Prabóstwo kilku plemion australijskich: bóg ów pojawił się w postaci mocarnego lekarza z Zachodu, uczynił ludzi, zwierzęta, drzewa, rzeki i góry, wprowadził święte obrzędy i ustalił, z którego klanu ma brać sobie żonę członek innego klanu. Gdy tego dokonał, odszedł. Znachorzy mogą wspinać się ku niemu po drzewach lub po linie i czerpać moc. U innych: w czasie twórczych swych wędrówek prabóstwa po raz pierwszy wykonały gdzieś święte tańce i dopełniły obrzędów.

U innych: ludzie sami, odprawiając obrzędy, dali w zamierzczłych czasach twórczo byt zwierzętom totemicznym. Zatem święte obrzędy wyłoniły same z siebie ów przedmiot, ku któremu były zwrócone.

Nadbrzeżne plemię Bimbiga wierzy w dwu mężów, którzy wędrując stworzyli w zamierzczłym czasie źródła, puszcze i obrzędy.

19 czerwca. Zapomnieć wszystko. Otworzyć okno. Opróżnić pokój. Wiatr go przewieje. Widzi się jedynie pustkę. Szuka się po wszystkich kątach i nie znajduje się.

Z Otlą. Przyprowadziłem ją od nauczycielki języka angielskiego. Przez bulwar, most kamienny, parę kroków przez Mala Strana nowym mostem do domu. Niepokojące posągi świętych na moście Karola. Dziwne światło letniego wieczoru przy nocnej pustce na moście.

Radość z powodu oswobodzenia Maksa. W możliwość tego wierzyłem, teraz widzę ponadto jeszcze i rzeczywistość. Znowu teraz nie dla mnie.

I posłyszeli głos Pana Boga, który przechadzał się po ogrodzie, bo dzień już ochłódł.

Spokój Adama i Ewy.

I uczynił Pan Bóg Adamowi i niewieście odzienie ze skór i przydził ich.

Straszliwy gniew Boga na rodzaj ludzki. Dwa drzewa, nie umotywowany zakaz, ukaranie wszystkich (węża, niewiasty i mężczyzny), uprzywilejowanie Kaina, którego pobudza jeszcze przemowa.

Nie chcą już ludzie, by karmił ich mój duch.

W tym samym czasie zaczęto kazać o Imieniu Bożym.

A ponieważ Boży wiódł żywot, wziął go Bóg stąd i nie widziano go nigdy więcej.

3 lipca. Pierwszy dzień w Mariańskich Łażniach z F. Drzwi przy drzwiach, z obu stron klucze.

Trzy domy przylegały do siebie, tworząc małe podwórze. W tym podwórzu osadzono w szopach dwa warsztaty, a w jednym kącie piętrzył się jeszcze wysoki stos małych skrzynek. W pewną niezwykle burzliwą noc — wicher gnał strumienie deszczu nad najniższym domem, siekąc kroplami w głąb dziedzińca — pewien student ślęczący jeszcze na swym poddaszu nad książkami posłyszał z podwórza donośny jęk skargi. Zerwał się, by nasłuchiwać, nastąpiła jednak cisza, niezmacona cisza. — Złudzenie chyba — mruknął student sam do siebie i zaczął czytać dalej. „Wcale nie złudzenie” — dokładnie w te słowa ułożyły się po krótkiej chwili litery w książce. — Złudzenie — powtórzył, pomagając wodzonym wzdłuż palcem wskazującym rzędom liter, które zaczął ogarniać niepokój.

4 lipca. Uwięziony w czworoboku płotu z łąt drewnianych, nie zostawiającym więcej swobodnej przestrzeni niż jeden krok wzdłuż i wszerz, przebudziłem się. Istnieją podobne zagrody, do których zapędza się na noc owce, tak ciasne nie bywają jednak nigdy. Słońce godziło we mnie pionowym promieniem; aby uchronić głowę, zwiesiłem ją na piersi i trwałem tak przykucnięty ze skrzywionym grzbietem.

Czym jesteś? Nędzarzem. Dwie deszczułki mam oparte o skronie i dociśnięte śrubami.

5 lipca. Udręka współzycia. Wymuszony obcością, współczuciem, chucią, tchórzostwem i próżnością a ciekący tylko dnem otchłani, może i wąski strumyczek godny miana miłości, niedostępny poszukiwaniom, rozblyskający tylko raz w momencie chwili.

Biedna F.

6 lipca. Nieszczęsna noc. Niemożność życia z F. Nie zniosę współzycia z kimkolwiek. Nie żał, że tak jest, żał, że niemożliwe jest, bym nie był sam. Co więcej: bezsens tego żalu, dostosowanie się i nareszcie zrozumienie. Powstać z ziemi. Trzymaj się księgi. Ale znowu nawrót: bezsenność, bóle głowy, skoczyć z wysoka przez okno, ale na ziemię deszczem rozmiękczoną, na którą upadek nie będzie śmiertelny. Z zamkniętymi oczami bez końca przewracam się z boku na bok, bez osłony przed czymkolwiek jawnym spojrzeniem.

To, czy zostanie wyśmiany, obchodziło Karola niesłychanie mało. Bo i co to za chłopcy, cóż oni mogli wiedzieć. Gładkie amerykańskie twarze, ledwie z dwiema lub trzema zmarszczkami, głębokimi za to i fałdźisto wciętymi w to czoło albo po jednej stronie nosa i ust. Rodowici Amerykanie, którym — aby coś wytłumaczyć — wystarczyło uderzyć młotkiem po ich kamiennych czołach. Cóż mogli wiedzieć... [rękopis przerwany]

Ktoś leżał ciężko chory w łóżku. Lekarz siedział przy stoliku przysuniętym do łóżka i obserwował chorego, który znów patrzył nań badawczo. — Bez ratunku — wyrzekł chory nie pytając, ale jakby odpowiadając. Lekarz uchylił okładkę grubego medycznego dzieła, leżącego na skraju stolika, zajrzał w nie przelotnie i z daleka i zamykając księgę z hałasem, powiedział: — Ratunek przyjdzie z

Bregencji. — Gdy zaś chory z wysiłkiem zmarszczył brwi, lekarz dorzucił: — z Bregencji w Przedarulanii.

— O, to daleko — westchnął chory.

Weź mnie w ramiona, to jest głębia, weź mnie i W głębię, gdy wzdrgasz się teraz, to później. Weź mnie, weź mnie, splot błazeństwa i bólu.

Murzyni wyłonili się z zarośla. Dokoła spowitego srebrnym łańcuchem pniaka rzucili się w tan. Kapłan siedział na uboczu, podniósłszy pałeczkę nad gongiem. Niebo było zachmurzone, lecz bezdeszczowe i ciche.

Nigdy jeszcze poza Zuckmantel nie zbliżyłem się do kobiety. No, a potem do tej Szwajcarki w Rivie. Pierwsza była kobietą, podczas gdy ja byłem niedoświadczony, druga dzieckiem, a ja — całkiem zmieszany.

13 lipca. A więc otwórz się. Niech wyjdzie człowiek. Niech odetchnie powietrzem i ciszą.

Była sobie raz gospoda z kawiarnią w uzdrowisku. Było dżdżyste popołudnie, ani żywej duszy. Dopiero pod wieczór przejaśniło się niebo. Deszcz przestawał stopniowo padać, kelnerki zaczęły ścierać wodę ze stołów. Gospodarz stał pod arkadą u wejścia i wyglądał gości. Patrzcie, jakiś gość piął się już w górę leśną drogą. Miał przewieszony przez ramię pled z długimi frędzlami, głowę pochyloną na piersi, a w wyciągniętej ręce laskę, którą co krok stukał o ziemię daleko przed sobą.

14 lipca. Izaak wyparł się swej żony przed Abimelechem, podobnie jak i Abraham wyparł się kiedyś żony swojej.

Nieporozumienie co do studni w Gerar. Dwukrotnie ten sam wiersz.

Grzechy Jakuba. Predestynacja Ezawa.

Ponuro zegar wybija godzinę.  
Słuchaj go, kiedy przekraczasz próg domu.

19 lipca. Szukał pomocy w lasach, przeskakiwał pagórki, spieszył kii źródłom napotkanych strumieni, bił dłońmi powietrze, dyszał ciężko nosem i ustami.

19 lipca.

Śnij i płacz, nędzny człowiecze, drogi nie znajdziesz, bo ją straciłeś.  
Nieszczęsny wita ciebie wieczór, nieszczęsne ciebie wita rano.

Nie chcę niczego, tylko się wydrzeć  
rękom otchłani, co się wyciągają,  
by omdlałego w głębię wchłonać.  
Ciężko opadam w czekające dłonie.

Dźwięcznie zabrzmiały w górskiej dali  
powolne słowa, słuchaliśmy.

W uścisku chciwym niosły ciało  
larwy piekielne, skrywając grymas.

Długi korowód, długi korowód niesie nieszczęsnego.

Dziwny obyczaj sądowy. Skazanego na śmierć w jego pokoju kat zakłuwa sztyletem w nieobecności innych osób. Skazany siedzi przy swoim stole i kończy list, w którym napisano: Ukochani, aniołowie, gdzie przebywacie, nie wiedzący, moim ziemskim rękom nieuchwytni... [rękopis urywa się]

20 lipca. Z komina w sąsiedztwie wynurzył się nieduży ptaszek, uczeplił się mocno krawędzi,

rozejrzał się po okolicy, uniósł się na nóżkach i uleciał. Nie był to zwyczajny ptak, jaki wylatuje z komina. Z okna na pierwszym piętrze wyjrzała ku niebu dziewczynka, zobaczyła wzlatującego wysoko ptaka, zawołała: — Tam leci, przyjdźcie prędko, tam leci — I już z obu stron przycisnęło się do dziewczynki dwoje dzieci, ażeby także zobaczyć ptaka.

Ulituj się nade mną, grzeszny jestem aż po ostatnie zakamarki mej istoty. Bom przecież miał skłonności nie całkiem godne pogardy i małe, dobre zdolności, których nadużywałem rozrzutnie, nierozumne stworzenie, jakim byłem aż do teraz, gdy kres mój bliski, właśnie teraz, kiedy wszystko pozornie mogłoby obrócić się na dobre dla mnie. Nie zepchnij mnie do zatraczonych. Wiem, że ze słów tych przemawia śmieszna i z daleka a nawet już z bliska śmieszna miłość własna, ale jeśli już żyję, mam w sobie również i miłość własną, właściwą wszelkiemu Życiu, a ponieważ wszelkie życie nie jest śmieszne, więc nie są też śmieszne jego konieczne przejawy. Nędzna dialektyka!

Jeżeli jestem skazany, to nie tylko na śmierć, lecz także na samoobronę aż po śmierć.

W niedzielne przedpołudnie niedługo przed moim odjazdem wydawało się, że chcesz mi być pomocny. Obudziła się we mnie nadzieja... Aż po dziś dzień daremna.

Wszelka skarga moja powstaje bez przekonania, nawet bez istotnego cierpienia, chwieje się już kotwica zabląkanego okrętu wysoko ponad dnem, o które mogłaby się trwale zahaczyć.

Pozostaw mi tylko spokój wśród nocy — skarga dziecinna.

21 lipca. Krzyknęli. Było pogodnie. Powstałiśmy — my, ludzie najrozmaitsi, i zgromadziliśmy się przed domem. Ulica była cicha, tak jak codziennie o wczesnej rannej porze. Piekarczyk postawił swój kosz na ziemi i spojrzał ku nam. Przybyli tu wszyscy biegnąc w dół schodami, jeden za drugim, mieszkańcy wszystkich sześciu pięter zmieszali się z sobą, ja sam dopomogłem kupcowi z pierwszego piętra włożyć zarzutkę, którą aż do tej chwili włókł za sobą. Kupiec ten przewodził nam, i słusznie, bo z nas wszystkich on właśnie najbardziej otarł się o świat. Najpierw zebrał nas w jedną gromadę, uspokoił, napominając najniespokojniejszych, chwycił kapelusz urzędnika bankowego, którym ten wymachiwał bez ustanku i rzucił go na drugą stronę ulicy; każde z dzieci wzięło za rączkę ktoś dorosły.

22 lipca. Dziwaczny obyczaj sądowy. Skazańca zakława kat w jego celi sztyletem, czego świadkami nie mogą być inne osoby. Skazany siedzi przy stole i kończy list lub ostatni swój posiłek. Ktoś stuka we drzwi — to kat. — Czyś gotów? — Pytania jego i zarządzenia są co do treści swej i kolejności ustalone przepisem, od którego katowi nie wolno odstąpić. Skazaniec, który w pierwszej chwili zerwał się z miejsca, siada i siedzi dalej, patrzy sztywno przed siebie albo zasłonił twarz rękami. Nie uzyskawszy odpowiedzi, kat otwiera na pryczy swoją skrzynkę z narzędziami, wybiera jeden sztylet po drugim i stara się tu i ówdzie doszlifować jeszcze ich różnorodnie ostrza. Nastąpiła już głęboka ciemność, oprawca nastawia małą latarkę przenośną i zapala światło. Skazaniec zwraca po kryjomu głowę w stronę kata, zdając sobie jednak sprawę z jego zajęć, drży, odwraca się ponownie i nie chce widzieć nic więcej.

— Jestem gotów — mruczy kat po krótkiej chwili.

— Gotów? — woła pytającym jękiem skazaniec, zrywa się i patrzy katowi prosto w oczy. — Nie, nie zabijesz mnie, nie obalisz mnie na pryczę i nie zakłujesz, jesteś przecież człowiekiem, możesz mordować na rusztowaniu przy udziale pomocników i w obecności urzędników sądowych, ale nie tu, nie w celi — ty, człowiek, mnie człowieka. — Kiedy zaś kat pochylony nad swą skrzynią milczy, skazaniec dodaje spokojniej: — To niemożliwe. — A ponieważ kat nadal milczy, skazaniec mówi jeszcze: — Właśnie dlatego, bo to jest niemożliwe, wprowadzono ten osobliwy obyczaj sądowy. Formę zewnętrzną chciano zachować nadal, jednak nie wykonując już kary śmierci. Przeprowadzisz mnie do innego więzienia, w którym prawdopodobnie pozostanę przez czas długi, ale śmierci nie zada mi nikt.

Tymczasem kat poruszał nowym sztyletem w rozluźnionym zawinięciu z waty i powiedział: — Myślisz pewnie o bajkach, w których sługa otrzymał rozkaz zgładzenia dziecka, lecz nie dokonał tego, bo wołał oddać dziecko do szewca na naukę. To tylko bajka, ale tutaj to nie bajka.

21 sierpnia. Do kolekcji. „Wszystkie piękne słowa o urastaniu ponad naturę okazują się bezradne w obliczu pierwotnych mocy życia.” (Wykłady przeciw jednożeństwu.)

27 sierpnia. Perspektywa końcowa po dwu okropnych dniach i nocach: podziękuj swej urzędniczej

skazie moralnej — słabości, skąpstwu, niezdecydowaniu, sztuce kalkulacji, przezorności itd., żeś nie wysłał karty do F. Możliwe, że byś jej nie odwołał, przyznając, to możliwe. Jakie byłoby tego następstwo? Czyn, jakiś poryw wzwyż? Nie, czynu tego już kilka razy dokonał, ale nie polepszyło się nic. Nie szukaj tu wyjaśnienia; na pewno zdołasz wyjaśnić całą przeszłość, boć przecież nie ważysz się nawet pójść w jakąkolwiek przyszłość, nie zdając sobie wpieryw jasno sprawy z przeszłości, co jednak jest nieosiągalne. To, co uchodzi za poczucie odpowiedzialności i jako takie byłoby ze wszech miar godne szacunku, jest przy najgłębszej analizie biurokacją, dziecinadą, wolą złamaną przez ojca. Trudź się nad wartością lepszą, masz ją tuż pod ręką. A to znaczy — nie szcędź siebie (zresztą kosztem miłowanego jeszcze przez ciebie życia ludzkiego, życia panny F.), bo oszczędzać nie można nikogo, pozorne oszczędzenie prawie zgubiło cię dzisiaj. Tu chodzi nie tylko o oszczędzenie w odniesieniu do F., do małżeństwa, do dzieci, do poczucia odpowiedzialności itd. — chodzi także o oszczędzenie w odniesieniu do funkcji urzędowej, nad którą ślęczysz, w odniesieniu do niedogodnego mieszkania, z którego się nie ruszasz. Oto wszystko. Dajże więc temu spokój. Nie można oszczędzać siebie, nie można niczego kalkulować na przyszłość. Nie wiesz nic o sobie samym pod względem tego, co dla ciebie jest lepsze. Dziś w nocy na przykład dokonała się w tobie kosztem twojego mózgu i serca walka dwu zupełnie równowartościowych i równie potężnych motywów: po obu stronach troski, a za tym idzie niemożność kalkulacji. Cóż pozostaje? To, by nie wyzuwać się już więcej z czci przez obecność na takim placu boju, gdzie walka toczy się w sposób dla ciebie wprost bezwzględny, a ty sam nie czujesz nic prócz ciosów straszliwych zapaśników. Siebie samego więc poderwij wzwyż. Siebie ulepszaj, od biurokracji uciekaj, zacznij raz wreszcie widzieć, kim jesteś, zamiast kalkulować, czym stać byś się powinien. Najbliższa powinność — to bezwarunkowo: zostać żołnierzem. Poniechaj również tej idiotycznej pomyłki, jaką popełniasz porównując siebie z Flaubertem, Kierkegaardem, Grillparzerem. To jest kompletna dziecinada. Jako ogniwo w łańcuchu kalkulacji są to przykłady, które bezsprzecznie zastosować można lub raczej łącznie z wszelkimi kalkulacjami nie dają się zastosować; lecz w oderwaniu, porównawczo, nie można ich stosować już a priori. Flaubert i Kierkegaard wiedzieli znakomicie, jak z nimi było, mieli nie przymuszoną wolę, to była nie kalkulacja, lecz czyn. U ciebie jednak jest to odwiecznym ciągiem obliczeń, linią falistą potwornych rozmiarów na przestrzeni czterech lat. Porównanie z Grillparzerem jest może dorzeczne, choć Grillparzera nie uważasz przecież za godnego naśladownictwa, raczej za pomnik nieszczęsnego losu, godny wdzięczności potomnych, bo cierpiał za nich.

8 października. **Foerster**: traktowanie nawiązanych w szkole stosunków z ludźmi uczynić przedmiotem nauczania. Foerster Friedrich Wilhelm (ur. 1869), profesor pedagogiki w Monachium, autor licznych prac z tej dziedziny, reprezentował światopogląd katolicki.

Wychowanie jako spiszek dorosłych. Hulających dokoła na swobodzie ściągamy w ciasnotę naszego domu złudnymi obietnicami, w które my też wierzymy, choć nie w podanym przez nas sensie. (Któż by nie chciał być džentelmenem? Zamknąć drzwi za sobą). Śmieszność interpretacji i zwalczania Maksa i Moritza.

Nie zastąpiona niczym wartość wyszumienia się występków polega na tym, że one w całej swej mocy i okazałości podnoszą się i uwidoczniają, choćby się w podnieceniu uczestniczenia w nich widziało drobny tylko ich odbłask. Nie zaprawi się nikt do życia marynarza, ćwicząc w kałuży, a nawet przez nadmierny trening w kałuży można stać się niezdatnym na marynarza.

16 października. Pośród czterech warunków zaproponowanych katolikom przez husytów jako podstawa zjednoczenia figurował również ten, by wszystkie grzechy śmiertelne, do których husyci zaliczali „obżarstwo, pijaństwo, nieczystość, kłamstwo, krzywoprzysięstwo, lichwę i pobieranie opłaty za spowiedź oraz mszę”, karano śmiercią. Pewne stronnictwo domagało się nawet, by każdej jednostce ludzkiej przyznano prawo wykonywania kary śmierci, ilekroć jednostka ta dostrzegłaby kogokolwiek splamionego którymś z wymienionych grzechów.

Czy to możliwe, abym przyszłość poznawał najpierw w chłodnych jej zarysach, rozumem i wolą, a dopiero gdy władze te pchną mnie i pociągną, zagłębiał się stopniowo w rzeczywistość tej samej przyszłości?

Wolno nam własnoręcznie wymachiwać nad sobą wolą jak biczem.

18 października. Z listu: do F. B.

„To nie jest takie proste, bym mógł przyjąć po prostu to, co mówisz o matce, o rodzicach, o kwiatach, o nowym roku i o towarzystwie przy stole. Mówisz, że i dla ciebie *siedzenie w twoim domu z całą swoją rodziną przy stole nie będzie należało do największych przyjemności*. Wypowiadasz

oczywiście tymi słowami tylko własne swoje zdanie, nie zważając — jakże słusznie! — na to, czy to mi sprawi radość, czy nie.

Otóż nie sprawia mi to radości. Na pewno sprawiłoby mi jednak radość nieporównanie mniejszą, gdybyś napisała coś wręcz przeciwnego niż te słowa. Powiedz mi, proszę, tak jasno jak tylko możliwe, na czym ta nieprzyjemność będzie polegała w twoim odczuciu, i w czym dopatrujesz się jej źródeł? Rozmawialiśmy — o ile chodzi o mój sąd — już dość często o tym przedmiocie, jednak trudno jest ująć choćby tylko z grubsza właściwy sens tego, o co tu chodzi.

Określeniami potocznymi — a tym samym z surową, niezupełnie odpowiadającą prawdzie surowością — mogę własne swe stanowisko opisać mniej więcej tak: ja, który byłem prawie zawsze niesamodzielny, požądam bezgranicznie wszechstronnej samodzielności, niezawisłości i Swobody. Wolę nałożyć klapy na oczy i drogę swoją przebyć aż do kresu niż dopuścić, aby rodzima hołota tańczyła dokoła mnie i rozpraszała mi świat w oczach. Dlatego też każde słowo powiedziane przeze mnie do moich rodziców albo przez nich do mnie, staje się tak łatwo kłoda u moich stóp. Wszelki związek, którego sobie sam nie utworzę lub nie wywalczę — choćby to co mówię, zwracało się nawet przeciw częściom własnej mojej jaźni — jest bezwartościowy, przeszkadza mi w pochodzie naprzód, nienawidzę go lub bliski jestem tego, by go nienawidzić. Droga daleka, siła znikoma, aż nadto powodów do takiej nienawiści. Jednak wzięłem życie od moich rodziców, łączy mnie z nimi i z moimi siostrami związek krwi, nie odczuwam tego w życiu codziennym oraz na skutek koniecznego zaklinowania się w specyficzne swoje zamysły, chociaż w głębi duszy cenię bardziej, niż sobie to uświadamiam. Raz więc nawet to prześladuję swoją nienawiścią; w domu widok łóża małżeńskiego, wymiętej pościeli, starannie złożonych koszul może przyprawić mnie o wymioty, może wyrzucić moją świadomość podszewką na wierzch całkiem tak, jak gdybym nie był urodzony całkowicie i ostatecznie; jak gdybym z tego zatęchłego życia w tym zatęchłym pokoju przychodził ciągle jeszcze na świat i musiał nieustannie czerpać sobie stamtąd potwierdzenie swego bytu; jak gdybym z tymi ohydnymi sprawami był, jeśli nie zupełnie i bez reszty, to przynajmniej częściowo związany, to uwiesza się jeszcze u moich żądnych biegu stóp, one jeszcze tkwią w pierwotnym bezkształtnym bagnie. To jedna strona. A z drugiej strony wiem znowu, że to są przecież moi rodzice, niezbędne, siłodajne elementy mojej własnej istoty, przynależne do mnie jako istoty, nie tylko jako przeszkody. Jeżeli tak, to pragnę ich widzieć takimi, jakimi chce się widzieć to, co jest najlepsze: jeżeli od dawna przy całej swej złośliwości, nieobyčajności, przy całym swoim samolubstwie, braku miłości — przecież drżałem przed nimi i prawdę mówiąc drzę i dzisiaj jeszcze, bo tego trudno zaprzestać i jeśli oni oboje, ojciec po swojemu i matka po swojemu moją wolę fatalnie znów niemal złamali — to pragnę widzieć ich również godnymi tego. Oszukali mnie, ja zaś nie popadając w szaleństwo nie mogę przecież buntować się przeciw prawu natury — więc znowu nienawiść i nie tylko nienawiść (Ottla wydaje mi się niekiedy taka, jaką pragnąłbym widzieć z daleka moją matkę: czystą, prawdomówną, rzetelną, konsekwentną. Pokora i durna, chłonność i izolacja, altruizm, i samodzielność, bojaźliwość i męstwo w nie łudzącej równowadze. Wspominam Ottlę, bo przecież w niej także kryje się moja matka, zatajona zresztą całkowicie). Chcę więc widzieć ich godnymi tego.

Należysz do mnie, przyjąłem cię do siebie, nie wierząc, by w jakiegokolwiek bajce walczoneo o jakąś kobietę uparciej i bardziej desperacko, niż ja w sobie samym walczyłem o ciebie, i to od pierwszych już chwil, i z każdym dniem na nowo, i może na zawsze. Należysz więc do mnie, i dlatego stosunek mój do twoich krewnych jest podobny do mego stosunku do moich krewnych, choć oczywiście nieporównanie oględniejszy w dobrym i złym. Tworzą oni związek, który mi przeszkadza (przeszkadza nawet wtedy, gdybym nie miał nigdy zamienić z nimi słowa), i właśnie w tym znaczeniu nie są godni. Mówię do ciebie tak otwarcie, jak do siebie samego, nie weźmiesz mi tego za złe i nie będziesz także doszukiwała się w tym pychy, bo nie ma jej przynajmniej tam, gdzie mogłabyś jej szukać. Gdy jesteś tutaj i siedzisz przy stole moich rodziców, wówczas zagrożony atakiem teren, w jaki godzi to, co jest mi w moich rodzicach wrogię, powiększa się z konieczności znacznie. Zdaje im się, że moja przynależność do całokształtu rodziny stała się o wiele większa (a nie jest i nie może być taka), uważają mnie za włączonego w szereg, którego jednym z członów-bastionów jest sąsiadująca z nimi sypialnia — (a włączyć się nie dałem), chociaż się temu sprzeciwiam, wierzę, że w tobie zyskali pomoc (wcale jej nie zyskali) i brzydota ich oraz małość wzmaga się wciąż, bo — o ile dobrze widzę — miała ona górować nad kimś wyższym ode mnie.

Jeżeli już tak jest, to dlaczego nie cieszę się tym, co mi powiedziałaś? Po prostu dlatego, bo stoję przed moją rodziną i bez ustanku wymachuję nożami w krąg, by kaleczyć ją ciągle i równocześnie bronić; pozwól, że pod tym względem zastąpię cię całkowicie, nie żądając, abyś w tym samym sensie zastąpiła mnie przed swoją własną rodziną. Czy ta ofiara nie będzie ci, najmilsza, zbyt ciężka? Jest ona niezmiernie wielka, a składając ją, doznasz ulgi tylko przez to, że gdybyś jej nie złożyła, to ja mocą swej natury musiałbym ją z ciebie wydrzeć. Jeśli ją jednak złożysz, uczynisz dla mnie wiele. Rozmyślnie, przez jeden do dwu dni nie będę pisał do ciebie, abyś bez żadnych przeszkód z mej

strony mogła tę sprawę rozważyć i odpowiedzieć na to. Za odpowiedź starczy — tak wielką w tobie pokładam ufność —nawet jedno słowo.

30 października. Dwu panów rozmawiało w siodlarni o koniu, któremu masztalerz masował zad. — Od tygodnia —przemówił starszy z nich obu, siwowłósy, przymrużywszy cokolwiek jedno oko i przygryzając nieznacznie dolną wargę — od tygodnia nie widziałem ani razu naszego Atro, a pamięć koni bywa niepewna nawet przy największej wprawie. Nie odnajduję teraz w Atro niektórych cech, które, jak sobie wyobrażam, posiadał on bezwarunkowo. Mówię teraz o ogólnym wrażeniu, szczegóły mogą zresztą odpowiadać sobie, chociaż nawet teraz zwraca moją uwagę występujące tu i ówdzie zwiotczenie mięśni. Spójrz pan tu i tutaj: — Badawczo kiwał pochyloną głową i macał dłońmi w powietrzu.

## 1917

6 kwietnia. W małej przystani, w której oprócz łodzi rybackich zatrzymywały się zazwyczaj tylko dwa parowce pasażerskie, służące komunikacji morskiej, dziś była przycumowana obca barka. Było to czółno ociężałe i stare, stosunkowo niskie, bardzo wybrzuszone, zabrudzone tak, jakby ktoś oblał je brudną wodą od reju po dno, zdawało się, że jeszcze ociekała żółtawa ściana zewnętrzna; maszty niesłychanie wysokie, główny maszt nadłamany w górnej trzeciej części, zgrzebne żółto-brunatne żagle spływające w fałdach, rozciągnięte wzdłuż i w szerz między masztami a reją, łatanina, która nie oprze się najslabszemu podmuchowi. Długo patrzyłem ze zdziwieniem na tę łódź czekając, czy nie pojawi się ktoś na pokładzie, lecz nie ukazał się nikt. Obok mnie usiadł jakiś robotnik na murze nadbrzeżnym.

—Do kogo należy ten statek? — zapytałem — widzę go dzisiaj po raz pierwszy.

— Zawija tu co dwa lub trzy lata — odpowiedział ów człowiek — a należy do łowcy Gracchusa.

29 lipca. Błazen nadworny. Studium o nadwornych błaznach.

Sławne czasy nadwornego błazeństwa przeminęły bez śladu i nie powrócą nigdy. Wszystko zmierza gdzie indziej, temu nie można zaprzeczyć. A przecież nadwornego błazeństwa zakosztowałem jeszcze, jakkolwiek znika on obecnie z zakresu tego, co posiada ludzkość.

Siadywałem zwykle w głębi warsztatu całkiem po ciemku, trzeba tam było nieraz zgadywać, co się ma w ręce, a mimo to za każdy kiepski ścieg dostawało się cios od mistrza.

Nasz król nie robił żadnych ceregieli; kto nie znał go z podobizn, nie poznałby w nim nigdy króla. Ubrania miał źle uszyte, zresztą nie w naszym warsztacie, materiał cienki, surdut zawsze rozpięty, powiewający i zmięty, kapelusz pognieciony, ordynarne ciężkie buty, niedbale, szeroko wymachiwał rękami, twarz wyrazista z dużym prostym, prawdziwie męskim nosem, krótki wąsik, ciemne, nieco za bystre oczy, tęga, proporcjonalna szyja. Pewnego razu, przechodząc obok, zatrzymał się w drzwiach naszego warsztatu i zapytał oparłszy prawicę o belkę futryny: — Czy jest tu Franek? — Znał wszystkich po imieniu. Przepisnąłem się ze swego ciemnego kąta przez ciżbę czeladników. — Chodź ze mną — rzekł przyjrzawszy mi się przelotnie. — Przenosi się do zamku — powiedział do mistrza.

30 lipca. Panna K. Ponęta, za którą nie zdąży dusza. Otwiera i zamyka wargi, rozciąga je w szerz i ściąga, jak gdyby niewidzialnie rzeźbionymi palcami. Ruchy nagłe, na pewno nerwowe, lecz zdyscyplinowane, a zawsze zaskakujące, na przykład wygładza spódnicę na kolanach lub przesiada się z miejsca na miejsce. Rozmowa skąpa w słowa i myśli bez jakiegokolwiek pomocniczego kontaktu z partnerami, ograniczona raczej tylko do zwrotów głowy, gry rąk, różnorodnych pauz, żywych spojrzeń, w razie potrzeby do zaciskania małych piąstek.

Wymknął się z ich kręgów. Mgła owionęła go. Okrągła polana. Ptak feniks w gąszczu. Ręka znacząca raz po raz krzyżem niewidzialną twarz. Chłodny, wieczny deszcz; śpiew narasta i cichnie jakby z dyszącej piersi.

Bezużyteczny człowiek. Przyjaciół? Kiedy próbuję uprzytomnić sobie, co posiada, to przy najbardziej przychylniej ocenie pozostanie chyba tylko jego głos trochę niższy od mojego. Gdy wołam „ocalony” — mam na myśli, że gdybym był Robinsonem i zawołałbym „ocalony” — ów ktoś powtórzyłby to swoim niższym głosem. Gdybym był Korachem i zawołał „zgubiony” — on swoim niższym głosem byłby gotów powtórzyć to samo. Stopniowo staje się uciążliwe ciągnąc za sobą ten

bas. Ponadto on sam nie robi tego chętnie, powtarza tylko dlatego, bo musi, i nie może inaczej.

Nieraz podczas urlopu, jeśli mam czas na takie osobiste sprawy, naradzam się z nim w altanie, jak bym mógł oswobodzić się od niego.

31 lipca. Ach, siedzieć w pociągu, zapomnieć o tym, być jakby u siebie w domu, przypomnieć sobie nagle, poczuć rwącą w dal siłę pojazdu, stać się podróżnym, wyjąć czapkę walizki, do towarzyszy jazdy odnosić się swobodniej, większą godnością i bardziej wymagająco; do celu podróży dać się nieść bez żadnej własnej zasługi, odczuwać to dziecinnie, stać się ulubieńcem kobiet, ulegać nie słabnącej atrakcji okna, zawsze jedną przynajmniej wyciągniętą dłoń opierać o okienny parapet. Ostrzej widziana sytuacja: zapomnieć, że się zapomniało; stać się w oka mgnieniu dzieckiem, które samotnie podróżuje błyskawicznym pociągiem, a dygocący z pośpiechu wagon, zdumiewający w najdrobniejszym szczególe, rozbudowuje się dokoła, jakby wynurzając się z ręki kuglarza.

1 sierpnia. Stare opowieści praskie dra O. na pływalni. Napastliwe słowa przeciw bogaczom, jakie Fryderyk Adler praski poeta, który wywarł pewien wpływ na starszą od Kafki generację. wygłaszał w studenckich czasach, budząc powszechny śmiech. Potem bogato ożenił się i przycichł. Jako mały chłopak przybyły z Arnschelbergu do Pragi do gimnazjum, mieszkał dr O. u pewnego Żyda, uczonego, którego żona była sprzedawczynią w sklepie z tandetą. Jedzenie przynoszono z traktierni. O pół do szóstej budzono co dzień O. na modlitwę. O. troszczył się o wychowanie całego swego młodszego rodzeństwa; przysparzało mu to wiele trudu, dając jednak pewność siebie i zadowolenie. Niejaki dr A., późniejszy, dawno spensjonowany radca skarbowy (wielki egoista), dał mu wówczas raz pewnego radę, aby odjechał, ukrył się, po prostu umknął od swoich najbliższych, bo inaczej wyniszczą go kompletnie.

2 sierpnia. Najczęściej ten, kogo się szuka, mieszka tuż obok. Nie sposób to wyjaśnić tak od razu, najpierw należy przyjąć jako fakt dany w doświadczeniu. Ma on tak głębokie przyczyny, że nie można mu zapobiec, nawet gdyby komuś na tym zależało. Pochodzi to stąd, że o tym poszukiwanym sąsiedzie nic się nie wie. Nie wie się mianowicie ani tego, że się go szuka, ani tego, że mieszka tuż obok, więc całkiem na pewno mieszka tuż obok. Ten powszechny, znany z doświadczenia fakt może nam oczywiście być wiadomy, nie przeszkadza wcale, jeśli się go nawet rozmyślnie uświadamia w każdej chwili.

Opowiem właśnie takie zdarzenie... [rękopis urywa się]

Pascal robi wielkie porządki przed pojawieniem się Boga, jednak musi tu kryć się jakaś skepsis głębsza i bojaźliwsza niż wątpliwość ... [słowo nieczytelne] człowieka, który wprowadzie mnie na kawałki czarnoksiężskimi nożami, niemniej ze spokojem rzeźnika. Skąd ten spokój? Czy to nieszkodliwość ciosu? Czyż Bóg jest teatralnym rydwanem triumfalnym, który wciąga się linami z daleka na scenę przy całym wysiłku i rozpacz robotników?

3 sierpnia. Raz jeszcze wyrzuciłem w świat krzyk z pełnej piersi. Potem do ust wepchnięto mi knebel, spętano ręce i nogi, a oczy przewiązano chustką. Przewracano mnie wiele razy z boku na bok, sadzano w pozycji wyprostowanej i kładzono znów również wiele razy; szarpnięciami naciągano moje nogi tak, że z bólu prężyłem się w kabłąk; dano mi chwilę odpoczynku, potem jednak zaczęto mi zadawać czymś spiczastym głębokie ukłucia, niespodziewanie w różnych miejscach, zależnie od kaprysu.

Od lat siedzę na skrzyżowaniu głównych ulic, ale jutro muszę zejść z posterunku, bo nowy cesarz odbędzie wjazd. Nie mieszam się zarówno z zasady, jak i z niechęci do niczego, co dzieje się dokoła mnie. Z dawna też poniechałem zebrania; ci, którzy od dłuższego czasu przechodzą obok mnie, obdarzają z nawyku, z przywiązania, po znajomości, a nowi idą za ich przykładem. Postawiłem obok siebie koszyk, gdzie każdy rzuca tyle, ile uzna za stosowne. Jednakże właśnie dlatego, że nie troszczę się o nikogo, a w bezsensownym zgłębieniu ulicznym zachowuję pewność oka i spokój ducha, rozumiem lepiej niż ktokolwiek inny wszystko, co ma związek ze mną, z moim stanowiskiem i z moimi uzasadnionymi pretensjami. Są to sprawy bezsporne, zależne tylko od mego zdania. Kiedy dziś rano policjant, oczywiście znający mnie świetnie, którego jednak ja — również oczywiście — nie zauważyłem dotąd ani razu, zatrzymał się przy mnie i rzekł: Jutro wjazd cesarza; żebyś mi jutro nie ośmielił się przyleżeć tutaj.



Odpowiedziałem pytaniem: Ile masz lat? —

4 sierpnia. Literatura jako coś, co wyraża myśl zasadniczą, jest tak silną kondensacją słowa, że — takie założenie tkwiło może od samego początku — stopniowo pociągnęła za sobą kondensację myśli, która zawiera właściwą perspektywę, tak że myśl zasadnicza rzutuje daleko przed celem i daleko od celu.

Zgiełkliwe trąby nicości.

A. — Chcę prosić cię o radę.

B. — Czemuż to właśnie mnie?

A. — Mam zaufanie do ciebie.

B. — Dlaczego?

A. — Wiele już razy widywałem cię w towarzystwie. A w naszych towarzystwach chodzi w końcu zawsze o jakąś radę. Co do tego, zgoda — czy tak? Kimkolwiek byłoby owo towarzystwo, czy się razem urządzi przedstawienie teatralne czy razem pije herbatę, wywołuje duchy albo planuje pomoc biednym — zawsze chodzi ostatecznie o radę. Tylu niezaradnych ludzi! A nawet więcej niż się wydaje, ci bowiem, którzy w takich zbiegowiskach udzielają rad, dają je jedynie głosem; rady danej sercem pragną sami. Mają zawsze wśród ludzi poszukujących rady swego sobowtóra i na niego też liczą szczególnie. Jednakże on oddala się bardziej od innych, nie zaspokojony, zniechęcony i pociąga doradcę za sobą w stronę nowych zbiegowisk i tej samej zabawy.

B. — Tak to bywa?

A. — Oczywiście, ty też przekonasz się o tym. Żadna to jednak zasługa, bo o tym przekonywa się cały świat i tym bardziej natarczywa jest jego prośba.

5 sierpnia. Po południu z Oscarem w Radeszowicach.

Jestem smutny, słaby, często usiłuję pamiętać przynajmniej zasadnicze zagadnienie.

6 sierpnia.

A. — Nie jestem zadowolony z ciebie.

B. — Nie pytam dlaczego. Wiem.

A. — No i?

B. — Jestem bezsilny. Nie mogę niczego zmienić. Wzruszenie ramion i grymas ust; do większych spraw jestem niezdolny.

A. — Zaprowadzę cię do mego pana. Zgoda?

B. — Wstyd mi. Jakże on mnie przyjmie? Pójść od razu do pana! To lekkomyślność.

A. — Odpowiedzialność pozostaw mnie. Zaprowadzę cię. Pójdź! Idą przez korytarz. A. puka do jakichś drzwi. Słychać wołanie: „Wejść”. B. chce uciec, ale A. przytrzymuje go i tak wchodzi.

C. — Kim jest ten pan?

A. — Myślałem: do nóg, padnij mu do nóg.

(w dalszym ciągu: urywki do *Karnej kolonii*.)

Podróżny poczuł znużenie zbyt wielkie, by jeszcze coś tutaj nakazać lub nawet zdziałać. Wydobył tylko chustkę z kieszeni, wykonał ruch, jak gdyby zanurzał ją w odległym wiadrze, przycisnął do czoła i położył się obok wykopu. W tej pozycji zastali go dwaj panowie, których po niego wysłał komendant. Jak orzeźwiony podskoczył w górę, gdy go zagadnęli. Z ręką na sercu rzekł: — Jeśli do tego dopuszczę, psim synem będę. — Ale po chwili wziął to dosłownie i zaczął biegać na czworakach. Tylko czasem podskakiwał, urywał się dosłownie, wieszał się któremuś z panów u szyi i wołał łkając

—Czemuż to wszystko mnie!— i wracał śpiesznie na swoje miejsce.

Jak gdyby wszystko uświadamiało mu, że cokolwiek się jeszcze zdarzy, będzie to sprawą wyłącznie jego i trupa - podróżny gestem dłoni odprowadził żołnierza i skazańca —ci ociągali się, rzucił za nimi kamieniem, ciągle jeszcze naradzali się, wobec tego podbiegł ku nim i zaczął okładać ich pięściami.

— Jak to? — przemówił znieścacka podróżny. Czyż zapomniano o czymś? O decydującym głosie?

Chwycie? Podaniu ręki? Kto się wyzna w tym zamieszaniu? Przekłętę, złowrogie, zwrotnikowe powietrze, co robisz ze mną? Nie wiem, co się dzieje. Mój rozsądek został w domu, na Północy.

— Przygotujcie drogę wężowi! — rozległ się okrzyk. — Przygotujcie drogę Wielkiej Madam!  
— Gotowi! — odrzyknięto w odpowiedzi — gotowi. — I my, dróżnicy, arcyślynni kamieniarze, wymaszerowaliśmy z gąszczem.

— Jazda! — zawołał nasz zawsze wesół komendant — jazda ścierwo! — Słyszac to, podnieśliśmy młoty i na milę wokoło rozległo się pracowite stukanie. Krótka przerwa dozwolona była tylko, aby zmienić ręce. Przybycie naszego węża zapowiedziano już na wieczór, do tej pory trzeba było wszystko rozbić w pył, nasz wąż nie znosi nawet najdrobniejszego kamyczka. Gdzie znajdzie się na poczekaniu tak wrażliwy wąż? Bo jedyny to wąż w swoim rodzaju, niesłychanie rozpieszczony naszą pracą, a dlatego już teraz niezrównanie doskonały. Nie rozumiemy i ubolewamy, że ciągle jeszcze nazywa się wężem. Przynajmniej Madam powinien znać się zawsze, mimo że — oczywiście — jako Ma-dam jest również niezrównany. O to jednak nie boli nas głowa, naszą powinnością jest robić pył.

— Hej, ty na przodzie, lampę trzymać wysoko! Wy, reszta, po cichu za mną. Gęsiego wszyscy! I cisza! Co to było? Nic. Nie bać się. Ja ponoszę odpowiedzialność. Wyprowadzę was.

9 sierpnia. Podróżny wykonał nieokreślony gest ręką, poniechał usiłowań, odtrącił ich obu ponownie od trupa i wskazał im kolonię, dokąd powinni byli udać się natychmiast. Bulgocącym śmiechem dali do zrozumienia, że stopniowo pojmują rozkaz, skazaniec przycisnął swą, wieloma warstwami brudu pokrytą twarz do dłoni podróżnego, żołnierz poklepał podróżnego prawą ręką — w lewej trzymał karabin, wymachując nim — po łopatkę, wszyscy. trzej tworzyli odtąd jedną grupę.

Podróżny musiał siłą bronić się przed nachodzącym go uczuciem, że w tym wypadku stworzono doskonały ładunek. Uczuł znużenie i porzucił zamiar pochowania teraz zwłok, Upał, który ciągle się jeszcze potęgował — podróżny nie chciał podnieść głowy ku słońcu tylko dlatego, aby się nie zachwiać — nagłe ostateczne milczenie oficera, widok tych dwu naprzeciwko, którzy niemo się weń wpatrywali i z którymi na skutek śmierci oficera stracił wszelką łączność, w końcu zdecydowany, mechaniczny sprzeciw, z jakim spotkała się opinia oficera — to wszystko — podróżny nie mógł dłużej utrzymać się na nogach i usiadł na trzcinowym krześle. Najlepiej byłoby, gdyby tak jego okręt przedostał się ku niemu przez piaszczyste bezdroże, i zabrał go na pokład. Wsiadłby i tylko ze schodków zrobiłby oficerowi zarzut z powodu stracenia skazańca. Opowiem to w domu — dodałby podniesionym głosem tak, aby usłyszał to również kapitan razem z marynarzami ciekawie wychylającymi się w górę przez burtę. — Stracony? — zapytałby w odpowiedzi oficer, i słusznie. — Jest przecież tutaj — dorzuciłby wskazując na tragarza, którego podróżny Wynajął. Istotnie był to skazaniec, jak przekonał się o tym podróżny, przyglądając się bystro i badając dokładnie rysy twarzy.

— Gratuluję — zmuszony był powiedzieć podróżny i powiedział to chętnie. — Sztuczka kuglarska? — dorzucił pytanie.

— Nie — odparł oficer — to omyłka z pańskiej strony, stracony na rozkaz pana to ja.

Kapitan i marynarz zaczęli teraz nasłuchiwać jeszcze czujniej. I wszyscy zobaczyli, jak oficer w tejże samej chwili przeciągnął dłonią po czole, odsłaniając kolec sterczący krzywo z pękniętego czoła.

Był to okres ostatnich już, zacieklejszych walk, jakie amerykański rząd miał stoczyć z Indianami. Komendantem fortu najgłębiej w teren indiański wysuniętego, a równocześnie najmocniejszego, był generał Samson, który już poprzednio odznaczył się wielokrotnie i posiadał niezawodne zaufanie ludu oraz żołnierzy. Okrzyk: „generał Samson” był w spotkaniu z samotnym Indianinem prawie tyle wart co fuzja.

Pewnego poranka patrol pojmał w lesie jakiegoś młodzieńca i zgodnie z powszechnie obowiązującym rozkazem generała dbającego osobiście nawet o najbłahsze drobiazgi, odprowadził go do głównej kwatery. Ponieważ generał odbywał właśnie naradę z kilkoma farmerami z obszaru pogranicznego, postawiono jeńca najpierw przed adiutantem, podpułkownikiem Otway.

— Generał Samson! — zawołałem i cofnąłem się chwiejnie o krok w tył. On to był, on właśnie wychylił się z wysokich zarośli.

— Milczeć! — powiedział wskazując poza siebie. Orszak składający się z około dziesięciu panów potykając się szedł za nim.

— Nie, puść mnie! nie, puść mnie! — nieustannym krzykiem zapełniłem ulicę, ciągle dosięgała

mnie, ciągle szponiaste ręce syreny godziły w moją pierś z boku lub przez plecy. .

15 września. Na krótko przedtem lekarz po raz pierwszy stwierdził Kafki gruźlicę płuc. Kafka postanowił zerwać zaręczyny z F., wziął urlop z biura i wyjechał do siostry, która mieszkała, niedaleko Karlovych Varów.

Masz przed sobą możliwość — o ile możliwość ta w ogóle istnieje — rozpoczęcia czegoś. Nie zmarnuj jej. Nie zdołasz uniknąć brudu, który wydzieli się z ciebie, skoro raz zechcesz się wdrzeć. Nie tarzaj się jednak w tym wszystkim. Jeżeli rana w płucach jest, jak twierdzisz, tylko symbolem rany, której stan zapalny nazywa się F., a której głębokość nazywa się usprawiedliwieniem, wówczas także i rady lekarza (światło, powietrze, słońce i spokój) są symbolami. Imaj się tego symbolu.

O piękna godzino, mistrzowska równowago, zapuszczony ogrodzie. Wybiegasz z domu i na zakręcie ogrodowej ścieżki pędzi naprzeciw ciebie bogini szczęścia.

Majestatyczne zjawisko, władca państwa.

Plac w środku wsi we władztwie nocy. Mądrość maluczkich. Przewaga zwierząt. Kobiety. Krowy ze skrajną naturalnością ciągnące przez plac. Moja sofa z widokiem na świat.

18 września. Podręcz wszystkim.

19 września. Zamiast telegramu: „Serdecznie witamy stacja Michelob zdrowie doskonale Franz Ottla”, który Marzenka nosiła dwukrotnie do Blśan, nie mogąc podobno go nadać, bo urząd pocztowy na chwilę przed jej przyjściem zamknięto, napisałem list pożegnalny, przytłumiając za jednym zamachem męczarnie odradzające się znów z całą siłą. List pożegnalny skądinąd wieloznaczny, tak jak i moja. myśl.

To raczej, że rana jest stara, powoduje jej bolesność, a nie to, że jest głęboka i wielka. Doznawać wciąż nowych szarpnięć w tym samym otworze rany, widzieć, jak ranę operowaną niezliczone razy zaczyna znów ktoś kurować —oto zło.

Krucha, kapryśna, marna istota — telegram obala ją, list podnosi i ożywia, cisza po liście otępia.

Zabawa kotki z kozami. Kozy są podobne do polskich Żydów, do stryja S., do E. W., do I. —

Zmienna, lecz zawsze jednakowo surowa nieprzystępność owczarza H. (który odszedł dziś bez kolacji i bez pożegnania; pytanie, czy jutro wróci), panny, tej Marzenki. Właściwie bywam w obliczu tych dwojga zakłopotany niby przed bydłętami w owczarni, kiedy woła się je w jakimś celu, one zaś — o dziwo — słuchają. Przypadek ten bywa tylko dlatego uciążliwszy, że chwilami — jakże często — zwierzęta wydają się przystępne i całkiem rozumne.

Nigdy nie mogę zrozumieć, że prawie każdy, kto umie pisać, potrafi bolejąc zobiektywizować ból tak, jak gdybym na przykład ja, będąc w nieszczęściu i może mając głowę jeszcze nieszczęściem gorejącą, mógł usiąść i uwiadomić kogoś pisemnie: jestem nieszczęśliwy. Nie to; mogę posunąć się dalej jeszcze i wydziwając rozmaite wygibasy według natchnienia, które nie ma pozornie nic wspólnego z nieszczęściem, fantazjować na temat wprost przez antytezy lub przy akompaniamencie skojarzeń zgrupowanych w prawdziwe orkiestry. I to wcale nie jest kłamstwo ani bólu nie koi, to po prostu — dzięki lasce - nadmiar sił w chwili, w której ból wyniszczył widomie wszystkie moje siły aż po rozryte przezeń dno mojej istoty. Jakiż to zatem nadmiar?

Wczorajszy list do Maksa. Kłamiwy, pusty, komediancki. Tydzień w Siremie.

W pokoju nie postąpisz naprzód, w wojnie się wykrwawisz.

Sen Werfla: opowiadał, że w Austrii Dolnej, gdzie teraz przebywa, przypadkiem potrafił lekko na ulicy jakiegoś człowieka, który z miejsca okrutnie go za to zbeszał. Poszczególne słowa zapomniałem, wiem tylko, że zgrzytnął „barbarzyńca” (z wojny światowej), a zakończenie brzmiało: „ty proletariacki Turchu”. Interesujący twór: „Turch”, dialektyczna namiastka słowa „Turek”, a „Turek” to obelga chyba jeszcze z tradycji dawnych wojen tureckich i obelg Wiednia; łącznie z nią obelga nowa „proletariacki”. Charakteryzuje wybornie głupotę i wstecznicstwo „lżącego”, jako że ani słowo „proletariacki”, ani też „Turek” nie są dziś istotnie obelgami.

21 września. F. była tu, jechała, aby mnie ujrzeć, trzydzieści godzin, powinienem był nie dopuścić

do tego. Jak sobie wyobrażam, przeżywa ona zasadniczo z mojej winy szczyt nieszczęścia. Co do mnie — nie mogę odzyskać równowagi, jestem kompletnie nieczuły, kompletnie bezradny, myślę o zakłóceniu kilku swych wygód i w charakterze jedyne go ustępstwa trochę gram komedię. W „drobiazgach F. nie ma racji, nie ma też racji, broniąc swego domniemanego czy też rzeczywistego prawa, na ogół jednak jest skazana niewinnie na okrutną torturę; ja wyrządziłem krzywdę, za którą ją się torturuje, przy tym uruchamiam sam narządzie tortur. Dzień kończy się jej odjazdem (powóz unoszący ją i Ottlę okrąża staw, idę wprost na przelaj i zbliżę się do niej raz jeszcze) i moim bólem głowy (ostatnią spuścizną ziemską komedianta).

Sen o ojcu. Przed nielicznym audytorium (szczegół charakterystyczny — jest tam pani Fanta) ojciec po raz pierwszy oznajmia publicznie pewną ideę reformy społecznej. Chodzi mu o to, by owo wybrane — dokładniej — jego zdaniem wybrane audytorium podjęło się propagandy na rzecz tej idei. Uzewnętrznia to znacznie skromniej, żądając od zebranych tylko, by później, po zaznajomieniu się z całością programu, podali mu adresy osób interesujących się ową ideą; osób zatem, które można by zaprosić na mające się odbyć w najbliższej przyszłości wielkie publiczne zgromadzenie. Mój ojciec nie miał nigdy do czynienia z tymi ludźmi, wskutek czego bierze ich przesadnie serio, wdział nawet Czarny anielez i obnasza swoją ideę w sposób skrajnie precyzyjny, z wszelkimi oznakami dyletantyzmu. Towarzystwo, jakkolwiek ani trochę nie przygotowane na odczyt, dorozumiewa się w nim natychmiast jedynie napęczniałego całą pychą oryginalności wykładu starej wyświechtanej, z dawna obgadanej idei. Dają to ojcu do zrozumienia. Jednak on oczekiwał tego zarzutu, niemniej z wielkodusznym przeświadczeniem o jego nieważności — choć wydaje się, że podobna obiekcja kusila go już niejednokrotnie — kontynuuje swoje przemówienie jeszcze dobitniej, z subtelnym i gorzkim uśmiechem. Gdy skończył, można było wyczuć ze zgryźliwego pomruku zebranych, że nie przekonał nikogo ani o oryginalności, ani o użyteczności swojej idei. Niewielu ludzi okaże jej zainteresowanie. A przecież tu i ówdzie znajdzie się ktoś, kto z dobrego serca albo z uwagi na znajomość ze mną poda mu parę adresów. Mój ojciec, ani trochę się nie łudząc co do ogólnego nastroju, odsunął na bok arkusze z tekstem odczytu i przysunął przed siebie przygotowane zawczasu stosy białych kartek, aby zanotować nieliczne adresy. Słyszę tylko nazwisko radcy dworu, niejakiego Strizanowskiego lub podobnego. Potem widzę ojca w pozie podobnej do tej, jaką przybiera podczas gry z *Feliksem*, siostrzeniec Kafki siedzącego na podłodze i opierającego się o kanapę. Pytam go z przestachem, co czyni. Przemysliwa nad swoją ideą.

22 września. Nic.

25 września. Droga do lasu. Zniszczyłeś wszystko, nie posiadłszy właściwie niczego. Jakże chcesz to skłecić znowu? Jakie siły do tej najważniejszej pracy pozostają jeszcze zerwanemu z uwięzi duchowi?

*Nowa płeć Taggera*, Das neue Geschlecht Taggera. Tagger Theodor (ur. 1891) — austriacki pisarz i poeta, również autor esejów, w których występował jako zwolennik ekspresjonizmu, później freudysta.

nędzne, pyskate, ruchliwe, wytrawne, miejscami dobrze pisane, niekiedy z przelotnym dreszczykiem dyletantyzmu. Jakim prawem rąbie prawdę. W gruncie rzeczy taki sam nędzarz jak ja, jak wszyscy.

Niezupełnie to zbrodnia jako gruźlik płodzić dzieci. Na gruźlicę był chory ojciec Flauberta. Do wyboru: albo w płucu dziecka ozwie się flet (wyborne określenie dźwięków, jakie lekarz łowi uchem w piersi), albo z dziecka wyrośnie Flaubert. Drżenie ojca, gdy, się to w próżni rozstrzyga.

Przelotne zadowolenie mogą mi jeszcze dać prace takie, jak Lekarz wiejski, przyjąwszy, że mi się uda coś jeszcze w tym rodzaju. Szczęścia jednak doznam tylko wtedy, gdy będę mógł podnieść świat na wyżyny czystości, prawdy, niezmienności.

Biczom, którymi sieczemy się nawzajem, przybyło sporo węzłów w ostatnim pięcioleciu.

28 września. Schemat rozmów z F.:

Ja — Tylem więc wskórał.

F. — To ja tyle wskórałam.

Ja — Tylem wskórał z tobą.

F. — To prawda.

A zatem śmierci bym się powierzył. Szczałek jakiejś wiary. Powrót do ojca. Wielki dzień pojednania.

Z listu do F., być może ostatniego (1 października). Kiedy badam się co do swego ostatecznego celu, wówczas okazuje się, że nie dążę właściwie do tego, aby stać się dobrym człowiekiem i odpowiedzieć wymaganiom jakiegoś najwyższego trybunału, lecz zgoła przeciwnie — do tego, aby zyskać ogólny rzut oka na całą społeczność ludzką i zwierzęcą; aby poznać zasadnicze ich upodobania, pragnienia i ideały moralne; aby momenty te sprowadzić do zaleceń prostych, a samemu rozwinąć się w ich kierunku możliwie prędko, tak iżbym stał się wszystkim bez zastrzeżeń miły i (tu wychodzi szydło z worka) tak bardzo miły, abym nie tracąc powszechnej miłości, mógł w końcu jako jedyny grzesznik nie przypiekany praktykować jawnie, na oczach wszystkich, tkwiące we mnie podłości. Krótko mówiąc, dbam jedynie o sąd ludzki i ten właśnie sąd chcę oszukać, nie popelniając zresztą oszustwa.

8 października. Utyskujące listy F., G. B. grozi listem. Stan beznadziejny (*courbature* <sup>ból w krzyżach</sup>). Żywienie kóz, zryte przez myszy pola, nać ziemniaczana („Jak wicher dmie nam w zadek”), zrywanie głogu, chłop F. (siedem córek, jedna z nich drobna, o słodkim spojrzeniu, z białym królikiem na ramieniu), w izbie obraz Cesarz Franciszek Józef w krypcie kapucynów, chłop K. (potężny, chępliwa w skali światowej opowieść o dziejach jego własnej zagrody, mimo to przyjazny i dobroduszny). Ogólne wrażenie, jakie sprawiają chłopci: to szlachta, która szuka oparcia w gospodarce wiejskiej, gdzie pracę swą zorganizowała tak mądrze i tak skromnie, że praca ta wypełnia szczelnie całokształt życia, chroniąc pracowników przed brakiem równowagi i przed morską chorobą, aż bogobojnie oddadzą ducha. To prawdziwi obywatele ziemscy. Chłopcy, którzy nad wieczorem ganiają po dalekich niwach na hale za pierzchającym w rozsypce bydłem, zaś młodego spętanego byczka, opierającego się w tyle za stadem, muszą ciągle szarpać na wszystkie strony.

Copperfield Dickensa (*Palacz* to wierne naśladownictwo Dickensa, w większym jeszcze stopniu przemyślany). Powieść-walizka, ktoś uszczęśliwia i czaruje, przyziemne prace, ukochana w wiejskiej posiadłości, brudne domy m. in., przede wszystkim jednak metoda. Celem moim było, jak widzę teraz, napisać powieść w stylu Dickensa, wzbogaconą tylko o światła ostrzejsze, które wykrzesałbym z epiki, i bardziej stonowane, które dobyłbym z samego siebie. Bogactwo Dickensa, spontaniczny, rwący pęd, wskutek tego jednak mielizny przeraźliwej niemocy, gdzie autor znużony grzebie tylko bezładnie w dotychczasowych osiągnięciach. Bezsensowna całość sprawia wrażenie barbarzyństwa, którego ja skądinąd uniknąłem dzięki swej niemocy oraz doświadczeniom własnego epigoństwa. Brak serca przysłonięty manierą przelewającego się nadmiaru uczuć. Ach, te kloce prymitywnej charakterystyki, jakie Dickens piętrzy sztucznie przy każdej postaci, nie umiając bez nich ani razu wygramolić się ze swej opowieści. (Pokrewieństwo **Walsera** z nim, jeśli chodzi o mgliste kontury oderwanych przenośni.)  
Walszer Robert (ur. 1878), szwajcarski pisarz, autor szkiców, powieści, poematów.

9 października. W gościnie u chłopca Luftnera. Przestronna sień. Teatralna całość. On — nerwowy, hi hi, ha ha, wali pięścią w stół, podnosi rękę, wzrusza ramionami, unosi wysoko kufel piwa, jak żołdak Wallensteina. Przy nim żona staruszka, którą jako parobek poślubił dziesięć lat temu. Jest namiętnym myśliwym, zaniedbuje gospodarstwo. Potężne dwa konie w stajni, homeryckie zjawy w przelotnym błysku słońca, które wejrzało w okno stajenne.

14 października. Osiemnastoletni młodzieniec przychodzi pożegnać nas, jutro idzie do wojska: „Idąc jutro do wojska przychodzę zyskać urlop od was”.

15 października. Wieczorem drogą bitą ku Oberklee. Zaszedłem tam, bo w kuchni rozsiedli się dwaj węgierscy żołnierze z Schafferem.

Widok z okna Ottli o zmroku, za drogą dom, a za domem już otwarte pole.

K. z żoną na swoich polach, na zboczu na wprost mego okna.

21 października. Piękny dzień, słonecznie, ciepło i bezwietrznie.

Przeważająca ilość psów szczeka bezmyślnie, ledwie ktoś się z oddali przybliży; niektóre jednak, może i nie najlepsi stróże, ale istoty rozumne, pokojowo podchodzące do obcego, obwąchują go i

szczekają dopiero przy podejrzanym zapachu.

6 listopada. Kompletna niemoc.

10 listopada. Tego, co rozstrzygająco ważne, nie zapisałem dotychczas, płynę jeszcze dwoma korytami. Czekam na pracę olbrzymia.

Sen o bitwie pod Tagliamento: równina, rzeki, brak wielu tłoczących się niespokojnie widzów, gotowych — zależnie od sytuacji — biec naprzód albo w tył. Przed nami płaskowyż, którego skraj na przemian łysy lub porośnięty wysokimi krzakami, widać wyraźnie. Na płycie wzniesienia i poza nią walczą Austriacy. Ogarnia nas napięcie; jak to się skończy, widać chwilami, jak chyba dla dodania ducha spoza samotnych krzaków na cienistej pochyłości strzela jeden albo dwu Włochów. Nie ma to jednak znaczenia, na wszelki zresztą wypadek odbiegamy nieco. Potem znowu płaskowyż: Austriacy biegną wzdłuż bezdrzewnego skraju, nagle przystają za krzakami, biegną dalej. Widać, że jest źle, nie sposób również sądzić, jak mogłoby kiedykolwiek być dobrze; jak można, będąc przeciw tylko człowiekiem, zwyciężać ludzi uzbrojonych, którzy chcą się bronić. Wielka rozpacz; wszyscy będą musieli uciekać. Nagle pojawia się pewien pruski major, który zresztą przez cały czas obserwował razem z nami bitwę; gdy wkracza teraz spokojnie w opustoszałą nagle placówkę, jawi się jako ktoś nowy. Wkłada dwa palce każdej swej ręki w usta i gwizda, jak gwizdże się na psa, tylko łagodnie. Sygnał przeznaczony jest dla jego oddziału, który czekał opodal, a teraz maszeruje naprzód. To pruska gwardia, milczący młodzi ludzie, nieliczni, może zaledwie kompania, sami chyba oficerowie, przynajmniej szable mają długie, ciemne mundury. Otóż gdy tak krótkim krokiem, zwolna, w zwartym szyku przemaszerowują obok nas, spoglądają ku nam niekiedy, oczywistość tego pochodu na śmierć jest równocześnie wzruszająca, podniosła i wieszcząca zwycięstwo. Uratowany akcją zaczepną tych ludzi budzę się.

## 1919

27 czerwca. Wznowienie Dziennika właściwie dlatego tylko, bo czytałem fragmenty dawnego. Pewne motywy i zamysły, których nie da się określić w sposób ścisły teraz, na kwadrans przed północą.

30 czerwca. Byłem w parku Riegerów. Chodziłem z J. tam i z powrotem wzdłuż jaśminowych krzewów.

J. W., druga narzeczona Kafki, z którą zaręczony był tylko pół roku.

Kłamca i szczerzy; kłamca w westchnieniach, szczerzy w przywiązaniu, w ufności, w skrytości. Niepokój serca.

6 lipca. Wciąż od nowa jednakowa myśl, żądza i strach. A przecież spokojniejszy jestem niż zwykle, jak gdyby dokonywał się olbrzymi rozrost, którego odlegle drgania odczuwam. Za wiele powiedziałem.

5 grudnia. Znowu przedarłem się przez ów długi, straszliwy, ciasny wrąb, który sforsować można właściwie tylko we śnie.

Dobrowolnie na jawie nie powiodłoby się to chyba nigdy.

8 grudnia. W poniedziałek dzień świąteczny w ogrodzie, w restauracji, w galerii. Cierpienie i radość, wina i bezwina, niby dwie nierozłącznie splecione z sobą dłonie, trzeba by je przeciąć przez ciało, przez krew i kość.

9 grudnia. Czytałem długo o *Elieseusie*. Kafka czytał wówczas *Blogosławieństwo ziemi K. Hamsuna*. Ale dokądkolwiek się zwrócę, wali ku mnie czarna fala.

11 grudnia. Czwartek. Zimno. Bez słowa z J. w parku Riegerów. Zbałamucenie na Grabenie. Za trudne to wszystko. Nie dość jestem przygotowany. To w pewnym duchowym sensie tak, jak przed dwudziestu sześciu laty przepowiedział nauczyciel Beck, nie zdając sobie zresztą sprawy z prorocznego charakteru żartu: „Zostawcie go jeszcze w piątej klasie, jest za słaby, taki sztuczny pośpiech mści się później”. Faktycznie wyrosłem tak, jak zbyt spieszenie pędzone, a potem zapomniane sadzonki — taka sobie artystyczna ozdoba o chwiejnych ruchach, gdy przeciąg powieje;

ostatecznie coś nawet w ruchach tych wzruszającego, to wszystko. Jak u Eleseusa podczas jego służbowego objazdu miast na wiosnę. Przy czym nie wolno go ani trochę nie doceniać; Eleseus mógłby nawet zostać bohaterem powieści i stałby się nim prawdopodobnie w młodych latach Hamsuna.

## 1920

6 stycznia. Wszystko, co czyni, wydaje mu się niezwykle nowe. Gdyby nie miało świeżości życia, byłoby na mocy swej własnej wartości — on wie o tym w sposób nieunikniony — częstką dawnego piekielnego bagna. Ale ta świeżość ludzi go, pozwala mu zapomnieć czy też lekceważyć, czy nawet przejrzeć na wskroś — co prawda bezboleśnie. Bo przecież dziś jest niezaprzeczenie ten właśnie dzisiejszy dzień, w którym postęp sposobi się do tego, by postępować.

9 stycznia. Zabobon, zarazem fundament i umożliwienie życia. Niebem występków osiąga się piekło cnoty. Tak łatwo? Tak brudno? Tak nieczyszczalnie? Zabobon jest wygodny.

Wycięto mu kawałek potylicy. Razem ze słońcem zagląda do czaszki cały świat. Drażni go to, odsuwa od pracy; złości się, że to on właśnie ma być wykluczony z przedstawienia.

Nie jest kontrargumentem na przeczcucie ostatecznego wyzwolenia, gdy nazajutrz niewola pozostanie jeszcze bez zmian lub nawet się zaostrzy, lub wreszcie, gdy wyraźnie oświadczą nam, że nie ustanie nigdy. Wszystko to może okazać się raczej bezwzględny warunkiem ostatecznego wyzwolenia.

## 1921

15 października. Wszystkie Dzienniki dałem mniej więcej przed tygodniem **M. Milenę Jesenską, utalentowaną pisarkę czeską, poznał Kafka z początkiem 1920 r. Zawiązała się między nimi gorąca przyjaźń, potem miłość, która stała się dla Kafki źródłem najintensywniejszych przeżyć i po dwóch latach skończyła się zerwaniem. W 1939 r. Milena Jesenska została aresztowana w Pradze; zginęła w obozie koncentracyjnym.**

Czym trochę swobodniejszy? Nie. Czy jeszcze zdolny jestem pisać nadal coś w rodzaju dziennika? Będzie to w każdym razie wyglądało inaczej, a raczej zamaskuje się, przestanie w ogóle istnieć; na przykład na temat **Hardta**, który przecież interesował mnie stosunkowo żywo, byłbym tylko z **Hardt Ernst (1876—1947), pisarz niemiecki, wydał zbiór nowel, dramaty oraz przekłady.**

Tak, jak gdybym już dawno wszystko o nim napisał lub, co na jedno wychodzi, jak gdybym nie żył już. O M. mógłbym pisać łatwo, lecz również nie na skutek swobodnego postanowienia, to zwracałoby się także zanadto przeciwko mnie, nie potrzebuję już, jak to kiedyś bywało, uświadamiać sobie takich spraw w pewnych okolicznościach; pod tym względem obecnie nie jestem taki zapominalski jak dawniej, jestem żywą pamięcią i stąd również bezsenność.

16 października. Niedziela. Nieszczęście, jakim jest ustawiczne rozpoczynanie, brak złudzeń, że wszystko jest tylko początkiem, a nawet nie początkiem, błazeństwo bliźnich, którzy tego nie wiedzą i grają na przykład w piłkę nożną po to, aby raz wreszcie „posunąć się naprzód”; błazeństwo własne, pogrzebane samo w sobie niby w trumnie, błazeństwo bliźnich, którym się zdaje, że widzą tu prawdziwą trumnę, trumnę więc, którą można transportować, otworzyć, zniszczyć lub zamienić na inną.

Między młodymi kobietami w górnej części parku. Ani odrobiny zazdrości. Mają dosyć fantazji, aby dzielić swoje szczęście, sąd dość bystry, by wiedzieć, że na to szczęście za słaby; dość głupoty, by wierzyć, iż przeglądają na wskroś sytuację życiową ich i własną. Nie, nie dość głupoty, jest tu mała szczelina, gwizdże przez nią wiatr i psuje pełny rezonans.

Jeżeli pragnę gorąco być lekkoatletą, to tak, jak gdybym pragnął dostać się do nieba i mógł tam być tak desperacko nieszczęśliwy jak tutaj.

Chociażby to, czym rozporządzam, było jak najnędniejsze, w takich samych okolicznościach (uwzględniając zwłaszcza słabość woli), nawet najnędniejsze na ziemi, muszę przecież nawet w

światle własnej swej oceny starać się osiągnąć z tym jak najlepsze wyniki; często sofistyką jest utrzymywać, że można przy pomocy tego osiągnąć tylko jedno i że to jedno byłoby zatem również i czymś najlepszym, a tym jest rozpacz.

17 października. Poza faktem, że nie nauczyłem się niczego pożytecznego i że w związku z tym sam także zaprzepaściłem moje ciało, może kryć się cel. Chciałem uniknąć życiowego wypaczenia, mianowicie wypaczenia przez radość życia pożytecznego i zdrowego mężczyzny. Jak gdyby choroba i rozpacz nie musiały mnie co najmniej w tym samym stopniu wypaczyć.

Potrafiłbym tę myśl w przeróżny sposób wygładzić i dzięki temu doprowadzić do końca na swoją korzyść, jednak nie porywam się na to i nie wierzę — przynajmniej dzisiaj i podobnie w większości dni swoich — w żadne pomyślnie dla mnie rozwiązanie.

Nie zazdrozczę jakiejś jednej parze małżeńskiej, zazdrozczę jedynie wszystkim parom małżeńskim — a jeśli zazdrozczę tylko jednej, to zazdrozczę właściwie wszelkiego szczęścia małżeńskiego w jego nieprzeliczonej wielopostaciowości, bo przez szczęście jednego tylko małżeństwa popadłbym prawdopodobnie — nawet w najpomyślniejszych okolicznościach — w rozpacz.

Nie wierzę, by istnieli ludzie o stanie wewnętrznym podobnym do mojego, niemniej mogę sobie takich ludzi wyobrazić; tego jednak, by wokół ich głowy, tak jak wokół mojej, krążył wciąż tajemniczy kruk — tego nawet wyobrazić sobie nie mogę.

Systematyczne wyniszczenie mojej istoty w ciągu lat jest zdumiewające, dokonało się ono niby postępujący powoli wyłom w grobli, jako działanie w całej pełni celowe. Duch, który dopiął tego, musi teraz święcić triumfy i czemuż to nie pozwala mi uczestniczyć w nich? Ale być może nie dobiegł jeszcze, kresu w swym zamyśle i nie potrafi dlatego myśleć o niczym innym.

18 października. Wieczne dzieciństwo. Znowu jakiś zew życia.

Znakomicie można wyobrazić sobie, że wspaniałość życia otacza każdego człowieka i to zawsze całą pełnią swej gotowości, ale przysłonięta, skryta w głębi, niewidzialna, bardzo odległa. Lecz tkwi tam wcale nie wroga, nie oporna, nie głucha. Gdy się ją wezwie właściwym słowem, po imieniu, przyjdzie. Oto istota magii, która nie tworzy, tylko wzywa.

19 października. Istota drogi przez pustynię. Człowiek, który jako wódz swego organizmu przebywa tę drogę resztką (że czymś więcej — trudno byłoby wyobrazić sobie) świadomości tego, co się dzieje. Ziemię Kanaan czuje węchem przez całe swoje życie. Niewiarygodne, aby ujrzał tę krainę jeszcze przed swą śmiercią. Jedynym możliwym sensem tej właśnie nadziei jest wykazanie, jak bardzo niedoskonałą chwilą jest życie ludzkie; niedoskonałą, ponieważ ten rodzaj życia mógłby trwać w nieskończoność, choć nie wynikłoby stąd przecież nic, tylko chwila. Możesz nie dociepa do Kanaan nie dlatego, że jego życie było za krótkie, lecz dlatego, że było życiem ludzkim. To zakończenie *Pięcioksięgu* Mojżesza jest poniekąd podobne do sceny końcowej utworu *Wychowanie sentymentalne*.

Człowiekowi, który za życia nie upora się z życiem, trzeba jednej ręki do choćby częściowego odpędzenia rozpaczyny nad własną dolą — udaje się to bardzo niedoskonale — drugą ręką może zapisywać to, co dostrzeże pod gruzami, widzi bowiem inaczej i więcej niż inni, jest przecież trupem za życia oraz tym, kto właściwie pozostaje przy życiu. Przy czym zakłada się, że do walki z rozpaczą nie trzeba mu obu rąk ani więcej, niż ich posiada.

20 października. Po południu Langer, potem Maks czyta *Franzi*.

Widziadło senne, krótkotrwałe, w kurczowym krótkim śnie, kurczowo mną ovladnęło w bezmiernym szczęściu. Widziadło o mnóstwie rozgałęzień, obejmujące tysiąc w oka mgnieniu sprecyzowanych skojarzeń, pozostało zaledwie wspomnienie zasadniczego uczucia: mój, brat popełnił zbrodnię, zdaje się morderstwo, ja oraz inne postacie jesteśmy współnikami tej zbrodni; kara, odpuszczenie, zbawienie zbliża się z oddali, narasta potężnie, wiele znaków wieści jej niepowstrzymanie rosnącą bliskość, moja siostra, zdaje się, oznajmia jeden po drugim owe znaki, które ja za każdym razem witam szaleńczymi okrzykami, moje szaleństwo wzmaga się w miarę zbliżania. Sądziłem, że mych poszczególnych okrzyków krótkozdaniowych nie zdołam dzięki ich



wyrazistości nigdy zapomnieć, a teraz żadnego z nich nie przypominam już sobie dokładnie. Mogły to być tylko okrzyki, bo mówienie sprawiało mi wielką trudność, musiałem wydymać policzki i jak przy bólu zębów wykrzywiać przy tym usta, nim wydobyłem z siebie słowo. Szczęście polegało na tym, że kara nadeszła i że powitałem ją z taką swobodą, przeświadczeniem i szczęściem, iż widok ów musiał wzruszyć bogów, a to. wzruszenie bogów odczułem i ja prawie do łez.

21 października. Nie mógł wejść do domu, posłyszał bowiem głos mówiący doń: „Poczekaj, aż cię wprowadzę”.

Tak więc leżał ciągle jeszcze w pyłe przed domem, choć wszystko już chyba było beznadziejne (jak by się wyraziła Sara).

Wszystko jest igraszką wyobraźni, rodzina, biuro, przyjaciele, ulica — wszystko igraszką dalszą lub bliższą, nawet kobieta; prawdą najbardziej bezpośrednią jest tylko to, że przyciskasz głowę do ściany bezokiennej celi bez drzwi.

22 października. Znacząca, spec — ktoś, kto posiada wiedzę w swej dziedzinie, wiedzę co prawda nieprzekazywalną, na szczęście jednak nikomu, jak się zdaje, niepotrzebną.

23 października. Po południu film o Palestynie.

25 października. Wczoraj **Ehrenstein**. Ehrenstein Albert (1886—1950), austriacki pisarz, poeta, eseista.

Rodzice grali w karty; siedziałem obok sam w nastroju zupełnej obcości; ojciec powiedział, że powinienem wziąć udział w grze albo przynajmniej się przyglądać; wykręciłem się od tego. Cóż oznaczała ta od lat dziecinnych często powtarzana odmowa? Wspólne, poniekąd publiczne życie stało się dla mnie dostępne dzięki zaproszeniu; na wyczyn, którego żądano ode mnie w charakterze udziału, zdobyłbym się może nie najlepiej, ale znośnie, gra prawdopodobnie nie znudziłaby mnie nawet zbytnio — mimo to odmówiłem. Sądząc według tego błędę, kiedy się skarżę, że mnie nigdy nurt życia nie porwał, że nigdy nie oderwałem się od Pragi, że nigdy mnie nic nie popchnęło w stronę sportu albo rzemiosła i tym podobnie — taką ofertę odrzucałbym, jak sądę, tak jak zaproszenie do gry. Dostęp zyskałem tylko do tego, co było bezsensowne: studium prawa, biuro i potem bezsensowne dodatki, jak nieco pracy ogrodniczej, stolarka i tym podobne, dodatki te należy pojmować tak, jak sposób postępowania kogoś, kto głodnego żebraka wyrzuca za drzwi i gra potem sam dobroczyńcę, przekładając litościwe datki z prawej do lewej ręki.

Odmawiałem jednak zawsze zapewne z ogólnej słabości, a zwłaszcza ze słabości woli, rozumiałem to dopiero stosunkowo bardzo późno. Uważałem dawniej taką odmowę za przejaw najczęściej pomyślny (zwodziły mnie powszechnie i dobre nadzieje) pokładane w sobie samym, dzisiaj pozostał już tylko szczątek owej przychylnej interpretacji.

29 października. Jednego z następnych wieczorów przecież w czymś uczestniczyłem notując dla matki pozycję utargu. Nie wynikło stąd jednak żadne zbliżenie, a jeśli pojawił się nawet pewien jego ślad, to wzięło nad nim górę brzemień znużenia, nudy, żalu za straconym czasem. Tak działałoby się zawsze. To pogranicze samotności i wspólnoty przekraczałem jak najrzadziej, co więcej, zapuściłem tam korzenie głębiej niż w samej samotności. Ach jak pełnym życia, pięknym łodem była w porównaniu z tym wyspa Robinsona.

30 października. Po południu teatr, Pallenberg.

Moje duchowe możliwości (nie chcę powiedzieć przedstawienie lub poetyckie odtworzenie postaci Skąpca, lecz) względem samego Skąpca. Potrzebny byłby tu tylko szybki, stanowczy chwyt, cała orkiestra patrzy jak urzeczona w punkt, gdzie ponad pulpitem dyrygenta ma unieść się batuta.

Poczucie zupełnej bezradności.

Cóż wiąże cię z tymi ostro odgraniczonymi, mówiącymi, błyskającymi oczyma ciałami silniej niż z dowolnym przedmiotem, na przykład z obsadką do pióra w twojej ręce? To może, żeś z ich gatunku? Ale tyś nie z ich gatunku, przecież dlatego wysunąłem to pytanie.

Ostre odgraniczenie ludzkich ciał jest czymś przerażającym. Jakże dziwne i nieodgadnione jest to, że nie przepada wszystko — milcząca Opatrzność. Absurdalność twierdzenia: „jeśli chodzi o mnie, ja sam przepadłbym już dawno”. Jeśli chodzi o mnie —

1 listopada. *Śpiew kozła* Werfla..

Swobodne rozporządzenie światem przy podeptaniu jego praw. Nadanie prawa. Szczęście wynikające z tej wierności prawu.

Nie sposób jednak nadać światu takie tylko prawo, aby wszystko pozostało po starym, a tylko nowy prawodawca miał być wolny. To byłoby nie prawem, lecz samowolą, buntem, samoskazaniem.

2 listopada. Mglista nadzieja, mglista ufność.

Nie kończące się, smutne popołudnie niedzielne, które pochłania całe lata: złożone z lat popołudnie. Na przemian rozpacz w pustych uliczkach i ukojenie na kanapie. Niekiedy zdumiewam się na widok niemal bez. przerwy przeciągających bezbarwnych, bezsensownych chmur. „Jesteś przeznaczony na Wielki Poniedziałek!” „Ładnie powiedziane, ale niedziela nie kończy się nigdy”.

3 listopada. Zew.

7 listopada. Nieunikniony obowiązek samoobserwacji: gdy obserwuje mnie ktoś inny, muszę oczywiście obserwować również siebie sam; gdy nie obserwuje mnie nikt inny, muszę obserwować siebie tym dokładniej.

Każdy, kto poróżni się ze mną, albo komu się stanę obojętny czy uciążliwy, wart jest zazdrości ze względu na łatwość, z jaką może uwolnić się ode mnie (przyjąwszy chyba, że w grę nie wchodzi życie; kiedy pewnego razu w związku z F. zdawało się, że chodzi o życie, nie było łatwo uwolnić się ode mnie; co prawda byłem wówczas młody w pełni sił, moje pragnienia były również w pełni sił.)

1 grudnia. M. po czterokrotnych odwiedzinach wyjechała, odjeżdża jutro. Cztery dni spokojniejsze. wśród męczarni dni innych. Od tego, że nie smucę się jej odjazdem —właściwie się nie smucę — daleko do stwierdzenia, że jednak jestem nieskończenie smutny z powodu jej odjazdu: zapewne smutek nie jest czymś najgorszym.

2 grudnia. Piszę listy w pokoju rodziców. Sposobów upadku nie da się ogarnąć myślą. Ostatnio wyobrażam sobie, że gdy byłem małym dzieckiem, mój ojciec zwyciężył mnie i teraz tylko pycha nie pozwala mi zejść z placu boju przez te wszystkie lata, jakkolwiek ponoszę coraz to nowe klęski. Zawsze M. albo nie M., lecz jest to zasada, światło W ciemności.

6 grudnia. Z pewnego listu: „Grzeję się tym w czasie tej smutnej zimy”. Przenośnię są jednym z wielu momentów doprowadzających mnie do zwątpienia w to, co piszę. Niesamodzielność pisania, zależność od służącej, która pali w piecu, od kota, który się przy piecu grzeje, nawet od biednego, grzejącego się starca. To wszystko są sprawy niezależne, samodzielne, tylko pisanie jest bezradne, nie mieszka samo w sobie, jest żartem i rozpaczą.

Dwoje dzieci pozostawionych samotnie w mieszkaniu weszło do wielkiego kufra, wieko zapadło, one nie mogły otworzyć i udużyły się.

20 grudnia. Wiele przecierpiałem w myślach.

Z głębokiego snu wyrwał mnie strach. Pośrodku pokoju, przy małym stoliku siedział w świetle świecy obcy człowiek. Rozsiadł się w półmroku szeroko i ciężko, a rozpięta kurtka zimowa poszerzała go jeszcze bardziej.

Do głębszego przemyślenia.

Raabe w agonii, gdy jego żona pogłaskała go po czole: „To pięknie”.

Dziadek śmiejący się do wnuka bezzębnymi ustami.

Pewnego rodzaju szczęściem jest niezaprzeczenie móc spokojnie zapisać te słowa: „dusić się to rzecz straszna, nie do pomyślenia”. Zapewne nie do pomyślenia, a więc niczego by przecież nie

napisano.

23 grudnia. Znowu ślęczałem nad pismem *Naś skautik* czasopismo czeskiego skautingu. *Śmierć Iwana Iljicza*  
opowiadanie L. Tolstoja.

1922

16 stycznia. W ubiegłym tygodniu nastąpiło jak gdyby załamanie, tak całkowite, jak chyba tylko w ciągu pamiętnej nocy przed dwoma laty, innego przykładu nie miałem w życiu. Zdawało się, że wszystko dobiega końca, a i dziś wydaje się, że nie jest inaczej. Można to pojmować dwojako i nawet należy to czynić równocześnie.

Po pierwsze: załamanie, nie mogę spać, nie mogę czuć, nie mogę znieść życia, dokładniej mówiąc znieść tego, co ono przynosi. Zegary nie zgadzają się z sobą, zegar wewnętrzny pędzi naprzód diabelnie czy demonicznie, czy w każdym bądź razie nieludzko; zegar zewnętrzny, potykając się, idzie zwykłym swoim chodem. Cóż innego może się stać, jak nie rozdział obu tych odrębnych światów. Toteż oddzielają się one lub przynajmniej szamocą się z sobą w przerażający sposób. Dzięki bieg mechanizmu wewnętrznego może mieć rozmaite powody; najbardziej widoczny z nich to samoobserwacja, która nie pozwala uspokoić się żadnemu wyobrażeniu, a każde z nich podnieca, aby z kolei sama, jako podobne do tamtych wyobrażenia, mogła doznawać bodźców ze strony nowej samoobserwacji.

Po drugie: to ludzkość nadaje kierunek tym bodźcom. Samotność, po większej części od dawna narzucona mi przymusem, w części ja sam jej szukałem — lecz czymże było to, jak nie przymusem — staje się teraz niedwuznaczna i dochodzi do szczytu. Dokąd prowadzi? Może doprowadzić — I to wydaje się największym przymusem — do obłędu; na ten temat nie można powiedzieć nic bliższego, ten dziki pęd przenika mnie i rozszarpuje. Lub mogę — czy naprawdę mogę? — choćby w najmniejszym stopniu stawiać opór, pozwalam zatem unosić się temu pędowi. Dokąd dojdę w ten sposób? „Pęd” to przecież tylko obraz, równie dobrze mogę powiedzieć „atak na najdalszą granicę ziemską” i to atak od dołu, od strony ludzi — i mogę, gdyż i to jest też tylko obraz, zastąpić go obrazem ataku od góry, ku mnie, w dół.

Cała ta literatura jest atakiem na granicę i mogłaby —gdyby nie wplątał się tu syjonizm — przeobrazić się w nową wiedzę tajemną, w jakąś kabałę. Zadatki tego istnieją. Inna rzecz, jaki niepojęty geniusz byłby tu potrzebny —geniusz zdolny na nowo zapuścić korzenie w dawne stulecia albo dawne stulecia odtworzyć nie wyczerpując przy tym swoich sił, lecz ledwie nadwerężając je dopiero.

17 stycznia. Prawie bez zmian.

18 stycznia. Z tym nieco spokojniej, za to przybywa G. wybawienie czy pogorszenie, jak kto chce.

Pomyśl chwilę: pogódź się z losem, naucz się (naucz, czterdziestoletni) odpoczywać przez krótką chwilę (przecież umiałeś to dawniej). Tak, przez chwilę i to straszną. Ona nie jest straszna — straszną czyni ją strach przed przyszłością. I spojrzenie za siebie, oczywiście. Co uczyniłeś z darem płci? Nie udało ci się, powie ktoś w końcu — i to wszystko. Ale mogło łatwo udać się. Oczywiście rozstrzygnęła o tym drobnostka i to nawet niedostrzegalna. Czemu cię to dziwi? Podczas największych bitew w dziejach świata było tak samo. Drobnostki rozstrzygają o drobnostkach.

M. ma rację: strach jest nieszczęściem, stąd jednak wniosek, że szczęściem jest nie odwaga, lecz brak strachu; nie odwaga, która może porywać się na więcej niż siła (w mojej klasie było, dobrze pamiętam, tylko dwu Żydów, którzy mieli odwagę i obaj zastrzelili się jeszcze w gimnazjum lub niedługo potem), a więc nie odwaga, tylko brak strachu, spokojny, patrzący otwarcie, wszystko znoszący. Nie przymuszaj się do niczego, lecz nie bądź nieszczęśliwy z tego powodu, że się nie przymuszasz lub dlatego że, gdybyś miał to uczynić, musiałbyś się zmusić. A jeśli się nie zmuszasz, nie wymiguj się z niesłabnącą energią od możliwości przymusu. Oczywiście, to nigdy nie jest takie jasne, lub raczej, zawsze jest takie jasne, na przykład: popęd płciowy dręczy mnie, nęka mnie w dzień i w nocy; musiałbym przewyciężyć lęk i wstyd, i nawet żal, aby go zaspokoić, z drugiej strony jednak jest rzeczą pewną, że z okazji nadarzającej się szybko, blisko i łatwo skorzystałbym natychmiast bez lęku, żalu i wstydu; i tak, zgodnie z tym, co napisałem, pozostaje przecież zasada, aby nie przewyciężać lęku itd. (lecz również nie bawić się myślą o pokonywaniu go), tym niemniej jednak korzystać ze sposobności (nie narzekać tylko, gdy taka sposobność się nie nadarzy). Oczywiście istnieje coś pośredniego między „uczynkiem” a „okazją”, mianowicie sprowadzanie, zwabianie „okazji”, sposób postępowania, który stosowałem nie tylko tutaj, ale niestety wszędzie. Jeśli chodzi o

„zasadę”, nic tu prawie zarzucić nie można, tym niemniej to „zwabianie” okazji, szczególnie wówczas, gdy odbywa się przy pomocy nieodpowiednich środków, jest niebezpiecznie podobne do „bawienia się myślą o pokonywaniu” i nie ma w nim ani trochę spokojnego, szczerego męstwa. Właśnie wbrew „dosłownej” zgodności z „zasadą” jest to coś wstrętnego, coś, czego bezwarunkowo trzeba unikać. Oczywiście, aby unikać, trzeba się zmuszać i dlatego nie mogę sobie z tym poradzić.

19 stycznia. Cóż znaczą dzisiaj wczorajsze stwierdzenia? Znaczą to samo co wczoraj, są prawdziwe, tylko że krew wsącza się w szczeliny między wielkimi kamieniami owych zasad.

Siedzieć obok kołyski swojego dziecka, naprzeciw matki — głębokie, gorące, wyzwalające szczęście.

Jest w tym także coś z tego uczucia: nie nachodzi cię, chyba że sam tego pragniesz. Przeciwnie, uczucie człowieka bezdzietnego: nachodzi cię zawsze, czy chcesz czy nie, w każdym momencie aż po kres twoich dni, w każdym szarpiącym nerwy momencie, nachodzi cię ciągle i daremnie. Syzyf nie miał żony.

Nic złego; jeśli przekroczyłeś próg, wszystko jest w porządku. Inny świat i nie wolno ci nic mówić.

Oto dwa pytania: do Mileny Jesenskiej

Z powodu pewnych drobnostek, które wstydę się wymieniać, odniosłem wrażenie, że ostatnie odwiedziny były wprawdzie miłe i dumne jak zawsze, lecz jednak nieco wymuszone, jak wizyty u chorych.

Czy to wrażenie jest słuszne?

Czy w Dziennikach znalazłaś coś stanowczo przemawiającego przeciwko mnie?

20 stycznia. Trochę ciszej. Jakie to było potrzebne. Zaledwie uciszyło się trochę, już jest prawie za cicho. Jak gdybym siebie samego odczuwał prawdziwie tylko wówczas, gdy jestem nieszczęśliwy bardziej, niż znieść mogę. I to jest także słuszne.

Schwycony za kołnierz, wleczony po ulicach, wepchnięty w drzwi. Tak się przedstawia sytuacja schematycznie, w rzeczywistości działają tu siły przeciwne, tylko odrobinę, tę odrobinę, która podtrzymuje życie i mękę — bardziej nieokiełzane od tamtych. Jestem ofiarą obydwu.

A propos tego „za cicho”. Jest tak, jak gdyby — fizycznie, w jakiś sposób fizycznie, w wyniku latami trwających mąk (ufności! ufności!) — odcięto mi możliwość spokojnego, twórczego życia, a więc twórczego życia w ogóle, bowiem trwanie w męce jest dla mnie bez reszty męką, zamkniętą w sobie, niedostępną niczemu męką, tylko męką.

Torso: widziane z profilu, od górnego obrąbka pończochy ku górze, kolano, uda i biodra brunetki.

Tęsknota za własnym krajem? To nie jest pewne. Własny kraj sam wywołuje tęsknotę, tęsknotę bezgraniczną.

M. ma rację, jeśli chodzi o mnie: „wszystko wspaniale, tylko nie dla mnie, sprawiedliwie. Sprawiedliwie, mówię, i okazuję, że mam przynajmniej tę ufność. Lub może nawet jej nie mam? Bo właściwie nie, mam na myśli sprawiedliwości, w życiu — jeśli chodzi o samą siłę przekonania — nie ma miejsca na sprawiedliwość i niesprawiedliwość. Jak w pełnej rozpacznej godzinie śmierci nie możesz rozmyślać o sprawiedliwości i niesprawiedliwości, tak i w pełnym rozpacznej życiu. Wystarczy, że strzały tkwią dokładnie w ranach, które zadały.

Natomiast ani śladu nie ma u mnie jakiegogoś ogólnie potępiającego wyroku na pokolenie.

21 stycznia. Spokój nie jest jeszcze zbyt wielki. Nagle w teatrze na widok więzienia Florestanu otwiera się przepaść. Wszystko, śpiewacy, muzyka, publiczność, sąsiedztwo, wszystko odleglejsze niż przepaść.

Niczyje zadanie, o ile wiem, nie było tak ciężkie. Można by powiedzieć, że nie jest to właściwie jakieś zadanie, ani nawet jakieś zadanie niemożliwe do spełnienia, nie jest to nawet sama niemożliwość, to jest nic, mniej nawet niż dziecko, które w marzeniu stwarza nadzieja nieplodnej. A jednak jest powietrzem, którym będę oddychał, dopóki mi każą.

Zasnąłem po północy, obudziłem się o piątej. Niezwykły wyczyn, niezwykle szczęście; ponadto byłem jeszcze śpiący. Szczęście to było jednak moim nieszczęściem, gdyż oto zjawiała się myśl nieodparta: na tyle szczęścia nie zasługujesz, wszyscy bogowie zemsty zwałili się na mnie, widziałem, jak najstarszy rangą wśród nich, wściekły, rozczapierzył palce, grożąc mi, albo straszliwie uderzał w cymbały. Dwugodzinne podniecenie do siódmej rano pożarło mi nie tylko to, co zyskałem przez sen, lecz także sprawiło, że przez cały dzień byłem drżący i niespokojny.

Bez przodków, bez małżeństwa, bez potomków, a z dziką żądzą posiadania przodków, małżeństwa i potomków. Wszyscy wyciągają do mnie ręce: przodkowie, małżeństwo i potomstwo, ale są ode mnie za daleko.

Wszystko znajdzie sztuczną, nędzną namiastkę: przodkowie, małżeństwo i potomstwo. W skurczach bólu stwarza się ją i idzie dalej, jeśli się już nie szczyło z bólu i beznadziejności tej namiastki.

22 stycznia. Nocne postanowienie.

Uwaga na temat *Towarzyszy wspomnień* była prorocza zapewne, było to jasnowidzenie przy bardzo pomyślnych przesłankach. Podobieństwo do **O. R.** jest jeszcze ponadto uderzające: obaj spokojni (ja mniej), obaj zależni od rodziców (ja więcej), skłócenie z ojcem, kochani przez matkę (on skazany w dodatku na straszne współżycie z ojcem); obaj nieśmiali, nadmiernie skromni (on więcej), obaj uważani za szlachetnych, dobrych ludzi, z czego u mnie ani śladu, u niego, o ile mi wiadomo, także niewiele (nieśmiałość, skromność, bojaźliwość uchodzą za cechy szlachetne i dobre, ponieważ nie stawiają wielkiego oporu osobistym skłonnościom ekspansywnym), obaj najpierw hipochondrycy, potem rzeczywiście chorzy, obaj, jako próżniacy, wcale nieźle utrzymywani przez świat (jego — ponieważ był mniejszym próżniakiem — świat utrzymywał znacznie gorzej, o ile w tej chwili można porównywać); obaj urzędnicy (on —lepsy), obaj żyjący w największej monotonii, nie rozwijając się — młodzi aż do końca, bardziej właściwym określeniem niż „młodzi” jest „zakonserwowani”, obaj bliscy obłądu, on daleki od Żydów, z olbrzymią odwagą, olbrzymią siłą skoku (którą mierzyć można niebezpieczeństwem obłądu), uratowany przez Kościół, aż do końca jeszcze — o ile można powiedzieć — nie związani, on sam od lat już nie wolny. Różnicę na jego korzyść lub niekorzyść stanowi to, że miał mniejszy talent artystyczny niż ja, mógł więc w młodości wybrać lepszą drogę, nie doznawał takiego rozdarcia, z powodu ambicji również nie. Czy walczył (z sobą) o kobiety — nie wiem — jego nowela, którą czytałem, wskazywała na to. Opowiadano również, gdy byłem dzieckiem, coś w tym guście. Wiem o nim o wiele za mało, zapytać o to nie mam odwagi, zresztą dotychczas lekkomyślnie pisałem o nim jak o żyjącym. Nieprawda również, że nie był dobry, nie zauważyłem u niego ani śladu skąpstwa, zazdrości, zawiści, żądzy posiadania; na to, aby sam mógł pomagać, był przypuszczalnie za mały. Był nieskończenie bardziej niewinny niż ja, nie ma tu w ogóle żadnego porównania. W szczegółach był moją karykaturą, w istocie ja jestem jego karykaturą.

23 stycznia. Znowu przyszedł niepokój. Skąd? Z wiadomych myśli, które szybko się zapomina, lecz które zostawiają za sobą niepokój niezapomniany. Prędzej niż myśli mógłbym nazwać miejsce skąd pochodzą — jedno na przykład, na małej, poroślej trawie ścieżce, która prowadzi obok Staro-Nowej synagogi. Niepokój również od uczucia pewnego zadowolenia, które tu i ówdzie zbliżało się nieśmiało i dość odległe. Niepokój także stąd, że nocne postanowienie pozostaje tylko postanowieniem. Niepokój stąd, że moje życie dotychczas było marszem w miejscu, rozwojem co najwyżej w tym sensie, jakiemu ulega psujący się, obumarły ząb. Nie było to bynajmniej z mojej strony w jakikolwiek najmniejszy sposób ujawniające się kierowanie życiem. Było tak, jakby dano mi, tak jak każdemu innemu człowiekowi, środek koła, i jakbym następnie, tak jak każdy inny człowiek, miał kroczyć po decydującym promieniu, zataczając piękne koło. Zamiast tego wszystkiego rozpedzałem się tylko ciągle do tego promienia, ale na nowo musiałem natychmiast przerywać. (Przykłady: fortepian, skrzypce, języki, germanistyka, antysyjonizm, syjonizm, język hebrajski, ogrodnictwo, stolarstwo, literatura, próby ożenienia się, własne mieszkanie.) W środku wyimaginowanego koła, gdzie zaczynają się promienie, ogarnia drętwota, nie ma już miejsca na nową próbę, ten brak miejsca to wiek, nerwowość — a brak każdej następnej próby oznacza koniec. Jeśli zdarzyło się, że promień ten poprowadziłem kawałek dalej niż zazwyczaj, na przykład przy studiach prawniczych lub przy zaręczynach, wszystko było właśnie o ten kawałeczek gorsze, nie lepsze.

Odpowiedziałem M. o nocy, niewyczerpująco. Przyjmij symptomy, nie uskarżaj się na symptomy, zstępuj w dół, w cierpienie.

Niepokój serca.

24 stycznia. Szczęście młodych i starych małżonków w biurze. Dla mnie niedostępne, a gdyby stało się dostępne, dla mnie nie do zniesienia, a przecież jedyne, czym nasycić się byłbym w stanie.

Wahanie przed urodzeniem się. Jeśli istnieje wędrówka dusz, to ja nie jestem nawet na najniższym szczeblu. Moje życie jest tylko wahaniem przed urodzeniem się.

Stalość. Nie chcę rozwijać się w sposób określony, chcę znaleźć się na innym miejscu, które w rzeczywistości jest owym „wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”; wystarczyłoby mi, gdybym stanął tuż obok siebie, wystarczyłoby mi, gdybym miejsce, na którym stoję, mógł ogarnąć wzrokiem, jako całkiem inne.

Rozwój był prosty. Kiedy byłem jeszcze zadowolony, pragnąłem być niezadowolony i przy pomocy wszystkich dostępnych mi środków, jakie dawały czas i tradycja zepchnąłem się w niezadowolenie, teraz chciałbym móc wrócić. Byłem więc ciągle niezadowolony, także z mojego zadowolenia. Rzecz godna uwagi, że z komedii — przy dostatecznej systematyczności — może powstać rzeczywistość. Mój duchowy upadek rozpoczął się jak dziecinną, oczywiście świadomie dziecinną zabawą. Na przykład, sztucznie wprawiałem w drżenie mięśnie twarzy, chodziłem po Grabeniu z rękami założonymi w tyle głowy. Dziecinnie wstrętne, ale skuteczna zabawa. (Podobnie rzecz się miała z rozwojem charakteru pisma, tylko że ten rozwój niestety później utknął w miejscu.) Jeśli można w ten sposób wymuszać nadejście nieszczęścia — można wymuszać wszystko inne. Mogę — chociaż ten rozwój tak bardzo zdaje się mi zaprzeczać i nawet chociaż zaprzecza w ogóle mej istocie — myśleć tak, nie przyznawać w żaden sposób, że pierwsze początki mojego nieszczęścia były wewnętrzną koniecznością; mogły być koniecznością, ale nie wewnętrzną, przyleciały jak muchy i jak muchy dałyby się łatwo przepędzić.

Nieszczęście na drugim brzegu byłoby tak samo wielkie, przypuszczalnie większe (z powodu mojej niemocy), przekonałem się już o tym na podstawie doświadczenia; dźwignia właściwie drga jeszcze od czasu, gdy ją przelożyłem, ale dlaczego nieszczęście, jakim jest pozostawanie na tym brzegu, powiększam jeszcze przez tęsknotę za tamtym?

Smutny z określonego powodu. Od niego zależny. Zawsze w niebezpieczeństwie. Bez wyjścia. Jakie to było łatwe za pierwszym razem, jakie trudne jest teraz. Jak bezradnie spogląda na mnie tyran: „Dokąd mnie prowadzisz”? A więc mimo wszystko brak spokoju; popołudnie grzebie nadzieję poranka. Z takim życiem pojednać się w miłości — jest niemożliwe, z pewnością nie było jeszcze człowieka, który by to potrafił. Gdy inni ludzie dochodzili do tej granicy — już sam fakt dojścia jest pożalowania godny — wracali; ja tego nie potrafię. Wydaje mi się także, jak gdybym wcale tam nie doszedł, lecz że wtłoczono mnie tam już jako małe dziecko i przykuto łańcuchami; tylko świadomość nieszczęścia stopniowo świtała, samo nieszczęście było już faktem, aby je zobaczyć nie trzeba było proroczego widzenia, wystarczył przenikliwy wzrok.

Rano myślałem: „W ten sposób możesz przecież chyba żyć, teraz strzeż tylko tego życia przed kobietami”. Strzeż go przed kobietami, ale w owym „w ten sposób” — one już tkwią.

Powiedzieć, że mnie opuściłaś, byłoby bardzo niesłusznie, ale to, że byłem opuszczony, a czasem straszliwie opuszczony, jest prawdą.

Również co do „postanowienia” mam rację, że jestem bezgranicznie zrozpaczony swoją sytuacją.

27 stycznia. Szpindlerowy Młyn. Konieczność uniezależnienia się od nieszczęścia pomieszanego z niezręcznością: sprzężonych sanek, pękniętej walizki, chwiejącego się stołu, złego światła, niemożności osiągnięcia spokoju w hotelu popołudniami itd. Jest to nieosiągalne, jeśli się to zaniedbuje, bo tego zaniedbywać nie wolno; osiągnąć można to tylko przez zdobycie nowych sił. Tu oczywiście istnieją niespodzianki; musi to przyznać najbardziej nawet zrozpaczony człowiek, doświadczenie uczy, że z niczego może wyłonić się coś, spod rozwalonej stajni końskiej może wyleźć stangret z **koźmi**. aluzja do wyd. w 1919 r. opowiadania pt. *Lekarz wiejski*.

Wykruszające się siły podczas saneczkowania. Życia nie można urządzić tak, jak to robi zawodnik, który staje na rękach.

Szczególne, tajemnicze, może niebezpieczne, może zbawienna pociecha pisania: wyskakiwanie z

szeregu zabójców, obserwacja czynu. Obserwacja czynu przez stwarzanie doskonalszej obserwacji; doskonalszej, lecz nie bardziej bystrej, a im bardziej doskonalsza jest ta obserwacja, im mniej osiągalna z „szeregu”, tym mniej staje się zależna, tym bardziej podległa własnym prawidłom ruchu, tym bardziej nieobliczalna, bardziej radosna i wznosząca się jej droga.

Chociaż w hotelu wyraźnie napisałem swoje imię, chociaż napisali mi je dwa razy prawidłowo — u dołu na tablicy widnieje **Józef K.** Józef K., główny bohater Procesu. Czy mam ich pouczyć, czy sam pozwolić się im pouczyć?

28 stycznia. Trochę nieprzytomny, zmęczony saneczkowaniem; istnieją jeszcze rodzaje broni, tak rzadko używane, tak ciężko przedzieram się ku nim, ponieważ nie znam radości płynącej z ich używania, nie nauczyłem się jej jako dziecko. Nie nauczyłem się nie tylko „z winy ojca”, lecz także dlatego, bo chciałem przecież zburzyć „spokój”, zakłócić równowagę, i dlatego nie mogłem pozwolić, by po tamtej stronie ktoś urodził się na nowo, podczas gdy ja starałem się pogrzebać go z tej strony. Oczywiście, dochodzę tutaj również „do winy”, bo dlaczego chciałem wyrwać się ze świata? Ponieważ „on” nie pozwalał mi żyć w świecie, w swoim świecie. Zapewne, nie mogę tego obecnie tak jasno osądzić, bo jestem teraz obywatelem tego drugiego świata, który do zwykłego świata ma się tak, jak pustynia do rolniczego kraju (wywędrowałem z Kanaan czterdzieści lat temu), spoglądam w tył za siebie jak cudzoziemiec, oczywiście i w tamtym drugim świecie — wziąłem to z sobą jako dziedzictwo po ojcu — jestem najmniejszy i najbojaźliwszy, i czuję się tam zdolny do życia tylko dzięki specjalnej tamtejszej organizacji, która sprawia, że nawet najmniejsi przeżywają tam błyskawiczne wzloty; oczywiście i rozbicia tysiącletnie, druzgocące jak ciśnienie w morskiej głębi. Czyż mimo wszystko nie powinienem być wdzięczny? Czyż musiałbym znaleźć drogę wiodącą tutaj? Czy na skutek tego, że wygnano mnie stamtąd i równocześnie odepchnięto stąd, nie mógłbym ulec zgnieceniu na granicy? Czy wskutek siły ojca odepchnięcie było tak silne, że jemu — nie mnie — nic się nie mogło oprzeć? Zapewne, jest to niby wędrówka przez pustynię w odwrotnym kierunku, z ciągłym zbliżaniem się do pustyni i dziecinną nadzieją (szczególnie w odniesieniu do kobiet): „może jednak pozostają w Kanaan” — a tymczasem jestem już od dawna na pustyni i to są tylko wizje rozpacz, szczególnie w owych okresach, kiedy jestem również tam najędzniejszy spośród wszystkich; i Kanaan musi wydawać się jedynym krajem nadziei, albowiem trzeci kraj nie istnieje dla ludzi.

29 stycznia. Ataki na drodze, w śniegu, wieczorem. Ciągłe pomieszanie wyobrażeń, mniej więcej w ten sposób: Na tym świecie sytuacja byłaby straszliwa, tutaj sam w Szpindlerowym Młynie, w dodatku na opuszczonej drodze, na której w ciemnościach, w śniegu człowiek ślizga się ciągle, a ponadto to droga bez sensu, bez celu ziemskiego; (do mostu? Dlaczego tam? Prócz tego ani razu doń nie dotarłem) ponadto również opuszczony w tym miejscu (lekarza nie mogę zaliczyć do osobistej pomocy w sensie ludzkim, nie zasłużyłem na nią, zasadniczo jestem mu winien tylko honorarium), niezdolny do zaznajomienia się z kimkolwiek, niezdolny do znoszenia znajomości, w gruncie rzeczy pełen nie kończącego się zdumiewania z powodu weselszego towarzystwa (tutaj, w hotelu oczywiście nie jest zbyt wesoło, nie posunę się aż tak daleko, by powiedzieć, że sam jestem tego przyczyną, jestem niby „człowiek ze zbyt dużym cieniem”, ale cień mój na tym świecie jest rzeczywiście zbyt duży i ciągle ze świeżym zdumieniem widzę odporność pewnych ludzi, którzy przecież mimo wszystko chcą żyć w owym cieniu, właśnie w nim; ale dochodzi do tego jeszcze coś, o czym trzeba by pomówić); z powodu rodziców z ich dziećmi, zresztą tak opuszczony nie tylko tutaj, lecz w ogóle, również i w Pradze, mojej „ojczyźnie”, opuszczony wprawdzie nie przez ludzi, to nie byłoby najgorsze, mógłbym gonić za nimi, dopóki żyję, lecz przeze mnie samego w odniesieniu do ludzi, przez moją siłę w odniesieniu do ludzi, lubię kochających się, ale sam kochać nie umiem, jestem za daleko, jestem wygnany, a skoro jednak jestem człowiekiem i korzenie chcą pożywienia również tam, „na dole” (lub na górze) — mam swoich zastępców, nędznych, niezadowolających komediantów, którzy tylko dlatego nie mogą zadowolić (oczywiście wcale mnie nie zadowolają i dlatego jestem tak opuszczony), ponieważ moje główne pożywienie pochodzi z innych korzeni w innym powietrzu — i te korzenie są także nędzne, ale przecież zdolniejsze do życia.

Prowadzi to do pomieszania wyobrażeń. Gdyby było tylko tak, jak może wydawać się na drodze w śniegu, byłoby wtedy strasznie, wtedy byłbym zgubiony, i to nie w sensie groźby, lecz natychmiastowego stracenia. Lecz ja jestem gdzie indziej, tylko siła przyciągania ludzkości jest olbrzymia, w jednym momencie może spowodować, że zapominamy o wszystkim. Ale siła przyciągania mojego świata jest również wielka, ci którzy mnie kochają, kochają mnie, ponieważ jestem „opuszczony” i wprawdzie może nie tak jak próżnia Weissa, lecz kochają mnie, ponieważ czują, że swobodę poruszania się, której tutaj mi brak całkowicie, posiadam na innej płaszczyźnie w szczęśliwych czasach.

Gdyby na przykład M. nagle tu przyjechała, byłoby to straszne. To prawda, zewnątrznie moja pozycja stałaby się natychmiast stosunkowo świetna. Byłbym szanowany jak człowiek wśród ludzi, otrzymywałbym więcej niż same tylko uprzejme słowa, siedziałbym (zapewne mniej prosto niż teraz, ponieważ siedzę sam, a i teraz siedzę oklapnięty) przy aktorskim stole, pod względem socjalnym zewnątrznie dorównywałbym prawie drowi H. — ale spadłbym w inny świat, w którym nie umiem żyć. Pozostaje tylko rozwiązanie zagadki, dlaczego w Mariańskich Łaźniach byłem szczęśliwy przez dwa tygodnie i dlaczego wskutek tego, oczywiście po bolesnym przekroczeniu granicy, mógłbym i tutaj być z M. szczęśliwy? Lecz jednak o wiele trudniej niż w Mariańskich Łaźniach, ideologia jest mocniejsza, doświadczenia większe. Co przedtem było rozdzielającą wstęgą, teraz jest murem albo górą, albo bardziej trafnie: grobem.

Oczekiwanie na zapalenie płuc. Strach, nie tyle przed chorobą, ile ze względu na matkę i przed nią, przed ojcem, dyrektorem i tak dalej, przed wszystkimi. W tym wypadku podział na te dwa światy wydaje się wyraźny, jak również i to, że wobec choroby jestem tak nieświadomy, tak obojętny, tak bojaźliwy, jak wobec starszego kelnera. Zresztą podział ten wydaje mi się aż nadto określony, w swej określoności niebezpieczny, żalony i z góry narzucony. Czy więc mieszkam w tym drugim świecie? Czy mam na tyle odwagi, aby to powiedzieć?

Gdy ktoś mówi: „Co mi zależy na życiu? Nie chcę umierać tylko ze względu na rodzinę”. Ale właśnie rodzina reprezentuje życie, więc jednak z powodu życia chce przy życiu pozostać. Zatem, jeśli chodzi o matkę, wydaje się, że w moim przypadku jest tak samo, lecz dopiero w ostatnich czasach. Czy to jednak nie wdzięczność i wzruszenie są tego powodem? Wdzięczność i wzruszenie, ponieważ widzę, jak z bezgranicznym na jej wiek wysiłkiem stara się wyrównać moją obojętność wobec życia. Lecz wdzięczność jest również życiem.

31 stycznia. Znaczyłoby to, że pozostaję przy życiu ze względu na matkę. To nie może być słuszne, bo nawet gdybym był nieskończenie więcej wart, niż jestem w istocie, byłbym tylko postem życia i — choćby tylko przez tę jedyną misję — z nim związany.

Samo przeciwieństwo, nawet jeśli jest jeszcze aż takie mocne, wystarczyć nie może, jak sędzę podczas moich najnieszczęśliwszych okresów. Bo jeśli wzniosłem się choćby na najniższy stopień, posiadam jakkolwiek, choćby najbardziej problematyczną pewność, wyciągam się i czekam, aż przeciwieństwo podąży nie w ślad za mną, lecz ściągnie mnie w dół, o jeden stopień niżej. Dlatego jest to instynkt obrony, który nie cierpi u mnie najmniejszego trwałego zadowolenia i na przykład rozbija łożo małżeńskie, zanim jeszcze je ustawiono.

1 lutego. Nic prócz zmęczenia. Szczęście woźnicy, który każdy wieczór przeżywa tak, jak ja mój dzisiejszy, albo jeszcze piękniej. Wieczór niemal na piecu. Człowiek czystszy niż rano, czas przed zmęczonym zaśnięciem jest właściwie czasem czystym, bez upiorów, wszystkie przepędzono, dopiero w miarę jak noc zapada, powrócą znowu; następnego dnia, choć jeszcze nierozpoznawalne, są tutaj wszystkie i teraz znowu zdrowy człowiek zaczyna je przepędzać, jak co dzień.

Prymitywnie rzecz biorąc, prawda właściwa, nieodparta, nie naruszona (niczym prócz męczeństwa, poświęcenia dla człowieka) jest tylko fizycznym bólem. Godne uwagi, że nie bóg cierpienia był najwyższym bogiem pierwszych religii (lecz może dopiero późniejszych). Każdy chory ma swoje domowe bóstwo, chory na płuca ma swego boga uduszenia. Jakżeż można znieść jego nadejście, gdy człowiek nie wielbi go jeszcze przed straszliwym z nim połączeniem.

2 lutego. Zmagania w drodze do Tannenstein przed południem. Zmagania, gdy przyglądałem się zawodom narciarskim. Mały, wesoły B. przy całej swej niewinności w jakiś sposób omroczony przez moje upiory, przynajmniej w moich oczach; szczególnie ta jedna noga, którą wysunął w przód, w szarej skręconej skarpecie, wzrok błędzący wokół bez celu, bezmyślne słowa. Przy tym przychodzi mi na myśl — ale to jest już sztuczne — że wieczorem chciał mi towarzyszyć do domu.

„Zmaganie” byłoby prawdopodobnie straszliwe, gdybym uczył się rzemiosła.

Największe przypuszczalnie natężenie przeciwieństwa, jakie osiągnąłem na skutek tych zmagania, sprawia, że rozstrzygnięcie między obłądzeniem a bezpieczeństwem jest bliskie.



Szczęście przebywania w towarzystwie ludzi.

3 lutego. Bezsensowność, prawie zupełna; dręczony sennymi widziadłami, jak gdyby pazurami wdzierały się we mnie, w jakiś oporny materiał.

Jakaś słabość, niedostatek czegoś, wyraźny, ale trudny do opisania; jest to mieszanina bojaźni, powściągliwości, gadatliwości, obojętności — chcę przez to wyrazić coś określonego, zespół słabości, które w pewnym szczególnym aspekcie stanowią jedną, dokładnie scharakteryzowaną słabość (nie należy jej mieszać z tak wielkimi występami, jak kłamliwość, próżność itd.). Słabość owa powstrzymuje mnie zarówno przed obłędem, jak i przed każdym wzlotem. Ponieważ powstrzymuje mnie przed obłędem, pielęgnuję ją; ze strachu przed obłędem poświęcam wzlot i sprawę tę, na płaszczyźnie, która nie zna żadnych spraw, z pewnością przegram. Jeśli nie wmiesza się sensowność i swoją nocno — dzienną pracą nie zniszczy wszystkiego, co stanowi przeszkodę i nie oczyści drogi. A wtedy znowu ogarnie mnie tylko obłęd, ponieważ wzlotu, który osiąga się tylko wtedy, gdy się go pragnie, nie chciałem.

4 lutego. W rozpaczliwym zimnie zmieniona twarz, nierozpoznawalne inne twarze.

To, co mówiła M., nie mogąc całkowicie zrozumieć prawdy, jaka się w tym kryje (istnieje również, uzasadniona, smutna duma), o szczęściu rozmawiania z ludźmi. Czyż taka rozmowa może cieszyć innych ludzi tak jak mnie? Spóźniony prawdopodobnie i dziwnie okrężny powrót do ludzi.

5 lutego. Uciekłem im. Jakiś zręczny skok. U siebie, przy lampie, w zacisznym pokoju. Nieostrożnie jest tak mówić, to przywołuje je z lasów, jak gdyby zaświeciło się lampę, aby pomóc im trafić na ślad.

6 lutego. Pociecha, kiedy się słyszy, że ktoś był w Paryżu, Brukseli, Londynie, Liverpoolu, służył na parowcu brazylijskim, który płynął Amazonką aż do granic Peru, znosił stosunkowo łatwo podczas wojny straszliwe trudy kampanii zimowej w Siedmiogrodzie, ponieważ od dzieciństwa przyzwyczajony był do wysiłków. Pociecha tkwi nie tylko w ukazaniu takich możliwości, lecz i w radosnym uczuciu, że przy pomocy takich zdobyczy na pierwszej płaszczyźnie można równocześnie, w razie potrzeby, i na drugiej wywalczyć wiele, wiele wydrzeć z zaciśniętych pięści. A więc jest to możliwe.

Strzeżony i wykorzystywany przez K. i H.

8 lutego. W najwyższym stopniu wykorzystywany przez obydwoch, a przecież — zaprawdę, nie mógłbym tak żyć to nie jest życie, to ciągnięcie za linę, przy czym ten drugi ciągle pracuje i zwycięża, nie może jednak przyciągnąć mnie do siebie; tym niemniej jest to spokojne otumanienie, podobnie jak wtedy u W.

9 lutego. Dwa dni stracone, ale takie same dwa dni zużyłem na zadomowienie się.

10 lutego. Bez snu, nie odczuwając najmniejszej więzi z ludźmi, prócz tej, którą oni sami stwarzają, a która przekonuje mnie tylko przez moment, podobnie jak wszystko, co czynią.

Nowy atak ze strony G. Bardziej niż kiedykolwiek widać wyraźnie, że z prawej i lewej strony atakują mnie przepotężni wrogowie, nie mogę ująć ani na prawo, ani na lewo, tylko naprzód — głodne zwierzę prowadzi droga do jadalnego pożywienia, do powietrza, którym da się oddychać, do życia na swobodzie, choćby nawet poza życiem. Ty wiesz zastępy, wielki, chudy wodzu, prowadź zrozpaczonych przez górskie przełęcze pod śniegiem, niedostępne nikomu poza tobą. A kto ci daje moc? Kto używa ci jasności wzroku?

Wódz stał przy oknie rozwalonej chaty i spoglądał szeroko otwartymi, nie zamykającymi się oczyma na szeregi żołnierzy, maszerujących na dworze w śniegu i przyćmionym świetle księżyca. Niekiedy zdawało mu się, jakby jakiś żołnierz, wystąpiwszy z szeregów, zatrzymał się przy oknie, przyciskał twarz do szyby, patrzył na niego przez chwilę, a potem szedł dalej. Mimo że był to ciągle coraz to inny żołnierz, wydawało mu się, że to ten sam, ta sama twarz z silnie wystającymi kośćmi, pełnymi policzkami, okrągłymi oczyma, szorstką, żółtawą skórą; ciągle odchodząc, poprawiał rzemienie, wzruszał ramionami i wymachiwał nogami, aby ponownie włączyć się w takt niezmiennie z tyłu maszerującej masy żołnierzy. Wódz nie chciał cierpieć dłużej tego widoku, zaczął się na następnego żołnierza, szarpnięciem otworzył przed nim okno i schwycił za pierś. — Właż —

powiedział — i kazał mu wejść przez okno. Wewnątrz popchnął go przed sobą do kąta, stanął przed nim i zapytał: — Kim jesteś? — Nikim. — Tego należało się spodziewać — powiedział wódz. — Dlaczego zagłędałeś do środka? — Aby zobaczyć, czy jeszcze tu jesteś.

12 lutego. Postać mówiąca „nie”, którą zawsze spotykałem, to nie ta, która mówi: „Nie Kocham Ciebie”, lecz ta, która mówi: „Nie możesz mnie kochać, choćbyś nie wiem jak chciał, ty nieszczęśliwie kochasz miłość do mnie, miłość do mnie Ciebie nie Kocha”. Dlatego niesłusznie jest mówić, że słów „Kocham Cię” doświadczyłem na sobie, doświadczyłem na sobie tylko wyczekującej ciszy, która powinna by przerwać moje słowa „ja Cię Kocham”, tylko tego doświadczyłem, więcej niczego.

Strach podczas saneczkowania, lęk przy chodzeniu po gładkiej, pokrytej śniegiem ziemi, krótkie opowiadanie, które dzisiaj czytałem, naprowadza znowu na od dawna nie dostrzeganą, zawsze czyhającą w pobliżu myśl: czy to jednak nie obłądana chciwość, strach o siebie, a właściwie nie strach o moje lepsze „ja”, lecz strach o moje zwykłe, dobre, zdrowe samopoczucie był przyczyną mojego upadku, i to w oczywisty sposób, że z samego siebie zgotowałem mściciela (szczególna niewiedza prawicy o tym, co czyni lewica). W mojej kancelarii ciągle liczą się z tym, że moje życie rozpocznie się dopiero jutro, podczas gdy ja się kończę.

13 lutego. Możliwość służenia z całego serca.

Władza, jaką ma nade mną uczucie zadowolenia, mój niedowład, gdy brak mi zadowolenia. Nie znam nikogo, kto odczuwałby jedno i drugie w takim stopniu. Wskutek tego, wszystko, co buduję, jest płynne, nietrwale, pokojówka, która zapomniała mi przynieść ciepłą wodę wcześniej rano, przewraca mój świat do góry nogami. Przy tym uczucie zadowolenia prześladowuje mnie od dłuższego czasu i pozbawiło mnie nie tylko siły, potrzebnej do znoszenia czego innego, ale i siły, która sama stwarza zadowolenie; stwarza się ono samo wokół mnie lub osiągam je żebranią, płaczem, rezygnacją z rzeczy ważniejszych.

15 lutego. Trochę śpiewu na dole, trochę trzaskania drzwiami na korytarzu i wszystko jest stracone.

16 lutego. Historia o szczelinie w lodowcu.

18 lutego. Dyrektor teatru, który wszystko od podstaw musi robić sam, nawet aktorów musi dopiero płodzić. Nie wpuszczono jakiegoś gościa, dyrektor jest zajęty ważnymi sprawami. Czym? Zmienia pieluszki przyszłemu aktorowi.

19 lutego. Nadzieje?

20 lutego. Zwykłe życie. Niezwykły pech.

25 lutego. List.

26 lutego. Przyznaję rację — komu ją przyznaję? Listowi? — że są we mnie możliwości, bliskie możliwości, których jeszcze nie znam; ale trzeba tylko znaleźć do nich drogę i, jeśli ją znalazłem, odważyć się! Znaczący to bardzo wiele: są możliwości, to znaczący nawet, że z lotra może stać się uczciwy człowiek, w swej uczciwości szczęśliwy.

Twoje fantazje w półśnie ostatnimi czasy.

27 lutego. Zły sen popołudniowy, wszystko się zmieniło, choroba na nowo nawiedziła ciało.

28 lutego. Widok na wieżę i błękitne niebo. Odpoczywam.

1 marca. *Ryszard III*. Niemoc.

5 marca. Przez trzy dni w łóżku. Małe towarzystwo przy łóżku. Zwrot. Ucieczka. Zupełna klęska. Zawsze to samo, historia świata zamknięta w pokojach.

6 marca. Znowu powaga i zmęczenie.

7 marca. Wczoraj najgorszy wieczór, jak gdyby wszystko miało się ku końcowi.

9 marca. To było jednak tylko zmęczenie, ale dzisiaj nowy atak, wywołujący pot na czole. Jak by to było, gdyby się człowiek samym sobą udławił? Gdyby wskutek miażdżącej autoanalizy otwór, którym wylewamy się na świat, stał się za mały lub całkiem zamknięty? Czasem niedaleko mi do tego. Rzeka płynąca wstecz. W dużej mierze dzieje się tak już od dłuższego czasu.

Wykorzystać konia agresora do własnej jazdy. Jedyna możliwość. Ale jakich sił i zręczności to wymaga! I jak późno jest w dodatku!

Życie pierwotne. Zazdroszczę natury szczęśliwej, niewyczerpanej a przecież w widoczny sposób pracującej z konieczności (nie inaczej niż ja), a jednak spełniającej zawsze wszystkie żądania przeciwnika. I to tak łatwo, tak muzykalnie.

Dawniej, gdy odczuwałem ból i ból ten przechodził, byłem szczęśliwy, teraz czuję tylko ulgę, ale doznaję gorzkiego uczucia: „znów tylko zdrowy, nic więcej”.

Gdzieś, w jakimś miejscu czeka pomoc i poganiacze tam mnie kierują.

13 marca. Czyste uczucie i świadomość, jakie są ku temu powody. Widok dzieci, szczególnie pewnej dziewczynki (prosty chód, krótkie czarne włosy) i jeszcze innej (blondynka, niezdecydowane rysy, niezdecydowany uśmiech), rozweselająca muzyka, marszowy krok. Uczucie kogoś, kto znajduje się w nieszczęściu i nadchodzi pomoc, ale kto się nie cieszy, że zostaje uratowany — nie zostaje wcale uratowany —lecz że przychodzą nowi młodzi ludzie, przewidujący, gotowi podjąć walkę, wprawdzie nieświadomi tego, co nastąpi, ale ich niewiedza nie odbiera widzom nadziei, skłania do podziwu, radości, do łez. Dołącza się do tego nienawiść, przeciwko temu, z kim ma się walczyć (ale, jak sądzę, jest to nie bardzo żydowskie uczucie).

15 marca. Zarzuty na podstawie dzieła: Popularyzacja —i to na wesoło — i czary. I jak on wymija niebezpieczeństwa (Bluher). Odnosi się do polemiki Kafki z Hansem Bluharem; Hans Bluher (ur. 1888) pisarz i filozof, pozostający pod wpływami Nietzschego, zajmował się między innymi rolą pierwiastka erotycznego w życiu.

Uciec do zdobytego kraju i wkrótce przekonać się, że się tam nie wytrzyma, gdyż nie można uciec do nikąd.

Jeszcze się nie narodzić, a już być zmuszonym do chodzenia po ulicach i rozmawiania z ludźmi.

20 marca. Przy kolacji rozmowa o mordercach i egzekucji. Wielki strach, nieznan w spokojnie oddychającej piersi. Nieznana różnica pomiędzy morderstwem dokonany a zamierzonym.

22 marca. Po południu sen o wrzodzie na policzku. Stałe wahająca się granica pomiędzy zwykłym życiem i na pozór bardziej rzeczywistym strachem.

24 marca. A jak czyha! Na przykład w drodze do lekarza, tak często tam właśnie.

29 marca. Z prądem.

4 kwietnia. Jakże daleka jest droga, na przykład od duchowego nieszczęścia do sceny takiej jak na podwórzu i jak krótka jest droga powrotna. A że się jest w ojczyźnie, nie można już odejść.

6 kwietnia. Już od dwóch dni przecucie, wczoraj wybuch, dalsze prześladowanie, wielka siła wroga. Jeden z powodów: rozmowa z matką, żarty na temat przyszłości. —Zamierzony list do Mileny. Trzy Erynie. Ucieczka do lasku. Milena.

7 kwietnia. Dwa obrazy i dwie figurki z terakoty na wystawie. Księżniczka z bajki (Kubin), naga, na sofie, spogląda przez otwarte okno, mocno wciskający się do środka krajobraz, dużo swego rodzaju wolnej przestrzeni, jak na obrazie Schwinda. Schwind, Moritz von (1804—1871), malarz i rysownik, przedstawiciel późnego niemieckiego romantyzmu.

Naga dziewczyna (Bruder), niemiecko-czeska, w swoim wdzięku dla nikogo niedostępna, wiernie

ujęta przez kogoś, kto kocha, szlachetna, przekonywająca, uwodzicielska.

Pietsch: wiejska dziewczyna w pozie siedzącej, jedna noga opuszczona, spoczywa z lubością, ugięta w kostce; dziewczyna w pozycji stojącej, prawe ramię obejmuje ciało ponad brzuchem, lewa ręka pod brodą, na niej opiera się głowa; płaski nos, naiwna a równocześnie głęboko myśląca. niepowtarzalna twarz.

List od Storma.

10 kwietnia. Pięć etapów do piekła (kolejność genetyczna):

1. „Za oknem czyha najgorsze.” Wszystko inne jest anielskie, przyznane albo wyraźnie, albo gdy się tego nie zauważa (przypadek częstszy), milcząco.

2. „Każdą dziewczynę musisz posiąść!” Nie jak Don Juan, lecz według diabelskiego powiedzenia „etykieta seksualna”.

3. „Tej dziewczyny nie wolno ci posiąść!” i wobec tego nie możesz. Niebiańska fata morgana w piekle.

4. „Wszystko jest tylko potrzebą”; ponieważ ją odczuwasz, nie pragnij niczego więcej.

5. „Potrzeba jest wszystkim.” Jakże mógłbyś mieć wszystko? Wskutek tego nie masz nawet potrzeby.

Jako chłopiec byłem (i byłbym bardzo długo jeszcze, gdyby mnie gwałtem nie naprowadzono na sprawy seksualne) tak niewinny w odniesieniu do spraw seksualnych i tak mało nimi zainteresowany, jak dzisiaj na przykład teorią względności. Tylko drobnostki (ale i te dopiero po dokładnym pouczeniu) przychodziły mi do głowy, na przykład, że właśnie kobiety, które na ulicy wydawały mi się najpiękniejsze i najpiękniej ubrane, mają być złe.

Wieczna młodość jest niemożliwa; gdyby nawet nie było innej przeszkody, autoanaliza uniemożliwiłaby ją.

13 kwietnia. Cierpienie Maksa. Przed południem w jego biurze.

Po południu przed kościołem Tynskim (Niedziela Wielkanocna).

Młoda, drobna dziewczyna, osiemnaście lat, nos, kształt głowy, jasne włosy widziane przelotnie z profilu, wychodziła z kościoła.

16 kwietnia. Cierpienie Maksa. Spacer w jego towarzystwie. We wtorek odjeżdża.

27 kwietnia. Wczoraj dziewczyna z **Makkabi** nazwa syjonistycznych klubów sportowych. w Samoobronie — redakcja, telefon: Pszisła jsem ti pomoc Czysty, serdeczny głos i słowa

Wkrótce potem M. otworzyła drzwi.

8 maja. Robota z pługiem. Wrzyna się głęboko, a przecież posuwa z łatwością. Albo robi bruzdy tylko w ziemi. Albo sunie, nie orząc, z wysoko podniesionym lemieszem, z nim lub bez niego, obojętne.

Praca zasklepia się, tak jak może zasklepić się nie wyleczona rana.

Czy to nazywa się prowadzeniem rozmowy, gdy ktoś drugi milczy, a my sami, aby podtrzymać pozory konwersacji, usiłujemy zastąpić rozmówcę, więc naśladujemy, parodiujemy go, parodiujemy siebie.

M. była tutaj, już nie przyjdzie więcej, prawdopodobnie mądrze i słusznie, a przecież istnieje chyba możliwość, której zamkniętych drzwi strzeżemy oboje, aby się nie otworzyły, albo raczej abyśmy ich sami nie otworzyli, bo te drzwi nie otwierają się same.

12 maja. **Maggid**. Pełny tytuł: *Der grosse Maggid*, książka Martina Bubera (ur. 1878), żydowskiego religioznawcy i pisarza, który odegrał wybitną rolę w odrodzeniu się chasydyzmu.

Nieprzerwana różnorodność, a w tym, na dnie, wzruszający widok przez mgnienie słabnącej zdolności różnicowania.

Z *Pielgrzyma Kamanity* książka duńskiego poety i dramaturga Karla Gjellerupa (1857—1919). z Wedy: „Podobnie, drogi mój, jak człowiek, którego przywiedli z kraju Gandarów z zawiązanymi oczyma, pozostawiając go potem na pustyni, gnany jest wiatrem na wschód, północ lub południe, albowiem przywiedli go z zawiązanymi oczyma i z zawiązanymi oczyma zostawili; ale skoro odjął mu ktoś przepaskę i powiedział: *Tam daleko żyją Gandarowie, tam idź* — pytał będzie roztropnie o drogę, idąc od wsi do wsi i pouczony trafi do Gandarów: tak samo człowiek, który tu na ziemi znalazł nauczyciela, świadomy jest siebie: wir świata miotał mną będzie tak długo, póki nie będę wybawion, potem wrócę do ojczyzny”.

Tamże. „Dopóki człowiek ten ma ciało, widzą go ludzie i bogowie, ale gdy ciało jego rozpadnie się po śmierci, nie widzą go już ani ludzie, ani bogowie. I nawet przyroda, która wszystko dostrzega, nie widzi go: oślepił jej oko, uszedł złym.”

19 maja. We dwoje czuje się bardziej opuszczony niż sam. Jeśli przebywa z kimś we dwoje, ten ktoś atakuje go, a on, bezradny, wydany mu jest na łup. Gdy jest sam, wprawdzie atakuje go cała ludzkość, lecz niezliczone, wyciągnięte ręce spletają się między sobą i nie dosięga go nikt.

20 maja. Masoni na Staromiejskim Rynku. Prawda jest możliwa w każdej mowie i w każdej nauce.

Mała, biegnąca dziewczynka: brudna, bosa, w koszulce, z rozwianymi włosami.

23 maja. Niesłusznie jest mówić o kimś: łatwo mu to przyszło, mało cierpiał; raczej: on był taki, że nic nie mogło mu się stać; najwłaściwiej: przecierpiał wszystko, ale wszystko razem, w jednej jedynej chwili; jakże mogłoby mu się stać coś jeszcze, skoro rzeczywiście lub na skutek jego zaklęcia wyczerpane zostały odmiany cierpienia. (Dwie stare Angielki u Taine’a.)

Pogrzeb *Myslbecka*. wybitny czeski rzeźbiarz (1848—1922).

Talent do „łatania”.

16 czerwca. Przy omawianiu książki — abstrahując zupełnie od trudności nie do przezwyciężenia, jakie nastrocza zawsze potęga myśli i wizjonerstwo Bluhera — jest się zawsze w trudnej sytuacji, zwłaszcza dlatego, że szczególnie łatwo, przy każdej niemal uwadze człowiek podejrzewa, iż myśli zawarte w tej książce chcemy traktować ironicznie. Podejrzenie to nasuwa się nawet wówczas, gdy wobec danej książki nic nie jest dalsze niż ironia. Ta trudność omawiania znajduje przeciwwagę w innej trudności, której znowu Bluher nie może przezwyciężyć. Nazywa siebie antysemitą bez nienawiści, sine ira et studio, i jest taki w istocie; ale bardzo łatwo prawie każda jego uwaga budzi podejrzenie, że jest wrogiem Żydów, bądź w szczęśliwej nienawiści, bądź w nieszczęśliwej miłości. Trudności te, jak zjawiska w przyrodzie, stoją naprzeciw siebie, i trzeba koniecznie zwrócić na nie uwagę, aby przy rozważaniach nad książką nie natknąć się na nie i z tego powodu z góry nie stać się niezdolnym do dalszego zrozumienia.

Za pomocą cyfr, indukcyjnie, na podstawie doświadczenia, nie można za Bluherem zadać kłamu żydostwu, ta stara antysemita metoda nie może niczego zdziałać przeciwko żydostwu; wszystkim innym narodom można zadać kłam w ten sposób, lecz nie Żydom, narodowi wybranemu; na wszystkie poszczególne zarzuty antysemitów Żyd, mając słusność, będzie mógł odpowiedzieć po kolei. Bluher daje, oczywiście bardzo pobieżny, przegląd takich zarzutów i odpowiedzi na nie.

Rozeznanie to jest — jeśli chodzi o Żydów, nie inne narody — głębokie i prawdziwe. Bluher wyciąga z niego dwa wnioski, jeden zupełny, drugi połowiczny... [rękopis urywa się]

23 czerwca. *Plana*. miejscowość w południowoschodnich Czechach, gdzie przebywał Kafka u swej siostry Ottli.

27 lipca. Ataki. Wczoraj wieczorem spacer z psem. Tvrz Sedlec. Czereśniowa aleja u wylotu lasu, która stwarza nastrój przytulności, prawie domowy. Powrót męża i żony z pola. W drzwiach stajni zniszczonej zagrody dziewczyna — wygląda, jakby zmagająca się ze swoim wydatnym biustem, jej niewinne a zarazem poważne spojrzenie zwierzęcia. Mężczyzna w okularach, który popycha taczki z ciężkim ładunkiem paszy, starszawy, nieco skrzywiony, pomimo tego wskutek napięcia mięśni bardzo prosty, w butach z cholewami, obok, nieco z tyłu, kobieta z sierpem.

26 września. Przez dwa miesiące nic nie zapisywałem. Dobry okres „z przerwami”, zawdzięczam go Ottli. Od kilku dni znowu załamanie. Pierwszego dnia zrobiłem w lesie pewnego rodzaju odkrycie.

14 listopada. Wieczorem zawsze 37,6 lub 37,7 stopni Celsjusza. Siedzę przy biurku, z niczym nie mogę się uporać, zaledwie wychodzę na ulicę. Pomimo to obłudą jest uskarżać się na chorobę.

18 grudnia. Przez cały czas w łóżku, wczoraj *Albo-Albo* książka Kierkegaarda

## 1923

12 czerwca. Ostatnio straszliwe okresy, niezliczone, prawie bez przerwy, spacer, noc, dzień, do niczego niezdolny prócz bólu.

A jednak. Żadne „a jednak”, tak trwoźnie, tak przenikliwie patrzysz na mnie, Krzyżanowska, z widokówki, która leży przede mną.

Coraz większy lęk przy pisaniu. To zrozumiałe. Każde słowo przekręcone w rękę upiorów — ten rozmach ręki to ich charakterystyczny ruch — staje się ostrzem zwróconym przeciw mówiącemu. Taka uwaga jak ta w całym szczególny sposób. I tak w nieskończoność. Pocięchą byłoby tylko: dzieje się tak czy chcesz, czy nie. A to, czego chcesz, pomaga tylko nieznacznie. Więcej niż pocięchą jest stwierdzenie: ty też masz broń.

## DZIENNIK Z PODRÓŻY

### DZIENNIK Z PODRÓŻY DO FRIEDLANDU I REICHENBERGU

Styczeń — luty 1911 W podróż tę wybrał się Kafka służbowo jako urzędnik Zakładu Ubezpieczeń.

Musiałbym pisać przez całą noc, tyle myśli tłoczy mi się do głowy, ale tylko nieczystych. Jakąż władzę zyskało to nade mną, podczas gdy przedtem, o ile sobie przypominam, mogłem się wymknąć temu jakimś zwrotem, jednym małym zwrotem, który w dodatku uszczęśliwiał mnie samym sobą.

W przedziale Żyd z Reichenbergu zwraca na siebie uwagę, najpierw wykrzykując coś o pociągach pospiesznych, które istnieją, tylko jeśli idzie o taryfę za przejazd. Tymczasem jakiś chudy podróżny — chuchro, jak to nazywają — szybko łykając, zjada szynkę, chleb i dwie kielbaski, z których cienką skórkę zdrapuje nożem, a w końcu wszystkie resztki i papierki rzuca za rurę do ogrzewania. Podczas jedzenia, w tym niepotrzebnym — dla mnie tak sympatycznym pośpiechu i rozgorączkowaniu, które bez powodzenia naśladowuję — przeczytał, zwrócony ku mnie, dwa dzienniki wieczorne. Odstające uszy. Tylko stosunkowo szeroki nos. Zatłuszczonymi rękami obciera sobie włosy i twarz nie brudząc się, co by mnie się również nie udało.

Naprzeciw mnie pan o ciekawym głosie, kiepskim słuchu, ze szpicbródką i sumiastymi wąsami, wyśmiewa szyderczo najpierw cicho, nie zdradzając się, reichenberskiego Żyda, w czym ja sam, ciągle z pewną niechęcią, lecz pod wpływem jakiegoś szacunku, porozumiewając się z nim wzrokiem, biorę udział. Później wychodzi na jaw, że ten człowiek, który czyta poniedziałkową gazetę, coś je, na jakiejś stacji kupuje wino i na mój sposób pije łykami — nie jest nic wart.

Potem jeszcze młody chłopak o rumianych policzkach; długo czyta „interesującą gazetę”, którą co prawda w sposób bezwzględny rozdiera grzbietem dłoni, aby ją jednak w końcu — z zawsze przeze mnie podziwianą starannością ludzi nie mających nic do roboty, jakby to była jedwabna chusteczka — wielokrotnie składając, wygładzając brzegi od wewnątrz, przytrzymując z zewnątrz, przyklepując dłońmi — złożywszy, taką grubą włożyć do kieszeni. A więc będzie ją czytał jeszcze w domu. Zupełnie nie wiem, gdzie wysiadł.

Hotel we Friedlandzie. Wielka sień. Przypominam sobie Chrystusa na krzyżu, którego może wcale tam nie było. Brak angielskiego klozetu; z dołu wiała śnieżna zadymka. Przez jakiś czas byłem jedynym gościem. Większość wesel w okolicy odbywa się w hotelu. Bardzo niewyraźnie przypominam sobie widok jednej sali nazajutrz rano po uroczystości. W sieni i na korytarzu było wszędzie bardzo

zimno. Mój pokój znajdował się nad sienią wjazdową. Zaraz uderzyło mnie zimno, jak i wówczas gdy spostrzegłem, jaki jest jego powód. Przed moim pokojem był swego rodzaju przedsionek w sieni; pozostały tam na stole po weselu dwa bukiety w wazonach. Okna zamykają się nie za pomocą klamek, ale na haczyki u góry i u dołu. Przychodzi mi teraz do głowy, że raz przez chwilę słyszałem muzykę. W pokoju gościnnym nie było jednak fortepianu, może w tamtym pokoju weselnym. Stałe gdy zamykałem okno, widziałem sklep z delikatesami po drugiej stronie rynku. Palono w piecu dużymi polanami drewna. Pokojówka, z dużymi ustami, pomimo zimna miała raz nie osłoniętą szyję i goły dekolt, raz odpychająca, to znów zaskakująco usłużna — ja zawsze jednakowo pełen szacunku i zakłopotania, jak przeważnie w obliczu wszystkich przyjaznych ludzi. Kiedy kazałem sobie założyć mocniejszą żarówkę do pracy po południu i wieczorem, była całkiem zadowolona, gdy zobaczyła to, rozpalając w piecu. — Tak, przy dawnym świetle nie można było pracować — rzekła. — Przy tym świetle także nie — powiedziałem po kilku żywych okrzykach, jakie niestety cisną mi się na usta, gdy jestem zakłopotany. I nie potrafiłem wykrztusić nic, oprócz mojego zdania, które znam już na pamięć, że światło elektryczne jest zbyt jaskrawe, a równocześnie za słabe. W odpowiedzi na to w muczeniu paliła dalej. Dopiero gdy powiedziałem: — Zresztą tylko mocniej zapaliłem tamtą lampę — uśmiechnęła się trochę i oboje byliśmy tego samego zdania.

Mogę natomiast robić takie rzeczy: traktowałem ją zawsze jak pannę z towarzystwa i ona dostosowała się do tego; raz przyszedłem o niezwyklej porze do domu i zobaczyłem, jak myje podłogę w zimnej sieni. Wtedy — nie zrobiło mi to najmniejszej trudności — pozdrowiłem ją i poprosiłem o napalenie w piecu, nie dopuszczając, aby się zawstydziła.

Podczas jazdy powrotnej z Raspenau do Friedlandu, obok mnie sztywny, podobny do nieboszczyka człowiek, z wąsami zwisającymi nad otwartymi ustami i który, zagadnięty przeze mnie o jakąś stację, odwrócił się ku mnie przyjaźnie i w sposób bardzo ożywiony udzielił informacji.

Zamek we Friedlandzie. Różne możliwości oglądania go: z równiny, z parku, poprzez nagie drzewa, z lasu — spomiędzy dużych jodeł. Zamek zbudowany zaskakująco, na różnych kondygnacjach; jeszcze przez długi czas po wyjściu na dziedziniec stwierdza się jego niejednolity wygląd, gdyż ciemny bluszcz, ciemnoszary mur, biały śnieg, lód o kolorze łupku, pokrywający zbocza — wszystko to razem podkreśla tę różnorodność. Zamek nie jest zbudowany na rozległym wierzchołku wzniesienia, lecz dość stromy wierzchołek jest obudowany wokół. Szedłem w górę po szosie, ciągle ślizgając się, podczas gdy kasztelan, z którym spotkałem się dalej, u góry, lekko wchodził po dwa stopnie naraz. Wszędzie bluszcz. Rozległy widok z małego wy-stającego placu. Schody przy murze bezużytecznie urywają się w połowie wysokości. Łańcuchy zwodzonego mostu niedbale zwisają na hakach.

Piękny park. Ponieważ położony jest amfiteatralnie na zboczu, ale częściowo także na dole, wokół stawu, i ma różne ugrupowania drzew — zupełnie nie można sobie wyobrazić jego wyglądu latem. W stawie, w lodowato zimnej wodzie siedzą dwa łabędzie, jeden zanurza w niej szyję i głowę. Idę za dwiema dziewczętami, które niespokojnie i ciekawie oglądają się ciągle na mnie, również niespokojnego i ciekawego, a poza tym niezdecydowanego; pozwalałam im się prowadzić wzdłuż góry, przez most, łąkę, pod wiaduktem kolejowym do nieoczekiwanej ukazującej się rotundy, którą tworzą porośnięte lasem zbocza i wiadukt kolejowy, potem dalej, jeszcze wyżej, do lasu, który, jak widać, wcale się tak szybko nie kończy. Dziewczęta idą najpierw powoli, gdy zaczynam się dziwić wielkości lasu, przyspieszają kroku, wkrótce więc jesteśmy już na wyżynie, gdzie wieje silny wiatr, o parę kroków od celu.

Cesarski fotoplastykon. Jedyna rozrywka we Friedlandzie. Nie widzę w tym żadnej wygody, gdyż nie spodziewałem się tak pięknego urządzenia, jakie tam napotkałem, wszedłem w ośnieżonych butach i siedząc z okularami przed oczyma, dotykałem dywanu czubkami butów. Zapomniałem, jak wygląda urządzenie fotoplastykonu, i przez chwilę bałem się, że będę musiał chodzić od krzesła do krzesła.

Starszy mężczyzna przy oświetlonym stoliku, który czyta tom *Illustrierte Welt*, kieruje całością. Po chwili odgrywa w stosunku do mnie rolę **Aristona** Kafka ma zapewne na myśli jednego z dwóch filozofów tego imienia ze szkoły perypatetyków.

Później przychodzą jeszcze dwie starsze panie; siadają po mojej prawej stronie, potem jeszcze jedna, która siada po lewej. Brescja, Cremona, Verona. W środku ludzie jak lalki z wosku, których podeszwy utknęły w bruku. Nagrobki: pani z trenem wlokącym się po niskich stopniach, uchyla drzwi, oglądając się nieco za siebie. Rodzina, na przodzie czytający chłopiec, jedną dłoń przyłożył do skroni, chłopak z prawej strony napina łuk bez cięciwy. Pomnik bohatera **Tita Speriego** Tito Sperti (1825—1853), włoski bohater narodowy z okresu Wiosny Ludów.

: niedbale, z rozmachem fruują mu szaty wokół ciała. Bluza. Szeroki kapelusz. Obrazy bardziej żywe niż w kinie, wrażeniu wzrokowemu przekazują spokój, taki jak w rzeczywistości. Kino powoduje, że temu, co oglądamy, udziela się niepokój ruchu;

spokój wrażenia wydaje się ważniejszy. Smakować można gładką posadzkę katedr. Dlaczego nie ma jakiejś kombinacji kina z fotoplastykonem, właśnie w ten sposób? Plakaty z Pilzen Wuhrer, znane z Brescji. Różnica między samym słuchaniem opowiadania a oglądaniem fotoplastykonu jest większa niż różnica między tym ostatnim a oglądaniem rzeczywistości. Plac targowy ze starzyzną w Cremonie. Na koniec chciałem starszemu panu powiedzieć, jak bardzo mi się podobało, nie miałem odwagi. Zacząłem następny program. Otwarte od dziesiątej rano do dziesiątej wieczór.

Na wystawie księgarni spostrzegłem *Poradnik literacki* wyd. Durerbund. Postanowiłem kupić go, potem znowu zmieniłem to postanowienie, znowu wróciłem doń, przystając często o każdej porze dnia przed wystawą. Tak bardzo opuszczona zdawała mi się ta księgarnia, tak bardzo opuszczone książki. Łączność świata z Friedlandem odczuwałem tylko tutaj, a była tak bardzo nikła. Ale ponieważ każda samotność wywołuje u mnie tkliwe uczucie, szybko uczułem szczęście z powodu tej księgarni i raz wszedłem do środka, aby zobaczyć wewnątrz. Ponieważ nie potrzebowano tam dzieł naukowych, półki wyglądały prawie bardziej beletrystycznie niż w miejskich księgarniach. Starsza dama siedziała pod lampą z zielonym abażurem. Cztery czy pięć zeszytów czasopisma *Kunstwart* przypomniało mi, że był to początek miesiąca. Kobieta, odrzucając moją pomoc, wyciągnęła z wystawy książkę, o której istnieniu zaledwie wiedziała, dała mi ją do ręki, dziwiąc się, że ją spostrzegłem za pokrytą lodem szybą. (widziałem ją przecież już wcześniej) i zaczęła szukać ceny w księgach, gdyż nie знаła jej, a męża nie było. — Przyjdę później, wieczorem — powiedziałem (była dopiero piąta po południu), lecz nie dotrzymałem słowa.

Reichenberg.

W jakim właściwie celu pewne osoby chodzą szybko w małym miasteczku wieczorem — człowiek zupełnie nie wie. Jeśli mieszkają za miastem, muszą korzystać z tramwaju, ponieważ odległości są zbyt duże. Jeśli mieszkają na miejscu, nie istnieją wtedy przecież odległości, a zatem nie ma żadnego powodu do szybkiego chodzenia. A przecież ludzie, wyciągając nogi, przechodzą przez ten rynek, który nie byłby za wielki dla wsi, gdzie ratusz wskutek swojej nieproporcjonalnej wielkości jeszcze go pomniejsza, (mógłby go dobrze przykryć swoim cieniem); oceniając na podstawie tego małego placu, nie chce się w to wierzyć i w wielkość ratusza, pierwsze wrażenie jego ogromu chciałoby się wytłumaczyć małością placu.

Jeden policjant nie zna adresu Kasy Chorych, drugi adresu ekspozytury tego zakładu, trzeci znowu nie wie, gdzie jest ulica św. Jana. Tłumaczą to tym, że od niedawna są w służbie. Z powodu pewnego adresu musiałem pójść na posterunek, gdzie odpoczywała w najrozmaitszy sposób pokaźna liczba policjantów; wszyscy w mundurach, które swą pięknnością, świeżością i barwą zaskakują człowieka, gdyż wszędzie poza tym na ulicy widzi się ciemne palta zimowe.

W wąskich uliczkach można było ułożyć tylko jeden tor. Dlatego tramwaj jedzie do dworca kolejowego innymi ulicami, a wraca znowu innymi. Mieszkałem w hotelu Pod Dębem, dokąd z dworca jechało się ulicą Wiedeńską, a do dworca przez ulicę Schuckera.

W teatrze po raz trzeci *Na falach morza i miłości*. Siedziałem na balkonie, jakiś za dobry aktor robi za dużo hałasu w roli Nauklerosa, wiele razy miałem łzy w oczach, na przykład przy końcu pierwszego aktu, gdy Hero i Leander nie mogli oderwać się od siebie. Hero wychodzi z drzwi świątyni, przez które widzi się coś, co może być tylko skrzynią na lód. W drugim akcie las, taki jak we wcześniejszych, wspaniałych wydaniach, chwyta za serce, liany wiją się między drzewami. Wszystko omszałe, ciemnozielone. Tylina ściana komnaty na wieży, powraca następnego wieczoru w sztuce *Miss Dudelsack*. operetka Fritza Grunbauma i Heinza Reicherta. Począwszy od trzeciego aktu sztuka podupada, jakby krył się za tym jakiś wróg.

## PODRÓŻ LUGANO—PARYŻ--ERLENBACH

Sierpień—wrzesień 1911

Odjazd 26 sierpnia 1911. Popołudnie. Zły pomysł: opisywanie podróży i równocześnie wewnętrzznego stosunku do rzeczy związanych z podróżą. Przejeżdżający wóz z wieśniaczkami



dowiódł niemożliwości tego. Heroiczna chłopka (Sybilla delficka). Na kolanach roześmianej wieśniaczki śpi dziewczyna, która budząc się, mruga oczami. Przez opisanie pozdrowienia Maksa wkradłaby się do opisu fałszywa wrogość.

W Pilźnie wsiada dziewczyna, przyszła Alicja R. Kawę zamawianą podczas jazdy pokazuje się restauratorowi za pomocą małych, zielonych karteczek, które naklejane są na okna. Nie wolno jednak brać kawy z tą karteczką i dostaje się ją również bez tego. Najpierw nie mogą jej widzieć, gdyż siedzi obok mnie. Pierwszy, ogólny fakt: jej zapakowany kapelusz zlatuje na Maksa. Tak trudno kapelusze wchodzić przez drzwi wagonu i łatwo wylatują przez wielkie okna. — Maks prawdopodobnie przekreśla możliwość dalszego opisu, gdy jako człowiek żonaty, chcąc odjąć zjawisku niebezpieczny charakter, musi coś powiedzieć, przy czym opuszcza najważniejsze, podkreśla stronę dydaktyczną i trochę oszpeca. — „Doskonałe”, „wyrzucić za drzwi”, „przyspieszenie zero koma pięć”, „punktualnie, beniaminki w biurze (zamiana kapeluszy w biurze, przybijanie rogalików do ściany), nasz żart z pocztówką, którą ona będzie pisać w Monachium, wyślemy ją do jej biura z Zurychu, napisano na niej: „Niestety złożyło się, jak przewidywałam... Zły pociąg... Teraz jestem w Zurychu... Stracone dwa dni wycieczki”. Jej radość. Jednak oczekuje, że jako ludzie żonaci nie dopiszemy niczego. Samochód w Monachium. Deszcz, szybka jazda (dwadzieścia minut), perspektywa mieszkania **Kellera** pisarza Gottfrieda Kellera, przewodnik wykrzykuje nazwy niewidocznych osobliwości, godnych widzenia. Opony syczą na mokrym asfalcie jak aparat projekcyjny w kinie; rzecz najbardziej rzucająca się w oczy: nie zastąpione okna Czterech Pór Roku, odbicie światła lamp w asfalcie jak w rzece.

Mycie rąk i twarzy w „kabinie” na dworcu kolejowym w Monachium.

Walizka zostawiona w wagonie. Alicja ulokowała się w wagonie, gdzie jakaś dama, której należało obawiać się więcej niż nas, użyczy jej opieki, co przyjęte zostało z entuzjazmem. Podejrzane.

Sen Maksa w przedziale. Dwaj Francuzi, jeden brunet, ciągle się śmieją, raz z tego, że Maks zostawia mu zaledwie trochę miejsca do siedzenia (tak się wyciąga), potem z tego, że wykorzystując sposobność, nie pozwala się Maksowi położyć. Maks pod baldachimem swego haweloka. Papierosy drugiego, roślejszego Francuza. Jemy w nocy. Trzej Szwajcarzy wdzierają się do przedziału. Jeden z nich pali. Drugi, który zostaje, gdy tamci dwaj wysiedli, jest najpierw nijaki, dopiero nad ranem daje się lepiej poznać. Jezioro Bodeńskie. Beztroskie, jakby widziane z bulwaru. W czasie pierwszych godzin rannych Szwajcaria pozostawiona samej sobie. Budzę Maksa na widok (rysunek mostu) takiego mostu i w ten sposób odbieram pierwsze silne wrażenie Szwajcarii, mimo że już od dłuższego czasu z mrocznego wnętrza oglądam ją w mroku na zewnątrz. Wrażenie, jakie sprawiają proste, stojące wolno domy w St. Gallen, nie tworzące ulicy. — Winterthur. — Na werandzie oświetlonej willi w Wirtembergii jakiś mężczyzna wychyla się przez poręcz o drugiej w nocy. Otwarte drzwi do gabinetu. W śpiącej Szwajcarii czuwające już bydło. Stupy telegraficzne: przekrój wieszaka na ubranie. W miarę jak słońce wstaje, bledną łąki górskie. Budynek stacyjny w Cham, na którym napis brzmi z biblijną powagą, przypomina dom poprawczy. Ozdoby okienne mimo swego ubóstwa wydają się w niezgodzie z przepisami. W dwóch oknach dużego domu, Rozmieszczonych daleko od siebie, stoją dwa drzewka poruszane wiatrem, w jednym duże, w drugim małe.

Na dworcu kolejowym w Winterthur włóczęga z laseczką, śpiewa, jedna ręka w kieszeni spodni.

Pytanie z okna: Jak zbudowano z pojedynczych domów Zurych, pierwsze wielkie miasto Szwajcarii?

Przedsiębiorstwa w willach.

Dużo śpiewu na dworcu kolejowym w Lindau w nocy.

Patriotyczna statystyka: powierzchni równin w Szwajcarii położonej na wyżynie. Obce firmy, produkujące czekoladę.

Zurych.

Dworzec wynurza się spośród innych, które ostatnio we wspomnieniu stopiły mi się w jeden obraz. — (Maks obejmuje go w posiadanie jako **A + x**). Aluzja do teorii Feliksa Weltscha, która stanowi punkt Wyjściowy jego książki

Historyczne wrażenie obcego wojska. Brak tego wrażenia w odniesieniu do rodzimego — argument antimilitaryzmu.

Strzelcy na dworcu kolejowym w Zurychu. Nasza obawa, aby broń nie wypaliła im w biegu.

Kupujemy plan Zurychu.

Na moście, tam i z powrotem, niezdecydowani co do kolejności kąpieli zimnej, gorącej i śniadania.

W kierunku Limmatu. Obserwatorium Urania.

Główna arteria komunikacyjna, pusty tramwaj, piramidy mankietów na pierwszym planie wystawy włoskiego sklepu z galanterią męską.

Same plakaty artystyczne (hotele w miejscowościach kuracyjnych, uroczyste przedstawienie *Marignano* Wieganda z muzyką Jermolego).

Rozbudowa domu towarowego. Najlepsza reklama. Całoroczne wyczekiwanie ludności. (Dufayel)

Listonosze, w habitach, pierwsi zwiastuni zbliżającego się Południa i Zachodu, wyglądają jak w nocnych koszulach. Noszą skrzynki przed sobą, listy ułożone w wysoką stertę, jak „planety” czeska nazwa małych kopert, z których papuga na jarmarkach wyciągała tzw. „losy” i na świątecznym rynku. Widok jeziora. Wyraźnie nastrój niedzielny, gdy człowiek wyobraża sobie, że mógłby być tu. Zbiornik powietrza — jezioro, nie da się zabudować. Jeździec. Spłoszony koń. Wychowawczy napis, może płaskorzeźba Rebeki przy studni. Spokój napisu i płaskorzeźby nad wręcz silnie wydętą, szklaną formą płynącej wody.

Stare miasto: wąska, stroma uliczka, po której ciężko biegnie w dół mężczyzna w niebieskiej bluzie. Po schodach.

Wspomnienie klozetu przed St. Roche w Paryżu, zagrożonego przez ruch uliczny.

Śniadanie w bezalkoholowej restauracji. Masło jak żółtko. Zurcher Zeitung.

Wielka katedra, stara czy nowa? Mężczyźni mają miejsca po bokach. Kościelny wskazuje nam lepsze miejsca. Idziemy za nim, gdyż jest to w naszym kierunku wyjścia. Ponieważ zdaje się sądzi, gdy jesteśmy już przy wyjściu, że nie znaleźliśmy tych miejsc, idzie ku nam w poprzek, przez kościół. Wypychamy się wzajemnie. Dużo śmiechu.

Maks; pomieszczenie języków jako rozwiązanie międzynarodowych trudności. Szowinista już się w tym nie wyznaje.

Łaźnia w Zurychu: tylko dla mężczyzn. Człowiek na człowieku. Dialekt szwajcarski: niemczyzna nalana ołowiem. Częściowo brak kabin, republikańska swoboda W rozbieraniu się przed swoim wieszakiem, taka sama swoboda dozorczy pływalni, który za pomocą sikawki opróżnia zatłoczone miejsca kąpieli słonecznej. Opróżnianie to zresztą nie staje się mniej bezpodstawne przez to, że nie rozumie się języka. Skoczek: rozstawiwszy nogi na poręczu, skacze najpierw na trampolinę, aby uzyskać większy rozmach. Urządzenie łaźni ocenia się dopiero po dłuższym korzystaniu z niej. Nie ma nauki pływania. Jakiś znawca przyrodolecznictwa, z długimi włosami, zachowuje się jak samotnik. Niskie brzegi jeziora.

Bezpłatny koncert w kasynie. Wśród słuchaczy jakiś pisarz ze swoim towarzyszem — zapisuje coś w notesie, wypełnionym drobniutkim pismem — którego wyciąga jego towarzysz po skończonym numerze.

Brak Żydów. Maks: Żydzi pozwolili, aby wymknął im się taki dobry interes. Początek: marsz *Bersaglierów*. Koniec: marsz *Pro patria*. W Pradze nie ma bezpłatnych koncertów bez żadnych okazji. (Park Luksemburski), według Maksza zwyczaj republikański.

Zamknięty pokój Kellera. Biuro podróży. Jasny dom za ciemną uliczką. Domy z tarasami na prawym brzegu Limmatu. Okna wystawowe, pomalowane na niebiesko i biało. Pomału spacerujący żołnierze to policjanci. Sala koncertowa. Politechniki nie szukałem i nie znalazłem. Ratusz. Obiad na pierwszym piętrze. Wino meileńskie. (Sterylizowane wino ze świeżych winogron). Kelnerka z Lucerny podaje nam pociągi jadące tam. Zupa grochowa z sago, fasola z przysmażonymi ziemniakami, krem cytrynowy. Solidne domy, ozdobione artystyczną ciesielką. Odjazd do Lucerny około godziny trzeciej, wokół jeziora. Puste, ciemne, pagórkowate, lesiste brzegi jeziora Zug z licznymi przesmykami. Widok amerykański. Podczas podróży wstręt do porównań z krajami, których jeszcze nie widziałem. Wielkie panoramy na dworcu kolejowym w Lucernie. Na prawo od dworca lodowisko. Wchodzimy między portierów i wołamy Rebstock. Czy ten hotel ma taką rangę wśród innych, jak jego portierzy wśród swoich kolegów? Most (według Maksa) oddziela jezioro od rzeki, tak jak w Zurychu. Gdzie jest niemiecka ludność, która usprawiedliwiłaby napisy w języku niemieckim? Sala w Domu Zdrojowym. Szwajcarzy (niemieccy) w Zurychu, których się widzi, nie wydają się talentami na polu hotelarstwa, tam gdzie są, nikną, może hotelarzami są właśnie Francuzi. Naprzeciwko pustego hangaru dla balonów. Trudno sobie wyobrazić wślizgiwanie się powietrznego statku. Roller-Rink, berliński wygląd. Owoce. Wieczorem czerń nabrzeżnego korsa ostro odcina się od wierzchołków drzew. Panowie z córkami lub dziewczkami. Kołysanie się łodzi widocznych aż po dolną krawędź. Śmieszna dama, która przyjmuje gości w hotelu, roześmiana dziewczyna prowadzi do pokoju, coraz to wyżej, poważna pokojówka o rumianych policzkach. Mała klatka schodowa. W pokoju zamknięta, wmurowana skrzynka. Wesole uczucie, gdy wychodzi się z pokoju. Chętnie zjadłbym owoce na kolację. Hotel Gotarda, dziewczyna w narodowym stroju szwajcarskim. Kompot z moreli, wino meileńskie. Dwie starsze kobiety i jeden pan rozmawiają o starzeniu się. Odkrycie sali gry w Lucernie. Wstęp jeden frank. Dwa długie stoły. Rzeczy prawdziwie godne widzenia brzydko wychodzą w opisie, ponieważ musi się to robić wręcz w obecności czekających osób. Przy każdym stole, w środku, krupier, po bokach dwaj strażnicy.

Najwyższa stawka pięć franków: „uprasza się. Szwajcarów o ustępowanie pierwszeństwa obcokrajowcom, ponieważ gra ma być rozrywką dla gości”.

Jeden stół z kulą, jeden z konikiem. Krupierzy w anglezach. Messieurs, faites votre jeu <sup>panowie,</sup> <sup>zaczynajcie grę</sup> marquez le jeu <sup>proszę obstawiać numery</sup> le jeu sont faits <sup>gra się rozpoczęła</sup> — sont marqués <sup>numery</sup> <sup>obstawione</sup> — rien ne va plus <sup>nie można stawiać</sup>. Krupierzy z poniklowanymi grabkami na drewnianych drążkach. Czego nimi nie robią: popychają pieniądze na właściwe pole, dzielą je, przysuwają do siebie, łapią nimi pieniądze, które padły na wygrane pole. Wpływ różnych krupierów na szansę wygrania lub lepiej: krupier, u którego ktoś wygrywa, podoba się. Podniecenie pod wpływem wspólnej decyzji zagrania, człowiek czuje się w sali samotnie. Pieniądze (dziesięć franków) znikają na lekko pochyłonej równi. Stratę dziesięciu franków odczuwa się jako zbyt małą zachętę do dalszej gry, lecz jednak jako zachętę. Wściekłość na wszystko. Przedłużenie dnia przez tę grę.

Poniedziałek, 28 sierpnia. Mężczyzna w wysokich butach spożywa śniadanie pod ścianą. Parowiec drugiej klasy. Lucerna rano. Kiepski wygląd hoteli. Jakieś małżeństwo czyta listy z domu, z wycinkami z gazet o cholerze we Włoszech. Piękne rezydencje, ledwie widoczne podczas podróży statkiem, płyniemy na ich poziomie. Zmieniające się kształty gór. Vitznau, kolejka na Rigi. Jezioro, widziane poprzez liście, wrażenie Południa. Zaskoczeni nagłą równiną jeziora Zug. Lasy jak w ojczyźnie. Kolej zbudowana w roku 75, zaglądam do starej książki *Przez łądy i morza*. Historyczna ziemia angielska, tutaj chodzili oni jeszcze w kratach i z faworytami. Lornetka. W dali Jungfrau, rotunda Mnicha, drgające, gorące powietrze porusza obraz. Titli jak przyłożona dłoń, przecięty bochen śniegowego pola. Fałszywa ocena wysokości od góry i od dołu. Nie rozstrzygnięty spór o położeniu dworca kolejowego w Arth-Goldau, na pochyłości czy na równinie. *Table d'hôte*, ciemnowłosa kobieta, poważna, ostre kąciki ust, widziałem ją już na dole, obok wagonu siedzi w hallu. Młoda Angielka odjeżdża, wszystkie zęby równe. Mała Francuzka wchodzi do przedziału obok, wyciągniętą ręką określa nasz pełny przedział jako niekompletny, popycha swego ojca ku wejściu i swoją siostrę, małą, wyglądającą bardzo niewinnie i jak dziewczka, która łokciem łaskocze mnie po biodrach. Bardziej sepleniona angielszczyzna starej damy na prawo od Maksa, szukamy dla niej nazwy hrabstwa. Podróż Vitznau-Fluelen, Gersau, Beckenried, Brunnen (same hotele), kamień Schillera, płyta Tella, opuszczone Rutli, dwie loggie na Axenstrasse (Maks myślał sobie, że jest ich tu więcej, ponieważ na fotografiach widzi się ciągle te dwie), kotlina Urneńska, Fluelen. Hotel Sternen.

Wtorek 29 sierpnia. Piękny pokój z balkonem. Uprzejmość. Znadto zamknięty przez góry. Jeden mężczyzna i dwie dziewczyny idą gęsiego w nieprzemakalnych płaszczach przez hali wieczorem, z górskimi laseczkami w rękę. Gdy są już na schodach, zatrzymuje ich pytanie pokojówki: Dziękują, już się zorientowali. Na dalsze pytania o ich wycieczkę w góry odpowiadają: „Nie było to takie łatwe, możecie być pewni”. W westybulu wydają mi się jak ze sztuki *Miss Dudelsack*, na

schodach Maksowi - jak z Ibsena, po— tern mnie również. Zapomniany judaszek. Na kolei dowiadujemy się, że jutro nawet stara dama jedzie do Genui. Chłopcy ze sztandarem szwajcarskim. Kąpiel w Jeziorze Czterech Kantonów. Para małżeńska. Koło ratunkowe. Spacerowicze na Axenstrasse. Piękna kąpiel, ponieważ można się było samemu urządzić. Rybaczki w biało-żółtych sukniach. Wsiadamy do kolejki na Górę świętego Gotarda. Reuss. Mlecznobiała woda naszych rzek. Węgierski kwiat. Grube wargi. Egzotyczna linia od pleców do pośladków. Piękny mężczyzna tam, u Węgrów. We Włoszech opluwa się podłogę łupami z winogron, które jednak znikają w miarę jak posuwamy się na Południe. Generał jezuitów na dworcu kolejowym w Goschonen. Nagle Wiochy, porzucone stoły przed oberżami, młody człowiek pstro ubrany, który nie mógł utrzymać się na nogach, ruchy rąk żegnających się kobiet (naśladowanie pewnego rodzaju szczypania), wysoko zaczesana brunetka obok dworca, jasnoróżowe domy, zamazane napisy. Później włoski folklor znika lub na pierwszy plan wybija się podkład szwajcarski. Kobiety w domku wartownika kolejowego, przypomina to walkę. Wodospady Tessynu, przez cały czas wodospady. Niemieckie Lugano. Wrzaskliwa palestra. Nowy budynek pocztowy. Hotel Belweder. Koncert w Domu Zdrojowym. Brak owoców.

30 sierpnia. Od godziny czwartej rano do jedenastej w nocy z Maksem przy stole, najpierw w ogrodzie, potem w lektorium, potem w moim pokoju. Przed południem była kąpiel. Poczta.

31 sierpnia. Ośnieżone góry na Rigi wynurzają się niby wskazówki zegara.

Piątek, 1 września. Odjazd o dziesiątej godzinie z placu Wilhelma Tella. Szablonowa analogia między siedzeniem w wagonie, plecami w kierunku jazdy, a siedzeniem na statku. Na łodziach stelarz na budę płócienną, tak samo jak na wozach do rozwożenia mleka. Za każdym przybiciem do brzegu uderzenie.

Jazda bez bagażu, ręce wolne, aby podtrzymać głowę. Gandria: domy nasadzone na siebie jeden na drugim, loggie z barwnymi zasłonami, brak perspektywy z lotu ptaka, uliczki, nie-uliczki. Na przystani święta Małgorzata z fontanną. W Oni willa z dwunastoma cyprysami. Nie można i nie ma się odwagi wyobrazić sobie domu w Oni, którego fasada posiadałaby taras z greckimi kolumnami — spalone domy nie rażą tylko podczas pożaru. Mamette: średniowieczny, czarodziejski kapelusznik na dzwonnicy. Przedtem w alejce osioł, po jednej stronie placu portowego. Osteno. Duchowny w damskim towarzystwie. Szczególnie niezrozumiałe okrzyki. Niezrozumiałość może wkraść się również do zdań. Dziecko w oknie za tunelem, w którym mieści się pisuar. Uczucie laskotania na widok jaszczurki pelzającej po murze. Opadające włosy Psyche. Żołnierze jadący na rowerach i portierzy hotelowi, ubrani jak marynarze. .

Carlotta-Jlex. Kamień-dąb; skóra ściągnięta z małych zwierząt. Passiflora: akrobata natury. Bambus. Pnie palm poobwieszane skalpami starców. Bukszpan (mirt). Aloes (podwójne piły). Cedr (modrzew w koronie na przemian wyrastających gałęzi), zwisające wiotkie, nieme dzwoneczki (fukcja), iubaea (pień jak nosorożec), platan. Kaktusy. Magnolie (liście, których nie można rozzerwać). Australijskie byczki (palmy). Delikatny wawrzyn. Kopulasty rododendron. Eukaliptus: nagi pień z samych mięśni. Cytryny. Papiirus: trójgraniasta rękojeść, u góry w kształcie narcyza. Glicynia obwijająca się wokół samej siebie, olbrzymi platan. Bananowiec.

Dzieci na pomoście w Menaggio. Ojciec, ciało kobiety dumne ze swoich dzieci.

Pasażerowie przejeżdżający powozem pokazują jeden drugiemu włoskich chłopców.

Mąż stanu z na pół otwartymi ustami (willa Carlotta).

Francuzka, która ma głos mojej ciotki i słomianą parasolkę od słońca, z postrzępionym brzegiem, pisze w małym notesiku coś o *montagne* itd. Czarny mężczyzna w łodzi, na tle kół ratunkowych, stojąc pochyla się nad sterem.

Urzędnik celny przegląda i szybko grzebie w koszyczku, jak gdyby wszystko było podarunkiem dla niego. Włosi w pociągu Porlezza-Menaggio. Każde słowo, skierowane po włosku do kogoś, wciska się do wielkiej otchłani naszej własnej niewiedzy i nurtuje nas długo, niezależnie od tego, czyśmy je zrozumieli, czy nie; własny niepewny język włoski nie może się ostać wobec pewności Włochów i rozumiany czy też nie, łatwo bywa nie dosłyszany. Figiel, jaki płała nam przed Menaggio pociąg powrotny, ładny temat do rozmowy. Domy-łódzie z kamienia, z tarasami i ozdobami, po drugiej stronie, przed willami. Wielkie sklepy z antykami. Sternik: **peu de commerce** <sup>slaby ruch</sup>. Kuter urzędu celnego (opowieść o kapitanie Nemo i **Podróży przez słoneczny świat**. <sup>tytuł niemieckiej przeróbki książki Jules Vernea:</sup> Hector Servadac.

2 września. Sobota. Drżenie twarzy na małym parowcu. Fartuchowate zasłony (brunatne z białym wzorem na brzegu) przed sklepami (Cadenabbia). Pszczoły w miodzie. Samotna, zgrzyliwa kobieta o

krótkim korpucie, nauczycielka języków. Poprawnie zachowujący się pan w wysoko podciągniętych spodniach. Jego ręce do łokci unoszą się nad stołem, jak gdyby dłonie zamiast noża i trzonka widelca ujmowały koniec jakiegoś oparcia. Dzieci, widząc słabo rozbłyskujące rakietki: *encore un* — syk, wyciągnięte ręce. Kiepska jazda na małym parowcu, zbyt silnie kołyszymy się razem ze statkiem. Wysokość zbyt mała na to, aby móc odczuwać świeże powietrze i swobodnie rozglądać się po okolicy, czujemy się podobnie jak palacze okrętowi. Pomiędzy Castagnolą a Gandrią kąpiel w morzu na siedzeniach, które sami zbudowaliśmy. Przechodząca obok nas grupa: mężczyzna, krowa i kobieta. Ona opowiada. Czarny turban, luźna suknia. Bicie serca u jaszczurek. Ilość energii u pewnego pana: w lektorium podają późno i równocześnie piwo, wino, Fernet Branca, widokówki — lekkie westchnienia. Mały synek gospodarza, który, chociaż z nim przedtem nie rozmawiałem, upomniany przez matkę, nadstawia mi buzię do pocałowania na dobranoc. Pocałunek smakował mi. Gandria: zamiast uliczek schody do piwnic i korytarze. Biją jakiegoś chłopca, tępy odgłos trzepanych łózek. Dom obrośnięty bluszczem, na ścianie plamy bluszczu. W Gandrii szwaczka w oknie bez żaluzji, zasłony i szyby. Podpieramy się wzajemnie w drodze z kąpieliska do Gandrii, tak jesteśmy zmęczeni. Uroczysty korowód łodzi za małym czarnym parowcem. Młodzi panowie wpatrzeni w obrazy klęczą, kucają na pomoście, jeden z nich cały na białło, dobrze znamy go jako bawidamka i dowcipnisia. W Porlezzy na bulwarze wieczorem. Przy pomniku Wilhelma Tella jakiś, już zapomniany, Francuz z długą brodą podkreśla, że pomnik ten jest osobliwością godną widzenia. Ten pomnik z rurą odpływową kuchennego wodociągu, mosiądz z kamienia.

3 września, niedziela. Jakiś Niemiec ze złotym zębem, który może zatrzymać na sobie uwagę opisującego, chociaż ogólne wrażenie osoby jest nijakie, o trzy kwadransy na dwunastą otrzymuje kartę wstępu na pływalnię, jakkolwiek. zamyka się ją o dwunastej. Trener natychmiast zwraca uwagę wchodzącemu, po włosku, niezrozumiałym, a więc surowo brzmiącym językiem. Zmieszany tą uwagą po włosku Niemiec płacze się w swojej rodzimej mowie i pyta, dlaczego w kasie sprzedano mu bilet i uskarża się, że w ogóle mu go sprzedano i że nie powinni mu byli go sprzedać. Z włoskiej odpowiedzi wynika, że ma jeszcze prawie kwadrans na kąpiel i ubranie się. Płacze łzami. Siedziałem w morzu na beczce. „Hotel Belweder: „z całym uznaniem dla gospodarza, ale jedzenie nędzne”.

4 września. Informacje o cholercie: biuro podróży, *Corriere della sera* <sup>Kurier Wieczorny</sup>, północno-niemiecki Lloyd, *Berliner Tageblatt*, pokojówka przynosi informację pewnego lekarza berlińskiego, charakter tych informacji zmienia się zależnie od, ugrupowania i stanu zdrowia danej osoby, gdy odjeżdżamy z Lugano do Porto Ceresio, godzina pierwsza zero pięć, jest on dość dobry. Przelotny entuzjazm dla Paryża. Na wietrze, który dmie w trzymany przez nas *Excelsior* z 3 września, biegniemy z nim do ławki. Most na jeziorze Lugano, na tablicach ogłoszeń jest jeszcze kilka miejsc do wynajęcia...

Ad piątek. Trzej fagasi przepędzają nas od dziobu statku, bo może sternik musi mieć swobodny widok na światła z przodu, potem jednak przysuwają ławkę i sami na niej. siadają. Chętnie byłbym zaśpiewał.

Piątek. Na oczach Włocha, namawiającego nas na podróż do Turynu (wystawa), któremu skinieniem głowy dajemy znak, że się zgadzamy, uderzeniem dłońmi przypieczętowujemy wspólne postanowienie, aby za żadną cenę nie jechać do Turynu. Pochwała zniżkowych biletów. Cyklista na rowerze robi rundy na wychodzącym na morze tarasie domu w Porto Ceresio. Harap, który zamiast rzemienia ma tylko mały ogonek z końskiego włosia. Jadący cyklista trzyma obok siebie na powrozie kłusującego konia.

Mediolan: zapomniałem przewodnika w sklepie. Wróciłem się i ukradłem (go). Na dziedzińcu Mercantich jadłem strudel z jabłkami. Zdrowotny placek. Teatr Fossati. Wszystkie kapelusze i wachlarze w ruchu. śmiech dziecka u góry. Na program naklejono afisz reklamowy. W męskiej orkiestrze starsza dama. Poltrone. — Ingresso. — Na wzniesieniu orkiestra, wokoło miejsca dla widzów. Reklama Lanci włączona w dekorację sufitu w salonie. Otwarto wszystkie okna w tylnej ścianie. Rosły, krzepki aktor, delikatne kropki w nozdrzach, których czerń mimo to jest uderzająca, chociaż kontury twarzy, przechylonej w tył, rozpluwają się w świetle. Dziewczyna, długa cienka szyja i sztywne łokcie, wybiega drobnymi kroczkami z pokoju, długa szyja pozwala domyślać się odpowiednio wysokich obcasów. Przecenia się śmiech, ponieważ od powagi nie rozumiejącej jest do śmiechu dalej niż od wtajemniczonej. Każdy mebel ma swoje znaczenie. W obu sztukach po pięć drzwi na wszelki wypadek. Nos i usta dziewczyny rozświetlone na skutek umalowanych oczu. Jakiś pan w łoży, śmiejąc się otwiera usta tak szeroko, że widać w tyle złoty ząb, następnie przez chwilę

trzyma je otwarte w ten sposób. Takiej łączności, jaka powstaje między sceną a widzem nie rozumiejącym języka, i to w sensie zarówno dodatnim, jak i ujemnym, nie można uzyskać w inny sposób.

Młoda Włoszka, zresztą o żydowskich rysach twarzy, które widziane z profilu przestają być żydowskie. Jak wstała, wyciągnęła ręce w przód ku poręczy i można było widzieć dobrze tylko drobne ciało, bez poszerzających ramion i barków, gdy obu rękami trzymała się słupka — na wietrze niby przy drzewie. Czytała jakąś detektywistyczną broszurę, o którą przez długi czas prosił ją daremnie jej mały braciszek. Obok niej ojciec, mocno haczykowany nos, podczas gdy nos dziewczyny był w tym samym miejscu łagodnie załamany, dlatego bardziej żydowski. Spoglądała na mnie często z ciekawości, czy wreszcie przestanę jej dokuczać oglądaniem. Miała suknię z surowego jedwabiu. Obok mnie tęga, rośła, pachnąca dama, wachlarzem rozprowadza zapach w powietrzu. Jej obfite ciało nie może zmieścić się w buciku i kipi z niego tuż przy palcach. Obok niej czuję się zasuszony. W przechowalni bagażu blaszany abażur nad płomieniem gazowym ma kształt dziewczęcego kapelusza. Zabawnie rozmaite kraty w domach. Szukaliśmy ich pod sklepieniami bramy wjazdowej do Scali i nie byliśmy zdumieni pomyłką na widok jej prostej, obdrapanej fasady, nawet po wyjściu na plac.

Coraz bardziej aprobuję ruch uliczny, który rośnie w miarę posuwania się ku centrum miasta, aż wreszcie na placu Katedralnym nie widzi się nic prócz tramwaju powoli okrążającego pomnik Wiktora Emanuela, a wtedy człowiek odwraca się i szuka hotelu.

Radość z połączenia, jakie między pokojami tworzą podwójne drzwi. Każdy może otworzyć jedno drzwi. Maks uważa to za dogodne również dla małżeństw. — Najpierw zapisać myśl, potem odczytać, nie odwrotnie, gdyż wtedy tylko udaje się utrzymać wewnętrzny rozpęd, podczas gdy to, co mamy dalej napisać, przychodzi samo od siebie. — Rozmowa o letargu i udarze serca przy stoliku w kawiarni na placu Katedralnym. **Mahler** Mahler Gustav (1860—1911), austriacki kompozytor i dyrygent, przedstawiciel późnego romantyzmu, między innymi skomponował muzykę do Des Knaben Wunderhorn.

pragnął również udaru serca. Planowany czas pobytu w Mediolanie kurczy się przy tej rozmowie mimo lekkiego oporu z mojej strony. — Katedra przytłacza swoimi wieloma wieżyczkami. — Powzięcie postanowienia podróży do Paryża: w Lugano przez moment patrzymy na Excelsiora, podróż do Mediolanu, ponieważ nie całkiem dobrowolnie kupiliśmy bilety do Mediolanu via Porto Ceresio, z Mediolanu do Paryża ze strachu przed cholera i z chęci rekompensaty za ten strach. Ponadto obliczam finansowe i czasowe korzyści takiej podróży.

I. Rimini — Genua — Nervi (Praga)

II. Jeziora północnych Włoch, Mediolan — Genua (Praga) (Waham się między Lucarno a Lugano).

III. Omijamy Maggiore, Lugano, Mediolan, zwiedzanie miast w drodze do Bolonii.

IV. Lugano — Paryż.

V. Lugano — Mediolan (kilka dni) — Maggiore.

VI. W Mediolanie: wprost do Paryża (ewent. Fontainebleau).

VII. Wysiadamy w Stresie.

Przez to podróż po raz pierwszy zyskuje dobre tło i perspektywę, rozrasta się i dlatego można ją chwycić w tali. Nigdy jeszcze nie widziałem ludzi tak małych jak w Galerii. Maks twierdzi, że **Galeria** chodzi o Galleria Vittorio Emanuele w Mediolanie. jest tylko tak wielka jak domy, które widzi się pod gołym niebem, zaprzeczam temu, uzasadniając swój sąd zapomnianym zarzutem, który będę zresztą zawsze podnosił w obronie tej Galerii. Nie ma prawie żadnych zbytecznych ozdób, nie zatrzymuje spojrzenia, wskutek czego oraz również z powodu swojej wysokości wydaje się krótka, wytrzymując jednak i to. Tworzy krzyż, przez który powietrze przepływa swobodnie. Z dachu katedry ludzie widziani wydają się więksi w porównaniu z Galerią. Nie widziałem ruin starego Rzymu, ale Galeria może mi to w zupełności powetować. W głębi korytarza, na domu publicznym przejrzysty napis: **Al vero eden** Do prawdziwego raj. Duża frekwencja z ulicy, przeważnie pojedyncze osoby. Tam i z powrotem po wąskich uliczkach w najbliższej okolicy. Są czyste, pomimo tego że wąskie, mają liczne chodniki, raz w małej uliczce, która biegnie pod kątem prostym do innej uliczki, widzimy kobietę, opiera się o kratę okienną na ostatnim piętrze. Byłem wtedy we wszystkim lekkomyślny i zdecydowany — jak zawsze w takim humorze — czułem, że moje ciało stało się cięższe. Dziewczęta mówiły swoją francuszczyzną jak dziewczęta. Mediolańskie piwo ma zapach piwa, ale smak wina. Maks żałuje tego, co napisał, tylko wówczas gdy pisze, później nigdy. Maks ze strachu prowadzi kota na spacer po czytelniku.

Siedząca dziewczyna, jej brzuch widoczny między i nad rozstawionymi kolanami, ale gdy wstała rozciągnął się jak teatralna dekoracja za zasłonami, i w końcu ciało dziewczyny było zupełnie znośne. Francuzka, słodycz jej, będąca ostatecznym wrażeniem całości, uwydatniała się przede wszystkim w okrągłych, a jednak wymodelowanych, gadatliwych i wiernych kolanach. Władcza, posągowa figura, która świeżo zarobione pieniądze wkłada do pończochy. Starzec, obie ręce skrzyżował na kolanie. Ta obok drzwi — jej zła twarz ma wygląd hiszpański, ręce położyła na biodrach również po hiszpańsku, i cała postać sterczy w sukni z jedwabiu na prezerwatywy, która przypomina gorset. U nas niemieckie

dziewczęta w domach publicznych łagodzą na chwilę uczucie obcości w stosunku do ich narodu, tutaj robią to Francuzki. Być może niedostateczna znajomość tego rodzaju swojskich stosunków. Ukarana namiętność do mrożonych napojów: jedna grenadina, dwa aranciata w teatrze, jeden w barze na Corso Emanuele, jeden sorbet w kawiarni w Galerii, jedna francuska woda mineralna Thierry, która od razu ujawnia działanie wszystkiego, co się przedtem wypilo. Idę do łóżka smutny z powodu widzianej z łóżka rozległej perspektywy o bardzo specyficznym włoskim charakterze, którą tworzy nieco wystające okno w bocznej fasadzie. Budzę się z uczuciem beznadziejności i suchym, ściśniętym gardłem. Wcale nie urzędowa elegancja strażników, którzy odbywają służbowy obchód, trzymając w jednej ręce zdjęte bawełniane rękawiczki, w drugiej laseczkę.

5 września. Banca Commerciale na placu Scala. Listy z domu. — Poczta do szefa. — Zdumiewające wejście do katedry przez portiere, brunatne jak w Cadenabbii. Pragnę oddać obraz architektury katedry, ponieważ katedra i jej otoczenie to typowy obraz architektoniczny, przeważnie nie ma ławek, nieliczne figury na kolumnach, nieliczne i tylko ciemne obrazy na dalekich ścianach, a poszczególne zwiedzający stanowią na posadzce jakby miernik wielkości katedry albo poruszają się niczym jednostki miary jej ogromu. Widok wzniosły, ale zbyt szybko przypomina Galerię. — Nieodpowiedzialnie jest podróżować bez zapisków, co dopiero żyć. Zabijające uczucie monotonnego przemijania dni jest niemożliwe. — Wychodzimy na dach katedry. Młody Włoch, który idzie przede mną, ułatwia nam wejście, nucąc melodię, próbując zdjąć marynarkę, patrząc przez szczeliny, przez które widać tylko światło słoneczne i ciągle wybija ręką cyfry znaczące ilość schodów. Widok z przedniej galerii na dachu. Mechanizm tramwajów na dole jest trochę popsuty, tak słabo kursują, prowadzone tylko układem szyn. Konduktor biegnie szybko na ukos do tramwaju, pochylony, z naszego miejsca tak to wygląda, i wskakuje. — Fontanna w kształcie mężczyzny, któremu wyjęto stos pacierzowy i mózg, aby deszczówka miała odpływ. — W każdym wielkim, kolorowym oknie przeważa barwa sukni, która powtarza się w poszczególnych obrazach. — Maks: dworzec kolejowy na wystawie sklepu z zabawkami, szyny, które zamykają się w kształcie koła i prowadzą do nikąd, są i pozostaną najsilniejszym wrażeniem z Mediolanu. Zestawienie dworca kolejowego z katedrą na tej wystawie można by wytłumaczyć chęcią pokazania różnorodności magazynu. Z tylnych drzwi katedry spogląda się prosto w twarz wielkiemu zegarowi na dachu. — Maks: jego widok oszczędził nam drogi do wartowni. Teatro Fossati. Jazda do Stresy. Reliefowe ruchy osób śpiących w przedziale. Para zakochanych. Popołudnie w Stresie.

środa, 6 września. Jestem zły, wieczorem znajdujemy hotel.

Czwartek, 7 września. Kąpiel, listy, odjazd. śpię na oczach wszystkich.

Piątek, 8 września. Podróż. Para Włochów, przypuszczalnie pani Salus. Duchowny. Amerykanie. Dwie małe Francuzeczki z bardzo obfitym siedzeniem. Montreux. Po prostu nie czuje się nóg od chodzenia po wielkich paryskich ulicach. Siedząc na krawędzi łóżka, moczę nogi. Nocne lampki w letnich lokalach. Układ placu Zgody, który przesuwana na dalszy plan miejsca atrakcyjne, gdzie łatwo je odnaleźć wzrokiem, ale tylko wtedy, gdy się ich szuka.

Ecole florentine (XV wiek): Scena z jabłkiem. Tintoretto: Zuzanna. Simone **Martini** Martini Simone, obok Giotta najwybitniejszy malarz włoski XIV w. (1284—1344): Jesus Christ marchand an Calvaire. (Ecole de Sienne)

**Mantegna**. Mantegna Andrea, włoski malarz wczesnego renesansu, przedstawiciel skrajnego realizmu, zajmował się zagadnieniami perspektywy i anatomii. (1431—1506): La Sagesse victorieuse des Vices. (Ecole Vénétienne) Tycjan (1477—1576):

Le Concile de Trente. Rafael; Apollo i Marsyas. Velazquez (1599—1660): Portrait de Philippe IV, roi d'Espagne. Jacob **Jordaens** obok Van Dycka i Rubensa jeden z najwybitniejszych przedstawicieli malarstwa flamandzkiego. (1593—1678): Le concert apre les repas. Rubens: Kiermasz.

Confiserie de l'enfant gate, rue des Petits-Champs. Pracunki w porannym negliżu. Rue des Petits-Champs, tak wąska, że stale panuje w niej cień. Nawet gdy jeden rząd domów jest całkiem oświetlony, taka różnica oświetlenia bardzo blisko siebie przysuniętych domów. Le sou du soldat, societe anonyme. Capital 1 mill. Avenue de l'Opera. Robert Samuel. Ambassadeur: werbel z orkiestrą brzmiącą w zdwojonej spółgłosce „s”, przy czym w końcówce „eur” pałeczki bębnow są jeszcze w górze i milczą. Gare de Lyon. Namiastką szelek u robotników ziemnych są różnokolorowe szarfy wokół ciała, co w kraju, gdzie szarfy mają swoje oficjalne znaczenie, świadczy również o demokracji. Nie wiedziałem właściwie, czy byłem zaspany, i ta myśl zajmowała mnie w wagonie oraz przez całe przedpołudnie. Nie należy panien do dzieci uważać za francuskie guwernantki niemieckich dzieci. **La Farge** La Farge John (1835—1910), przedstawiciel monumentalnego, realistycznego malarstwa amerykańskiego, uczeń Couture'a w Paryżu. W głębi dwaj jeźdźcy, jeden w czerwieni, na białym, drugi,

ciemno ubrany, na karym koniu, zmęczeni oblężeniem miasta widocznego na dalszym planie — odpoczywają na przejażdżce podczas nadciągającej burzy. Voyage de Louis XIV a Cherbourg, 23 juin 1786. Wioślarze, po trzy rzędy ludzi z jednej i z drugiej strony, na związanych wiosłach niosą na łódź łódź z Ludwikiem, podczas gdy on ręką wyciągniętą w kierunku Cherbourga daje znak dworzanom stojącym w tyle za nim, zwracając się przede wszystkim do jednego z dworzan, który kładzie rękę na sercu. Kobiety w powiewnych sukniach wrywają się ku niemu od strony łądu, jeden mężczyzna patrzy przez teleskop. Powóz czeka. Z innych łodzi trzeba będzie wysiąść po kładkach, jedną ciągną właśnie w tym kierunku. *Bivouak de Napoleon sur le champ de bataille de Wagram, nuit du 5 au 6 juillet 1809*. Napoleon siedzi sam, jedną nogę położył na niskim stoliczku. W tyle dymi obozowe ognisko. Cień od jego prawej nogi oraz cień, jaki rzucają nogi stołu i krzesła, kładą się przed nim na kształt promieni. Spokojne światło księżyca. Generałowie nieco dalej, w półkolu, spoglądają na ogień i na cesarza.

Charakterystyczny układ płaszczyzn: koszule, w ogóle „bielizna, serwety w restauracji, cukier, duże koła przeważnie dwukołowych wózków, konie zaprzężone w pojedynkę, jeden za drugim, płaskawe parowce na Sekwanie, balkony, dzielące domy w poprzek i poszerzające płaskie przekroje domów, spłaszczony szerokie kominy, złożone gazety.

Kreskowany Paryż: wysokie cienkie kominy wyrastające z płaskich kominów z wieloma małymi, przypominającymi doniczki na kwiaty — bardzo milczące, stare kandelabry gazowe — poprzeczne kreski żaluzji, do których na przedmieściach dochodzą kreski brudnych odcisków na ścianie domu — cienkie listwy na dachach, które widzieliśmy na rue Rivoli — kreskowany szklany dach des Grands Palais des Arts — poprzedzielane kreskami okna pomieszczeń sklepowych — kraty balkonów — wieża Eiffla tworząca się z kresek, boczne i środkowe listwy drzwi balkonów, które w większym stopniu aniżeli nasze okna sprawiają wrażenie kresek — krzeselka pod gołym niebem oraz stoliczki kawiarniane, których nogi są kreskami, kraty publicznych ogrodów o spiczastym, złotym zakończeniu.

Jakże łatwo podczas śmiechu wychodzi nosem grenadina z wodą selcerską (bar przed Opera-Comique).

Peronówka — ta gruboskórna ingerencja w życie rodzinne jest nieznaną. A

Sam w **czytelni** [dotyczy pobytu Kafki w sanatorium w Erlenbach \(Szwajcaria\)](#). z głuchą damą, której na próżno przedstawiłem się wówczas, gdy patrzyła w inną stronę, i która deszcz — pokazałem go jej przez okno — uważa za wciąż jeszcze trwający upał. Kładzie karty według książki leżącej obok, patrzy w nie z wielką uwagą, głowę wsparła na złożonej w pięść dłoni, w której tkwi jeszcze około setki nie wykorzystanych jeszcze, małych, obustronnie zadrukowanych, miniaturowych kart. Obok jakiś starszy pan w ciemnym ubraniu, odwrócony do mnie plecami, czyta *Munchner Neusten Nachrichten*. — Obfity deszcz pada grubymi strugami. — Jechałem z jednym Żydem, złotnikiem. Pochodzi z Krakowa, ma około dwudziestu lat, był dwa i pół roku w Ameryce, obecnie, od dwóch miesięcy mieszka w Paryżu, a tylko przez dwa tygodnie pracował. Żle płacą (zaledwie dziesięć franków dziennie), złe warunki dla interesu. Kiedy ktoś nowy przybywa do miasta, nie wie, co warta jest jego praca. Pięknie żyje się w Amsterdamie. Sami krakowianie. Codziennie wiadomo, co nowego zaszło w Krakowie, bo stale ktoś tam jedzie albo ktoś stamtąd wraca. Całymi ulicami mówi się tylko po polsku. Wielki zarobek w Nowym Jorku, bo tam wszystkie dziewczęta dużo zarabiają i mogą się stroić. Pod tym względem Paryż nie wytrzymuje porównania, już pierwsze kroki na bulwarze potwierdzają to. Wyjechał z Nowego Jorku, bo przecież jego ludzie są tutaj i ponieważ napisali do niego: żyjemy w Krakowie i też zarabiamy — jak długo właściwie będziesz jeszcze w Ameryce? Całkiem słusznie. Podziw dla życia Szwajcarów. Muszą to być jednak ogromnie silni ludzie, jeśli żyją w ten sposób na wsi i prowadzą gospodarkę hodowlaną. A rzeki! Najważniejsze, aby po wstaniu z łóżka wejść do bieżącej wody. Ma długie, wijące się włosy, które tylko od czasu do czasu przyglądza palcami, zdecydowany błysk w oczach, lekko zakrzywiony nos, zapadnięte policzki, ubranie amerykańskiego kroju, obszarpaną koszulę, opadające skarpetki. Jego walizka jest mała, ale wysiadając, dźwiga ją niczym wielki ciężar. Niemczyzna, którą mówi, jest niespokojna wskutek angielskich akcentów i zwrotów, żargon może sobie odpocząć, tak silne są wpływy angielskie. Ożywienie po przejechanej nocy. „Pan jest Austriakiem? Tak. Ma pan także taki kołnierz deszczowy. Wszyscy Austriacy to mają.” Pokazując rękawy, udowadniam, że to nie jest „kołnierz”, tylko płaszcz. Ale on dalej upiera się przy tym, że wszyscy Austriacy mają kołnierze. W ten sposób go zarzucają. Przy tym zwraca się do kogoś trzeciego i pokazuje mi, jak oni to robią. Czyni to tak, jakby przymocowywał coś z tyłu. na kołnierzyku od koszuli, kiwa się przy tym całym ciałem, aby zobaczyć, czy to coś trzyma, następnie wciąga to coś



najpierw na prawe, potem na lewe ramię i w końcu cały się tym owija, aż, jak widać, robi mu się ciepło i przyjemnie. Ruchy nóg wskazują — mimo iż siedzi — jak lekko i wprost beztrudno Austriak może chodzić w swoim „kołnierzu”. Wszystko odbywa się prawie na serio, raczej w ten sposób, jakby pokazywał to ktoś, kto podróżował i dlatego to i owo widział. Jest w tym trochę dziecinady.

Mój spacer w ciemnym ogródku przed sanatorium.

Gimnastyka poranna z odśpiewaniem pieśni *Cudowny róg chłopca* tytuł zbioru pieśni ludowych, wydanych przez Achima von Arnim (1781—1831) i Klemensa Brentano (1778—1842), którą jeden wygrywa na kornecie.

Pewien sekretarz, który każdej zimy odbywa piesze podróże do Budapesztu, południowej Francji, Wioch. Bosa, żywi się wówczas tylko nie gotowaną strawą (czarny chleb, figi, daktyle), z dwoma innymi mieszkał dwa tygodnie w okolicy Nicei, przeważnie nagi, w opuszczonym domu. Niska, gruba dziewczyna, która często dłubie w nosie, nieśmiała, ale nie jest specjalnie ładna, ma nos bez przyszłości, nazywa się Waltraute, a jedną panną mówi o niej, że ma w sobie coś promiennego.

Kolumny w jadalni, których przeraziłem się na rycinie w prospekcie (wysokie, błyszczące, całe z marmuru), z ich powodu podczas przejażdżki małym parowcem sam sobie złorzeczyłem, a one w końcu, bardzo po mieszczańsku, zbudowane były z cegły, pomalowane na kiepską imitację marmuru i są uderzająco niskie.

Wesoła rozmowa jakiegoś mężczyzny, siedzącego na gruszy, naprzeciw mojego okna, z jakąś niewidoczną dla mnie dziewczyną na parterze.

Nieprzyjemne uczucie, gdy lekarz ciągle na nowo słuchał mi serca, za każdym razem chciał, żebym się inaczej położył i nie mógł się w niczym rozeznąć.

Szczególnie długo obmacywał okolicę serca, trwało to tak długo, aż prawie wydawało się, że przy tym nie myśli o niczym.

W nocy klótnia kobiet w przedziale, gdzie zasłoniły lampę? Leżąca Francuzka wykrzykiwała w ciemności; a starsza pani przyciskana do ściany nogami Francuzki nie mogła sobie poradzić. Zdaniem Francuzki powinna opuścić to miejsce, jej duży bagaż należałoby przetransportować na drugą stronę, przeciwną do kierunku jazdy, a Francuzka sama powinna by się tam wyciągnąć. Grecki lekarz z mojego przedziału swoją złą, nieprzejrzystą, zdaje się na podkładzie języka niemieckiego bazującą francuszczyzną wyjaśnił jej, że nie ma racji. Sprowadziłem konduktora, który je rozsadził.

Już znowu jestem razem z tamtą damą, która zresztą ma również bzika na punkcie pisania. Nosi z sobą teczkę z przyborami piśmiennymi, w niej dużo papieru listowego, pocztówek, piór i ołówków, co wszystko razem bardzo dodaje zapału do pisania.

Obecnie jest tutaj tak, jak w rodzinie. Na zewnątrz pada deszcz, matka kładzie karty, a syn pisze. Poza tym nie ma w pokoju nikogo. Ponieważ ona nie dosłyszy, mógłbym równie dobrze mówić do niej „mamo”.

Mimo mojej największej niechęci do słowa „typ” — uważam je za adekwatne w tym sensie, że pod wpływem przyrodolecznictwa i spraw z nim związanych powstaje nowy typ, reprezentowany na przykład przez pana Fellenberga, którego znam, oczywiście tylko powierzchownie. Są to ludzie z cienką skórą, dość małą głową, wyglądający przesadnie czysto, odznaczający się jednym, dwoma szczegółami nie należącymi do ich typu (u pana Fellenberga brakujące zęby, zadatek na brzuch), chudością większą, niż zdaje się wymagać tego budowa ciała, to znaczy zgubioną tuszą, traktowaniem swojego zdrowia w ten sposób, jakby to była choroba lub co najmniej jakaś zasługa (co nie jest równoznaczne z naganą z mej strony), ze wszystkimi konsekwencjami forsowanego w ten sposób zdrowego samopoczucia.

W Opera Comique na galerii. W pierwszym rzędzie pan w spacerowej marynarce i cylindrze, w jednym z ostatnich mężczyzna w koszuli (którą w dodatku podwinął z przodu do środka, aby odsonić pierś), gotowy wejść do łóżka.

Trębacz, którego uważałbym za wesołego, szczęśliwego człowieka (bo jest ruchliwy, miewa inteligentne pomysły, twarz okala mu krótka, jasna broda, przechodząca w szpicbródkę, ma rumiane policzki, niebieskie oczy i ubiera się praktycznie), dziś podczas rozmowy o swoich dolegliwościach trawiennych patrzył na mnie wzrokiem, który uderzająco skierowany był z jednakowym nasileniem z obydwu oczu, wprost natężał oczy, trafiał we mnie i ukośnie spływał do ziemi.

Spory narodowościowe w Szwajcarii. Miastu Biel, przed paru laty jeszcze całkiem niemieckiemu, grozi sfrancuzienie z powodu napływu wielu francuskich zegarmistrzów. Kanton Tessyn, jeden jedyny włoski kanton, chce się oderwać od Szwajcarii. Jest irredenta. Włosi mianowicie nie mają przedstawicielstwa w siedmioosobowej radzie związkowej, z powodu niewielkiej ich liczby (może 180000) przysługiwaliby im tylko w radzie złożonej z dziewięciu członków. Liczby tej jednak nie chcą zmienić. Kolejka na Górę św. Gotarda była prywatnym niemieckim przedsiębiorstwem, miała niemieckich urzędników, którzy założyli w Bellinzonie niemiecką szkołę, obecnie, ponieważ jest ona państwowa, Włosi chcą włoskich urzędników i zniesienia niemieckiej szkoły. A decyzja w sprawach szkolnictwa należy w istocie tylko do rządu kantonowego. Cała ludność: dwie trzecie Niemców, jedna trzecia Francuzów i Włochów.

Chory grecki lekarz, który swoim kaszlem wypędził mnie w nocy z przedziału, może, jak twierdzi, znieść tylko baranię. Ponieważ musi przenocować w Wiedniu, prosił mnie, abym mu napisał niemiecki wyraz.

Pomimo że padał deszcz, że później byłem zupełnie sam i świadamiam sobie ciągle swoje nieszczęście, że w jadalni grano w gry towarzyskie, w których nie brałem udziału z powodu mej nieumiejętności, nawet pomimo tego że w końcu pisałem tylko rzeczy złe, przecież nie czułem ani brzydoty, ani zniewagi, ani smutku, ani bólu z powodu tego organicznego zresztą osamotnienia jak gdybym był tylko z kości.

Przy tym rad byłem, że u góry na kłębie zatłoczonych wnętrzności czułem nieco łaknienia. Dama, która przyniosła sobie mleko w cynowym naczyniu, powróciła i zapytała mnie, nim na nowo zajęła się kartami: „Co pan właściwie pisze? Spostrzeżenia? Dziennik?” — a ponieważ wiedziała, że nie zrozumiałaby mojej odpowiedzi, zaraz zadała mi znowu pytanie: „Jest pan studentem?” Odpowiedziałem, nie myśląc o jej głuchocie: „Nie, ale studiowałem”, podczas gdy ona już kładła karty, pozostałem samotny z tym zdaniem i zniewolony jego wagą, patrzyłem na damę jeszcze przez chwilę.

Przy stole jest nas siedmiu mężczyzn i sześć lub siedem pań, Szwajcerek. Skoro tylko w połowie opróżniłem talerz lub z nudów rozglądam się po sali, najdalej leżące półmiski podnoszą się w rękach pań (mówię do nich na przemian „pani” lub „panno”), zbliżają się szybko, a gdy dziękują i nie chcą niczego więcej, tą samą drogą z wolna wracają.

Le Siege de Paris par Francisque **Sarcey** Francisque Sarcey: *Oblężenie Paryża*: 19 lipca 1870 wypowiedzenie wojny. Gasnące, kilkudniowe sławy. — Zmienny charakter samej książki, która opisuje zmieniający się charakter Paryża. — Chwali i gani te same rzeczy. Spokój Paryża po klęskach jest raz francuską lekkomyślnością, to znowu wytrzymałością Francuzów. — 4 września po Sedanie republika. — Robotnicy i gwardziści narodowi na drabinach odbijają młotkami literę „N” z publicznych gmachów jeszcze w najem dni po ogłoszeniu republiki entuzjazm był tak wielki, że nie można było dostać ludzi do robót fortyfikacyjnych. — Niemcy maszerują na Paryż. — Paryskie dowcipy: Mac-Mahon został wzięty do niewoli pod Sedanem, Bazaine oddał Metz, w końcu dwie armie połączyły się. — Rozkazano zniszczyć przedmieścia — brak wiadomości przez trzy miesiące. — Nigdy Paryż nie miał takiego apetytu jak na początku oblężenia. Gambetta zorganizował powstanie prowincji. Raz udało się otrzymać od niego list. Zamiast podać dokładne dane, których wszyscy oczekiwali z palącą niecierpliwością, napisał tylko **que la resistance de Paris faisait l'admiration de l'univers** ze opór Paryża napawał podziwem świat. — Thiers objeżdża dwory. — Zwariowane zebrania klubów. Zebranie kobiet w gimnazjum Triat. „*W jaki sposób kobiety mają bronić swojej czci przed wrogami?*” Za pomocą **doigt de Dieu** palca Bożego, albo lepiej le **doigt prussique** palca pruskiego. Jest to rodzaj kauczukowego napaństwa, który kobiety wkładają sobie na palec. Na końcu tego napaństwa znajduje się rureczka zawierająca kwas pruski. *li consiste en une sorte de de un caoutchouc que les femmes se mettent au doigt. Au bout de ce de est un petit tube contenant de l'acide prussique.* Przychodzi żołdak niemiecki, podaje mu się rękę, ukłuwa go i wstrzykuje truciznę. — Instytut wysyła w balonie uczonogo, aby zbadał zaćmienie słońca w Algierze. — Jadło się zeszlóroczne kasztany, zwierzęta z Jardin des Plantes. — Istniało parę restauracji, gdzie do ostatniego dnia można było dostać wszystko. — Ten sierżant Hoff, który tak bardzo wstawił się jako mściciel swojego ojca mordowaniem Prusaków, zniknął i uważany był za szpiega. — Stan armii: pojedyncze stráže przednie piją bruderszaft z Niemcami. — Louis Blanc porównuje Niemców z Mohikanami, którzy studiowali technikę. — 5 stycznia rozpoczyna się bombardowanie. Niewiele może zdziałać. Nakazano rzucać się na Ziemię na odgłos lecących granatów. Ulicznicy, nawet i dorośli stawali w kałużach i wołali od czasu do czasu: **Gare l'o bus!** Uwaga, granat! — Przez pewien czas generał

Chauzy był nadzieją Paryża, przegrał tak jak inni, już wtedy jego sława była niczym nie uzasadniona, mimo tego zapał w Paryżu był tak wielki, że Sarcey jeszcze, gdy pisze swoją książkę, czuje w sobie nieokreślony, nieuzasadniony podziw dla Chauzyego. — Dzień w ówczesnym Paryżu: Na bulwarach było słonecznie i pięknie, mieszkańcy spokojni, w okolicy Hôtel de Ville sytuacja zmienia się, jest tam resztką komunardów, wielu zabitych, zbrojne oddziały, ekscesy. Na lewym brzegu świst pruskich granatów. Bulwar i mosty są ciche. Z powrotem w kierunku Theatre Francais, publiczność wychodzi z przedstawienia Le Mariage de Figaro. Właśnie ukazują się wieczorne gazety, ta publiczność zbiera się grupami wokół kiosków, na Champs-Elysees bawią się dzieci, niedzielni spacerowicze przyglądają się ciekawie szwadronowi kawalerii, który przejeżdża obok przy dźwiękach trąb. — Wyjątek z niemieckiego listu do matki: *Tu n'imagines pas comme ce Paris est immense, mais les Parisiens sont de drôles de gens; ils trompent toute la journée.* Nie wyobrażasz sobie, jaki ten Paryż jest wielki, ale paryżanie to dziwni ludzie, cały dzień trąbią.

Przez dwa tygodnie nie było ciepłej wody w Paryżu. —Z końcem stycznia zaprzestano oblężenia, które trwały cztery i pół miesiąca.

Koleżeński wzajemny stosunek starych kobiet w przedziale. Opowiadania o starych kobietach, które przejechał samochód, środki ostrożności, jakie stosują w podróży: nie jeść nigdy sosów, mięso wyjąć, podczas jazdy zamykać oczy, ale przy tym... podstawą pożywienia powinny być owoce, nie jeść twardej cieleciny, prosić panów, aby przeprowadzali przez ulicę, czereśnie są najciężej strawnymi owocami, ratunek starej kobiety.

Syjamski przedział na dworcu kolejowym w Mediolanie.

Młode małżeństwo włoskie w pociągu do Stresy miesza się z inną parą małżeńską w pociągu do Paryża. Jeden małżonek pozwolił się tylko pocałować i wyglądając z okna, nachylił tylko swoje ramię do jej policzka. Gdy z powodu upału zdjął marynarkę i zamknął oczy, ona zdawała się przyglądać mu dokładniej. Ładna nie była. Rzadkie, kręcone włosy okalały twarz. Ale ta druga, w woalce z niebieskimi kropkami, z których jedna często zasłaniała oko, nos jej wydawał się za wcześnie obcięty, zmarszczki wokół ust były zmarszczkami młodzieńczymi, dla jej młodzieńczej żywości. — Gdy schylała głowę, oczy jej biegały na wszystkie strony, tak jak u nas widziałem tylko u ludzi noszących okulary.

Wszyscy Francuzi, z którymi się stykamy, usiłują przynajmniej przez chwilę poprawiać złą francuszczyznę.

Młody ksiądz, źle ogolony i podróżny z widokówkami, pokazuje kartki zapakowane tuzinami, które duchowny omawia. Spoglądam na niego — upał także trochę na mnie działa — tak uważnie, że w końcu całym obcasem nadeptuję mu na sutannę. *Niente* <sup>nic nie szkodzi</sup> mówi i dalej dyskutuje, stale z silnym przydechem, zaznaczanym włoskim „ah”.

Siedząc w naszym powozie, niezdecydowani co do hotelu, zdaje się, równie niepewnie podajemy kierunek jazdy naszego wehikułu: raz skierowujemy go w boczną ulicę, potem zwracamy go w głównym kierunku; i to podczas przedpołudniowego ruchu na rue de Tivoli w pobliżu Hal.

Pierwszy raz wychodzę na mój balkon i rozglądam się wokoło, tak jakbym się teraz obudził w tym pokoju, a po nocnej jeździe jestem do tego stopnia zmęczony, że nie wiem, czy będę mógł na cały dzień wybiec na te ulice, szczególnie gdy widzę je teraz z góry, jeszcze nie będąc tam.

Początek paryskich nieporozumień. Maks przychodzi na górę do mojego pokoju w hotelu i denerwuje się, że jeszcze nie jestem gotowy i myję sobie twarz, a przedtem powiedziałem, że powinniśmy tylko trochę umyć się i zaraz wyjść. Ponieważ przy „myciu się trochę” wykluczam jedynie mycie całego ciała, natomiast myślałem właśnie o myciu twarzy i tego właśnie nie skończyłem jeszcze, nie rozumiem wyrzutów Maksa, w dalszym ciągu myję twarz, choć nie tak dokładnie jak przedtem, podczas gdy Maks w ubraniu brudnym po całonocnej jeździe siada na moim łóżku, aby czekać. Ma zwyczaj i teraz też to czyni, robiąc komuś wyrzuty, sznurować usta i w ogóle przybiera słodki wyraz twarzy, jakby przez to starał się z jednej strony podkreślić zrozumiałość swoich wyrzutów, a z drugiej pokazać, że tylko ten słodki wyraz, jaki przybrało właśnie jego oblicze, powstrzymuje go od spoliczkowania mnie. W tym, że wbrew jego naturze zmuszam go do tej obłudy, tkwi jeszcze specjalny wyrzut, który zdaje się robić mi później, gdy milknie, a twarz jego dla odprężenia po tej słodczy rozciąga się w przeciwnym kierunku, a więc od ust, co naturalnie sprawia o wiele mocniejsze wrażenie aniżeli ta pierwsza twarz. Natomiast ja rozumiem to (tak było również w Paryżu), iż pod wpływem zmęczenia zapadam w siebie tak głęboko, że wrażenie, jakie sprawiają

takie twarze, w ogóle mnie nie dosięga, stąd w moim żalonym stanie mogę być tak mocny i właśnie wskutek najdoskonalszej obojętności potrafię usprawiedliwiać się przed nim bez żadnego poczucia winy. To uspokoiło go wtedy w Paryżu, przynajmniej pozornie, tak że wyszedł ze mną na balkon, mówił na temat widoku, podkreślając przede wszystkim jego paryski charakter. Właściwie widziałem jedynie to, jak świeży był Maks, jak bardzo dostosowany do Paryża w ogóle i wcale nie spostrzegłem, iż teraz wyszedł ze swego ciemnego pokoju, od podwórza, po raz pierwszy na słońce, na paryski balkon ze świadomością, że jest tego godny, podczas gdy ja niestety byłem wyraźnie bardziej zmęczony niż wówczas, wychodząc na balkon po raz pierwszy na chwilę przed przybyciem Maksa. A mojego zmęczenia w Paryżu nie można usunąć przez wyspanie się, tylko przez wyjazd. Czasem uważam to nawet za specjalną właściwość Paryża.

Napisałem to właściwie nie czując niechęci, ale on następował mi na pięty przy każdym słowie.

Najpierw mam zastrzeżenie co do Cafe Briard, gdyż sądzę, że można tam dostać tylko czarną kawę. Okazuje się, że można otrzymać mleko, chociaż tylko ze starym, gąbczastym pieczywem. Jest to prawie jedyne usprawienie, które przyszło mi do głowy, jeśli chodzi o Paryż, że w tych cafes powinno się nabywać lepsze pieczywo. Później przed śniadaniem, gdy Maks już siedział, wpadłem na pomysł, aby pobiegać po bocznych ulicach i poszukać owoców. W drodze do kawiarni zawsze zjadam ich trochę, aby Maks zbytnio się nie dziwił. Jeśli w renomowanej kawiarni obok stacji kolei parowej do Wersalu usiłujemy z powodzeniem, na oczach kelnera wychylającego się ku nam z drzwi, zjeść przyniesiony z piekarni strudel z jabłkami i placki z migdałami, wprowadzamy ten zwyczaj również w Cafe Briard i stwierdzamy, że prócz przyjemności zjedzenia doskonałego pieczywa dochodzi większa: uświadamiamy sobie specjalnie dobrą stronę tej kawiarni. Jesteśmy zupełnie nie zauważeni w dość pustym lokalu z dobrą obsługą, blisko wszystkich ludzi za pulpitem i przed drzwiami sklepu, które stale są otwarte. Tylko trzeba się pogodzić z tym, że podłogę zamiata się często z powodu gości, którzy wchodzą bezpośrednio z ulicy i przesuwają się obok lady tam i z powrotem, przy czym również mam na uwadze zwyczaj nieuczenia się z gośćmi.

Gdy młoda para spogląda na małe bary przy torze kolejowym do Wersalu, wydaje się jej, że łatwo jest otworzyć taki bar i przy tym prowadzić wspaniałe, bez ryzyka, interesujące życie, męczące tylko w określonych porach dnia. Nawet na bulwarach takie tanie bary wciskają się między dwie boczne uliczki przed klinowatym kompleksem domów, w bocznym cieniu.

Goście w koszulach poplamionych wapnem dokoła stolików w gospodach na przedmieściu.

Wieczorem na bulwarze Poissonniere kobieta z małym ręcznym wózkiem, naładowanym książkami, woła: oglądajcie, oglądajcie, moi panowie, szukajcie, wszystko na sprzedaż. Nie nalegając na kupno, bez natrętnych spojrzeń, wśród wołania wymienia zaraz cenę książki, którą ktoś ze stojących wkoło bierze do ręki. Kobieta, zdaje się, pragnie tylko, aby szybciej przeglądano książki, brano je z ręki do ręki można to zrozumieć, patrząc jak tu i tam ktoś — na przykład ja — powoli podnosi książkę, powoli i niewiele ją przegląda, powoli kładzie ją i w końcu powoli odchodzi. Poważnie wymienia się cenę książek, które są tak śmiesznie nieprzyzwoite, że zrazu nie można sobie wyobrazić dokonania transakcji na oczach całej publiczności.

O ileż więcej decyzji wymaga kupno książki przed sklepem aniżeli wewnątrz, ponieważ to wyszukiwanie jest właściwie tylko swobodnym zastanawianiem się w przypadkowej obecności wyłożonych książek.

W półmroku siedzimy na dwu zwróconych ku sobie krzeselkach, na Polach Elizejskich. Dzieci o wiele za długo pozostające na dworze bawią się jeszcze, nie widząc już dobrze sznurków, które ciągną za sobą po piasku.

Zamknięta łaźnia, malowanie z zewnątrz we wspomnieniu daje wrażenie czegoś tureckiego. Stalowszara, oświetlona nawet po południu, ponieważ światło słoneczne przenika tylko pojedynczymi promieniami w jednym kącie u góry przez szpary w napiętych zasłonach, a u dołu woda pogłębia ciemność. Dużo przestrzeni, w jednym kącie kar. Dozorcy, biegnąc wzdłuż basenu po jednej i po drugiej stronie, odbierają sobie nawzajem klientów. Następują na gości odwiedzającego pływalnię przed kabiną, grożąc z boku i pośród niezrozumiałych i natrętnych wywodów żądają, aby dał napiwek. Żądanie w niezrozumiałym języku wydaje mi się dyskretne. Grands Bains du Pont-Royal. W kątach na stopniach stoją ludzie, którzy dokładnie myją się mydłem. Wokół nich mydliny stoją nieruchomo. Przez otwór widać w kierunku rzeki, że coś się porusza, są to parowce. Nędzną

przyjemność takiego pływania widać, gdy dwóch mężczyzn zabawia się starą, wywrotną, wąską łódką, która odepchnięta od jednej ściany już uderza o przeciwną. Zaduch piwniczny. Piękne zielone ławki ogrodowe. Dużo niemczyzny. W pływalni zwisa nad wodą gruby sznur, który służy do dowolnej gimnastyki. Pytamy o Musee Balzac, ładny chłopak z czupryną zjeżoną od wilgoci wyjaśnia, że chodzi nam o Musee Grevin (panoptikum). Usłużny, pozwala otworzyć swoją kabinę, przynosi mały przewodnik (może noworoczny podarek jakiegoś zakładu pracy) i tam również nie znajduje Musee Balzac. Już w duchu podziękowaliśmy, przeczuwając to, i równie szybko wyperswadowaliśmy sobie szukanie tego muzeum. Przecież w Bottinie takie nie figuruje.

Gruba *placeuse* <sup>bileterka</sup> w teatrze komediowym bierze napiwek, spoglądając na nas trochę z góry. Sądziłem, że to dlatego z biletami w ręku weszliśmy na górę krok w krok, trochę za szybko jeden za drugim i postanowiłem następnego wieczoru w teatrze odmówić bileterce napiwku, patrząc jej prosto w oczy, a tymczasem teraz wstydzę się jej i samego siebie i czekam tak jak inni, którzy weszli bez napiwku, choć sam dałem duży napiwek. W teatrze wyraziłem również opinię, że „według mnie napiwek nie był niezbędnym”, ale znowu musiałem zapłacić, gdy tym razem chuda bileterka uskarżała się, że nie otrzymuje wynagrodzenia od administracji i skłoniła głowę na ramię.

Na początku scena czyszczenia butów. Dzieci, które towarzyszą straży, miarowym krokiem schodzą w dół po schodach. Uwertura grana powierzchownie ułatwia wejście spóźnionym widzom. W ten sposób zresztą słuchano tylko operetek. Słuszna prostota inscenizacji. Statyści śpiący jak na wszystkich przedstawieniach, które widziałem w Paryżu, podczas gdy u nas zdradzają źle powściąganą ruchliwość. W wąskiej uliczce przed wejściem do teatru osioł do pierwszego aktu Carmen otoczony ludźmi teatru i tłumkiem gawiedzi czeka, aż otworzą się małe drzwi wejściowe. Z zewnątrz na schodach kupuję — prawie świadomie — jeden z tych złych programów, jakie sprzedają przed każdym teatrem. W tawernie przemytników jakaś balerina dubluje Carmen. Jak jej nieme ciało pracuje w czasie śpiewu Carmen. Później taniec Carmen, który ze względu na jej dotychczasowe zasługi w przedstawieniu jest właściwie o wiele piękniejszy. Wygląda, jakby przed przedstawieniem wzięła kilka szybkich lekcji u primabaleriny. Gdy opiera się na stole, przysłuchuje każdemu, przebiegając nogami pod zieloną spódniczką, podeszwy jej stóp są białe w świetle rampy.

Człowiek, który nie prowadzi dziennika, znajduje się wobec dziennika innych ludzi w fałszywej sytuacji. Jeśli na przykład czyta w Dzienniku Goethego, że 11 stycznia 1797 roku ów „przez cały dzień był zajęty różnymi porządkami”, wydaje mu się, że on sam nigdy jeszcze tak mało nie zrobił.

Jesteśmy już zbyt zmęczeni przed ostatnim aktem (ja już podczas przedostatniego), wychodzimy i siadamy sobie w barze naprzeciw Opera Comique, gdzie Maks pod wpływem zmęczenia oblał mnie wodą sodową, a ja ze zmęczenia nie mogłem powstrzymać śmiechu, i całą grenadinę wyparskuję nosem. Tymczasem jednak zaczyna się ostatni akt, wędrujemy do domu. Na tym placu czułem się dobrze po upale w teatrze, gdzie wachlując się gorącym powietrzem ochładzałem pierś, rozpiąwszy koszulę; nocne powietrze, siedzenie pod gołym niebem z wyciągniętymi nogami w kierunku miejskiego placu, chociaż duża oświetlona fasada teatru i boczne światła kawiarni rzucały dość światła na mały plac, szczególnie na Ziemię, tak że sięgało aż pod stoliki, jak w pokoju.

W foyer zabawia dwie panie jakiś pan we fraku, który wisi trochę na nim i gdyby był nienowy, nie noszony tutaj i lepiej leżał, mógłby być historyczny. Upuścił monokl i znowu go nałożył. Gdy rozmowa utyka, niepewnie stuka swoją laską. Stojąc, ciągle wykonuje rękami takie ruchy, jakby w każdej chwili zamierzał, wyciągając ramię, przeprowadzić swoje panie przez tłum. Sucha, zużyta cera.

Właściwość języka niemieckiego: brzmi pięknie w ustach obcokrajowców, którzy nim biegle nie władają i przeważnie nie chcą władać. Według tego, co zaobserwowaliśmy, po Francuzach nigdy nie było można poznać, czy bawią ich nasze błędy w języku francuskim albo czy uważają je za godne uwagi i nawet my, których francuszczyzna zdradza niewielkie wycucie języka francuskiego... (rękopis urywa się)

Z mego punktu widzenia szczęśliwi są kucharze i kelnerzy, którzy po ogólnym posiłku jedzą sałatę, fasolę i ziemniaki, sporządzają z tego mieszankę na dużych półmiskach, z każdej potrawy biorą tylko trochę, chociaż podaje się im dużo i z daleka wyglądają jak kucharze i kelnerzy w naszym kraju. — Kelner, którego usta i bródka są elegancko ściągnięte, obsługuje mnie pierwszego dnia tylko dlatego, jak sądzę, że jestem zmęczony, niezgrabny, otepiał i niesympatyczny i z tego powodu nie mógłbym zdobyć jedzenia, podczas gdy on przynosi mi je, prawie nie myśląc o tym.

U Duwała na bulwarze Sewastopolskim o wieczornym zmierzchu. W lokalu trzej goście, rozproszeni. Kelnerki rozmawiają cicho. Kasa jeszcze pusta. Zamawiam jeden jogurt, potem jeszcze jeden. Kelnerka przynosi mi go cicho, półmrok w lokalu również pogłębia tę ciszę, i zabiera cicho nakrycie, które na moim miejscu przygotowano do kolacji, a które mogłoby mi przeszkadzać w picu. Cierpliwość i zrozumienie dla mojego cierpienia, jakie mogłem wyczuć u tej kelnerki, zachowującej się tak cicho, sprawiły mi przyjemność.

Śmieszna restauracja na rue Richelieu. Tłok. Dym, brzydko wyglądający przez lustrzane szyby. W regularnych odstępach obwieszane kapeluszami wieszaki, jak drzewa.

Zwyczaj ustawiania barierki między stolikami. Zaraz potem rozwiewa się złudzenie niezręcznego obcokrajowca, który sądzi, że tam gdzie jest barierka, powinna także tkwić szyba, polega to na tym, że bezczelnie patrzy się przez taką szybę, w której spodziewamy się zobaczyć odbicie siedzących na dalszych miejscach gości i napotykając spojrzenie z przeciwnej strony, przekonujemy się, że mamy do czynienia z prawdziwymi twarzami — czujemy wówczas, jak wiele znaczą dla zbliżenia się takie barierki między poustawianymi stolikami.

W Luwrze, od ławki do ławki. Ból, gdy którąś z nich opuszczam. Tłok w Salon Carre, nastrój podniecony, ludzie stoją grupami, jak gdyby właśnie skradziono Monę Lizę. —Przyjemne są poprzeczne pręty przed obrazami, można się na nich oprzeć, szczególnie w sali prymitywów. — Zmuszony jestem oglądać razem z Maksem jego ulubione obrazy, ponieważ czuję się zbyt zmęczony, aby patrzeć sam. —Zadziwiające spojrzenie w górę. — Jakże silna jest wielka młoda Angielka, która ze swoim towarzyszem chodzi po dużej sali, z jednego końca na drugi.

Widok Maksa, jak przed Arystydesem pod uliczną latarnią czyta Fedrę i psuje sobie oczy drobnym drukiem. Dlaczego nigdy mnie nie słucha? — Niestety jeszcze z tego korzystam, bo w drodze do teatru opowiada mi wszystko, co wyczytał na ulicy ze swojej Fedry, podczas gdy ja jadłem kolację. Krótka droga, Maks wysiła się, aby mi opowiedzieć wszystko, absolutnie wszystko, ja też się wysiłam. Spektakl wojskowy w foyer. Żołnierze po wojskowemu porządkują stłoczoną kilka metrów za kasą publiczność, która wysuwa się naprzód.

W naszym rządzie przypuszczalnie klakierka. Jej aplauz zdaje się wtórować oklaskom głównego klakiera, który działa nad nami, w ostatnim rządzie. Klaszcze, wysuwając tak bardzo w przód swoją nieobecna twarz, że po skończeniu braw zdumiona poprawia wewnętrzną stronę swoich dziurawych rękawiczek. Ale zaraz zaczyna znowu bić brawa, jeśli potrzeba. W końcu jednak klaszcze również indywidualnie, więc nie jest żadną klakierką.

Uczucie równości, jakie musieli mieć w stosunku do sztuki widzowie teatralni przychodzący pod koniec pierwszego aktu i zmuszający ludzi do wstawania całymi rzędami. — Dekoracja, która nie zmienia się przez pięć aktów, zwiększa bardzo nastrój powagi i chociaż jest tylko z papieru, wygląda solidniej jak ruchoma z drzewa i kamienia.

Blisko morza, na tle niebieskiego powietrza grupa kolumn, u góry obrośniętych pnąciami roślinami. Bezpośredni wpływ *Uczty Veronesea* a także Claude **Lorraina**. Lorrain Claude (Claude Gelee (1600—1632), francuski malarz i sztycharz.

Usta Hipolita, ich jednakowo spokojna mimika, gdy są zamknięte, otwierają się albo są otwarte.

Oenona: łatwo przybiera długotrwałe pozy, wyprostowana, nogi szczelnie owinięte tkaniną, ramię uniesione w górę, pięść spokojna, wygłasza wiersz. Często, powoli zasłania twarz rękami. Szara tonacja doradców osób głównych.

Jestem niezadowolony z odtwórczyni Fedry, gdy przypominam sobie zadowolenie, jakiego doznawałem dzięki Rachel jako aktorce Comedie Francaise, ilekroć o niej czytałem.

Zaskakujące wrażenie sprawia pierwsza scena, gdzie Hipolit trzyma obok siebie nieruchomy łuk wielkości człowieka, zamierza zwierzyć się nauczycielowi i zwracając dumne spojrzenie w stronę publiczności, wygłasza swoje wiersze jak uroczystą tyradę — odniosłem wówczas (zdarzało się to już przedtem) wrażenie, zresztą bardzo słabe, że ta scena odbywa się po raz pierwszy i do mego ogólnego podziwu dołączył się równocześnie podziw dla spektaklu, który udaje się za pierwszym razem.

Racjonalnie urządzone burdele. W całym domu spuszczone czyste żaluzje na wielkich oknach. W loży portiera zamiast mężczyzny nobliwie ubrana kobieta, która mogłaby się znaleźć w każdym domu.

Już w Pradze przelotnie zawsze zauważałem, że burdele mają w sobie coś ze stylu amazoнок. Tutaj występuje to jeszcze wyraźniej. Kobieta portier naciska swój dzwonek elektryczny, który zatrzymuje nas w loży, ponieważ meldują jej, że właśnie goście schodzą na dół, przyjmują nas dwie czcigodne damy (dlaczego dwie) na górze, ktoś przekręca kontakt elektryczny w sąsiednim pokoju, gdzie w ciemności albo półmroku siedziały dziewczęta, kolo, nie zamknięte w jednej czwartej (my je uzupełniamy), w którym stoją wokół nas wyprostowane, w wystudiowanych pozach, podkreślających ich wdzięki, wielki krok w przód wybranej dziewczyny, chwyt Madame, którym mnie zachęca, gdy coś mnie ciągnie do wyjścia. Nie umiem sobie wyobrazić, w jaki sposób wyszedłem na ulicę, tak się to stało szybko. Trudno tam oglądać sobie dziewczęta dokładniej, jest ich za dużo, mrugają oczyma, przede wszystkim stoją za blisko. Trzeba by wytrzeszczać oczy, a to wymaga wprawy. Przypominam sobie tylko tę, która stała przede mną. Miała rzadkie zęby, wyciągała się do góry, dłonią złożoną w pięść podtrzymywała suknię powyżej sromu, otwierała i zaraz szybko zamykała wielkie oczy i wielkie usta. Jej jasne włosy były rozczochrane. Była chuda. Strach, aby pamiętać, że nie należy zdjąć kapelusza. Trzeba siłą oderwać rękę od ronda. Samotny, długi, bezmyślny powrót do domu.

Chętni obejrzenia muzeum, zgromadzeni przed Luwrem, czekają na jego otwarcie. Między wysokimi kolumnami siedzą dziewczęta, czytają Baedekera, piszą na widokówkach.

Wenus z Milo, wygląd jej zmienia się szybko i niespodziewanie, gdy wolnym krokiem obchodzi się posąg dookoła. Zrobiłem tylko jedno wymuszone spostrzeżenie (o talii i osłaniającej szacie), a poza tym kilka innych, prawdziwych, aby je sobie przypomnieć potrzebowałbym plastycznej reprodukcji, szczególnie, jeśli chodzi o lewe kolano, które wpływa na wygląd posągu oglądanego ze wszystkich stron, czasem jednak nieznacznie. Oto spostrzeżenie, które wymusiłem z siebie: człowiek oczekuje, że tam, gdzie kończy się szata, ciało będzie zaraz młodsze, a ono jest przede wszystkim szersze. Opadająca szata, którą zatrzymuje kolano.

Szermierz z willi Borghese, widok posągu z przodu nie jest najważniejszy, bo zmusza oglądającego do cofnięcia się wstecz i jest mniej jednolity. Natomiast posąg widziany od tyłu, tam gdzie stopa najpierw dotyka podstawy, wabi zaskoczone spojrzenie i zatrzymuje je wzdłuż mocno wysuniętej nogi, stamtąd pod osłoną niepokonanych pleców wzrok ucieka do wyciągniętego w przód ramienia z mieczem.

Metro wydawało mi się wówczas bardzo puste, szczególnie gdy porównuję je z tamtą jazdą, gdy chory i samotny pojechałem na wyścigi. Na wygląd metra, abstrahując od zwiedzania, ma również wpływ niedziela. Przeważał ciemnostalowy kolor ścian. Praca konduktorów, którzy odsuwają i zasuwają drzwi wagonów, wskakując i wyskakując, sprawiała wrażenie niedzielnego, popołudniowego zajęcia. Długie odcinki do Correspondance przechodziło się pomału. Nienaturalna obojętność pasażerów, z jaką przyjmują jazdę w metro, jeszcze się uwydatniła. To, że ktoś zwraca się ku szklanym drzwiom, że poszczególne osoby wysiadają na nieznanymi stacjach, daleko od Opery, wydaje się kaprysem. Na stacjach, pomimo elektrycznego oświetlenia, można z całą pewnością zauważyć przebliski dziennego światła, spostrzega się je szczególnie zaraz po zejściu w dół, szczególnie to światło popołudniowe, tuż przed zmierzchem. Wjazd na opustoszałą stację końcową Porte Dauphine, masa odsłoniętych rur, widok pętli, gdzie pociągi mogą zrobić jedyny zakręt po tak długiej jeździe w prostym kierunku. Przejazdy przez tunel na kolei żelaznej są o wiele gorsze, (tutaj) ani śladu tego ucisku, jaki pasażer odczuwa pod wpływem chociażby nawet powstrzymanego naporu masy gór. Człowiek nie oddala się również od ludzi, lecz jest to także urządzenie komunalne, jak na przykład woda w wodociągach. Wysiadając, odskakuje się w tył, a potem z większą siłą podchodzi do przodu. To wysiadanie na takim samym poziomie. Przeważnie puste, małe kabiny z telefonem i dzwonkiem elektrycznym kierują ruchem. Maks chętnie zagląda do środka. Straszliwy był hałas metra, gdy po raz pierwszy w życiu jechałem nim z Montmartre na Wielkie Bulwary. Poza tym hałas ten nie jest przykry, nawet potęguje przyjemne, spokojne uczucie szybkości. Reklama Dubonneta bardzo odpowiednia, aby ją czytali, oczekiwali i obserwowali ludzie smutni, niczym nie zajęci. Z komunikacji wykluczono język, ponieważ ani przy płaceniu, ani wsiadając czy też wysiadając, nie potrzeba mówić. Ze względu na dużą przystępność jest metro dla oczekującego i słabowitego cudzoziemca najlepszą okazją, aby nabrał przeświadczenia, że za pierwszym zamachem szybko i trafnie wniknął w istotę Paryża.

Obcokrajowców poznaje się po tym, że już na ostatnim stopniu schodów metra tracą orientację i nie gubią się w życiu ulicy tak bezpośrednio, jak wychodzący z metra paryżanie. Również przy wyjściu rzeczywistość dopiero powoli dopasowuje się do mapy, ponieważ nie kierując się mapą, nigdy pieszo lub powozem nie dostalibyśmy się w to miejsce, na którym stoimy teraz, po wyjściu na górę.

Wspomnienie spacerów po zieleńcach jest zawsze piękne, radość, że jest jeszcze tak jasno, trzeba uważać, aby się szybko nie ściemniło, to uważanie i zmęczenie decydująco wpływają na sposób, w jaki chodzimy i rozglądamy się, sztywna parada aut na wielkiej gładkiej ulicy. W małej restauracji z ogródkiem orkiestra w czerwonych garniturach pracuje na instrumentach, niesłyszalna z powodu hałasu, jaki powodują samochody, tylko dla przyjemności najbliższego otoczenia. Nigdy nie widywani paryżanie chodzą, trzymając się za ręce. Spalona trawa koloru ziemi. Mężczyźni w koszulach z podwiniętymi rękawami, ze swoimi rodzinami, w półcieniu drzew na rabatach, do których wstępu już z góry wzbroniono. Tu brak Żydów najbardziej rzucił się w oczy. Rzut okiem za siebie na małą kolejkę, która zdaje się rozwijać jakby z karuzeli i odjeżdża. Droga do jeziora. Moim najbardziej wyraźnym wspomnieniem jeziora widzianego po raz pierwszy, są pochylone plecy mężczyzny, który pochylony ku nam, ku łodzi, pod napiętym dachem z płótna wręczył nam bilety. Prawdopodobnie dlatego, że zajmowałem się mapą i nie potrafiłem zmusić tego człowieka, aby nam wyjaśnił, czy łódź płynie wokół jeziora, czy wysadza na wyspę i czy ma postoje. Dlatego że tak się w niego zapatrzyłem, widzę go czasem nad jeziorem z taką samą wyrazistością, ale samego pochylonego, bez łodzi. Na przystani dużo ludzi w letnich ubraniach. Łodzie, niezgrabni wioślarze. Niski brzeg jeziora, bez barier. Powolna jazda przypomina mi spacer, które kilka lat temu odbywałem sam każdej niedzieli. Wyciąga się nogi z wody na dnie łodzi. Słuchając, jak rozmawiamy z sobą po czesku, pasażerowie zdumiewają się, że wsiedli do łodzi z takimi cudzoziemcami. Dużo ludzi na skarpach. na zachodnim brzegu, laski wetknięte w ziemię, rozłożone gazety, jakiś mężczyzna wyciągnął się na trawie ze swoimi córkami, niewiele śmiechu, niski brzeg wschodni, ogrodzenie drogi, jakie u nas dawno już skasowano, z łączonych, giętych prętów, w sam raz nadaje się do zatrzymania małych pieszków, aby nie biegły na trawę, zdziczały pies biega po łąkach, wioślarze w towarzystwie dziewczyny poważnie pracują w swojej czarnej łodzi. Pozostawiam Maksa samego przy lampce grenadyny w ciemności, na skraju ogródka na wpół opustoszałej kawiarni, obok biegnie ulica, którą znowu dosłownie przelotnie przecina jakaś inna, nieznaną uliczka. Z tego ciemnego skrzyżowania samochody jadą w jeszcze bardziej puste okolice. Wielka żelazna krata należy może do urzędu podatkowego, ale stoi otworem, umożliwiając każdemu wolny wstęp. W pobliżu widać jaskrawe światła wesołego miasteczka, które potęgują chaos tego półmroku. Tyle światła, a tak pusto. W drodze do wesołego miasteczka i z powrotem do Maksa potknąłem się może pięć razy.

Poniedziałek, 11 września. Na asfalcie łatwiej prowadzić samochody, ale również trudniej zatrzymać. Szczególnie wówczas, gdy przy kierownicy siedzi jeden prywatny człowiek, który zarówno piękny dzień, jak i swój lekki samochód i swoje umiejętności wykorzystuje w celu małej przejażdżki za interesem, a przy tym na skrzyżowaniach musi ze swoim wozem tak się zwiijać jak ludzie na trotuarze. Dlatego taki samochód tuż przed wjazdem w małą uliczkę, jeszcze na dużym placu, najeżdża na trójkołowiec, ale zatrzymuje się elegancko, nic wielkiego mu nie robiąc, dosłownie nadepnął mu tylko na nogę, jednak gdy po takim nadepnięciu przechodzień tym szybciej pospiesza dalej, trójkołowiec nie rusza się z miejsca, bo samochód skrzywił mu przednie koło. Czeladnik piekarski, który z całkowitą beztroską jechał w owym firmowym wozie, kołyszącym się ciężko jak wszystkie trójkołowce, zsiada, napotyka automobilistę, również wysiadającego i robi mu wymówki, które łagodzi respekt przed właścicielem samochodu, a ożywia strach przed szefem. Pręde wszystkim chodzi o wyjaśnienie, jak doszło do wypadku. Właściciel samochodu, podnosząc w górę dłonie, pokazuje najeżdżający samochód, a tu widzi, jak w poprzek zajechał mu trójkołowiec — podnosi prawą rękę i machając w lewo, ostrzega trójkołowiec; jego twarz wyraża troskę, bo jakiś samochód może zahamować w tej odległości. Czy trójkołowiec zobaczy to i przepuści samochód? Nie, jest za późno, przestaje dawać ostrzegawcze znaki lewą ręką, obie ręce spotykają się, pokazują nieszczęśliwy wypadek, kolana uginają się, aby zaobserwować ostatni moment. Stało się — dalej w opisie może już pomóc cicho stojący, okaleczony trójkołowiec. Przeciwnie piekarczyk nie umie sobie poradzić. Po pierwsze automobilista jest wykształconym, ruchliwym człowiekiem, po drugie aż do tej chwili siedział w samochodzie, odpoczął sobie, wkrótce może znowu sięść i dalej odpoczywać, a po trzecie z wysokości samochodu istotnie lepiej widział przebieg wypadku. Tymczasem zebrało się kilkoro ludzi i stoją, tak jak tego wymaga opowiadanie automobilisty, nie wokół niego, lecz raczej przed nim. W międzyczasie ruch uliczny musi się obejść bez tego placu, zajmuje go owo towarzystwo, które ponadto porusza się w przód lub w tył, zależnie od pomysłów automobilisty. Tak więc wszyscy podchodzą na przykład do trójkołowca, aby dokładniej obejrzeć szkodę, o której tyle się mówi. Automobilista twierdzi, że nie jest ona tak wielka (kilka osób półgłosem przyznaje mu rację), mimo tego on nie zadowala się samym zaglądnieniem, lecz chodzi dokoła, zaglądając z góry i z dołu. Ktoś, kto chce krzyknąć, bierze stronę trójkołowca, ponieważ automobilista nie potrzebuje „krzyku”. Otrzymuje jednak bardzo dobrą i bardzo głośną odpowiedź od obcego mężczyzny, który wystąpił dopiero teraz, a który, jeśli się nie mylę, jest towarzyszem automobilisty. Kilka razy wszyscy



sluchacze musieli się śmiać, ale za każdym razem uspokajali się, otrzymawszy nowe, rzeczowe wyjaśnienia. A więc właściwie nie ma wielkiej różnicy zdań między automobilistą a piekarczykiem, automobilista widzi, że otacza go mała grupka przyjaznych ludzi, których przekonał, piekarczyk powoli przestaje wykonywać rękami ciągle te same ruchy i robić wymówki, przecież automobilista nie zaprzecza, że wyrządził małą szkodę, i wcale nie przypisuje całej winy piekarczykowi, obaj są winni, a więc żaden nie jest winny, takie rzeczy zdarzają się itd. Krótko i węzłowato, sprawa w końcu stałaby się kłopotliwa, głosy widzów, którzy dyskutowali już nad kosztem remontu, trzeba by było uciszyć, gdyby ktoś nie przypomniał sobie, że można sprowadzić policjanta. Piekarczyka, który wobec automobilisty znalazł się w sytuacji podwładnego, tenże po prostu posyła po policjanta, a on powierza mu swój trójkołowiec. Nie mając złego zamiaru — bo nie potrzebuje jednać sobie stronników — automobilista nie przestaje opisywać wypadku również podczas nieobecności swego przeciwnika. Ponieważ lepiej jest opowiadać „pałac papierosa, skręca sobie jednego. W kieszeni ma skład tytoniu. Świeżo nadchodzących, jeszcze nie poinformowanych, nawet jeśli są to subiekci, prowadzi systematycznie najpierw do samochodu, potem do trójkołowca i dopiero wtedy informuje o szczegółach. Jeśli z grupy stojących w tyle osób wysuwa ktoś jakiś zarzut, odpowiada nań stojąc na palcach, aby móc spojrzeć w twarz mówiącemu. Okazuje się, że kłopotliwe jest prowadzić ludzi tam i z powrotem, między samochodem a trójkołowcem, dlatego wjeżdża samochodem bardziej ku chodnikowi, na ulicę. Cały trójkołowiec zatrzymuje się i kierowca widzi, co się dzieje. Jak gdyby pouczając o trudnościach prowadzenia samochodu, jakiś omnibus stanął w samym środku placu. Coś robią z przodu koło silnika. Pierwsi pochylają się nad wozem jego pasażerowie, którzy zdążyli już wysiąść, w słusznym poczuciu bliższego stosunku, jaki łączy ich z pojazdem. Tymczasem automobilista zrobił trochę porządku, a także posunął trójkołowiec dalej w kierunku chodnika. Sprawa przestaje być przedmiotem publicznego zainteresowania. Nowo przybyli muszą już zgadywać, co się właściwie stało. Automobilista z kilkoma dawnymi widzami, którzy przedstawiają wartość jako świadkowie, dosłownie cofnął się w tył i rozmawia z nimi cichym głosem. Ale gdzież tymczasem wędruje biedny piekarczyk? W końcu widać z daleka, jak przechodzi przez plac razem z policjantem. Ludzie nie zniecierpliwili się, ale zainteresowanie natychmiast wzrasta. Dochodzi wiele nowych widzów, którzy tanim sposobem doznają największej rozkoszy — spisywania protokołu. Automobilista odłącza się od swej grupy i wychodzi naprzeciw policjantowi, który natychmiast przejmuje sprawę z takim spokojem, jaki zainteresowani zdobyli dopiero po półgodzinnym czekaniu. Spisywanie protokołu odbywa się bez długiego badania. Policjant z szybkością robotnika budowlanego wyciąga ze swego notesu stary, zabrudzony, ale nie zapisany arkusz papieru, notuje nazwiska zainteresowanych osób, zapisuje firmę piekarni i aby to dokładniej zrobić, pisząc obchodzi trójkołowiec naokoło. Nieświadoma, niezrozumiała nadzieja obecnych, którzy oczekują, że policjant natychmiast załatwi sprawę, zamienia się w radość ze szczegółów spisywania protokołu. To spisywanie protokołu niekiedy utyka. Policjant coś pomieszał w swoim protokole i usiłuje doprowadzić go do porządku, chwilami nie słyszy ani nie widzi niczego innego. Mianowicie zaczął zapisywać arkusz papieru w miejscu, gdzie z jakichś powodów nie powinien był tego czynić. Ale teraz już się stało i policjant co pewien czas zdumiewa się z tego powodu. Ciągłe musi obracać ten arkusz, aby uwierzyć, że napisał źle początek protokołu. Ponieważ jednak wnet zostawił ten zły początek i zaczął pisać gdzie indziej, napisawszy jedną szpaltę, nie może bez długiego szukania i rozkładania arkusza wiedzieć, gdzie powinien pisać dalej protokół. Spokoju, który wskutek tego nastaje wokół sprawy, nie można w ogóle porównywać z takim, wcześniejszym, jaki osiągnęli sami zainteresowani.

PODRÓŻ WEIMAR — JUNGBORN  
podróż w czasie urlopu, którą Kafka odbył razem z Maksem Brodem

od 28 czerwca do 29 lipca 1912

Piątek, 28 czerwca. Odjazd z dworca państwowego. Dobrze nam razem. Sokoli opóźniają odjazd pociągu. Rozebrani leżą na ławkach, wyciągnąwszy się na całą długość. Brzegi Elby. Piękne położenie zakątków i will przypomina brzegi jeziora. Drezno. Wszędzie mnóstwo świeżych towarów. Czysta, poprawna obsługa. Spokojnie odmierzane słowa. Masywny wygląd budowli z powodu betonu, który jednak, na przykład w Ameryce, nie sprawia wrażenia masywności. Na spokojnej zresztą tafli

Elby pierścienie wirów żłobią marmurkowe wzory.

Lipsk. Rozmowa z naszym służącym. Hotel Opla. Dworzec kolejowy, w połowie nowy. Piękne ruiny dawnego. Wspólny pokój. Począwszy od godziny czwartej żywcem pogrzebany, bo Maks musi zamknąć okna z powodu hałasu. Wielki hałas. Według tego, co słyszymy, jeden wóz ciągnie za sobą drugi. Wskutek asfaltu konie słychać jakby były cwałującymi wierzchowcami. Oddalające się dzwonięcie tramwajów, milknąc zaznacza uliczki i place. Wieczór w Lipsku. Topograficzny instykt Maksa, ja — zagubiony. Natomiast stwierdzam — później potwierdził to przewodnik — piękny wykusz na domu książęcym. Nocna praca na placu budowlanym, prawdopodobnie na miejscu piwnicy Auerbacha. Niezadowolony z Lipska, nie można się go pozbyć. Atrakcyjna Cafe Oriental. „Gołębnik”, piwiarnia. Ocieężały szynkarz z długą brodą. Jego żona nalewa. Dwie duże, tęgie córki obsługują. Schowki w stołach. Lichtenhaińskie piwo w drewnianych dzbanach. Po otwarciu pokrywki uderza. zły zapach. Słabowity, stały bywalec knajpy, czerwonawe chude policzki, pomarszczony nos, siedzi z licznym towarzystwem, potem zostaje sam. Przysiada się do niego dziewczyna ze swoją szklanką piwa. Portret zmarłego przed dwunastu laty stałego bywalca, który odwiedzał ten lokal przez czternaście lat. Podnosi szklankę, za nim widoczny kościotrup. Dużo studentów w Lipsku, utrzymujących intensywną łączność. Dużo monoki.

Sobota, 29 czerwca. Śniadanie. Pan, który w sobotę nie podpisuje kwitu na przesyłkę pieniężną. Spacer. Maks u **Rowohlta** wydawca Kafki. Muzeum przemysłu księgarskiego. Nie mogę zatrzymać się przed wielką ilością książek. Ulice z tej dzielnicy wydawniczej sprawiają wrażenie staroświeckich mimo tego, że są proste, a domy nowe i pozbawione ozdób. Publiczne lektorium. Obiad w Mannie. Kiepski. Winiarnia Wilhelma, mroczny lokal w podwórzu. Rowohl. Młody, czerwone policzki — nieruchomy pot między nosem a policzkami — rusza się dopiero od bioder. Hrabia **Bassewitz** Bassewitz, Gerdt von, autor Judasza, wysoki, nerwowy, sucha twarz. Ruchliwy w tali, dobrze wypielęgowane, krzepkie ciało. **Hasenclever** Hasenclever Walter (ur. 1890), poeta i dramaturg, na drobnej twarzy dużo ciemnych i jasnych plam, nawet sinawe refleksy. Wszyscy trzej wymachują laskami i rękami. Oryginalny codzienny obiad w winiarni. Wielkie, szerokie puchary do wina z plasterkami cytryny. Pinthus, korespondent Berliner Tageblatt, gruby, twarz raczej płaska, później w Kawiarni Francuskiej poprawia maszynopis recenzji z Joanny Neapolitańskiej (premiera wczoraj wieczorem). Kawiarnia Francuska. Rowohl dość poważnie chce ode mnie książki. Osobiste zobowiązania wydawców oraz ich wpływ na przeciętny, codzienny przekrój literatury niemieckiej. W wydawnictwie.

Odjazd do Weimaru godzina piąta. W przedziale starsza panna. Śniada skóra. Piękne zaokrąglenia na brodzie i policzkach. Szwy na pończochach skręcały się jej na nogach, twarz zasłoniła gazetą, a my oglądaliśmy nogi. Weimar. Wysiada tam także, nałożywszy wielki, stary kapelusz. Widziałem ją raz później, gdy z rynku spoglądałem na dom Goethego. Długa droga do hotelu Chemnitzus. Prawie straciłem odwagę. Szukamy łaźni. Wskazują nam trójdzielną apartament. Maks ma sypiać w jakiejś dziurze z małym okienkiem. Kapiel na wolnym powietrzu, na Kirschbergu. Jezioro Łabędzie. Nocą spacer do domu Goethego. Natychmiast rozpoznajemy. Całość w żółtobrązowym kolorze. Wyczuwalny wpływ naszego dotychczasowego życia na wrażenie danej chwili. Ciemne okna nie zamieszkanego pokoju. Jasne popiersie Junony. Dotykamy murów. We wszystkich pokojach białe zasłony, nieco opuszczone. Czternaście okien od ulicy. Zawieszony niegdyś łańcuch. Żaden obraz nie oddaje wrażenia całości. Nierówny plac, studnia, za wznoszącym się placem łamana linia domu. Trochę wydłużone okna, osadzone w żółtawym brązie. Sam w sobie również uderzający, najbardziej wpadający w oko mieszczański dom w Weimarze.

Niedziela, 30 przed południem. Dom Schillera. Nadmiernie rozrośnięta kobieta, która występuje naprzód i w kilku słowach, głównie przez intonację, usprawiedliwia istnienie tych pamiątek. Na schodach pokazana Klio pisząca dziennik. Obraz przedstawiający stuletnią rocznicę urodzin, 10 listopada 1859 r., przyozdobiony, rozszerzony dom. Włoskie widoki, Bellagio, podarunki Goethego. Włosy, które przestały być ludzkie, żółte i suche jak ości u kłosów. Maria Pawłowna, delikatna szyja, twarz nie szersza od niej, duże oczy. Najrozmaitsze głowy Schillera. Dobrze urządzone mieszkanie pisarza. Poczekalnia, pokój przyjęć, gabinet do pracy, alkowa do spania. Pani Junot, jego córka, jest do niego podobna. *Hodowla drzew na wielką skalę na podstawie doświadczeń małej hodowli* — tytuł książki jego ojca.

- Dom Goethego. Salony reprezentacyjne. Przelotne spojrzenie na gabinet do pisania i - sypialnię. Smutny widok, przypominający zmarłych przodków. Ogród, który rośnie bez przerwy od śmierci Goethego. Buki zaciemniające jego gabinet.

Jeszcze gdy siedzieliśmy na dole w klatce schodowej, przebiegła obok nas ze swoją małą siostrzyczką. Gipsowy odlew charta, który stoi na dole w klatce schodowej, łączy się w moim

wspomnieniu Z tym bieganiem. Później zobaczyliśmy ją znowu w pokoju z Junoną, potem wyglądając z okien pokoju, od ogrodu. Zdawało mi się, że głos i kroki jej słyszałem jeszcze częściej. Podałem dwa goździki przez poręcz balkonu. Za późno w ogrodzie. Widziana na górze, na balkonie. Dopiero później schodzi na dół z młodym człowiekiem. Przechodząc dziękuję, że zwróciła nam uwagę na ogród. Ale jeszcze nie odchodzimy. Nadchodzi matka, nawiązuje się rozmowa o ogrodzie. Ona stoi obok krzaka róży. Maks popycha mnie naprzód, idę, dowiaduję się o wycieczkę do Tiefertu. Ja też tam pójde. Ona siedzi ze swoimi rodzicami. Wymienia gospodę, z której można obserwować drzwi domu Goethego. Gospoda Pod Łabędziem. Siedzimy pomiędzy drabinkami z pnącym bluszczem. Wychodzi z drzwi. Podbiegam, przedstawiam się wszystkim, otrzymuję zgodę na przyłączenie się do towarzystwa i znowu biegnę z powrotem. Później schodzi się rodzina bez ojca. Chcę się przyłączyć, nie, oni idą najpierw na kawę, mam przyjść z ojcem. Mówi, że mam przyjść do domu o czwartej. Pożegnawszy się z Maksem, przyprowadzam ojca. Rozmowa z woźnicą przed bramą. Idę z ojcem. Rozmowa o Śląsku, wielkim księciu, Goethem, muzeum narodowym, fotografowaniu, rysowaniu oraz wieku nerwów. Zatrzymuję się przed domem, w którym piją kawę. On biegnie na górę, aby przywołać wszystkich do okna z wykuszem, ponieważ będzie fotografował. Ze zdenerwowania grałem w piłkę z małą dziewczynką. Idę z mężczyznanami; poprzedzany przez dwie panie, przed nimi trzy dziewczynki. Mały piesek biega między nami tam i z powrotem. Pałacyk w Tiefertu. Zwiedzam z trzema dziewczętami. Ma dużo z tych rzeczy, które są w domu Goethego, a nawet lepszych. Objaśnienia przed portretami Wertera. Pokój panny von Gochhausen. Zamurowane drzwi. Sztuczny pudel. Następnie wymarsz z rodzicami. Dwukrotnie fotografujemy się w parku. Raz na moście i ta fotografia nie chce się udać. W drodze powrotnej ostatecznie dołączam się do towarzystwa, czując się jednak nieco obco. Opowiadają o żartach karnawałowych w archiwum. Pożegnanie przed domem. Wystaję na ulicy Mydlanej. Tymczasem Maks spał. Wieczorem trzykrotne, niezrozumiałe spotkanie. Jest ze swoją przyjaciółką. Po raz pierwszy towarzyszymy im. Wieczorem pa szóstej mogę zawsze przyjść do ogrodu. Teraz musi iść do domu. Potem znowu spotkanie na okrągłym placu, przygotowanym do pojedynku: Rozmawiają z jakimś młodym człowiekiem, bardziej nieprzyjaźnie niż życzliwie. Dlaczego jednak nie pozostały już w domu? Przecież odprowadziliśmy je aż pod dom Goethego. Musiały przecież jak najszybciej udać się do domu. Ale dlaczego biegły teraz z ulicy Schillera w dół schodkami, zdążając w stronę placu na uboczu, jak widać w ogóle nie były w domu, prześladowane przez tego młodego człowieka lub aby spotkać się z nim? Dlaczego kręciły się tam, skoro o dziesięć kroków dalej zamieniły kilka słów z młodym człowiekiem i pozornie nie zgodziły się, aby im towarzyszył i same pobiegły z powrotem? Czy przeszkodził im, przechodząc obok i pozdrawiając po prostu? Później powoli poszliśmy z powrotem; gdy ponownie przyszliśmy na plac Goethego, wybiegły już znowu z innej uliczki i najwidoczniej bardzo przestraszone, prawie wpadły nam w ręce. Aby im oszczędzić przykrości, odwróciliśmy się. Ale one jui znowu poszły inną drogą.

Poniedziałek, 1 lipca. Dom z ogrodem obok gwiazdy <sup>Za tym domem główne i boczne drogi przebiegają w kształcie gwiazdy.</sup> Na trawie przed tym domem rysowałem. Odpoczywając w tym miejscu, nauczyłem się wiersza na pamięć: Łóżko —kufer. Sen. W podwórzcu papuga, która woła „Grete”. Daremnie poszedłem na Aleję Erfurcką, gdzie ona uczy się szyc. Kąpiel.

Wtorek, 2 lipca. Dom Goethego. Mansardy. U zarządcy domu oglądałem fotografie. Stojące wokół dzieci. Rozmowy na temat fotografii. Ciagle czyham na sposobność, aby z nią pomówić. Idzie szyc ze swoją przyjaciółką. Zostajemy.

Po południu dom Liszta. Wirtuozowski. Stara Paulina. Liszt pracował od piątej do ósmej, potem kościół, potem po raz drugi sen, od jedenastej wizyty. Maks poszedł się kapać, przynoszę fotografie, przedtem spotykam ją, razem podchodzimy pod bramę. Ojciec pokazuje mi fotografie, przynoszę ramki, w końcu muszę przecież iść. Za plecami ojca dziewczyna uśmiecha się do mnie, bezsensownie; na próżno. Smutek. Pomysł, aby dać powiększyć fotografie. Idę do drogerii. Znowu wracam do domu Goethego, z powodu negatywów. Widzi mnie z okna i otwiera je. — Kilkakrotne spotkanie z Gretą. Gdy jem poziomki przed ogrodem Wertera, gdzie odbywa się koncert. Ruchliwość jej ciała w luźnej sukni. Wysocy oficerowie, którzy wychodzą z Rosyjskiego Dworu. Różnorodne mundury. Smukli, dobrze zbudowani, w ciemnych ubraniach. — Awantura w odległej ulicy: „Ale z ciebie świnia!” Ludzie w oknach. Rodzina odchodzi, pijany mężczyzna, stara kobieta z koszem na plecach i dwoma chłopakami na dodatek.

Ściska mnie w gardle, bo muszę już wkrótce odjechać. „Odkryłem Tivoli. Stoły przy ścianach nazywają się „bocznymi balkonami”. Stara dama z węzłem, jej mąż gra rolę zaklinacza. Przebrane za żołnierzy kobiety.

Środa, 3 lipca. Dom Goethego. Mamy się fotografować w ogrodzie. Nie widać jej, wolno mi ją

później przyprowadzić. Zawsze drży na całym ciele, taka jest ruchliwa, ale tę ruchliwość uzewnętrznia dopiero wtedy, gdy się do niej mówi. Fotografujemy się. My dwoje na ławce. Maks pokazuje temu człowiekowi, jak się to robi. Wyznacza mi randkę na następny dzień. Ottingen wygląda przez okno i zabrania fotografować mnie i Maksowi, gdy właśnie stoimy przy aparacie. Przecież nie fotografujemy. Wówczas matka była jeszcze uprzejma.

Prócz szkół i tych, którzy nie płacą, przyjeżdża trzydzieści tysięcy ludzi co roku. — Kapiel. Poważne, spokojne walki na ringu dzieci..

Po południu biblioteka wielkiego księcia. Popiersie, dzieło **Trippla** Alexander Trippel (1744—1793), rzeźbiarz niemiecki. Pochwała wodza. Zawsze rozpoznawalny wielki książę. Mocno ukształtowana broda i wydatne wargi. Ręka wsunięta w zapięty surdut. Popiersie Goethego, dzieło Davida (**d'Angers**) David d'Angers (1788—1856), rzeźbiarz francuski., sterzące, odczesane do tyłu włosy, twarz pełna napięcia. Dokonana przez Goethego przebudowa pałacu na bibliotekę. Popiersia: **Passowa** Passow Franz Ludwig (1786—1833), profesor literatury klasycznej (między innymi w Weimarze). (ładny młodzieniec z kędzierzawymi włosami), Zachariasza **Wenera** Zachariaš Werner (1768—1823), poeta i dramaturg., wąska, wysunięta w przód twarz o badawczym wyrazie. Glucka. Odlane za życia. Na ustach wgłębienie od rurek, przez które oddychał. Gabinet Goethego. Przez jedne drzwi wchodzi się wprost do ogrodu pani von Stein. Schody, które wykonał jakiś więzień z olbrzymiego dębu, nie używając ani jednego gwoźdźca.

Spacer po parku z synem stolarza, Fritzem Wenskim. Mówi poważnie. Przy tym uderza gałązką po krzakach. Zostanie również cieślą i będzie wędrował. Obecnie nie wędruje się już tak, jak za czasów jego ojca, kolej rozpieszcza ludzi. Aby zostać przewodnikiem dla cudzoziemców, trzeba by znać języki, a więc albo uczyć się ich w szkole, albo kupować takie książki. To, co wie o parku, słyszał albo w szkole, albo od przewodników. Uderzające uwagi przewodnika, które nie harmonizują z resztą, na przykład o domu rzymskim ni mniej, ni więcej tylko: drzwi były przeznaczone dla dostawców.

**Borkenhausen** Domek z nie obrobionych desek w pobliżu mostu na rzece Ilm, który prowadzi do domu Goethego; letnia rezydencja księcia Karola Augusta.. Pomnik Szekspira. W otoczeniu dzieci na placu Karola. Rozmowy na temat marynarki. Powaga dzieci. Dyskusja o zatonięciach statków. Rozwaga u dzieci. Obiecuję piłkę. Rozdzielam keksy. Koncert w ogrodzie, Carmen. Całkiem tym przejęty.

Czwartek, 4 lipca. Dom Goethego. Obiecane rendez vous, potwierdzone głośnym „tak”. Wyglądała z bramy. „Fałszywie tłumaczę sobie ten fakt, bo przecież w czasie naszej nieobecności także stamtąd wyglądała. Zapytałem jeszcze raz: „Nawet gdy będzie deszcz?” — „Tak”.

Maks jedzie do Jeny, do **Diederichsa**. Diederichs Eugen (ur. 1867), wybitny, zasłużony niemiecki wydawca, założyciel firmy wydawniczej, znany z licznych publikacji z zakresu historii kultury, pedagogiki i literatury niebieskiej.

Zwiedzam kryptę książęcą. W towarzystwie oficerów. Nad trumną Goethego złoty wieniec wawrzynowy, ufundowany przez Niemki z Pragi, 1882, Odnalazłem wszystkich na cmentarzu. Grób rodziny Goethe. Walter von Goethe, ur. w Weimarze. 9 kwietnia 1818 r., zmarł w Lipsku 15 kwietnia 1885 r. „na nim wygasi ród Goethe, którego imię przetrwa wieki”. Napis na nagrobku pani Karoliny Falk: „Gdy Bóg zabrał jej siedmioro własnych dzieci, stała się matką dla cudzych. Bóg ją pocieszy”. Charlotte von Stein 1742—1827.

Kapiel. Nie spałem po południu, aby nie stracić z oczu tej wietrznicy. Nie przyszła na randkę.

Spotykam Maksa ubranego, w łóżku. Obaj nieszczęśliwi. Gdyby tak można cierpienie strzepnąć z okna.

Wieczorem **Hiller** Hiller Kurt (ur. 1855), niemiecki pisarz i publicysta. ze swoją matką. — Uciekam od stołu, ponieważ zdaje mi się, że ją widzę. Złudzenie. Potem wszyscy poszliśmy pod dom Goethego. Ukłoniłem się jej.

Piątek, 5 lipca. Na próżno idę pod dom Goethego. —Archiwum Goethego i Schillera. Listy do **Lenza**. Jacob Michael Reinhold Lenz (1751—1792), poeta, niektóre jego poetyckie utwory poświęcone Fryderyce Brjón przypisywano Goethemu. List

obywateli miasta Frankfurtu do Goethego, 28 sierpnia 1830 r.:

„My, niektórzy obywatele starego grodu nad Menem, przywykłyzy z dawna witać dzień 28 sierpnia z pucharem w dłoni, wdzięczni bylibyśmy łasce niebios, mogąc tego frankfurtczyka, którego dzień ten wydał na świat, powitać osobiście w murach wolnego miasta.

Skoro jednak z roku na rok kończy się na nadziejach, oczekiwaniu i życzeniach, przeto tymczasem poprzez pola i lasy, przez granice i bariery celne przekazujemy ten perlący się winem puchar szczęśliwemu miastu nad Ilmem i prosimy naszego czcigodnego ziomka o zaszczyt, by wolno nam było w myśli trącić się z nim i zaśpiewać:

Jeśli zechcesz wiernych Swych  
Darzyć rozgrzeszeniem,

Będziem wszyscy na Twój znak  
Dążyć niestrudzenie,  
Połowiczność by odmienić,  
A zaś w dobra, piękna pełni  
śmiało wieść istnienie. fragm. wiersza Goethego pt. Generalbeichte; tłum. Ida Wieniewska.

1757 „Czcigodna Babciu!”

**Jerusalem** do Kestnera Jerusalem K. Wilhelm (1747—1772). Jego samobójstwo z powodu nieszczęśliwej miłości natchnęło Goethego do napisania *Cierpień młodego Wertera*.

„Czy mógłbym Waszą Wielmożność najpokorniej prosić o Jego pistolety na podróż, w którą zamierzam się wybrać?”

Pieśń Mignon bez jednego skreślenia.

Przyniosłem fotografie. Zabrała je. Na próżno stałem, z sześciu fotografii oddałem tylko trzy. I to właśnie te gorsze, w nadziei, że zarządca domu, aby się usprawiedliwić, będzie na nowo fotografował. Nic podobnego!

Łażnia. Wprost stamtąd udałem się na ulicę Erfurcką. Maks poszedł na obiad. Ona przychodzi z dwiema przyjaciółkami. Wyciągam ją. Tak, wczoraj musiała odejść dziesięć minut wcześniej, dopiero teraz dowiedziała się od swoich przyjaciółek, że wczoraj czekałem. Była także zła z powodu lekcji tańca. Z pewnością mnie nie kocha, ale czuje pewien szacunek. Daję jej pudełko czekoladek, dokoła owinięty łańcuszek z serduszkami i towarzyszę kawalek drogi. Gdzieniegdzie wtrącam kilka słów o randce. Jutro o jedenastej przed domem Goethego. Może to być tylko wymówka, musi przecież gotować, a potem: przed domem Goethego! jednak zgadzam się. Smutna zgoda. Idę do hotelu, siedzę chwilę z Maksem, który leży w łóżku.

Po południu wycieczka do Belwederu. Hiller z matką. Piękna przejażdżka powozem przez jedną jedyną aleję. Zaskakujący układ zamku, który składa się z części głównej i czterech domków przybudowanych z boku; wszystko niskie i w pastelowych barwach. W środku niewysoka fontanna. Przed nami otwiera się widok na Weimar. Wielki książę już od kilku lat przestał tu mieszkać. Jest myśliwym, a tutaj nie ma terenów łowieckich. Spokojny, uprzejmy służący, o gładko ogolonej, kwadratowej twarzy. Smutny jak może wszyscy ludzie, którzy żyją w zależności od panów. Smutek domowych zwierząt. Maria Pawłowna, synowa Karola Augusta, córka Marii Fiedorowny i cara Pawła, którego uduszono. Wiele rosyjskich reminiscencji. Cloisone, miedziane naczynia z nałożonymi drutami, pomiędzy które wiano emalię. Sypialnie z sufitem imitującym kopułę nieba. Jedyną modernizacją są fotografie w zamieszkałych jeszcze pokojach. Niespostrzeżenie one także podporządkują się. Pokój Goethego, narożny na parterze. Na suficie kilka malowideł pędzla **Oesera**, Adam Friedrich Oeser (1717—1799), malarz, rzeźbiarz i sztycharz, dyrektor Akademii Sztuk Pięknych w Lipsku, wywarł duży wpływ na Winckelmann i Goethego.

wskutek renowacji prawie nierozpoznawalnych. Dużo chińszczyzny. Ciemna komnata dam dworu. Teatr na wolnym powietrzu z dwoma rzędami miejsc dla widzów. Powóz zawierający dwa rzędy ławek, przystawionych do siebie oparciami, w którym siedziały damy, a towarzyszący im kawalerowie jechali konno obok. Ciężki, zaprzężony w trzy pary koni powóz, w którym Maria Pawłowna ze swym małżonkiem w ciągu dwudziestu sześciu dni odbyła podróż poślubną z Petersburga od Weimaru. Założyła teatr na wolnym powietrzu i park.

Wieczorem u Paula **Ernsta** Paul Ernst (1866—1933), znany poeta, dramaturg (Canossa, Brunhilde) i prozaik, teoretyk sztuki, zwolennik neoklasycyzmu.

Na ulicy zapytaliśmy dwie dziewczyny o mieszkanie pisarza Paula Ernsta. Najpierw przyglądają się nam w zamyśleniu, potem jedna trąca drugą, jakby chcąc przypomnieć o nazwisku, które nie przychodzi jej do głowy. — Myślicie o **Wildenbruchu**? — pyta wtedy druga. Ernst von Wildenbruch (1845—1909), niemiecki pisarz i dramaturg (Francesca von Rimini, Der Furst von Verona)

Paul Ernst... Wąsy zachodzące na usta i szpicbródka. Mocno trzyma się za krzesło lub za kolana, chociaż nie wybucha gniewem, nawet gdy jest zirytowany (z powodu krytyków). Mieszka przy „**am Horn**” nazwa ulicy, przy której mieszczą się wille i małe domki.

Wille, jak się zdaje, wypełnia w całości jego rodzina. Półmisek mocno aromatycznych ryb, który miał być wniesiony po schodach na górę, na nasz widok zabierają z powrotem do kuchni. Wchodzi ojciec **Expeditus Schmidt** o. Expeditus Schmitt, franciszkanin, autor zbioru legend z życia świętych., z którym już raz zetknąłem się w hotelu na schodach. Pracuje w archiwum nad wydaniem **Otto Ludwiga** Otto Ludwig (1813—1865), poeta i dramaturg, estetyk, reprezentuje kierunek hebbrowski w dramacie.

Chce wprowadzić nargile w archiwum. Wygaduje na jakąś gazetę, nazywając ją „jadowitą ropuchą”, ponieważ zaatakowała Legendy o świętych, które wydał.

Sobota, 6 lipca. Do Johannesesa **Schlafa** Johannes Schlaf (1862—1941) jeden z czołowych pisarzy realizmu niemieckiego.

Przyjmuje nas stara, podobna do niego siostra. Nie ma go w domu, przyjdziemy ponownie wieczorem.

Jednogodzinny spacer z Gretą. Przyszła, zdaje się za zgodą matki, z którą rozmawia jeszcze

przez okno, stojąc na ulicy. Różowa sukienka, na szyi moje serduszko. Niepokój z powodu wielkiego balu wieczorem. Odczuwałem brak wszelkiego z nią kontaktu. Urywana rozmowa, którą zaczynałem ciągle od nowa. Raz idziemy niezwykle szybko, to znów niezwykle powoli. Wysilam się, aby za żadną cenę nie dać poznać, że rozmowa się nam nie klei. Cóż zatem popycha nas razem przez park? Czy tylko mój upór?

Wieczorem drzemka. Przedtem z wizytą u Grety. Stoi w uchylonych drzwiach od kuchni, w od dawna zachwalanej sukni balowej, która nie jest nawet tak piękna, jak jej sukienka na co dzień. Mocno zapłakane oczy, widocznie z powodu głównego partnera, który w ogóle już przysporzył jej sporo zmartwienia. Żegnam się na zawsze. Nie wie tego, a gdyby wiedziała, nic by jej na tym nie zależało. Kobieta, która przynosi róże, przeszkadza w dodatku w naszym skromnym pożegnaniu. Na ulicach wszędzie kawalerowie i panie z lekcji tańca.

Schlaf. Nie mieszka na poddaszu, jak chciał nam wmówić Ernst, który z nim zerwał. Ruchliwy mężczyzna, silny tors w opiętym surducie. Tylko oczy mrugają nerwowo i chorobliwie. Mówi głównie o astronomii i swoim systemie geocentrycznym. Wszystko inne, literatura, krytyka, malarstwo, trzyma go jeszcze tylko dlatego, że ich nie odrzuca. Zresztą na Boże Narodzenie wszystko się rozstrzygnie. W najmniejszej mierze nie wątpi w swoje zwycięstwo. Maks mówi mu, że znajduje się on wobec astronomii w podobnej sytuacji jak Goethe wobec optyków. — Podobnej — odpowiada, trzymając się ciągle stołu dłońmi — ale o wiele pomyślniejszej, bo przemawiają za mną nieodparte fakty. — Jego mała luneta za czterysta marek. Do swojego odkrycia nie potrzebuje jej wcale, ani nawet matematyki. Żyje w pełni szczęścia. Zakres jego pracy jest nieskończony, ponieważ jego odkrycie, raz uznane, będzie miało doniosłe następstwa we wszystkich dziedzinach (religii, etyce, estetyce itd.) i on przede wszystkim powołany jest, aby to odkrycie opracować. Gdy przyszliśmy, właśnie wklejał do wielkiej książki reportaże, które ukazały się z okazji pięćdziesiątej rocznicy jego urodzin. „Przy takich okazjach robia to łagodnie”.

Przedtem spacer z Ernstem w Webicht. Jego pogarda dla naszych czasów, Hauptmanna, Wassermanna, Tomasza Manna. Bez względu na naszą ewentualną opinię, w jednym krótkim zdaniu pobocznym, którego sens staje się zrozumiały dopiero po długim czasie, nazywa Hauptmanna grafomanem. Poza tym mgliste wypowiedzi na temat Żydów, syjonizmu, ras itd., w tym wszystkim tylko jedno godne uwagi, że jest to człowiek, który przez cały czas dobrze zaangażował swoje siły. — Suche, mechaniczne „tak, tak” podczas krótkich interwałów, gdy mówi ktoś drugi. Raz posunął się tak daleko, że przestałem mu wierzyć.

7 lipca. Dwadzieścia siedem, numer bagażowego w Halle. — Teraz o wpół do siódmej w pobliżu pomnika Gleima, osunąłem się na ławkę, której szukałem od dłuższego czasu. Gdybym był dzieckiem, musiałbym dać się odesłać z powrotem, tak bołą mnie nogi. — Po pożegnaniu się z tobą Makslem Brodem jeszcze przez długi czas nie czułem się samotny. A potem znowu tak stępiełem, że jeszcze nie była to samotność. — Halle to mały Lipsk. Wznoszące się parami wieże kościołów w Lipsku i Halle, u góry na niebie połączone są drewnianym mostkiem. — Już samo uczucie, że będziesz czytać te rzeczy nie równocześnie, lecz dopiero później, czyni mnie tak niepewnym. — Klub kolarzy, który na rynku w Halle zbiera się na wycieczkę. Samotne oglądanie miasta lub nawet tylko uliczki sprawia trudność.

Dobry obiad jarski. Przeciwnie niż u innych właścicieli restauracji jarska kuchnia nie służy gospodarzom takich jadłodajni. Bojaźliwi ludzie podchodzą z boku do niego.

Z Halle jadę z czterema Żydami z Pragi, dwoma przyjemnymi, wesołymi, starszymi, krzepkimi mężczyznami —jeden podobny do dra K., jeden do mego ojca, tylko o wiele niższy, potem jeden słabowity, znużony upałem, młody małżonek i jego odrażająca, dobrze zbudowana młoda małżonka, której twarz w jakiś sposób przypomina rodzinę X. Czyta powieść za trzy marki ldy Boy-Ed <sup>Ida Boy-Ed</sup> (1852—1828) pisała powieści, nowele i studia literackie, wydawnictwo Ullstein, o wspaniałym tytule wymyślonym przez Ullsteina: *Chwila w raj*. Mąż pyta, jak jej się podoba? Dopiero jednak teraz zaczęła. „Bis dato nie można nic powiedzieć.” Dobroduszny Niemiec, sucha cera, płowy zarost, rozdzielony pięknie na policzki i brodę, ze szczególną życzliwością interesuje się wszystkim, co dzieje się u tej czwórki.

Hotel kolejowy, pokój na dole, od ulicy, z ogródkiem od frontu. Droga do miasta. Zupełnie stare miasto. Budynki o pruskich murach wydają się najtrwalszym rodzajem budowy. Belki gną się wszędzie, ściana między nimi rozpada się lub wybrzusza, całość pozostaje, z czasem najwyżej trochę się zapada i przez to staje się mocniejsza. Dotychczas nie widziałem jeszcze ludzi, którzy by tak pięknie opierali się w oknach. Przeważnie środkowe listwy okien są wzmocnione. Opiera się na nich barki; dzieci obracają się wokół nich. W głębokiej sieni, na niższych stopniach rozsiadły się tęgie dziewczęta w odświętnych sukniach. Ulica Smocza. Ulica Kocia. W parku z małymi dziewczynkami, na ławce, której bronimy przed chłopcami, jako ławki dziewczynek. Polscy Żydzi. Dzieci wołają do

nich „lcek” i nie chcą siadać na ławce tuż po nich.

Żydowska gospoda N.N. z hebrajskim napisem. Zaniedbany budynek, podobny do zamczyska, z wielką przybudówką, gdzie mieszczą się schody, wynurza się z ciasnych uliczek. Idę z tyłu za jakimś Żydem, który przychodzi z gospody i zagaduje go. Jest po dziewiątej. Chcę wiedzieć coś niecoś o gminie. Nie dowiaduję się niczego. Jestem dla niego za podejrzany. Ciągłe patrzy mi się na nogi. Ale przecież jestem także Żydem. Więc mogę już zamieszkać u N. N. — Nie, mam już mieszkanie. Tak. — Nagle podchodzi do mnie bliżej. Czy byłem tydzień temu w Shoppenstedt? Żegnamy się przed bramą jego domu, szczęśliwy, że się mnie pozbył; chociaż go nie pytam o to, mówi mi jeszcze, jak się idzie do synagogi.

Ludzie w szlafrokach na progu drzwi. Stare, bezsensowne napisy. Rozważania, jak głęboko nieszczęśliwym można się czuć w tych uliczkach, placach, ławkach w ogrodzie, na brzegach strumyka. Kto może płakać, winien przyjść tutaj w niedzielę. Wieczorem, na tarasie przed małym ogródkiem, po parogodzinym chodzeniu w kółko po moim hotelu. Obok przy stole gospodarze z młodą, ożywioną kobietą, która wygląda na wdowę. Policzki niepotrzebnie wychudłe. Uczesanie z przedziałem i napuszone.

8 lipca. Mój dom nazywa się **Ruth** Kafka przebywał w zakładzie przyrodolecznicy Jungborn w Harzu. Interesował się on bardzo przyrodolecznictwem i kulturą fizyczną ciała, był również wegetarianinem.

Urządzony praktycznie. Cztery okienka, cztery okna, jedno drzwi. Dość cicho. Tylko w oddali grają w piłkę nożną, ptaki śpiewają głośno, kilku nagich ludzi leży cicho przed moimi drzwiami. Wszyscy, oprócz mnie, bez kąpielówek. Piękna swoboda. W parku, w czytelnicy itd. można widzieć ładne, tłuste nóżki.

9 lipca. Dobrze spałem w chatce otwartej z trzech stron. Mogę się oprzeć o moje drzwi, jak właściciel domu. Wstawałem w najróżniejszych porach nocy i ciągle słyszałem, jak szczury lub ptaki uganiały się lub trzepotały w trawie wokół chatki. Pan, cętkowany niczym lampart. Wczoraj wieczorem wykład na temat ubioru. Chinkom kaleczą nogi, aby miały wielki tyłek.

Lekarz, były oficer, sztuczny, obłądny, płacziwy, burszowski śmiech. Chodzi elastycznie. Zwolennik **Mazdaznanu** zwolennicy tego związku żyją według wskazań Zaratustry, pielęgnują sztukę oddychania, stosują odpowiednią dietę i przepisy higieny.

Twarz stworzona do powagi. Gładko ogolony, wargi do zaciskania. Wychodzi ze swojego pokoju ordynacyjnego, wchodząc do środka przechodzi się obok niego. — Proszę wejść— do każdego się uśmiecha. Zakazuje mi jeść owoce, zastrzegając się, że nie muszę go słuchać. Jestem wykształconym człowiekiem, powinienem słuchać jego odczytów, które są również wydrukowane, powinienem tę rzecz studiować, urobić sobie swój sąd i stosować się do tego.

Wyjątek z jego wczorajszego wykładu: „Nawet gdy się ma całkiem okaleczałe palce u nóg, ale pociąga się za taki palec i przy tym głęboko oddycha, można go z czasem wyprostować”. Po pewnym określonym ćwiczeniu rosną części płciowe. Oto kilka z jego sposobów postępowania: kąpiele powietrzne w nocy są bardzo godne zalecenia (po prostu wysłizguję się z łóżka, kiedy mi to odpowiada, i wychodzę na łąkę przed moją chatkę), tylko nie należy zbyt długo wystawiać się na światło księżycy, to jest szkodliwe. Naszych ubrań obecnie nie można wcale prać!

Dziś wcześniej rano: mycie, gimnastyka pokojowa, gimnastyka wspólna (ja nazywam się „tym w kąpielówkach”), odśpiewanie kilku choraków, gra w piłkę w wielkim kole. Dwaj piękni szwedzcy chłopcy z długimi nogami. Koncert orkiestry wojskowej z Goslaru. Po południu przewracałem siano. Wieczorem tak sobie popsulem żołądek, że ze zmartwienia nie chce mi się zrobić ani kroku. Jakiś starszy Szwed bawi się piłką z kilkoma małymi dziewczynkami. Jest do tego stopnia zainteresowany zabawą, że raz wykrzykuje, biegnąc: „Czekajcie, ja wam zamknę te Dardanele!” Myśli o przejściu pomiędzy dwoma krzakami. Do starej, brzydkiej guwernantki, która przechodzi obok, mówi: „To jest przecież coś, co można by poklepać” (plecy w czarnej sukni w białe kropki). Nieustanna, nieuzasadniona potrzeba zwierzania się. Patrzy się na każdego człowieka, patrzy się pod tym kątem widzenia, czy jest to możliwe wobec niego i czy on ma okazję dla siebie.

10 lipca. Zwichnąłem sobie nogę. Nakładałem zieloną paszę. Po południu spacer do Ilsenburga z całkiem młodym profesorem gimnazjalnym w Nauheim; w przyszłym roku może pojedzie do Wickerdorfu. Koedukacja, przyrodolecznictwo, **Cohen** Hermana Cohen (1842—1918), filozof, neokantysta, Freud. Opowiada o wycieczce dziewcząt i chłopców, którą prowadził. Burza, wszyscy przemoczeni w najbliższej gospodzie w jednym pokoju muszą się kompletnie rozebrać.

W nocy gorączka od spuchniętej stopy. Hałas, który powodują przebiegające króliki. Gdy wstaję w nocy, trzy takie króliki siedzą na łące przed moimi drzwiami. śnię, że słyszę, jak Goethe deklamuje, niesłuchanie swobodnie i dowolnie.

11 lipca. Rozmowa z drem Fryderykiem Sch., urzędnikiem magistrackim z Wrocławia, który był długo w Paryżu, aby studiować urządzenia komunalne. Mieszkał w hotelu z widokiem na dziedziniec Palais Royal. Przedtem w hotelu obok Observatoire. Pewnej nocy W sąsiednim pokoju była jakaś para kochanków. Dziewczyna bezwstydnie krzyczała ze szczęścia. Dopiero, gdy przez ścianę zaofiarował się sprowadzić lekarza, uciszyła się i mógł spać.

Obaj moi przyjaciele przeszkadzają mi, ich droga prowadzi obok mojej chatki i zawsze przystają chwilę przy moich drzwiach na krótką pogawędkę lub aby zaprosić na przechadzkę. Jestem im jednak za to wdzięczny.

W Evangelische Missionszeitung z lipca 1912 o misjach na wyspie Jawie. „Cokolwiek można słusznie zarzucić dyletanckiej praktyce lekarskiej misjonarzy, którą ci wykonują w szerokim zakresie, tym niemniej jest ona głównym i nieodzownym środkiem pomocniczym w ich działalności „misyjnej.”

Od czasu do czasu odczuwam lekkie, powierzchowne mdłości, oczywiście przeważnie wówczas, gdy widzę z daleka, jak ci całkiem nadzy ludzie poruszają się między drzewami. Biegając nie wyglądają lepiej. Teraz przy moich drzwiach zatrzymał się jakiś nagi, całkiem obcy mężczyzna, powoli i przyjaźnie zapytał mnie, czy mieszkam tu w swoim domu, co do czego nie ma przecież żadnej wątpliwości. Przychodzą tak bezszelestnie. Nagle staje ktoś i nie wiadomo skąd przyszedł. Również starsi panowie, którzy nadzy skaczą przez kopy siana, nie podobają mi się.

Wieczorem przechadzka do Stapelburga. Z tymi dwoma, których wzajemnie przedstawiłem i poleciłem sobie.

Ruiny. Powrót po godzinie dziesiątej. Między kopami siana „na łące, przed moimi drzwiami skrada się kilku nagich mężczyzn, którzy znikają w oddali. W nocy, gdy przez łąkę wędruję do klozetu, trzech śpią w trawie.

12 lipca. Opowiadanie dra Sch. Jeden rok spędził na podróżach. Potem na trawie długa debata na temat chrześcijaństwa. Stary, niebieskooki Adolf Just, który wszystko leczy gliną i ostrzega mnie przed lekarzem, zabraniającym mi jeść owoce. Członek Wspólnoty Chrześcijańskiej broni Boga i Biblii; w charakterze dowodu, który właśnie stosuje, czyta psalm. Mój dr Sch. blamuje się ateizmem. Iluzja obcych słów, autosugestia nic mu nie pomagają. Jakiś nieznajomy pyta, dlaczego Amerykanom powodzi się tak dobrze, chociaż co drugie słowo przeklinają. U większości niemożliwością jest ustalić ich rzeczywisty pogląd, chociaż z takim ożywieniem biorą udział w dyskusji. Ten, który tak jednym tchem mówił o dniu kwiatów i jak właśnie metodyści nie brali w nim udziału. Ten z Chrześcijańskiej Wspólnoty ze swoim pięknym synem zajada na obiad czereśnie i suchy chleb z małej torebki, a poza tym przez cały dzień leży na trawie, rozłożył przed sobą trzy Biblie i robi notatki. Dopiero od trzech lat jest na właściwej drodze. Szkice olejne z Holandii dra Sch. Pont-Neuf.

Nakładałem siano na Eckarplatze.

Dwie siostry, małe dziewczynki. Jedna ma szczupłą twarz, niedbałą pozę, ruchliwe wargi, często zachodzące na siebie, nos łagodnie przechodzi w spiczasty koniuszek, jasne, wpółprzymknięte oczy. Na twarzy odbija się zrozumienie, że już minutę obserwuję ją z ożywieniem. Coś tchnie ku mnie, gdy patrzę na nią. Jej bardziej kobieca mała siostra łowi moje spojrzenia. Nowo przybyła sztywna panna o niebieskawej tonacji. Blondynka, włosy krótkie, rozczochrane. Giętka i chuda jak rzemień. Spódnica, bluzka i koszula, poza tym nic. A chód!

Z drem Sch. (czterdzieści trzy lata) wieczorem na łące. Przechadzamy się, wyciągamy, nacieramy, bijemy i drapiemy. Całkiem nadzy. Bezwstydnie. — Zapach, gdy wieczorem wyszedłem z kancelarii.

13 lipca. Zrywałem czereśnie. Lutz czyta mi *Duszę Kinkla*. Kinkel Walter (ur. 1871), filozof niem., przedstawiciel neokantyzmu

Po jedzeniu odczytuję zawsze jeden rozdział z Biblii, która leży tu w każdym pokoju. Wieczór, dzieci podczas zabawy. Mała dziewięcioletnia Zuzanna w różowych majteczkach.

14 lipca. Zrywałem czereśnie na drabinie, z koszyczkiem. Wysoko w górze, na drzewie. Przed południem nabożeństwo na Eckarplatze. Hymn świętego Ambrożego. Po południu dwaj przyjaciele wysłani do Ilsenburga.

Leżę na trawie, a tu ten z Chrześcijańskiej Wspólnoty (długie piękne ciało, opalone na brąz, spiczasta broda, wygląda na szczęśliwego) idzie z miejsca, gdzie studiuje, do chaty-szatni, wodzę za nim oczyma, niczego nie przeczuwając, on jednak zamiast wrócić na swoje miejsce idzie do mnie, zamykam oczy, ale on już się przedstawia: H. geometra i daje mi cztery broszurki jako niedzielną lekturę. Odchodząc mówi mi jeszcze o „perłach” i „rzucaniu”, przez co chce zaznaczyć, że tych pism nie powinienem pokazywać drowi Sch. Są to: Syn marnotrawny, Odkupiony albo już nie mój (dla wiernych niewierzących) i krótkie opowiadania: Dlaczego wykształcony człowiek nie może wierzyć Biblii oraz Niech żyje wolność, ale: Co to jest prawdziwa wolność. Czytam trochę, potem wracam do niego i próbuję, niepewnie ze względu na szacunek, jaki mam dla niego, wyjaśnić mu, dlaczego teraz



nie ma u mnie widoków na łaskę. W odpowiedzi na to przemawia do mnie półtorej godziny (pod koniec przyłącza się do nas z kilkoma niewyraźnymi uwagami stary, siwowłosy, chudy pan z czerwonym nosem, w lnianym prześcieradle), z doskonałym opanowaniem każdego słowa, możliwym tylko, gdy się wierzy w wypowiedzane prawdy. Nieszczęsny Goethe, który unieszczęśliwił tyle istnień. Dużo opowiada. Jak on, H. zabronił mówić swemu ojcu, gdy w swoim domu bluźnił Bogu: „Może cię ojciec to przerazić i z przerażenia w ogóle przestaniesz mówić, jest mi wszystko jedno”. Jak ojciec usłyszał głos Boży na śmiertelnym łożu. Widzi po mnie, że jestem bardzo bliski łaski. — Jak ja sam obalam wszystkie jego dowody i naprowadzam go na jego wewnętrzny głos. Dobry wpływ.

Czytałem Schillera Kuhnemanna. Kuhnemann Eugen (ur. 1868), prof. filozofii, przedstawiciel szkoły idealistycznej, pisał studia historyczno-literackie, w których zajmował się rolą wielkich twórców i ich dzieł w kształtowaniu kultury.

Pan, który w kieszeni nosi zawsze kartkę do swojej żony, na wypadek nieszczęścia. — Księża Ruth. — Czytam Schillera. W pobliżu leży na trawie jakiś nagi, starszy pan, nad głową rozpiął parasol.

Brązowa i niebieska suknia sztywnej panny, która najpierw była ubrana na białą, i jak wyraźnie, dosłownie po sztabacku zmienia się jej cera pod wpływem tych kolorów.

Państwo Platona.. Pozowałem drowi Sch. Jedną stronicą u Flauberta na temat prostytucji. Duży udział nagiego ciała w ogólnym wrażeniu, jaki wywiera jednostka.

Sen: Towarzystwo z kąpeli powietrznej wyniszcza się wzajemnie za pomocą bójki. Gdy towarzystwo podzielone na dwie grupy, pożartowało z sobą troszkę, z jednej strony występuje ktoś i woła do innych: „Lustron i Kastron!” Drudzy: „Jak to? Lustron i Kastron? Ten ktoś: „Oczywiście”. Początek bójki.

16 lipca Kuhnemann. Pan Guido von Gillshausen, kapitan w stanie spoczynku pisze wiersze i komponuje Do mojego miecza i inne. Piękny mężczyzna. Ze względu na szacunek dla jego szlachectwa nie mam odwagi patrzeć w jego stronę, oblewam się potem (jesteśmy nadzy) i mówię za cicho. Jego sygnet. — Ukłony młodych Szwedów. Starszy, rudy, na skutek przyzwyczajenia ciężko oddycha przy mówieniu. — Rozmowa w parku, ubranego z ubranym. Spóźniłem się na masową wycieczkę do Harzburga. — Wieczór. święto strzeleckie w Stapelburgu. W towarzystwie dra Sch. i mistrza fryzjerskiego z Berlina. Wielka, łagodnie ku górze zamkowej w Stapelburgu wznosząca się równina, wytyczona lipami, niefortunnie przecięta nasypem kolejowym. Domek strzelców, z którego się strzela. Starzy chłopcy zapisują się w księdze strzeleckiej. Trzej muzykanci cechowi w kobiecych chustkach, które zwisają im na plecy. Stary, nie wyjaśniony obyczaj. Niektórzy w starych, prostych, niebieskich, odziedziczonych kitlach z najcieńszego płótna po piętnaście marek. Prawie każdy ma swoją strzelbę. Strzelby do nabijania z przodu. Odnosi się wrażenie, że wszyscy są jakoś pokrzywieni na skutek pracy w polu, szczególnie gdy ustawiają się w dwuszeregu. Paru starych dowódców w cylindrach z przypasanymi szablami. Wnoszą końskie ogony i jeszcze kilka innych dawnych symboli. Podniecenie, potem gra kapela, większe podniecenie, potem cisza, trąby i piszczałki, jeszcze większe podniecenie, w końcu wśród ostatnich werbli i piszczałek wywieszają trzy chorągwie, podniecenie po raz ostatni. Komenda i wymarsz. Starzec w czarnym ubraniu, czarnej czapce, z trochę znużonym wyrazem twarzy i niezbyt długą, gęstą, jedwabistą, nieosiągalnie białą brodą, która okala mu twarz. Były król strzelców, również w cylindrze, wokół ciała podobna jak u portiera szarfa, obszyta małymi, metalowymi tarczkami, na każdej z nich wygrawerowano nazwisko króla strzelców w danym roku i odpowiedni symbol rzemiosła. (Mistrz piekarski ma bochenek chleba itd.) Wymarsz w kurzu i przy zmiennym świetle mocno zachmurzonego nieba. Marionetkowy wygląd jednego współmaszerującego żołnierza (jeden strzelec, który właśnie odbywa służbę wojskową) i jego podskakujący krok. Ludowe wojska i chłopskie wojny. Idziemy za nimi przez ulice. To zbliżają się, to znów oddalają, ponieważ zatrzymują się przed poszczególnymi mistrzami w strzelaniu, coś odgrywają i są przyjmowani. Na końcu orszaku kurz równomiernie opada. Ostatnia para jest najbledsza. Przez pewien czas tracimy ją całkiem z oczu. Wysoki chłop o mocno zapadniętej klatce piersiowej, zdecydowanym wyrazie twarzy, w wysokich butach ze sztylpami, w ubraniu jakby ze skóry, jakże ceremonialnie odsunął się od słupa bramy. Trzy kobiety, które stały przed nim, jedna za drugą. Środkowa, śniada i piękna. Dwie kobiety przed bramą chłopskiej zagrody naprzeciwko. Na obu podwórzach olbrzymie dwa drzewa łączą swoje gałęzie ponad szeroką ulicą. Wielkie tarcze na domach byłych królów strzelców.

Podłoga do tańca, dwuczęściowa i w środku podzielona, w dwurzędowym ogrodzeniu kapela. Tymczasem pusto, małe dziewczynki ślizgają się na gładkich deskach. (Odpoczywający, rozmawiający szachiści przeszkadzają mi w pisaniu.) Ofiarowuję im moją lemoniadę, piją, najstarszy najpierw. Brak mi prawdziwego języka potocznego. Pytam, czy zjedli już kolację, zupełnie nie rozumieją, dr Sch. pyta, czy już wieczerali, zaczynają się domyślać (mówi niewyraźnie, za dużo oddycha), dopiero gdy fryzjer pyta, czy już sobie pojedli, mogą odpowiedzieć. Drugiej lemoniady, którą zamawiam, nie chcą, ale chcą jechać na karuzeli, ja, otoczony sześcioma dziewczynkami (od

sześcioro do trzynastu lat) lecę do karuzeli. W drodze chwali się jedna, która radziła przejechać się na karuzeli, że karuzela jest własnością jej rodziców. Siadamy i kręcimy się w powoziku. Wokół mnie przyjaciółki, jedna na moich kolanach. Cisnące się dziewczęta, które chcą korzystać z moich pieniędzy, moje przyjaciółki odpychają wbrew mej woli. Córka właściciela sprawdza rachunek, abym nie płacił za obcych. Gotów jestem, jeśli ktoś będzie mieć ochotę, jeszcze raz pojechać, ale sama córka właściciela mówi, że dość; jednakże chce iść do straganu ze słodyczami. W swojej głupocie i ciekawości prowadzę je do koła szczęścia. O ile to możliwe, obchodzą się bardzo oględnie z moimi pieniędzmi. Później idziemy do słodyczy. Buda z olbrzymimi zapasami, tak czysta i uporządkowana jak na głównej ulicy w mieście. Przy tym towar tani, jak na naszych rynkach. Potem wracamy na parkiet. Czuję, że przeżycie dziewczynek było większe niż to, co im zafundowałem. Teraz znowu piją lemoniadę i bardzo dziękują, najstarsza za wszystkie i każda za siebie. Na początku tańca musimy odejść, jest już trzy kwadransy na dziesiątą.

Fryzjer, który bez przerwy mówi. Ma trzydzieści lat, kwadratową brodę i zakręcone wąsy. Poza dziewczętami lubi swoją żonę, która w domu prowadzi interes i nie może odjechać, ponieważ jest gruba i nie znosi jazdy. Nawet gdy czasem jadą do Rixdorfu, musi dwa razy wysiadać z tramwaju, aby przejść się trochę pieszo i odpocząć. Nie potrzebuje żadnych wakacji. Jest już zadowolona, gdy parę razy może pospać dłużej. Jest jej wierny, ma przy niej wszystko, czego potrzebuje. Pokusy, na jakie narażony jest fryzjer. Młoda żona restauratora. Szwedka, która musi za wszystko drożej płacić. Włosa kupuje on od czeskiego Żyda, nazwiskiem Puderbeutel. Gdy przyszła do niego delegacja socjaldemokratów i zażądała, aby trzymał Naprzód, powiedział: „jeśli tego zażądacie, ale ja was nie wolałem”. Lecz w końcu ustąpił. Jako „młody człowiek” (czeladnik) był w Zgorzelcu. Gra w kręgle i należy do klubu sportowego. Przed tygodniem był w Brunshwiku na wielkim święcie kręglistów. Podają, że jest w Niemczech dwadzieścia osiem tysięcy zorganizowanych graczy. Na czterech honorowych torach przez trzy dni grano do późnej nocy. Nie można jednak powiedzieć, że ktoś jest najlepszym niemieckim kręglistą.

Gdy wieczorem przyszedłem do mojej chatki, nie znalazłem zapalek, pożyczyłem je sobie w sąsiedniej chacie i. poświeciłem pod stołem, czy może nie upadły. Tam ich nie było, natomiast stała szklanka na wodę. Stopniowo okazało się, że sandały były za lustrem na ścianie, zapalniczka na parapecie okiennym, ręczne lustro wisiało w wystającym kącie, nocnik stał na szafie, *Education sentimentale* była w poduszce, wieszak na ubrania pod prześcieradłem, mój podręczny kałamarz i mokra rękawica do mycia w łóżku itą Wszystko za karę, ponieważ nie poszedłem do Harzburga.

19 lipca. Deszczowy dzień. Leży się w łóżku, a deszcz głośno bębni po dachu, jakby uderzał w naszą własną pierś. Na krawędzi wystającego dachu krople zjawiają się mechanicznie jak światło, które zapala się na ulicy wzdłuż domów. Potem spadają. Nagle jakiś starzec pędzi jak dzikie zwierzę poprzez łąkę i bierze kąpiel deszczową. Uderzenie kropel w nocy. Człowiek siedzi jak w pudle na skrzypce. Rano bieg, pod nogami miękka ziemia. .

20 lipca. Przed południem z drem Sch. Czerwona Ziemia i rozchodzące się z niej światło. Pnie wznoszące się ku górze. Bujające, szerokolistne gałęzie buków.

Po południu przybycie maskarady ze Stapelburga. Olbrzym z tańczącym mężczyzną, przebranym za niedźwiedzia. Gibkie ruchy jego ud i pleców. Marsz po ogrodzie za orkiestrą. Bieg widzów po murawie, przez krzaki. Jak mały Hans Eppe ich spostrzega. Walter Eppe na kasecie listowej. Mężczyźni przebrani za kobiety, całkiem osłonięci firankami. Nieprzyzwoity widok, gdy tańczą z podkuchennymi, a te oddają się tym niby nieznanym, przebranym mężczyznom.

Przed południem odczytywałem drowi Sch. pierwszy rozdział *Education*. Po południu przechadzka z nim. Opowiadania o jego przyjaciółce. Jest przyjacielem Morgensterna Baluschka, Brandenberga Poppenberga. Wieczorem, ubrany, na łóżku jęczy straszliwie. Pierwsza rozmowa z panną Pollinger; ona wie już jednak o mnie wszystko, co warto wiedzieć. Pragę zna z *Dwunastu ze Styrii*. Bardzo jasna blondynka, ma dwadzieścia dwa lata, wygląda na siedemnaście, stale troszczy się o swoją głuchą matkę, zaręczona i kokietka.

Po południu odjazd owej, przypominającej rzemień Szwedki, wdowy, pani von W. Na jej zwykłej sukni tylko szara kurteczka, szary kapelusik z małą woalką. W tym obramowaniu jej śniada twarz bardzo delikatnieje, o wrażeniu, jakie sprawiają twarze o rysach regularnych, decyduje tylko odległość i okrycie. Bagaż jej stanowi mały plecak, zapewne nie mieści się tam nic więcej prócz nocnej koszuli. W ten sposób podróżuje bez przerwy: przybyła z Egiptu, jedzie do Monachium.

Dzisiaj po południu, gdy leżałem w łóżku, ludzie tutaj podniecili mnie, tak bardzo interesują mnie niektórzy. Tytuł pieśni pana von Gillshausen brzmi. *Czy wiesz, mamusiu żeś taka kochana*. Wieczorem tańce w Stapelburgu. Święto trwa cztery dni, ludzie prawie nie pracują. Widzimy nowego króla strzelców i na jego plecach odczytujemy nazwiska królów strzelców od początku

dziewiętnastego wieku. Na obu parkietach tłoczno. Wokół całej sali stoją pary jedna za drugą. Każda podchodzi co piętnaście minut, aby odtańczyć krótki taniec. Większość ich jest milcząca, nie z zakłopotania lub z jakiegoś szczególnego powodu, lecz po prostu milcząca. Jakiś pijany stoi z brzegu, zna wszystkie dziewczęta, zaczepia je lub przynajmniej wyciąga rękę, aby je objąć. Partnerzy dam nie ruszają się. Hałasu dosyć z powodu muzyki i krzyków ludzi, którzy siedzą przy stołach i stoją przy ladzie. Przez długi czas, nie mając co robić, chodzimy wokoło (ja i dr Sch.). Zaczepiam dziewczynę. Wpadła mi w oko, już na dworze, gdy z dwoma przyjaciółkami jadła halberstadzkie kielbaski z musztardą. Ma białą bluzkę z wsadzką ozdobioną kwiatami, która osłania barki i ramiona. Twarz ma miłą i melancholijnie pochyloną, przez co ścisnęła nieco górną część ciała i napuszyła bluzkę. Przy tej pochylonej postawie mały zadarty nosek zwiększa jeszcze smutek. Na całej twarzy sama czerwień i brąz, bez wyboru. Zaczepiam ją właśnie wtedy, gdy schodzi z podium w dół, po dwu stopniach. Stoimy pierś przy piersi i ona odwraca się. Tańczymy. Nazywa się Augusta A., pochodzi z Wolfenbüttele i od półtora roku pracuje w gospodarstwie niejakiego Klaudego w miejscowości Appenroda. Mam tę właściwość, że nie rozumiem imion własnych nawet przy wielokrotnym powtarzaniu, a potem również nie pamiętam ich. Jest sierotą i pierwszego października wstąpi do klasztoru. Swoim przyjaciółkom jeszcze tego nie powiedziała. Chciała już w kwietniu, ale jej państwo nie chcieli puścić. Idzie do klasztoru z powodu przykrych doświadczeń, przez które przeszła. Nie może ich opowiedzieć. Spacerujemy przez salę taneczną tam i z powrotem w świetle księżycy. Moje małe, niedawno poznane przyjaciółki śledzą mnie i moją „narzeczoną”. Mimo swego smutku tańczy jednak bardzo chętnie, co widać szczególnie, gdy później pożyczam ją drowi Sch. Jest robotnicą rolę. O dziesiątej musiała pojechać do domu.

22 lipca. Panna G., nauczycielka, młoda, świeża twarz, podobna do sowy, wypełniona rysami, które zdradzają ożywienie i napięcie. Ciało jest bardziej opieszale. Pan Eppe, kierownik prywatnej szkoły w Brunshwiku. Człowiek, któremu ulegam. Władczy, jeśli trzeba namiętny, przemyślany, muzyczny, na pozór również chwiejny sposób mówienia. Delikatna twarz, delikatniejsze, ale porastające całe oblicze bokobrody i szpicbródka. Afektowany chód. Siedziałem na przeciw niego na ukos, gdy po raz pierwszy równocześnie ze mną zasiadł do wspólnego stołu. Cicho przeżywające towarzystwo. Rzucił słowa na różne strony. Ale gdy było cicho, to panowała już absolutna cisza. Gdy jednak ktoś dalej siedzący powiedział słowo, to już je podtrzymywał, ale nie wysilając się, mówił do siebie, jakby go pytano i słuchano i przy tym patrzył na pomidor, który obierał ze skórki. Wszyscy przysłuchiwali się z uwagą prócz tych, którzy czuli się upokorzeni i sprzeciwiali się, tak jak ja. Nikogo nie wyśmiewał, lecz pozwalał każdemu się wypowiedzieć. Jeśli nie było żadnego oddźwięku, cichutko nucił, gniołąc orzechy, lub wykonując rękami liczne ruchy, które są konieczne, gdy się je surówki. (Stół jest zastawiony półmiskami i sporządza się dowolne mieszanki.) W końcu zainteresował wszystkich swoimi sprawami, oznajmiając, że musi zanotować wszystkie potrawy i przesłać spis swojej żonie. Gdy po kilku daniach przesłał zachwycać nas swoją żoną, zaczęły się nowe historyjki o niej. Jest umysłowo chora, musi jechać do sanatorium w Goslarze, będzie przyjęta, jeśli podpisze zobowiązanie na osiem tygodni, przywiezie z sobą opiekunkę itd., wszystko będzie kosztować — jak obliczył i znowu wylicza przy stole — ponad tysiąc osiemset marek. Nie ma mowy o tym, aby chciał wzbudzić współczucie. Ale tym niemniej chce przemyśleć taką kosztowną rzecz, wszyscy się zastanawiają. Parę dni później słyszymy, że żona przyjedzie, może wystarczy jej to sanatorium. Podczas jedzenia dostaje wiadomość, że żona z dwoma synkami właśnie przybyła i czeka na niego. Cieszy się, ale spokojnie kończy jeść, chociaż nie ma końca takie jedzenie, ponieważ wszystkie potrawy stoją równocześnie na stole. Żona jest młoda, tęgą, o talii zaznaczonej tylko w ubiorze, ma mądre niebieskie oczy, wysoko zaczesane jasne włosy, zna się na gotowaniu, sprawach rynkowych itd., całkiem dokładnie. Przy śniadaniu — jego rodziny nie było przy stole — gniołąc orzechy, mąż opowiada mi i pannie G.: jego żona jest umysłowo chora, ma zajęte nerki, źle trawi, cierpi na lęk przestrzeni, zasypia dopiero o piątej nad ranem, potem gdy budzi się ją wcześniej o ósmej rano, „naturalnie jest wściekła”, i staje się „drapieżna jak lis”. Serce bardzo nie w porządku, ma ciężką astmę. Ojciec jej zmarł w domu obłąkanych.

## WARIANTY

Ods.9 do w.16

do s. 10 w. 34

Często rozważam tę rzecz i pozwalam myślom biec ich własnym torem, nie przeszkadzając im, i zawsze, z którejkolwiek strony podszedłbym do tego, dochodzę do wniosku, że pod pewnymi względami moje wychowanie straszliwie mi zaszkodziło. W tym rozeznaniu tkwi zarzut, który godzi w mnóstwo ludzi. Są tu moi rodzice i krewni, całkiem określona kucharka, nauczyciele, kilku pisarzy — miłość ich, którą mi zaszkodziła, powiększa jeszcze ich winę, gdyż jakże bardzo z miłością mi... kilka

rodzin zaprzyjaźnionych z moją rodziną, nauczyciel pływania, tubylcy na letniskach, kilka pań w parku miejskim, po których wcale by się tego nie spodziewano, jeden fryzjer, jedna żebraczka, pewien sternik, lekarz domowy i jeszcze wiele ludzi, a byłoby ich jeszcze więcej, gdybym chciał i mógł nazwać ich po imieniu, krótko mówiąc jest ich tylu, że trzeba uważać, aby w tym tłoku kogoś dwa razy nie wymienić. Można by więc sądzić, że wskutek tej dużej ilości zarzut traci na sile i musi po prostu stracić na sile, bo zarzut to nie wódz, idzie prosto przed siebie i nie umie się rozdrabniać. Wcale nie w tym wypadku, gdy zwraca się przeciwko zmarłym osobom. Osoby z ich zapomnianą energią można zatrzymać w pamięci, nie muszą mieć podłogi pod nogami, a nawet ich nogi będą już tylko dymem. I ludziom w takim stanie ma się teraz oto — z pożytkiem — zarzucać błędy, popełnione niegdyś przy wychowaniu chłopca, który dla nich jest tak niepojęty, jak oni dla nas. Ale nie, dokażemy tego nawet, aby przypomnieli sobie tamte czasy, żaden człowiek nie może ich do tego zmusić, ale oczywiście nie może być wcale mowy o zmuszaniu, oni nie mogą sobie niczego przypomnieć i jeśli się na nich nalega, odsuwają człowieka na bok bez słowa, bo najprawdopodobniej nie słyszą słów. Stoją tam jak zmęczone psy, ponieważ wszystkie siły zużywają na to, aby pozostać we wspomnieniu. Gdybyśmy jednak rzeczywiście skłonili ich do tego, aby słuchali i mówili, wtedy szumiałoby nam tylko w uszach od kontrzarzutów, bo ludzie zabierają z sobą na tamten świat przekonanie o czcigodności zmarłych i bronią go tam z siłą dziesięć razy większą. A gdyby ewentualnie sąd ten nie był słuszny i umarli mieli szczególnie wielki szacunek dla żywych, wtedy dopiero zajęliby się we właściwy sposób swoją żyjącą przeszłością, która jest im najbliższa i znowu brzęczeliby nam nad uchem. A gdyby i ten sąd nie był słuszny, a umarli byłiby bardzo bezstronni, to nawet wówczas nigdy by się na to nie zgodzili, aby spokój ich zakłócać zarzutami, których prawdziwości nie można udowodnić. Bo takich zarzutów nie da się już udowodnić, gdy skierowane są bezpośrednio ku drugiemu człowiekowi. Obecności minionych błędów w wychowaniu dowieść (nie) można, a coś dopiero autorstwa. A teraz niech ktoś wskaże zarzut, który w takiej sytuacji nie zamieniłby się w westchnienie. Oto zarzut, który muszę podnieść. Ma on zdrowy rdzeń, konserwuje go teoria. To, co u mnie rzeczywiście zepsuto, ale o czym zapominam najpierw lub wybaczam i o co nie robię hałasu. Natomiast w każdej chwili mogę udowodnić, że moje wychowanie chciało uczynić ze mnie innego człowieka, nie takiego, jakim jestem. A więc tę krzywdę, którą moi wychowawcy mogliby mi rozmyślnie wyrządzić, to im zarzucam, żądam z ich rąk człowieka, jakim jestem obecnie, a ponieważ nie mogą mi go dać, z wyrzutem i śmiechem waląc w bębny, ścigam ich aż na tamten świat. Wyrzut z tego powodu, że zepsuli mi jednak jakiś kawałek mojego ja, porządny i ładny kawałek — we śnie jawi mi się to czasem jak zmarła narzeczona — ten wyrzut, który ciągle gotów jest zamienić się w westchnienie, ten przede wszystkim winien w całości przejść na tamten świat jako zarzut uczciwy, jakim jest w istocie. Dzieje się to tak, wielki zarzut, któremu nic się stać nie może, bierze tego małego za rękę, ten wielki kroczy, ten mały podskakuje, ale gdy jest już po tamtej stronie, jeszcze się odróżnia (zawsze spodziewaliśmy się tego) i dmie fanfary.

Często rozważałam tę rzecz i pozwalalam myślom biec ich własnym torem, nie przeszkadzając im, ale zawsze dochodzę do wniosku, że moje wychowanie zepsuło mnie więcej, niż jestem w stanie pojąć. Na zewnątrz jestem takim człowiekiem jak inni, bo moje wychowanie fizyczne trzymało się zwykłego szablonu, tak jak i moje ciało było zwykłe, i chociaż jestem dość niski i trochę gruby, przecież podobam się wielu, dziewczętom również. Jeszcze ostatnio jedna powiedziała coś bardzo rozsądnego: „Ach, gdybym jednak mogła zobaczyć pana nagiego, wtedy dopiero musiałby pan ładnie wyglądać i wtedy przyjemnie całowałoby się pana”. Ale gdyby brakowało mi górnej wargi, tam małżowiny, tu żebra, tam palca, gdybym na głowie miał tyse płyty i blizny po ospie — jeszcze nie byłoby to odpowiednikiem mojej wewnętrznej niedoskonałości. Niedoskonałość ta nie jest wrodzona i tym boleśniej się ją znosi. Bo tak jak każdy, ja także mam w sobie od urodzenia pewien punkt ciężkości, którego nawet najbardziej wariackie wychowanie nie mogło doprowadzić do obłędu. Ten dobry punkt ciężkości jeszcze posiadam, ale do pewnego stopnia nie mam już odpowiedniego ciała. A punkt ciężkości, który nie ma nic do roboty, twardnieje jak ołów i tkwi w ciele niczym kula od strzelby. Ale tamta niedoskonałość jest również niezasłużona, jej powstanie wycierpiałem bez mojej winy. Dlatego także nie mogę w sobie znaleźć skruchy, o ile jej szukam. Bo skrucha dobrze by mi zrobiła, wszak wypłakuje się w samej sobie, odsuwa ból i załatwia każdą sprawę sama jak uczciwą transakcję. Pozostajemy uczciwymi, gdy ona nam to załatwia.

Moja niedoskonałość, jak powiedziałem, nie jest wrodzona i zasłużona, pomimo to znoszę ją lepiej, aniżeli inni pod wpływem wyobraźni i za pomocą wyszukanych środków znoszą o wiele mniejsze nieszczęścia, na przykład: odrażającą żonę, złe warunki, nędzny zawód, a przy tym wcale nie poczerpiałem na twarzy od rozpacz, lecz jestem rumiany i biały.

Nie byłbym taki, gdybym tak bardzo przesiąkł moim wychowaniem, jak by ono chciało. Może moja młodość była na to za krótka, więc z całego serca chwaleb ją za tę krótkość, jeszcze teraz, gdy mam czterdzieści lat. Było to możliwe tylko dlatego, że pozostały mi jeszcze siły, abym mógł sobie

uświadomić straty mojej młodości, aby straty te przeboleć, dalej, aby na wszystkie strony skierować zarzuty przeciwko przeszłości, i w końcu reszta sił dla mnie. Ale wszystkie te siły są znowu tylko resztką tamtych, które posiadałem jako dziecko, i które mnie bardziej niż innych wydały na łup tym, którzy zepsuli mi młodość, wszak dobry pojazd wyścigowy przed wszystkimi innymi ściga ją i prześciga ją kurz i wiatr, jego koła przelatują nad przeszkodami, tak że prawie można by wierzyć w miłość.

To, czym jeszcze jestem teraz, najwyraźniej objawia się w sile, z jaką zarzuty chcą się wydobyć ze mnie. Bywały okresy, gdy nie znajdowałem w sobie niczego prócz miotanych wściekłością zarzutów, do tego stopnia, że w dobrym samopoczuciu fizycznym przytrzymywałem się na ulicy obcych ludzi, ponieważ zarzuty przewalały się we mnie z jednej strony na drugą, jak woda w miednicy, którą się szybko niesie.

Tamte okresy minęły. Zarzuty leżą we mnie dokoła, jak obce narzędzia, których nie mam jeszcze odwagi chwycić i podnieść. Przy tym zepsucie mojego dawnego wychowania zdaje się coraz częściej działać na nowo we mnie, mania wspomnień — może ogólna właściwość młodych ludzi w moim wieku — otwiera moje serce dla tamtych ludzi, którzy powinni byli odeprzeć moje zarzuty, a wydarzenie w rodzaju wczorajszego — dawniej tak częste jak jedzenie — obecnie jest tak rzadkie, że je notuję.

Ale ponad tym wszystkim jestem jeszcze ja sam, który teraz odłożyłem pióro, aby otworzyć okno, może najlepszą siłą pomocniczą moich agresorów. Mianowicie nie doceniam siebie, a to oznacza już przecenianie innych, ale ja przeceniam ich jeszcze ponadto. I abstrahując od tego, po prostu szkodzę sobie jeszcze. Bierze mnie chęć robić zarzuty, wyglądam przez okno. Któż zaprzeczy, że tam, w swoich łodziach, siedzą wędkarze jak uczniowie, których zaniesiono ze szkoły nad rzekę; dobrze, ich bezruch jest często niezrozumiały, tak jak bezruch much na szybach okiennych. A przez most przejeżdżają tramwaje, oczywiście jak zawsze z większym szumem wiatru i dzwonią jak zepsute zegary, nic dziwnego, że policjant w czerni od stóp do głów, z żółtym błyskiem tarczy na piersiach, przypomina tylko piekło i z myślami podobnymi do moich obserwuje wędkarza, który nagle — czyżby płakał czy też widzi zjawę lub drgnął korek? — pochyla się ku krawędzi łodzi. To wszystko słuszne, ale w swoim czasie, teraz tylko zarzuty są słuszne.

Godzą w całe mnóstwo ludzi, to może przecież przerazić i nie tylko ja wyglądałbym przez otwarte okno, każdy inny człowiek również chętnie oglądałby rzekę. Oto rodzice i krewni. To, że zaszkodził mi z miłości, powiększa. jeszcze ich winę. Bo jak bardzo mogliby mi być pożyteczni przez miłość; potem zaprzyjaźnione rodziny o złym spojrzeniu, z poczucia winy robią się ciężcy i nie chcą wynurzyć się wraz ze wspomnieniem; potem gromady panien do dzieci, nauczyciel i pewien autor oraz wśród nich pewna, całkiem wiadoma kucharka, potem, za karę przechodząc jeden w drugiego, lekarz domowy, fryzjer, sternik, żebraczka, sprzedawca papieru, dozorca parku, nauczyciel pływania, potem nieznanne panie w parku, po których nikt by się tego nie spodziewał, tubylcy na letniskach jako szyderstwo z niewinnej przyrody i wielu innych; ale byłoby ich jeszcze więcej, gdybym chciał i mógł nazwać ich po imieniu, krótko mówiąc, jest ich tylu, że trzeba uważać, aby kogoś nie wymienić dwa razy.

Często rozważam tę rzecz i pozwalam myślom biec ich własnym torem, nie przeszkadzając im, ale zawsze dochodząc do tego samego wniosku, że moje wychowanie zepsuło mnie więcej niż wszyscy ludzie, których znam i więcej, aniżeli ja sam zdaję sobie sprawę

Jednak tylko od czasu do czasu mogę to wypowiedzieć, bo pytają mnie później: „Rzeczywiście? Czy to możliwe? Czy można w to wierzyć?” — w nerwowym przerażeniu już usiłuję to pomniejszyć.

Na zewnątrz wyglądam jak każdy inny, mam nogi, tu-lów i głowę, spodnie, marynarkę i kapelusz; kazano mi się porządnie gimnastykować i jeśli pomimo tego pozostałem dość mały i słaby, to było nieuniknione. Zresztą podobam się wielu, nawet młodym dziewczętom, a te, którym się nie podobam, uważają jednak, że jestem znośny.

Od s. 11 w. 20

do s. 16 w. 25

— Ty — rzekłem i lekko trąciłem go kolanem (przy nagłym mówieniu, zły znak, wyciekło mi z ust trochę śliny) — ty przecież zasypiasz.

— Nie zapomniałem ciebie — rzekł i potrząsnął głową, już gdy otwierał oczy.

— Wcale też nie boję się o to — powiedziałem. Nie zwróciłem uwagi na jego uśmiech i patrzyłem na bruk. — Chciałem ci tylko powiedzieć, że teraz w każdym razie pójdę na górę. Bo, jak wiesz, jestem zaproszony na górę, jest już późno i towarzystwo czeka na mnie. Może przesuną niektóre uroczystości aż do mojego przyścia. Nie chcę twierdzić, że tak, ale bądź co bądź jest to możliwe. Teraz zapytasz mnie, czy może nie mógłbym w ogóle zrezygnować z towarzystwa.

— O to nie zapytam, bo po pierwsze przecież aż się palisz, aby mi o tym powiedzieć, a po drugie wcale mnie to nie obchodzi, bo czy tutaj na dole, czy tam na górze, jest mi zupełnie obojętne. Nie robi

mi żadnej różnicy, czy leżę tu na dole w rynsztoku, czy nabieram w siebie deszczówki, czy tymi samymi wargami piję na górze szampana, nawet w smaku tego nie odróżniam, co zresztą łatwo mogę przeboleć, gdyż ani jedno, ani drugie nie jest mi dozwolone i dlatego niesłusznie porównuję się z tobą. Gdzież tam ty! — Jak dawno właściwie jesteś w mieście? Jak dawno jesteś w mieście, pytam.

— Pięć miesięcy. Ale znam je już dokładnie. Słuchaj, ty, nie siedziałem spokojnie. Gdy tak cofam się myślą wstecz, nie wiem nawet, czy były noce, wszystko, możesz sobie wyobrazić, wydaje mi się jak jeden dzień, a potem nie było pół dnia ani nawet różnicy światła.